

---

Edgar Hilsenrath

# Baśń o myśli ostatniej

---

»Książnica«



Edgar Hilsenrath

*Baśń o myśli  
ostatniej*

Przełożył z niemieckiego  
Ryszard Wojnakowski

*Wydawnictwo „Książnica”*

## PROLOG

— Jestem bazarzem w twojej głowie. Nazywaj mnie *meddach*\*... A teraz bądź całkiem cicho, Towmo Chadisjanie. Naprawdę cicho. Bo to nie potrwa już długo. Wkrótce nastąpi ten moment. A wtedy... gdy twoje światła stopniowo będą gasnąć... opowiem ci baśń.

— Jaką baśń, *meddach*?

— Baśń o myśli ostatniej. A zacznę tak: Była kiedyś ostatnia myśl. I myśl ta siedziała ukryta w ostatnim krzyku trwogi.

— Dlaczego, *meddach*?

— Jak to dlaczego? Co za pytanie? Czyżbyś był aż tak nierozgarnięty? To przecież bardzo proste. Ukryła się tam, żeby poszybować w przestworza razem z ostatnim krzykiem trwogi... przez twoje otwarte na całą szerokość usta.

— I dokąd by miała polecieć?

— Do Hajastanu.

— A więc do Hajastanu?

— Tak, Towmo Chadisjanie.

— Do kraju moich przodków? Kraju u podnóża góry Ararat?

— Tak, tam.

---

\* Częściej powtarzające się terminy obcojęzyczne wyjaśniono w glosariuszu na końcu książki (przyp. tłum.).

- Akurat tam?
- Gdzież by indziej?
- Do świętej ziemi Ormian, zbezczeszczonej przez Turków?
- To prawda, Towmo. Zbezczeszczyli ją.
- Tam gdzie Chrystus został ukrzyżowany po raz drugi?
- Ty to powiedziałeś, Towmo.
- Może ostatni raz? Ostatecznie?
- Tego nie wiadomo.
- Powiedz, *meddach*: jak to właściwie jest?
- Z czym, Towmo?
- Gdzie są Ormianie z Hajastanu?
- Zniknęli, Towmo.
- To nieprawda, *meddach*.
- A dlaczego twierdzisz, że to nieprawda?
- Bo wiem, że oni tam jeszcze są. Ich zhańbione ciała gniją w świętej ziemi.
- Tutaj masz rację, Towmo. Na dobrą sprawę wcale nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz. Zdaje mi się, że jednak mnóstwo wiesz.
- Wiem to i owo.
- Dlaczego więc mnie wypytyujesz?
- Tak tylko, *meddach*.
- Pewnie chcesz zrobić ze mnie durnia?
- Nie, *meddach*.
- Powiedz, *meddach*...
- Co znowu?
- Kiedy moja ostatnia myśl wyleci w przestworza... czy odnajdzie Hajastan?
- Co za głupie pytanie, Towmo. Oczywiście, że go odnajdzie.
- Jesteś tego pewien?
- Jestem absolutnie pewien.
- Powinieneś jej powiedzieć: Hajastan leży tam, gdzie słończniki sięgają nieba.
- Sięgają nieba?
- Albo bram raj.

— Ależ Towmo Chadisjanie, tu jednak mocno przesa-  
dziłeś.

— Tak uważasz?

— Z całą pewnością.

— Hajastan... gdzie arbuzy są okrągłejsze, większe i so-  
czystsze niż najtłustszy babski zad?

— Tam leży Hajastan.

— Gdzie *bułgur* miesza się z miodem? A sok dojrzałych  
morw wysycha w ogródku na dachu?

— Tak, Towmo Chadisjanie.

— Gdzie mlekiem w bukłakach z koziej skóry potrząsa się  
tak długo, aż zamieni się w masło?

— Oczywiście. Tam jest Hajastan.

— Albo w glinianych maselnicach, jak u mojej babki?  
Kołysała maselnicę na kolanach, jak wcześniej mojego ojca.  
I do tego śpiewała piosenkę: *Garak gyszinem...* robię masło...  
dla Hagopa robię masło... dla Hagopa?

— Tak jest.

— Gdzie kobiety mają jędrne piersi, perliście wilgotne...  
jak świeże owoce granatu zrywane o rannej rosie?

— Tylko wtedy, gdy są młode i gdy się pocą.

— To przecież chyba obojętne.

— Rzeczywiście, Towmo Chadisjanie, to obojętne.

— Gdzie starzy i młodzi mężczyźni podkradają się pod  
wiejską studnię, kiedy kobiety czerpią wodę? Gdyż kobiety  
pochylają się nisko nad cembrowiną, tak nisko jak nigdzie  
indziej na świecie?

— Tak.

— Hajastan... Tam gdzie góry dotykają chmur. Gdzie silni  
mężczyźni zaprzęgają się sami do *kutana*, dużego ormiańs-  
kiego pługa, by na swych nędznych poletkach iść w zawody  
z wołami. Gdzie mój pradziad podczas młocki wyrzucał  
w górę plewy, które ormiański wiatr po prostu unosił w dal, ku  
górom albo do morza. Gdzie były owce stepowe i baranina,  
i jogurt. Pamiętasz jeszcze? Jogurt, który babka nazywała  
*madzun*?

— O tak. *Madzun*.

— Powiedz mi, *meddach*, jak wyglądam.

— Jesteś brzydki, Towmo Chadisjanie. Żadna kobieta nie zakochałaby się w tobie, oprócz twojej matki. Twoje oczy są lekko wyłupiaste i wpatrują się w podłogę. Z twoich na wpół otwartych ust cieknie śmierdząca ślina. Wkrótce otworzysz je szeroko, aby wypuścić ostatnią myśl, która... jak ci mówiłem, poszybuje w przestworza razem z ostatnim krzykiem trwogi.

— A moje ręce? Powiedz mi, *meddach*, co z moimi rękami?

— Nie pocą się już. Są właściwie martwe.

— A moje nogi?

— Tak samo.

— A przecież nie jesteś wcale stary, Towmo Chadisjanie. Rocznik 1915. Masz siedemdziesiąt trzy lata. Smarkacz, który powinien jeszcze tęgo sikać pod wiatr. Co się z tobą dzieje?

— Nie wiem, *meddach*.

— Twoi przodkowie byli zupełnie inni. Zwłaszcza jeden z nich, pradziad twojego dziadka. Ten był z zupełnie innej gliny. Zresztą przeżył ponad setkę.

— Tak, *meddach*.

— Ale tak to już jest, Towmo. Ci Ormianie z Hajastanu dożywają sędziwego wieku od częstego chędożenia i dużej ilości jogurtu, który nazywają *madzun* i piją kubłami.

— Tak, *meddach*.

— Umierają młodo tylko wtedy, gdy Turcy lub Kurdowie obcinają im głowy.

— Tak, *meddach*.

— Lub zabijają ich w jakiś inny sposób, na przykład zakrzywionym nożem rzeźniczym.

— Tak, *meddach*.

— Posłuchaj więc, Towmo Chadisjanie: zwłaszcza ten jeden przodek, pradziad twojego dziadka, był ulepiony z innej gliny. W wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat potrafił posunąć jeszcze dwa numery, jeden przed zaśnięciem, a drugi z samego rana.

— Jak to z tym było, *meddach*?

— Z tym to było tak: przed zaśnieciem robił to z prababką twojego dziadka, bo był mądry jak wszyscy Ormianie, którzy jak wiadomo, są mądrzejsi od Żydów i Greków. Pradziad twojego dziadka mówił więc sobie tak: Jeśli nie będę z nią tego robił, to rano zamiast miodu doda mi do *butguru* suszonego krowiego łajna. Wolę nie ryzykować, choć żołądek mam jeszcze zdrowy i potrafię pierdzieć jak siedemdziesięcioletni smarkacz.

— I tak było?

— Właśnie tak.

— A z samego rana?

— Kiedy prababka twojego dziadka jeszcze spała, wymykał się do stajni. I tam robił to z małą Kurdyjką, która miała dziewięć lat i dziurkę wielkości gołębiego jaja. Tak, Towmo Chadisjanie, takim zuchem był twój przodek. Ale pewnego razu mała Kurdyjka nie chciała i stanęła przekornie pod tylną ścianą stajni.

— I co się wtedy stało?

— Twój przodek ze sztywnym członkiem ruszył na nią jak rozjuszony byk. Ale ta mała bestia uskoczyła w porę i wybił w ścianie stajni dziurę o średnicy kutasa. Takim zuchem był twój przodek.

— Czy ta ściana była z desek?

— Nie. Była z gliny i z suszonego krowiego łajna, które ludzie w tamtych stronach nazywają *tezek*.

— Skończ już z tym, *meddach*. Powiedz mi lepiej jeszcze raz, jak wyglądam.

— Już ci mówiłem. Wyglądasz jak ktoś, kogo może jeszcze kochać tylko własna matka. Bo w oczach matki nawet taki stary grzyb jak ty jest najśłodszym aniołkiem. Twoja matka nie widzi wylupiastych oczu i nie wacha twojej śmierdzącej śliny. Czujesz, Towmo Chadisjanie? Twoja matka jest teraz przy tobie. Głaszcz cię po rękach, które nie mogą się już pocić. I głaszcz twoje zlodowaciałe nogi. Głaszcz cię po brzydkiej łysinie i całuje twoje na wpół martwe oczy.

— Gdzie jest moja matka?

— Już odeszła, Towmo Chadisjanie.

— Powiedz mi, *meddach*, jak przyszedłem na ten świat. Nigdy bowiem nie znałem swojej matki.

— Urodził cię Hajastan, Towmo Chadisjanie. I wiatr z gór Kurdystanu. Urodził cię kurz. I gorące słońce wtedy na gościńcu.

— A więc nie miałem matki?

— Nigdy jej nie miałeś.

— Czy to prawda?

— Tak, to prawda.

— A jednak to niemożliwe, Towmo Chadisjanie. Bo nawet nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus, został zrodzony z niewiasty. Chyba że sądzisz, iż duch Boży zstąpił na słońce? Albo na wiatr z gór Kurdystanu? Albo na kurz nędznego gościńca, wtedy w Hajastanie?

— Nie, *meddach*.

— Sam więc widzisz. Kobieta cię zrodziła. Mimo to nigdy nie miałeś matki, a przynajmniej takiej, która śpiewałaby ci kołysanki, karmiła cię albo kołysała do snu.

— Ale ktoś przecież musiał mnie karmić?

— Oczywiście, że ktoś cię karmił. Ale to nie była twoja rodzona matka.

— Tylko kto?

— Pewna Turczynka. Znalazła cię wtedy. Na gościńcu. I wzięła do siebie. I karmiła. I kołysała do snu. I śpiewała ci wiele kołysanek.

— Ormiańskich kołysanek?

— Nie, tureckich.

— Czy tureckie są tak samo tkliwe jak ormiańskie?

— Są dokładnie tak samo tkliwe.

— Wyobrażam sobie, Towmo, rzecz następującą. Otóż wyobrażam sobie, że ty, Towma Chadisjan, przyszedłeś na świat dzięki cesarskiemu cięciu.

— Bzdury opowiadasz, *meddach*. Kto miałby wykonać cesarskie cięcie na nędznym gościńcu?

— Turek, Towmo. Oni byli w tym specjalistami. Wyobrażam to sobie tak: jest sierpień 1915 roku. Gorący dzień.



Tysiące wygłodzonych Ormian, zataczając się pod razami tureckich żandarmów, posuwają się gościńcem w kierunku Mezopotamii, jeszcze Wyżyną Armeńską, skrajem gór Kurdystanu. Wędruje wśród nich twoja matka. Tak. Twoja matka. Jest brzemienna. W dziewiątym miesiącu. Zaczęły się właśnie bóle porodowe. Zbliża się południe.

— Dalej, *meddach*. Dalej.

— Nie wiem dokładnie, ilu Ormian było tamtego dnia na owym gościńcu, ale na pewno musiało ich być parę tysięcy. Wędrowali już od wielu tygodni, gdyż *zaptijeler* — tak nazywano tureckich żandarmów — pędzili ich celowo w kółko. Ci Ormianie przyszedli z wszelkich możliwych kierunków, z Erzurum i Muszu, z Mersiwanu i Charputu, z mniejszych i większych miast, z wiosek i osad targowych. W sumie wypędzono ich kilkaset tysięcy, może nawet ponad milion, ale tutaj było ich niewiele. Jak ci już wcześniej mówiłem: parę tysięcy, bo opowiadam przecież tylko o tym jednym gościńcu.

— Powiedz, mój bazarzu... powiedz mi, *meddach*, czy twoje oczy widzą w tym momencie także mego ojca?

— Nie, Towmo Chadisjanie. Twojego ojca nie było w tej kolumnie, bo *zaptijeler* rozstrzelali wszystkich ormiańskich mężczyzn, wszystkich, co jeszcze w miarę pewnie trzymali się na nogach, nie byli jeszcze siwi i mieli jeszcze zęby.

— A więc mego ojca rozstrzelali?

— Nie, Towmo Chadisjanie. Twój ojciec był wyjątkiem.

— Dlaczego był wyjątkiem?

— Opowiem ci o tym później.

— Później?

— Tak. Później... Tam była jedynie twoja matka. Wyższa od większości kobiet w kolumnie.

— Czy miała piękną twarz?

— W ogóle nie miała twarzy. Miała tylko oczy.

— Jakie oczy?

— Zwierciadlane oczy brzemiennej kobiety. Duże oczy, które odzwierciedlały to, co nosiła w swoim łonie, gdyż pośrodku zwierciadła oczu siedział mały nie narodzony Towma Chadisjan i machał rączką.

— Nadeszła już pora?

— Tak, nadeszła.

— Było koło południa, Towmo Chadisjanie. Patrzyłeś przez oczy swojej matki na długie szeregi kobiet, starców i dzieci i zadawałeś sobie pytania: Dokąd idą ci wszyscy dziwni ludzie? Dlaczego słońce świeci, skoro nikt się nie śmieje? Dlaczego jest tak gorąco? I dlaczego ci wszyscy ludzie idą boso? Dlaczego nigdzie nie ma wody i dlaczego *zaptijeler* biją ludzi, którzy przecież się nie bronią? Czyżby uważali, że kolumna nie posuwa się dość szybko? Ale dlaczego mieliby iść szybciej, skoro i tak przecież pędzeni są tylko w kółko? I dlaczego moja matka teraz się zatrzymuje? Dlaczego nagle osuwa się na kolana? Uważaj, mammo! Bądź ostrożna, bo mogę wypaść z twoich oczu.

— Gdy twoja matka zwała się na ziemię i krzyząc zaczęła tarzać się z bólu, kiedy nagle pojęła, że musi rodzić na środku gościńca, ostatkiem sił zdarła z siebie szarawary, legła na plecach, w kurzu, rozłożyła nogi i uniosła stopy w kierunku słońca i nieba.

— Tak to było — rzekł bazarz. — I wtedy strażnicy się wściekli, bo twoja matka zatrzymała całą kolumnę. I jeden z żandarmów zawrócił konia i podjechał do miejsca, gdzie leżała krzyząc w kurzu gościńca, ze stopami wzniesionymi ku niebu i słońcu. Wyciągnął z pochwy szablę i zeskoczył z konia.

— Czy ten *zaptije* odrąbał głowę mojej matce?

— Nie, Towmo Chadisjanie. Wprawdzie *zaptijeler* często odrabują głowy Ormianom, ale lubią też rozpruwać brzuchy, zwłaszcza brzemiennym kobietom. Zdaje się, że sprawia im to przyjemność. No cóż, Towmo Chadisjanie, twoja matka miała szczęście. *Zaptije* przystawił bowiem szpic szabli do jej nagiego brzucha, ale bardziej dla zabawy niż w odruchu wściekłości, i naciął go tylko trochę. I oto...

— I oto?

— Pojawiłeś się ty, Towmo Chadisjanie, po prostu wyśliznąłeś się z ciała swojej matki. A kiedy *zaptije*, wyłącznie dla żartu, przeciął szablą pępownię, zaczęłaś pisać niczym pierw-

szy kogut, jakiego Bóg stworzył, aby powitać pierwszy dzień na pierwszym gnojowisku. *Zaptije* popatrzył na ciebie, roześmiał się i schował szablę, bo w gruncie rzeczy nie był gorszy od większości tych, którzy służą państwu i posłusznie wypełniają swoje obowiązki.

— Naturalnie mogło też być inaczej — powiedział bazarz. — Mogło się przecież zdarzyć, że twoja matka przetrwała ten słoneczny gorący dzień, nie rozstając się ostatecznie z tobą. Dopiero gdy nastał wieczór i zaczęło się ściemniać, kolumna zatrzymała się, bo *zaptijeler* też byli zmęczeni, a konie narowiste. *Zaptijeler* kazali więźniom usiąść; poza tym chcieli nakarmić i napoić konie.

— W tamtych stronach — rzekł bazarz — szybko się ściemnia, bo Kurdowie mieszkający wysoko w górach są zwinni i co wieczór ściągają słońce na linach z czarnego koziego włosia, gdyż boją się, że czciciele diabła, których jest wielu w tamtej okolicy, mogliby je ukraść. Na noc Kurdowie ukrywają słońce w dużym namiocie, też z czarnej koziej skóry, i wypuszczają je dopiero wtedy, gdy orzeł budzi się ze snu i wydaje pierwszy okrzyk, którego echo niesie się daleko po górach i który słyszą także na dole, w wąwozach i dolinach, i na pastwiskach Hajastanu.

— A więc ściemniało się szybko — ciągnął bazarz. — Twoja matka położyła się spać razem z innymi. Wszyscy leżeli w kurzu drogi. Jedni spali faktycznie, drudzy leżeli tylko otępiali. Jedni nie odzywali się, drudzy krzyczeli domagając się wody. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, u twojej matki zaczęły się bóle.

— Urodziłem się więc w środku nocy, kiedy Kurdowie trzymali jeszcze słońce w dużym czarnym namiocie?

— Tak było, Towmo Chadisjanie. Gdy twoja matka zauważyła, jak znikasz powoli ze zwierciadła jej oczu, cofając się w głąb jej łona, żeby wydostać się na świat jako samodzielna żywa istota, podźwignęła się z trudem i przykucnęła w przydrożnym rowie.

— W takim razie urodziła mnie kucając?

— Wiele kobiet w tamtej okolicy rodzi kucając.

— I jak to się wtedy odbywa, *meddach*?

— Po prostu prac wydalają dzieci niczym gównu.

— A jak było ze mną?

— Dokładnie tak samo, Towmo Chadisjanie. Twoja matka zwyczajnie cię wysrała. Cóż innego zresztą miała zrobić? Nagle znalazłeś się w przydrożnym rowie, kawałek wrzeszczącego gówna pośród nocy. *Zaptijeler* niczego nie zauważyli, bo wiele kobiet w kolumnie miało małe dzieci, które darty się tak jak ty. Z samego rana, gdy Kurdowie uwolnili słońce i świt z górskich wąwozów podpełzł do gościńca, żałosna gromada ruszyła dalej. A ciebie po prostu zostawili.

— Dlaczego matka nie wzięła mnie ze sobą?

— Nie wiem. Może uznała, że opustoszały gościniec będzie dla ciebie jedynym ratunkiem? I tak się zresztą stało, Towmo Chadisjanie. Bo później przejeżdżała tamtędy święta dziewczica Maria. Zjawiła się pod postacią Turczynki-muzułmanki w towarzystwie swego męża, który miał na imię Jusuf. Maria rozpoznała cię od razu i Jusuf też cię rozpoznał, i powiedział do żony: Spójrz, oto najbardziej bezsilny świadek na świecie, a w dodatku najgłupszy, gdyż nie wie nawet, co widział. Mniejsza o to, czy wie czy nie wie, odrzekła Maria. Ważne tylko, że poświadczy kiedyś, iż nie wszyscy ludzie są źli. I uśmiechnęła się, zsiadła z osiołka i wzięła cię na rękę. A później, gdy leżała już w swoim łóżku, pozwoliła Turkowi Jusufowi, żeby cię głaskał, i ukołysała cię do snu.

W tym momencie w mojej głowie zrobiło się całkiem cicho i sądziłem, że nadeszła już ta chwila. Pomyślałem o swej ostatniej myśli, co odleci wkrótce i wróci do kraju moich przodków, aby odszukać wszystkich tych, których nie znałem. Pomyliłem się jednak. Coś innego bowiem przyszło mi jeszcze do głowy. Była to tylko myśl, lecz mimo woli roześmiałem się i puściłem baka.

— To był twój ostatni — rzekł *meddach*.

— Czy nadeszła już ta chwila?

— Jeszcze niezupełnie.

- Może pierdnę jeszcze raz — powiedziałem.  
— Może — odparł *meddach*, po czym zapytał: — Dlaczego roześmiałeś się, Towmo Chadisjanie?  
— Bo przed sekundą rozmawiałem z tureckim premierem.  
— I on coś powiedział?  
— Tak.

W końcu go dopadłem: tureckiego premiera. Jego głos w słuchawce brzmiał groźnie. Zapytał bowiem: Kto śmie tutaj telefonować? Na co ja, na drugim, bezpiecznym końcu przewodu, odpowiedziałem: Ja śmiem!

A kim pan jest?

Jestem pańskim ormiańskim psychiatrą.

A czego pan chce ode mnie?

Niczego.

Czy to ma znaczyć, że ja chcę czegoś od pana?

Nie inaczej.

W takim razie przyjdę jutro do pańskiego gabinetu.

Niech pan przyjdzie.

Podałem mu swój adres. Przyszedł. Punktualnie.

Mam koszmary senne, powiedział.

Wszyscy Turcy mają koszmary senne, odparłem.

A dlaczego?

Z powodu Ormian.

A więc z powodu Ormian?

Tak.

I co z tymi Ormianami?

Zostali wytepieni przez Turków.

Nie mam z tym nic wspólnego. Nikt nie ma z tym nic wspólnego. Żaden współczesny Turek.

Tego przecież nie twierdziłem.

To było naprawdę bardzo dawno temu, powiedziałem. W roku 1915. Podczas pierwszej wojny światowej. Zgładzony został wtedy cały naród.

Po prostu zgładzony?

Tak. Po prostu zgładzony.

Kiedyś coś o tym słyszałem, rzekł turecki premier, ale zawsze sądziłem, że to tylko bajki zmyślane przez naszych wrogów.

To nie jest bajka, powiedziałem.

Tylko ludobójstwo?

Tak jest.

Spontaniczny wybuch złości narodu tureckiego?

Nie.

W takim razie to nie przyszło z dołu?

To przyszło z góry, powiedziałem. Wszystko odbyło się z polecenia ówczesnego rządu tureckiego. Wszystko było dobrze zorganizowane. Chodziło bowiem wtedy o pierwsze zorganizowane i zaplanowane ludobójstwo XX wieku.

Myślałem, że wynaleźli je Niemcy.

Nie oni je wynaleźli.

W takim razie Niemcy nauczyli się tego od nas, Turków?

Nie inaczej.

Ale w naszych podręcznikach historii nie ma o tym żadnej wzmianki, rzekł turecki premier.

Wiem o tym, powiedziałem.

Czy to z powodu tej luki?

Owszem, z powodu luki historycznej.

To dlatego pewnie miewam takie lęki, wyznał turecki premier. Śnią mi się bowiem tylko luki i dziury.

Proszę usiąść, powiedziałem.

Gdzie mam usiąść?

Gdziekolwiek w moim gabinecie.

Ale to nie jest gabinet. To turecki podręcznik historii.

To przecież bez znaczenia.

Naprawdę mam usiąść?

Tak.

Albo się położyć?

Jak pan chce. Najlepiej niech pan usiądzie na tym taborecie.

Ale ja nie widzę żadnego taboretu.

Więc niech pan usiądzie na mojej kozetce. Może się pan też położyć.

Ale ja nie widzę żadnej kozetki.

Więc niech pan usiądzie, powiedzmy, na podłodze.

Turecki premier skinął głową. Po czym powiedział tylko: Ale ja nie widzę żadnej podłogi. I zaczął krzyczeć.

— Nikt nie może cię słyszeć, Towmo Chadisjanie — rzekł bazarz — gdyż twoja mowa jest niema. Ale ja cię słyszałem.

— I słyszałeś też jego krzyk, krzyk tureckiego premiera, gdy spadał w bezdenną otchłań?

— Jego krzyk też słyszałem.

— Spotkałem tureckiego premiera jeszcze raz — oznajmiłem.

— Kiedy?

— Przed paroma sekundami.

— A gdzie?

— W wielkiej sali posiedzeń Zjednoczonego Sumienia Narodów. Podczas zwyczajowego zgromadzenia ogólnego.

Siedział obok przedstawicieli rządów, nie rzucając się w oczy, z boku. Jak się dowiedziałem, nie był już premierem, tylko archiwariuszem przy Zjednoczonym Sumieniu Narodów, oficjalnie wybranym przez wszystkie reprezentowane tam nacje. Kiedy mnie zobaczył, opuścił swoje miejsce i zszedł do archiwum. Podążyłem za nim.

Szukam akt ormiańskich, powiedziałem. Chodzi o raport z zapomnianego ludobójstwa.

Zapomnianego ludobójstwa?

Owszem.

A kiedy miałoby ono mieć miejsce?

W 1915 roku.

To bardzo dawno temu. Mamy teraz rok 1988.

Owszem, zgodziłem się.

Sam pan widzi, powiedział.

A potem zaprowadził mnie do szafy z aktami. I powiedział: Nasza szafa jest bez drzwi. Same otwarte regały, dostępne dla każdego, gdyż nie mamy tutaj tajemnic.

Więc niech mi pan pokaże, gdzie znajdę akta ormiańskie.

To niestety niemożliwe, oświadczył, gdyż takie stare akta jak ormiańskie dawno pokryła tak gruba warstwa kurzu, że nie sposób ich już odnaleźć.

Więc niech pan wezwie sprzątaczkę i każe odkurzyć akta.

Dawno wydałem takie polecenie, rzekł archiwariusz, ale to nie takie proste.

Dlaczego?

Bo wszystkie sprzątaczkę w Zjednoczonym Sumieniu Narodów mają astmę i nie chcą odkurzać starych akt, zwłaszcza tak starych jak te dotyczące zapomnianego ludobójstwa. Takie sprzątanie wzbudziłyby tylko mnóstwo kurzu, który pobudza je do kaszlu.

Mogę to zrozumieć, powiedziałem.

Zapomnienia nie powinno się odkurzać, stwierdził archiwariusz. To zbyt niebezpieczne. Po tych słowach zniknął.

Później poszedłem na górę do wielkiej sali posiedzeń. Kilka razy wstawałem z miejsc dla publiczności, aby przerwać tureckiemu mówcy, lecz porządkowi wyprowadzili mnie z sali.

Raz udało mi się wślizgnąć z powrotem do środka. Stałem obok sekretarza generalnego i wygłosiłem płomienną mowę. Opowiadałem o swoim narodzie, zgładzonym przez Turków, a przedstawiciele wszystkich nacji słuchali mnie przez jakiś czas. Potem wszakże zaczęli się nudzić i jeden po drugim opuścili salę. W końcu zostałem sam.

I wtedy weszła sprzątaczkę. Rzeczywiście miała astmę i kaszląc zapytała mnie: Co pan tu jeszcze robi?

Czekam na panią.

Na mnie?

Tak. Na panią.

Jest pan jednym z tych dyplomatów, co to lubią się zabawiać ze sprzątaczkami?

Nie.

Więc czego pan ode mnie chce?



Chciałbym, powiedziałem, żeby odkurzyła pani zapomnienie.

Roześmiała się tylko.

Kiedy sprzątaczką szorowała podłogę, opowiedziałem jej swoją historię, bo pomyślałem sobie, że sprzątaczkę są gadatliwe, więc może i ona rozniesie ją po przedpokojach i korytarzach Zjednoczonego Sumienia Narodów i w ten sposób moje słowa dotrą do uszu przedstawicieli wszystkich nacji. Ale sprzątaczkę w ogóle mnie nie słuchała. Podczas szorowania pokazywała mi tyłek, a potem opuściła wielką salę posiedzeń.

Znów byłem sam. Trochę oszołomiony snułem się wzdłuż stolików poszczególnych narodów, czytałem tabliczki, w końcu zatrzymałem się przed miejscem sekretarza generalnego. Stałem za jego pulpitem i zacząłem mówić do pustej sali.

Opowiedziałem milczeniu dzieje ludobójstwa. Podkreśliłem, jak ważne jest, by mówić o tym otwarcie. Każdy powinien o tym wiedzieć! powiedziałem. Jak bowiem zapobiec w przyszłości ludobójstwu, jeśli każdy będzie twierdził, że o niczym nie wiedział i nie zapobiegł niczemu, bo nie potrafił w ogóle wyobrazić sobie czegoś takiego? Mówiłem długo i obszernie. Nie domagałem się niczego dla swego narodu, nie żądałem ukarania prześladowców. Chcę tylko przełamać milczenie, powiedziałem.

Dopiero znacznie później zacząłem mówić o sobie. Opowiedziałem pustej sali własne dzieje i dzieje mojej rodziny. Mówiłem o moim ojcu i matce, o moich dziadkach i pradziadkach, ciotkach i stryjach. Mówiłem o wszystkich, których nie znałem, tak długo, aż wyczerpany umilkłem, zamknąłem oczy i podparłem głowę dłońmi.

Kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że stoi przy mnie sekretarz generalny. Pan mnie nie widział, rzekł, ale ja stałem przez cały czas obok pana.

A więc wszystko pan słyszał?

Wszystko słyszałem.

Opowie pan to innym?

Nie, odparł. Nie opowiem tego innym.

Potem zapaliliśmy po papierosie. Sekretarz generalny powiedział: Moim zdaniem historia pańskiej rodziny jest wyjątkowo chaotyczna i niewiarygodna, mam na myśli to, jak żyli przed wielką masakrą i jak później zostali zgładzeni. Tak po prostu.

Skinąłem głową, lecz nic nie powiedziałem.

Zastanawiające tylko, podjął sekretarz generalny, że pan, panie Chadisjan, pamięta wszystko tak dokładnie. Jeśli się nie mylę, nie znał pan nikogo ze swojej rodziny, nawet własnej matki. Bo kiedy przyszedł pan na świat, w roku 1915, oni wszyscy albo już nie żyli, albo przepadli bez wieści.

Matka była przy mnie.

Skąd pan wie?

Nie wiem, panie sekretarzu generalny, a zarazem wiem z całą pewnością.

Przedtem opowiedział pan pustej sali, że wtedy na gościńcu znalazło pana dwoje ludzi, Turków.

Owszem, panie sekretarzu. Mężczyzna i kobieta.

A później — tak pan opowiadał — oddali pana do sierocińca, jednego z sierocińców, jakich było wtedy wiele.

Owszem.

Tuż po wielkiej wojnie zjawily się dwie damy z Czerwonego Krzyża i zabrały pana do Szwajcarii? Tak pan przedtem mówił?

Owszem, panie sekretarzu.

I tam pan pozostał, a obecnie jest pan obywatelem Szwajcarii?

Tak.

A więc Szwajcarem?

Nie, panie sekretarzu. Jestem Ormianinem. Ormianinem ze szwajcarskim paszportem.

A pańska rodzina, panie Chadisjan! Przecież w ogóle jej pan nie znał! Nikogo pan nie znał. Nie znał pan nawet nazwiska swojej rodziny.

To prawda.

W pewnym momencie przybrał pan nazwisko Chadisjan, bo sądził pan, że tak mogła się nazywać pańska rodzina.

Tak, panie sekretarzu. Chadisjan to powszechne ormiańskie nazwisko.

Sekretarz generalny uśmiechnął się. Nie wie pan nawet, powiedział, skąd pochodzi pańska rodzina, nie zna pan także nazwy miasta czy wioski. Nic pan o nich nie wie. Nic.

Widzi pan, panie sekretarzu, powiedziałem. Kiedy miałem trzynaście lat, zacząłem tego dociekać. I przez sześćdziesiąt lat nie robiłem nic innego, tylko dociekałem.

Natrafił pan na jakieś ślady?

Natrafiłem na wiele śladów, ale wszystkie prowadziły donikąd.

A więc zgadza się! Nie wie pan, kim pan jest?

To nieprawda, powiedziałem. Wiem, kim jestem. Przez sześćdziesiąt lat odszukiwałem tych, co ocalili z masakry, i kazałem sobie opowiadać historie, historie z Hajastanu nazywanego także turecką Armenią albo Anatolią, jak pan chce, i z tych wielu historii skleciłem swoją własną. I tym sposobem pewnego dnia dorobiłem się autentycznej historii rodzinnej. Znałem swoje korzenie. Znów miałem ojca i matkę, i wielu krewnych. Miałem także tradycyjne nazwisko, nazwisko, które mogłem przekazywać swoim dzieciom i wnukom. Widzi pan, panie sekretarzu: ta historia jest nie do końca poskładana w mojej głowie. Ale wkrótce przybierze postać i będzie tak samo prawdziwa jak wszystkie prawdziwe historie.

A kiedy to nastąpi?

Już wkrótce.

Ostatnia jasność zawsze przychodzi za późno, rzekł sekretarz generalny. I dodał niemal żartobliwie: Przychodzi dopiero wraz z ostatnią myślą.

Ale wtedy nie jest wcale za późno, powiedziałem. I powiedziałem jeszcze: Wraz z ostatnią myślą wszystko stanie się jasne. Widzę już: ta ostatnia myśl uporządkuje mętlik w mojej głowie. A porządek w mojej głowie ukołysze mnie łagodnie do wiecznego snu. Ludzie będą mówić o mnie: Patrzcie, ten umarł jak drzewo. Drzewo może stracić liście, ale nigdy nie straci korzeni. Czemu więc z ludźmi miałoby być inaczej?

\*

A teraz leżę na swym śmiertelnym posłaniu. I *meddach* w mojej głowie mówi:

— Jesteś jednym wielkim oczekiwaniem. Oczekujesz tej ostatniej myśli niczym oblubienica oblubieńca, który oto przychodzi do niej, aby pokazać jej własne korzenie. Ale ostrzegam cię, Towmo Chadisjanie: ostatnia myśl jest krótka, krótsza niż ułamek sekundy.

— Czy nie można jej przedłużyć?

— Nie, Towmo.

I *meddach* rzekł:

— Mógłbym ci jednak już teraz opowiedzieć o ostatniej myśli, która mieszka w ostatnim krzyku twogi i poleci pełna oczekiwań z powrotem do twojego ojca i matki, i do wszystkich tych, których nigdy nie znałeś. Mogę ci już teraz zdradzić, że ten ostatni krzyk twogi się przemieni.

— Jak mam to rozumieć?

— W radosny okrzyk oczekiwania.

— W takim razie będę umierał bez strachu?

— Nie będziesz umierał w niepewności.

— Czy to jest to samo?

— Tak, to jest to samo.

Wtedy powiedziałem do *meddacha* w mojej głowie:

— Opowiedz mi o ostatniej myśli, żeby wypełnić czas oczekiwania i przedłużyć to, co na samym końcu rozbłyśnie w mojej głowie w czasie krótszym niż ułamek sekundy. Ostatecznie mi to obiecałeś.

— Obiecałem ci tylko baśń.

— Baśń o myśli ostatniej?

— Baśń o myśli ostatniej.

I *meddach* zaczął tak:

— Kiedyś trzymałem na kolanach twego pradziada. Było to na placu targowym w Bekirze, dużym tureckim mieście. Opowiadałem mu turecką baśń i powiedziałem do niego: *Bir warmysz, bir jokmush, bir warmysz...* Była kiedyś, a może i nie była, a może jednak była kiedyś... Tak bowiem zaczynają się

wszystkie baśnie w tamtej okolicy. Dlaczego więc baśń, którą ci zaraz opowiem, miałyby zaczynać się inaczej?

— A teraz słuchaj, Towmo Chadisjanie. Mówię do ciebie: *Bir warmysz, bir jokmusz, bir warmysz...* Była kiedyś, albo i nie była, a może jednak była kiedyś...

## 1

Była kiedyś ostatnia myśl. Myśl ta potrafiła poruszać się we wszystkich kierunkach czasu, także w przyszłość i w przeszłość, była bowiem nieśmiertelna.

Gdy więc wylatywała teraz przez otwarte na całą szerokość w ostatnim okrzyku nadziei usta umierającego, powiedział sobie: Zanim wyruszysz w przyszłość, powinienesz zrobić mały wypad do Bekiru, dużego tureckiego miasta, gdzie czekają na ciebie rodzice. I tak też się stało.

Ostatnia myśl cofnęła się w czasie i w wiosenny dzień wojennego roku 1915 wylądowała na zwieńczeniu wschodniej bramy miejskiej, nazywanej Bab-i Se'adet, czyli Brama Szczęśliwości. Była to potężna brama z kutego żelaza, osadzona w liczących parę tysięcy lat murach obronnych Bekiru. Nikt nie zauważył lądowania ostatniej myśli na zwieńczeniu bramy, ponieważ nie można jej było ani zobaczyć, ani usłyszeć. I dlatego nie czuła się niczym skępowana, odzywając się do bazarza:

- Gdzie jesteś, *meddach*?
- Jestem przy tobie — odparł bazarz.
- Ale ja nie mam ciała.
- Nie szkodzi.
- Gdzie siedzisz?
- Siedzę w tobie. A ty jesteś częścią Towmy Chadisjana, który zabiera się właśnie do wyzionięcia ducha.
- A ile czasu potrzeba na wyzionięcie ducha?

— Mniej niż ułamek sekundy.

— To niewiele.

— Masz rację, to niewiele. Choć zarazem nie masz racji. Możliwe bowiem, że wieczność trwa krócej niż ułamek sekundy. Inaczej się ją tylko mierzy.

— Powiedz mi, *meddach*, gdzie jestem!

— Siedzisz na Bab-i Se'adet, Bramie Szczęśliwości. Jeśli zwrócisz wzrok na południowy wschód, będziesz patrzeć dokładnie w kierunku Mekki, miejsca, do którego wszyscy pobożni muzułmanie muszą się udać z pielgrzymką przynajmniej raz w życiu, tam bowiem żył i działał Prorok. Tam również znajduje się święta Kaaba.

— Kaaba? I Mekka? Brama Szczęśliwości? W takim razie nie rozumiem... dlaczego akurat pod tą bramą wisi trzech Ormian? Usta mają szeroko otwarte, jakby między ich zębami tkwił jeszcze ostatni okrzyk trwogi. Dyndają na długich sznurach, kołyszą się lekko na wieczornym wietrze z oczyma wpatrzonymi nieruchomo przed siebie.

— To zdrajcy kraju.

— I to prawda?

— Turcy tak twierdzą.

— Czy mój ojciec jest wśród tych trzech Ormian?

— Nie. Nie ma go wśród nich.

— Zaprowadzisz mnie do mojego ojca i do mojej matki?

— Jeszcze nie teraz — odrzekł *meddach*. — Poczekaj jeszcze trochę.

— Twoje sny opowiadały ci zawsze, że Bekir jest najpiękniejszym miastem na świecie — powiedział *meddach*. — Turcy nazywają je miastem tysiąca i jednego meczetu. Na ich złotych kopułach siedzi latem tysiąc jeden bocianów. O brzasku, kiedy słońce uwalnia się z koziego postronka Kurdów i zabiera do wylizywania ognistymi promieniami ostatnich śladów nocy, kiedy pierwszy ptak próbuje swoich strun głosowych, wtedy bociany na kopułach meczetów kąpią białe skrzydła w świetle poranka, kłapią długimi dziobami i wzywają muezinów, aby wznosili do nieba z minaretów swoje *Allahu akbar*.

— Ale ja nie widzę żadnych bocianów.

— Są jeszcze w Mekce i przylecą dopiero wtedy, gdy zrobi się cieplej.

— Nie widzę też tylu meczetów. Powiedziałeś: tysiąc i jeden?

— Tysiąc i jeden.

— Ja widzę tylko jedenaście. Właśnie je policzyłem. W Bekirze jest jedenaście meczetów.

— To dlatego, mój synu, że Turcy lubią przesadzać, podobnie jak Żydzi i Grecy, i czciciele diabła, i Cyganie, i w ogóle wszyscy w tych stronach. W rzeczywistości meczetów jest tylko jedenaście. Masz więc rację. Ja także je policzyłem. Osiem stoi w dzielnicy tureckiej, dwa w dzielnicy kurdyjskiej i jeden w ormiańskiej *mahalle*, mimo że wcale tam nie pasuje.

— Dlaczego, *meddach*?

— Ponieważ Ormianie są chrześcijanami. Wiesz przecież o tym. Wszak widziałeś też kościoły Ormian.

— Nie widziałem ich jeszcze.

— Więc rozejrzyj się, Towmo Chadisjanie. Rozejrzyj się. Wszędzie zobaczysz kościoły, przede wszystkim w ormiańskiej *mahalle*. Nie są tylko tak okazałe.

— Dlaczego nazywasz mnie Towmą Chadisjanem?

— Ponieważ go zastępujesz.

— A dlaczego mówisz do mnie „mój synu”?

— To bez znaczenia. Równie dobrze mógłbym do ciebie mówić „moja owieczko” albo „mój mały paszo”. Mógłbym ci nadać wiele imion, mimo że masz tylko jedno prawdziwe imię.

— Jakie?

— Towma Chadisjan.

— Wkrótce słońce zniknie, gdyż Kurdowie przyciągają już wieczór, majstrując przy kozim postronku. Opowiedzieć ci, co w taki wieczór dzieje się w Bekirze?

— Tak, *meddach*. Ale nie rozwódź się zanadto, bo chciałbym jak najprędzej być przy moim ojcu i przy mojej matce.



I *meddach* zaczął mówić:

— W tej chwili czterech panów siedzi w biurze *müdüra* Bekiru, na najwyższym piętrze *hükümetu*, czyli budynku rządowego, masywnej budowli przy rue Hodja Pacha, jak nazywają tę ulicę wytworni, mówiący po francusku Turcy. Poza tym zwie się ona także całkiem zwyczajnie Hodża Pasza Sokahy. Jeden z obecnych ma na sobie brązowy mundur polowy, a na głowie futrzaną czapkę, to jednooki *müdü*r Bekiru, namiestnik i dowódca miejscowej żandarmerii. Pozostali panowie są po cywilnemu, mają jedynie czerwone fezy na głowach. Dwóch z nich, *kajmakam* i *mutasarryf*, to wysocy rangą urzędnicy w skomplikowanej tureckiej hierarchii administracyjnej, podlegają im poszczególne okręgi i powiaty, *sandżaki* i *kazy*, na które dzieli się *wilajet*. Czwartym zaś z panów jest wali we własnej osobie, gubernator całego *wilajetu*, dorównującego wielkością *wilajetom* Erzurum lub Wan. Obecni w pomieszczeniu panowie siedzą na drogocennym dywanie, każdy ma pod tyłkiem poduszkę, barwnie haftowaną, wypchaną gęsim pierzem, siedzą ze skrzyżowanymi nogami, popijają słodką kawę z maleńkich miedzianych filiżanek i palą *czubuki*.

Jutro z samego rana każe ściąć głowę temu Wartanowi Chadisjanowi, powiada właśnie *müdü*r. A potem nadzieję ją własnoręcznie na spise i wystawie na murach obronnych.

W którym miejscu? pyta *mutasarryf*.

Na Bramie Szczęśliwości, odpowiada *müdü*r, po lewej stronie z boku ponad głowami trzech Ormian, których kazałem wczoraj powiesić. *Müdü*r śmieje się i spogląda na obydwu panów szklanym okiem, w ogóle pozbawionym wyrazu.

Na pańskim miejscu nie robiłbym tego, odzywa się w tym momencie otyły *wali*, podnosząc dłoń znużonym gestem. Ten Wartan Chadisjan ma bowiem jeszcze mnóstwo do powiedzenia.

Wali ma rację, potwierdza *mutasarryf*. Żywy Wartan Chadisjan może jeszcze mnóstwo powiedzieć, martwy już nie.

Wali wykonuje ponownie gest znużenia. *Efendiler*, mówi. Kiedyś próbowałem wydobyć zeznanie z trupa, ale milczał uparciej niż ryba z jeziora Wan. Nawet ja, *wali* Bekiru, nie mogłem z niego nic wycisnąć.

Czterej panowie zapadają w milczenie, popijają słodką kawę i palą *czubuki*. Nie mogą wiedzieć, że ostatnia myśl Towmy Chadisjana dostała na plecach gęsiej skórki, choć jako istota bezcielesna nie ma prawdziwych pleców. Słyszając ich słowa wystraszyła się jednak i zapytała *meddacha*:

- O kim tutaj mówią?
- O twoim ojcu, moja owieczko. O twoim ojcu.
- Gdzie jest mój ojciec?
- Twój ojciec jest w więzieniu.
- W więzieniu?
- W więzieniu.
- Czemu nie zaprowadzisz mnie do niego?
- Wkrótce, moja owieczko. Wkrótce to zrobię.
- Zetną mu głowę?
- Niebawem się okaże.

— A teraz posłuchaj, moja owieczko — powiedział bazarz. — W czasie gdy czterej panowie w budynku rządowym radzą jeszcze o losie twego ojca, w wielu bekirskich domach zapalają się pierwsze lampki oliwne. Kupcy na bazarze zwijają stragany i ładują swoje towary na wózki zaprzężone w muły i osły, a niektórzy po prostu do dużych worków na mąkę i albo sami niosą je do domu, albo każą je taszczyć jakiemuś *hamatowi*, któremu dają za to kilka marnych *para*. Ci bekirscy *hamatowie* to najbardziej leniwi tragarze w całej Turcji, leniwszi nawet od tragarzy portowych z Konstantynopola, a wiesz dlaczego? Powiem ci, moja owieczko: ponieważ są nimi przeważnie Kurdowie. Kurd albo jest dumny i wolny i mieszka wysoko w górach w namiocie z czarnej koziej skóry, żyje ze swoich owiec i z grabieży, ma konia i broń, albo rezygnuje z dumy i wolności, a tym samym odrzuca własną godność, i zostaje *hamatem* w Bekirze. Tak to wygląda. Ci kurdyjscy tragarze z Bekiru zajmują w hierarchii stworzeń jeszcze niższe miejsce niż osioł.

— Dlaczego mi to opowiadasz, *meddach*?

— Żeby naostrzyć sobie język, nim opowiem ci więcej o twoim ojcu, który nie wiedząc o tym, czeka na ciebie, i którego wkrótce ujrzysz.

— Kiedy?

— Wkrótce.

— Nie masz chyba nic przeciwko temu, że mówię do ciebie „Towma”? — spytał bazarz. — Albo „moja owieczko”, albo „mój synu”, albo jeszcze inaczej?

— Nie — odparła ostatnia myśl. — Nazywaj mnie, jak chcesz, najważniejsze, abyś mnie zaprowadził do mojego ojca.

— A nie chciałbyś też zobaczyć swojej matki?

— Pewnie, że chciałbym. Ją przede wszystkim. Wydaje mi się jednak, że w tej chwili ważniejsze jest, bym znalazł się przy ojcu, bo w przeciwnym razie mogą mu ściąć głowę, zanim go zobaczę.

— Masz w zupełności rację — stwierdził *meddach*. — Ale najpierw rozejrzyj się dokoła.

— Już to uczyniłem.

— I co widzisz?

— Widzę na Wielkim Bazarze wielu Turków, którzy zwijają właśnie stragany.

— To nie są Turcy — rzekł *meddach* — to ormiańscy kupcy, a przynajmniej większość z nich. Od wieków mieszkają z Turkami w jednym kraju i często trudno ich od Turków odróżnić. Sam widzisz: większość mężczyzn nosi czerwone fezy, a szerokie szarawary mają ściągnięte troczkami w kostkach. Pod szatą wierzchnią noszą takie same kamizelki bez rękawów jak Turcy. Niektórzy paradują też w strojach zachodnich, podobnie zresztą jak nowe pokolenie młodoturków, a do tego noszą futrzane czapki lub fezy. Ich nastroszone wąsy wzbudzają w niewiastach lęk i są nie mniej okazałe niż wąsy Turków lub górskich Kurdów. Palą takie same papierosy lub fajki, na przykład *czubuk*, który pali również *wali Bekiru*, *mutasarryf* i *müdiir*, albo nargile, fajkę wodną z powyginaną rurką, do których trzeba jednak czasu i spokoju. A gdy zapytasz Ormianina, jakim tytoniem nabija swój *czubuk*, to oczywiście odpowie: perskim tytoniem *abu ra'iha*, ojcem wszelkich aromatów, tak samo zresztą jak odpowiedziałby ci szanujący się Turek.

\*

— Moja owieczko — powiedział *meddach* — to wszystko są rzeczy powierzchowne. Jeśli chcesz wiedzieć, czy ktoś jest Ormianinem, spójrz mu w oczy.

— Wkrótce bazar będzie jak wymarły — rzekł *meddach* — i tylko sprzedawcy wody z wypełnionymi do połowy bukłakami z kozich skór będą biegać za wracającymi do domu handlarzami, by zawołać jeszcze kilka razy: *Iji su, sohuk su, buz gibi, on para*. Dobra woda, zimna woda, jak lód, dziesięć *para*. Sprzedawcy wody zawsze ostatni opuszczają bazar, gdyż trzymają się słów Proroka, który powiedział: Wszelki pośpiech pochodzi od diabła.

— Tak, moja owieczko: wszelki pośpiech pochodzi od diabła i tylko głuchoniemi zdają się śpieszyć w tym kraju, kiedy biegną wieczorem do meczetów, aby odmówić namaz bez słów, gdyż nie słyszeli wołania muezinów, którzy zdzierają sobie gardła na balkonach minaretów.

— A gdzie, *meddach*, modlą się głuchoniemi?

— Wszędzie tam, gdzie modlą się także inni muzułmanie. Wielu idzie prawdopodobnie do Chyrka-i Szerif Dżamii, meczetu Świętego Płaszcz w dzielnicy tureckiej, przy Kuru-sebil Sokahy, załku Wyschniętych Studni, albo do Deli-Awrat-Dżamii, meczetu Pomyłonej Niewiasty w dzielnicy kurdyjskiej w dolnej części miasta. Nie wiem tego, moja owieczko, ale przypuszczam, że większość głuchoniemych idzie do meczetu Mehmeda Paszy Uzdrowiciela, czyli Dżer-rach Mehmed Pasza Dżamii.

— Szkoda, że nie było cię tutaj dziś rano — ciągnął *meddach*. — Wtedy bowiem przez dzielnicę Ormian przechodzili świeżo upieczeni rekruci. Wyruszyli z koszar, przeszli z janczarską muzyką obok Bit Bazary, czyli pchlego lub wszawego targu, potem skręcili w Diwan Jołu, ulicę Rady, a następnie pomaszerowali przez dzielnicę ormiańskich rzemieślników, ulicami garncarzy i złotników, przeszli nawet obok *urbadżyłar*, ormiańskich krawców zamieszkałych w Bekirze, gdzie już twój pradziad kazał sobie uszyć ubranie z czystej wełny, *pamuktu*, które odziedziczył później twój

dziadek, a po nim twój ojciec. Zgadnij, dokąd podążyli rekruci!

— Skąd mam to wiedzieć?

— Podążyli do Topkapy, Bramy Armatniej w zachodniej części miasta. A kto ją minie, ten wyjdzie na drogę do Erzurum.

— A co jest w Erzurum?

— W Erzurum stacjonuje trzecia armia turecka.

— Dlaczego?

— Żeby powstrzymać rosyjski walec, moja owieczko. Który toczy się właśnie przez Kaukaz i zmierza do Konstantynopola. Przez całe przedpołudnie pułki maszerowały jeden za drugim przez Bekir, przeważnie oddziały *redifler*, to jest rezerwistów pierwszej kategorii, ale także pułki *müstahfizler*, czyli rezerwistów ostatniej kategorii. Wśród nich widziałem nie tylko starców, ale i takich, co wyglądali jak dzieci, i chromych też widziałem, i inne kaleki. I możesz mi wierzyć lub nie: za *müstahfizler* ciągnęły wrzeszczące kobiety, a potem szli derwisze z sekty Rufai. Ci pojawili się nagle i krzyczeli: *Ja ghazi, ja szahid, ja Allah, ja Hu* — o wojownicy, o męczennicy, o Allahu, o Wielki. A na balkonie *hükümetu* stał *wali*, a obok niego *mutasarryf*, *kajmakam* i jednooki *müdüür*, i wszyscy czterej na pewno by się przeżegnali, gdyby byli chrześcijanami. Ale teraz *müdüür* nie stoi na balkonie. *Wali*, *mutasarryf* i *kajmakam* też już tam nie stoją. Siedzą bowiem nadal w biurze *müdüüra* i radzą, co zrobić z twoim ojcem.

— Zapadła już jakaś decyzja?

— Jeszcze nie, moja owieczko, jeszcze nie. Gdyż panowie mają właśnie gościa, dość późnego gościa, niemieckiego oficera w randze majora, jednego z instruktorów armii tureckiej. I teraz siedzą wszyscy na drogocennym dywanie, każdy ma poduszkę pod tyłkiem, popijają kawę i palą *czubuki*.

Dziś rano, mówi niemiecki major, kiedy pojechałem ze swoimi ludźmi do miasta, widziałem trzech Ormian pod Bramą Szczęśliwości. Dyndali na długich stryczkach.

To zdrajcy, wyjaśnia *wali*.

Wszyscy Ormianie to zdrajcy, dodaje *müdüür*, właściwie należałoby ich wszystkich powiesić.

Ilu Ormian mieszka w tych stronach? pyta major.

Pięć milionów, odpowiada *wali*.

To niemożliwe, mówi niemiecki major, gdyż według statystyki w całej Turcji żyje tylko jeden koma dwa miliona przedstawicieli tego dziwnego narodu.

To była statystyka sułtana Abdülhamida, wyjaśnia *wali*, którego młodoturcy dawno odsunęli od władzy.

Czy znaczy to, że Abdülhamid chciał zaniżyć liczebność mniejszości narodowych?

Nie inaczej, *binbaszy bej*, odpowiada *wali*.

Ci Ormianie to niebezpieczny naród, mówi *wali*. I mieszkają po obu stronach granicy. Cztery miliony po naszej, a milion po rosyjskiej.

To chyba duża przesada, mówi major.

To nie przesada, *binbaszy bej*, odpowiada *wali*. Możliwe, że jest ich nawet jeszcze więcej, bo ci Ormianie mnożą się jak szczury. *Wali* uśmiecha się i pociąga łyk słodkiej kawy. I wszyscy są ze sobą spokrewnieni.

Jak pan to rozumie?

A jak niby miałbym rozumieć, *binbaszy bej*? Jak? No cóż, tureccy Ormianie mają ciotki i wujów po tamtej stronie granicy. Niektórzy mają tam synów i córki, rodziców i dziadków albo innych krewnych. Wszyscy są ze sobą jakoś spokrewnieni.

A nawet gdyby nie byli ze sobą spokrewnieni, wtrąca się w tym miejscu *müdüür*, mam na myśli oficjalne pokrewieństwo, to i tak są spokrewnieni ze sobą, bo stanowią szczególną rasę, która od tysięcy lat dopuszcza się kazirodztwa. Wszyscy mają tę samą krew.

To zła krew, dodaje *wali*, i pochodzi od diabła.

I wszyscy są ze sobą w zмовie, uzupełnia *müdüür*, wszyscy Ormianie po obu stronach granicy. I wszyscy trzymają z Rosjanami.

Czy znaczy to, pyta major, że Ormianie tutaj, po tureckiej stronie, oczekują wkroczenia Rosjan... a może nawet czynnie ich popierają?

Słuszna uwaga, *binbaszy bej*, potwierdza *wali*. Tureccy Ormianie oczekują wkroczenia Rosjan i swoich krewnych z tamtej strony granicy, którzy walczą za cara. Taka akcja miałaby ich pełne poparcie.

Czy ma pan na to konkretne dowody?

Nie potrzebujemy żadnych dowodów, mówi *wali*. Wystarczy, że to wiemy.

Sytuacja jest niebezpieczna, zauważa major.

I to w pobliżu frontu, dodaje *müdiür*. Miliony Ormian za naszymi plecami, każdy z tureckim paszportem, miliony, o których wiemy, że trzymają z wrogiem.

Sytuacja jest nadzwyczaj niebezpieczna, powtarza major.

Teraz pan rozumie, *binbaszy bej*, wtrąca się z kolei *mutasarryf*, dlaczego musieliśmy powiesić dla przykładu tych trzech Ormian.

Teraz rozumiem, przyznaje major.

A Brama Szczęśliwości najlepiej się do tego nadaje.

Owszem, potwierdza major.

Powiesiliśmy ich tak, żeby nie patrzyli w stronę Mekki.

A w jakim kierunku patrzą? pyta major.

Niewłaściwym, odpowiada *müdiür*.

U jednego z powieszonych Ormian znaleźliśmy butelkę rosyjskiej wódki, mówi *müdiür*. To ciężkie przewinienie, bo Rosja jest naszym wrogiem.

Podobno dostał tę wódkę od szwagra, wyjaśnia *mutasarryf*, czyli brata żony, który ma gorzelnię po niewłaściwej stronie granicy.

Twierdził, że ma tę wódkę jeszcze z pokojowych czasów, dodaje *müdiür*, ale nie potrafił tego udowodnić.

A jakie przewinienia popełnili dwaj pozostali? pyta major.

Przy drugim znaleziono list, odpowiada *müdiür*. List z Rosji od jego babki.

Utrzymywanie kontaktów z wrogiem?

Nie inaczej, *binbaszy bej*.

A jak ten list trafił do Turcji?

No cóż, *binbaszy bej*. Przyszedł pocztą.

A więc jeszcze przed wojną?

Oczywiście, że jeszcze przed wojną.

Czy na kopercie był rosyjski stempel z datą?

Nie, na kopercie nie było ani stempla, ani daty. Nie było bowiem w ogóle koperty, mówi *müdüür*, bo listonosz otworzył list, a kopertę wyrzucił.

A dlaczego miałby to zrobić?

Bo ten Ormianin winien mu był napiwek. Chciał za-trzymać list, dopóki nie dostanie napiwku.

Bakszyszu?

Naturalnie, że bakszyszu. Zwyczajowego napiwku. Cze-góż by innego? Ci listonosze to drobni, kiepsko opłacani urzędnicy, przekupni i skazani na napiwki. Cóż z tego, że my, młodoturcy, od czasu objęcia rządów robimy wszystko, aby skończyć z korupcją, skoro taki listonosz jest jeszcze duchem w czasach obalonego Abdülhamida i nie potrafi pojąć nowej etyki?

Słusznie, potwierdza *wali*.

Widzi pan, *binbaszy bej*, wtrąca *kajmakam*, listonosz trzymał list przez dwa lata i oddał go dopiero w zeszłym tygodniu. A kiedy znaleźliśmy ten list, list bez koperty, sądzi-liśmy, rzecz jasna, że został przemycony. Cóż innego bowiem mieliśmy o nim sądzić? Podczas wojny, jak wiadomo, nie przychodzi z zagranicy żadna legalna poczta. Nie mogliśmy przecież wiedzieć, że list jest jeszcze z czasów pokojowych.

A ten listonosz nie powiedział, jak było?

Jasne, że powiedział, *binbaszy bej*. Ale powiedział dopiero wtedy, gdy Ormianin dyndał już pod bramą. Pod Bramą Szczęśliwości. I spoglądał w niewłaściwym kierunku, to zna-czy nie w stronę Mekki.

A więc to tak, mówi major.

Właśnie tak, *binbaszy bej*, potwierdza *kajmakam*. Allah mi świadkiem.

A co z trzecim zdrajcą?

Ten trzeci to ormiański kapłan, odzywa się z kolei *müdüür*. Przyłapaliśmy go, jak głosił kazanie.

Naturalnie wysłaliście szpicli do chrześcijańskiego kościo-ła?

Jest wojna, *binbaszy bej*. Jest wojna. Cóż robić?



A co takiego uczynił ten kapłan?

Modlił się razem ze swoją gminą o zwycięstwo. Nie wiedzieliśmy tylko, dla której strony.

Tego to jednak nie pojmuję, *müdüür bej*.

Na końcu nabożeństwa wznosił modły za panującego, powiedział dosłownie: Niech żyje padyszach! Tylko że nie wiedzieliśmy, którego padyszacha miał na myśli. Rozumie pan, *binbaszy bej*. Jest padyszach rosyjski i padyszach turecki. W Rosji car, a u nas nowy sułtan, osadzony na tronie przez Enwera Paszę. Skąd mieliśmy wiedzieć, którego padyszacha miał na myśli?

To rzeczywiście trudno ustalić, przyznaje major.

Ale myśmy to ustalili, oznajmia triumfalnie *müdüür*, bo ten kapłan wypowiadając zdanie o padyszachu chwycił za krzyż.

Jaki krzyż?

Długi krzyż dyndający na jego piersi. I dlatego wiedzieliśmy, że mógł mieć na myśli tylko rosyjskiego cara. Tylko jego.

Nie byłbym tego taki pewny, mówi major.

No cóż, ale my jesteśmy pewni, powiada *müdüür*.

Dziwię się, mówi major, że Ormianie nie zastrajkowali. Dziś nawet robiłem u nich zakupy. Wszystkie sklepy były otwarte.

A dlaczego miałyby być zamknięte?

Bo trzech z nich powieszono.

Ależ *binbaszy bej*, powiada *müdüür*. Te szczury są zbyt tchórzliwe, by zdobyć się na otwarty protest.

Parę tygodni temu byłem w Galicji, mówi major, na froncie austriackim. I wie pan, *müdüür bej*, co rzuciło mi się w oczy?

Nie wiem.

Jest tam za dużo Żydów. A wie pan, jak zachowują się Żydzi, kiedy się targują?

Nie, odpowiada *müdüür*.

Jak Ormianie, mówi major. Te dwa narody są łądząco do siebie podobne. To niewiarygodne.

Możliwe, powiada *müdiür*.  
 Macie tu kłopoty z Żydami?  
 Nie. Tutaj mamy kłopoty z Ormianami.

Ci Ormianie są gorsi niż szczury, mówi *müdiür*. Przenikają do narodów, wśród których żyją, podkopują je, a w końcu niszczą.

Święta prawda, potwierdza *wali*.

Wyzyskują nas, Turków, i panoszą się w naszym kraju.

Święta prawda, powtarza *wali*.

Ci Ormianie pławiają się w bogactwie, proszę mi wierzyć. Ich kobiety odziewają się w aksamity i jedwabie i noszą najdroższą biżuterię. Jak to się mówi: Każdy Ormianin jest chodzącym sklepem jubilerskim. *Müdiür* śmieje się. I wszystko jest w ich rękach. Banki i kantory wymiany, rzemiosło i handel. Są lekarzami i adwokatami, a swoich synów i córki posyłają do dobrych szkół.

I są w zмовie z wrogiem, wtrąca *mutasarryf*.

O tak, potwierdza *müdiür*. Każdy z nich to przebrany Rosjanin.

Ormianie tylko czekają, żeby wbić nam sztylet w plecy, mówi *wali*. I dodaje cicho: Trzeba coś zrobić! Po czym pociąga z lubością łyk kawy, pali przez chwilę *czubuk* i mówi: Naprawdę trzeba coś zrobić.

A co z tym szpiegiem, któregoście niedawno aresztowali? pyta major. Czy to Ormianin?

Jasne, że Ormianin. Któż by inny?

Jak się nazywa?

Wartan Chadisjan.

Major wybuchą śmiechem. To przecież całkiem zwyczajne ormiańskie nazwisko, mówi.

Ormianie to bardzo stary naród, ciągnie niemiecki major. Jeśli się nie mylę, mieszkali już w tych stronach, kiedy Mahomet dostał oświecenia.

Ma pan rację, potwierdza *wali*.

A nawet wcześniej, powiada major, myślę, że... kiedy Chrystus głosił kazanie na Górze, już wtedy.

To prawda, przyznaje *wali*.

A nawet jeszcze wcześniej, mówi major, przed waszą, ale już także przed naszą erą.

Owszem, przytakuje *wali*. Pali statecznie *czubuk* i uśmiecha się. Czyżby zamierzał pan twierdzić, że Ormianie byli już w tych stronach, zanim przyszli Turcy?

Nie zamierzam niczego twierdzić, zarzeka się major.

No cóż, może to i prawda, mówi *wali*, ale czy to ma jakieś znaczenie?

Żadnego, odpowiada *müdüür*. Nie są niczym więcej jak tylko szczurami, a szczury też już tutaj były, zanim przyszli Turcy.

Jesteśmy więc znowu przy szczurach, zauważa *müdüür*. Po czym uśmiecha się i mówi: Wiecie, *efendiler*, niedawno wszedłem za szczurem do piwnicy. Naturalnie miałem przy sobie pałkę, bo chciałem go zabić. *Müdüür* zamyka na kilka sekund jedyne oko, po czym otwiera je i spogląda niewinnym wzrokiem na majora. Kiedy znalazłem się na dole, zobaczyłem nagle jeszcze jednego szczura. Były więc dwa. A potem nagle cztery. I wciąż pojawiały się nowe. Wyłaziły z wszystkich piwnicznych zakamarków. Było ich coraz więcej. Setki i tysiące. Gdziekolwiek stanąłem, pojawiały się szczury. Nagle były ich miliony. Zdarły ze mnie i pożarły moją odzież, potem drewnianą pałkę, skoczyły mi do gardła, a w końcu i mnie pożarły.

A potem się pan obudził? pyta major.

Nie.

Ale to był chyba tylko sen?

Przez jakiś czas nikt nic nie mówi. Dopiero kiedy *müdüür* klaszcze nerwowo w dłoń i rozkazuje *zaptije*, który wpada natychmiast do pokoju, by przyniósł świeżej kawy, *wali* z zakłopotaniem chrząka i zwraca się do majora z pytaniem od dawna wiszącym w powietrzu:

Jak tam wojna, *binbaszy bej*? Niemcy zajmą Paryż czy nie?

To nie powinno już długo potrwać, odpowiada major.

A Petersburg?

Wkrótce będziemy też w Petersburgu.

A jaka jest sytuacja na Kaukazie?

Armia Enwera Paszy musiała się chwilowo wycofać.

Mimo że Turcy to najlepsi żołnierze na świecie.

To z powodu cholery, mówi major. I chłodnej zimy.

Ale zima się już przecież skończyła?

Owszem, potwierdza major.

Dopóki Enwer Pasza dowodził armią kaukaską, wszystko było dobrze, mówi *wali*. Enwer Pasza winien był posuwać się dalej tak długo, aż spotkałby się w Petersburgu z niemieckim cesarzem. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego front się załamał, a Enwer wrócił do Konstantynopola.

Nikt tego nie rozumie, dodaje *müdüür*.

Może to z powodu cholery, powiada *wali*. Albo z braku odzieży zimowej. Albo z powodu Ormian. Ormiańscy żołnierze rzucili jakieś czary na nasze wojska. To oni są wszystkimu winni.

Owszem, to oni, przytakuje *müdüür*.

Wokół mnie zrobiło się cicho i mimo że ja, Towma Chadisjan, jestem już tylko myślą nie związaną z czasem, słyszę wyraźnie tykanie.

— To tylko czas — powiedział *meddach*. — Możesz tego chcieć lub nie, ale on upływa. I wkrótce zapadnie decyzja.

— Jaka decyzja?

— Decyzja gubernatora prowincji, *walego* Bekiru, który rozkaże *müdüürowi*, by obcięto głowę twojemu ojcu albo i nie.

— Zaprowadzisz mnie teraz do mojego ojca?

— Wkrótce, moja owieczko. Już wkrótce.

— Czy widzisz tego ślepego starego żebraka obok Bramy Szczęśliwości? — spytał *meddach*.

— Tak, widzę go.

— Nazywa się Mehmed efendi. Ten Mehmed efendi to mądry człowiek, tak mądry, że ludzie mówią o nim: jest wprawdzie Turkiem, lecz rozum ma Ormianina.

— A ten chłopiec u jego kolan?  
 — To jego wnuk Ali.  
 — Dwa głodomory, o których Allah pewnie zapomniał?  
 — Mylisz się, moja owieczko. Czy widzisz na krawężniku żebraczą chustę, obciążoną czterema kamieniami, żeby wiatr jej nie porwał? Jest w niej zaledwie kilka nędznych *para*. Nie więcej. Ale ten żebrak to bardzo bogaty człowiek. Pewnie mi nie wierzysz?

— Nie, nie wierzę.

— No cóż, wierz sobie, w co chcesz — rzekł *meddach*.  
 — Ale tak jest. I ten Mehmed efendi chciał wykupić twojego ojca, bo twój ojciec uratował mu kiedyś życie. O tym jednak opowiem ci później.

— Czy żebrak wykupił mojego ojca?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nikt nie może wykupić twojego ojca. Jest bowiem zbyt ważny dla *walego*.

— A więc to niemożliwe?

— To naprawdę niemożliwe.

— Naturalnie inni też próbowali wykupić twojego ojca. Na przykład twoja matka. Zresztą cała rodzina. Wszyscy próbowali. Ale bezskutecznie. A mówi się, że tureccy urzędnicy są przekupni.

— A są przekupni?

— Oczywiście, że są, moja owieczko. W tym kraju można osiągnąć prawie wszystko za pomocą bakszyszu. Tylko twojego ojca nie może nikt wykupić.

— Ponieważ jest ważny? Dla *walego*?

— Nie tylko dla *walego*. Także dla innych, zwłaszcza dla *müdüra*. Władze mają względem niego szerokie plany.

— Skoro jest taki ważny, to na pewno będzie jeszcze potrzebny, a skoro będzie potrzebny, to Turcy nie będą chyba tacy głupi, żeby za wcześniej obciąć mu głowę?

— I tak właśnie jest, moja owieczko. Trzeźwo na to patrzysz. Ja zresztą też o tym pomyślałem.

\*

— W tej chwili, moja owieczko... w tej chwili... stary ślepy żebrak wzdryga się. Zauważyłeś to?

— Tak. Zauważyłem.

— Wygląda, jakby się czegoś przestraszył, ale to tylko zabawa, gdyż żebrak lubi pożartować z wnukiem. Słyszysz, co do niego mówi?

— Tak, słyszę.

Słyszę, jak ślepy żebrak mówi do chłopca:

Ali, oczy moje. Czuję, że śmierć nadchodzi.

Bzdury pleciesz, *dede*, odpowiada chłopiec. Śmierć nie może przecież przyjść, dopóki mi nie powiesz, gdzie ukryłeś pieniądze.

Masz rację, oczy moje, przyznaje ślepiec. I rozum też masz. Odziedziczyłeś go po mnie.

Tak, *dede*, mówi chłopiec.

Tak mi się tylko wydawało, ciągnie żebrak, bo coś zimnego ściska mnie za gardło.

Co zimnego, *dede*?

Zimny wiatr.

Ależ *dede*, nie ma żadnego wiatru.

Jest wiatr, oczy moje. Wieje zimny wiatr. Nadciąga od Bramy Szczęśliwości.

Od Bramy Szczęśliwości?

Tak, Ali, oczy moje. Stamtąd właśnie nadciąga. I założę się z tobą, że śmierć siedzi na łuku bramy.

Śmierć siedzi pod łukiem bramy, *dede*.

A jak wygląda?

Wygląda jak trzech Ormian, którzy tam dyndają.

A więc tak wygląda?

Owszem. Tak wygląda.

Powiedz mi, oczy moje. Co wisielcy mają na głowach?

Tylko jeden ma coś na głowie.

I co to jest?

To *külach* z perskich skór jagnięcych.

Sądzisz, że jest coś wart?

Tak, *dede*. Ale niewiele.

Sądysz, że *külach* mógłby spaść na ziemię?

Tak, *dede*, ale tylko gdyby wisielcowi opadła głowa.

Moje ociemniałe oczy widywały już takie rzeczy.

Tak, *dede*.

Może wisielcowi opadnie głowa, kiedy wiatr znowu dmuchnie?

Tak, *dede*.

Powiedz mi, oczy moje. Czy mógłbyś złapać *külach*, kiedy wisielcowi opadnie głowa i czapka mu się zsunie?

Nie, *dede*.

A dlaczego nie, oczy moje?

Bo pod nogami wisielca stoi strażnik z karabinem.

Pewnie żandarm, jeden z tych głupich żandarmów?

Tak, *dede*.

Czy pod nogami wisielca stoją jeszcze inni ludzie?

Tak, *dede*. Sporo *hamatów* i innej kurdyjskiej hołoty.

Poza tym paru Turków i nawet jeden Ormianin.

I co oni tam robią?

Czekają na to, żeby wisielcowi opadła głowa i zrzucił im *külach*.

A więc na to czekają?

Tak, *dede*.

A co z ubraniami wisielców?

Niełatwo się do nich dostać.

A co z ich butami?

Tak samo.

Trzeba by coś wymyślić, oczy moje, żeby dostać się do tych znoszonych ubrań lub butów. A twój stary *dede* zawsze coś wymyśli. Chyba nie sądzisz, że jestem za stary i niczego już nie wymyślę?

Nie, *dede*. Wcale tak nie sądzę.

A teraz uważaj, oczy moje. Zdobycie ubrań wybijmy sobie z głowy, bo rzeczywiście niełatwo rozebrać wisielców, kiedy pilnuje ich taki głupi *zaptije*... Poza tym pod bramą jest jeszcze sporo ludzi, którzy czekają na łup. To naprawdę niełatwe, oczy moje.

Tak, *dede*.

Co innego jednak buty.

W jakim sensie co innego, *dede*?

Po prostu co innego.

Powiedz mi, oczy moje, w co obute są martwe stopy?

Jeden jest boso, *dede*. To ormiański kapłan, który wygląda jak perski król, jest odziany w taką długą szatę z krzyżem na piersi, tylko nie ma korony.

Perscy królowie nie noszą jednak krzyży, oczy moje. Naprawdę nie noszą krzyży.

Możliwe, *dede*. Nie wiedziałem o tym.

A jakie buty ma na nogach drugi wisielec?

Ten ma domowe pantofle z czerwonego aksamitu.

Prawdopodobnie zabrano go z łóżka.

Pewnie tak, *dede*.

Ci Ormianie śpią bowiem w pantoflach, kiedy ogień wygaśnie w *tonirze*.

Tak, *dede*.

Za pantofle domowe niewiele można dostać. Zapomnijmy więc o nich.

Tak, *dede*.

A co ma na nogach trzeci wisielec?

Buty z żółtego safianu.

Z żółtego safianu, powiadasz?

Tak, *dede*.

A teraz uważaj, oczy moje. Jak wysoko wiszą wisielcy?

Bardzo wysoko, *dede*, za wysoko, by dostać się do żółtych butów.

Co to ma znaczyć, oczy moje? Co znaczy: za wysoko?

Tak wysoko jak trzy kocie skoki.

To rzeczywiście wysoko.

Tak, *dede*.

A teraz uważaj, oczy moje. Wejdiesz na górę po tysiącu i jednym stopniu, mam na myśli schody, które prowadzą do łuku bramy, łuku Bramy Szczęśliwości.



Tam, gdzie powieszono tych Ormian?

Tak, oczy moje.

Gdzie zaciągnięto pętle tych długich sznurów?

Tak, oczy moje.

Ale nie widzę tysiąca i jednego stopnia.

Nie szkodzi, oczy moje.

Jest ich mniej, *dede*.

Tym lepiej, oczy moje.

A teraz uważaj, oczy moje. Wejdiesz na górę i odwiążesz wisielca, tego w złotych butach.

Tak, *dede*.

A wtedy on spadnie na ziemię. Prosto pod nogi tego *zaptije*. Który się mocno zdziwi, skąd wziął się nagle ten wisielca. I głupi *zaptije* okropnie się wystraszy, i będzie myślał, że to Prorok we własnej osobie zesłał z nieba zmarłego, choć ten powinien jeszcze wisieć: tu, na ziemi, pod Bramą Szczęśliwości.

I co ten *zaptije* robi?

Nic nie robi, oczy moje. Będzie się drapał po głowie i gapił na zmarłego.

A co ja wtedy zrobię?

Zbiegniesz na dół po tysiącu i jednym stopniu, i to szybko. Podbiegniesz do *zaptije* i zaczniesz z nim rozmowę.

Co mam mu powiedzieć?

Nadasz mu rangę kapitana. Ci *zaptijeler* są bowiem głupi i dlatego wyjątkowo próżni. Powiesz do niego: *Jüzbaszy bej*. Nie można przecież zostawić zmarłego tak po prostu na ulicy. Ale ty, *jüzbaszy bej*, wiesz o tym lepiej niż ja.

Twoje słowa będą pochlebiamy temu *zaptije*, więc pogłaszczę cię po włosach i powie: Jasne, że wiem o tym lepiej niż ty.

Wiem, że powieszisz z powrotem tego nieboszczyka, powiesz wtedy do niego, bo nie może być tak, że *müdüür* kazał powiesić trzech, a pod bramą wisi tylko dwóch.

Rzeczywiście nie może tak być, moja owieczko, odpowie *zaptije*. Skoro *müdüür* kazał powiesić trzech, to musi ich być trzech.

W takim razie pomogę ci powiesić z powrotem nieboszczyka.

To niezły pomysł, powie *zaptije*. Ale widziałeś te tysiąc jeden stopni?

Widziałem je, odpowiesz.

To mnóstwo stopni.

Owszem, *jüzbaszy bej*.

I naprawdę pomożesz mi wspiąć się po tylu stopniach na sam szczyt łuku bramy z tą martwą świnią, z tym niewiernym, z tym nieobrzezany, którego dusza od dawna smaży się w piekle, jeśli ją w ogóle posiadał?

Tak, odpowiesz.

I tak też się stanie, oczy moje. Ponieważ jesteś jeszcze mały i słabszy od tego *zaptije*, będziesz niósł nieboszczyka za lżejszy koniec, a mianowicie za nogi.

Masz na myśli nogi w żółtych safianowych butach?

Nie inaczej, oczy moje. *Zaptije* weźmie zatem ciężki koniec, chwyci zmarłego pod pachy i we dwóch, posapując, zaczniecie taszczyć ciężar po schodach na górę. Potem jednak nagle się zatrzymasz.

Dlaczego, *dede*?

Bo będziesz chciał mu coś powiedzieć.

Co będę chciał mu powiedzieć?

Powiesz do niego: *Jüzbaszy bej*, przecież ty wchodzisz po stopniach tyłem. A tak za nic w świecie nie może być.

A dlaczego nie może tak być? spyta *zaptije*.

Dlatego, że tylko osioł wchodzi tyłem po stopniach, kiedy próbuje się go ciągnąć do przodu, we właściwym kierunku, naturalnie za sznurek, który zakłada się osłu zwykle na szyję.

Nie sądzisz chyba, że jestem osłem, powie *zaptije*.

Nie, *jüzbaszy bej*, odpowiesz. Taki mądry człowiek jak ty na pewno nie jest osłem i na pewno nie wchodzi po schodach tyłem.

A co będzie potem, *dede*?

A co ma być, oczy moje? *Zaptije* odwróci się i chwyci nieboszczyka odwrotnie, i będzie wchodził po stopniach jak normalny człowiek, patrząc przed siebie, znaczy się... w kie-

runku łuku bramy, czyli tam, gdzie chce ponownie powiesić zmarłego.

I tak będzie, *dede*.

*Zaptije* odwróci się do ciebie plecami, więc nie będzie cię widział. Będzie się wspinał po schodach sapiąc, klnąc i spluwając. Będzie przeklinał wszystkich powieszonych przez Turków w ciągu dziejów. Będzie przeklinał niewiernych, zwłaszcza Ormian. I będzie kłął na wojnę i na władze, i na *walego* Bekiru, na *mutasarryfa*, *müdüra* i na *kajmakama*, na wszystkich możliwych, którzy zgarniają duży bakszysz, gdy tymczasem on, *zaptije*, najczęściej musi obejść się smakiem albo zbiera ochłapy pozostawione mu przez tamtych. Będzie przeklinał dzień, kiedy się urodził. I będzie przeklinał wszystkie matki, które urodziły takich ludzi jak *wali* albo takich jak *mutasarryf*, *kajmakam* lub *müdüir*, ludzi, którzy wiodą dostatni żywot, gdy tymczasem on, *zaptije*, żyje nie lepiej niż pies, zadowolając się niewielkim bakszyszem i mizerną miesięczną pensją, którą władze w Konstantynopolu przeważnie zapominają wypłacić. Jak już powiedziałem: będzie przeklinał i pocił się przy tym. A gdy tak będzie kłął i się pocił, i sapiąc wspinał się po schodach, zapomni całkiem o drugim końcu nieboszczyka, mam na myśli jego dyndający koniec, a mianowicie nogi, które trzyma mały chłopiec.

Ja tymczasem będę trzymał za buty, żółte buty z koziej skóry?

Tak jest, oczy moje. Ty będziesz trzymał za buty. I zdejmiesz je zmarłemu, całkiem spokojnie, gdyż *zaptije* nie będzie cię widział. Upuścisz te buty na schody. I wierz mi, *zaptije* niczego nie zauważy, niczego. Ja natomiast będę szedł za tobą, choć jestem ślepy. Wcale mi to jednak nie przeszkadza, bo znam te tysiąc jeden stopni od wielu lat. Ile to już razy pokonałem je w górę i w dół. Będę więc szedł za tobą. I schowam te piękne buty do swojego worka.

Do worka?

A gdzież by indziej, oczy moje?

— I tak się też stało — rzekł *meddach* do ostatniej myśli.  
— Mały Ali odwiązał wisielca. Który zwał się na ziemię pod

nogi głupiego *zaptije*. Ten zachował się dokładnie tak, jak przepowiedział ślepy żebrak Mehmed efendi. Drapał się tylko po głowie i gapił bez słowa na nieboszczyka, a jego wargi szeptały coś, co rozumiał jedynie ostatni z proroków.

— Widzę małego Alego — mówił *meddach*. — Widzę, jak chłopiec pędzi w dół po tysiącu i jednym stopniu, po czym podbiega do *zaptije* i z nim rozmawia. Widzę też, jak obaj wnoszą zwłoki po tysiącu i jednym stopniu, *zaptije* trzymając za cięższy, chłopiec za lżejszy koniec. Wszystko odbyło się tak, dokładnie tak. *Zaptije* się odwrócił, bo tylko osioł chodzi tyłem. Schwycił zmarłego odwrotnie i zaczął go nieść jak trzeba. Kiedy *zaptije* przeklinał i się pocił, chłopiec ściągnął buty ze sztywnych stóp. Zaraz za nimi szedł ślepy żebrak i schował złote buty do worka.

Kiedy obaj dotarli z nieboszczykiem na ostatni z tysiąca jeden stopni, *zaptije* się odwrócił.

Przydałby się lepszy sznur, powiedział.

Owszem, przytaknął chłopiec.

Ten mógłby się znowu zerwać.

Owszem, powtórzył chłopiec.

Przydałby się taki sznur jak postronek, na który Kurdowie chwytają słońce.

Owszem, potwierdził znowu chłopiec.

Dopiero w tym momencie *zaptije* zauważył gołe stopy wisielca.

Gdzie są buty? zapytał.

Nie wiem, odparł chłopiec.

Jak sądzisz, czy martwy Ormianin potrafi jeszcze rzucać czary? spytał *zaptije*.

Chyba tak, odpowiedział chłopiec.

To naprawdę chyba jakieś czary, rzekł *zaptije*.

Potem położyli wisielca na najwyższym stopniu schodów, ale tak, że patrzył w niebo.

Muszę najpierw nieco odsapnąć, oznajmił *zaptije* ocierając pot z czoła. Potem pomożesz mi powiesić go z powrotem.

Dobrze, zgodził się chłopiec.

Najlepiej odwróćmy go od razu, żeby nie gapił się w niebo, powiedział *zaptije*, bo inaczej zniknie jeszcze ubranie.

Dobrze, powtórzył chłopiec i pomógł mu obrócić wisielca.

Taki Ormianin faktycznie potrafi czarować, rzekł *zaptije*. Dopóki żyją, wyciągają czarami pieniądze z naszych tureckich kieszeni, a kiedy są już martwi, znikają ich buty.

Nie inaczej, przyznał chłopiec.

To czciciele diabła, stwierdził *zaptije*, tak samo jak jezydzi w wiosce Birik, która sąsiaduje z Terbizakiem, wioską, gdzie moja nieboszczka matka podarowała mi życie. Allah świadkiem.

Ale Ormianie nie są tacy jak jezydzi, rzekł chłopiec.

Skąd wiesz?

Od Mehmeda efendiego. On zna Ormian. Mehmed efendi powiedział mi, że Ormianie modlą się do Jezusa.

A kto to jest Jezus?

Jezus to bóg niewiernych.

Kto tak powiedział?

Mehmed efendi tak powiedział.

Czy powiedział coś jeszcze?

Owszem. Powiedział: Ten Jezus wisi przybity do krzyża i potrafi czynić czary.

Biada mi, rzekł *zaptije*.

Następnie zapalił papierosa marki Amrojan, najtańszego rodzaju papierosów produkowanych w Bekirze przez Ormianina Lewona Amrojana. Sądzisz, że to ten Jezus odebrał buty wisielcowi?

Możliwe, odparł chłopiec, gdyż Mehmed efendi mówił mi, że Jezusowi na pewno przydałaby się para złotych butów z koziej skóry, bo przecież wisi boso na krzyżu.

Boso, powiadasz?

Boso, przytaknął chłopiec.

Biada mi, powtórzył *zaptije*.

— I tak to się odbyło — rzekł *meddach*. — Kiedy obaj wieszali z powrotem zmarłego — a trwało to dłuższą chwilę, ponieważ *zaptije* brakowało zręczności i nie znał węzła stosowanego przez tureckich katów i ponieważ mały Ali również

nie wiedział, jak zawiązać niezawodny węzeł na zardzewiałym haku, który był podobno tak stary jak Brama Szczęśliwości, starszy od pierwszego krzyku śmiertelnej trwogi z gardła pierwszego powieszzonego pod łukiem bramy — kiedy więc obaj, a przede wszystkim *zaptije*, który wykonywał tylko swój obowiązek, trudzili się, żeby pod Bramą Szczęśliwości wisiało, jak rozkazał *müdüür*, nie dwóch, ale trzech — kiedy więc zadawano sobie trud, by uniknąć gniewu przełożonych, i wszystko uregulowano tak, jak powinno być, gdy zatem działo się tak i tak, na miasto spadła noc z kurdyjskich gór. Ta noc nigdy nie zjawiała się potajemnie, jak to się mówi: nie skradała się jak złodziej, nie, moja owieczko, noc przychodziła zawsze szybko do Bekiru, bo *dżinny* z górskich wąwozów to niespokojne duchy, które ledwo mogą się doczekać, kiedy Kurdowie spętają słońce. Gdy tylko *dżinny* zobaczyły, że słońce jest pozbawione władzy, wyszły ze śmiechem z górskich wąwozów, złapały długi cień, który słońce zostawiło przed dużym namiotem, po prostu złapały go i rzuciły na miasto.

— Trzem wisielcom było wszystko jedno, czy słońce świeci jeszcze w Bekirze — ciągnął *meddach*. — Nie przejmowali się także długim cieniem, który *dżinny* zrzuciły jednym ruchem na miasto tysiąca i jednego meczetu, ani niezliczonymi lampkami oliwnymi i ulicznymi latarniami, zapalonymi jedna po drugiej wśród miejskich ciemności. Nie widzieli niczego, gdyż utracili już wzrok. Nie mieli wzroku, a mimo to ich martwe oczy spoglądały w określonym kierunku.

— Jak można, nie mając wzroku, spoglądać w określonym kierunku?

— Kierunek nie potrzebuje wzroku, moja owieczko.

— W jakim kierunku spoglądali pozbawionymi wzroku oczyma?

— W różnych kierunkach, moja owieczko. Każdy z nich patrzył w innym kierunku.

— Ten w czerwonych pantoflach domowych nazywał się Muszech Inglisjan. Był najbogatszym handlarzem zboża w Be-

kirze. Zgadnij, w jakim kierunku spoglądają jego martwe oczy?

— Skąd mam to wiedzieć, *meddach*?

— Jego martwe oczy spoglądają w stronę Askeri Ambaru, moja owieczko, wojskowego magazynu prowiantowego, gdyż Muszech Inglisjan przez wiele lat zaopatrywał armię turecką w najlepsze zboże z okolicy. Nie bez powodu żołnierze mawiali: Ten *ekmek* to najlepszy chleb na świecie, bo mąka pochodzi ze spichlerzy bogatego Ormianina Inglisjana. Co prawda wszyscy Ormianie to oszuści, ale ten Muszech Inglisjan jest wyjątkiem, bo to uczciwy człowiek.

— Ale ja nie widzę żadnego magazynu wojskowego.

— Musisz tylko wyteńczyć wzrok — powiedział *meddach* do ostatniej myśli. — Wtedy go zobaczysz. Stoi niedaleko stąd.

— Jak daleko?

— O cztery długości papierosa, moja owieczko. Kiedy przejdiesz przez dzielnicę ormiańską, w poprzek *mahalle*, najpierw ulicami miedzienników, garncarzy i druciarzy, potem uliczkami złotników, kantorzystów i jubilerów, potem uliczką piłśniarzy, potem uliczką wiodącą pod arkadami — Kemer ały Sokahy — kiedy przejdiesz szybko przez pchli targ, Bit Bazary, a potem znowu uliczkami trafikarzy, krawców i siodlarzy, czyli *tütündzüler*, *urbadżytar* i *sarradzıtar*; kiedy pokonasz wszystkie te ulice w czasie potrzebnym na wypalenie czterech papierosów, to dotrzesz do dzielnicy tureckiej. Wtedy jeszcze dwie długości papierosa obok nędznych lepianek, paru sklepów, z których większość jest już zamknięta, obok zwiniętych już kramów owocowo-warzywnych i przez chybotliwy drewniany mostek, i dojdiesz w końcu do koszar.

— Do koszar?

— Tak, moja owieczko. Turcy nazywają je *kyszta*. Nie sposób, żebyś nie zwrócił na nie uwagi, bo z *kyszty* dobiega w tym momencie muzyka janczarska.

— Muzyka janczarska?

— Tak, moja owieczko — rzekł *meddach*. — Janczarzy byli niegdyś elitą armii osmańskiej. Ale to było dawno temu. Janczarów już nie ma. Pozostała tylko ich muzyka.

— Teraz ją słyszę, *meddach*.

— Doskonale, moja owieczko. Zbliżasz się teraz do koszar. A potem pójdziesz jeszcze kawałek dalej. I wtedy go zobaczysz.

— Co zobaczę?

— Wojskowy magazyn prowiantowy. Miejsce, ku któremu spoglądają zgasłe oczy handlarza zbożem. Magazyn jest naturalnie pusty.

— Dlaczego?

— Bo jest wojna, moja owieczko. I Turcy nie mają już prowiantu. Resztki wysłano w zeszłym tygodniu do Syrii, do głównej kwatery czwartej armii... i dalej na południe, na front angielsko-turecki.

— A co z frontem rosyjskim?

— Masz na myśli front na Kaukazie?

— Właśnie ten.

— Tam panuje głód i cholera. Tureccy żołnierze plądrują ormiańskie wioski i zabierają wszystko, co uda im się znaleźć.

— Również drugi wisielec, kapłan, spogląda w określonym kierunku. A wiesz, w jakim?

— Nie, *meddach*.

— Spogląda ku niebu, moja owieczko, tak jak Jezus kiedyś wznosił wzrok ku niebu, gdy wisiał na krzyżu.

— A co mówią jego martwe oczy?

— Jego oczy mówią: Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.

— A teraz przyjrzyj się trzeciemu wisielcowi, moja owieczko. Co widzisz?

— Jest zbyt ciemno, *meddach*. Niczego nie widzę.

— Więc wyobraź sobie, że ten trzeci wisielec wygląda jak twój ojciec.

— Czy to mój ojciec?

— Oczywiście, że nie, moja owieczko. Twój ojciec jest w więzieniu. A ten to jego brat Dikran... Dikran Chadisjan... twój rodzony stryj. Zawsze byli bardzo do siebie podobni.

— Mój rodzony stryj Dikran?

— Owszem.



— Ten, któremu ślepy żebrak ukradł żółte buty?

— Tak, ten.

I *meddach* rzekł:

— Twój stryj nie był bogaty. Był biednym szewcem, który miał na utrzymaniu dwanaścioro dzieci.

— I żółte skórzane buty?

— One były przedmiotem jego największej dumy. Były to bowiem najpiękniejsze safianowe buty w całym Bekirze.

Posłuchaj, oczy moje, mówi akurat ślepy żebrak Mehmed efendi do małego Alego. Z tymi butami to była naprawdę dobra robota. Są bowiem warte majątek.

Dlatego, że są z prawdziwej kozłej skóry?

Nie, oczy moje. Dlatego, że ukryte jest w nich złoto.

Skąd wiesz?

Każdy Ormianin zaszywa w butach złotą monetę, odpowiada ślepy żebrak. Czasami nawet dwie lub trzy.

Skąd o tym wiesz?

Każdy o tym wie, mówi ślepy żebrak.

A dlaczego to robią?

Bo są prześladowaną rasą, podobnie jak w innych krajach Żydzi i Cyganie. Ormianin nigdy nie wie, kiedy my, Turcy, podpalimy mu dach nad głową. Dlatego zawsze jest gotów do skoku.

Co to znaczy: gotów do skoku?

No cóż, moja owieczko, nigdy dotąd nie widziałeś, jak Ormianin skacze?

Nie, *dede*.

Ormianin skacze jak kozioł, gdy jego dom zaczyna się nagle palić. Kiedyś widziałem, jak jeden wyskoczył przez okno.

Czy Ormianin potrafi też szybko biegać?

Oczywiście, że potrafi też szybko biegać. I w tym właśnie rzecz. Ormianin ucieka ze złotymi monetami w bucie. A złoto właściwie ucieka razem z nim.

Czy tak musi być?

Tak musi być, moja owieczko. Kiedy bowiem nadchodzi wielki *tebk* — tak Ormianie nazywają szczególne zdarzenie...

a także wielkie nieszczęście lub masakrę — Ormianin nie ma czasu na spakowanie dobytku. Nie ma nawet czasu na pochowanie zabitych dzieci. Albo żony. Albo rodziców i dziadków. Może jedynie uciekać. Kiedyś się zatrzyma i wtedy wyjmie z butów złoto.

Po co, *dede*?

Po to, żeby zacząć nowe życie, wziąć sobie nową żonę i znowu płodzić dzieci.

Dopiero teraz Mehmed efendi wkłada swe stare ręce do starego worka, jeszcze starszego niż jego dłonie. Bardzo długo obmacuje buty i w końcu mówi: Znam człowieka, do którego należały te buty, gdyż w całym Bekirze była tylko jedna para takich.

Skąd je znasz?

Stąd, że człowiek, do którego należały, często rozmawiał ze mną. Ilekroć potrzebował rady, przychodził do mnie. Nie był bogaty, więc za każdym razem wrzucał do mojej chusty żebraczej tylko pół piastra.

Czyżbyś widział jego buty?

Nie, oczy moje. Ale obmacałem je rękoma i powiadam ci: Znam każdą zmarszczkę tych jedynych w swoim rodzaju butów.

Jak nazywał się ten człowiek?

Dikran Chadisjan. Ormiański szewc.

A dlaczego go powiesili?

Z powodu butelki rosyjskiej wódki. Tak mówią.

Ukradliśmy buty przyjacielowi, *dede*.

To prawda, oczy moje. Ale lepiej, że są przechowywane w moim worku niż w torbie u siodła jakiegoś *zaptije*.

Dlaczego w torbie u siodła?

No cóż, oczy moje. Rzecz wygląda tak: jutro rano odwiążą wisielców. A może pojutrze. Albo w przyszłym tygodniu. Nie wiem, co postanowiły władze i jak długo zmarli mają wisieć. Ale kiedyś zostaną odwiązani. I wtedy *zaptijeler* będą bić się o odzież. Najsilniejszy z nich dostałby buty i na pewno zaniósłby je do stajni i ukrył w torbie u siodła swego konia. A co by robiła para cennych butów w torbie jakiegoś *zaptije*? Marnowałyby się.

I ślepy żebrak mówi: Jutro sprzedam te buty. Ale najpierw wyjmę z nich złoto.

Mówiłeś przecież, że ten ormiański szewc nie był bogaty?  
Bo i nie był.

Więc może w tych butach nie ma złota?

Na pewno jest, oczy moje. Nawet najbiedniejszy Ormianin znajduje zawsze kiedyś złotą monetę, aby ukryć ją w butach.

Wyczuwasz ją już?

Obmacuję buty przez cały czas, ale niczego nie wyczuwam.  
Pewnie zaszył złoto bardzo umiejętnie?

Pewnie tak, oczy moje. Może ukrył je w obcasie. A obcas jest z drewna.

Oderwij go.

Nie teraz, oczy moje. Nie teraz.

Jutro sprzedam buty, powiada Mehmed efendi. Albo ich nie sprzedam, tylko je zwrócę.

Temu ormiańskiemu szewcowi?

Owszem, to znaczy jego żonie, która ma do nich prawo.

Nie zrobisz tego, *dede*. Nigdy dotąd nie zdarzyło ci się oddać rzeczy, która znalazła się w twoim worku.

Masz rację, oczy moje. Diabeł zawsze mnie kusił. Ale Allah jest wielki. Może tym razem jego wola będzie taka, żebym oddał buty za skromne miejsce w raju. Nie byłoby to wcale złe, co? I Mehmed efendi stwierdza na koniec: *Inszallah*. Tylko Allah wie, co zrobię.

Następnie zbiera nieliczne *para*, jakie znalazły się w jego żebraczej chuście, chowa je, wsuwa chustę pod turban, podnosi z rynsztoka laskę i zarzuca na plecy stary worek.

Zgadnij, dokąd teraz pójdziemy, zwraca się do Alego.

Podczas wędrówki przez ciemne miasto żebrak opowiedział chłopcu pewną historię. Było to dawno temu, mówił, leżałem wtedy umierający pod Bramą Szczęśliwości. Nikt nie troszczył się o mnie. Przez cały dzień przejeżdżali na *arbach* ormiańscy i greccy kupcy udający się na bekirskie bazyry. Większość z nich przybywała z okolicy Dijarbekiru, miasta wielkich arbuzów. Ale przeciągały także karawany wielbłądów i kurdyjscy jeźdźcy z gór, i żebrzący Kurdowie z wiosek

półnomadów, którzy przyjeżdżali do miasta w nadziei, że się dorobią. Przejeżdżali również inni, barwna mieszanina narodowości, nawet Cyganie. Naturalnie przejeżdżali także Turcy, głównie *zaptijeler*, którzy wtedy jeszcze nosili kolorowe spodnie, oraz *baszy-bozukowie*, czyli partyzanci, a właściwie dzikie watahy, przeważnie Czerkiesów. Dzień był upalny, lecz nikt nie dał mi wody. Ale późnym popołudniem w miejscu, gdzie leżałem, zatrzymał się jeden człowiek. Dał mi pić, dużo wody, cały bukłak. A potem załadował mnie na wózek ciągnięty przez osła i zabrał ze sobą.

Dokąd cię zabrał, *dede*?

Jechał do Jedi Su, ormiańskiej wioski dwa dni drogi od Bekiru.

A więc Ormianin?

Tak, oczy moje. Ormianin. Nazywa się Wartan Chadisjan i jest bratem tego wisielca.

Uratował ci życie?

Owszem, oczy moje. Zawiózł mnie do swojej wioski. Tam przekazał mnie swemu *kertastanowi*, czyli ormiańskiej wielopokoleniowej rodzinie. Było tam dużo kobiet i dzieci. Pielęgnowały mnie tak długo, aż wyzdrowiałem.

A gdzie jest teraz ten Wartan Chadisjan?

W więzieniu, oczy moje.

I teraz tam idziemy?

Tak, teraz tam idziemy.

A co on robi w więzieniu?

Czeka na to, że jutro obetną mu głowę.

Skąd wiesz?

Od ludzi na ulicy.

A więc jutro umrze?

Jeśli taka będzie wola Allaha, oczy moje.

A jeśli wola Allaha będzie inna?

No cóż, to po prostu nie umrze.

W tym momencie ostatnia myśl zapytała *meddacha*:

— Czy ślepy żebrak może coś zrobić dla mojego ojca?

— To się okaże — odparł *meddach*. — Prawdopodobnie pokręci się tylko w więzieniu wśród żandarmów, żeby dowie-

dzieć się, co jeszcze da się zrobić. A potem poprosi Allaha o mądrą radę. Trzeba poczekać.

- Gdzie jest mój ojciec?
- Już ci mówiłem: w więzieniu.
- W celi?
- Oczywiście, że w celi.
- I co tam robi?
- Dynda na długim sznurze.
- W takim razie jest już martwy?
- Nie, moja owieczko. Nie jest martwy.

## 2

Kiedy ostatnia myśl ujrzała po raz pierwszy swego ojca, pomyślała: *Meddach* ma rację. Rzeczywiście nie jest martwy, choć Turcy go powiesili. Ale powiesili go nie za szyję, tylko za nogi. Powinieneś więc cieszyć się z tego, że wisi odwrotnie, gdyż nogi nie mają karku, a jeśli się nawet połamią, to taki uraz nie kończy się śmiercią.

Ostatnia myśl ucieszyła się więc i rzekła do *meddacha*:

— Mój ojciec żyje!

A *meddach* odpowiedział:

— Tak, twój ojciec żyje.

— Mój ojciec ma oczy otwarte.

— Tak, moja owieczko. Ale jego oczy niczego nie widzą.

— Czyżby były ociemniałe?

— Nie, moja owieczko. Twój ojciec tylko zemdłał. Ale to nic. Wkrótce odzyska przytomność. I wtedy zobaczy podłogę swojej celi. I nic poza tym.

— Ale ta podłoga mi się nie podoba.

— Mnie też, moja owieczko. Zaświniona jest ta podłoga. To klepisko, zafajdane i zaszczane.

— Gdyby był dzień — powiedział *meddach* — a nie ciemna noc, i gdyby twój ojciec mógł widzieć zakratowane

okienko w lewym górnym rogu, a w dodatku wyjrzeć przez nie, to zobaczyłby duży mur. Pochodzi on jeszcze z seldżuckich czasów i został zbudowany z tego samego kamienia co mury obronne Bekiru. Twój ojciec zobaczyłby też rzecz jasna podwórze więzienne i najwyższe piętra budynku rządowego.

— Masz na myśli *hükümet*?

— Tak, moja owieczko.

— Czyżby *hükümet* stał na podwórzu więziennym?

— Oczywiście, że nie, moja owieczko. Stoi poza jego murami, ale tak blisko, że wystarczy, iż *müdir* otworzy okno biura, a usłyszy wyraźnie krzyki Ormian z więziennych katowni.

— Czy słuchanie tych krzyków sprawia mu przyjemność?

— Tego nie wiem, moja owieczko. Ale na pewno pobudza u niego trawienie. Niedawno zresztą przyznał się do tego *walemu*: Wie pan, *wali bej*, odkąd rząd postanowił wreszcie poddać Ormian przesłuchaniom, przestałem zażywać olej rycynowy, bo krzyki tych niewiernych podczas tortur są najskuteczniejszym środkiem przeczyszczającym.

Na Allaha, powiedział *wali*. Ze mną dzieje się to samo.

Też przestał pan zażywać olej rycynowy?

Owszem, *müdir bej*. W swoim długim życiu nałykałem się już dość oleju.

Nie sądzi pan, *wali bej*, że Allah w swej przewidującej mądrości podarował Ormianom krzyczące usta, żebyśmy my, Turcy, nie mieli kłopotów z trawieniem?

Wyroki Allaha są niezbadane, odparł *wali*, lecz pańskie przypuszczenie, *müdir bej*, leży absolutnie w granicach możliwości.

A jeszcze przed kilkoma miesiącami pewien niemiecki oficer podczas zwiedzania więzienia zapytał *walego*: Jak to się dzieje, że wśród pańskich więźniów jest tak mało Ormian? Czyż nie twierdził pan ostatnio, że wszyscy Ormianie to oszuści?

Ormianie są przebiegli, odpowiedział *wali*, i trudno ich przyłapać.

A jak ma się rzecz z mordercami?

Tak samo.

Czy to możliwe, żeby wszystko było nieprawdą?

Co pan ma na myśli?

Że w rzeczywistości jest w tym narodzie mniej morderców, złodziei i oszustów niż w innych?

Wszystko jest możliwe, odparł *wali*.

Może Ormianie są uczciwym, pokojowo usposobionym narodem, tylko nie chcą się do tego przyznać?

Należałoby zapytać Allaha, rzekł *wali*. Allah zna odpowiedź.

— I rzeczywiście — powiedział *meddach* — wtedy gdy Niemiec zwiedzał więzienie, siedziało w nim jedynie trzech Ormian.

— Kim byli inni więźniowie?

— Nie-Ormianami — odparł *meddach*. — Przeważnie byli to Kurdowie, ale także Turcy, Arabowie, Cyganie i inni, wyjątkowo dużo *muhadzirler*, czyli muzułmańskich emigrantów z Macedonii, Bułgarii, Grecji i z Kaukazu. Tylko Ormian było jak na lekarstwo w bekirskim więzieniu.

— To prawda, moja owieczko — ciągnął. — Twój naród nigdy nie był narodem morderców i złodziei. Jak to się mówi: Jeśli szukasz mordercy, szukaj go wśród Kurdów, najlepiej wśród dzikich górskich plemion. Każdy z nich bez wahania poderżnąłby ci gardło, żeby wejść w posiadanie twoich butów albo kapelusza pod warunkiem, że twój kapelusz nie ma ronda, gdyż muzułmaninowi nie wypada nosić kapelusza z rondem. Wśród innych narodów natomiast nie musisz długo szukać, by znaleźć złodzieja lub oszusta, co nie znaczy, że nie ma wśród nich także uczciwych ludzi. Jest ich bardzo wielu, ale nie tylu co wśród Ormian. Jakże bowiem miałyby być inaczej, skoro jeszcze kilka miesięcy temu w bekirskim więzieniu siedziało tylko trzech Ormian?

I *meddach* rzekł:

— Kiedy zaczęła się wielka fala aresztowań i wywlekano z łóżek setki Ormian, aby przesłuchiwać ich pod zarzutem

szpiegostwa i innych bzdur, *müdüir* po rozmowie z *walim* i *mutasarryfem* kazał wywieźć wszystkich więźniów z dużego więzienia obok *hükümetu*.

— Dokąd, *meddach*?

— Do pustego starego więzienia nad rzeką.

— Po co?

— Po co? A jak sądzisz, moja owieczko? Naturalnie żeby zrobić miejsce. Przecież *müdüir* musiał gdzieś umieścić tych wszystkich aresztowanych Ormian. A chciał ich osadzić w pobliżu *hükümetu*, bo wszyscy czterej mają tam biura: *wali*, *mutasarryf*, *kajmakam* i on sam, *müdüir*. I ponieważ z *hükümetu* jest zaledwie parę kroków do dużego więzienia po drugiej stronie muru, który ma tyle samo lat co mury obronne Bekiru.

I *meddach* rzekł:

— Więzienie jest obecnie pełne. Gdyby aresztowano jeszcze więcej Ormian, trzeba by ich wszystkich zakuć w kajdany i trzymać na podwórzu.

— Nie ma trzeciego więzienia?

— Jest jeszcze tylko więzienie dla kobiet.

I *meddach* rzekł:

— Nie wszyscy Ormianie mają pojedyncze cele jak twój ojciec. I nie wszyscy dyndają głową w dół na długim sznurze, którym obwiązano im nie szyję, lecz tylko stopy.

I *meddach* rzekł:

— Wystarczy już jednak tej gadaniny, zostawię cię sam na sam z twoim ojcem.

Jestem teraz sam na sam z moim ojcem. Chciałbym z nim porozmawiać. Chciałbym mu powiedzieć: Ojcze! Ale nie mówię nic. W celi panuje głęboka noc i tylko po jego rżeniu poznaję, że jeszcze żyje.

Nie potrzebuję zegarka, gdyż nie jestem związany czasem.

W pewnym momencie otwierają się drzwi. Do celi mojego ojca wchodzi brzydki jak noc, szczerzący zęby *zaptije* o końskiej twarzy, który trzyma w ręku pochodnię. Za nim



wkracza jeszcze dwóch mężczyzn: gruby wali i jednooki *müdüür*.

*Müdüür* wskazuje na więźnia. Dlaczego ten człowiek wisi za nogi?

Bo tak pan rozkazał, *müdüür bej*, odpowiada *zaptije*.

A kiedy niby wydałem taki rozkaz?

Dziś rano.

A jaki miałem powód, jeśli rzeczywiście wydałem taki rozkaz?

Nie wiem, *müdüür bej*.

Może dlatego, podsuwa wali, że nie chciał złożyć zeznania, któregośmy od niego żądali. Ten Ormianin należy do najbardziej upartych.

Możliwe, że tak było, mówi *müdüür*.

Może kazał pan powiesić go za nogi, żeby krew uderzyła mu do głowy?

Pewnie tak, przyznaje *müdüür*.

Żeby dobrze ukrwiony mózg pobudził jego pamięć i rozwiązał mu język?

Możliwe, że tak było, przytakuje ponownie *müdüür*.

Kiedy głuchoniemy Isek efendi zetnie mu jutro głowę, wtrąca w tym miejscu *zaptije* o końskiej twarzy, nie będzie mu już potrzebna pamięć.

W zasadzie to prawda, zgadza się *müdüür*. Czy potrafisz sobie wyobrazić, zwraca się do *zaptije* o końskiej twarzy, jak więzień będzie wyglądał jutro, gdy Isek efendi zetnie mu głowę?

Owszem, *müdüür bej*, potwierdza *zaptije*.

Ale my nie zetniemy mu głowy, powiada *müdüür*.

A dlaczego, *müdüür bej*?

Bo wali chciałby go jutro jeszcze raz przesłuchać.

Zgadza się, mówi wali. A zarazem się nie zgadza.

Co się nie zgadza? pyta *müdüür*.

Nie ja będę go przesłuchiwał, *müdüür bej*. Pan to zrobi.

*Müdüür* zaczął chodzić w zamyśleniu po celi tam i z powrotem. Zatrzymał się przed kibelem. Podszedł *zaptije* z pochodnią.

Dlaczego kibel jest pusty?  
 Bo sranie na podłogę jest typowe dla Ormian.  
 Czy to możliwe, że nie mógł ani razu skorzystać z kibla?  
 To możliwe, *müdüür bej*.  
 Bo dynda na długim sznurze, i to powieszony za nogi?  
 Możliwe, *müdüür bej*.  
 Dopiero w tym momencie *müdüür* dostrzegł stojącą obok kibla miskę. Pochylił się i powąchał resztki *bułguru*.  
 Ten *bułgur* śmierdzi jak gówno na podłodze.  
 To możliwe, *müdüür bej*, odrzekł *zaptije*.  
 A może to nie jest *bułgur*, tylko gówno?  
 To też możliwe, *müdüür bej*, przyznał *zaptije*.  
 Kiedy to jadł? spytał *wali*.  
 Zanim go powiesiłem.  
 W takim razie mógł się zatruć.  
 Możliwe, potwierdził *zaptije*.  
 Dobrze by było, rzekł *müdüür*, gdyby więzień wyrzygał z powrotem to żarcie. Wtedy mógłbym go jutro przesłuchać.  
 Bo jeśli jutro będzie martwy, nic mi nie powie.  
 To prawda, potwierdził *zaptije*.  
 A może już się wyrzygał?  
 Musiałbym sprawdzić.  
*Zaptije* oświetlił brudne klepisko pod głową więźnia, po czym kręcąc głową zwrócił się do *müdüüra*:  
 Niczego nie wyrzygał, *müdüür bej*.  
 Jak to możliwe?  
 Nie wiem, *müdüür bej*.  
 Ale to naprawdę niemożliwe.  
 Dlaczego, *müdüür bej*?  
 Dlatego, że wisi przecież odwrotnie, głową w dół, i to żarcie powinno właściwie wypaść samo.  
 A może żarcie nie chce wypaść, *müdüür bej*?  
 Co pan o tym sądzi? zwrócił się *müdüür* do *walego*.  
 Nic nie sądzę, odparł *wali*. Dobrze by było, rzekł, gdyby więzień zwymiotował. W przeciwnym razie nie będzie pan mógł go jutro przesłuchać.  
 Owszem, przyznał *müdüür*.  
 Niech pan coś zrobi, *müdüür bej*!

Hajda, hajda! zwrócił się *müdiür* do *zaptije*. No dalej, jazda. Zrób coś!

A co mam zrobić, *müdiür bej*?

Cokolwiek, ty pokrako, rzekł *müdiür*.

Mógłbym mu wsadzić łyżkę do ust, powiedział *zaptije*, ale nie widzę łyżki.

Więc jak więzień jadł?

Palcami.

A gdzie jego łyżka?

On nie ma łyżki.

Nie możesz postarać się gdzieś o łyżkę?

Nie, *müdiür bej*. Nie w środku nocy.

A możesz mu wsadzić swój palec do ust?

To mogę, *müdiür bej*. Ale mam krótkie palce. A trzeba by mu wsadzić coś dłuższego, tak długiego, żeby się zakrztusił.

Co byś powiedział na sztylet?

To powinno być coś miękkiego, *müdiür bej*.

Albo na lufę karabinu?

Lufa nie jest miękka, *müdiür bej*.

*Zaptije* ma rację, odezwał się *wali*. Raczej nie będzie pan mógł go jutro przesłuchać, jeśli wsadzimy mu do gardła lufę karabinu albo rękojeść lub ostrze sztyletu. Ci Ormianie mają wrażliwe gardła. Wiem to z doświadczenia.

Chodzi panu o to, że w takim wypadku więzień nie mógłby jutro mówić?

Dokładnie to mam na myśli, *müdiür bej*, rzekł *wali*.

Czy masz coś miękkiego, cokolwiek, zwrócił się *müdiür* do *zaptije* o końskiej twarzy, coś miękkiego, ale dostatecznie długiego, żeby zmusić więźnia do wymiotów, coś, co mógłbyś mu wsunąć głęboko w gardło, nie raniąc go przy tym poważnie? Jutro chcemy go wszak przesłuchać.

Mógłbym go wydymać, powiedział *zaptije*.

A masz czym? spytał *müdiür*.

Mam, odparł *zaptije*.

*Zaptije* pchnął lekko więźnia, jedną ręką, gdyż w drugiej trzymał płonąca pochodnię. Więzień zaczął się huścić tam i z powrotem, co wyglądało upiornie, tak przynajmniej uważał *müdiür*, i również *wali* uważał ten widok za upiorny, przede

wszystkim dlatego, że obaj, *wali* i *müdüür*, nie patrzyli już wcale na więźnia ani na *zaptije*, który trzymał w jednej ręce pochodnię, tylko na przeciwległą ścianę.

Teatr cieni, zauważył *wali*. Niech pan spojrzysz, *müdüür* bej. Ludzik na gołej ścianie, kołyszący się tam i z powrotem.

Turecki teatr cieni, powiedział *müdüür*.

*Karagöz*, rzekł *wali*.

Tak, *karagöz*, klasyczny turecki teatr cieni, zawsze podziwiany przez Europejczyków.

Bardzo stara sztuka, powiedział *wali*.

Owszem, przytaknął *müdüür*.

Mam wstawić pochodnię do dziury? spytał *zaptije*.

Do jakiej dziury?

Dziury w klepisku, gdzie leży psi łeb.

Jaki znowu psi łeb?

Którego więzień nie chciał jeść.

A kto dał mu do żarcia psi łeb?

Pan mu go dał, *müdüür* bej, odpowiedział *zaptije*.

Wstaw pochodnię do dziury z psim łbem, polecił *müdüür*, spoglądając przy tym zafascynowany na przeciwległą ścianę, i również *wali* patrzył urzeczony na ścianę, gdzie ludzik huśtał się nadal tam i z powrotem.

Nagle zrobiły się dwa ludziki, gdyż *zaptije* stał teraz przed pochodnią, która tkwiła tymczasem w dziurze, dziurze w klepisku, gdzie leżał psi łeb.

Niech pan spojrzysz, *wali* bej, powiedział *müdüür*. Trudno wprost uwierzyć, co rozgrywa się na tej ścianie. A przecież to tylko ściana.

To sztuka, odparł *wali*. Prawdziwa sztuka. Żaden naród na świecie nie przewyższa nas w teatrze cieni.

*Karagöz*, rzekł *müdüür*.

*Karagöz*, powtórzył *wali*.

Trzeba sobie to wszystko wyobrazić, powiedział *wali*. Trzeba sobie wyobrazić, że drugi ludzik spuszcza spodnie.

I rozwiera usta pierwszemu ludzikowi, który jak wiadomo wisi pod sufitem głową w dół.

Tak jest, potwierdził *wali*.

Trzeba sobie wyobrazić węża, którego drugi ludzik wyciąga spomiędzy cienkich nóg.

Tego nie trzeba sobie wyobrażać, rzekł *wali*. To widać.

To prawda, potwierdził *müdüür*. Węża ja też widzę. A teraz wąż zamienia się w kij.

I ten kij robi się coraz dłuższy.

I większy.

Trudno wprost uwierzyć.

*Karagöz!*

*Karagöz.*

Wie pan, *wali bej*, powiedział *müdüür*, ten *zaptije* o tępej końskiej twarzy jest synem słynnego człowieka.

Tak? A czym to?

Hasana Jednonogiego, współodpowiedzialnego za wielką masakrę wtedy w Bułgarii.

Kiedy to właściwie było?

W 1876.

Powstanie bułgarskie?

Tak jest... Jego ojciec miał wtedy jeszcze obie nogi. Ale podczas masakry i gwałtów jedna z Bułgarek wyciągnęła rewolwer i odstrzeliła Hasanowi nogę.

Co też pan mówi.

Tak, *wali bej*. Po prostu odstrzeliła. Angielska prasa rozpętała wtedy wielką nagonkę na nas, Turków. Nasze wojska puszczały rzekomo z dymem całe wioski. Pisano o spalonych zwłokach kobiet i dzieci, znajdujących bez głów.

I prawda to wszystko?

Oczywiście, że prawda. Ale to nie byli Turcy.

Tylko kto?

To byli *baszy-bozukowie*, zbrojne watahy ówczesnego sułtana, głównie Czerkiesi.

Ale ci *baszy-bozukowie* podlegali naczelnemu dowództwu wojsk tureckich?

Oczywiście, że podlegali dowództwu wojsk tureckich.

Ci Czerkiesi nie znosili Rosjan, rzekł *müdüür*, bo rosyjscy Kozacy spalili ich wioski.

To zrozumiałe, powiedział *wali*.

Uciekli z Kaukazu do Turcji. I wielu z nich zostało *baszy-bozukami*. Sułtan wysłał ich do Bułgarii, kiedy wybuchło tam powstanie. Jak mówiłem, ci Czerkiesi nie znosili Rosjan, a ponieważ uważali, że wszyscy Bułgarzy to Rosjanie, więc masakrowali kobiety i dzieci.

To zrozumiałe, powtórzył *wali*.

Mieliśmy wtedy z nimi dużo kłopotów, przede wszystkim ze względu na angielską prasę.

Owszem, przyznał *wali*.

Anglicy zresztą wcale nie są lepsi. Chcą podbić cały świat, a ich *baszy-bozukowie* inaczej się tylko nazywają.

I był Hasan, Hasan Jednonogi, który miał wtedy jeszcze dwie nogi. Właściwie był tylko zwykłym *czauszem*. Angielska prasa przetłumaczyła jednak tureckie słowo na język niewiernych i dlatego nazywali Hasana Jednonogiego sierżantem, a sierżant to w Anglii nie byle kto. I stąd podawano w prasie jego nazwisko jako przykład tureckiego okrucieństwa.

Przekłeta angielska prasa, rzekł *wali*.

A ten *zaptije* o końskiej twarzy, który dyma teraz w usta tego Ormianina, jest jego synem.

Rodzonym synem?

Tak jest... Ten syn Hasana Jednonogiego jest trochę zboczony, powiedział *müdüir*. Pochodzi bowiem z wioski Sazan-Köj, gdzie są podobno najładniejsi chłopcy.

Faktycznie, potwierdził *wali*.

Kiedyś wydymał w odbyt trzyletniego chłopca i dziecko omal nie umarło.

A umarło?

Nie, odparł *müdüir*.

To dziwne, rzekł *wali*. Tę końską twarz widuję codziennie, a mimo to nie wiedziałem, że człowiek, do którego ona należy, jest rodzonym synem Hasana Jednonogiego, a w dodatku pedałem, który omal nie zadymał na śmierć trzylatka.

Wpatrywali się w teatr cieni. *Müdüir* mówił cicho, niemal z rozbawieniem, *wali* natomiast głośno i gardłowo. W tle słyszeli wyraźnie, jak więzień wymiotuje. Ilekroć z ust powieszzonego głową w dół Ormianina wydobywał się chrapliwy

bulgot, *müdiir* wzdrygał się, a jego szklane oko wyskakiwało do przodu, jakby chciało uderzyć w gołą ścianę z teatrem cieni.

Ostatnia myśl wystraszyła się, gdy szklane oko *müdiira* omal nie wyskoczyło z oczodołu, więc bazarz pogłaskał ją swoim głosem, mówiąc:

— Jego szklane oko nie uderzy w gołą ścianę. To tylko tak wygląda.

— Mój ojciec też ma szklane oczy — odparła ostatnia myśl. — Za każdym razem gdy *zaptije* wpycha swój szlauch głęboko w jego gardło, oczy wychodzą ojcu z orbit i boją się, że upadną na podłogę i się rozbiją.

— To tylko tak wygląda — powtórzył bazarz. — Oczy wcale nie wypadają tak łatwo z otworów pod czołem, w których osadził je Pan Bóg.

— Ale to przecież szklane oczy. Czyżby Pan Bóg osadził szklane oczy w otworach pod czołem mego ojca?

— To nie są szklane oczy, moja owieczko. To tylko oczy człowieka pozbawionego rozumu.

— A gdzie jest jego rozum?

— Turcy go zdmuchnęli. Ale nie przejmuj się tym. Jutro rano Pan Bóg przywróci mu rozum.

Następnego ranka mój ojciec nie dyndał już na długim sznurze. Jeszcze przed świtem przyszło bowiem do jego celi kilku ludzi w mundurach, którzy zdjęli go z haka i zanieśli na siennik pod zakratowanym oknem. Tam go położyli. Stali przez chwilę przed jego postaniem, gapili się na niego, lecz nic nie mówili. Wkrótce potem wszedł mężczyzna po cywilnemu w czerwonym fezie na głowie. Był to *kajmakam* we własnej osobie. Mundurowi stanęli na baczność i zaszalutowali.

Ten Ormianin cuchnie jak dziesięć zdechłych owiec w południowym słońcu, powiedział *kajmakam*. W tym stanie nie może stanąć przed *müdiurem*.

To prawda, *kajmakam bej*, odparł jeden z mundurowych.

Ma być poddany przesłuchaniu. Ten człowiek to groźny szpieg, a jego zeznanie jest niezwykle ważne.

Najpierw trzeba by go jednak umyć.

Wszyscy Ormianie to flejtuchy, stwierdził *kajmakam*, bo nie myją się pięć razy dziennie, jak nakazał Prorok. Są nieczyści jak świńskie mięso, które jedzą.

Tak, *kajmakam bej*.

Mimo to trzeba go umyć. Najpierw rzecz jasna musi się obudzić.

Tak, *kajmakam bej*.

Sądzicie, że jeszcze się obudzi?

Trudno powiedzieć, *kajmakam bej*.

Jeśli nie zdechnie, powiedział *kajmakam*, i jeśli naprawdę się obudzi, podkarmcie go trochę. Dajcie mu porządne śniadanie i porządny obiad. Po południu musi być zdolny do składania zeznań.

Tak, *kajmakam bej*.

Ma być także w dobrym humorze.

Co pan przez to rozumie?

Wprawcie go w dobry humor.

A jak mamy to zrobić?

Przynieście mu na śniadanie ormiański chleb *lawasz*. To go uszczęśliwi.

Tak pan sądzi?

Jestem o tym przekonany.

A co mamy mu dać na obiad?

To co Ormianie jedzą w swoje święta, ormiańską potrawę narodową. Nazywają ją *harisa*. Każdy Ormianin wpada automatycznie w dobry humor, jeśli podsunąć mu pod nos to świństwo z rozgotowanego mięsa i kaszy pszennej.

Ależ *kajmakam bej*, gdzie mamy w więzieniu gotować ormiańską potrawę narodową? Słyszałem już o niej i wiem, że trzeba ją gotować i mieszać przez wiele dni.

To prawda, przyznał *kajmakam*.

Naturalnie można by ją zamówić w ormiańskiej *mahalle*. Ale to bardzo kłopotliwe.

Zróbcie, co możecie, rzekł *kajmakam*.

— Wszystko, co widzę — powiedziała ostatnia myśl do bajarza — widzę twoimi oczami. A wszystko, co słyszę, słyszę



twoimi uszami. Ale czy oczy i uszy bazarza nie są tak samo zakłamanie jak jego język? I dlaczego opowiadasz mi kłamliwe historie, choć wiem, że chciałbyś opowiadać prawdę?

— Dlatego że jestem bazarzem — odparł bazarz. — I dlatego że opowiadam prawdę trochę inaczej.

I bazarz rzekł:

— Nazywaj mnie *meddach*.

— Powiedz, *meddach*. Czy mój ojciec naprawdę połykał szlauch tego *zaptije*?

— Jego usta broniły się, moja owieczko. Sam widziałeś. I jego gardło się broniło. I jego przelyk. Ba, nawet żołądek. Ale musiał ten szlauch połykać. A mimo to, moja owieczko, twój ojciec niczego nie zauważył, bo przez cały czas był nieprzytomny.

— W takim razie o niczym nie wie?

— Wie, moja owieczko. Będzie mu się śniło. A potem się obudzi i będzie głośno krzyczał.

— A jak to było z tym teatrem cieni? Z początku widziałem dwa ludziki, lecz potem dojrzałem nietoperza.

— Naprawdę widziałeś nietoperza?

— Tak, *meddach*.

— To były tylko te dwa ludziki, które połączyły się jako cień. Zamieniły się w nietoperza. I ten nietoperz podrygiwał i podrygiwał, gdy szlauch *zaptije* zaczął drgać i dziedzictwo Hasana Jednonogiego trysnęło w gardło twego ojca tak głęboko, że twój ojciec z wymiotował ponownie.

— Kiedy go zdjęli z haka — powiedział bazarz — i położyli na sienniku, ojciec twój zapadł w głęboki, krzepiący sen. Dopiero koło południa, gdy jego sen stał się lżejszy, zaczął śnić i w półśnie krzyczał głośno, i ten krzyk go obudził.

3

— Wczesnym popołudniem strażnicy wywlekli go z celi. Został wymyty i wyszorowany. Dali mu nowe ubranie. Potem zaprowadzili go do innej celi, którą wcześniej posprzątało.

— Dali mu śniadanie?

— Tak.

— I dostał *lawasz*, wyborny ormiański chleb, a potem *harisę*, ormiańską potrawę narodową?

— Oczywiście, że nie, moja owieczko. Dali mu zwykły *ekmek*, normalny płaski okrągły chleb, tyle że polany winogronowym syropem, dużo herbaty ziołowej, a później baraninę z grochem.

— Twój ojciec ma żelazne zdrowie — powiedział bazarz.  
— Już późnym popołudniem zdolny był do składania zeznań, czyli potrafił jasno rozumować. Wtedy założyli mu na nogi kajdany, mimo że pilnowany przez gromadę żandarmów nie mógł przecież uciec, i przemierzywszy duże podwórze więzienne wyprowadzili go przez bramę w starym murze.

— Do *hükümetu*?

— Tak jest. Tam, gdzie *müdürlük* ma swoje biuro.

Moja owieczko... opowiadałem ci już o biurze *müdürlüğü* i pozwoliłem ci przysłuchiwać się rozmowie w męskim gronie wczoraj po południu, pamiętasz? Panowie ci — wszyscy bez wyjątku ważne osobistości — palili *czubuki* i rozmawiali o tym i owym, również o głowie twojego ojca, która miała być odrąbana albo i nie. Nie opisywałem ci biura, gdyż nie chciałem cię nudzić. Wszak nie jest ważne, co znajduje się w pomieszczeniu, tylko kto się w nim znajduje. I tym razem są to *müdürlük* i twój ojciec. Ale o czymś muszę ci powiedzieć: ów jednooki *müdürlük* to człowiek o zachodniej orientacji, fanatyczny zwolennik młodoturków i ich nowej partii İttihad ve Terakki, Komitetu Jedności i Postępu. Dlatego w jego biurze stoją dwa normalne krzesła i szerokie biurko, mimo że to nietypowe umeblowanie tureckich urzędów. W pomieszczeniu

stoi naturalnie również kanapa, a na podłodze leżą chodniki ze skór jagnięcych i nawet ręcznie tkany dywanik. Na ścianach wisi stara szabla, portret sułtana, parę wersetów z Koranu i oczywiście plakat przedstawiający ministra wojny Enwera Paszę. Jak widzisz: Enwer Pasza, na koniu, w szykownym szarobrazowym mundurze i futrzanej czapce. Twarz Enwera jest delikatna jak lico dziewicy, jego krótki podwinięty wąsik mógłby być w zasadzie przyklejony. Dłonie, w których trzyma wodze, wydają się łagodne, a szczupłe długie palce mogłyby należeć do pianisty. Sympatyczny człowiek, człowiek o wrażliwych dłoniach i wrażliwej twarzy. To właśnie kat Ormian.

*Zaptijeler* dostarczyli twego ojca, jak im rozkazano. I teraz stoją naprzeciw siebie: *müdüür* i twój ojciec. *Müdüür* jest uprzejmy. Swoim szklanym okiem spogląda twemu ojcu prosto w twarz. Wykonuje ręką zapraszający gest i mówi: Niech pan siada, *efendi*.

Wkrótce potem do biura wchodzi trzeci człowiek. To *basz-kiatib*, starszy pisarz.

Pewnie dziwisz się, moja owieczko, dlaczego *basz-kiatib* nie nosi zachodniej odzieży jak większość zwolenników młodoturków, nie ma nawet na głowie zwyczajowego czerwonego fezu, jak właściwie godzi się człowiekowi jego stanu. No cóż, jest już stary, jak widzisz, i trochę staroświecki i po prostu nie może rozstać się z pludrami i przypominającą kaftan szatą wierzchnią, czystą szatą, która zakrywa brudną bieliznę... Ani z białym turbanem opasanym zieloną wstążką, która oznacza ortodoksyjnego muzułmanina. *Basz-kiatib* ma w ręku koszyk, w którym jest wszystko, czego potrzebuje: duży kałamarz z używanym w urzędach liliowym atramentem, stambulskie pióro, gąbka i drobniutki piasek do osuszania oraz naturalnie akta twojego ojca. Poza tym trzyma pod pachą czworokątną tabliczkę do pisania. *Basz-kiatib* nie szuka trzeciego krzesła, po pierwsze dlatego, że go nie ma, a po drugie przyzwyczał się do siedzenia na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Siada więc, wciska poduszkę pod tyłek i dodatkową za plecy, opiera się o kanapę, kładzie czworokątną tabliczkę na kolanach,

stawia na niej kałamarz z urzędowym liliowym atramentem, obok kładzie stambulskie pióro oraz gąbkę z piaskiem do osuszania i naturalnie akta twojego ojca.

Twój ojciec jest mężczyzną w trudnym do oszacowania wieku. Widzę jednak, moja owieczko, że *basz-kiatib* wpisał do akt liczbę 1878, starannie, liliowym atramentem, przyjmując więc, że twój ojciec ma trzydzieści siedem lat. Tak bowiem jest zapisane w aktach: Wartan Chadisjan, urodzony w roku 1878 w wiosce Jedi Su, należącej do *wilajetu* Bekir, oskarżony o szpiegostwo i zdradę stanu.

Tak, moja owieczko. Tak zostało zapisane. Ale jeśli się nad tym zastanowić: właściwie nie wygląda wcale na szpiega, lecz kto mógłby z pewnością powiedzieć, jak wygląda prawdziwy szpieg? Co się tyczy twojego ojca, moja owieczko, to powiedziałbym, że wygląda jak typowy Ormianin z gór.

Jest wysoki i chudy, ciemne ma włosy i cerę, choć jego twarz jest w tym momencie niemal żółta, ale sprawiły to tygodnie spędzone w celi więziennej; podbródek i orli nos wyglądają tak, jakby chciały uciec z jego twarzy, dokądkolwiek gdzie góry są wyższe, powietrze czystsze, tam gdzie głową dotyka się niemal chmur i gdzie wiatr szepcze inaczej niż w dolinie tureckich obszarników, *derebejler*. Twój ojciec ma piękne, niemal delikatne dłonie. Ale czy mam może porównywać dłonie twojego ojca z rękami kata? Nie, moja owieczko. Nie zrobię tego. I dlatego mówię ci teraz: Twój ojciec ma wrażliwe dłonie, ale są one zupełnie inne niż dłonie Enwera Paszy. To smutne i udręczone dłonie, gdyż dłonie też posiadają wyraz, jak oczy. I w ten sposób bylibyśmy przy jego oczach, moja owieczko. W tym momencie przypominają one szklane oko *müdiira*. Nie mają żadnego wyrazu. Nie daj się jednak zwieść, moja owieczko. Trzeba ci było widzieć jego oczy, nim trafił do tego więzienia.

Oczy Ormianina są pożądliwe, zdradzieckie, chciwe, podstępne, przebiegłe, takie same jak u Żydów i Greków. Te trzy narody uosabiają zło świata!

No cóż, moja owieczko, nie ja to powiedziałem. Powiedział to *wali* Bekiru. I dodał jeszcze: Najbardziej irytują mnie

oczy Ormian. Gdyby nie było innego powodu, żeby ich wytepić, wystarczyłyby ich oczy.

Chętnie zapytałbym *walego* Bekiru: Proszę powiedzieć, *wali bej*, czy widział pan już kiedyś oczy Ormianina głaszczącego swoje dziecko?

A *wali* na pewno by odrzekł: Nie, jeszcze nie widziałem.

Więc kiedy patrzy pan tym ludziom w oczy?

Właściwie tylko przy wymianie pieniędzy albo kiedy swędzi mnie kutas.

*Wali bej*, mówię do niego, kiedy patrzy pan w oczy Ormianinowi, to zagląda pan w swoje własne oczy! I widzę, jak *wali* blednie i pyta: W moje własne oczy?

A ja mówię: Tak. W swoje własne oczy!

Widzę krzyż, moja owieczko. A na krzyżu wisi nie Jezus, tylko oko Ormianina. Przybija je jakiś Turek.

Jest późne popołudnie, moja owieczko. Do biura *müdüra* zagląda słońce. Mruga do *müdüra*, ale to mruganie drażni jego szklane oko. *Müdü* je pociera, a następnie czyści nos. Także sułtan oprawiony w ramy i Enwer Pasza na plakacie mrugają do niego... szyderczo, zachęcająco... nawet wersety z Koranu ponad ich głowami uśmiechają się i mrugają. Jednym okiem *müdü* spogląda na twego ojca, drugim zerka na wersety z Koranu, jakby wcześniej w ogóle nie zauważył arabskich znaków. Słyszysz, moja owieczko, jak *müdü* przemawia teraz do twego ojca? To długi monolog, a twój ojciec słuca i kiwa głową. Zadziwiająco, jak uprzejma jest mowa *müdüra*. Pyta twojego ojca, czy dobrze spał, czy siennik pełen jest jeszcze góvien i szczyn wszystkich poprzedników twego ojca, którzy robili po prostu pod siebie. Oświadczą twojemu ojcu, że uważa to za godne ubolewania, lecz chwilowo brakuje słomy, a zatem również sienników, jest bowiem wojna i słomy brakuje dlatego, że potrzebuje jej turecka kawaleria, która jest najlepsza na świecie, gdyż Turek jest dzielnym żołnierzem, ale jego konie muszą zreć sieczkę.

*Müdü* wyraził zainteresowanie zębami, naturalnie zębami twojego ojca. Wszak nie wyrwano ich, tutaj traktuje się

więźniów po ludzku. A jak tam jego gardło i przełyk, i żołądek? Czy zauważył, jak w środku nocy zrobiono mu płukanie żołądka? Czy w ogóle cokolwiek zauważył? Nie. Twój ojciec niczego nie zauważył. Leżał bowiem lub wisiał na długim sznurze w głębokim omdleniu. A może mu się śniło, spytał *müdüür*, na przykład o długim szlauchu, który był miękki i zwiotczały, ale stawał się coraz większy i coraz sztywniejszy, i czy wie, spytał *müdüür*, kto to był Hasan Jednonogi, i kim jest jego syn, ten o końskiej twarzy, który wtryskuje czasem niewiernym do samego żołądka dziedzictwo Hasana Jednonokiego, słynnego *baszy-bozuka* i rzeźnika z 1876 roku? Ale twój ojciec nic z tego nie rozumiał i tylko kiwał głową, spoglądając zmęczonym, szklistym wzrokiem. W końcu *müdüür* powiedział: *Efendi*, przesłuchiwałeś pana już nieraz... *wali* i ja... każdy na swój sposób, ale spróbujemy jeszcze raz. To jednak ostatnia pańska szansa.

*Müdüür* dał lewą ręką znak pisarzowi. Właściwie uniósł rękę niedostrzegalnym gestem, lecz pisarz, który znał od lat każdy ruch *müdüüra*, zauważył to, podźwignął się więc z podłogi, odstawił tabliczkę z przyborami do pisania, wziął stojące obok kanapy nargile *müdüüra*, nowomodną fajkę wodną z Erzurum, przyniósł ją do biurka, podał *müdüürowi* szlauch z ustnikiem, podpalił, po czym wrócił na swoje miejsce, usiadł na poduszce przed kanapą, sięgnął po tabliczkę z aktami twojego ojca, kałamarzem i stambulskim piórem, gąbką i piaskiem do osuszania, poprawił wszystko jak trzeba, także poduszki, jedną pod tyłkiem i drugą za plecami, czyli obie.

*Müdüür* pykał przez chwilę w milczeniu, po czym rzekł: To naprawdę pańska ostatnia szansa, *efendi*. Najlepiej zacznijmy jeszcze raz od początku... jak na wszystkich dotychczasowych przesłuchaniach, prowadzonych nie przez *walego*, lecz przeze mnie... chociaż to nudne, przyznaję, mam na myśli zaczynanie wciąż od początku. Mimo to tak zrobimy. Zacniemy jeszcze raz od początku, i to od samego początku.

Nazywa się pan zatem Wartan Chadisjan? spytał *müdüür*. Zgadza się?

Zgadza się, potwierdził twój ojciec.

I pochodzi pan z ormiańskiej wioski, gdzie mieszkał tylko jeden Turek?

Jedna turecka rodzina.

A wszyscy inni byli Ormianami?

Tak, *müdüür bej*.

Był tam podobno również kościół?

Tak, *müdüür bej*. Kościół Świętego Sarkisa.

Czy ten kościół jeszcze stoi?

Jeszcze stoi.

A Ormianie?

Też jeszcze tam są, przynajmniej większość z nich.

A ta turecka rodzina?

Ona też. W mojej wiosce prawie nic się nie zmieniło.

Pochodzi pan zatem z ormiańskiej wioski, wioski, gdzie większość stanowią Ormianie, a nieliczni Turcy zmuszani są do chodzenia do kościoła?

Nie, *müdüür bej*. Nikt nie zmusza Turków do chodzenia do kościoła.

Ale przecież im wmawiacie, że Allah ma syna, choć w Koranie napisane jest: Allah nie płodzi i nie został spłodzony?

Ormianie nikomu nic nie wmawiają, *müdüür bej*. Żyją we własnym gronie i są zadowoleni, jeśli zostawia się ich w spokoju.

A jak to jest z tymi kłamliwymi opowieściami? Czyż Ormianie z Jedi Su nie opowiadają każdemu nieznanemu, który bawi tam przejazdem, że ta wioska jest typowa dla całej Turcji i że w rzeczywistości nie ma już w Turcji Turków, tylko sami Ormianie?

Nie, *müdüür bej*. Jak Ormianie z Jedi Su mogliby opowiadać coś takiego? Nikt by w to nie uwierzył.

Ale opowiadają, że ten kraj należał kiedyś do nich?

Tego nie wiem, *müdüür bej*. To zresztą nieprawda. Cały kraj nigdy do nich nie należał, tylko jego część.

A więc część?

Owszem. Ale to już historia, *müdüür bej*. To było tak dawno temu.

Ormianie to naród handlarzy i oszustów. Prostoduszny Turek jest wobec nich bezbronny.

Mój ojciec jest rolnikiem, *müdüür bej*. Większość Ormian to prości rolnicy i rzemieślnicy.

A jak jest z ormiańskimi handlarzami w dużych miastach?

Tego nie wiem, *müdüür bej*.

A ta turecka rodzina w pańskiej wiosce? Na pewno próbowaliście obrzydzić jej życie i pozbyć się jej z wioski?

Nie, *müdüür bej*. To sąsiedzi mojej rodziny i nasi przyjaciele.

Przyjaciele?

Tak, *müdüür bej*. Jak daleko sięgam pamięcią, nigdy nie było między nami kłótni. Pomagaliśmy sobie nawzajem. Kiedyś — to było po jakichś złych zbiorach — mój ojciec pożyczył tym Turkom ziarna. Daliśmy im parę worków mąki pszennej i zawekowane jarzyny.

Czy oprócz tego daliście im coś jeszcze?

Tak, *müdüür bej*. Zanieśliśmy im kilka garnków pełnych *tanu*, *patatu* i *harisy*.

A co to takiego, *efendi*?

*Tan* się robi z *madzunu*, ormiańskiego jogurtu, to jest to samo co turecki *ajran*. Ale smakuje nieco inaczej, przynajmniej tak było u nas, bo moja matka dosypywała jeszcze trochę ziół, ale nie wiem, na czym polega ich tajemnica. Poza tym nasz *tan* był słodkawy, więc przypuszczam, że matka dodawała odrobinę miodu.

Taki ormiański czarodziejski napój?

Nie wiem, czy można tak powiedzieć, *müdüür bej*.

A co to jest *patat*?

To samo co turecka *sarma*. To zwyczajne liście kapusty, w które zawija się mięso, ryż i *bułgur*. W środku są też jakieś jarzyny. My mówimy na to *patat*, ale proszę mi wierzyć, *müdüür bej*, to dokładnie to samo co turecka *sarma*.

A co to jest *harisa*?

*Harisa* to ormiańska potrawa narodowa.

Ze świńskiego mięsa?

Nie, *müdüür bej*. Robi się ją z baraniny lub mięsa kurzego.

I wasi tureccy sąsiedzi jedli to paskudztwo?

To nie było żadne paskudztwo, *müdüür bej*. To była prawdziwa *harisa*.



I w środku naprawdę nie było świńskiego mięsa?  
 Nie, *müdüür bej*. W środku nie było wieprzowiny.

*Müdüür* znów nieznacznie skinął na pisarza. Tym razem zwrócił jedynie lekko głowę w jego kierunku i mrugnął szklanym okiem, a pisarz natychmiast zrozumiał, o co chodzi jego panu i władcy. Zakastał więc, przewertował akta i odczytał: Wartan Chadisjan, z zawodu rolnik, zajęcia uboczne: sprzedawca *tezeku* i poeta.

Czy to prawda? spytał *müdüür*.

Tak, to prawda, potwierdził twój ojciec.

Czy może mi pan to bliżej wyjaśnić?

Mogę, odparł twój ojciec. I uśmiechnął się po raz pierwszy, a jego szklany wzrok ożywił się nieco. Jako dzieci musieliśmy wszyscy pomagać w polu, powiedział twój ojciec, dlatego każdy u nas był rolnikiem, czy mu się to podobało, czy nie. Zapędzano nas także do wszelkich innych robót, jakie trzeba było wykonywać. Musieliśmy też doić owce, krowy i kozy.

Mieliście również osła?

Owszem, *müdüür bej*.

I on też był dojony?

Tak, *müdüür bej*.

Ale osła nie można przecież doić?

Nie można, *müdüür bej*.

Chce pan zrobić ze mnie durnia?

Nie, *müdüür bej*.

Więc była to pewnie oślica?

Owszem, *müdüür bej*, to była oślica.

A jak to jest z tym *tezkiem*?

Chodzi o wysuszone krowie łajno. My, Ormianie, nazywamy je właściwie *atar* albo *czor trik*, ale w naszych stronach używamy tureckiego słowa *tezek*. To wysuszone łajno świetnie nadaje się na opał.

*Tezek*, powtórzył *müdüür*. Sądzi pan pewnie, że nie wiem, co to jest. To zwyczajne krowie łajno.

No cóż, *müdüür bej*. Tak właśnie jest. Bogaci opalają drewnem, a biedni *czor trikiem* lub *atarem*, lub *tezkiem*.

A czy nie ma bogatych, którzy też opalają krowim łajnem?  
 Nawet wielu, *müdüür bej*. Im człowiek bogatszy, tym oszczędniejszy. A drewno jest w naszych stronach rzadkością i kosztuje masę pieniędzy.

Więcej niż *tezek*?

*Tezek* właściwie nic nie kosztuje, chyba że się go kupuje od handlarza.

Na przykład od któregoś z Ormian?

Możliwe, *müdüür bej*.

Bo ci potrafią robić pieniądze nawet na krowim łajnie?

Tak, *müdüür bej*. Już jako chłopiec zacząłem handlować *tezkiem* i nosiłem go workami do Bekiru, bo w Bekirze płacono za niego lepiej niż w sąsiednich wioskach, gdzie dzieci same zbierały krowie placki i chłopci mieli go przeważnie pod dostatkiem. Handlowałem *tezkiem* przez parę lat. Potem wyjechałem.

Do Ameryki?

Tak, do Ameryki.

Zgadza się, wtrącił pisarz. Mam to wszystko w jego aktach. Może pan sprawdzić, *müdüür bej*. Wszystko zapisane jak należy.

Tak, powiedział *müdüür*.

Wartan Chadisjan, odczytał pisarz. Urodzony w roku 1878, rolnik, sprzedawca krowiego łajna i poeta. W roku 1898 wyjechał do Ameryki.

Poprzednim razem czytał pan jednak inaczej, rzekł *müdüür*.

Pisałem to zdanie wiele razy, wyjaśnił pisarz.

Swego rodzaju ćwiczenie stylistyczne? spytał *müdüür*.

Owszem, potwierdził pisarz.

Dlaczego rolnik, który ubocznie handluje krowim łajnem, zostaje poetą? spytał *müdüür*.

Nie wiem, *müdüür bej*.

Czy to jedno z tych ormiańskich kłamstw?

Nie, *müdüür bej*.

A więc w 1898 roku wyjechał pan do Ameryki?

Tak, *müdüür bej*.

Żeby szybko się wzbogacić, jak przypuszczam? Żeby sprzedawać Amerykanom gówno, tak jak tu, w Turcji, sprzedawał pan gówno Turkom?

Nie, *müdüür bej*.

Więc dlaczego pan wyjechał?

Bo miałem za oceanem stryja, który przysłał mi pieniądze na podróż. Stryja Nahabeda. Żeby być ścisłym: Nahabeda Chadisjana.

Przypuszczam, że to handlarz, ten Nahabed Chadisjan?

Owszem, *müdüür bej*. Ten akurat był handlarzem.

Pewnie też handlował krowim łajnem?

Nie, *müdüür bej*.

A dlaczego nie?

Bo Amerykanie nie opalają *tezkiem*.

Czyżby w Ameryce nie było krów?

Skądże, krów jest pod dostatkiem.

To pewnie krowy srają tam złotymi monetami?

Nie, *müdüür bej*.

Pański stryj nie handlował więc krowim łajnem?

Nie handlował.

A czym handlował?

Szmatami.

Zatem był szmaciarzem?

Owszem.

Czy wszyscy Ormianie w Ameryce są szmaciarzami?

Nie, *müdüür bej*.

Czym więc zajmują się Ormianie w Ameryce?

Dokładnie nie wiem, *müdüür bej*, ale sędzę, że robią to samo co inni ludzie. Jedni są kupcami, inni rzemieślnikami. Wielu pracuje w fabrykach albo robi coś innego. Za oceanem mam jeszcze innych krewnych, jeden stryj jest krawcem, inny woźnicą. A kuzyn mojej matki jest kapelusznikiem.

Jest pan rocznikiem 1878. W 1898 miał pan zatem dwadzieścia lat?

Tak, miałem dwadzieścia lat.

Był pan wtedy stanu wolnego?

Tak, byłem stanu wolnego.

Znam pańskie akta na pamięć, powiedział *müdüür*. Teraz przyłapałem pana na kłamstwie. Był pan bowiem żonaty.

Pisarz zakasłał. *Müdüür* obejrzał się na niego.

Czyżby coś się nie zgadzało, *basz-kiatib*?

Był wdowcem, wyjaśnił pisarz.

To jakaś nieczysta sprawa, stwierdził *müdüür*.

Ożenił się już w wieku piętnastu lat, powiedział pisarz, jak to się praktykuje w większości tych zacofanych wiosek. Jego żona umarła w połogu, w pierwszym roku małżeństwa, i tym sposobem już w wieku szesnastu lat był wdowcem. W cztery lata później, a więc gdy miał dwadzieścia lat, wyjechał.

Do Ameryki?

Do Ameryki, przytaknął pisarz.

A co robi dwudziestoletni ormiański handlarz krowim łajnem w Ameryce? spytał *müdüür*. Handlarz, który był także rolnikiem i twierdzi, że jest poetą?

Wieczorami chodziłem do szkoły, żeby nauczyć się obcego języka i uzupełnić swoje wykształcenie.

Czy wszyscy Amerykanie chodzą do szkoły wieczorem zamiast za dnia jak normalni ludzie?

Nie wszyscy, *müdüür bej*. Tylko ci, którzy muszą coś nadrobić albo pracują w ciągu dnia.

Nie był pan trochę za stary na chodzenie do szkoły?

Wielu było starszych ode mnie, *müdüür bej*. Nawet żonaty i dzieciatych.

Mówi pan, że żonaty?

Tak, *müdüür bej*.

A nie rozwiedzionych lub owdowiałych?

Wielu było naprawdę żonaty.

Coś tu się chyba nie zgadza, prawda? Bo kiedy taki żonaty Amerykanin miałby dosiadać swojej żony, jeśli wieczorami chodzi do szkoły?

Tego nie wiem, *müdüür bej*.

A co pan robił w dzień?

W dzień pracowałem.

*Müdüür* popatrzył znowu na pisarza. Zgadza się?

Zgadza się, *müdüür bej*. W dzień był zamiataczem ulicy, która nie ma nazwy.

W takim razie się nie zgadza, oświadczył *müdüür*. Bo każda ulica ma jakąś nazwę.

Tam ulice mają numery, wyjaśnił Wartan Chadisjan.

Numery? zdziwił się *müdüür*.

Numery, potwierdził Wartan Chadisjan.

Ulice miały numery, mówił twój ojciec, i my, zamiatacze ulic, też mieliśmy numery, choć nie nosiliśmy tych numerów na piersi ani nie mieliśmy ich wyszytych na ubraniach czy gdzie indziej. Mieliśmy je tylko w głowie. A wszyscy ludzie na ulicy wyglądali jednakowo, mimo że jedni byli czarni, a drudzy biali. Oni też byli w jakimś sensie numerami.

A więc w tym amerykańskim mieście były tylko numery?

Tak mi się wydawało, odparł twój ojciec, przynajmniej w pierwszych miesiącach pobytu w Ameryce. Potem już mi się tak nie wydawało, bo człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego.

Co to znaczy? spytał *müdüür*.

Im dłużej żyłem za oceanem, tym bardziej przyzwyczajałem się do numerów. Po pewnym czasie numery otrzymały twarze i potrafiłem je wyraźnie rozróżniać.

Chyba mnie pan nabiera?

Absolutnie, *müdüür bej*.

Ludzie mieli z powrotem twarze?

Tak, *müdüür bej*.

A te numerowane ulice?

Ulice też, *müdüür bej*.

Ormiański zamiatacz ulic w amerykańskim mieście, rzekł *müdüür*, zamiatacz, który oszukuje jak wszyscy Ormianie, ale nie mógł sprzedawać Amerykanom krowiego łajna, bo Amerykanie nie są Turkami?

Nie wiem, *müdüür bej*.

I chce mi pan wmówić, że przez szesnaście lat był pan zamiataczem ulic, aż do powrotu do Turcji?

Nie, *müdüür bej*. Później robiłem najróżniejsze rzeczy. Pracowałem w fabrykach i restauracjach, dźwigałem ciężary.

Był pan więc także tragarzem?

Tak.

Zwyczajnym *hamatem*?

Tak, *müdüür bej*.

I czym był pan jeszcze?

Nocnym stróżem.

Nocnym stróżem?

Tak.

A gdzie pan był tym nocnym stróżem, *efendi*?

W drapaczu chmur.

Co to jest drapacz chmur? spytał *müdüür*.

To dom, który wygląda tak, jakby lada chwila miał się zawalić, odpowiedział twój ojciec. Nie jest bowiem płaski jak tutaj u nas... ani czworokątny... tylko jak kamienny pomnik, którego cokół znajduje się na ziemi, a głowa sterczy już w chmurach. Wewnątrz budynku pędzą windy, drzwi wejściowe obracają się w koło, połykają ludzi i wypluwają ich, a kiedy wejdzie się do takiego domu, można by pomyśleć, że jest się na bazarze.

Tego to nie rozumiem, oświadczył *müdüür*.

Za tymi diabelskimi obrotowymi drzwiami, wyjaśnił twój ojciec, jest mnóstwo sklepów, jak na bazarze, tyle że ten bazar różni się od naszego.

A co jest nad tym bazarem?

Biura.

Dużo biur? Na przykład pięć lub sześć?

Blisko pięćset.

Coś takiego jest niemożliwe, stwierdził *müdüür*.

Przeciwnie, powiedział twój ojciec. Jest możliwe.

A co stróż robi przez całą noc w takim diabelskim domu?

Niewiele, *müdüür bej*. Może liczyć godziny brakujące do świtu. Może czytać dla zabicia czasu. I może pisać wiersze.

Wiersze?

Tak, *müdüür bej*.

Pisał pan wiersze?

Tak, *müdüür bej*.

Każdy ormiański poeta jest spiskowcem, oświadczył *müdüür*. W głowie ma tylko jedno: podburzyć inne narody przeciwko nam. Przypuszczam więc, że opublikował pan swoje wiersze, i to w jednej z tych zakłamanych ormiańskich gazet, których nigdzie nie brakuje... zwłaszcza w Ameryce... ormiańskich gazet, które szcują przeciwko nam i szargają nasze dobre imię. Mam rację?

Nie, *müdüür bej*.

Gdzie opublikował pan swoje wiersze?

Nigdzie, *müdüür bej*.

Pewnie nie były wystarczająco dobre?

Nie wiem, *müdüür bej*.

Prawdopodobnie nikt nie chciał ich wydrukować?

Byli tacy, co chcieli.

Nareszcie wzrok twego ojca się ożywił. Ów popatrzył na *müdüüra*, jakby go widział po raz pierwszy, i jego spojrzenie zatoneło w szklanym oku urzędnika. Po chwili jednak twój ojciec zapadł się z powrotem w siebie, a jego głos stał się bardzo cichy. Wierszy nie powinno się publikować, powiedział do *müdüüra*.

A dlaczego nie, *efendi*?

Czy wyciąłby pan sobie w piersi dziurę, żeby ciekawscy zaglądali panu w głąb serca?

Nie, *efendi*.

A rzuciłby pan relikwie między wilki?

Z pewnością nie, *efendi*.

Albo własne myśli — które nikogo nic nie obchodzą... między plotkarzy?

Też nie, *efendi*. *Müdüür* uśmiechnął się. Przez kilka sekund spoglądał ze zrozumieniem jedynym zdrowym okiem na twój ojca. Ale zaraz jego wyraz się zmienił i wydawało się, że *müdüür* ma dwoje szklanych oczu. Przejdźmy wreszcie do rzeczy, *efendi*, powiedział.

Na razie jednak *müdüür* się nie śpieszył, gdyż nagle wstał jak ktoś, kto nie może już wysiedzieć i potrzebuje ruchu. Podeszedł do okna i otworzył je. Czy to był przypadek, czy nie: w chwili gdy otworzył okno, odezwał się gdzieś karabin maszynowy. Na ten dźwięk *müdüür* aż się wzdrygnął.

Można by pomyśleć, że Rosjanie są już w mieście, rzekł do pisarza. A jeszcze wczoraj pisano w gazecie, że zostali pobici.

Nie ma ich jeszcze w mieście, odpowiedział pisarz. To pewnie był tylko jakiś turecki żołnierz, prawdopodobnie jeden

z młodych rekrutów, który chciał sobie trochę postrzelać w powietrze, żeby pokazać gapiom, co potrafi.

Widział pan kiedyś taki karabin maszynowy?

Nie.

To niemieckie karabiny.

*Müdü*r uśmiechnął się. Stał przy oknie i wyglądał na podwórze. W tym momencie zza muru dobiegł krzyk torturowanego więźnia.

*Müdü*r zamknął okno. Zbliżył się powoli do biurka, obszedł dookoła fajkę wodną, odsunął ją trochę na bok, usiadł przy biurku naprzeciwko więźnia i splótł dłonie na brzuchu.

Przejdźmy do rzeczy, powiedział. Szklane oko odemknęło się szeroko. Przejdźmy do rzeczy, *efendi*, powtórzył. Był pan więc szesnaście lat w Ameryce i wrócił do Turcji akurat wtedy, kiedy wybuchła wojna światowa. Czy to jednak trochę nie dziwne?

Chciałem zobaczyć się z rodziną, rzekł twój ojciec, a poza tym miałem zamiar ponownie się ożenić.

I nie mógł pan sobie wybrać innego terminu powrotu niż wybuch wielkiej wojny?

Czysty przypadek, *müdü*r *bej*.

Co pan chciał naprawdę robić w Turcji? I kto pana wysłał?

Nikt, *müdü*r *bej*.

Kim są pańscy zleceniodawcy?

Nie ma żadnych zleceniodawców, *müdü*r *bej*.

Dlaczego pan kłamie, *efendi*?

Mówię prawdę... Przede wszystkim chciałem się ożenić, powiedział twój ojciec. Chciałem sobie wziąć żonę z mojej rodzinnej wioski. To był właściwy powód mojego powrotu. Chciałem się ponownie ożenić, a potem zabrać żonę do Ameryki.

Czyżby w Ameryce nie było kobiet?

Są, *müdü*r *bej*. Kobiet jest tam pod dostatkiem. Ale są jakieś inne.

Jakie inne?

No cóż, *müdü*r *bej*. Nie słuchają mężów. Uważają, że są samodzielne. I każdemu pokazują nogi.

Jak u Franków?



Jak u Franków, *müdüür bej*.

Wszyscy Frankowie są jednakowi, rzekł *müdüür*, czy to Niemcy, czy Francuzi, czy Włosi. Wszyscy Frankowie to niewierni, jedzą świńskie mięso, a ich kobiety nie są posłuszne i każdemu pokazują nogi.

Tak właśnie jest, *müdüür bej*.

I w Ameryce jest podobnie?

Tam jest o wiele gorzej, *müdüür bej*.

W takim razie musi być naprawdę źle, przyznał *müdüür*.

Tak, rzekł twój ojciec. Jest źle.

My jednak uważamy, że ta sprawa z pańską rodziną i ożenkiem była tylko pretekstem, powiedział *müdüür*, i że wrócił pan do ojczyzny w przeddzień wielkiej wojny z zupełnie innych powodów.

Z jakich powodów, *müdüür bej*?

Pan to wie, *efendi*. Wie pan więcej niż ja.

Zacznijmy od zamordowania austriackiego następcy tronu, rzekł *müdüür*. On i jego małżonka zostali zastrzeleni w Sarajewie 28 czerwca 1914 roku, i to wywołało wojnę światową. *Müdüür* uśmiechnął się blado. Jak to się stało, *efendi*, że tego dnia... akurat tego dnia... był pan w Sarajewie? Czyżby przypadek?

Czysty przypadek, *müdüür bej*.

Przyznaje pan zatem, że był pan tego dnia w Sarajewie? Widzieliśmy bowiem pański paszport z austriacką wizą, zezwoleniem na dwutygodniowy pobyt, które potem przedłużono, poza tym potwierdzenie urzędu meldunkowego z Sarajewa i pański rachunek hotelowy z datą 28 czerwca.

Przyznaję to, *müdüür bej*. Ale to czysty przypadek. Byłem w Sarajewie, bo chciałem odwiedzić stryja.

Jakiego stryja?

Brata mojego ojca. Nazywa się Ghazar... Ghazar Chadisjan... i jest właścicielem kawiarni.

A więc właściciel kawiarni?

Tak, *müdüür bej*.

Wy, Ormianie, chyba wszędzie macie jakichś wujków albo stryjów?

Jesteśmy wielką rodziną, *müdüür bej*.

A czego pan chciał od tego stryja?

Niczego, *müdüür bej*. Mój inny stryj, ten z Ameryki, chciał przesać swojemu bratu, temu z Sarajewa, pieniądze... i poprosił mnie, żebym mu je przekazał osobiście... rozumie pan... z powodu ograniczeń w obrocie dewizowym.

A dlaczego mieszkał pan w hotelu?

Tylko w pierwszych dniach, *müdüür bej*. Nie chciałem się narzucać, ale potem stryj zabrał mnie z tego hotelu, po prostu przyjechał dorożką, wysłał dorożkarza na górę, kazał wynieść z pokoju walizki, w ogóle mnie nie pytał o zgodę. Wie pan, jak to jest, w takiej sytuacji nie można odmówić.

Gościnność, co? Albo poczucie wspólnoty rodzinnej? Tak wypada, prawda?

Trafił pan w sedno, *müdüür bej*. My, Ormianie, jesteśmy gościnni i mamy instynkt rodzinny. Pod tym względem jesteśmy podobni do Turków. Zaproszenia krewnego nie można odrzucić.

Rozumiem to, rzekł *müdüür*. I nie ma pan w ogóle nic wspólnego z zamordowaniem austriackiego następcy tronu?

Nie mam z tym nic wspólnego, *müdüür bej*.

Wszystko to przypadek?

Przypadek, *müdüür bej*.

Nie widział pan też, jak zastrzelono parę książęcą?

Nie, *müdüür bej*. Tego nie widziałem.

I strzałów także pan nie słyszał?

Przeciwnie, *müdüür bej*. Strzały słyszałem. Byliśmy bowiem na ulicy w pobliżu mostów przy nabrzeżu, mój stryj i ja. Na ulicy były tysiące ludzi, którzy chcieli zobaczyć parę książęcą. Myślę, że był tam każdy, kto miał oczy. Bo czegoś takiego nie ogląda się co dzień.

To prawda, przyznał *müdüür*. Czegoś takiego nie ogląda się co dzień.

To było wielkie, wstrząsające światem wydarzenie.

Owszem, rzekł *müdüür*. Tak było.

I podobno to był przypadek, powiedział *müdüür*. A czy to też był przypadek, że przyjechał pan do Konstantynopola aku-

rat 25 lipca, czyli niespełna miesiąc później, w momencie gdy upłynęło austriackie ultimatum postawione Serbii 23 lipca?

To też przypadek, *müdüür bej*.

Trzy dni przed wybuchem wielkiej wojny! Przypadek, *efendi*?

Wszystko to przypadek, *müdüür bej*. To prawda, przyznał twój ojciec, że dosyć długo zostałem w Sarajewie i przyjechałem do Konstantynopola dopiero 25 lipca. Ale było to związane z moją chorobą.

Z jaką chorobą?

Dokładnie nie wiem. Wyglądało to na chorobę weneryczną. Byłem przekonany, że zaraziłem się od którejś z dziewczyn przesiadujących w kawiarni mojego stryja.

A więc od prostytutki?

Tak. Widzi pan: właściwie zamierzałem zatrzymać się w Sarajewie tylko na parę dni. Ale potem nie miałem odwagi wrócić do domu.

Chodzi panu o to, że nie miał pan odwagi jechać do Turcji, do swoich krewnych i przyszłej żony?

Dokładnie tak, *müdüür bej*. Najpierw chciałem się wyleczyć. I naprawdę miał pan syfilis?

Nie, *müdüür bej*. Wszystko było tylko urojeniem.

A kiedy pan to odkrył?

Kilka tygodni później, kiedy postanowiłem w końcu pójść do lekarza... to było pod koniec lipca. Poszedłem więc do lekarza domowego mojego stryja, a ten obejrzał mnie dokładnie i powiedział: Wszystko to wyłącznie urojenia.

A więc znów przypadek? Najzwyklejszy przypadek, że przyjechał pan do Konstantynopola dopiero miesiąc później, gdy cały świat już wiedział, że będzie wojna?

Tak, przypadek.

I to pewnie też przypadek, że nie wyruszył pan od razu w dalszą podróż do rodziny w głębi kraju?

Tak, przypadek. Naturalnie chciałem od razu jechać dalej, ale wszystkie ubrania miałem brudne po długiej podróży. Nie chciałem przyjeżdżać do domu w brudnych, nie wyprasowanych ubraniach, więc oddałem je do czyszczenia.

I to trwało naturalnie kilka dni?

Tak jest.

A w tych dniach, kiedy czekał pan na ubrania, nie miał pan do roboty nic lepszego, niż wybrać się na wycieczkę po Bosforze. Naturalnie parowcem?

Byłem turystą, więc dlaczego miałbym się nie wybrać na wycieczkę parostatkami?

I przypadkiem miał pan przy sobie aparat fotograficzny? Owszem, miałem przy sobie aparat.

Pływał pan też po Dardanelach aż po półwysep Gallipoli? To normalna trasa parostatków.

I tam pan fotografował? W przeddzień wybuchu wojny? Z nudów, jak przypuszczam?

Wyłącznie z nudów.

Choć wiedział pan, że będzie wojna?

Każdy coś przeczuwał.

I naturalnie nic pan nie wiedział o strategicznym znaczeniu Dardaneli i półwyspu Gallipoli?

Nic o tym nie wiedziałem.

Ani o tym, że wróg chciał tam wylądować, bo sądził, że to nasz słaby punkt?

Skąd miałem to wiedzieć?

Znaleźliśmy pańskie zdjęcia, *efendi*, choć nie wiemy, czy to wszystkie.

To zupełnie niewinne zdjęcia.

Sfotografował pan Bosfor, Złoty Róg, wybrzeże Dardaneli wraz z fortyfikacjami. Także półwysep Gallipoli.

Wszystko to niewinne zdjęcia, *müdüür bej*. Nie miałem przy tym żadnych złych zamiarów. To tylko kilka z wielu zdjęć, jakie pstryknałem podczas podróży.

Żeby zrobić wrażenie na przyszłej żonie?

Myślę, że tak.

I na rodzinie?

Tak, *müdüür bej*.

Wszystkie zupełnie niewinne, prawda?

Tak, *müdüür bej*.

A kilka dni później, *efendi*? Co było później?

Spakowałem walizki, by ruszyć w dalszą podróż. Tymczasem wybuchła wielka wojna. Był początek sierpnia.

U nas jeszcze wojny nie było, przypomniał *müdiir*. W sierpniu jeszcze nie, choć mobilizację przeprowadziliśmy 3 sierpnia. Do nas wojna przyszła dopiero później.

W listopadzie, powiedział twój ojciec.

W listopadzie, powtórzył *müdiir*.

To prawda, rzekł *müdiir*. Turcja nie była jeszcze w stanie wojny. I pan, *efendi*, nie miał trudności z dotarciem do Bekiru, a następnie do wioski Jedi Su. Pański amerykański paszport był w porządku. Przezornie kazał pan sobie także wystawić paszport krajowy, *teskere*, jak to jest u nas w zwyczaju. Pański *teskere* też był w porządku, podobnie jak później, podczas dalszej podróży... wszystkie stemple poszczególnych *wilajetów*. Uiszczal pan przepisowe opłaty. I dojechał pan do domu, do swoich krewnych. I ożenił się z Anahitą Jeremian, dziewczyną z rodzinnej wioski.

Tak jest, *müdiir bej*.

A potem wybrał się pan w małą podróż poślubną do Syrii i fotografował strome wybrzeże Morza Śródziemnego?

Dokładnie tak, *müdiir bej*. Wszystko to niewinne zdjęcia.

A później spotkał pan Psaka Muradiana?

Spotkałem go już wcześniej. Był na moim weselu. To mąż mojej siostry Aghawni.

Jest zatem pańskim szwagrem?

Jest moim szwagrem.

To spiskowiec. Wiedział pan o tym?

Nic mi o tym nie wiadomo.

Ale nam wiadomo, powiedział *müdiir*. Pański szwagier jest oskarżony o zdradę stanu.

W oczach twojego ojca pojawiło się nieme pytanie i to pytanie odbiło się w oczach *müdiira*, w zdrowym oku, które w tym momencie groźnie drgnęło, ale także w szklanym.

Pański szwagier nie puścił pary z ust, rzekł *müdiir*, a to dlatego, że zniknął. Gdyby zdradził nam pan, gdzie się ukrywa, znacznie poprawiłoby to pańską sytuację.

Nie mam pojęcia, odparł twój ojciec.

Naturalnie. Przecież został pan aresztowany wcześniej.

No właśnie, rzekł twój ojciec.

I nie wie pan, gdzie mógłby się ukrywać?  
Skąd miałbym wiedzieć? powiedział twój ojciec.  
W ogóle nic pan nie wie.

Jestem niewinny, *müdüür bej*.

Proszę nam powiedzieć, co pan wie.

Nic nie wiem, *müdüür bej*.

Na pewno słyszał pan kiedyś o Ochranie?

Pierwszy raz słyszę to słowo.

To nazwa rosyjskiej służby tajnej.

Tak? Nie wiedziałem o tym.

Ludzie z Ochrany działają na tyłach naszego frontu. Są to przeważnie rosyjscy Ormianie, którzy wysyłani przez Rosjan na drugą stronę łatwo mogą się zaszyć gdzieś u Ormian tureckich. Wielu z nich mieszkało na terytorium Turcji, zanim przenieśli się do Rosjan, mówią po turecku i ormiańsku i trudno ich odróżnić od Ormian tureckich. Mają nawet ważne dokumenty. Mimo to dzień w dzień łapiemy kilku. Znajdujemy ich wszędzie wśród ormiańskich handlarzy, rzemieślników, a nawet wśród chłopów.

Nic mi o tym nie wiadomo, *müdüür bej*.

Z początku myśleliśmy, że pan, *efendi*, został przysłany przez Ochranę. Potem jednak powiedzieliśmy sobie: Ochrańca wysyła swoich ludzi przez granicę turecko-rosyjską. Łatwo ich przemycić. Dlaczego miałyby zadawać sobie trud sprowadzania kogoś z Ameryki?

No właśnie, *müdüür bej*.

I wysłała go akurat do Bosforu, do Dardaneli i na półwysep Gallipoli?

No właśnie, *müdüür bej*.

A tym bardziej do Bośni, byłej prowincji tureckiej, anektowanej przez Austriaków, której stolicą jest Sarajewo?

No właśnie, *müdüür bej*.

Widzi pan, *efendi*. Dlatego założyliśmy, że pracuje pan dla Amerykanów, mimo że Ameryka jest neutralna i nie rozumiemy, dlaczego amerykański prezydent chce wszcząć u nas powstanie Ormian.

Nic mi nie wiadomo o żadnym powstaniu, *müdüür bej*.

Dlatego powiedzieliśmy sobie, że może pan pracować dla Anglików i Francuzów.

Dla jakich znowu Anglików i Francuzów?

Po prostu dla Anglików i Francuzów.

Nic z tego nie rozumiem, *müdüür bej*.

Wszystko wydaje się bardzo skomplikowane, rzekł *müdüür*.  
Ale najbardziej nawet skomplikowane rzeczy bywają często najprostsze.

Tak, *müdüür bej*.

To naturalnie tylko takie powiedzenie. Chodzi mi o to, że na pewno słyszał pan już kiedyś podobne zdania?

Owszem, *müdüür bej*.

A mimo to istnieją powiedzenia, które zgadzają się z rzeczywistością.

Możliwe, *müdüür bej*.

No widzi pan, *efendi*.

Jestem genialnym człowiekiem, oświadczył *müdüür*. Tyle że w Konstantynopolu o tym nie wiedzą.

Rozumiem, *müdüür bej*.

Zawsze byłem genialny, tylko nikt nie chciał przyjąć tego do wiadomości i nikt nigdy tego nie zauważył.

Tak, *müdüür bej*.

Mam pomysły.

Tak, *müdüür bej*.

Wierzy pan, że mam pomysły?

Tak, *müdüür bej*.

Niedawno powiedziałem do *walego* Bekiru: Ten Wartan Chadisjan nie ma nic wspólnego ani z Ochraną, ani z żadną inną rosyjską służbą tajną. Nie został też przysłany przez Amerykanów ani przez Francuzów czy Anglików. To nikt inny tylko agent światowego spisku ormiańskiego.

Światowego spisku ormiańskiego?

Tak, *efendi*.

Nigdy dotąd o nim nie słyszałem.

Wygląda na to, że nigdy dotąd niczego pan nie słyszał, nieprawdaż, *efendi*?

Kiedy jeszcze studiowałem za granicą, rzekł *müdüür*, spotkałem ludzi, którzy opowiedzieli mi trochę o protokołach

mędrców Syjonu. Mówili też o światowym spisku żydowskim. I wie pan co, *efendi*? Wyśmiałem ich. Powiedziałem im: Ci Żydzi to ludzie od drobnych interesów, zupełnie nieszkodliwi. Znam paru ze Smyrny, Stambułu i Bekiru. Powinniście poznać naszych Ormian i Greków. A później, kiedy wróciłem do Turcji, często zastanawiałem się nad ich słowami. A im dłużej się nad nimi zastanawiałem, z tym większym przekonaniem wykluczałem Żydów z listy winnych. I co dziwne, potem także Greków. Został tylko jeden naród winny wszelkich nieszczęść.

Jaki?

Ormianie, oświadczył *müdüür*. Ormianie siedzą wszędzie, gdzie zło kręci kołem dziejów świata. Wszelkie dźwignie są w ich rękach.

Nic o tym nie wiedziałem, *müdüür bej*.

A najgorsze jest to, że chcą ukreścić bat na nas, Turków.

Nic o tym nie wiem, *müdüür bej*.

Istnieje światowy spisek ormiański, ciągnął *müdüür*. W rzeczywistości to Ormianie kierują zza kulis tą wojną. Ich ostatecznym celem jest zniszczenie ludzkości. Ale najpierw chcą zaszkodzić nam, Turkom. I dlatego zaplanowali tę wojnę. A pan, *efendi*, jest ich agentem.

Nie jestem żadnym agentem, *müdüür bej*. W ogóle nie wiem, o czym pan mówi.

Więc kim pan jest?

Byłem rolnikiem, *müdüür bej*. A później czytałem książki i pisałem wiersze, i robiłem wszelkie możliwe rzeczy, lecz nie miałem prawdziwego zawodu.

Niech pan nam powie, *efendi*, kto pana przysłał.

Nikt mnie nie przysłał, *müdüür bej*.

I niech pan nam powie, co pan wie o tym światowym spisku ormiańskim.

Światowy spisek ormiański! Przy tych słowach stambulskie pióro pisarza wykonało kilka podskoków, więc *basz-kiatib* przekreślił całe zdanie i napisał je jeszcze raz. *Müdüür* nie lubił, gdy pisarz przekreślał jakieś zdanie tylko po to, aby napisać to samo po raz drugi, ale cóż było robić. Takie rozdygotane



zdanie z zawijasami, pętlami, zygzakami i podskokami nie mogło po prostu stać w tekście, zwłaszcza że ów tekst napisany był świętym urzędowym atramentem w kolorze liliowym. Pisarz zerknął lękliwie na *müdüra*. Nagle znowu zaszumiało mu w uszach, podobnie jak wcześniej, kiedy padło podobne zdanie o światowym spisku ormiańskim; ścisnęło go w żołądku i poczuł ukłucie jakby tysiąca i jednej igły, jak gdyby wszyscy Ormianie na tym świecie wyrzynali w jego żołądku za pomocą tysiąca i jednej igły baśń o światowym spisku ormiańskim. Odbiło mu się kwasem, lecz dzielnie połknął ślinę, żeby nie wzmacniać rozdrażnienia *müdüra*. Zapiisał jeszcze jedno zdanie wypowiedziane przez więźnia: Nic nie wiem, *müdür bej...* a potem słyszał już tylko szum w uszach i czuł ukłucia tysiąca i jednej baśniowych igieł. Na szczęście jednak przesłuchanie się skończyło, gdyż Allah zadbał o to, żeby *müdürowi* nie przyszło już nic do głowy, dzięki czemu jego pisarz nie potrzebował nastawiać uszu, by zapisać coś, co bezwarunkowo musiało znaleźć się w protokole. I Allah, pochwalone niech będzie imię jego, zadbał również o to, że *müdür* wreszcie klasnął w dłonie... trzy razy... i do pokoju wpadło trzech żandarmów z bagnietami osadzonymi na karabinach, jakby ormiańskie powstanie już wybuchło, i to w biurze *müdüra*, akurat tutaj, a właściwie czemu nie... tylko po to, żeby się przekonać, iż świat otomańskiego biura jest jeszcze w porządku.

*Zaptijeler* wyprowadzili więźnia, to znaczy ściągnęli go z tego dziwnego zachodniego, frankońskiego krzesła, sprawdzili kajdany u nóg, stwierdzili, że więzień nie może uciec, popchnęli go w kierunku drzwi i wreszcie zniknęli z nim w korytarzu. *Müdür* siedział dalej przy biurku i oglądał swoje poobgryzane paznokcie. Następnie wyjął z kieszeni po lewej stronie munduru mały posrebrzany pilniczek do paznokci i zaczął je piłować. Pisarz pozbierał swoje przybory, odchrząknął i przełknął głośno ślinę.

Źle się pan czuje? spytał *müdür* nie podnosząc wzroku.

Kłuje mnie w żołądku, odpowiedział pisarz.

Za dużo jada pan *baktawy*, rzekł *müdür*.

Tak, *müdür bej*, przyznał pisarz.

A kto sprzedaje panu *baktawę*?

Ormiańscy piekarze, odparł pisarz.

Ci ormiańscy piekarze wkładają do *baktawy* czubki igieł, żebyśmy my, Turcy, myśleli, że to wina naszego żołądka, który nie przyswaja obcej materii.

Tak, *müdüür bej*.

Również to należy do światowego spisku ormiańskiego, rzekł *müdüür*.

4

Kiedy *müdüür* łaskawym ruchem ręki odprawił pisarza, ten udał się do kancelarii na drugim piętrze *hükümetu* i przekazał akta Wartana Chadisjana woźnemu Osmanowi mówiąc: To ważne tajemnice państwowe, należy zamknąć je starannie; czynię pana osobiście odpowiedzialnym. Wręczył mu także kałamarz i stambulskie pióro, piasek oraz tabliczkę do pisania i dodał: Gdyby mnie ktoś szukał... jestem w ustępie, po czym zawrócił i trapiiony przez skurcze żołądka, zwijając się z bólu ruszył pustym korytarzem. Po drodze spotkał paru żandar-mów, którzy stali beczynn timer i gadali. Na końcu długiego korytarza ujrzał trzech mężczyzn i pozdrowił ich uniesieniem; jeden z nich był właściwie tylko aptekarzem, zwykłym *edż-zadzým*, ale zarazem szwagrem naczelnika sądu Chalila beja; zastanawiające było już to, że ów *edżzadzý* stoi sobie w *hükümetcie*, i to w towarzystwie dwóch panów, którzy bywali częstymi gośćmi *walego* Bekiru: *defterdara*, czyli podskarbiego Alego beja, o którego względy zabiegali wszyscy urzędnicy, oraz przebiegłego *awukata* Hasana agi, podobno najlepszego adwokata w całym *wilajecie*, Ormianina z pochodzenia, który mimo złej krwi swej ormiańskiej prababki cieszył się zaufaniem *walego*. Czego ten aptekarz tutaj szuka? Pisarz przypomniał sobie, że apteka *edżzadzego* mieści się w budynku należącym do pewnego Ormianina, budynku, o którym mówiono, że ma być skonfiskowany i sprzedany na

licytacji. Co tu się właściwie dzieje? Czyżby szwagier Chalila beja zamierzał kupić dom Ormianina na licytacji? Po co ci trzej tutaj stoją? W dodatku przed biurem *walego*? Pisarz minął niepewnym krokiem grupkę stojących mężczyzn. Na końcu korytarza znajdował się ustęp. Spróbował otworzyć drzwi. Okazało się, że są zamknięte.

Zirytowany nasłuchiwał przez chwilę pod drzwiami, chcąc ustalić, czy ustęp faktycznie jest zajęty, czy tylko drzwi, wbrew przepisom, zacinają się, nie stwierdził jednak nic podejrzanego. W drzwiach nie było dziurki na klucz, lecz można je było — o czym wiedział z doświadczenia — zaryglować od wewnątrz. Pisarz stał przed ustępem zgięty w pół i nie mógł się zdecydować. W końcu odkrył w pozbawionych dziurki na klucz drzwiach małą szparę. Zdjął okulary, schylił się i przycisnął krótkowzroczne oczy do szczeliny. Para nóg, pomyślał. Nic więcej nie widać. W każdym razie ustęp jest zajęty. Trzeba więc odczekać, aż ten człowiek wyjdzie.

Pisarz zaczął przechadzać się przed ustępem tam i z powrotem. Żołądek bolał go coraz bardziej, lecz ból w pewnym sensie stępiał i zdawał się powoli odpywać. Mimo to pisarz nie czuł ulgi. Spróbował ponownie zajrzeć przez szczelinę w drzwiach. Tym razem udało mu się dostrzec także czerwony fez człowieka kucającego nad otworem w podłodze, z głową między kolanami. Jak pająk, pomyślał. Ale pająki są chude, ta głowa zaś jest masywna, a fez wydaje się znajomy. Nagle człowiek w ustępie podniósł głowę i spojrzał dokładnie w szczelinę w drzwiach. Wystraszony pisarz cofnął się gwałtownie. Człowiekiem w ustępie był bowiem nie kto inny tylko gubernator prowincji we własnej osobie: *wali* Bekiru.

Człowiek nierozsądny zapukałby teraz do drzwi, aby zasygnalizować *walemu*, że ktoś inny też ma prawa i żeby się łaskawie pośpieszył, lecz pisarz był zbyt bojaźliwy, by podejmować takie ryzyko i drażnić potężnego męża. Nie był także głupcem, który wierzy w hasła głoszone przez młodoturków, a mianowicie: równe prawa dla wszystkich Osmanów. Wiedział dokładnie, gdzie jego miejsce, miejsce pisarza, i wiedział, że wystarczyłoby jedno skinienie *walego*, żeby go zniszczyć. Toteż wykonał po prostu w tył zwrot i ruszył do innego ustępu.

W bekirskim *hükümet* istotnie był drugi ustęp, nowiu-teńki, wykończony zaledwie przed dwoma tygodniami, osiągnięcie techniki budowlanej w samym środku wojny, nie kwestionowane nawet przez wrogów Turcji. Winny tego marnotrawstwa w ciężkich czasach, kiedy należało wszak oszczędzać na każdym kroku, był architekt Hajdar *efendi*, który przy pomocy przebiegłego prawnika Hasana agi, potomka ormiańskiej prababki w trzecim pokoleniu, najświetniejszego *awukata* w całym *wilajecie*, zdołał wycisnąć pieniądze z Konstantynopola, aby zbudować możliwym *wilajetu* drugi ustęp w budynku rządowym. W listopadzie 1914 roku, a więc kiedy wybuchła wojna, uważano by takie przedsięwzięcie za niemożliwe, ale dziś nawet sceptycy mogli się przekonać, że są rzeczy, o których mówi się, że człowiek patrząc nie wierzy własnym oczom. Adwokat Hasan aga posiadał rzecz jasna przekonujące argumenty przemawiające za tą budową, argumenty, których stambulscy młodoturcy nie mogli odrzucić bez asekuracji ze strony rządzącego triumwiratu, czyli Enwera Paszy, Talaata Beja i Dżemala Paszy. A owej asekuracji nie mieli. Argumenty były zresztą jasne i zrozumiałe, gdyż — jak napisał adwokat — od bekirskich żandarmów, filarów prawa i porządku, nie można wymagać, by stali godzinami w kolejce przed jednoosobowym ustępem tylko dlatego, że możni mają tam pierwszeństwo, taka sytuacja — pisał adwokat — pozostaje w sprzeczności z ideami Komitetu Jedności i Postępu, poza tym od przedstawicieli porządku nie można wymagać, aby jak dotąd przeważnie i albo zawsze i wciąż, albo po prostu chcąc nie chcąc i z powodu tasiemcowych kolejek dalej chodzili za każdym razem na podwórze więzienne, po drugiej stronie muru oddzielającego *hükümet* lub więzienie — w gruncie rzeczy jest to ten sam mur, wszystko zależy od perspektywy, z której się nań patrzy — tylko po to, by załatwić tam, a mianowicie na podwórzu więziennym, potrzebę fizjologiczną, tam, to znaczy w latrynie, która nie jest nawet zadaszona. I dlatego — pisał adwokat — że takie wymaganie nie jest uzasadnione, gdyż *zaptijeler* i przedstawiciele prawa i porządku musieliby kucać w tej nie zadaszonej latrynie obok więźniów, samych Ormian i jak obecnie wiadomo, zdrajców

kraju. Taka sytuacja, pisał adwokat, źle wpływa na morale wojska, gdyż owi Ormianie są przebiegli, nie mają przed nikim respektu, szpiegują każdego Turka, nie mają nawet paznokci, bo dawno im je słusznie powyrywano, śmierdzą od brudu, są niedomyci, roznoszą choroby zakaźne, mają oparzeliny, ropiejące rany i wszy, często nie mają języków, czasem również oczu, a mimo to mówią i wydają się widzieć, ponieważ Ormianie potrafią rzucać czary, co jest rzeczą powszechnie znaną. A ponadto, jak pisał adwokat, nie zadana latryna nie jest zabezpieczona przed wiatrem i deszczem. *Zaptijeler* przeziębają się, mundury im przemakają, często się niszczą, a to kosztuje państwo dużo pieniędzy.

Krótko mówiąc: *wali* Bekiru, który w rzeczywistości stał za skierowanym przeciwko niemu zażaleniem, otrzymał pieniądze z Konstantynopola, ich większą część schował do własnej kieszeni, a za resztę zbudował dla żandarmów i urzędników niższego stopnia drugi ustęp, nie jednoosobowy, tylko przestronny, demokratyczny, duży ustęp z dziesięcioma otworami, przeznaczony dla dziesięciu tyłków, nie wymagający stania w kolejce, dokładnie to, czego trzeba w erze rewolucji młodotureckiej, rewolucji, która wypowiedziała wojnę zacofaniu, a więc w duchu Komitetu Jedności i Postępu.

I tam udawał się teraz *basz-kiatib*, w cywilu nazywany *Abdul efendi*, syn mirzy Selima, były *jazydzy*, czyli pisarz publiczny na bekirskich bazarach, obecnie starszy pisarz w *hükümetcie*.

Większość biur w *hükümetcie* skończyła już pracę, nic więc dziwnego, że i nowy ustęp był przepelniony, gdyż zbliżała się pora modlitwy wieczornej i drobni urzędnicy oraz *zaptijeler* opróżniali z przyzwyczajenia pęcherze i jelita, zanim pośpieszyli do meczetów. Dla wielu popołudniowa wizyta w toalecie była świętym obowiązkiem, gdyż należała do oczyszczeń podobnie jak przepisowe obmycia. Ponieważ ustęp został zbudowany w duchu Komitetu Jedności i Postępu — co było rzeczą powszechnie znaną — więc nie miał również drzwi wejściowych, przed którymi trzeba by stać w kolejce. Jak to się mówi: demokratyczny ustęp, przeznaczony dla

wszystkich, każdy mógł wchodzić i wychodzić, kiedy mu się podobało.

Gdy starszy pisarz dotarł do nowego ustępu, zderzył się z niemieckim oficerem, który wyszedł akurat z ubikacji, przemknął obok niego i zniknął w długim korytarzu *hükümetu*. Na Allaha, pomyślał pisarz, tego urodziwego jasnowłosego podporucznika już przecież kiedyś widziałeś, lecz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy to było. A może jednak tak? Naturalnie. Wczoraj w łaźni parowej. Nie ulega wątpliwości. Czego tu szukał ten Niemiec? Niemiecki oficer?

Wszedł z wahaniem do zadymionego, śmierdzącego pomieszczenia. Nad dziesięcioma otworami wisiało dziesięć tyłków. Wszystko zajęte, pomyślał pisarz. Zauważył paru ludzi, którzy stali czekając pod ścianami ustępu. A więc jednak kolejka, pomyślał, mimo że na kolejkę nie wygląda. Stał między czekającymi mężczyznami. Wszyscy go znali. Jeden powiedział: Papierosa, *basz-kiatib aga*?

Jestem niepalący, odparł pisarz.

Ale jednego może pan przecież zapalić, *basz-kiatib aga*. Chyba że chce mnie pan obrazić?

Nie, odrzekł pisarz. Na Allaha, tego na pewno nie chcę.

Wziął papierosa, podano mu ogień. Ze też człowiek każdego się boi, pomyślał, nawet zwykłego *zaptije*. Dlaczego nie odważył się go obrazić?

No, jak smakuje papieros? spytał *zaptije*.

Dobry, powiedział pisarz.

Bułgarski, wyjaśnił *zaptije*. Ci Bułgarzy to wprawdzie niewierne świnię, zdrajcy ludu i przyjaciele Rosjan, ale mają dobry tytoń.

Owszem, potwierdził pisarz. Palił pokaszłując. Było mu niedobrze, bóle żołądka zaczęły się na nowo, a baśń o światowym spisku ormiańskim kłuła jeszcze mocniej niż przedtem tysiącem i jedną igłą.

Kucał pomiędzy jednym z żandarmów a tłumaczem Farukiem agą. Także tłumacz Faruk aga zaproponował mu papierosa i pisarz ponownie nie ośmielił się odmówić.

Widział pan tego Niemca? spytał tłumacz. Właśnie opuszczał toaletę, kiedy pan wchodził.

Owszem, potwierdził pisarz.

Często tutaj przychodzi, żeby pokazywać tyłek.

Tak, powiedział pisarz.

Jest pedalem niczym grecki *arbadży*, splotzony przez jednego z ich pedalskich kapłanów z brodatą zakonnica. Znał pan kiedyś jakiegoś greckiego *arbadżego*?

Nie, odparł pisarz. Większość *arbadżych* w tych stronach to Ormianie. Rzadko zresztą biorę *arbę*, te dorożki są dla mnie za drogie.

A więc chodzi pan pieszo?

Zawsze chodzę pieszo, rzekł pisarz.

Nigdy nie wyjeżdża pan dalej?

Rzadko.

To czym pan jeździ, skoro nie bierze pan *arby*?

Koleją Bagdadzką wybudowaną dla nas przez Niemców.

A jak się pan dostaje do Kolei Bagdadzkiej? O ile mi wiadomo, pociąg nie jeździ jeszcze przez góry Taurus, a do najbliższej stacji kolejowej jest przeszło dzień drogi.

Do stacji jeżdżę *arbą*.

A więc jednak.

W zasadzie tak.

Dziwak z pana.

Chodziło mi tylko o to, że nie biorę *arby* w obrębie miasta.

A kiedy jedzie pan do najbliższej stacji kolejowej? Nie bierze pan wtedy Greka, greckiego *arbadżego*?

Nie, odparł pisarz. Zawsze biorę tego samego *arbadżego*. A on jest Ormianinem.

Wracając do tego Niemca, rzekł tłumacz Faruk aga. Nie uważa pan, że jest piękny, piękny jak jasnowłosy anioł?

Nie przyglądałem mu się tak dokładnie.

*Zaptijeler* nie mogą się napatrzeć na jego tyłek.

Możliwe, mruknął pisarz.

Ci Niemcy to dziwny naród, rzekł tłumacz. Widział pan kiedyś wypchane kieszenie ich mundurów, zwłaszcza wypchane kieszenie spodni?

Owszem, potwierdził pisarz.

I nic się panu nie rzuciło w oczy?

Nie, odparł pisarz.

Dlaczego nic się panu nie rzuciło w oczy?

Nie wiem.

Niemieckie mundury wyglądają tak, jakby noszący je żołnierze wpychali do kieszeni orzechy włoskie. Ale to nie orzechy.

Tylko co?

Papier gazetowy.

Papier gazetowy?

Tak.

Na Allaha! Kto by tam wpychał sobie do kieszeni papier gazetowy?

Niemcy.

Ale po co?

Bo twierdzą, że w Turcji nie ma papieru toaletowego.

A co to jest papier toaletowy?

Taki papier, którym Europejczycy podcierają sobie tyłek.

Ależ tyłka nie podciera się papierem!

No właśnie. Tak też powiedziałem tym Niemcom. Ale oni do tego stopnia boją się ustępów bez papieru toaletowego, że bez gazety nigdy nie wychodzą z koszar. I zawsze biorą ze sobą cały zapas.

Owszem, potwierdził pisarz. To do nich podobne.

Pamiętają o wszystkim, rzekł tłumacz Faruk aga. Wszystko jest u nich zaplanowane i wcześniej przemyślane.

Owszem, powtórzył pisarz.

Kiedyś pewien Niemiec powiedział do mnie: Wy, Turcy, podcieracie tyłek samą ręką, i to lewą. Przedtem naturalnie polewacie ją odrobiną wody studziennej. A wodę bierzecie z dzbanów stojących w każdym ustępie. Tak jest, powiedziałem. A dlaczego nie macie w toaletach papieru, nawet gazetowego? Bo w Koranie nie ma nic o papierze gazetowym, powiedziałem. A co jest w Koranie? zapytał. Dokładnie tego nie wiem, powiedziałem, ale na pewno coś o wodzie i piasku. Wodą i piaskiem człowiek powinien oczyścić się przed Alahem. I wie pan, co jeszcze powiedział ten Niemiec?

Nie, odrzekł pisarz.



W zasadzie to nie macie w ogóle ustępów, powiedział.

Jakże to? zdziwił się pisarz. Czyżbyśmy kucali tutaj w sali sułtańskiej rady? Czy to nie jest może toaleta?

U Franków, tak mówił ten Niemiec, a mianowicie w całym Frankistanie, ludzie siedzą na drewnianym lub porcelanowym osie bez głowy i ogona i ten osioł ma w grzbiecie wielką dziurę.

Zamierza pan może twierdzić, że Frankowie siedzą na dziurze, kiedy oddają Allahowi, czego nie strawili?

Dokładnie to, rzekł tłumacz.

W tym miejscu wtrącił się *zaptije* kucający po prawej stronie pisarza. Roześmiał się i powiedział: Frankowie siedzą na dziurze. To przecież niemożliwe.

Ale tak jest, potwierdził tłumacz.

Ci niewierni mają diabelskie zwyczaje, oświadczył *zaptije*. Siedzą podczas srania, potem nie myją tyłka, jedzą świńskie mięso, nie wierzą w Proroka i wpychają sobie gazety do kieszeni.

Wynaleźli też przecież farbę drukarską, dodał tłumacz.

Jaką znowu farbę drukarską?

Do drukowania gazet.

Żeby wypychać sobie nimi kieszenie munduru?

Dokładnie tak.

I podcierać sobie potem tyłek?

Nie inaczej.

Następnie tłumacz wzdychając opowiedział pisarzowi o nawale pracy, przeciążeniu obowiązkami, licznych nadgodzinach i zaległych pensjach.

Czy pan też, *basz-kiatib aga*, nie dostaje pensji od trzech miesięcy?

Od pięciu, Faruk aga.

A z czego pan żyje?

Tylko Allah to wie, odparł pisarz.

Nasze pensje znikają w kieszeniach możliwych, zauważył tłumacz.

Na to nie ma dowodów, rzekł ostrożnie pisarz rozglądając się bojaźliwie.

Rzeczywiście nie ma dowodów, potwierdził tłumacz.

Naprawdę ma pan tyle pracy?

Owszem, przytaknął tłumacz. Przede wszystkim z wieloma Kurdami, ciągnął. Ta hołota nie mówi ani słowa po turecku. I kto musi tłumaczyć z kurdyjskiego na turecki? Oczywiście ja.

Znam jednak Kurdów, którzy nauczyli się tureckiego.

Niewielu jest takich.

A jak z innymi mniejszościami?

Nie jest tak źle, rzekł tłumacz. Z Żydami i Grekami rzadko są kłopoty, nawet Cyganie znad jeziora Urmia, którzy przechodzą przez dawną granicę perską, mówią parę słów po turecku. Najmniej kłopotów jest z Ormianami.

A jak jest z nimi?

Wszyscy znają turecki, a niektórzy mówią naszym językiem nawet lepiej od nas.

Co pan powie.

Ależ *basz-kiatib aga*, przecież to dla pana nie nowina.

Oczywiście, że nie nowina, a mimo to dziwię się za każdym razem, gdy ktoś zwraca mi uwagę na ten fakt.

Wielu Ormian rzeczywiście mówi po turecku lepiej od nas, powiedział tłumacz, i gdybym nie wiedział, że wszyscy są zdrajcami, niewiernymi, przyjaciółmi Rosjan i jedzą świńskie mięso, myślałbym, że to prawdziwi Turcy.

Nie podnosząc się z kucek, tłumacz zbliżył się do miejsca pod wyłożoną białymi kafelkami ścianą, gdzie stał dzban z wodą, wziął naczynie, prawą ręką nalał trochę wody na lewą, podmył tyłek trzykrotnie, osuszył mokre miejsce rękawem kaftana, podciągnął spodnie, odstawił dzbanek, skinął pisarzowi głową na pożegnanie, poczłapał obok czekających mężczyzn, którzy stali rozmawiając pod długą ścianą ustępu, po czym zniknął w otwartym wyjściu. Ledwo odszedł, jego miejsce zajął inny mężczyzna, który spuścił spodnie i przykucnął postępując nad dziurą w podłodze.

Może tłumacz Faruk aga ma rację, pomyślał pisarz, kiedy twierdzi, że czasem wydaje się, iż Ormianie rzeczywiście są prawdziwymi Turkami. Szkoda, że tłumacz nie kuca już obok niego, gdyż chętnie by do niego teraz powiedział: Wie pan,

Faruk aga, są ludzie, którzy twierdzą nawet, że Ormianie to najlepsi obywatele, prawdziwi Osmanie, i że możemy być z nich dumni. Potem pomyślał jednak, że takie zdanie, nawet tylko powtórzone, jest niebezpieczne. Uznał więc, że to właściwie całkiem dobrze, że tłumacz Faruk aga czym prędzej podmył tyłek i opuścił ustęp. Przypomniawszy sobie: wczoraj w łaźni parowej. Często do niej chodził, bo od lat był wdowcem, nie miał żadnych kobiet, brzydził się burdelami, a eunuch Hadzi *efendi* za kilka *para* obciągał mu kutasa.

*Basz-kiatib aga*, powiedział na powitanie eunuch, taki wytworny człowiek jak pan powinien właściwie chodzić do ormiańskiego *hamamu*, tego w ormiańskiej *mahalle*.

Bogaci Ormianie mieli tam basen z prawdziwego marmuru.

Owszem, Hadzi *efendi*, to prawda, powiedział. Ale minęły już czasy, kiedy obrzezany siadał między nieobrzezającami.

My natomiast mamy nieobrzezających w naszym *hamamie*, rzekł eunuch i wskazał mu niemieckiego oficera, który siedział nieco dalej między paroma Turkami na jednym z niższych stopni. To podporucznik. Jest jasnowłosy i młody, a poza tym to pedał. Podobno kręci się też po *hiikümece*, a dokładnie po nowym ustępie.

Tak? zdziwił się pisarz. Nie wiedziałem o tym.

I nie krępuje się przebywać wśród obrzezanych, choć sam jest nieobrzezającym.

No cóż, westchnął pisarz.

Wcześniej chciał, żebym mu obciągnął za trzy piastry. Ale wie pan, *efendi*, co mu powiedziałem?

Nie.

Powiedziałem mu: Nawet za pięć lira nie obciągnąłbym nie obrzezanego. Pfuj, niech diabeł go obciąga. Czy nie wie pan, że pod nie obcięty napletkiem gromadzi się wszelki brud, na przykład ropa i szczyny, i że wszystkie tureckie muchy uwielbiają tam siadać i się paść, podobnie jak na ropiejących oczach ślepych żebraków? Ależ *efendi*, powiedział Niemiec. Czyżby to nie był *hamam*? Łaźnia parowa? A po co właściwie jest łaźnia parowa? Po to przecież, żeby w czarodziejski sposób usuwać szczyny i ropę, i musze odchody. No widzi pan. Poza tym jestem czysty. Myję

swojego kutasa pięć razy dziennie, jak wy, Turcy, spocone nogi przed modlitwą. I daję panu pięć piastrów. Nie, odpowiedziałem. Za żadną cenę.

Był obrażony?

Dawno się uspokoił.

Później, gdy eunuch go wymasował, osmagał wierzbowymi różgami, mocno ugniół, a następnie obciągnął mu kutasa, przysiadł się do grupy, w której siedział także Niemiec.

Niemiec powiedział właśnie do jednego z Turków: Ci trzej powieszni Ormianie pod Bramą Szczęśliwości zmienili wizerunek miasta.

To prawda, przyznał Turek.

Jeśli sytuacja będzie się dalej pogarszać i front przysunie jeszcze bliżej, będzie się wieszać więcej. Nie tylko w Bekirze. Wszędzie, w całym kraju, będą wisieć Ormianie, we wszystkich miejscach publicznych.

Możliwe, zgodził się Turek.

Powinno się ich wszystkich powiesić, wtrącił inny Turek, całą tę ormiańską hołotę.

Takie postępowanie byłoby niepraktyczne, *efendi*, rzekł Niemiec. Rząd nie może zbudować tylu szubienic.

W takim razie powinno się ich wieszać na drzewach.

To jeszcze bardziej problematyczne, *efendi*. Proszę nie zapominać, że duże połacie Turcji są ubogie w drzewa, a miejscami wręcz zupełnie bezdrzewne. Wydaje się, że Allah w tych rejonach poskąpił drzew, żeby człowiek nie targnął się na jego dzieło stworzenia.

Co pan chce przez to powiedzieć?

Że Allah stworzył drzewo dla człowieka, rzekł Niemiec... jak wszystko w przyrodzie, lecz oczywiście nie po to, żeby człowiek wieszał na nim bliźniego swego.

Tylko Allah wie, w jakim celu stworzył drzewo.

Wie to z pewnością, potwierdził Niemiec.

Pisarz siedział cicho wśród mężczyzn w *hamamie*, wdychał parę i nastawiał uszu. Wtrysnął eunuchowi do bezzębnych ust kilka ładunków i czuł się kompletnie pusty.

Nie wiem, jak wy, odezwał się jeden z Turków, który nie brał wcześniej udziału w rozmowie. Nie wiem, jak wy, *efendiler*, ale ja nie pojmuję tego wszystkiego.

A czego pan nie pojmuje?

Czemu w ogóle prześladowane są Ormianie?

Wielu tego nie pojmuje, *efendi*. Ale nie wszystko przecież musimy rozumieć. Rozumie pan na przykład, dlaczego Ormianie są przyjaciółmi Rosjan i po kryjomu modlą się za cara?

Nie. Ja tego też nie rozumiem.

Spójrzcie na to ramię, którego już nie mam, powiedział jednoręki turecki major siedzący obok Niemca. Allah mi je odebrał. To było w listopadzie, podczas pierwszej wielkiej rosyjskiej ofensywy na Kaukazie. Byliśmy otoczeni, beznadziejna sytuacja. I wiecie, *efendiler*, kogo przysłał Allah, żeby uratować mi życie i przywrócić wolność?

Nie, *efendi*.

Ormianina. Moi Ormianie byli najlepszymi żołnierzami, rzekł major. Od innych oficerów słyszałem to samo.

Ależ *binbaszy bej*, jeśli tak jest i Ormianie są lojalnymi żołnierzami, to dlaczego wyrzucono ich z armii? Widziałem to na własne oczy. Ormiańskim oficerom zrywano naramienniki, a wielu rozstrzelano.

Nie wiem, *efendi*.

Musi być jakaś przyczyna.

Nie ma żadnej przyczyny.

Czyżby były bezprzyczynowe przyczyny?

Na to wygląda.

Ależ to absurd.

To nie absurd. Allah zna wszelkie przyczyny, również takie, które nimi nie są.

A więc możliwe, że bezprzyczynowa przyczyna jest jednak w rzeczywistości przyczyną, tylko my jej nie znamy?

Istnieje taka możliwość, *efendi*.

Czy może być tak, że nawet rząd nie zna przyczyny i w ogóle nie wie, dlaczego prześladowane są Ormianie?

Pewnie tak jest, *efendi*.

\*

Pisarz przypomniał sobie, że ze zmęczenia przysnął. Śnił krótko o ustach eunucha, a potem się obudził. Panowie przestali rozmawiać i drzemali. Jednoręki major usiadł z młodym Niemcem trochę z boku, na najwyższym, najgorętszym stopniu. Siedzieli tam ciasno przytuleni do siebie. Kiedy przyjrzał się im dokładniej przez obłoki pary, zobaczył, że Turek trzyma w ręku fujarę Niemca, jakby nie mógł jej już wypuścić. Na Allaha, pomyślał kręcąc głową. Wydało mu się, że kutas Niemca jest tylko przedłużeniem kutasa wielkiego niemieckiego cesarza. A my, Turcy, trzymamy się tego kutasa, pomyślał. Tak jest. Bo cesarz daje nam armaty. A bez armat nie można by prowadzić tej wojny.

Jakiś czas temu pisarz spytał pewnego derwisza, jak to jest z diabłem i kuszeniem. A derwisz odpowiedział: Kto złapie diabła za kutasa, tego ten kutas już nie wypuści.

Po kąpieli parowej poczłapał do Bramy Szczęśliwości, gdzie na długim sznurze wisiało trzech Ormian. Na skraju ulicy siedział stary ślepy żebrak, którego znał. Znał także małego chłopca kucającego u stóp starca.

Jak tam się wie, Mehmed *efendi*?

Ach, to pan, *basz-kiatib aga*. Dziękuję. Wie, mi się dobrze. Allah odebrał mi wzrok, ale za to podarował mi zdrowie.

Pisarz rzucił ślepcowi do chusty przedziurawioną półpiastrowkę i wmieszał się w tłum gapiów. Odkrył wśród nich dwóch tureckich dygnitarzy, których często widywał w *hükümetie*. Jeden był naczelnikiem sąsiedniej wioski, drugi notariuszem. Towarzyszył im Niemiec po cywilnemu, który nosił monokl.

Czy wiedzieliście, *efendiler*, spytał Niemiec, że Ormianie byli właściwie pierwszymi chrześcijanami?

Nie, *efendi*.

Przynajmniej z politycznego punktu widzenia. Oni pierwsi podnieśli chrześcijaństwo do rangi religii państwowej.

Pierwsi?

Owszem. To fakt. Wcześniej nawet niż Rzym.

Nigdy bym się tego nie spodziewał.

Później poróżnili się z wszystkimi innymi Kościołami. Nie wierzą bowiem w drugą naturę Chrystusa.

Co to znaczy?

Są przekonani, że Chrystus ma tylko jedną naturę, a mianowicie boską.

Naprawdę?

To tak zwana religia monofizycka.

Niemiec nabazgrał coś ołówkiem w swego rodzaju bloku rysunkowym, lecz pisarz nie zdołał wyraźnie dostrzec, co to było.

Przed czterema tysiącami lat mieszkała tutaj rasa długogłowa, powiedział Niemiec. Ale później ci długogłowcy zostali wyparci przez rasy krótkogłowe.

Wyparci?

Tak.

A kim są Ormianie?

Rasą krótkogłową. A poza tym armenoidalną. Przypuszcza się, że z domieszką dynarską.

Nic z tego nie rozumiem.

Widać to nawet u tych trzech wisielców. Cofnięty podbródek. Mocny, trochę zakrzywiony nos, jasnobrązowa skóra, kręcone ciemne włosy... Duże, wyraziste aksamitne oczy.

Ależ *efendi*. Oczy zmarłych są przecież zgaśnięte!

W tym momencie jeden z mężczyzn w toalecie zawołał: Uwaga! *Müdüür*! Wyrwało to pisarza z rozmyślań. W wejściu do toalety rzeczywiście stał uśmiechając się *müdüür*, z jedną ręką wspartą niedbale na biodrze.

Pisarz był jak sparaliżowany. Chciał sięgnąć po dzban z wodą, ale nie wykonał żadnego ruchu, po prostu kucał dalej, w tej samej pozycji. Widział, jak wystraszeni mężczyźni podciągają szybko spodnie i opuszczają ustęp. Chwilę potem zostali tylko we dwóch: on i *müdüür*.

Tym świniom tak się śpieszy, że zapomniały podmyć sobie tyłki, powiedział *müdüür*.

Owszem, odparł pisarz. Sięgnął wreszcie po dzban z wodą, lecz *müdüür* kazał mu zostać.

Niech pan poczeka, rzekł. Chciałbym jeszcze z panem porozmawiać.

Toaleta sprawiała wrażenie opuszczonej. *Müdüür* kucnął obok pisarza. Palił rosyjskiego papierosa z ustnikiem.

Coś takiego każdy inny przypląciłby głową, powiedział *müdüür* wskazując na rosyjskiego papierosa. Ale moje naprawdę pochodzą z przedwojennych czasów, a ja sam jestem poza wszelkim podejrzeniem.

Oczywiście, przytaknął pisarz.

*Müdüür* uśmiechnął się. Przed chwilą śnił pan, *basz-kiatib aga*. Stałem dość długo w wejściu i obserwowałem pana.

Nie śniłem, *müdüür bej*.

Nigdy nie śni pan z otwartymi oczami?

Nigdy, *müdüür bej*. Jako starszy pisarz nie mogę sobie pozwolić na coś takiego.

Ale ja obserwowałem pana, *basz-kiatib aga*. I powiadam panu: Wyglądało to tak, jakby pan śnił.

Także zwierzęta mają sny, rzekł *müdüür*. Mój kot na przykład. Miauczy przez sen.

Tak, *müdüür bej*.

Ale nie są to sny na jawie. W takim stanie potrafi śnić tylko człowiek.

Tak pan sądzi, *müdüür bej*?

Owszem, *basz-kiatib aga*. Niedawno miałem na jawie taki sen, zaczął *müdüür*. Widziałem drzewo. Bardzo duże drzewo. Które rosło w sercu Turcji. Ogromne drzewo. A na tym drzewie wisały wszystkie nasze lęki.

Jak wyglądały owe lęki, *müdüür bej*?

Wyglądały jak Ormianie. Jak Ormianie.

Przejdźmy do rzeczy, powiedział *müdüür* i zwróciwszy głowę w stronę pisarza, dmuchnął mu dymem w twarz, nie przejmując się wcale, że temu to przeszkadza. Pisarz nie odważył się zakaszczyć. Nie odważył się nawet pomyśleć o tym, że właściwie są to złe maniery i że powinien zaprotestować.



Pomyślał tylko: To zdanie *müdüür* wypowiedział już kiedyś — do więźnia, tego Ormianina Wartana Chadisjana, który nie ma tak naprawdę zawodu i twierdzi, że jest poetą. Przejdźmy do rzeczy, powiedział do niego *müdüür*.

Przejdźmy do rzeczy, *basz-kiatib aga*, rzekł *müdüür*.

Tak, *müdüür bej*, powiedział pisarz.

Co pan sądzi o tym Wartanie Chadisjanie?

Sądzę, że to zatwardzialec.

I ja tak uważam, *basz-kiatib aga*.

Nic pan z niego nie wyciągnie, *müdüür bej*. Ani słowa. Ten człowiek twierdzi, że jest niewinny i o niczym nie wie.

Winny czy niewinny, rzekł *müdüür*, ale zeznanie złożę. Zaręczam panu.

Tak pan sądzi, *müdüür bej*?

Przysięgam na głowę mojej matki, powiedział *müdüür*, mojej własnej matki, która mnie urodziła. I przysięgam na Allaha, który w swej mądrości dał mi język, żebym mógł na niego przysięgać. Ten Wartan Chadisjan złożę zeznanie. A nawet więcej. Zadbam o to, żeby przewieziono go do Konstantynopola. Tam też wszystko zezna.

Co zezna, *müdüür bej*?

Że istnieje światowy spisek ormiański.

A jak zamierza pan nakłonić go do tego, żeby zeznawał nie tylko tu, w Bekirze, ale i w Konstantynopolu?

Mam swoje sposoby, odparł *müdüür*.

Na Allaha, rzekł pisarz. Allah zna sposoby, żeby rozwiązać język nawet największemu zatwardzialcowi.

A ja rozmawiałem z Allahem, powiedział *müdüür*. I Allah mnie oświecił. Jutro z samego rana podyktuję panu zeznanie tego Wartana Chadisjana. Więzień nic o tym jeszcze nie wie, jego zeznanie... na piśmie, spisane liliowym atramentem... będzie dla niego zupełnym zaskoczeniem. Potem będzie je musiał tylko podpisać.

I podpisze?

Oczywiście.

Świadkowie też podpiszą?

Ależ naturalnie. Ja podpiszę, że byłem świadkiem i że przeczytałem zeznanie, i że jego podpis został złożony w mo-

jej obecności. I także pan podpisze, że był pan świadkiem. I inni podpiszą.

Będzie też ustne zeznanie?

Będzie. Ale później. Najpierw musimy mieć pisemne.

A jak będzie ze świadkami podczas przesłuchania?

Tak samo.

Kto będzie świadkiem?

Na przykład ja. Ale także *wali* i *mutasarryf*, i *kajmakam*. Może też paru tureckich i niemieckich oficerów.

Wkrótce nadejdą chrześcijańskie święta, rzekł *müdüir*. Najbliższe to Wniebowstąpienie Chrystusa. Dowiedziałem się o tym przypadkiem od pewnego więźnia. I wie pan, *basz-kiatib aga*, ilekroć zbliża się takie święto, chrześcijanie stają się bardziej zatwardziali. Dlatego ten Ormianin Wartan Chadi-sjan powinien złożyć zeznanie jeszcze w tym tygodniu.

Tak, *müdüir bej*. A co to jest Wniebowstąpienie Chrystusa? spytał pisarz.

To dzień, w którym ten dziwny święty poszybował do nieba, podobnie jak nasz Prorok na swym białym koniu Al Boraku.

Obaj mężczyźni milczeli. *Müdüir* palił w zamyśleniu, a pisarz wyglądał przez okno ustępu, pozbawione szyb i nie większe od dymnika, właściwie tylko otwór w ścianie, przez który sączyło się blade popołudniowe światło. Od czasu do czasu do spoczywającego w półmroku pomieszczenia dochodziły głosy i krzyki z sąsiedniego więzienia, po czym mieszały się z innymi głosami z biur i korytarzy *hükümetu*. Akurat kiedy *müdüir* rzucił papierosa między nogi, pod tyłek, w otwór na odchody, dokładnie w tym momencie zaczęli śpiewać muezini na minaretach. Jednego z muezinów słyszeć było wyraźnie, gdyż jego skrzeczący śpiew dobiegał z minaretu najbliższego meczetu, meczetu Chyrka-i Szerif Dżamii, czyli meczetu Świętego Płaszczu przy Kurusebil Sokahy, zaułku Wyszniętych Studni. *Allahu akbar*, śpiewał muezin. Bóg jest największy. Wzywał wszystkich wiernych, również *müdüira* i pisarza. Czterokrotnie tak wołał. Pisarz zamknął oczy i nasłuchiwał. Skrzeczący głos muezina wypełniał po-

mieszczenie krakaniem tysiąca i jednej wrony. Krążyły one wokół *müdüra* i pisarza niczym ogromne szare motyle, unosiły się nad ich głowami i przelatywały nad dziurami w podłodze. *Allahu akbar*, zawołał muezin po raz ostatni. Bóg jest największy. Zaprawdę, nie ma Boga oprócz Allaha. Zaprawdę, Mahomet jest posłańcem Boga. Nuże, do modlitwy! Nuże, do zbawienia! *Allahu akbar. La ilaha illa'llah*. Bóg jest największy. Nie ma Boga oprócz Allaha.

## 5

*Müdür* poszedł do domu. Pisarz także poszedł do domu. I wszyscy drobni urzędnicy z *hükümetu* oraz inni, petenci i interesanci, sprzątaczkę i *zaptijeler*, wszyscy, którzy późnym wieczorem nie mieli już tutaj nic do szukania, poszli do domu. Wszyscy poszli do domu. Został tylko nocny stróż i warta przed głównym wejściem. W *hükümetcie* było bardzo cicho. Dawno przebrzmiał śpiew muezinów, zniknęły kraczące ptaki w toalecie i duże szare motyle. Wśród ciszy rozbrzmiewał tylko głos bazarza, który mówił:

— Moja owieczko, jak widzisz, poszli do domu. Do Bekiru zakradła się noc.

Także twój ojciec słyszał w swojej celi wołanie muezina. Kiedy muezin zawołał po raz trzeci: Bóg jest największy, twój ojciec spokojnie zasnął. We śnie widział jednak szklane oko *müdüra*, które mówiło do niego: Widzisz to szklane oko, Wartanie Chadisjanie? Wygląda ni mniej, ni więcej, tylko jak oko Boga. Założę się bowiem z tobą, że Bóg, który jest największy, wcale nie widział martwych Ormian pod bramami miast i na rynkach. I nie będzie też widział tych, których się powiesi, obojętne, winnych czy niewinnych. Rząd powiesi ich jeszcze wielu. Wielu się także rozstrzela i straci. Wielu się po prostu zabije. I powiadam ci: Bóg ma szklane oczy. I powiadam ci: rząd rozpali wielki ogień. I miliony ciał zostaną do

tego ognia wrzucone. A wszystko będzie się odbywać na oczach Boga, które są ze szkła. I widzę duże jagnię z poderżniętym gardłem. I widzę, jak to jagnię wznosi krzyk do szklanego oka. A w szklanym oku nie ma odpowiedzi. A kiedy twój ojciec to usłyszał, obudził się i wiedział już, że jest zgubiony.

W następnych dniach niewiele się działo. Twój ojciec traktowany był przyzwoicie. Nie bito go ani nie torturowano. Także jedzenie nie było zatrute. *Zaptijeler* szczyrzyli zęby, gdy zaglądali do jego celi. A twój ojciec bał się. Trzeciego dnia zaprowadzono go do *müdüra*.

Oto pańskie zeznanie, oświadczył *müdü*r wskazując dokument leżący przed nim na biurku. Jak pan widzi, ja już podpisałem. Również starszy pisarz nie zwlekał ze złożeniem podpisu pod tym zeznaniem. Nawet *wali* podpisał i *kajmakam*, i *mutasarryf*. Wszyscy ci panowie potwierdzili swoim podpisem, że widzieli, jak pan, Wartan Chadisjan, przeczytał zeznanie, a potem własnoręcznie je podpisał. Brakuje jeszcze tylko jednego podpisu. Mianowicie pańskiego.

Ale ja nie składałem żadnego zeznania, rzekł twój ojciec.

Nie szkodzi, odparł *müdü*r.

Czy mogę przynajmniej przeczytać to zeznanie, którego nie złożyłem?

Oczywiście, zgodził się *müdü*r.

Po przeczytaniu zeznania twój ojciec oświadczył: Nie podpiszę tego.

Myli się pan, powiedział *müdü*r. Świadkowie wszak potwierdzili, że pan podpisał. Świadkowie to widzieli.

Świadkowie nic nie widzieli, rzekł twój ojciec. Kiedy niby miałem podpisać to zeznanie?

Dziś rano, odparł *müdü*r. Wpisana jest nawet godzina.

To prawda, potwierdził twój ojciec. Godzina jest wpisana.

No widzi pan, powiedział *müdü*r.

Na dokumencie jest jednak dziewięta dwadzieścia dwie przed południem. A teraz jest popołudnie.

Mozemy przecież cofnąć zegar, rzekł *müdü*r. Proszę mi wierzyć, *efendi*, dla Allaha to zupełnie obojętne, która jest

w rzeczywistości godzina. Bo co to jest rzeczywistość? Wie pan dokładnie? A słońce Allaha zawsze jest takie samo.

Nie podpiszę.

Pan musi podpisać, powiedział *müdü*r. W przeciwnym razie podpisy świadków byłyby przecież fałszywe. A chodzi bądź co bądź o *walego*, *mutasarryfa* i *kajmakama*, o starszego pisarza i o moją osobę. Chce pan może twierdzić, że wszyscy kłamali i niczegośmy nie widzieli? Wszyscy widzieliśmy przecież, jak własnoręcznie pan podpisywał!

Nie chcę niczego twierdzić, rzekł twój ojciec.

Podpisze pan teraz?

Nie.

*Müdü*r zaklaskał ze złością w dłoń. Na ten znak pisarz wstał, otworzył drzwi i przywołał żandarmów, którzy sterczeli beczynn timer na korytarzu. Właściwie powinni byli słyszeć już klaskanie *müdü*ra. *Müdü*r powiedział do nich coś, czego twój ojciec nie mógł słyszeć, więc pomyślał, że przyszli po niego. Może będą mu wyrywać paznokcie albo wymierzą zwyczajową bastonadę. Wiele już o niej słyszał. Chłostali człowieka różgami po podeszwach stóp, a potem posypywali rany solą i polewali olejem. Nic takiego jednak nie nastąpiło. *Zaptijeler* zniknęli jedynie na chwilę, by sprowadzić *kahwedżego*, sprzedawcę kawy, który wystawał przeważnie przed *hükümetem*. Ponieważ go tam nie zastali, zabrali *kahwedżego* z najbliższej kawiarni, *kahwechane* „Ar-Raszid”, czyli Sprawiedliwy. Wkrótce potem zjawili się z nim w *hükümetcie*. *Kahwedżi* nosił brudny turban, kaftan bez rękawów i szarawary. Nie myte nogi tkwiły w skórzanych sandałach. Żałoba za paznokciami była jeszcze czarniejsza niż najczarniejsza kawa, a kawa bywała w tym kraju czarna i mocna. *Kahwedżi* przyniósł trzy filiżanki kawy oraz *baktawę* i słodki jasnobrazowy budyń trudnego do zdefiniowania pochodzenia. Obsłużył *müdü*ra i pisarza, jak również więźnia. *Müdü*r rzucił mu srebrną *medżidije*, po czym *zaptijeler* chwycili *kahwedżego* i wyprowadzili za drzwi.

Radziłbym panu podpisać, powiedział *müdü*r mlaskając i siorbiąc.

Jak mogę podpisać, że istnieje światowy spisec ormiański? odparł twój ojciec. Jak mogę podpisać, że jestem jego narzę-

dziem i że z polecenia tych spiskowców przyjechałem do Turcji tuż przed wybuchem wojny? I co ja mam wspólnego z zamordowaniem austriackiego następcy tronu? Czegoś takiego nie mogę podpisać.

Jeśli pan nie podpisze, rzekł *müdiür*, każemy pana stracić. Ale nie publicznie, jak zamierzaliśmy. Po prostu każemy pana usunąć.

Jestem obywatelem amerykańskim.

Nie ma to wielkiego znaczenia, *efendi*.

Będą protesty!

Nikt nie będzie protestował, *efendi*, zwłaszcza gdy ktoś niestety umrze przypadkiem na zawał serca. Proszę nie zapominać: Ameryka jest krajem neutralnym. My natomiast jesteśmy w stanie wojny. Amerykanie nie będą się mieszać w nasze sprawy, zwłaszcza w sprawy szpiegowskie w rejonie przyfrontowym.

A prasa amerykańska?

Kto by się tam przejmował prasą! Prasa jest dziwką i zawsze głośno krzyczy.

Konsulaty będą protestować.

Myli się pan, *efendi*. Konsulaty będą przezornie milczeć. Jest wojna, *efendi*. A pan jest szpiegiem.

Nie jestem szpiegiem.

No cóż, zostawmy na boku tę kwestię.

A jeśli podpiszę?

Wtedy będzie pan winny.

I wtedy zostanę stracony?

Nie. Przeciwnie. Jeśli przyzna się pan do winy, zawieziemy pana do Konstantynopola. Tam opowie pan to samo, co jest w zeznaniu. Odbędzie się proces. Wielki proces. Publiczny proces. Cały świat będzie się przysłuchiwał. Także Ameryka i jej przedstawiciele. Także amerykański ambasador w Konstantynopolu... Morgenthau, Żyd, który bezsensownie wstawia się za Ormianami, naturalnie nam na złość, też będzie się przysłuchiwał. I wszyscy rozumieją, że Ormianie są winni.

Ale oni są niewinni!

To kwestia poglądów. Widzi pan, *efendi*. Jeżeli jest pan winny, to jest pan dla nas bardzo pożyteczny. A dopóki jest

pan pożyteczny, może pan żyć. To będzie wyjątkowo długi proces. I tym sposobem będzie pan mógł długo żyć.

A po procesie?

Po procesie już nie, rzekł *müdüür*. Ale na pańskim miejscu nie martwiłbym się tym teraz. Bo długi proces to długi proces. A kiedy pewnego dnia się skończy, skończy się może również wojna. A wtedy będzie obojętne, z naszego punktu widzenia, czy ma pan żyć czy nie. Może się bowiem zdarzyć, że zostanie pan wymieniony, choćby na jednego z naszych ludzi, którego złapali Rosjanie albo Anglicy, albo Francuzi. Widzi pan więc, że istnieje nadzieja. Tak to jest, *efendi*. Wiśni mogą mieć nadzieję.

Nie pojmuję tego, *müdüür bej*.

Nie wszystko trzeba rozumieć, *efendi*. Bywają czasy, kiedy niewinni muszą umierać, a winni mogą żyć. I w takich czasach lepiej być winnym. Rozumie pan to?

Nie, *müdüür bej*. Tego nie rozumiem.

Ten Ormianin w ogóle nic nie rozumie, powiedział później *müdüür* do pisarza, kiedy Wartan Chadisjan został odprowadzony z powrotem do celi. Rozumie pan, dlaczego nie rozumiem, że ten Ormianin niczego nie rozumie, choć właściwie powinien rozumieć to, co rozumie każdy idiota?

Nie, odparł pisarz.

Naturalnie łatwo można by go zmusić do podpisania, rzekł *müdüür*, to kwestia paru sekund. Dam panu przykład: mógłbym mu zagrozić pistoletem. Mógłbym mu przycisnąć pistolet do czoła. I wie pan, co by się wtedy stało?

Nie wiem.

Natychmiast by podpisał.

Sądzi pan?

Jestem tego całkowicie pewien, powiedział *müdüür*. Nie miałyby to jednak sensu.

Dlaczego?

Ponieważ chcemy go przewieźć do Konstantynopola, rzekł *müdüür*. I ponieważ ma tam wystąpić przed światową opinią publiczną i powtórzyć to wszystko, co jest w zeznaniu. Rozumie pan?

Nie, odparł pisarz.

No dobrze, powiedział *müdüür*. Jest tak: ten zatwardziały Ormianin ma oświadczyć w Konstantynopolu przed światową opinią publiczną, że istnieje światowy spisek ormiański, spisek przeciwko ludzkości, przeciwko wszystkim narodom, przeciwko prawu i porządkowi, spisek przeciwko moralności. A przede wszystkim przeciwko nam.

Przeciwko Turcji i Turkom?

Tak jest. I dlatego musimy go najpierw przekonać. To znaczy: musi uwierzyć w swój podpis.

A dlaczego?

Bo w przeciwnym razie podpis nie miałby sensu, a jego oświadczenie w Konstantynopolu nie wypadłoby przekonująco. Nie rozumie pan tego? Będzie mógł przekonująco mówić tylko wtedy, gdy sam będzie przekonany.

Teraz rozumiem, rzekł pisarz.

A jak najlepiej człowieka przekonać?

Nie wiem, odparł pisarz.

Napędzając mu strachu, wyjaśnił *müdüür*.

Strachu?

Naturalnie. Strachu.

Ależ ten człowiek jest już zupełnie zastraszony.

Jeszcze nie dość.

Ale jeśli przyciśnie mu pan pistolet do czoła...

Nie, nie, *basz-kiatib aga*. Tego trwającego parę sekund strachu nie wystarczy na Konstantynopol.

Chodzi panu o to, że zanim znajdzie się w Konstantynopolu, zapomni o nim?

Powiedzmy: przewycięży go.

Może by mu zagrozić egzekucją?

Już zagroziliśmy. Okazało się, że to nie wystarcza.

Wyjątkowy zatwardzialec.

Tak, to prawda, przyznał *müdüür*. Naturalnie moglibyśmy mu wyrwać paznokcie. Albo wymierzyć bastonadę. Ale proszę mi wierzyć: w przypadku takiego jak on odniesie to niewielki skutek. Poza tym to niemożliwe.

Dlaczego niemożliwe?

Bo nie może przyjechać do Konstantynopola bez paznokci. Albo ze zmasakrowanymi podeszwami stóp. Światowa opinia



publiczna mogłaby wtedy pomyśleć, że jesteśmy barbarzyńcami. Albo że zmusiliśmy go do zeznań. Albo coś innego. Nie, *basz-kiatib aga*, ten człowiek musi przybyć cało do Konstantynopola. A to, co tam powie, musi przekonać każdego, nawet obserwatorów państw neutralnych w Konstantynopolu, na przykład przedstawiciela Ameryki.

Kogo ma pan na myśli?

Przecież pan wie: Żyda Morgenthaua.

Ach, tego?

Tak, tego. Morgenthau jest w głębi serca Ormianinem. A przynajmniej wstawia się za nimi.

Trudna sprawa.

Istotnie, to dosyć trudne.

Widział pan tego ormiańskiego kapłana, którego powiesiliśmy pod Bramą Szczęśliwości?

Owszem, widziałem.

Znowu złapaliśmy jednego.

Ormiańskiego kapłana?

Tak.

Każę go pan powiesić?

Nie. Co do niego mam inne plany, odparł *müdiür*. Ten kapłan siedzi w celi boso. I dlatego mówię sobie: Ormianin nie powinien chodzić boso, nawet w celi, gdyż Ormianie to wrażliwa rasa.

To prawda, *müdiür bej*.

Dlatego mówię sobie: każemy podzelować tego ormiańskiego kapłana.

Jak mam to rozumieć?

Po prostu podkujemy go jak konia. Przybije mu się podkowy na gołe stopy.

Jakie podkowy?

Albo anatolijskie, wie pan, te cienkie ze zwykłej blachy, te z trzema otworami... albo, gdybym poprosił któregoś z niemieckich oficerów, podkowy używane przez niemiecką kawalerię. Niemieckie konie mają inne podkowy. Są grube na dwa palce i się nie wyginają.

Ale nie mamy miecha w więzieniu ani nawet tu, w *hükümetie*.

Miech można załatwić. W ostateczności przybijemy mu podkowy na zimno.

Bez miecha też powinno dać się zrobić, rzekł pisarz.

Jasne, powiedział *müdüür*. Kiedy więc będziemy podkuwać kapłana, każe sprowadzić tego Wartana Chadisjana, żeby się przyglądał. Może to go przekona.

Może, zgodził się pisarz.

A jeśli nie, będę musiał wymyślić coś innego.

Co? spytał pisarz.

Jeszcze nie wiem, odparł *müdüür*.

Czy nie dałoby się przekonać tego Wartana Chadisjana mądrymi słowami? spytał pisarz.

Nie, odrzekł *müdüür*.

A więc można tylko strachem?

Tak, potwierdził *müdüür*. Człowiek zastraszony bowiem słucha tylko własnego głosu, a jest to głos strachu. Dlatego z kimś zastraszonym rozmawiam w jego języku.

A jeśli ten zastraszony nagle przestaje się bać?

Czegoś takiego nie ma, odparł *müdüür*. Bo wtedy ten ktoś nie byłby zastraszony. Albo byłby świętym, którego serce Allah uwolnił od strachu.

Ten Wartan Chadisjan nie jest świętym.

Nie jest, potwierdził *müdüür*. Z pewnością nie jest.

Nagle w biurze *müdüüra* zrobiło się zupełnie cicho. Słyszeć było tylko skrobanie stambulskiego pióra, ponieważ pisarz zaczął sporządzać odpis zeznania. *Müdüür* zapalił *czubuk*, złożył głowę na oparciu frankońskiego fotela, zamknął zdrowe oko i tylko szklanym wpatrywał się w sufit. Jedyńm głosem w pomieszczeniu był głos bazarza, który mówił:

— Widzisz szklane oko *müdüüra*, moja owieczko? I widzisz stambulskie pióro pisarza? I drobny piasek, którego używa do osuszania? Kiedy odpis będzie gotowy, zostanie posypany piaskiem i osuszony, a potem powędruje do Konstantynopola i dotrze tam przed twoim ojcem. I idę z tobą o zakład, że wyląduje na biurku Enwera Paszy, boga wojny i wybawiciela wszystkich Turków. Widzisz, moja owieczko, jak pisarz zostawia nagle stambulskie pióro w kałamarzu,

jakby mu ścierpła ręka albo jakby musiał najpierw nad czymś się zastanowić? Przeczytać ci, co myśli w tej chwili, mimo że są to myśli, których nie powinien słyszeć *müdüür*? Ale nie martw się. Nikt nie słyszy mego głosu. Tylko ty możesz go słyszeć.

I *meddach* rzekł:

— Starszy pisarz myśli to i to. A myśli tak: Na Allaha, wszyscy się boimy. Ja boję się *müdüüra* i właściwie wszystkich przełożonych. I także *müdüür* się boi, choć nie wiem kogo i czego. Ale on też się boi. I dlatego chce zastraszyć innych, żeby ich strach zakrył jego własny.

I *meddach* rzekł:

— Ja jestem *meddach* i bazarz. To jedno i to samo. I dlatego mówię teraz do ciebie: Było kiedyś dwoje dzieci. I te dzieci poszły do lasu. W lesie stał domek z piernika, w którym mieszkała czarownica. Czarownica miała duży garnek. Bardzo duży. I kiedy zobaczyła w lesie dzieci, niedaleko od swojej chaty, pomyślała: Zwabię dzieci do chaty. A potem wsadzę je do dużego garnka. I ugotuję je, a potem zjem.

No cóż, moja owieczko. Ta czarownica mieszkała we Frankistanie, a nie w Anatolii. Tutaj wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Tu naprawdę wszystko wygląda inaczej i małych dzieci nie gotuje się w wielkich garnkach. A mimo to niektórzy tutaj przeżywają gorsze męki i strach niż małe dzieci, które mają być gotowane w wielkich garnkach. Tutaj strach nie unosi się wraz z oparami znad garnków, tutaj wisi wszędzie w powietrzu. Wdycha się go, czy się chce, czy nie chce.

I powiadam ci, moja owieczko: Był kiedyś ktoś, kto wyruszył w świat, żeby nauczyć się strachu. Ale ten ktoś nie dotarł do Anatolii.

— Działo się to wiosną 1915 roku — powiedział bazarz. — Był to okres przygotowań: przygotowań do wytępienia narodu albo do śmierci ofiarnej baranka, którego imię miało

być wymazane z księgi imion. Ale czas jeszcze nie nadszedł. Jeszcze prowadzono rozmowy, na przykład z twoim ojcem, który był zwykłym chłopem, a może jednak niezwykłym, gdyż był także sprzedawcą krowiego łajna i nocnym stróżem, i imał się wielu innych zajęć. Był również poetą. Czas jeszcze nie nadszedł. Zajmowano się nim. Oprowadzono go po więzieniu i pokazano mu podkuwanie kapłana. Pokazano mu także inne metody tortur, o których nie zamierzam teraz wcale mówić, czymże są bowiem wyrwane paznokcie lub zęby, lub brzuchy, które pękają, bo do ust wlano za dużo gnojówki. Czymże są ropiejące stopy, które tureccy strażnicy bili różgami przez wiele dni i które w końcu trzeba było obciąć, bo strażnicy nie mogli znieść smrodu? Twój ojciec widział to wszystko, widział także wózki do wywożenia zwłok, wyjeżdżające dzień w dzień z podwórza więziennego. I słyszał wycie ulicznych psów, gdyż zapach zgnilizny i rozkładu wydostawał się poza mury więzienia.

I bazarz, który nazywał siebie *meddach*, rzekł:

— Twój ojciec siedzi sam w celi. A mimo to nie jest sam, gdyż towarzyszą mu jego lęki. Opowiedzieć ci o jego lękach?

— Tak — powiedziała ostatnia myśl.

— I o jego snach na jawie, które podszeptują mu owe lęki?

— Tak — powtórzyła ostatnia myśl.

— A może pozwolić jego lękom, by same opowiadały?

— Jak chcesz — rzekła ostatnia myśl.

I lęki Wartana Chadisjana opowiedziały bazarzowi historię z pewnego snu na jawie, jaki Wartan Chadisjan śnił w swojej celi. A bazarz opowiedział tę historię ostatniej myśli:

— Pewnego ranka drzwi celi otwały się raptownie i do środka wszedł *müdüür* w towarzystwie dwóch żandarmów. Na zewnątrz został jednak jeszcze trzeci *zaptije* i mały człowieczek o krzywych nogach, którego trzeci *zaptije* chwycił zaraz za kołnierz i wepchnął do celi. Było ich więc pięciu: *müdüür*, trzech żandarmów i krzywonogi człowieczek. Na widok tego ostatniego twój ojciec mocno się wystraszył, gdyż człowie-

czek wyglądał jak anioł śmierci, którego przed laty, jako dziecko, widział kiedyś we śnie. Usłyszał jeszcze, jak *müdüür* mówi: Na Allaha, jego właśnie czekaliśmy. I stracił przytomność.

Kiedy twój ojciec ocknął się z omdlenia, zauważył, że anioł śmierci sam się boi. Był to mały człowiek z dużą łysiną. Który miał duże czarne wystraszone oczy. A poza tym orli nos i dziwne, krzywe nogi. *Müdüür* powiedział: To jest cementmajster. I kopnął czubkiem buta w tyłek jednego z żandarmów. Wiesz, co to jest cement? zapytał.

Nie, *müdüür bej*, odparł *zaptije*. Na Allaha, nie wiem.

*Müdüür* zapytał także innych żandarmów: Wiecie, co to jest cement?

A *zaptijeler* odpowiedzieli: Nie, *müdüür bej*. Na Allaha, nie wiemy.

Następnie *müdüür* zwrócił się do anioła śmierci, który w gruncie rzeczy był tylko małym, wystraszonym Ormianinem o krzywych nogach i orlim nosie, z dużą łysiną i dużymi czarnymi oczami: A ty wiesz, co to jest cement?

A mały człowiek odpowiedział: Tak. Jestem przecież cementmajstrem.

W tych stronach nie ma cementu, rzekł *müdüür* do twojego ojca. Ale w Konstantynopolu jest, i w paru innych dużych miastach też jest. Ten człowiek — to mówiąc wskazał małego, nerwowego Ormianina — pracował w Smyrnie dla pewnego zagranicznego przedsiębiorcy budowlanego i przywiózł woreczek tego diabelskiego proszku.

Przywiozłem woreczek, potwierdził mały człowiek.

Opowiedz mu — mówiąc to *müdüür* wskazał twojego ojca — co to jest cement i co można z nim zrobić.

Cement to taki proszek, wyjaśnił mały człowiek, który wynaleziono na Zachodzie, tam gdzie rodzą się wszelkie diabelskie wynalazki... Gdy zmieszać ten proszek z odrobiną piasku i odrobiną wody, to po pewnym czasie tężyje. I wtedy nazywa się beton.

Beton?

Tak. Beton.

Jaki twardy jest beton?

Jest bardzo twardy, *müdüür bej*.

Co się stanie, jeśli przy mieszaniu cementu wsadzi się przez nieuwagę palec do tej brei?

Jakiej brei?

Cementowej.

Nic się nie stanie, *müdüür bej*. Nic się nie stanie, jeśli zaraz wyciągnie się palec.

A jeśli się go nie wyciągnie i zostawi w brei?

Wtedy palec w niej utknie. Bo breja po pewnym czasie zamieni się w beton. Tak jak mówiłem przed chwilą.

A więc brei już nie będzie?

Nie.

Tylko stała, twarda masa?

Tak.

Czy znaczy to, że potem już się nie da wyciągnąć palca?

Owszem, *müdüür bej*. Potem już się nie da.

A co się stanie, gdyby wsadzić kutasa do tej cementowej brei?

Nic, *müdüür bej*. Zupełnie nic, jeśli się go zaraz wyciągnie.

A jeśli się go nie wyciągnie?

To kutas w niej utknie.

I nie da się go już wyciągnąć?

Właśnie tak.

Wtedy kutas pozostanie uwięziony po wsze czasy?

Tak, *müdüür bej*. Na całą wieczność.

— Widzisz, jak twój ojciec zaczyna się bać? — spytał bazarz ostatniej myśli. I dodał: — A mówiłem ci: Ten, który wyruszył w świat, żeby nauczyć się strachu, nigdy nie dotarł do Anatolii.

Tylko niewierni mogą wynaleźć coś takiego, stwierdził *müdüür*, i ludzie opętani przez diabła.

Owszem, przytaknął człowieczek. To prawda. I rzekł: Ja jestem cementmajstrem.

Ten cementmajster to Ormianin, rzekł *müdüür* do żandarmów. Należy do przebiegłej rasy, która sprzysięgła się

przeciwko ludzkości. Ormianie są zarozumiali i krnąbrni, ale gdy się ich karze, czołgają się człowiekowi u stóp. W gruncie rzeczy to bojaźliwa rasa, a ta bojaźliwość ma związek z ich płodnością. Ten tam — to mówiąc ponownie wskazał cementmajstra — ma trzynaścioro dzieci. I dobrze wie, co zrobię z jego dziećmi, jeśli nie wykona wszystkiego, czego od niego zażądam.

Zrobię wszystko, czego pan ode mnie zażąda, powiedział cementmajster.

Wszyscy Ormianie uważają, że są braćmi i siostrami, rzekł *müdüür*. Powiedz swojemu bratu, czego zażądałem od ciebie i co masz z nim zrobić.

Zażądał pan ode mnie, żebym mu zamurował wyjścia.

Jakie wyjścia? Wyjaśnij to swemu bratu.

Jedno wyjście, powiedział cementmajster, gdzie wychodzi to, co nie strawione. I drugie wyjście, gdzie wychodzi woda.

Następnie *müdüür* zwrócił się z uśmiechem do twojego ojca: Podpisze pan teraz zeznanie?

Nie, odparł twój ojciec. Niczego nie podpiszę.

— Wszystko, co wydarzy się teraz podczas snu na jawie — rzekł bazarz — łatwo można przewidzieć i my dwaj, ty i ja, moja owieczko, potrzebujemy w zasadzie tylko fantazji nie obdarzonego przecież fantazją *zaptije*, a więc jołopa, żeby wyobrazić sobie następną scenę z tego snu: *müdüür* rozkazuje związać twego ojca. *Zaptijeler* wpychają mu owczą wełnę do tyłka, bo waty brakuje i można ją znaleźć tylko u niemieckich sanitariuszy. Wciskają mu także owczą wełnę do kutasa — nie mają pincet, więc używają do tego celu zaostrzonych nożem zapalek — zatykają dziurki, upychają mocno, nie zwracają uwagi na krzyki twego ojca, nie zwracają również uwagi na cementmajstra, który przyniósł tymczasem woreczek z cementem oraz drewnianą misę i zaczyna wsypywać do niej miątki proszek, potem idzie po wodę i trochę piasku, wraca z długim patykiem i miesza, i rozrabia szarą masę.

— My dwaj — powiedział bazarz do ostatniej myśli — jesteśmy tylko obserwatorami, a ja, bazarz, potrafię wszystko, czego ty, moja owieczko, nie potrafisz. Potrafię także

czytać myśli. Ale myśli cementmajstra nie chcę czytać. Potrafię jednak wyobrazić je sobie. I mówię do ciebie tak: On nie myśli wcale, gdyż boi się własnych myśli. Albo: Myśli cokolwiek, na przykład, że wełny powinno wystarczyć na zatkanie dziur. Dlaczego *müdiir* chce, żebym na dodatek zalepił dziury cementem? Dużo nie potrzebuję. Dziura do szczania jest malutka, do srania trochę większa, ale znowu nie taka duża, żebym zużył cały zapas cementu. Mam go przecież pełny woreczek.

Później twój ojciec, ubrany tylko w kitel więzienny, wisiał przed zakratowanym oknem. *Zaptijeler* powiesili go za ręce, więc wyglądał jak część ubrania susząca się na sznurze.

Ile trzeba czasu, żeby to wyschło? spytał *müdiir*.

Kilka godzin, odparł cementmajster. Wtedy zamieni się w beton.

I już nigdy nie będzie mógł srać ani szczać? zapytał jeden z głupich żandarmów.

Nigdy, potwierdził *müdiir*.

Ma pan kilka godzin, żeby przemyśleć sprawę podpisu, powiedział do twojego ojca. Jeśli podpisze pan szybko, możemy usunąć cement. Ale musi się pan pośpieszyć. Bo kiedy już wyschnie, będzie za późno. Wtedy nie będzie pan mógł już nigdy srać. Ani sikać. Jest pan wprawdzie Ormianinem, ale te potrzeby są ogólnoludzkie. A zanim Allah zdmuchnie pańskie światła, będzie pan ryczał. Będzie pan ryczał tak głośno, że ptaki pospadają z nieba.

Kiedy słońce świeci przez okno, wtrącił cementmajster, mieszanka schnie szybciej.

Słońce nie stoi jeszcze nad podwórzem więziennym, zauważył *müdiir*.

To pewnie dlatego, powiedział jeden z głupich żandarmów, że jest wcześniej rano. Tu słońce dociera dopiero przed modlitwą południową.

Twój ojciec wisiał w celi sam. Skądś dobiegał głos matki. Słyszał go wyraźnie: Mój synu, po co cię urodziłam?



Miał pięć lat i siedział na kolanach matki.

Mamo, jak przyszedłem na świat?

Nie wiem, mój mały paszo.

A kto wie?

Twoja babka.

Babciu, jak przyszedłem na świat?

Wszystkie ormiańskie dzieci jakoś się rodzą.

Ale jak, babciu?

No cóż, ormiańskie dziewczynki rodzą się pod figowcem.

A ormiańscy chłopcy?

Pod winoroślą.

Ale tu u nas nie ma przecież winorośli.

To prawda, powiedziała babka. Tutaj jest kraina górzysta i ziemia bardzo licha.

Gdzie zatem jest moja winorośl?

Za kurdyjskimi górami. Po drugiej stronie. Tam gdzie jest morze.

Czy to daleko?

Nie, mój mały paszo. Dwa dni jazdy wózkiem zaprzężonym w osła.

Za górami, tam gdzie jest morze?

Tak, mój mały paszo.

Czy tam jest kraina winorośli?

Tak. Tam jest kraina winorośli.

Kiedy rodzą się ormiańskie dzieci, wtedy Matka Boża uśmiecha się i błogosławi wszystkie figowce i winorośle, i wszystkie ptaki w Hajastanie świergoczą anielskimi głosami.

Opowiedz mi, jak to było, kiedy przyszedłem na świat.

Dokładnie już nie pamiętam, mój aniołku.

A kto pamięta dokładnie?

Jak to kto? Oczywiście twoja winorośl. Ona pamięta, mój aniołku.

I jego rodzice wsiedli do wózka zaprzężonego w osła, żeby pojechać po niego. Matka miała duży brzuch. Była w dziewiątym miesiącu. Ponieważ zaczęły się już bóle porodowe, jęczała i krzyczała. I powiedziała do jego ojca: Popędzaj osła.

Musi biec szybko. Bo mój mały Wartan leży pod winoroślą i czeka, żebyśmy go zabrali. A ojciec odrzekł: Będę poganiał osła. Ale osioł to osioł. Zaden kij, nawet najlepszy, nie zmusi go do pośpiechu.

Osioł szedł powoli przez krainę Kurdów. Góry były coraz wyższe, ich wierzchołki dotykały chmur.

Co osioł, to osioł, powiedział ojciec.

Nie mogę już wytrzymać.

Więc módl się do naszego Zbawiciela.

I matka modliła się do tego, który umarł za nas wszystkich. Jezu, szeptała, pomóż mi. I usłyszała, jak Jezus powiedział: Pomogę ci. Nie będziesz czuć bólu. I faktycznie: bóle ustąpiły. Osioł powoli ciągnął wózek przez chmury. Kurdyjskie góry były tak wysokie, że człowiekowi kręciło się w głowie, gdy spoznał w dół na półkoczownicze wioski Kurdów lub jeszcze dalej, tam gdzie mieszkali Ormianie, na samo dno doliny.

Nie czuję już bólów, powiedziała do ojca. Pan mnie wysłuchał.

To dobrze, odrzekł ojciec.

Naprawdę musimy jechać dwa dni do tych winorośli?

Tak, jeśli osioł się nie zatrzyma.

Sądysz, że nasz Wartan będzie czekał tak długo?

Na pewno będzie czekał.

Podczas podróży do piersi matki napłynęło jednak dużo mleka. I jej piersi wezbrały, i stawały się coraz większe i większe, a w końcu zwisały jak dwa ciężkie worki nad burtami wózka.

Mleko nie może dłużej czekać, powiedziała do ojca.

Mleko szuka usteczek naszego kochanego małego Wartana, odparł ojciec.

Ale nasz Wartan leży przecież jeszcze pod winoroślą?

Tam leży, potwierdził ojciec.

Powinniśmy byli wziąć ze sobą szczenię, rzekła matka. Tak robią Cyganki. Gdy mają za dużo mleka, przystawiają do piersi szczenię.

Wkrótce będziemy na miejscu, powiedział ojciec. Do tego czasu mleko poczeka.

Jak długo jeszcze?

Dopóki nie weźmiesz naszego małego Wartana na ręce i nie dasz mu piersi.

Na pewno ma głodne usteczka?

Na pewno, potwierdził ojciec.

Ale mleko nie chciało czekać. Także osioł się znarowił i szedł coraz wolniej. Czasem po prostu zatrzymywał się i nie chciał iść dalej. Mleko jednak nie mogło czekać.

I nagle pękły wielkie mleczne worki jego matki. I całe potoki mleka spłynęły z gór i rozlały się po anatolijskich dolinach. Mleka płynęło coraz więcej i więcej. I potoki zamieniły się w rzeki. A rzeki w morza. Cały świat utonął w mleku jego matki. Tylko winorośl w miejscu, gdzie leżał mały Wartan, pozostała sucha. A mały Wartan krzyczał i krzyczał. Domagał się mleka swojej matki, które było wszędzie, tylko nie obok niego.

Wartan Chadisjan wisiał schnąc przed zakratowanym oknem swojej celi. Chciał załatwić potrzebę naturalną, ale nie mógł. Przywoływał matkę. Przyszedł jednak tylko *zaptije*. I zapytał: Co się dzieje?

Nie mogę już wytrzymać, *zaptije aga*.

Mam sprowadzić *müdüra*?

Tak.

Do celi przyszedł *müdüir*.

Mamy otworzyć pańskie wyjścia?

Tak, *müdüir bej*.

A co z zeznaniem? Podpisze pan?

Nie.

Ależ *efendi*, nie pojmuje pan? Pańskie wyjścia otworzymy dopiero wtedy, gdy oświadczy pan gotowość złożenia podpisu.

Wartan Chadisjan rozplakał się, i *müdüir* pozwolił mu chwilę popłakać.

Właściwie wyświadczam panu przysługę, pozwalając panu podpisać, rzekł *müdüir*. To wielka przysługa i powinien pan mnie o nią poprosić.

Nie mogę już wytrzymać, *müdüür bej*.

Podpisze pan, *efendi*?

Tak, *müdüür bej*.

Prosi mnie pan o to?

Proszę pana o to, *müdüür bej*.

Wartan Chadisjan został rozwiązany. Cement, który jeszcze nie wysechł i nie stwardniał, wypłukano, z prącia i tyłka wyciągnięto owczą wełnę. *Zaptije* przyniósł mu spodnie i pomógł w ubieraniu, ale zanim więzień zdążył zapiąć spodnie, stała się rzecz nieunikniona.

Narobił w spodnie, powiedział *zaptije*.

Nie szkodzi, rzekł *müdüür*. Można się było tego spodziewać.

Ostatnia myśl próbowała wczuć się w strach swojego ojca, lecz ponieważ przebywała już poza strachem, nie potrafiła też niczego odczuwać. Bajarz posadził ją na biurku *müdüüra*. W pomieszczeniu nie było akurat nikogo — i drzwi zamknięte — a ponieważ bajarz narzucił także ciemną baśniową chustę na cały *hükümet*, mur oraz więzienie z całą twojego ojca, więc nie mogła nic widzieć ani niczego sobie wyobrazić.

— Czy ta historia jest prawdziwa czy nie?

— Wszystko, co dzieje się w głowie człowieka, jest prawdziwe — powiedział bajarz — choć jest to rzeczywistość odmienna od prawdziwej rzeczywistości, która wydaje nam się często nieprawdziwa.

— Nie rozumiem.

— To nieważne — rzekł bajarz. — Jak wspomniałem wcześniej, to tylko lęki twojego ojca opowiedziały mi tę historię, a ja opowiedziałem ją tobie. To jego koszmary senne, które opowiedziały koszmar, lub jeśli wolisz, koszmar koszmaru.

— Dlaczego mój ojciec nie może odpędzić swoich lęków?

— Bo zmiękł, moja owieczko. Bo jego dusza nie ma już siły. Bo zbyt wiele widział w tym więzieniu i wie, że *müdüür*, jeśli chce, potrafi urzeczywistniać koszmary senne.

Bajarz czekał, żeby ostatnia myśl zadała ważne pytanie, a mianowicie: Czy mój ojciec podpisał? Czy przyzna się do winy? Ale ostatnia myśl nie zadała tego pytania. Dlatego bajarz powiedział teraz:

— Twój ojciec widział, jak podkuwano kapłana, i widział jeszcze inne rzeczy, gorsze, i słyszał krzyki torturowanych, z początku w pewnych odstępach czasu, potem przez cały dzień, a później także przez całą noc. Całe więzienie było jednym wielkim krzykiem. I jak ci już mówiłem: twój ojciec zmiękł. A przede wszystkim nie wiedział, jakie plany ma wobec niego *müdüür*, co przyprawiało go niemal o szaleństwo, gdyż zaczął sobie wyobrażać rzeczy niewyobrażalne. I pewnego ranka...

— Co stało się pewnego ranka?

— Pewnego ranka *müdüür* kazał przyprowadzić twojego ojca do swego biura i zapytał go uprzejmie: Wie pan, jak się miewa pańska żona?

Nie wiem, odrzekł twój ojciec. Nie mam od niej wiadomości.

Wiemy, że jest brzemienna, powiedział *müdüür*. Piąty miesiąc, nieprawdaż?

Szósty, poprawił twój ojciec.

Czy to będzie syn?

Taką mamy nadzieję.

Chce pan mieć następcę, nieprawdaż?

Owszem.

Jak pański syn będzie miał na imię?

Chcemy dać mu na imię Towma.

Towma Chadisjan, rzekł *müdüür*, czysto ormiańskie imię.

Owszem, przyznał twój ojciec.

Aresztowaliśmy pańską żonę, powiedział *müdüür*. Jest teraz w bekirskim więzieniu dla kobiet.

To niemożliwe, rzekł twój ojciec. To przecież niemożliwe.

A dlaczego miałoby to być niemożliwe?

Bo nie popełniła żadnego przestępstwa.

Wielu ludzi rzekomo nie popełniło żadnego przestępstwa, powiedział *müdüür*, a mimo to zostają aresztowani.

Owszem, przyznał twój ojciec.

Zatrzymamy pańską żonę jedynie w charakterze zakładniczki... dopóki pan się nie przyzna.

W charakterze zakładniczki?

Owszem, potwierdził *müdüür*. Ale proszę się nie obawiać. Pańska żona pozostaje pod moją osobistą opieką. Nie stanie jej się żadna krzywda, zapewnił. Zabijemy tylko nie narodzone dziecko, jeśli pan nie podpisze.

Mojego syna Towmę?

Pańskiego syna Towmę.

*Müdüür* uśmiechnął się, po czym otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej kilka rzeczy należących do twojej matki. Był wśród nich paszport krajowy, nazywany *teskere*, było też parę kosztowności, które kupił jej kiedyś twój ojciec, a także welon ślubny, wszystko znane przedmioty. Widzi pan, rzekł *müdüür*. Naprawdę aresztowaliśmy pańską żonę. Wierzy mi pan?

Tak, potwierdził twój ojciec.

A razem z pańską żoną aresztowaliśmy też pańskiego syna, mimo że jeszcze się nie urodził.

Mojego syna Towmę?

Pańskiego syna Towmę.

Mojego syna? powtórzył pytanie twój ojciec. Mojego syna.

Jest wszędzie tam, gdzie i pańska żona.

Towma, rzekł twój ojciec. Mój mały Towma.

Nic nie zrobimy pańskiemu synowi, jeśli pan podpisze. Podpisze pan?

Tak, powiedział twój ojciec. Podpiszę.

Twój ojciec podpisał, złożył swój podpis obok innych podpisów, które poświadczały już, że sygnatariusze widzieli, jak własnoręcznie podpisywał. *Müdüür* był bardzo uprzejmy.

Naturalnie to nie wystarczy, rzekł. W Konstantynopolu również... złoży pan oświadczenie... przed światową opinią publiczną.

Tak, powiedział twój ojciec.

I nie odwoła pan tam niczego, gdyż zatrzymamy pańską żonę w charakterze zakładniczki tak długo, aż przyzna się pan do wszystkiego także w Konstantynopolu.

Tak, powtórzył twój ojciec.

I wie pan, co się stanie z pańskim synem, jeśli odwoła pan w Konstantynopolu swoje zeznanie?

Niczego nie odwołam, rzekł twój ojciec.

Jest jeszcze coś, powiedział *müdüür*. Pojutrze do mego biura przyjdzie kilku panów. Ci panowie chcieliby usłyszeć na własne uszy to, co jest w pisemnym zeznaniu. Nauczy się pan więc na pamięć tego pisemnego zeznania, które podpisał pan wszak własnoręcznie, a potem powtórzy je ustnie w obecności tych panów. Będzie to swego rodzaju próba generalna, abyśmy wiedzieli, co zezna pan w Konstantynopolu. Chodzi o to, żeby nie popełnił pan błędu, rozumie pan.

Rozumiem, potwierdził twój ojciec.

Niech pan weźmie odpis pisemnego zeznania do celi, *efendi*. I nauczy się go na pamięć. I powtórzy w obecności panów wszystko, co w nim jest.

Tak, *müdüür bej*.

W tym pisemnym zeznaniu zostało parę luk. Niech pan wypełni je w myśli i na wszystkie pytania, jakie ci panowie lub ja będziemy panu zadawać, proszę odpowiadać jasno i wyraźnie. Musi to brzmieć wiarygodnie i naturalnie, w żadnym wypadku jak wyuczone na pamięć. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Tak, *müdüür bej*.

I proszę pamiętać o swoim małym Towmie.

Tak, *müdüür bej*.

— To co miało się rozegrać w biurze *müdüüra* dwa dni później, nie było jeszcze wielkim procesem — mówił bazarz — ponieważ ten musiał się wszak odbyć w Konstantynopolu i ponieważ panowie w biurze *müdüüra* nie byli sędziami, tylko co najwyżej świadkami. *Müdüür* twierdził, że to tylko próba generalna ustnego zeznania, lecz w rzeczywistości nie była to nawet próba. Było to jedynie pierwsze zeznanie przed wieloma świadkami w łańcuchu innych zeznań, jakie twój ojciec miał jeszcze złożyć przed prawdziwą próbą generalną ustnego zeznania w obecności sędziów śledczych w Konstantynopolu,

które później zostałyby powtórzone w sali sądowej przed światową opinią publiczną. Rozumiesz?

— Nie — odpowiedziała ostatnia myśl.

— No dobrze — rzekł bajarz. — Wyjaśnię ci to. Twój ojciec miał złożyć zeznanie, o którym my dwaj, ty i ja, nie wiemy jeszcze nic bliższego. Wiemy tylko, że *müdüür* wymyślił to zeznanie i że ma ono coś wspólnego z jakimś tajemniczym światowym spiskiem ormiańskim, w który rzekomo wplątany jest twój ojciec. Zeznanie to, jak wspomniałem, zostało zmyślane przez *müdüüra*, za wiedzą *walego*, *mutasarryfa*, *kajmakama* i starszego pisarza. Zostało wprowadzicie zmyślane, lecz opiera się na mocnych poszlakach. *Müdüür* kazał je utrwalić na piśmie i polecił twemu ojcu podpisać. To, że podpis się zgadza, poświadczyli z kolei swymi podpisami inni panowie: *wali*, *mutasarryf*, *kajmakam* i naturalnie *müdüür* oraz pisarz, mimo że uczynili to przed faktycznym złożeniem podpisu przez twojego ojca.

— Tyle rozumiem — powiedziała ostatnia myśl.

— Wszystko to już kiedyś mówiłem, lecz powiem jeszcze raz. I powiem też jeszcze raz, że twój ojciec ma teraz ustnie powtórzyć to, co jest w pisemnym zeznaniu, żeby mógł zeznać później mniej więcej to samo w Konstantynopolu. Będzie musiał powtarzać to jeszcze nieraz, aż jego zeznanie zabrzmii w końcu tak przekonująco, że również panowie w Konstantynopolu pozwolą mu wystąpić przed światową opinią publiczną, nie narażając się na żadne ryzyko. To zeznanie w biurze *müdüüra* nie jest więc jeszcze próbą generalną, choć *müdüür* je tak nazywa, lecz tylko pierwszą z wielu prób, które doprowadzą kiedyś do próby generalnej, a w końcu do wystąpienia przed światową opinią publiczną.

— Zaczynam pojmować — rzekła ostatnia myśl. — Ale do czego właściwie przyzna się mój ojciec?

— Wkrótce usłyszysz — odparł bajarz.



## 6

— Musisz więc sobie wyobrazić — rzekł bajarz — że w biurze *müdiira* zebrali się wszyscy zaproszeni przez niego w charakterze tymczasowych świadków: *wali* Bekiru, *kajmakam*, starszy pisarz, *mutasarryf*, paru tureckich oficerów, a także trzech niemieckich, w tym mały podporucznik-pedał oraz major, przyjaciel *walego*, ponadto austriacki dziennikarz, który stanął na kwaterze tu, niedaleko frontu. Jest również kadi, mużułmański sędzia, ale wyłącznie w charakterze świadka i słuchacza, gdyż ostatecznie nie sądzi się tutaj nikogo, tylko słucha. Musisz sobie wyobrazić, że pomieszczenie jest zadymione jak turecka kawiarnia, że mały podporucznik-pedał — niepalący — często kaszle, podobnie jak pisarz, który też, jak wiadomo, nie pali. Musisz sobie wyobrazić, że podaje się kawę w małych filiżankach... oraz słodycze i *raki*. Trzej tureccy oficerowie i kadi siedzą na kanapie, wszyscy inni zaś na podłodze, na wygodnych poduszkach, także trzej Niemcy i austriacki dziennikarz. Nie chcą się rzucać w oczy i są zadowoleni, że mogą siedzieć na podłodze, a nie na przykład na kanapie, a tym bardziej na dwóch frankońskich krzesłach przy biurku. Trzej Niemcy i Austriak zauważyli już dawno: nikt nie śmie siadać na frankońskich krzesłach. To nie ucho- dzi. Dwa puste, bezużyteczne krzesła. Słychać tylko szepty, siorbanie kawy i *raki*, a niekiedy mlaskanie. Niektórzy z panów delektują się *baktawą*, inni palą tylko *czubuki*. Niemcy i Austriak zerkają od czasu do czasu na więźnia, który siedzi obok biurka bez kajdan, niespokojny i wystraszony.

Co właściwie znaczy cała ta szopka, zwraca się szeptem do majora mały podporucznik-pedał. Mówi po niemiecku i wie, że żaden z Turków go nie zrozumie.

*Müdiir* chciałby wyrobić sobie nazwisko w Konstantynopolu, mówi major. W Konstantynopolu szukają od miesięcy głównego winowajcy i nie mogą go znaleźć.

Co przeszkobił ten więzień?

Wkrótce usłyszymy.

\*

*Efendiler*, zaczął *müdüür*. Niestety nie mam mapy kraju, mimo że upominam się o nią od lat. Ale jak widzicie: nie mam. A dlaczego? No, dlaczego? Bo urzędnik w Konstantynopolu, odpowiedzialny za tureckie mapy, jest Ormianinem i celowo nie przysłał mi żadnej.

*Müdüür* wskazał biurko. Proszę przyjrzeć się temu biurku. Jest zupełnie zakurzone. Odpowiedzialny za jego sprzątnięcie *zaptije* ściera kurz tylko w jednym rogu, tam gdzie zwykle siedzę. A ja sam... od lat nie dostrzegałem tego. I proszę popatrzeć na te śmieci na biurku! Są na nim jeszcze nawet martwe muchy z roku 1912 i 1913 — lat wojen bałkańskich — okryte kurzem, że tak powiem: zabalsamowane, jak widzicie. A co robię, kiedy potrzebuję mapy? Proszę zgadnąć! No jak to co? Rysuję mapę palcem na blacie biurka, w kurzu, całkiem po prostu. Tam, proszę spojrzeć. Czy widzicie mapę Turcji? Oto ona.

Panowie wstali i zaczęli przyglądać się mapie. Zdziwieni byli zwłaszcza Niemcy, gdyż to, co widzieli, rzeczywiście było mapą, narysowaną palcem w kurzu, grobie martwych much z czasów wojen bałkańskich.

Jako turecki patriota, powiedział *müdüür*, mam mapę w głowie, i to o każdej porze. Dlatego też mapa się zgadza.

Zaczął przechadzać się przed biurkiem tam i z powrotem, panowie zaś ponownie usiedli.

A kto jest temu winien, ciągnął *müdüür*. Kto nas, Turków, tak rozleniwia i usypia? No, proszę zgadnąć.

Ormianie, rzekł *wali*.

Tak jest, potwierdził *müdüür*. To Ormianie są wszystkiemu winni. To oni nas zahipnotyzowali.

Nie inaczej, przytaknął *wali*.

Następnie *müdüür* wezwał panów z powrotem do mapy. Palcem narysował koło w sercu Turcji.

Tę krainę w sercu Turcji nazywamy Anatolią. Ale Ormianie nazywają ją Armenią lub Hajastanem.

Nazwa Armenia widnieje jeszcze na wielu mapach, wtrącił niemiecki major.

Jako Wielka Armenia i Mała Armenia, dodał austriacki dziennikarz. Wielka Armenia ma się podobno rozciągać poza

granicę perską i rosyjską, lecz nie mogę tego powiedzieć dokładnie, bo nie mam mapy w głowie tak jak *müdüür*.

Bardzo słusznie, przyznał *müdüür*, ale nas interesuje w tej chwili tylko turecka część tego rzekomo wielkoarmeńskiego królestwa.

Kiedyś istniało wielkoarmeńskie królestwo, powiedział austriacki dziennikarz, i to dokładnie na tych terenach.

Ale to było dawno temu, rzekł *müdüür*. Tak dawno, że nie może już być prawdą.

A więc to baśń?

Tak, baśń, zgodził się *müdüür*.

Ale Ormianie chcą przenieść tę baśń o armeńskim królestwie w czasy współczesne, oświadczył *müdüür*. Mają nadzieję, że z rosyjską pomocą zdołają zbudować tu armeńskie państwo, tutaj, w sercu Turcji.

Czy są na to dowody?

Są poszlaki, rzekł *müdüür*. Poszlaki wskazujące na ormiańską zdradę, które prowadzą w kierunku dowodu.

A więc jest jakiś dowód czy go nie ma?

To nieważne, odparł *müdüür*. Ważna jest tylko wiara, wiara w dowód opierający się na wiarygodnych poszlakach. Rozumie pan?

Niezupełnie, odpowiedział austriacki dziennikarz.

— Strach pętał język twemu ojcu — mówił bazarz — lecz obawa, że jego nie narodzonemu synkowi może się coś przytrafić, jeśli on nie powie wszystkiego, co chce usłyszeć *müdüür*, a do tego kilka łyków *raki*, której ten dał mu się napić, wszystko to rozwiązało mu język i wypuściło strach w przebraniu kłamstwa.

Zastrzeliłem w Sarajewie austriackiego następcę tronu i jego żonę, oświadczył twój ojciec. Zrobiłem to z przekonania i w imieniu narodu ormiańskiego.

Twój ojciec zamilkł, po czym wlał szybko do gardła kilka kieliszków *raki*. Również panowie milczeli, w końcu któryś nagle zaczął się śmiać. Był to Austriak.

Ależ panowie, rzekł. To przecież śmieszne. I w dodatku zupełnie niewiarygodne. Jestem wprawdzie tylko korespon-

dentem zagranicznym wiedeńskiej gazety, ale znam fakty, które doprowadziły do wybuchu wojny. Austriackiego następcę tronu i jego żonę zastrzelił bośniacki nacjonalista Gawriło Princip, gimnazjalista, młody zapaleniec i fanatyk. Za tym zamachem stała klika serbskich oficerów i tajna organizacja Crna Ruka, Czarna Ręka, której przywódcą jest serbski pułkownik o nazwisku Dragutin Dimitrijewić.

Prasa jest źle poinformowana, odparł *müdüür*. Bośniacki fanatyk Gawriło Princip też wprawdzie strzelał do pary książęcej, ale to kule tego Ormianina dosięgły następcę tronu Franciszka Ferdynanda i jego małżonkę.

Jak chce pan tego dowieść?

Ten człowiek tego dowiedzie.

W roku 1898 wyjechałem do Ameryki, zaczął twój ojciec. Wyjechałem, bo miałem nadzieję, że za oceanem znajdę pracę i zaoszczędzę trochę pieniędzy, aby kiedyś wrócić do kraju jako bogaty człowiek. Zrobiłem to tylko z tego jednego powodu. Wyjechałem nie dlatego, że Ormianie byli tu prześladowani, bo w Turcji nigdy nie prześladowano Ormian. To kłamstwo szerzone przez światowy spisek ormiański. Tylko on wymyślił to kłamstwo, żeby szkodzić opinii Turków na całym świecie.

Coś tu się jednak nie zgadza, odezwał się znów austriacki dziennikarz. Nawet młodoturcy i obecny rząd przyznają, że Ormianie byli prześladowani za poprzedniego rządu, który został obalony.

Za panowania Abdülhamida, uzupełnił niemiecki major.

Mówi pan o rzekomej masakrze z 1895 roku, podczas której zginęło jakoby trzystu Ormian? spytał *müdüür*, a zadał to pytanie bardzo ostrożnie.

Statystyki mówiły o trzystu tysiącach, odparł niemiecki major.

To tylko liczby, rzekł *müdüür*. Liczby nic nie znaczą.

Nie wracajmy już do poprzedniego rządu, zaproponował *wali*. Poprzedni rząd, ten za Abdülhamida, już nie istnieje. Mamy teraz rząd nowoczesny, postępowy i sprawiedliwy.

Owszem, *wali bej*, potwierdził *müdüür*. Z ust nam pan wyjął te słowa.

Ormianom zawsze powodziło się dobrze, ciągnął *wali*. Kto robi w Turcji wielkie interesy? W czyich rękach jest handel i rzemiosło? Kto napycha sobie brzuch kosztem narodu tureckiego?

Ormianie, rzekł *mutasarryf*. Także *kajmakam* skinął głową i powiedział: Ormianie.

Jakie więc prawo do skarg mają Ormianie, skoro dobrze im się wiedzie i zawsze im się dobrze powodziło? A jeśli nawet poprzedni rząd paru z nich zatłukł albo rozstrzelał, albo zabił w inny sposób, to Ormianie już dawno powetowali sobie te straty. Są bowiem płodnym narodem i płodzą dużo dzieci. Bo skąd by się wzięło tyle milionów Ormian? I dlaczego mieszkają nadal tutaj, skoro jest im tutaj lub kiedykolwiek było źle?

Słusznie, przytaknął *müdüür*.

Wszystkim nam powodziło się dobrze, powiedział twój ojciec. Te prześladowania Ormian za Abdülhamida to wielka przesada. Większość z tego została zmyślona i zełgana. A pomysł odświeżenia owych kłamstw mógł się zrodzić tylko w upiornych mózgach światowego spisku ormiańskiego.

Co pan wie o światowym spisku ormiańskim? spytał *müdüür*.

Niewiele, odparł twój ojciec. W Ameryce rzuciło mi się w oczy, że ormiańskie organizacje dobroczynne ciągle zbierają pieniądze. Przychodzono też do mnie do mieszkania i proszono o datki.

Na co? spytał *müdüür*.

Podobno na sieroty.

Ale pan naturalnie wie, że to nieprawda?

Owszem, potwierdził twój ojciec. Niemożliwe przecież, żeby było aż tyle sierot. Od początku było dla mnie jasne, że te wielkie pieniądze przeznaczone są na zakup broni i wędrują do rąk ormiańskich nacjonalistów.

Jakich nacjonalistów?

*Dasznaków*... członków ormiańskiej partii narodowej. Nazywają ich także *tasznakagan*.

Skąd pan to wie?

Od mojego szwagra Psaka Muradiana, z którym utrzymywałem kontakt listowny, a później rozmawiałem też osobiście.

Kiedy pan z nim rozmawiał?

Po moim powrocie. W roku 1914.

Ten Psak Muradian to jeden z przywódców *dasznaków*, wyjaśnił *müdüür*, niebezpieczny nacjonalista i spiskowiec. To jeden z tych, którzy tu, w sercu Turcji, chcą wskrzesić niepodległe państwo armeńskie. Szukamy go od paru miesięcy, ale zniknął bez śladu.

*Dasznacy!* Austriacki dziennikarz zaśmiał się głośno. Armeńska partia narodowa! To naprawdę śmieszne, *müdüür* bej.

A dlaczego miałoby być śmieszne?

Dlatego, że ona istnieje naprawdę, wyjaśnił dziennikarz. Ale jeśli jestem dobrze poinformowany, to partia legalna, a przynajmniej była legalna do wybuchu wojny, oficjalnie uznana w 1908 roku, po przejściu władzy przez młodoturków.

Zgadza się, powiedział *müdüür*.

*Dasznacy* dawno zrezygnowali z dążeń niepodległościowych, rzekł austriacki dziennikarz. Zrezygnowali z nich, kiedy młodoturcy objęli rządy, by dążyć do wspólnych celów razem z uciskanymi mniejszościami narodowymi.

To prawda, przyznał *müdüür*.

Ponieważ młodoturcy obiecali im równe prawa, równe prawa dla wszystkich obywateli osmańskich, także Ormian.

To prawda, powtórzył *müdüür*.

Po co w takim razie *dasznakom* broń?

*Dasznacy* potrzebują broni, bo potajemnie skumali się z Rosjanami, odrzekł *müdüür*. Oni tylko udają, że trzymają z młodoturkami, a w rzeczywistości przygotowują powstanie.

Ma pan na to dowody?

Mamy poszlaki, które na to wskazują, powiedział *müdüür*.

W Ameryce nie interesowałem się polityką, podjął twój ojciec. Ale gdy ciągle przychodzili kwestarze, wydało mi się to jednak w końcu dosyć podejrzane. Nie wyobrażałem sobie, że naprawdę można potrzebować tyle pieniędzy dla sierot, których w ogóle nie ma.

To są miliardowe kwoty, wtrącił *müdüür*, gdyż ormiańscy bankierzy i ludzie interesu w Ameryce i na całym świecie mocno popierają to przedsięwzięcie.

Tak, to prawda, potwierdził twój ojciec.

A on niby skąd wie o tym? spytał austriacki dziennikarz.

Już mówiłem, odpowiedział twój ojciec. Wiem o tym od swojego szwagra Psaka Muradiana, choć w zasadzie wiedzą o tym wszyscy Ormianie, także ci, którzy twierdzą, że o niczym nie wiedzą.

Wtedy ja też nie wiedziałem nic bliższego o światowym spisku ormiańskim, rzekł twój ojciec, choć wiedziałem na pewno, że coś takiego istnieje. Ale jak wspomniałem: za oceanem nie interesowałem się polityką.

On jest poetą, wtrącił *müdüür*. A poeci sądzą, że są ponad rzeczami codziennymi i że nie muszą zajmować się konkretnymi i wszystkim co namacalne. Ale to właśnie poeci bywają niebezpieczni, kiedy mieszają się do spraw, które powinno się zostawić praktykom.

To prawda, powiedział twój ojciec.

Kiedy włączył się pan w praktyczną realizację ormiańskich planów?

Później, odparł twój ojciec. W czerwcu 1914 roku, kiedy postanowiłem zastrzelić austriackiego następcę tronu.

I jego małżonkę?

I jego małżonkę.

To zadanie fascynowało pewnie pana jako poetę?

Owszem, przyznał twój ojciec. Jako poeta miałem mgliste wyobrażenie o świecie i o wzajemnych uwarunkowaniach, które ludzkość śledzi z zapartym tchem. Myśl, że sam miałbym ingerować w bieg wydarzeń, podniecała mnie.

Jak w ogóle doszło do tego?

Przez przypadek, odrzekł twój ojciec.

Ależ *efendi*, zauważył *müdüür*, przypadki nie istnieją. Wszystko jest losem i przeznaczeniem.

Wiosną 1914 roku postanowiłem na jakiś czas opuścić Amerykę, mówił twój ojciec. Chciałem zobaczyć się z moją rodziną w Turcji. Poza tym chciałem się ożenić, a ściśle mówiąc: wziąć sobie żonę z mojej wioski.

Wcześniej był już pan żonaty, nieprawdaż?

Tak. Ale moja pierwsza żona zmarła w połogu.

I nie miał pan następcy?

Tak jest. Nie miałem następcy.

Pragnął pan syna, nieprawdaż?

Tak, *müdüür bej*. Przede wszystkim chciałem spłodzić syna, z kobietą z mojej wioski, porządną kobietą, która nie pokazuje nóg każdemu obcemu.

A twarz?

Twarzy też nie.

Podróż morską trwała kilka tygodni, opowiadał twój ojciec. To był niemiecki statek pasażerski o nazwie „Graf Schwerin”. To był wielki statek — niczym pływające miasto — i płynął tak spokojnie, że człowiek miał uczucie, jakby płynął po jeziorze, cichym jeziorze.

Tak, Niemcy potrafią budować statki, rzekł *müdüür*, i to obojętne, czy pasażerskie, czy wojenne. Wystarczy wspomnieć „Goeben” i „Breslau”, niemieckie okręty wojenne, pływające teraz pod banderą turecką. Nawet Anglicy, te psie syny, nie potrafią zbudować czegoś takiego. Czyż nie, *efendiler*?

Słusznie, powiedział *wali*. Z „Goeben” i „Breslau” ostrzelaliśmy Odessę.

Wszystko, co robią Niemcy, jest dobrej jakości, rzekł *müdüür*. Nie sposób zaprzeczyć. Potrafię więc sobie wyobrazić, że ten wielki niemiecki statek, „Graf Schwerin”, płynął jak po jeziorze.

Można polegać na niemieckiej solidności, dodał *wali*. Założę się z wami, *efendiler*, że na takim niemieckim statku nikt nie choruje na chorobę morską i że nawet niewierni nie rzygają świńską pieczeńią, którą im tam podają, znak, że nawet Allah, który jest największy — niech będzie pochwalone imię jego — w wypadku Niemców przymyka oko, żeby nikomu nie przyszło do głowy wątpić w ich solidność.

Nikt nie chorował na chorobę morską, potwierdził twój ojciec. Ma pan w zupełności rację, *wali bej*.

A co, nie mówiłem, *efendiler*? rzekł *wali*.

Na statku spotkałem paru Ormian, ciągnął twój ojciec, ale byli to bez wyjątku nieszkodliwi ludzie, nie mający nic



wspólnego ze światowym spiskiem ormiańskim, tak przynajmniej przypuszczam. Podróżowali w interesach. Rozmawiałem z nimi, bo mówili po ormiańsku. Spotykaliśmy się na pokładzie, w jadalni podczas posiłków albo wieczorów towarzyskich. Podróż tym wielkim niemieckim statkiem była naprawdę przyjemna.

Podobnie jak większość turystów wziąłem ze sobą aparat fotograficzny, mówił twój ojciec, żeby zaimponować zdjęciami z podróży przyjaciółom i znajomym w kraju, a przede wszystkim rodzinie... to była dziecięca zabawa, nic ponadto, nie kryło się za tym nic politycznego, nie myślałem także o tym, żeby zaszkodzić Turcji fotografując w zabronionych miejscach, a tym bardziej żeby dostarczać zdjęcia ważnych obiektów Anglikom i Francuzom lub Rosjanom. Naprawdę nie, *efendiler*. Byłem zupełnie niewinnym turystą, a zresztą kto wiedział już na początku 1914 roku, że dojdzie do wielkiej wojny, która może spowodować katastrofę na wiele narodów? Nie, *efendiler*, nie wiedziałem o tym wszystkim, kiedy brałem ze sobą w podróż ten aparat, proszę mi wierzyć.

Nie chodzi teraz o pański aparat fotograficzny, rzekł *müdüür*. Proszę opowiedzieć o Sarajewie.

Wsiadłem do pociągu do Paryża, powiedział twój ojciec, i zastanawiałem się, czy nie przesiąść się potem do „Orient Expressu” i przez Wiedeń udać się do Konstantynopola, ale przypomniałem sobie, że muszę jechać przez Sarajewo.

Bo ma pan tam stryja, któremu miał pan przekazać pieniądze, nieprawdaż?

Tak, *müdüür bej*. Od jego brata z Ameryki, mojego drugiego stryja. Obiecałem, że to zrobię.

Swego rodzaju oszustwo dewizowe?

O tym nie pomyślałem.

Drobne przewinienie nie uwłaczające honorowi?

Tak, *müdüür bej*.

Proszę opowiadać dalej.

W zasadzie z początku nie miałem ochoty na ten wypad do Sarajewa, lecz potem pomyślałem sobie, że może to być całkiem zabawne, bo mój stryj był właścicielem kawiarni.

A co miałyby być zabawnego w jakiejś kawiarni?

To nie była zwykła kawiarnia, tylko swego rodzaju burdel. Jak mamy to rozumieć, *efendi*?

To była kawiarnia z sekretnymi pokojami zwanymi *sépa-rée*. W kawiarni przesiadywały też sprzedajne dziewczyny, które wystarczyło wziąć do jednego z tych sekretnych pokoi.

I wiedział pan o tym?

Cała rodzina wiedziała. Ten stryj był zakałą rodziny. Dobre stosunki utrzymywał tylko ze swoim bratem z Ameryki. Kiedyś pożyczył mu pieniądze i sfinansował mu wtedy także podróż do Ameryki.

Rozumiem, rzekł *müdüür*.

Niektórzy z panów roześmiali się. Tureccy oficerowie zaczęli szeptać między sobą.

W Sarajewie chciał pan zatem nie tylko oddać pieniądze stryjowi? Chciał się pan też zabawić? *Müdüür* uśmiechnął się życzliwie. Przypuszczam, że trochę przyjemności... przed powtórным ożenkiem... dobrze wpływa na samopoczucie, jak to się mówi: ostatni łyk wolności?

Pan to powiedział, *müdüür bej*. Pomyślałem sobie: najpierw zahaczyć o Sarajewo, oddać pieniądze, potem się trochę zabawić... w tej kawiarni... ostatecznie zasłużyłem na to po tylu trudnych latach w Ameryce, latach ciężkiej pracy, samotności... powiedziałem sobie: pożycz chwilę beztrosko, zanim pojedziesz do domu, ożenisz się i zwiążesz na zawsze.

Rozumiemy to, *efendi*, zapewnił *müdüür*.

Rozumiemy to, zapewnił również tłusty *wali*, który zaczął chichotać nerwowo. Jego nalana twarz błyszczała. W Bośni są ładne dziewczyny, rzekł, mimo że tam nie sprzedają się tak młodo jak tu w bekirskich burdelach, które wszystkie należą do Ormian.

Nie wszystkie, wtrącił jeden z tureckich oficerów.

Proszę nam opowiedzieć o Sarajewie, rzekł *müdüür* do twojego ojca.

Gdy przyjechałem do Sarajewa, kontynuował twój ojciec, nagłówki prasowe zapowiadały właśnie oficjalną wizytę austriackiego następcy tronu z małżonką. Ustalona była już także

data wizyty: 28 czerwca 1914 roku. W Sarajewie prawie nie czuło się atmosfery nadchodzącego wydarzenia, które ma zmienić świat. Wprawdzie posprzątano ulice oraz usunięto śmieci i odpadki, zwłaszcza w dzielnicach muzułmańskich i ciasnych zaułkach wokół bazarów, prawda też, że na ulicach było więcej niż zwykle policjantów i żołnierzy z miejscowego garnizonu austriackiego, ale jeszcze kilka dni przed samą wizytą w ogóle nie rzucało się to w oczy.

A co panu szczególnie rzuciło się w oczy? spytał *müdiir*.

To, że w Sarajewie pojawiło się tylu Ormian, Ormian, którzy tam nie mieszkali.

Skąd pan wiedział, że ci Ormianie tam nie mieszkali?

Od kelnerów w kawiarni, od mojego stryja i naturalnie od innych gości, ale przede wszystkim od dziewczyn. Rozmawiano o obcych.

Widzicie, *efendiler*, rzekł *müdiir* rozglądając się triumfalnie. W dzień zamachu w Sarajewie roilo się od Ormian, Ormian, którzy wcale tam nie mieszkali na stałe. Skąd oni się tam wzięli? I po co przyjechali?

Ależ *müdiir bej*, zaoponował austriacki dziennikarz. To był wielki dzień, wizyta oficjalna. Z całego świata zjechali się ludzie, przede wszystkim ludzie z prasy. Nawet ja chciałem się tam wybrać.

I był pan w Sarajewie?

Nie, odparł dziennikarz. Moja gazeta wysłała kolegę. Żałuję tego do dzisiaj.

To było naprawdę wielkie wydarzenie, powiedział *wali*.

O tak, potwierdził *müdiir*, to było wielkie wydarzenie... Ostrzegano austriackiego następcę tronu, zaznaczył. Nawet my, Turcy, ostrzegaliśmy go, gdyż ci Bośniacy to niebezpieczny naród. Są równie nieobliczalni jak Serbowie. Wiedziano, że pogłoska o możliwości zamachu podczas oficjalnej wizyty w Bośni nie jest wyssana z palca. Powiedziałbym nawet: każdy wiedział, że dojdzie do zamachu.

Tak jest, zgodził się *wali*. Każdy o tym wiedział. Nawet arcyksiążę wiedział. Ale arcyksiążę był zbyt dumny, żeby zrezygnować z tej wizyty.

To był dumny człowiek, powiedział niemiecki major. Uosobienie niemieckiego oficera.

Austriackiego oficera, sprostował austriacki dziennikarz.

Wiedział też, że nie był lubiany, dodał *wali*. A mimo to pojechał do Sarajewa!

To była jawna austriacka prowokacja, rzekł *müdüür*. Nigdzie bowiem Austriacy nie byli tak nie lubiani jak w Bośni i Hercegowinie.

Prowokacja, powtórzył *wali*, ale także gest wielkiego kraju, który musiał pokazać małym, kto kim rządzi.

Słusznie, *wali bej*, przytaknął *müdüür*. Dokąd byśmy doszli, gdyby wielcy pokazywali małym, że się boją?

Donikąd, odparł *wali*.

Sami widzicie, *efendiler*, powiedział *müdüür*. Bądźmy jednak szczerzy. Do kogo należała Serbia? I Bośnia, i Hercegowina? No, do kogo, *efendiler*? Te prowincje należały do nas, Turków.

Słusznie, potwierdził *wali*.

A kto w latach siedemdziesiątych zrobił powstanie? Może Turcy? Nie, *efendiler*. To Serbowie zrobili powstanie. A przeciwko komu? Przeciwko nam, Turkom. A dlaczego, jeśli wolno zapytać? No, powiem wam, *efendiler*. Z czystej pychy. Zawsze bowiem traktowaliśmy dobrze tych poddanych, mimo że hodowali świnie i pozwalali im biegać na powietrzu, w kraju rządzonym przez prawowiernych muzułmanów.

Słusznie, powtórzył *wali*.

Potem Serbowie stali się samodzielni, ciągnął *müdüür*, mimo że ci hodowcy świń wcale nie potrafią rządzić się sami, a Rosjanie, te psie syny, pomogli im w tym. To był koniec lat siedemdziesiątych.

Owszem, przytaknął *wali*.

Ale Austriacy pokrzyżowali Serbom szyki, gdy w 1878 roku wkroczyli do Bośni i Hercegowiny.

Pokrzyżowali im szyki, powtórzył *wali*.

Ponieważ Serbowie chcieli wcielić Bośnię i Hercegowinę do swojego nowego państwa, co im się jednak nie udało.

Bo Austriacy ich zaskoczyli zajmując obie prowincje?

Logiczne, stwierdził *müdüür*.

Logiczne, przyznał również austriacki dziennikarz. Zajęliśmy wtedy, nie namyślając się długo, te dwie prowincje, do których rościli pretensje Serbowie.

Te dwie prowincje należą prawnie do nas, rzekł *müdüür*. Także stolica Bośni, Sarajewo, jest tureckim miastem. Mimo to śmieję się czasem w kułak, gdy pomyślę, jak to było wtedy, w roku 1878, kiedy Austria zajęła te dwie prowincje. Śmieję się, bo rad jestem, że nie wpadły w ręce Serbów.

Serbowie dostali kopniaka w tyłek, powiedział *wali*.

Kopniaka w jaja, poprawił *müdüür*.

Nic tak nie psuje Serbom krwi, rzekł *wali*, jak utrata Bośni i Hercegowiny. Naprawdę wydaje się, że Austriacy zajmując te tereny obcięli Serbom jaja.

I dlatego nie ma na świecie narodu, który by nienawidził Austriaków tak jak Serbowie.

To prawda, przyznał *wali*.

Przez trzydzieści sześć lat w Hercegowinie i w Bośni wrzało, powiedział *müdüür*. Trzydzieści sześć lat. Beczka prochu, *efendiler*. Kiedyś musiała wybuchnąć.

Kiedyś, rzekł *wali*. Tylko nie było przesądzone kiedy.

Sprawa została przesądzona, gdy arcyksiążę przyjechał do Sarajewa.

Tak jest, *müdüür bej*.

Mówmy o Sarajewie.

Tak. O Sarajewie.

Ustaliliśmy, rzekł *müdüür*, że należało się liczyć z zamachem na arcyksięcia. Bośniaccy nacjonaści nie mogli bowiem nie zareagować na taką prowokację, mam na myśli oficjalną wizytę austriackiego następcy tronu w ich stolicy!

Straszną prowokację, podkreślił *wali*.

Gdybym nie był Austriakiem, powiedział austriacki dziennikarz, wiernym cesarzowi, mógłbym niemal ich zrozumieć. Ale co to, *efendiler*, ma właściwie wspólnego z Ormianami?

Proszę wyjaśnić panom, rzekł *müdüür* do twojego ojca, jak to było z Ormianami i dlaczego światowy spisek ormiański szczególnie interesował się zamachem na następcę tronu... mimo że było to właściwie wewnętrzną sprawą bośniackich nacjonalistów.

Zaraz panom wyjaśnię, *efendiler*, powiedział twój ojciec.

Proszę wyjaśnić!

Tak, *müdiir bej*.

To bardzo ważne, *efendi*.

Bardzo ważne, powtórzył *wali*.

Twój ojciec rozejrzał się lękliwie dokoła. Pocił się, więc otarł rękawem pot z czoła. Na kilka sekund jego oczy spotkały się z oczami pisarza i wyczytał w nich następujące zdania: Ten człowiek kłamie jak z nut. A kłamstwo wypełnia wszystkie pory jego ciała i występuje jako pot na czoło — to kłamstwo odciska się tak wyraźnie, że każdy może je wyczytać z jego twarzy. Kłamstwo! Mimo że teraz próbuje zetrzeć je rękawem. Twój ojciec wyczytał w oczach pisarza jeszcze inne zdania: Ten człowiek się boi. Jeśli nie powie tego, co chce usłyszeć *müdiir*, jego nie narodzony syn zostanie zgładzony, nim ujrzy światło Allaha. Ten człowiek godzien jest pożałowania. Ale nie ma wyboru.

*Efendiler*, zaczął twój ojciec. Ormianie, którzy tuż przed wizytą arcyksięcia zjechali do Sarajewa z wielu obcych miast i krajów, byli sługusami światowego spisku ormiańskiego.

To wiemy, *efendi*, wtrącił *müdiir*. Proszę nam raczej opowiedzieć, jaki interes miał światowy spisek ormiański w zamordowaniu austriackiej pary książęcej. I dlaczego wybrano akurat pana, by zabił pan arcyksięcia i jego małżonkę?

Tak, rzekł twój ojciec, zaraz panom opowiem.

Światowy spisek ormiański wysłał w porę do Sarajewa swych agentów, którzy mieli dopilnować na miejscu, żeby zamach odbył się zgodnie z planem.

Światowy spisek ormiański wiedział zatem o zbliżającym się zamachu?

Cały świat wiedział, rzekł twój ojciec.

A w Sarajewie wiedziano?

Naturalnie także w Sarajewie. Każdy wiedział. Kiedy prasa zapowiedziała wizytę, dla wszystkich stało się to jasne. Szeptano o nim na ulicach, dyskutowano i rozmawiano w kawiarniach. Takiej prowokacji całego narodu bośniackiego nie było już od dawna.

A co wtedy zrobili Ormianie? spytał *müdiür*.

Nagle w Sarajewie zaroilo się od Ormian, powiedział twój ojciec. Spotykali się w restauracjach i kawiarniach, zwłaszcza w takich, które należały do Ormian. Paru z tych zamiejscowych Ormian spotykało się codziennie w kawiarni mojego stryja.

Całkiem oficjalnie?

Owszem, potwierdził twój ojciec. Spotykali się w każde popołudnie, popijali kawę, grali w karty, żartowali z dziewczynami, a czasem wycofywali się do jednego z *séparées*.

Z dziewczynami?

Nie. Bez dziewczyn.

I co tam robili?

Spiskowali.

Przed zamachem mieszkałem jeszcze w hotelu, opowiadał twój ojciec, ale całe dni spędzałem w kawiarni mojego stryja. Na kilka dni przed wizytą arcyksięcia stryj wziął mnie na stronę i odbył ze mną rozmowę.

O czym z panem rozmawiał?

Opowiadałem mu kiedyś, że jestem strzelcem wyborowym, wyjaśnił twój ojciec. Ormiańskim chłopom w mojej wiosce rodzinnej nie wolno było wprawdzie posiadać broni, bo wtedy, jeszcze za panowania Abdülhamida, a więc przed rewolucją, było to surowo zabronione, ale mieliśmy parę schowanych karabinów i rewolwerów, których potrzebowaliśmy do obrony przed kurdyjskimi rozbójnikami. Jako chłopiec zastrzeliłem kiedyś Kurda.

Czy do tej pory zastrzelił pan jeszcze kogoś?

Nie. Tylko tego jednego Kurda. Ale strzelałem także do dzikich kaczek i dzikich gęsi, a czasami, dla zabawy, strącałem wróbla w locie. Chłopi w wiosce mówili, że syn Chadisjanów potrafi ustrzelić muchę w dziobie wróbla.

A więc strzelec wyborowy?

Tak.

I czego stryj chciał od pana?

Powiedział, że ci Ormianie z *séparée* szukają snajpera.

Czy nie zdziwiło to pana?

Byłem bardzo zdziwiony, odparł twój ojciec.

Później rozmawiali ze mną ci Ormianie. Powiedzieli, że bośniaccy fanatycy planują zamach na księcia i że za nimi stoi serbska klika oficerska. Mówili, że mają z nią kontakt.

A czego od pana chcieli?

Powiedzieli mi, że ani klika serbskich oficerów, ani bośniaccy nacjonaści, którzy zresztą działają ręka w rękę, a więc że ani jedni, ani drudzy nie są w stanie dokonać prawdziwego zamachu, bo wszyscy to fantaści i zapaleńcy. Dlatego, tak mówili ci Ormianie, powinien to zrobić ktoś z zewnątrz, taki jak ja, kogo nikt nie będzie podejrzewał, strzelec wyborowy. Poza tym powiedzieli, żebym się nie obawiał, bo całą sprawę zwali się tak czy owak na Serbów i Bośniaków. Miałbym tylko zrobić wszystko jak trzeba, z zimną krwią, umiejętnie, z ukrycia... a potem zniknąć w tłumie.

Ormiańscy spiskowcy wyjaśnili mi, co następuje: zamordowanie austriackiego następcy tronu i jego małżonki z polecenia kliki serbskich oficerów — taka byłaby wersja oficjalna — powinno doprowadzić do wkroczenia austriackich wojsk do Serbii, gdyż Austriacy szukali od dawna pretekstu, aby rozprawić się z Serbami. Ponieważ jednak Rosjanie mieli z Serbią układ o wzajemnej pomocy wojskowej, przywołałoby to automatycznie na scenę także Rosjan. Mobilizacja armii w Rosji musiałaby z kolei zaniepokoić Niemcy, które też przeprowadziłyby mobilizację. Również Anglia i Francja nie siedziałyby z założonymi rękami. Ormianie wiedzieli więc, że zamordowanie pary książęcej na bośniackim terytorium, a więc w Sarajewie, wywoła wojnę światową. Twój ojciec przerwał na chwilę, po czym rzekł: Taka wojna światowa nie oszczędziłaby naturalnie również Turcji. A ponieważ armia turecka szkolona jest od poprzedniego stulecia przez wojskowych niemieckich, nietrudno było przewidzieć, że Turcja wcześniej czy później przystąpi do wojny po stronie Niemców.

Ci ormiańscy spiskowcy posiadali nadzwyczajną zdolność przewidywania, zauważył *wali*.

Owszem, potwierdził twój ojciec.



A jaki interes w tej wojnie światowej mieli Ormianie?

Chodziło im, wyjaśnił twój ojciec, o uwikłanie Turcji w wojnę z Rosją. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że gdy Turcja przystąpi do wojny po stronie Niemiec i Austrii, będzie to dla niej także oznaczać wojnę z Rosją.

Jasne, powiedział *wali*.

Wojna rosyjsko-turecka oznacza jednak dla Ormian wyzwolenie spod tureckiego jarzma.

Co pan ma na myśli mówiąc o „tureckim jarzmie”, *efendi*?

Nie mam nic na myśli, *wali bej*, odparł twój ojciec. Próbuję tylko wyjaśnić, jak widzieli to ormiańscy spiskowcy.

A jak oni to widzieli?

Oni widzieli przede wszystkim front kaukaski. I sądzili, że nikomu nie uda się powstrzymać rosyjskiego walca. Rosjanie przejdą więc przez Kaukaz, wkroczą do Turcji i wyzwolą miliony Ormian na ziemi tureckiej.

Zajęcie Anatolii przez wojska rosyjskie?

Dokładnie tak. Zajęcie Anatolii. Wyzwolenie setek tysięcy Ormian w strefie przygranicznej.

A czego Ormianie spodziewali się po Rosjanach i tak zwanym wyzwoleniu?

Zbudowania państwa armeńskiego na ziemi tureckiej, gdyż tereny te należały kiedyś do Ormian.

Słusznie, wtrącił niemiecki major. Armenia rzeczywiście należała do nich.

Anatolia albo Armenia, albo Hajastan. To jedno i to samo.

I to armeńskie państwo miało być niepodległe?

Niezupełnie, odparł twój ojciec. Armeńskie państwo pod protektoratem rosyjskim. Można to było przewidzieć.

I ormiańscy spiskowcy godzili się na to?

Akceptowali to tylko jako przejściowe rozwiązanie, rzekł twój ojciec. Dążyli do ustanowienia niepodległego państwa armeńskiego, ale uważali przy tym, że młode państwo nie może na razie zrezygnować z opieki Rosji.

Czy wśród ormiańskich spiskowców w Sarajewie byli także obywatele Rosji? spytał *wali*.

Niektórzy z Ormian mieli paszporty rosyjskie.

Skąd pan to wie?

Mówili dialektem ormiańskim, którego używa się tylko po rosyjskiej stronie. Od stryja dowiedziałem się, że faktycznie byli rosyjskimi Ormianami i mieli rosyjskie paszporty.

Czy możliwe jest, że ci Ormianie byli z rosyjskiej służby tajnej?  
Możliwe, potwierdził twój ojciec.

Z Ochrany, dodał *müdüür*.

Tego nie wiem, powiedział twój ojciec.

Wygląda na to, wtrącił niemiecki major, że Ochrana miała z tym coś wspólnego, gdyż zajęcie Anatolii leży ostatecznie także w interesie cara.

Nie inaczej, potwierdził *müdüür*.

A *dasznacy*, zapytał *wali*, ormiańscy nacjonaści?

Mieli wspomagać Rosjan w momencie wkroczenia ich wojsk, wyjaśnił twój ojciec.

Ormiańskie powstanie za tureckimi liniami?

Owszem, przytaknął twój ojciec. Zaplanowano, że setki tysięcy Ormian w strefie przygranicznej, a także na etapach za frontem uderzą na Turków od tyłu, gdy tylko ruszy kaukaska armia cara.

Skąd pan to wie?

Co nieco dowiedziałem się od ormiańskich spiskowców, wiele od mojego szwagra Psaka Muradiana... później, kiedy zdałem sobie sprawę z całej sytuacji.

Ormiańscy spiskowcy przybyli zatem do Sarajewa, gdy podano wiadomość o oficjalnej wizycie austriackiego następcy tronu z małżonką? spytał *müdüür*. I gdy znana już była jej data?

Tak, potwierdził twój ojciec.

I jeśli pana dobrze zrozumiałem, utrzymywali kontakty z kliką serbskich oficerów?

Tak, powtórzył twój ojciec.

Nie sądzili jednak, żeby ta klika oficerska i jej sługusi rzeczywiście potrafili przeprowadzić taki zamach. I dlatego miał to zrobić pan, *efendi*, nieprawdaż? Miał pan zastrzelić arcyksięcia i jego żonę?

Tak jest.

Ponieważ pana by nie podejrzewano? Bo był pan człowiekiem z zewnątrz? I zrzucano by odpowiedzialność na Serbów i Bośniaków?

Tak, *müdüür bej*.

I twierdzi pan stanowczo, że zastrzelił pan austriackiego następcę tronu?

Tak, *müdüür bej*.

I jego małżonkę?

Tak jest, *müdüür bej*.

Jak już mówiłem: na kilka dni przed wizytą — musiało to być cztery dni wcześniej — spiskowcy wtajemniczyli mnie w swoje plany. Przypuszczam, że za sprawą stryja, który powiedział im, że jestem w porządku, jestem patriotą, a poza tym poetą, ciągnął twój ojciec. Długo mnie przekonywali. Tłumaczyli mi, że uratowanie tureckich Ormian zależy od wkroczenia Rosjan i że trzeba wywołać tę wojnę. Mówili, że jeśli to zrobię, mogę zostać zbawcą narodu. W końcu ustąpiłem. Jestem poetą, *efendiler*. Podniecało mnie to. Naprawdę widziałem siebie w roli zbawcy narodu ormiańskiego. I widziałem swoje nazwisko w przyszłych podręcznikach historii.

Tak, powiedział *müdüür*.

Ormiańscy spiskowcy dali mi rewolwer, mówił twój ojciec. Kupili go od serbskich oficerów, z którymi wszak byli w kontakcie, a ten rewolwer, browning, pochodził z arsenałów armii serbskiej.

Kiedy dano panu rewolwer?

W dniu przyjazdu pary książęcej do Sarajewa.

A więc tuż przed zamachem?

Tak.

Podobno całe Sarajewo wyległo tego dnia na ulice?

Na ulicach miasta panował ogromny tłok, powiedział twój ojciec, przede wszystkim przy nabrzeżu w pobliżu mostów. Wszędzie była policja. Wszędzie blokady ulic. Stałem w pobliżu, kiedy otwarty wóz z parą książęcą, nadjeżdżając od strony ratusza, skręcił w ulicę Franciszka Józefa. Miałem przy sobie aparat fotograficzny i rewolwer, ukryty pod marynarką za aparatem. Tłum był niespokojny. Na twarzach malowała się nienawiść. Kiedy nadjechała kolumna samochodów, tłum przerwał kordon policji w miejscu, gdzie stałem, i rzucił się

w stronę otwartego wozu pary książęcej. Naturalnie ludzie zostali odepchnięci przez policjantów, lecz auto się zatrzymało.

I wtedy pan strzelił?

Nie, *efendiler*. Wahałem się jeszcze. Otwarty wóz, z Franciszkiem Ferdynandem na tylnym siedzeniu, obok żony, ruszył znowu, lecz jechał bardzo wolno. Próbowałem biec obok auta, ale ciągle mnie odpychano. Biegłem i biegłem. Biegłem obok auta, które znowu się zatrzymało — na rogu ulic Franciszka Józefa i Rudolfa.

I nagle ujrzałem młodego człowieka z rewolwerem w dłoni. Wyglądał na studenta. Stał bardzo blisko mnie. Zobaczyłem, jak podbiega do auta, przerywa kordon policjantów i strzela do pary książęcej.

To były historyczne strzały z Sarajewa, rzekł niemiecki major, śmiertelne strzały Gawriły Principa, który zastrzelił arcyksięcia i jego żonę.

Z polecenia kliku serbskich oficerów, dodał podporucznik-pedał.

To musiał być on, powiedział twój ojciec, ale nie trafił arcyksięcia. Ani jego żony. W kilka sekund po oddaniu strzałów przez Bośniaka wystrzeliłem i ja. Ale ja byłem strzelcem wyborowym i ja trafiłem księcia, jak również jego żonę, siedzącą obok niego.

Ależ to niemożliwe, zaprotestował niemiecki major. Jest rzeczą dowiedzioną, kto zastrzelił parę książęcą. Wszak zidentyfikowano kule. Pochodzą one z rewolweru bośniackiego nacjonalisty Gawriły Principa. Nie ma tutaj pomyłki.

Nasz więzień miał po prostu taką samą broń jak Bośniak, odparł *müdüür*, dostarczoną przez klikę serbskich oficerów z arsenałów armii serbskiej. Rewolwery są identyczne.

Czyżby pan uważał, że kule, wydobyte później z ciał obu ofiar, mogły też pochodzić z rewolweru tego człowieka?

To właśnie uważamy, oświadczył *müdüür*.

A jak chce pan to udowodnić? spytał niemiecki major.

Zeznanie tego człowieka jest dowodem.

Ależ to nie wystarczy, *müdiir bej*. Gdzie jego rewolwer? Wyrzucił go.

To prawda, potwierdził twój ojciec.

A świadkowie? dociekał major.

Niema żadnych świadków, rzekł *müdiir*. Ormiańscy spiskowcy już dawno są za dziesiątą granicą, a ich prawdziwych nazwisk nie znamy. A co się tyczy stryja więźnia, to tymczasem umarł.

Niestety umarł, powiedział twój ojciec. A prawdziwych nazwisk spiskowców nie znam. Zresztą nie byłiby tacy głupi, żeby mi je podawać.

A co z rodziną pańskiego stryja?

Rodzina nie ma z tym nic wspólnego. Nikt nie był w nic wtajemniczony.

A kelnerzy?

Oni także.

A dziewczyny?

Dziewczyny też nie.

Mimo to należałoby je wypytać.

To byłaby strata czasu, rzekł twój ojciec. Dziewczyny ani kelnerzy nie mogli wiedzieć, co omawiano w *séparées* — mogły to być przecież interesy, jakieś tam interesy. A podczas zamachu byłem sam. Zupełnie sam. Nikt nie zauważył mnie w tym wielkim tłoku. Nikt mnie nie widział.

Potworność, stwierdził niemiecki major. Ale to oskarżenie bez świadków i bez dowodów.

Ten człowiek jest świadkiem, oświadczył *müdiir*.

To potworność, powtórzył major. Ale nikt w jego zeznaniu nie uwierzy.

Postaramy się, żeby w nie uwierzono, rzekł *müdiir*.

Po zamachu zostałem jeszcze w Sarajewie, powiedział twój ojciec. Nikt nie widział mojego rewolweru, który ukryłem pod pokrowcem aparatu. Strzały wprawdzie słyszano, ale w tłoku i hałasie nie odróżniono ich od strzałów bośniackiego zamachowca. Później zniknąłem w tłumie.

Tak, zostałem jeszcze parę tygodni w Sarajewie, rzekł twój ojciec.

Z powodu choroby wenerycznej, wyjaśnił *müdüür*.

Rzekomej choroby wenerycznej, poprawił go twój ojciec.

Czy poza tym nie miał pan innego powodu, by opóźnić swój wyjazd do Turcji?

Nie, odparł twój ojciec. Czekałem naturalnie na austriackie ultimatum, ciągnął, ale równie dobrze mogłem na nie czekać w Turcji. Nie było żadnego politycznego powodu, aby odwlekać dalszą podróż.

A jak to było z ultimatum?

Powinno już było zostać postawione, rzekł twój ojciec, ale z nim zwlekano. Mijały tygodnie, a nic się nie działo. Myślałem już, że Austriacy w ostatniej chwili przestraszą się konsekwencji i wojna, której wszyscyśmy chcieli, nie wybuchnie.

Ale wojna musiała wybuchnąć?

Tak jest.

Pod koniec lipca postanowiłem wreszcie wyruszyć w dalszą podróż, i tak dwudziestego piątego przybyłem do Konstantynopola.

25 lipca? Trzy dni przed wybuchem wojny?

Tak.

Przypadek?

Czysty przypadek.

I nie pomyślał pan o tym, że ten przypadek może zwrócić uwagę władz tureckich?

O tym nie pomyślałem.

Potem fotografował pan okolice Konstantynopola... podczas wycieczki parowcem: Bosfor, wybrzeże morza Marmara aż po wejście w Dardanele, jeśli się nie mylę?

Owszem, *müdüür bej*. Ale nie miałem zlecenia. Robiłem to na własną rękę.

W jakim celu, *efendi*?

Wtedy jeszcze nie było to dla mnie całkiem jasne, *müdüür bej*. Ale myślałem sobie: kiedy wybuchnie wojna, dasz zdjęcia swemu szwagrowi Psakowi, który ma kontakty z Rosjanami.

Żeby Rosjanie mogli wylądować w okolicy Dardaneli?

Sądzę, że tak.

Albo Anglicy i Francuzi, którzy mają lepszą flotę?  
Wtedy jeszcze nie było to dla mnie całkiem jasne.

Austria i Serbia przeprowadziły mobilizację, rzekł twój ojciec, a kilka dni później oba narody toczyły już wojnę. Ale 25 i 26 lipca, a więc na parę dni przed wybuchem wojny, w Konstantynopolu nie czuło się prawie tego. Turyści mogli jeszcze zwiedzać Bosfor, odbywać przejażdżki parowcem, fotografować. Wydawało się, że Turcy ucinają sobie właśnie popołudniową drzemkę. Zostałem kilka dni i robiłem zdjęcia. Oddałem też do pralni swoje ubrania, żeby na wypadek przesłuchania mieć wytłumaczenie, dlaczego musiałem zatrzymać się w stolicy na parę dni.

Bo czekał pan na ubrania?

Tak jest.

Gdyż nie wypada przyjeżdżać do domu w brudnej odzieży?

Tak, *müdiir bej*.

A potem pojechałem do rodziny.

Do Anatolii? Do Bekiru, a potem do Jedi Su?

Tak, *müdiir bej*.

I tam się pan ożenił?

Ożeniłem się.

I odbył pan podróż poślubną na wybrzeże syryjskie?

Na wybrzeże syryjskie.

I tam znowu pan fotografował?

Tak.

Przed wszystkim wybrzeże, prawda? Brzeg jest tam przeważnie urwisty, ale jest też parę zatok, gdzie nieprzyjaciel mógłby wylądować?

Fotografowałem takie miejsca.

To zdrada stanu, *efendi*, rzekł *müdiir*.

Zdrada stanu, powtórzył *wali*.

W jego mieszkaniu znaleźliśmy mnóstwo zdjęć, *efendiler*, zwrócił się *müdiir* do zebranych, ale to były niewinne zdjęcia. Najważniejszych nie udało nam się znaleźć. *Müdiir* uśmiechnął się z lekka, a siedzącym w krąg mężczyznom wydało się, że uśmiechnęło się również jego szklane oko. Proszę opowie-

dzieć panom, dlaczego nie znaleźliśmy najważniejszych zdjęć, rzekł do twojego ojca.

Ponieważ dałem je szwagrowi, odparł twój ojciec.

Tak jest, potwierdził z zadowoleniem *müdüür*. Dał je swemu szwagrowi Psakowi Muradianowi, jednemu z najbardziej poszukiwanych przywódców *dasznaków*, którzy jak wiecie, planują powstanie tu, na tyłach frontu, i współpracują z Rosjanami. Ci ludzie tylko czekają, żeby Rosjanie dali im znak: znak do ataku.

Jest dokładnie tak, jak mówi *müdüür*, rzekł twój ojciec.

Rosjanie wybierają zawsze drogę lądową, odezwał się któryś z tureckich oficerów. Ich flota nie jest dość silna, żeby przeprowadzić skuteczny desant.

To Anglicy wybierają drogę morską, wtrącił drugi turecki oficer. Należałoby więc przyjąć, że Rosjanie podsuną te zdjęcia Anglikom.

Słusznie, potwierdził *wali*.

Angielski desant na syryjskim wybrzeżu, ale także w Dardanelach i na półwyspie Gallipoli ułatwiłby Rosjanom ofensywę. A więc w interesie Rosjan leżało, żeby Anglicy dostali te zdjęcia.

Tak jest, potwierdził znowu *wali*.

W pomieszczeniu rozległ się ponownie głos bazarza, który zagłuszył wszystkie inne głosy. I bazarz rzekł:

— Niech sobie gadają, moja owieczko. Wkrótce zgłodnieją i wyjdą. Tymczasem piją *raki* i kawę, palą *czubuki* i papierosy, i fajkę wodną. *Müdüür* ponownie klaszcze w dłonie, wbiegają *zaptijeler* i wnoszą świeżą *raki*.

I bazarz rzekł:

— Pod wieczór wyszli. *Zaptijeler* odprowadzili więźnia do celi. Każdy poszedł w swoją stronę. Dwaj Niemcy i Austriak przespacerowali się jeszcze do Bramy Szczęśliwości. Wisieli tam teraz inni Ormianie. Nie było ich jednak trzech, tylko pięciu.

Co pan sądzi o zeznaniu oskarżonego? spytał major.



Nic, odparł Austriak. Oskarżony był pod presją. Jego zeznanie to jedno wielkie kłamstwo od a do z. Wygląda na to, że ktoś mu je wcześniej podyktował.

*Müdiir?*

Tak przypuszczam.

W Konstantynopolu szukają winnego.

Szukają wielu winnych.

Sądzi pan, że Enwer Pasza może jakoś wykorzystać zeznanie oskarżonego?

Nie, nie sędzę. Nie trzyma się kupy.

*A müdiir?*

To taki mały waźniak, jeden z tych, co to studiowali na Zachodzie i chcą wyrobić sobie nazwisko w Konstantynopolu.

Ale wydaje się, że *wali*, *kajmakam* i *mutasarryf* go kryją.

Naturalnie. Jeśli *müdirowi* się powiedzie i przekona Enwera, oni zbiorą laury.

A jeśli nie?

To odpowiedzialność spadnie na *müdiira*.

Ten *müdiir* jest bardzo ambitny.

Faktycznie, bardzo ambitny.

Na czas tej rozmowy trzej panowie zatrzymali się pod wisielcami. Mały podporucznik-pedał odciągnął trochę na bok majora i Austriaka, którzy byli od niego wyżsi o głowę, jakby obawiał się, że mogą zahaczyć szarymi czapkami o stopy wisielców.

Widzicie, panowie, rzekł Austriak. Ten światowy spisek ormiański kołacze się w wielu głowach. Ale tu chodzi raczej o coś mistycznego, nieuchwytnego. Minister wojny Enwer Pasza jest wprawdzie fanatykiem i w jakimś sensie także idealistą, ale nie jest głupi, a przynajmniej nie do tego stopnia głupi, żeby zwać na Ormian jeszcze i ten zamach w Sarajewie, przede wszystkim dlatego, że cały świat wie, kim są prawdziwi winowajcy. Nie, panowie, na taką farsę, w dodatku podczas procesu publicznego, nie może sobie pozwolić nawet Enwer Pasza.

Ma pan rację, powiedział major. Ani Enwer Pasza, ani nikt inny w jego rządzie.

Zwłaszcza Talaat Bej, minister spraw wewnętrznych, nie da się wplątać w taką bzdurną aferę. Talaat to twardy realista, chłodny umysł. Pojęcia w rodzaju „Spisek światowy” do takiego człowieka jak on w ogóle nie przemawiają. W Ormianach widzi jedynie wroga wewnętrznego.

Wroga wewnętrznego? Możliwe. Ale to wróg, który ma poparcie Ormian za granicą. I tu znowu mamy swego rodzaju spisek światowy, choć już bez mistyfikacji.

Tak czy owak, rzekł Austriak, rząd nie da się wplątać w proces, który byłby farsą i tylko by go skompromitował.

Co zatem robi rząd?

Znajdzie przekonujący pretekst, taki, który będzie się opierał na dowodach, aby usprawiedliwić pewne posunięcia przed światową opinią publiczną, zwłaszcza przed sojusznikami.

Nie ma jednak przekonujących pretekstów, które mogłyby usprawiedliwiać posunięcia wymierzone w cały naród.

W Konstantynopolu już coś wymyślą.

Zostało niewiele czasu, nie sądzi pan?

Jak pan to rozumie? spytał Austriak.

No cóż, chodzi mi o to... że przecież realizuje się już dyrektywy rządu, a w zasadzie wciąż jeszcze nie wiadomo, co właściwie przeskrobali ci Ormianie.

Rozmawiałem wczoraj z niemieckim konsulem, rzekł major.

W sprawie Ormian?

W sprawie egzekucji i wielu aresztowań.

I co powiedział?

Powiadomił już Berlin i złożył zażalenie u najwyższych władz. Ale tam wiedziano o tym od dawna.

A cesarz nie mógłby zrobić czegoś, co położyłoby kres tej fali aresztowań i egzekucji?

Cesarz nie wtrąca się w tutejsze sprawy. Poza tym jest wojna. Aresztowania są wszędzie na porządku dziennym.

A egzekucje?

Egzekucje też.

Ale chyba nie na taką skalę?  
Ma pan rację. Nie na taką skalę.

Czy konsul powiedział coś jeszcze?  
Owszem. Powiedział: Turcy przygotowują masakrę.  
Masakrę Ormian?

Tak.

Tu zawsze odbywały się rzezie. Nie byłoby to nic nowego.  
To prawda.

Czy powiedział coś jeszcze?

Owszem. Powiedział: Turcy przygotowują masakrę, jakiej świat nie widział. Ta masakra usunie w cień wszystkie dotychczasowe rzezie.

A skąd o tym wie?

Ma informacje.

A więc wielka rzeź?

Tak.

Kiedy?

Nie wiadomo.

Na co czekają Turcy?

Na przekonujący pretekst do oskarżenia.

Żeby oskarżyć cały naród ormiański?

Tak.

Wtedy jednak cesarz będzie musiał interweniować?

W każdym razie powinien.

Ostatecznie Turcy strzelają z niemieckiej broni.

Ma pan rację.

Konsul winien zawiadomić cesarza. Winien zatelegrafować: Zbliża się masakra, jakiej świat nie widział. Ofiarami będą chrześcijanie.

Nic by to nie dało.

Dlaczego?

Bo cesarza nie interesuje, co ewentualnie może nastąpić.

Chodzi panu o to, że to musi nastąpić wcześniej?

Tak jest.

Potrzeba faktów? Konkretnych relacji?

Właśnie.

Aby go prosić potem o interwencję?

Tak.

Ale wtedy będzie już przecież za późno!

Dwaj Niemcy i Austriak rozmawiali jeszcze przez chwilę o zbliżającej się rzezi, po czym młody podporucznik pożegnał się, aby wziąć sobie *hamata* z dzielnicy kurdyjskiej, jednego z tych silnych kurdyjskich tragarzy, których twarde oszczepy pod brudnymi szarawarami nie tylko łaskoczą. Również niemiecki major i austriacki dziennikarz mieli ochotę się odprężyć, ruszyli więc powoli w kierunku miejskiego burdelu.

Sądzi pan, że niemiecka prezerwatywa zabezpiecza przed chorobą francuską? spytał niemiecki major.

Trzeba by wypróbować, odparł Austriak. Turcy nazywają syfilis „chorobą francuską”.

Tak, wiem o tym, powiedział major.

Trzeba by też wysłać telegram cesarzowi Franciszkowi Józefowi, rzekł Austriak.

W sprawie syfilisu i zagrożenia nim wojsk niemieckich?

Nie. W tej kwestii kompetentny byłby raczej cesarz Wilhelm Drugi.

Po co więc wysłać telegram do Franciszka Józefa?

W sprawie Ormian. Może byłby skłonny interweniować, nim będzie za późno.

— ...nim będzie za późno! — Bajarz roześmiał się.  
— Wiesz, moja owieczko, kiedy możni tego świata są zbyt wygodni, żeby ruszyć dupę... albo gdy ruch tą konkretną częścią ciała koliduje z pewnymi interesami, dupa pozostaje w bezpiecznym stanie spoczynku, jej ruchy są opóźniane, a sumienie, gdzieś ponad dupą, uspokajane słowami: Później! Później! Zapewniam cię, moja owieczko: później jest zawsze za późno, więc i tym razem nie będzie inaczej.

I bajarz rzekł:

— Ci dwaj niemieccy oficerowie i Austriak zrozumieli to.

— Co zrozumieli?

— Że wytepienie Ormian w Turcji, zagłada całego narodu, koniec końców zależy nie tylko od oprawców, ale także od milczenia ich sojuszników.

— Wielka rzeź! — powiedział bazarz. — Każdy w tym kraju wiedział, że masakra nastąpi, lecz tylko nieliczni potrafili sobie naprawdę wyobrazić coś konkretnego. Jakie plany mają Turcy względem Ormian? Czy wyrzną wszystkich, jak wyrzyna się owce? I to na oczach cywilizowanego świata? Kto pomoże Ormianom? Może cesarz Wilhelm Drugi, który boi się zrobić cokolwiek, co mogłoby rozdrażnić sojuszniczą Turcję? Albo stary, mający kłopoty z sikaniem cesarz Franciszek Józef? Czy mogą im pomóc Rosjanie albo Anglicy, albo Francuzi? Czy nie są zbyt daleko od miejsca wydarzeń... po drugiej stronie frontu? Czy skończy się jedynie na krzyku, jaki podniesie prasa światowa, po czym wszystko pójdzie w zapomnienie wraz ze starymi gazetami? Ale wierz mi, moja owieczko, bez względu na to, co na nas spadnie, historycy będą śmiać się w kułak, zwłaszcza ci od dziejów współczesnych, gdyż dla zabicia nudy potrzebują nowego materiału, materiału, na którym da się pracować. Z braku fantazji będą szukać liczb, aby uczynić policzalnymi masy zabitych — ponieważ je ogarnąć — i będą szukać słów, aby określić i pedantycznie zaklasyfikować wielką masakrę. Nie wiedzą, że każdy człowiek jest istotą jedyną w swoim rodzaju i że nawet wiejski głupek w rodzinnej wiosce twojego ojca ma prawo do imienia. Nadadzą wielkiej rzezi miano ludobójstwa, a najbardziej uczeni spośród nich mówić będą o hekatombie lub genocydzie. Jakiś mądrała wymyśli określenie armenocyd, a specjalista od nazewnictwa, cymbał nad cymbały, poszpera w słownikach i stwierdzi na koniec, że to był holocaust.

1

A tymczasem twój ojciec leży znowu na sienniku w swojej celi. Wie, że *müdiir* zamierza przewieźć go do Konstantynopola, aby ujawnił przed światową opinią publiczną, że Ormianie są winni. Kiedyś więc zostanie przewieziony do Konstantynopola. Ale do tego czasu upłynie wiele dni i może jego zeznanie nie będzie już wtedy w ogóle potrzebne, gdyż możliwe jest, że panowie w Konstantynopolu znajdą w tym czasie innych świadków, którzy potwierdzą zupełnie inne, bardziej wiarygodne oskarżenie.

Twój ojciec nie może spać. Myśli o swym nie narodzonym synu Towmie, który kiedyś pod winoroślą ujrzy światło tego świata. I przychodzi mu do głowy, że on sam też urodził się pod winoroślą, lecz nie jak w owym koszmarze opowiedzianym mu przez strach, w tej zmyślonej historii o pękających mlecznych piersiach jego matki. Nie... nie! Piersi jego matki nie pękły!

— Piersi jego matki nie pękły — powtórzył bazarz. — To było kłamstwo.

— Czy mówisz o mlecznych piersiach mojej babki?

— Tak, Towmo. Mówię o jej piersiach pełnych mleka.

— Był kiedyś chłopiec... — zaczął bazarz — który leżał jeszcze nie narodzony pod winoroślą. Miał mieć na imię Wartan i był twoim ojcem.

Była kiedyś kobieta. Brzemienna kobieta. Gdy mijał dziewiąty miesiąc i niecierpliwość Pana Boga objawiła się w bólach, zwanych powszechnie porodowymi, i kiedy wydawało się już, że ciało jej pęknie, powiedziała do swego męża: Zaprzęgajmy szybko osła i jedźmy po naszego Wartana. Leży bowiem pod winoroślą i nie chce dłużej czekać.

Gdzie jest jego winorośl?

W krainie winorośli.

Był kiedyś osioł. Który biegł tak szybko jak koń arabski. I z chyżością wiatru zawiózł brzemienną kobietę i jej męża do krainy winorośli. Piersi brzemiennej nabrzmiały po drodze, ale nie pękły. Pan Bóg chciał bowiem, żeby mleko zaczekało.

Była kiedyś brzemienna kobieta. Która w samą porę przyjechała ze swoim mężem do krainy winorośli. I zobaczyła tę jedną winorośl, która urosła tam jako kołyska dla tego, co miał się urodzić. Kobieta zobaczyła winorośl pierwsza, gdyż wzrok matki jest bystrzejszy od wzroku ojca. Podbiegła do winorośli, a jej mąż za nią. Kiedy mężczyzna ujrzał, jak kobieta bierze swego syna na ręce, zaszlochał i rzekł: To może być tylko nasz Wartan.

Był to rzeczywiście mały Wartan. Nie ulegało wątpliwości, gdyż kobieta przestała nagle być brzemienną.

Twój duży brzuch zniknął, zauważył mężczyzna.

Bóle też zniknęły, powiedziała kobieta.

Obmyli małego Wartana w źródle nie opodal winorośli. Kobieta śmiała się uszczęśliwiona. Śmiał się także mężczyzna. Gdy kobieta przystawiła później małego Wartana do swych mlecznych źródeł, otworzyły się sutki.

I mały Wartan zaczął pić słodkie mleko matki. A jego rodzice dziękowali Bogu, że mleko zaczekało.

W drodze powrotnej do rodzinnej wioski osioł szedł powoli. Jechali pod górę. Szata roślinna stawała się coraz uboższa, zbocza porośnięte były coraz rzadziej drzewami,

a potem tylko zmierzwionymi krzakami, nagie skały mieniły się różnymi barwami. Kraina winorośli została w krótkim czasie daleko w tyle. Ośla ścieżka, którą jechali, ginęła w wysokich górach z wierzchołkami powyżej chmur. Nie popędzali osła, gdyż teraz mieli już czas. Nie musieli też kierować osłem, gdyż zwierzę znało drogę. Po kilku godzinach zatrzymali się na odpoczynek. Mężczyzna wyciągnął bukłak z wodą spod poduszki z owczej wełny oraz pleciony koszyk z chlebem. Pili z bukłaka, napełnionego w krainie winorośli świeżą wodą źródlaną, i jedli *lawasz*, który kobieta upiekła w domu w *tonirze*. Gdy zjedli i wypili, mężczyzna wziął od kobiety dziecko i śmiejąc się podniósł je do góry.

Jak sądzisz, czy nasz Wartan wie, gdzie się znajduje?

Nie, odpowiedziała kobieta. Oddaj mi go.

Powinien wiedzieć, że jest w krainie naszych przodków, rzekł mężczyzna.

Jemu to przecież zupełnie obojętne, stwierdziła kobieta, odebrała mężczyźnie dziecko i przycisnęła je do swych mlecznych piersi. Dziecko powinno tylko wiedzieć, że jest przy matce. Cała reszta jest obojętne.

A co z ojcem?

Naturalnie, przyznała kobieta. Dziecko powinno także wiedzieć, że jest przy ojcu.

Gdyby nasz Wartan miał już rozum, powiedział mężczyzna, i oczy, które wiedzą, co widzą, to teraz chętnie pokażalbym mu krajobraz.

Jego oczy są jednak jeszcze na wpół sklezione, rzekła kobieta, gdyż Pan Bóg nie chce, żeby zobaczył za wiele naraz, bo wtedy mógłby się przestraszyć.

Ale przecież umyłaś mu oczy?

Nie umyłam ich jak trzeba.

Kiedy otworzy je całkiem, żeby poznać świat?

Może za kilka dni, odpowiedziała kobieta.

Gdyby nasz Wartan mógł mnie rozumieć i gdyby miał oczy orła, powiedziałbym teraz do niego: Widzisz, Wartanie. Oto kraj naszych przodków. I wskazałbym na wschód i powie-



dział do niego: Czy widzisz tę wielką, pokrytą śniegiem górę?  
To góra Ararat!

Ale on nie ma oczu orła. I nie rozumie jeszcze ani słowa z tego, co do niego mówisz. Jaki więc sens miałoby pokazywanie mu kraju naszych przodków?

Nie wszystko musi mieć sens.

A więc pokazałbyś mu górę Ararat?

Tak.

I co jeszcze?

Miasto Bekir, rzekł mężczyzna i wskazał palcem południowy wschód, a także miasto Erzurum, oddalone od Bekiru zaledwie kilka dni jazdy wózkiem zaprzężonym w osła. I pokazałbym mu też Ani, siedzibę ormiańskich królów, miasto tysiąca i jednego kościoła. I powiedziałbym do niego: Ani to ruiny miasta. Ani jest tak samo martwe, jak martwe jest królestwo armeńskie, królestwo bogini Anahity i królestwo pierwszych chrześcijańskich kościołów.

Ono nie jest martwe. Nasz kapłan Kapriel Hamadian powiedział kiedyś: Królestwo Armenii nie jest martwe.

A gdzie niby ono jest, skoro nie jest martwe?

Umarło tylko pozornie, odparła kobieta.

Kto tak powiedział?

Kapłan Kapriel Hamadian.

I pokazałbym teraz naszemu synowi wszystkie ormiańskie wioski i miasta, wszystkie w tej okolicy. Widzisz: wszystko to zabrali nam Turcy. Tam na przykład jest Urfa. A tam Dijarbekir, a jeszcze dalej miasto Konia, do Ormian należy także miasto Siwas, to niedaleko stąd. A gdyby nasz Wartan zapytał mnie, jak nazywają się te góry, tobym mu odpowiedział: Nie wiem, mój synu. Jedni nazywają je górami kurdyjskimi, inni górami Hajastanu. Ale pewien badacz z Frankistanu, który był kiedyś w naszej wiosce i pokazywał naszemu muchtarowi Efremowi Abowianowi taką dziwną mapę, orzekł: To jest Wyżyna Armeńska. Leży w Turcji, ale rozciąga się poza granice rosyjską i perską, a nawet po Kurdystan.

I powiedziałbym do niego: Widzisz tę rzekę w dole, to Karasu, a tam jest Murat. A trochę dalej płyną Eufrat i Tygrys. A jeśli zjedziemy wózkiem na dół po drugiej stronie gór, to dotrzemy do Malatii. W pewnym miejscu skończą się góry i okolica stanie się płaska. Stanie się tak płaska jak moja dłoń, i tak gorąca, że potrzeba siedmiu bukłaków wody, aby wybrać się tam na przejażdżkę. Jeśli się nie mylę, nazywają tę krainę Mezopotamią.

I powiedziałbym do niego: Wszędzie mieszkają Ormianie, lecz przede wszystkim w naszych stronach. Ale mieszkają tu także Turcy i Cyganie, i Kurdowie, i Persowie, i Arabowie, i Żydzi, i Grecy, i czciciele diabła nazywani jezydami, i wielu innych. Większości z nich nie musisz się bać. Tylko przed Turkami i Kurdami miej się na baczności.

Masz rację, przyznała kobieta. Gdy tylko zaczniesz naprawdę widzieć świat i może nawet rozumieć, co do niego mówimy, i będzie już miał pierwsze zęby i nauczy się chodzić, a nie tylko fikać nóżkami, wtedy powiemy mu: Miej się na baczności przed Turkami i Kurdami.

A co z czcicielami diabła? spytała kobieta. Czy to prawda, że mogą rzucić urok na naszego Wartana?

Nie, odrzekł mężczyzna. To nieprawda, tak samo jak to, że Cyganie mogą rzucić urok na naszego Wartana.

A kto może go urzec? Na przykład Turcy i Kurdowie?

Nie, odparł mężczyzna. Oni mogą mu najwyżej poderżnąć gardło. Albo po prostu go zabić.

Więc kto mógłby go urzec?

Tylko ludzie o złym spojrzeniu, powiedział mężczyzna. A tacy są w każdym narodzie.

Także wśród Ormian?

Także wśród Ormian.

Wiedziałam o tym od dawna, przyznała kobieta.

W takim razie nie powinnaś mnie pytać, rzekł mężczyzna.

Po posiłku mężczyznę naszedł apetyt na rybę i dlatego powiedział do żony: *Lawasz* nie zaspokoił mojego głodu.

Mógłbym połknąć teraz całą rybę, i idę z tobą o zakład, że mógłby to także zrobić nasz mały Wartan.

A ja idę z tobą o zakład, że nie mógłby, rzekła kobieta.

Ilekcroć myślę o tłustej rybie, powiedział mężczyzna, przypomina mi się wielkie armeńskie jezioro niedaleko rosyjskiej granicy.

Czy masz na myśli jezioro Wan, oddalone zaledwie o dwie długości papierosa od domu mojego brata?

Nie to mam na myśli, odrzekł mężczyzna. Chodzi o jezioro, które widziałem całkiem niedawno. Jakim sposobem mogłoby to być jezioro Wan? Czyż nie odwiedziłem twojego brata, który mieszka nad samym jeziorem? A przecież nie widziałem go od lat.

W takim razie musiało to być jakieś inne jezioro?

To było inne jezioro. Tylko zapomniałem nazwy. A ponieważ wszystkie jeziora w tych stronach są jeziorami armeńskimi, to bez znaczenia. Po prostu było to armeńskie jezioro.

I co się tam wydarzyło? spytała kobieta.

Nic szczególnego, odpowiedział mężczyzna.

I mężczyzna rzekł: To było wcale nie tak dawno temu. Nosiałś drugi miesiąc naszego syna Wartana. Wziąłem wtedy osła i przez trzy dni jeździłem po górach. Odwiedziłem wiele żyznych dolin. Przejeżdżałem obok rzek i strumieni, a także obok mniejszych i większych jezior.

Ależ to niemożliwe, zaprotestowała kobieta. Bo przez ostatnie dwa lata w ogóle nie ruszałeś się z wioski.

Ale tak było, upierał się mężczyzna.

Może śniło ci się tylko?

To też możliwe, zgodził się mężczyzna.

I mężczyzna powiedział: A więc przejeżdżałem obok tego wielkiego jeziora. I tam spotkałem rybaka, który zarzucał sieci. Nosił imię Petrus, ale nazywał siebie Bedros, gdyż był Ormianinem.

Bedros?

Tak, Bedros.

I co z tym rybakiem?

Nic szczególnego. Powiedział tylko: Słyszysz, jak ryby rozmawiają ze sobą?

Nie, odparłem. Nie słyszę tego.

Wszystkie mówią po ormiańsku, rzekł rybak.

W takim razie muszą to być ormiańskie ryby, powiedziałem.

Nie inaczej, potwierdził rybak. Turcy mówią, że to tureckie ryby, ale ja wiem, że są ormiańskie, bo rozumiem ich język.

Tak, powiedziałem.

I rybak rzekł: Także kwiaty w tych stronach mówią po ormiańsku i trawa, i nawet wiatr, kołysząc wierzchołkami drzew, śpiewa im ormiańskie kołysanki.

Czy Turcy wiedzą o tym? spytałem.

Wiedzą, potwierdził rybak, ale wypierają się tego.

A co było z tą rybą? spytała kobieta.

To była tłusta ryba, odrzekł mężczyzna.

Która tłusta ryba?

Ta, którą rybak złowił potem dla mnie.

Opowiedz mi coś o tej rybie. Naprawdę była tłusta?

Owszem, potwierdził mężczyzna.

I mężczyzna rzekł: Rybak opowiedział mi pewną historię. To była historia o tłustej rybie.

Opowiedz mi tę historię.

Dobrze, zgodził się mężczyzna. Opowiem ci historię, którą opowiedział mi rybak.

Była kiedyś ormiańska bogini. Nazywała się Anahita. Siedziała na skale wystającej z Eufratu i czesała jedwabiste włosy. A ilekroć jakiś włos wypadał, wiatr unosił go w dal.

Dokąd wiatr unosił te włosy?

Unosił je daleko, ale też nie za daleko, gdyż włosy nigdy nie opuszczały granic Armenii.

Czy zdarzało się, że te włosy zawisły gdzieś, na przykład w powietrzu?

Nie, odpowiedział mężczyzna. W końcu spadały, i to zawsze do wody, albo do rzeki, albo do stawu, albo do strumienia, albo do jeziora. Czasem też do morza.

A czego chciały te włosy?

Chciały karmić ryby w wodzie.

Wiesz, spytał mężczyzna, co rybak mi powiedział?

Nie, odparła kobieta.

Powiedział: Ryby w tych stronach dlatego są takie tłuste i liczne, że Anahita jest boginią płodności. I spytał mnie rybak Bedros: Ile masz dzieci?

Jedenaścioro, odparłem, a wkrótce będę miał dwanaścioro, bo moja żona znowu jest brzemienna.

Czy to będzie syn? spytał rybak.

Mam nadzieję, że to będzie syn, odpowiedziałem.

Jak go nazwiesz?

Nazwę swojego syna Wartan.

Wartan był ormiańskim bohaterem, rzekł rybak. W roku 401 walczył na czele sześćdziesięciu tysięcy Ormian przeciwko królestwu perskiemu. A wiesz, jakie było jego zawołanie bojowe?

Nie, odparłem. Skąd miałbym wiedzieć?

Za Hajastan i za Chrystusa, takie było jego zawołanie bojowe, rzekł rybak.

A więc ormiański bohater?

Człowiek wybrany przez Chrystusa.

Chcesz, żeby twój syn został bohaterem? spytał rybak.

Nie, odpowiedziałem. Bohaterowie umierają młodo, a ja chciałbym, żeby mój syn dożył sędziwego wieku.

W takim razie nie powinien zostać bohaterem.

No właśnie, potwierdziłem, nie powinien zostać bohaterem.

Powinien zostać rybakiem, rzekł rybak. Tak jak ja. Jeśli zostanie rybakiem, nigdy nie będzie cierpiał głodu.

A ja chciałbym, żeby został rolnikiem, powiedziałem.

Powinien zostać rybakiem, powtórzył rybak. Zważ, że ormiański rolnik nie ma łatwego życia. Zależny jest od słońca

i od deszczu. Od tureckich poborców podatkowych i kurdyjskich bejów, którzy ze swej strony też żądają podatków, a ich jeźdźcy uprawniają mu bydło albo porywają kobiety, albo wręcz podpalają mu dom i pozbawiają go dachu nad głową.

Albo podpalają dom, powtórzyłem. To prawda.

Mogą go też przepędzić z jego ziemi.

To też mogą.

Wierz mi, lepiej być rybakiem.

A więc rybakiem?

Tak, przytaknął rybak. I złowił dla mnie najtłustszą rybę, jaką kiedykolwiek widziałem. Odciął jej głowę i rzekł do mnie: Upieczemy ją na rożnie i od razu zjemy. Bo ryby trzeba jeść świeże.

Owszem, zgodziłem się. I dodałem: Szkoda, że mój syn Wartan nie może jeść tej ryby.

Będzie łowił i jadł inne ryby, rzekł rybak.

Chętnie zachowałbym tę tłustą rybę dla Wartana, powiedziałem, ale zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe.

To niemożliwe, potwierdził rybak. Po trzech dniach martwa ryba śmierdzi bowiem jak łono Kurdyjki zimą, bo Kurdowie myją się tylko latem, gdy mogą się kąpać w rzece.

Tak właśnie jest, powiedziałem.

A rybak powtórzył: Twój syn Wartan będzie łowił i jadł inne ryby.

Niech więc zostanie rybakiem, rzekła kobieta.

Dobrze, zgodził się mężczyzna.

Po chrzcie, powiedziała kobieta, włożymy mu do kołyski wędkę.

Dobry pomysł, przyznał mężczyzna. Niech od małego przyzwyczajają się do wędki.

## 2

— To prawda — rzekł bazarz do ostatniej myśli. — Zaraz po tym, jak kapłan Kapriel Hamadian ochrzcił twojego ojca, jego matka włożyła mu do kołyski dziecinną wędkę. Mam ci opisać kołyskę, w której sypiał twój ojciec, kiedy nie spał akurat między dużymi mlecznymi piersiami twojej matki?

— Tak, *meddach*.

— Na pierwszy rzut oka kołyska wygląda całkiem normalnie, mój gołąbeczku, swego rodzaju skrzynia z otworem odpływowym, bo małe dzieci, jak wiadomo, nie potrafią załatwiać się poza kołyską, nawet takie, które mają na imię Wartan i zostały tak nazwane od imienia bohatera, mimo że nie mają zostać bohaterami. Twój dziadek sam zbił tę kołyskę, a zbił ją dla swego pierwszego syna. Później spały w niej wszystkie dzieci, gdyż każde przekazywało swoje łóżeczko następnemu.

— W takim razie nie ma w tej kołysce nic szczególnego?

— Przeciwnie, moja owieczko. Twój dziadek wyrzeźbił bowiem w drewnie kołyski gołębia, gołębia z gałązką oliwną.

— A co miało to oznaczać?

— Miał to być gołąb z arki Noego, który wzbił się wtedy z góry Ararat, by z kraju mającego w przyszłości nosić nazwę Hajastan — czyli kraju u stóp góry — przynieść gałązkę oliwną na znak, że potop się skończył.

— U Chadisjanów istniał zwyczaj, że babka kołysała nowo narodzone dziecko w ciągu dnia, pewnie dlatego, że matka czuwała przy dziecku w nocy lub całkiem po prostu była zmęczona częstym, acz przyjemnym karmieniem. Babka była przyzwyczajona do kołysania. A ponieważ nie chciała siedzieć ciągle obok kołyski, przywiązywała sobie do nogi długi sznurek, którego drugi koniec przymocowany był do kołyski. Dzięki temu mogła poruszać się po całym domu lub podwórzu albo przesiadywać plotkując przed domem, bo wystarczyło lekko pociągnąć za długi sznurek lub poruszyć nogą, by wrzeszczące dziecko się uspokoiło.

— Czy mój ojciec miał babkę?

— Co za pytanie, moja owieczko. Wszystkie małe dzieci mają babki.

— W kołysce rzeczywiście nie było nic szczególnego — mówił bazarz — wypełniono ją miękkim piaskiem, który babka wymieniała, gdy robił się zbyt wilgotny. Kołyska miała też przecież otwór odpływowy, o którym ci już opowiadałem, tak żeby piasek zużywano oszczędnie: po prostu normalna ormiańska wiejska kołyska, zbudowana z miłością i myślą o przyszłości. Nie było więc nic szczególnego ani w kołysce, ani w twoim ojcu, który płakał lub krzyczał, lub wymachiwał nóżkami, lub zachowywał się cicho i spokojnie jak wszystkie małe dzieci. W gruncie rzeczy twój ojciec był miłym dzieckiem. Przesypiał pierwsze dni swego życia, uśmiechał się przez sen i śnił o dużych mlecznych piersiach swojej matki, czasem także o długim sznurku babki, tym, za który pociągała, może śnił również o gołębiu z gałązką oliwną, górze Ararat i krainie Hajastan, choć raczej w to wątpię.

Kiedy pradziad twojego ojca spłodził babkę — mam na myśli babkę twojego ojca — powiedział do swej niewiasty: Jeśli będzie syn, a taką mam nadzieję, nazwiemy go Tigran, gdyż Tigran był ormiańskim królem, a jeśli to będzie dziewczynka, nazwiemy ją Satenig, bo była taka ormiańska księżniczka.

Prababka rzekła jednak: To będzie dziewczynka, czuję to. Ale nie powinna być księżniczką. Najlepiej nazwijmy ją Hamest.

Dlaczego akurat Hamest?

Bo czuję, że może się nazywać tylko Hamest, odparła prababka.

— Hamest znaczy skromna — wyjaśnił bazarz. — A ponieważ rzeczywiście urodziła im się dziewczynka, nazwali ją Hamest.

— I była skromną kobietą? — spytała ostatnia myśl.

— W tym rzecz, że nie była — odrzekł bazarz. — Była zupełnym przeciwieństwem skromności. Właściwie to była prawdziwą sekutnicą, która wciąż każdym komenderowała.



Powinni byli nazwać ją Dzowinar, które to imię oznacza właściwie nimfę, ale także piorun bez grzmotu.

— I była jak piorun bez grzmotu?

— Owszem — potwierdził bazarz. — Wybuchy jej temperamentu pozostawały bez echa. Nikt się nie przejmował, kiedy się piekliła, gdyż życzyła ludziom dobrze.

— Czy była dobra dla mojego ojca?

— Tak, była... A ponieważ nosiła niewłaściwe imię — ciągnął bazarz — pewnego dnia — gdy sama miała począć, a mianowicie w noc poślubną — tak powiedziała do swojego męża: Właściwie powinnam się nazywać Dzowinar. Ale nie nazywam się tak.

Na co mężczyzna odrzekł: Jeśli Bóg nas pokarze i nie urodzi nam się syn, tylko dziewczynka, nazwiemy ją Dzowinar.

— Zdarzyło się jednak inaczej — mówił bazarz. — Żadne z ich dzieci nie otrzymało imienia Dzowinar, gdyż im dłużej się nad nim zastanawiali, tym mniej im się podobało. Dopiero gdy Pan Bóg podarował jednemu z ich synów, a mianowicie Hagopowi, niewiastę, która miała na imię Dzowinar, Hamest powiedziała do swego męża: A więc mamy jednak Dzowinar w rodzinie, i wiadomo skąd i dlaczego. Pamiętasz? Właściwie ja miałam się tak nazywać.

— Tak to więc było — rzekł bazarz. — Hamest dostała synową o imieniu Dzowinar. I Hamest powiedziała do męża: To imię powinno do niej pasować. Żona naszego Hagopa na pewno jest jak piorun bez grzmotu. Ale Hamest myliła się. Bo również Dzowinar miała niewłaściwe imię. Była skromną kobietą i właściwie powinna nazywać się Hamest.

Mimo żywego temperamentu, a może właśnie dlatego, babka twojego ojca miała niepozorną posturę. Była karłowatego wzrostu, chuda jak czarne górskie kozy Kurdów, gwałtowna w ruchach i twarda jak trudna do strawienia *pastyrma*, czyli suszone mięso w chłopskich spizarniach. Ponieważ zawsze nosiła na szyi kilka ząbków czosnku, dla ochrony przed złymi duchami i przeciwko złemu spojrzeniu, przesiąknęła jego

zapachem, co jednych odstraszało, w drugich zaś pobudzało apetyt, gdyż czosnek jest ulubioną przyprawą. Twój ojciec za każdym razem zaczynał głośno płakać, gdy babka podchodziła do kołyski, pochylała się z zębami czosnku nad nim i mówiła: No, nieustraszony paszo, jeśli nie będziesz grzeczny, zabiorą cię Kurdowie. Po czym dodawała podstępnie: Albo wielki niedźwiedź.

Tuż po chrzcie twój ojciec był jeszcze za mały, aby odróżniać dobro od zła, a tym bardziej wiedzieć, dlaczego jego babka nosi na szyi ząbki czosnku. Wiedział tylko, że z kobiet, które się o niego troszczą, jedna pachnie czosnkiem, a druga słodkim mlekiem, tak więc było rzeczą zrozumiałą, że raczej wyciągał rączki do swojej matki.

Matka nie tylko pachniała mlekiem. Wyglądała także jak mleczna krowa. I tym samym była przeciwieństwem babki. Ciężka i tłusta, z rozkołysanymi, klaszczącymi o siebie piersiami, spacerowała przed kołyską tam i z powrotem. Jej gesty, kiedy pochylała się nad kołyską, były jak płynące mleko, a czułe słowa, które szeptała małemu Wartanowi na ucho, bulgotały niczym strumień mleka w drewnianym cebrzyku podczas dojenia. Słodkie były jej słowa i słodki był jej zapach. Nic więc dziwnego, że małego Wartana przenikało błogie uczucie, gdy matka zbliżała się do kołyski lub brała go delikatnie na ręce i zaczynała karmić.

Głos bazarza spoważniał.

— Każde ormiańskie dziecko — powiedział — jest w wielkim niebezpieczeństwie przez pierwszych czterdzieści dni życia. Przez pierwszych czterdzieści dni matka nie powinna zostawiać dziecka samego. To prawda, że babka kołysała dziecko i robiła to także, kiedy jej nie było w izbie — jak wspomniałem — za pomocą długiego sznurka. Matka jednak zawsze była gdzieś w pobliżu. Matka i dziecko nie powinny również opuszczać domu przez pierwszych czterdzieści dni, dozwolone to było tylko w dniu chrztu, wszak trzeba było udać się do kościoła.

— A dlaczego ormiańskie dziecko jest w takim wielkim niebezpieczeństwie? Mam na myśli pierwszych czterdzieści dni jego życia.

— Z powodu złych duchów, moja owieczko. Ormianie znają wiele duchów. Są *wiszapy* i *dewy*, i *alki*, i wiele innych. I naturalnie także *dżinny*, w które wierzą również Turcy. Wiele z tych duchów upatrzyło sobie wątrobę małych dzieci i spokojnie pożerają ją podczas nieobecności matek. Kiedyś zdarzył się w wiosce taki wypadek, o którym szeptano jeszcze przez wiele lat.

— Jaki wypadek, *meddach*?

— Naprawdę mam ci o nim opowiedzieć?

— Tak, *meddach*.

— Kiedy Ormianie przyjęli chrześcijaństwo przed wszystkimi innymi narodami — zaczął bazarz — święty Grzegorz kazał zburzyć świątynię perskich czcicieli ognia w mieście Eczmiadzyn i zbudował na jej miejscu pierwszy kościół państwowy na świecie, tak wspaniały, że nawet architekci pałacu królewskiego pobledli z zazdrości. Miasto i kościół istnieją do dziś. Stamtąd właśnie pochodzi święty olej *merron*, którym namaszczone są przy chrzcie wszystkie ormiańskie dzieci. No cóż, moja owieczko — rzekł bazarz — zdarzyło się, że sąsiadom Chadisjanów urodziło się dziecko, dziewczynka, której dano na chrzcie imię Takuhi, co znaczy królowa. Ostrzegano matkę dziewczynki. Mówiono jej: Nie spuszcжай dziecka z oczu przez pierwszych czterdzieści dni. Pamiętaj, że duchy żyją w ciemności i na pewno są złe, że masz takie śliczne dziecko, które nosi w dodatku imię Takuhi. Ale matka dziecka śmiała się i mówiła: Mojej dziewczynce nie może się nic stać, gdyż kapłan Kapriel Hamadian namaścił ją, i to świętym olejem *merronem*.

A gdy spytano ją, czy potem umyła dziecko, roześmiała się i rzekła: Oczywiście, że je umyłam.

I woda była oleista?

Oczywiście, że była oleista, gdyż w wodzie pozostały ślady *merronu*.

To była święta woda.

Oczywiście, że to była święta woda.

I co zrobiłaś z tą świętą wodą? Wylałaś ją?

Pokropiłam nią ziemię dookoła domu.

Z powodu *dzinnów*?

Oczywiście, że z powodu *dzinnów*.

I sądzisz, że *dzinny* boją się świętej chrześcijańskiej wody?

Oczywiście, że się boją.

— I zdarzało się — ciągnął bajarz — że owa matka często zostawiała córeczkę samą. Włożyła jej do kołyski Biblię i powiesiła przed drzwiami sznur ząbków czosnku, a w odrzwiach kilka podków, i to odwrotnie, żeby wskazywały końcami w dół, tak jak robili wszyscy ludzie w wiosce, by chronić pomieszczenia domowe przed złymi duchami. Postawiła nawet przed kołyską miotłę, ponieważ *dzinny* boją się mioteł i kijów, ale nic to nie dało.

— Dlaczego nic to nie dało?

— No cóż, moja owieczko — westchnął bajarz. — Pewnego dnia kobieta wracała właśnie od studni, gdzie stała jakiś czas plotkując ze starymi babami, i widzi...

— Widzi... co?

— Że dziecko zniknęło.

— Zniknęło?

— Po prostu zniknęło. Nigdy więcej go nie widziano.

— Wyobrażam sobie — powiedział bajarz — że ja, bajarz, przed wieloma, wieloma laty siedziałem obok twojego ojca. Skończył właśnie trzy tygodnie i spogląda na mnie dużymi ciemnymi ormiańskimi oczyma. No, mały tchórze, mówię do niego, nie narobiłeś jeszcze ze strachu?

A twój ojciec, który wcale jeszcze nie potrafi mówić, powiada do mnie: Czego niby miałbym się bać, *meddach*? Babka kołysze mnie przecież pociągając za długi sznurek. A matka poszła właśnie do stajni się wysikać, ale zaraz wróci, by mnie nakarmić.

Zgadza się, mówię. Masz w zupełności rację. Ale czyż nie wiesz, że matki nawet na chwilę nie powinny zostawiać dzieci samych przez pierwszych czterdzieści dni życia? Wystarczy jedna sekunda, by dziecko zniknęło na zawsze.

Z powodu *dzinnów*? pyta twój ojciec.

Owszem, powiadam. *Dzinny* upatrzyły sobie twoją wątrobę. Więc się pilnuj. Twoja matka jest w stajni i sika. A gdy wróci, ciebie już nie będzie, bo zabiorą cię *dzinny*.

Ale twój ojciec śmieje się i mówi: Nie, *dżinny* nie mają nade mną władzy, bo kapłan Hamadian namaścił mnie świętym olejem *merronem* — to było przy chrzcie — i dlatego że babka wykąpała mnie potem, a wodą z kąpieli ze śladami świętego oleju pokropiła ziemię dookoła domu. *Dżinny* nie mogą przełamać tego zaklętego kręgu. A wiesz dlaczego?

Nie wiem, mówię.

Bo chroni mnie Jezus Chrystus.

No, nie wiem, powiadam. Chrystus nie zawsze jest na miejscu, kiedy się go potrzebuje. Wiele ormiańskich matek próbowało zabezpieczyć się olejem, a mimo to *dżinny* zabrały im dzieci.

Opowiadam twojemu ojcu, jak to było, gdy jego matka poczęła po raz dwunasty.

Z wioski prowadzi ośła ścieżka, mówię, i jeśli wczesnym rankiem pójść nią za słońcem piętnaście długości papierosa, dochodzi się do chaty, gdzie mieszka Bülbül.

Bülbül? pyta twój ojciec.

Owszem, mówię. Nazywa się tak jak słowik. Po prostu Bülbül. A wiesz dlaczego?

Nie, odpowiada twój ojciec.

Ponieważ jest akuszerką i śpiewa, kiedy rodząca krzyczy. Śpiewa tak przejmująco, że rodząca myśli, iż to jej własny głos... i tak długo, aż dziecko przyjdzie na świat.

I śpiewa jak słowik?

Nie, moja owieczko. Jej głos jest brzydki jak ryk osła, o którym Prorok powiada, że ma najbrzydszy głos spośród wszystkich stworzeń Allaha. Wielu ludziom, jak to się mówi, skóra cierpie na plecach, mówię do twego ojca, i wielu czyni w duchu znak krzyża, gdy pojawia się bezimienny osioł z krzywonogą Bülbül na grzbiecie. Ale nie musisz się jej bać, choć ludzie twierdzą, że została zaczarowana przez *dżinny*, zamieniona w wędrującą tajemnicę na dwóch kabłąkowatych nogach, tajemnicę obdarzoną ochryłym męskim głosem i siwą kozią bródką.

Jakkolwiek rzecz się ma, nikt nie wie naprawdę, kim jest i skąd przybyła. Podobno pochodzi z dzikiej górzystej krainy

Hakkari i jest córką kurdyjskiego szejka oraz jednej z jego nałożnic. Jej ojciec, szejk, tak opowiadają, nie umiał czytać ani pisać, ale odczuwał wielki głód wiedzy i dlatego od czasu do czasu kazał porwać jakiegoś *hafiza*, czyli muzułmanina znającego Koran na pamięć. Jego ludzie porywali też niekiedy bazarzy z bazarów dużych miast i dostarczali związanych do jego namiotu. *Hafizom* kazał recytować najmądrzejsze wersety z Koranu, dopóki nie miał dosyć, bazarze zaś musieli mu opowiadać wszystkie historie, jakie znali. Podobno Bülbül jako mała dziewczynka przysłuchiwała się tym opowieściom i potem sama znała na pamięć najważniejsze fragmenty sur Koranu, znała też wszystkie historie i baśnie opowiadane przez *meddachów*. Podobno raz ten kurdyjski szejk wziął do niewoli starego bazarza, który dźwigał już na grzbiecie przeszło sto lat. A ponieważ był taki stary, zdarzało mu się czasem przysnąć w trakcie opowiadania. Wtedy Bülbül, mała dziewczynka, która siedziała obok niego, po prostu opowiadała dalej, równie dobrze jak starzec, a często nawet lepiej, snując opowieść do końca.

A dlaczego Bülbül nie została wśród swego plemienia?

Ponieważ plemię pewnego dnia wypędziło jej matkę, odeszła razem z nią. Bülbül przeklęła swego ojca. I przeklęła również plemię. Odeszły w dalekie strony. Matka Bülbül umarła później na cholere. Podobno Bülbül, która miała wtedy dziesięć lat, została zabrana przez Cyganów i przez jakiś czas wędrowała z nimi po świecie, lecz w końcu od nich też uciekła. Potem włóczyła się po wioskach i miastach — nikt nie wie gdzie — a gdy pewnego dnia pojawiła się w Jedi Su, miała już krzywe nogi i pałakowate plecy, a na jej brodzie wyrastały pierwsze siwe włoski zarostu, jaki sypie się starym kobietom, mimo że Bülbül nie była jeszcze bardzo stara. Przyjechała na bezimiennym szarym ośle, miała przy sobie worek i kij i — podobno — różne cenne ozdoby i złoto. Zbudowała sobie chatę wysoko w górach i od tej pory mieszka w niej razem ze zwierzętami domowymi, które zakupiła z biegiem lat. Bülbül nikogo się nie boi. Nikt nie robi jej krzywdy, gdyż nawet dzicy Kurdowie z gór obawiają się jej czarodziejskich zaklęć.

\*

I *meddach* rzekł:

— Opowiadam więc twemu ojcu, co następuje: Kiedy twoja matka nosiła cię już w łonie, Bülbül przyjechała do wioski na swym bezimiennym ośle. I powiedziała do twojej matki: Przez dziewięć miesięcy nie wolno ci patrzeć w lustro.

Nigdy nie patrzyłam w lustro, gdy byłam brzemienna, odparła twoja matka.

To dobrze, powiedziała Bülbül.

Moja matka zawsze mnie ostrzegała, rzekła twoja matka. Ilekroć byłam brzemienna, mówiła: Przez dziewięć miesięcy nie patrz w lustro.

Słusznie cię ostrzegała, powiedziała Bülbül.

Tylko że nigdy mi nie wyjaśniła, dlaczego tak ma być.

No jak to dlaczego, mruknęła Bülbül. Przypuszczam, że dlatego, iż nie narodzone dziecko jest ciekawe... ale i nieufne... i ponieważ siedząc w brzuchu matki obserwuje wszystko, co ona robi.

Wszystko, co robię?

Wszystko, co robisz.

I Bülbül powiedziała: Jeśli będziesz patrzeć w lustro, twoje nie narodzone dziecko uzna twoje odbicie za swoją prawdziwą matkę. A ponieważ obraz w lustrze jest odwrócony, więc i dziecko się odwróci i będzie ułożone w twoim brzuchu na opak. W takich wypadkach oboje, matka i dziecko, muszą umrzeć... umierają podczas porodu. Dziecko umiera cichutko, matka natomiast z krzykiem na ustach. Widziałam już takie sceny. Jedna z tych matek, których dziecko było ułożone odwrotnie, ryczała tak głośno jak świnie niewiernych, kiedy są zarzynane.

— I tak było — ciągnął bazarz. — Matka twojego ojca nie patrzyła w lustro przez dziewięć miesięcy. A gdy nadeszła pora i mały Wartan chciał się wyślizgnąć z brzucha, żeby obejrzeć matkę od zewnątrz, sama nie wiedziała już, jak wygląda.

— Siedzę więc obok kołyski twego ojca — rzekł bazarz. — I mówię do niego: Nie bój się. Duchy cię nie zabiorą. Wszystko to tylko bajki. Prawdziwe niebezpieczeństwo za-

graża ci ze strony Turków i Kurdów. Kiedy będziesz duży, zanurz swojego kutaska, który stanie się potem kutasem, w świętym oleju *merronie*, gdyż Turcy i Kurdowie mają brzydki zwyczaj obcinania ormiańskim mężczyznom kutasów, zwłaszcza gdy zaczyna się „wielki *tebk*”.

A co to jest „wielki *tebk*”? pyta twój ojciec.

Tebk to po prostu *tebk*, odpowiadam. Oznacza szczególne wydarzenie, ale chodzi o masakrę.

Nie bój się, uspokajam twojego ojca i głaszczę małego Wartana, który ma zaledwie trzy tygodnie, swoim baśniowym głosem. I mówię do niego: W tej chwili nie ma *tebku*, nie ma go przynajmniej w tej okolicy. W tej chwili grożą ci tylko zabobony, w które wierzą mieszkańcy wioski. I powiadam z uśmiechem do niego: Spójrz, moja owieczko, w sąsiednim domu ktoś właśnie umarł. A twoja matka wróci wkrótce ze stajni. I weźmie cię na ręce.

A potem?

Potem ucieknie z tobą na dach, gdyż wszystkie ormiańskie domy mają płaskie dachy.

Ale po co mam z nią wychodzić na dach?

Dlatego, że zmarli zabierają ze sobą dzieci, kiedy są niesieni na cmentarz. Mogą je zabrać jednak tylko wtedy, gdy nóżki dzieci znajdują się blisko ziemi. Co innego na dachu. Tam władza zmarłych nie sięga.

I mówię do małego Wartana: W wiosce jest tylko jedna trumna, która ma już przeszło sto lat. Niebawem będą przenosić nieboszczyka. Wkrótce twoja matka wróci ze stajni i zabierze cię na dach.

Chciałbyś pewnie wiedzieć, dlaczego w wiosce jest tylko jedna trumna, mówię, i to mająca już przeszło sto lat?

Owszem, odpowiada mały Wartan. Jak to jest z tą trumną?

Wszyscy mieszkańcy wioski dostają tę samą trumnę, mówię. Trumna służy bowiem tylko do przeniesienia nieboszczyka na cmentarz. Później wraca się z pustą trumną.

Więc jak się potem grzebie nieboszczyków?

Bez trumny, moja owieczko, zawiniętych tylko w prześcieradła. Tak pochowano wszystkich twoich przodków.

A co się dzieje z pustą trumną, którą mieszkańcy wioski przynoszą z powrotem?



Czeka na następnego: może na twojego dziadka, który jest już bardzo stary, albo na któregoś z sąsiadów.

A jak będzie ze mną?

Ty masz jeszcze czas, moja owieczko. Masz dopiero trzy tygodnie. Jeśli Turcy lub Kurdowie albo jakaś zła choroba nie zabiją cię wcześniej, to dożyjesz sędziwego wieku. Może nawet stu lat albo jeszcze trochę więcej. A gdy zamkną ci oczy na zawsze, ludzie będą mówić: Ta trumna ma przeszło dwieście lat, bo miała już więcej niż sto, kiedy nieboszczyk się urodził. Ale możesz być pewien: trumna się nie rozleci, gdyż ormiańscy rzemieślnicy są najlepsi na świecie. Każde ich dzieło to solidna robota.

Kiedyś matka położy cię na podłodze, żebyś mógł swobodnie fikać nóżkami, nie ograniczony ścianami kołyski, ale będzie uważać, aby nikt cię nie nadepnął. I będzie pamiętać, co wszyscy jej mówili, także Bülbül: Pierwsze czterdzieści dni życia są niebezpieczne. Uważaj, Dzowinar, żebyś nad nim nie przeszła, bo na pewno przestałby rosnać. A gdyby mimo wszystko zdarzyło ci się to zrobić, musisz uczynić ten sam krok do tyłu — nad nim, w przeciwnym kierunku — aby przełamać zaklęcie. Wtedy dziecko będzie znowu rosło jak trzeba.

Posłuchaj, moja owieczko, mówię do twojego ojca. Będziesz przechodził wiele chorób, jak wszystkie małe dzieci, ale nie bój się. Twoja babka będzie ci przystawiać do skóry obcięte kozie rogi, które po rozgrzaniu w *tonirze* przyciska się do skóry nasadą w kształcie filiżanki, dopóki miejsca pod spodem nie zabarwią się krwistoczerwono. Potem babka nakłuje igłą wszystkie czerwone miejsca i przystawi pijawki, które wyssą złą krew, a tym samym wszelkie wywołujące chorobę zarazki. Kiedy pijawki będą tak pełne, że zajdzie obawa, iż mogą pęknąć przedwcześnie, babka zbierze je i wrzuci do dzbana z soloną wodą, żeby wypłuły wyssaną krew. Chcąc mieć pewność, babka będzie je potem wygniatać i wyciskać, dopóki cała krew z pijawek nie znajdzie się w solonej wodzie. A następnie przystawi je ponownie, tam gdzie na twojej skórze zostały czerwone punkciki. I pijawki będą ssać tak długo, aż wyzdrowiejesz.

A jeśli to nie pomoże? pyta Wartan.

Wtedy babka zdejmie z ciebie wszystkie rzeczy, które miały jakikolwiek kontakt z twoim chorym ciałem, i powiesi je na świętym drzewie stojącym samotnie przed wioskowym placem. Jeśli święte drzewo nie strząśnie ubrania, to znikną wszelkie choroby wyniesione z domu wraz z odzieżą.

Naprawdę rośnie święte drzewo... tutaj, w Jedi Su?

Oczywiście, moja owieczko. Każda wioska w tej okolicy ma święte drzewo.

A dlaczego, *meddach*, to drzewo jest święte?

Nikt tego nie wie, moja owieczko... a raczej: nikt dokładnie nie pamięta, kto i kiedy uznał je za święte, takie rzeczy zdarzały się przeważnie bardzo dawno temu. Wystarczy, że kiedyś spał pod nim jakiś derwisz albo święty Sarkis.

Był w tej okolicy?

Oczywiście, że był w tej okolicy.

Kiedy wyrzną ci się ząbki, które pewnego dnia cię zabolą, twoja babka będzie cię leczyć *raki* albo użyje ormiańskiej wódki *oghi*, pochodzącej z krainy winorośli. Będzie ci wcierać wódkę w dziąsła i mówić: Żebyś miał zęby do sto dwudziestego roku życia. I co ty na to?

No, mały szczyłu, mówię do twojego ojca, byłeś już kiedyś na ormiańskim cmentarzu w Jedi Su? Oczywiście, że jeszcze nie byłeś. Najpiękniej tam jest w poniedziałek wielkanocny, mówię. Wtedy zbiera się na cmentarzu cała wioska. A z gór zjeżdżają w dolinę Kurdowie i Turcy, i Cyganie, i rozstawiają przed cmentarzem kramy. Tak, moja owieczko. Wygląda to jak bazar, i nazywane jest zresztą bazarem wielkanocnym. Na cmentarzu ludzie żarliwie się modlą, a potem odbywa się świąteczna uczta. Ponieważ zgodnie ze zwyczajem kapłan może tego dnia zabrać do domu całą pozostałą *baktawę*, dzień ten nazywany bywa również „dniem kapłańskiej *baktawy*”.

Opowiedzieć ci jeszcze coś, moja owieczko? Na przykład jak chowano twojego pradziadka?

Na co twój ojciec, wówczas trzytygodniowe dziecko, mówi: Opowiedz!

Twego pradziadka złożono właśnie do świeżego grobu, mówię, ale jeszcze nie zasypano ziemią. Kiedy chciano zabrać się do zasypywania, syn twego pradziadka, który jest wszak twoim dziadkiem, włożył szybko ojcu do grobu butelkę wódki — *raki* albo *oghi* — dokładnie nie pamiętam, w każdym razie dobry, porządny gatunek... wierzył bowiem, że dusza Ormianina potrzebuje trzech dni na opuszczenie grobu. Biała dusza idzie prosto do nieba, ale czarna nie może przekroczyć progu czystych myśli przed bramą raję. Tak więc pomyślał, że wódka może pomóc duszy jego ojca, który był pijakiem, hulaką i dziwkarczem, w przeskoczeniu progu czystych myśli.

Tak, powiadam. A potem twój dziadek wyciągnął z kieszeni drugą butelkę wódki, a oprócz tego srebrny kubek, nalał do pełna i wypił. Słusznie, orzekli wszyscy dokoła. I mówili: Niech dni, których nie przeżył, będą doliczone do twoich. Nie... nie do moich, zaprotestował twój dziadek, tylko do dni mojego wnuka Wartana, którego Hagop i Dżowinar jeszcze nie spłodzili, ale który kiedyś się urodzi.

Czy Hagop i Dżowinar przynajmniej go już zaplanowali... tego małego Wartana?

Naturalnie, odparł twój dziadek... ale dopiero po moich długich namowach.

Tak więc wszyscy kosztowali wódki twojego dziadka i mówili: Za naszego małego Wartana, którego jeszcze nie ma.

Naprawdę nie było mnie jeszcze wtedy? pyta Wartan.

Wtedy jeszcze nie, odpowiadam ja, bajarz. Nie wiesz nawet, gdzie jesteś, mówię do Wartana, który akurat znowu się zsiakał i zaczyna cicho płakać. No, zgadnij, gdzie jesteś.

Leżę w kołysce, powiada do mnie Wartan, w kołysce z gołębiem i gałązką oliwną. Właśnie zsiakałem się i czekam na moją matkę.

Leżysz w kołysce, to prawda, mówię, ale nie wiesz, gdzie ona stoi.

Tego nie wiem, przyznaje Wartan.

Kołyska stoi na biegunach w odległości trzech dużych kroków od *toniru*. A *tonir* znajduje się pośrodku izby.

Tego nie wiedziałem, mówi Wartan.

Chłopi z Jedi Su mówią na izbę mieszkalną *oda*, tylko *muchtar* nazywa swoją *selamtyk*.

Czy w każdej izbie pachnie tak dziwnie jak w mojej?

Wszędzie czuć podobnie, powiadam, a mianowicie stajnią. Stajnia jest bowiem obok i zwierzęta muszą przechodzić przez izbę, kiedy chcą wejść do stajni.

Dlaczego tak jest?

Dokładnie nie wiem, moja owieczko. Ale przypuszczam, że Ormianie trzymali dawniej zwierzęta w *odzie*, bo ogień w *tonirze* nie dawał dość ciepła, zwłaszcza zimą. Czuć zresztą nie tylko stajnią, mówię. Czuć także dymem, gdyż dom nie ma komina. I czuć także przyprawami, i *pastyrną*... no wiesz: suszonym mięsem, od którego małe dzieci dostają czkawki... i masłem, i serem, i resztkami piernika upieczonego niedawno przez twoją matkę.

Kiedy Hajk, pierwszy Ormianin, wędrował ze swoją drużyną do góry Ararat — to było bardzo dawno temu, moja owieczko, jeszcze przed naszą erą — przyszedł do tej wioski, która wtedy nie była jeszcze wioską, tylko bezludną doliną. W miejscu, gdzie stoi teraz *tonir*, Hajk zatrzymał się i powiedział: Jeden z moich potomków osiedli się tutaj i wykopie dołek na ogień, i nazwie go *tonir*.

I tak się stało. Pewnego dnia przejeżdżał przez tę dolinę mężczyzna na ośle, mężczyzna, który także nazywał się Hajk. Ponieważ był zbyt zmęczony, by jechać dalej, a przy tym głodny i spragniony, i zmarznięty, zatrzymał się na postój. Osioł zaprowadził go do jednego z siedmiu źródeł, których orzeźwiająca woda wywęszył już dawno. Gdy obaj ugasili pragnienie, mężczyzna wrócił do miejsca, obok którego przejeżdżał i gdzie obecnie znajduje się wasza *oda*. Wykopał dołek na ogień. Następnie rozpałił ogień i powiedział: Ten dołek na ogień nazywam *tonir*. I wtedy usłyszał głos, który dobiegał z chmur: Ten *tonir* jest święty. Zbuduj nad nim dom. I weź sobie niewiastę, i zawrzyj z nią ślub przed *tonirem*.

I wskazuję swym baśniowym głosem *tonir*, i mówię: Widzisz, moja owieczko? Przed tym *tonirem* Hajk wziął ślub. I nad nim zbudował dom.

Dopóki rodzina Hajka składała się tylko z ojca, matki i dzieci, nazywał ją *yndanik*. Później, kiedy powstała wielka rodzina, wszyscy nazywali się *kertastan*. Na początku była jedna izba, w której Hajk mieszkał z żoną, dziećmi i zwierzętami. Później jednak Hajk przegrodził ścianą z desek długie, pozbawione okien pomieszczenie, solidną, podpartą poprzecznymi belkami ścianą, która miała rozdzielać odtąd ludzi i zwierzęta. A że mimo dwóch pomieszczeń było coraz mniej wygodnie i robiło się coraz ciasniej, jego potomkowie dobudowali do domu patriarchy osobne pomieszczenia z osobnymi ścianami i dachami. To wszystko działo się bardzo dawno temu, lecz wie o tym każdy mieszkaniec wioski. I niejeden z przechodniów wskazując na domy potomków Hajka jeszcze dziś mówi: Tu mieszkają Chadisjanowie... cały ród... a właściwie ci, co jeszcze nie wyjechali.

Moja owieczko, powiadam, nie wiesz nawet, jak wygląda twoja wioska. A wygląda, mówię, jak większość ormiańskich wiosek, które są czystsze od wiosek kurdyjskich i tureckich. Domy są z gliny, kamienia i okruchów skalnych, mają ściany wyłożone białymi kaflami i płaskie dachy z gałęzi topoli. Największy dom należy do *muchtara* Efrema Abowiana, naczelnika Jedi Su od wielu lat. Ulice są naturalnie błotniste, jakie zresztą miałyby być. Ale wioska ma święte źródło, w którym przed wiekami kapał się święty Sarkis. Poza tym posiada siedem studni, z których pierwsza nazywa się Gatnachpjur, co znaczy mleczny źródło.

W studni Gatnachpjur nie ma mleka, mówię, ale wystarczy, że matka o wyschniętych piersiach jeden raz pomodli się przy niej, po czym przeżegna się i zanurzy piersi w wodzie, a jej wyschnięte piersi zaraz napęlnią się mlekiem.

Pewnie chciałbyś wiedzieć, moja owieczko, co zrobiła twoja matka, kiedy jej długie, ciastowate, lecz wyschnięte piersi zwisały smętnie, trzęsąc się jak galareta przy każdym ruchu? No cóż, moja owieczko, pomodliła się żarliwie... i przeżegnała... naturalnie przy studni Gatnachpjur, po czym zanurzyła piersi w świętej wodzie, one zaś wkrótce potem nabrzmiały znowu, stały się pełne i soczyste.

Podróżny podążający szlakiem karawanowym między Bekirem a Erzurum, stanąwszy na skrzyżowaniu, gdzie rozchodzą się drogi do Wanu, Bekiru, Muszu, Kajseri, Konii i Diyarbekiru, nie domyśla się nawet istnienia tej wioski, która leży w odległości pół dnia jazdy w jednej z dolin na wyżynie, ukryta między nagimi wzniesieniami i oddalona o dwadzieścia pięć długości papierosa od kurdyjskiego obozowiska Sulejmana agi, zwanego także Sulejmanem bejem. A jeśliby ów podróżny odważył się opuścić szlak karawanowy i jechał przez pół dnia przez górskie bezdroża, to i wtedy wioski by nie zobaczył, nawet gdyby przypadkiem znalazł się w jej pobliżu. Pierwsze domy wioski wiszą bowiem ukryte na skalnych ścianach niczym ptasie gniazda, niewidoczne dla oczu nieświadomego wędrowca, zjeżdżającego do Jedi Su krętą ścieżką dla osłów lub mułów.

Dachów domów też nie można zobaczyć?

Nie, moja owieczko. A właściwie widać je dopiero wtedy, gdy jest się ponad nimi.

Jak to: ponad nimi?

Dlatego, że ostatnia część oślej ścieżki schodzi w dolinę wijąc się nad dachami domów. I podróżny musiałby patrzeć w dół, by zobaczyć dachy na skalnej ścianie. Ale on patrzy przeważnie przed siebie.

A nie powinno się patrzeć przed siebie?

Powinno się, moja owieczko, ale nie zawsze.

Kiedy twoja matka już trzeci miesiąc nosiła cię w łonie, do wioski przyjechał Kurd. Jechał pod poranne słońce. Przy wjeździe do wioski jego koń potknął się, ześlizgnął z krętej ścieżki i runął w dół — ale z niezbyt wysoka, więc nie przypłacił upadku życiem — i tym sposobem kurdyjski jeździec razem z koniem wylądował na dachu waszego domu.

Tak po prostu?

Tak, moja owieczko.

A moja matka nie wystraszyła się?

Jeszcze jak się wystraszyła! Dach z topolowych gałęzi zawalił się bowiem z hukiem i Kurd razem z koniem wpadł prosto do waszej izby mieszkalnej — do *selamtyku* lub *ody*...

Tak to było, moja owieczko. Twoja matka ucięła sobie właśnie drzemkę. Nagle usłyszała potężny huk, obudziła się i ujrzała Kurda z koniem wpadających przez sufit tuż obok *toniru*.

I co wtedy zrobiła?

Nic nie zrobiła, moja owieczko. Przerazona wpatrywała się w Kurda i jego konia.

A co ja zrobiłem, *meddach*?

Ze strachu, jaki zdjął twoją matkę, omal nie wyskoczyłeś jej z brzucha.

A więc poronienie?

Prawie, moja owieczko. Niewiele brakowało, by matka cię utraciła. A wtedy nie byłoby Wartana. A Wartan, którego by nie było, nigdy nie mógłby wziąć sobie żony, żeby spłodzić z nią syna, któremu dałby na imię Towma.

Czy ja będę miał syna, *meddach*?

Oczywiście, że będziesz miał syna.

I dam mu na imię Towma?

Tak, Towma.

Jak to było z tym Kurdem i jego koniem?

Tak jak ci opowiedziałem.

Kurd jechał więc pod poranne słońce?

Tak.

I jego koń się potknął? Zboczył z drogi? Runął ze skały? I wylądował na dachu naszego domu?

Tak jest.

I Kurd wpadł razem z koniem do naszej izby, która mogłaby się też nazywać *selamtyk*, ale nazywała się *oda*? I koń oraz jeździec wylądowali obok *toniru*, w którym pali się i żarzy, i płonie krowie łajno?

Tak, moja owieczko.

A moja matka przeraziła się tak mocno, że omal mnie nie utraciła?

Tak jest.

Co oznaczałoby wszak, że nigdy nie zostałbym ojcem... gdyż w ogóle by mnie nie było?

Tak, moja owieczko.

Ani mojego syna Towmy, który kiedyś przecież przyjdzie na świat?

6 Tak jest, moja owieczko. Jego też by nie było.

Śmieję się cicho do siebie i mówię: Ale jak widzisz, nie stało się nic takiego. Tylko twoja babka przyszła z sąsiedniego pomieszczenia, a gdy zobaczyła Kurda i jego konia, chwyciła pogrzebacz, który leżał obok *toniru* i właściwie nie był pogrzebaczem, tylko długim żelaznym prętem przeznaczonym do rozgarniania krowiego łajna. Chwyciła więc ten pręt i zaczęła nim okładać Kurda razem z koniem. I możesz wierzyć lub nie, Kurd przestraszył się, wypadł galopem z izby i nagle zniknął.

Niesłychane, powiada mały Wartan, który ma trzy tygodnie i nie potrafi jeszcze mówić. Mojej babce naprawdę nie brak odwagi. Kto by pomyślał.

Tak, moja owieczko. Twoja babka jest dzielną kobietą.

Czy to pierwsza Ormianka, która odważyła się wygrzmocić pogrzebaczem dzikiego Kurda?

Chodzi ci o to... czy pierwsza w dziejach narodu ormiańskiego, które liczą sobie wiele tysięcy lat?

Tak, *meddach*.

Nie wiem, moja owieczko. Należałoby zapytać historyków. W każdym razie ja, *meddach*, nie znam podobnego wypadku.

I ja, *meddach*, mówię do małego Wartana: Twoja babka, moja owieczko, nie zawsze była sekutnicą. Ale kto widzi ją po raz pierwszy, nie wyobraża sobie, że kiedykolwiek była inna.

W jakim sensie inna?

No, po prostu inna, moja owieczko. Przed wielu, wielu laty, gdy wyszła za twojego dziadka i wprowadziła się do tego domu, twoja babka była małą, zastraszoną panną młodą. Miała dwanaście lat, ledwo zarysowane piersi i parę włosków między nogami, ale za to duże uszy i żadnych ust.

Ależ *meddach*, to chyba niemożliwe?

Możliwe, moja owieczko. Tak było. Po nocy poślubnej teściowa powiedziała bowiem do niej tak: *Gelin* — to tureckie słowo oznaczające pannę młodą, choć istnieje oczywiście także słowo ormiańskie. Na przykład mogła całkiem po prostu powiedzieć *hars*... czyli „panna młoda”... ale tureckie słowo



wymaga od języka więcej wysiłku, brzmi trochę krzykliwe, wzbudza respekt, możliwe, że również strach, uchodzi za bardziej postępowe i skuteczniejsze w stosunkach między dwiema kobietami różnego stanu. *Gelin! Gelin*, powiedziała. Odtąd masz tylko uszy, ust nie masz. Wolno ci rozmawiać jedynie z małymi dziećmi i z poślubionym ci mężczyzną, gdy jesteś z nim sam na sam, a i to tylko wtedy, kiedy on zwróci się do ciebie, rozumiesz? Z innymi nie wolno ci rozmawiać, przede wszystkim z twoim teściem i braćmi męża, gdyż wtedy ludzie by mówili: Ona podarła welon.

A kiedy wolno mi będzie rozmawiać z innymi? spytała twoja babka.

Dopiero wtedy, gdy przyjdzie na świat twoje pierwsze dziecko, odparła teściowa. Gdy to nastąpi, powiem do ciebie: *Gelin*, teraz znów masz usta.

Okres próbny młodej synowej Ormianie nazywają *nor harsnutjun*, a nakaz milczenia *muncz*. Doprawdy, ja, *meddach*, zadaję sobie pytanie, po co Pan Bóg podarował młodym mężatkom język, skoro teściowe zabraniają im mówić. Również matka teściowej powiedziała do twojej młodej, dwunastoletniej babki: *Gelin*, połknij swój język!

Doprawdy, moja owieczko, łatwo jest obejść prawo, gdy jest ono zapisane... przeciwko niepisanemu prawu rodziny nie można się natomiast buntować. Twoja młoda babka wiedziała o tym. I trzymała się ściśle dawnych zwyczajów. Dopiero kiedy pierwsze dziecko przyszło na świat, zaczęła znowu mówić.

Jako najmłodsza kobieta w domu twoja babka musiała spełniać wszelkie niskie posługi. Do jej codziennych obowiązków należało między innymi ścielenie rano łóżek za wszystkich domowników, także łóżek szwagierek. W *kertastanie* bowiem żadna kobieta nie ścieliła własnego łóżka. Musiała to robić najmłodsza *gelin*. Na zewnątrz przed wejściem stali sąsiedzi i przyglądali się, czy rzeczywiście to robi.

A gdyby nie robiła? pyta mały Wartan.

To ludzie by mówili: Patrzcie, w tym *kertastanie* każdy ścieli własne łóżko. Ta rodzina jest w ciąży. To znaczy, że się rozpadnie.

Im więcej dzieci rodziła twoja babka, tym bardziej poprawiała się jej pozycja w *kertastanie*. Wydała na świat czternaścioro dzieci. Twój ojciec, moja owieczko, był najmłodszy. Kiedy przyszedł na świat, miała już prawie czterdzieści lat. I ty, mój mały Wartanie, również jesteś najmłodszym dzieckiem swojej matki, choć tylko dwunastym. Tak więc, moja owieczko, twoja babka jest już w dosyć podeszłym wieku. W tym czasie została zresztą nestorką.

Każdy w rodzinie jej słucha?

Oczywiście.

Więc pewnie jest najstarszą kobietą w domu?

Nie, moja owieczko. Najstarsza jest twoja prababka. Ale jej nikt już nie traktuje poważnie, bo postradała rozum na starość. Siedzi tylko przy *tonirze* — możesz ją zobaczyć, kiedy podniesiesz główkę — i nie wie, co się wokół dzieje.

Moja owieczko, piersi twojej babki są tak pomarszczone jak jej dłonie i twarz. Ogień w jej oczach płonie jednak równie żywo jak długie płomienie w *tonirze*. Równie żywy jest także jej język, który zawsze mówi to, co dyktuje serce. Wydaje się, że jej dar wymowy mści się za okres długiego milczenia. Nikt nie potrafi tak przeklinać jak twoja babka.

Zgadnij, moja owieczko, co twoja babka powiedziała do Kurda, kiedy wypędziła go pogrzebaczem z izby.

Skąd mam to wiedzieć, *meddach*?

Ty psi synu! wrzasnęła. Ty wnuku wściekłej owcy! Ty śmierdzący kurdyjski worze! Powiedz swojemu bejowi, że wysyłam do piekła jego i całą jego bandę. Oby kutasy pogniły jego ludziom. Oby padyszach z Konstantynopola powiesił was wszystkich. Oby wasze dzieci pomarły na cholere, a mężczyźni na chorobę z Frankistanu, którą łapie się w burdelu, tylko ja, stara kobieta, zapomniałam jej nazwy. Oby *dżinny* i *alki* pożarły wątroby waszych dzieci. Oby was potop pochłonał.

Powiedz, *meddach*, dlaczego moja babka jest taka wściekła na Kurdów?

No cóż, moja owieczko, ma to swoje przyczyny. Ormiańskie matki bardziej boją się Kurdów niż Turków, mimo

że Kurdowie w porównaniu z Turkami są niewinnym ludem. Jak powiedziałem: boją się. A ten strach matek czują już nie narodzone dzieci. Matki o tym wiedzą i dlatego zresztą mówią do dzieci: Jeśli nie będziesz grzeczny, zabierze cię wielki niedźwiedź. Albo zabiorą cię Kurdowie!

O których Kurdów tu chodzi?

Nie o miejskich, moja owieczko, i nie o Kurdów z półkoczowniczych wiosek. Kobiety boją się Kurdów z dzikich górskich plemion. To oni od czasu do czasu uprowadzają kobiety, masakrują ich mężów, plądrują wioski i puszczają z dymem domy.

Dlaczego to robią, *meddach*?

Ja też nie wiem tego dokładnie, moja owieczko.

No cóż, moja owieczko. W każdym razie to bardzo skomplikowana sprawa. Ale spróbuję ci wyjaśnić. Jest na przykład kwestia podatków.

Jakich podatków, *meddach*?

No wiesz, podatki to podatki. To jest tak, moja owieczko. Kurdowie nie płacą Turkom żadnych podatków, bo mają je w nosie. Niedawno padyszach wysłał z Konstantynopola w kurdyjskie góry pięć tysięcy kawalerzystów, aby ściągnąć podatki, ale, możesz wierzyć lub nie: tych pięciu tysięcy kawalerzystów nigdy więcej nie widziano. To było całkiem proste. Kurdowie pozwolili żołnierzom wspiąć się na górskie przełęcze, a potem wystrzelali jednego po drugim, ukradli konie, buty i mundury, nagie zwłoki zaś zrzucili do wąwozów. A ponieważ padyszach w Konstantynopolu nie ma ochoty tracić po raz drugi tylu koni i żołnierzy, zostawia Kurdów w spokoju. Za to od Ormian inkasuje podwójne i potrójne podatki.

Tego to nie rozumiem, *meddach*.

Wiesz, to jest tak, moja owieczko: Tureccy poborcy formalnie łupią Ormian ze skóry. Ci muszą płacić nie tylko podatek, jakim obłożeni są niewierni, nazywani *raja*, oprócz tego płacą też pogłówne oraz inne podatki i daniny, których nie będę wyliczał, a przede wszystkim muszą płacić podatek

za zwolnienie z obowiązku służby wojskowej, zwany *bedel*. Żaden Ormianin nie uchowa się przed *bedelem*, także ty, moja owieczko.

Dlaczego, *meddach*?

Bo Ormianom nie wolno nosić broni, a zatem również odbywać służby wojskowej.

Ale za to muszą płacić *bedel*?

Tak jest.

A co to ma wspólnego z Kurdami? Moim zdaniem nic w tym złego, że Kurdowie nie chcą płacić podatków i z zasady odmawiają uznania tego obywatelskiego obowiązku. Bo ja osobiście też mam podatki w nosie, choć mam dopiero trzy tygodnie i w ogóle nie wiem, co to właściwie są podatki.

No cóż, to jest tak, moja owieczko: Kurdowie nie płacą wprawdzie Turkom podatków, ale sami ściągają podatki z Ormian.

Myślałem, że Ormianie płacą podatki Turkom.

Muszą płacić podatki również Kurdom.

W takim razie płacą podwójnie?

Płacą więcej niż podwójnie, moja owieczko. A gdy nie mogą płacić, puszcza się im z dymem domy, przepędza ich z własnej ziemi, a na dodatek zamyka w więzieniu.

A jak to jest z Kurdami?

Z Kurdami to jest tak, moja owieczko. Mieszka w tych stronach bej, który jest także szejkiem, o imieniu Sulejman. I ten szejk wyobraża sobie, że należy do niego cały kraj aż po Eufrat. Nie uznaje padyszacha w Konstantynopolu ani żadnego innego władcy. Uważa, że wszystko jest jego własnością, także wioski w tej górskiej dolinie i wszystko, co posiadają ich mieszkańcy. Szejk nie jest jednak głupi. Pozwala Ormianom uprawiać pola, nie ma też nic przeciwko temu, żeby hodowali bydło lub robili coś innego. Ale od czasu do czasu zjawia się w ormiańskich *milletach* i bierze sobie, czego potrzebuje. Uprawdza bydło, zabiera zboże ze spichrzów, przedmioty, które mu się podobają, a niekiedy też ładne dziewczęta. Ma kilka tysięcy jeźdźców i kto się mu sprzeciwi, zostaje skrócony o głowę.

Niedawno twój ojciec powiedział do twojej matki: Kurdowie to najgłupszy naród na świecie, bo potrafią liczyć tylko do dziesięciu.

Ja znam jednak Kurda, który umie liczyć do dwudziestu, rzekła twoja matka.

W takim razie liczy nie tylko palce u rąk, ale i u nóg.  
Pewnie tak, przyznała twoja matka.

No cóż, moja owieczko, to mówię już ja, *meddach*. Mniejsza o to, czy Kurdowie są mądrzy czy głupi. Jedno jest pewne: nie ma z nimi żartów. Albo człowiek daje im, czego żądają, albo budzi się wczesnym rankiem bez dachu nad głową, a jeśli ma pecha, to w ogóle bez głowy.

Kpisz sobie ze mnie, *meddach*? Jak można obudzić się bez głowy?

Kurdowie ściągają od Ormian także podatek ślubny.

A co to jest, *meddach*?

No cóż, po prostu podatek ślubny. Kiedy Ormianin się żeni, musi oddać połowę wiana przywódcy Kurdów, Sulejmanowi.

Czy ja też będę musiał to zrobić, gdy kiedyś się ożenię?

Oczywiście, moja owieczko.

A jeśli tego nie zrobię?

To odetną ci głowę, moja owieczko. Albo stanie się coś jeszcze gorszego.

Co takiego, *meddach*?

Kurdowie porwą twoją żonę, zanim ją rozdziewiczysz.

Czy to gorsze niż śmierć?

To gorsze niż śmierć, moja owieczko.

Teraz musisz już spać, moja owieczko. Jutro przecież też będzie dzień. Zaraz przyjdzie twoja babka i ukołysze cię za pomocą tego długiego sznurka. I twoja matka wróci ze stajni, gdzie jak się zdaje, nie tylko sikala, ale musi też załatwić inną potrzebę, co wcale nie było przewidziane. I na pewno nie śpieszy się ze zwróceniem Panu tego, czego było za dużo. Gdzie bowiem podziewałaby się tak długo? Wkrótce, moja owieczko, wróci też z pola twój ojciec. Zaśpiewać ci kołysankę?

Tak, *meddach*.

Zanim jednak zaśpiewam ci kołysankę, mówię do Wartana, opowiem ci, jak przyszedłeś na świat.

To przecież wiem, *meddach*, odpowiada Wartan.

Więc jak, moja owieczko?

No, wiadomo jak: pod winoroślą.

Nie, moja owieczko. To tylko bajki, jakie opowiada się małym dzieciom. Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę? A więc wczoraj, mówię, przyjechała do wioski Bülbül na swym bezimiennym ośle. Wjechała do tej izby, zostawiła osła obok *toniru* i przykucnęła przed twoją kołyską. I rzekła do ciebie: No, moja owieczko, na pewno chcesz wiedzieć, jak przyszedłeś na świat.

Bülbül, odpowiedziałeś, wiem, jak przyszedłem na świat. To było pod winoroślą.

Ale Bülbül roześmiała się tylko i rzekła: Nie, moja owieczko. Ja wiem lepiej, bo jestem Bülbül, akuszerka.

I Bülbül zaczyna opowiadać. To było, mówi, trzy tygodnie temu, mój mały Wartanie. Przyjechałam do wioski na swoim bezimiennym ośle. Wtem usłyszałam jęczenie twojej matki. To ze stajni, powiedziałam sobie, ze stajni w domu Chadi-sjanów. Podjechałam więc do waszego domu i przez otwarte wejście wjechałam do *ody*. Zostawiłam osła obok *toniru*, po czym weszłam do stajni. I zgadnij, co zobaczyłam!

Nie wiem, Bülbül, odpowiada Wartan.

Twoja matka kuciała jęcząc obok krowy. Co się dzieje, moja mała tłuszczoszko, zapytałam. Czy krowa zauroczyła cię podczas dojenia? Ma diabła w wymieniu? Napiałeś się jej mleka? I teraz diabeł siedzi w twoim brzuchu?

Mały Wartan siedzi w moim brzuchu, odparła twoja matka. Chyba chce się wyślizgnąć.

Nie byłoby w tym nic złego, powiedziałam.

Na pewno nie byłoby w tym nic złego, przyznała twoja matka. I nagle zaczęła znowu wić się w bólach. Trzymałam ją jednak mocno, masowałam delikatnie jej kark, masowałam jej plecy, a potem głaskałam po włosach.

Bülbül, mam się położyć na plecach?

Nie, Dzowinar. Tylko kobiety Franków kładą się na plecach, kiedy wydają na świat dzieci.

A więc mam dalej kucać tu obok krowy?

Tak, Dzowinar. Trzymaj się jej cycków.

A co poza tym mam robić?

Masz przecież, Dzowinar. Po prostu przecież.

Przeć, Bülbül?

Tak, Dzowinar. Wyobraź sobie, że właśnie się wysikałaś, a teraz musisz znieść jajo... Więc trochę przesz, rozumiesz?

Tak, Bülbül.

Ja będę ci masować plecy i kark. I będę cię trzymać, i głaskać po włosach. A ty, mała tłuscioszko, będziesz tylko trochę przec.

Tak, Bülbül.

Masowałam więc twoją matkę i uspokajałam ją. I nuciłam jakąś piosenkę słowiczym głosem, który brzmiał jak ryk osła. A twoja matka stękała i parła, dopóki nie wyślizgnąłeś się z jej ciała.

I nagle znalazłeś się w słomie obok krowy. Twoja matka westchnęła głęboko, a ja powiedziałam: Już po wszystkim.

Kiedy wydałeś swój pierwszy w życiu okrzyk, do stajni przyszła twoja babka. Zobaczyła, jak przegryzam pępwinę, i zapytała mnie: Jak ty to robisz, Bülbül, skoro już nie masz zębów?

Wargami, powiedziałam.

Dlaczego nie masz zębów?

Jak to dlaczego? Bo mąż mi wszystkie wybił...

A czemu to zrobił?

Bo pokazywałam twarz innym mężczyznom.

Pokazywałaś im także zęby?

Tak, zęby też.

Następnie twoja babka wykąpała cię w roztworze soli. I śpiewała przy tym starą ormiańską piosenkę. Piosenka opowiadała o dobrej soli, wzmacniającej członki, i o Panu Bogu, który podarował ormiańskim dzieciom duże ciemne aksamitne oczy.

Później przyszedł twój ojciec i zobaczył odgryzioną pępowinę. Leżała w sianie, obok nóg krowy. Zobaczył również łożysko, które też leżało w sianie, też obok nóg krowy.

Co z tym łożyskiem? spytał twój ojciec.

Nic, Hagop efendi. A co ma z nim być?

A z pępowiną?

Też nic, Hagop efendi. A co ma z nią być?

Powiedz, Bülbül... czy posmarowałaś przynajmniej policzki mojego syna krwią z pępowiny, tak jak zrobiła to ze mną moja matka, a wcześniej moja babka z moim ojcem?

Tak, Hagop efendi, powiedziałam. Zrobiłam to. Żeby miał później różowe policzki. Niech pan się przyjrzy dziecku. Czy jego policzki są może białe?

Nie, Bülbül. Są całe czerwone od dobrej krwi. I twój ojciec spytał: Co zrobimy z pępowiną?

Powinniśmy zakopać ją na cmentarzu, rzekła twoja matka, ale tak głęboko, żeby psy jej nie pożarły.

Na cmentarzu? spytał twój ojciec.

Tak, potwierdziła twoja matka. Na cmentarzu.

A dlaczego na cmentarzu? spytałam ja z kolei.

Żeby został kiedyś dobrym chrześcijaninem, odpowiedziała twoja matka.

Potem przyszło mi do głowy, że krowa może jednak była opętana przez diabła albo wręcz miała złe spojrzenie, a ponieważ nie byłam pewna, czy tak było, udałam się do wsi, weszłam do siedmiu domów, wzięłam z tych siedmiu domów siedem różnych igieł, wróciłam, weszłam do stajni, wbiłam tych siedem igieł po siedmiokroć w łożysko, żeby zabić zło, po czym wyciągnęłam igły, naplułam na nie, a później zakopałam łożysko razem z igłami za domem.

Nie masz się czego bać, mały Wartanie. *Dżinny* cię nie zabiorą. Powinieneś się bać tylko pierwszych ząbków, bo kiedy rosną, to boli.

Jak to jest, Bülbül?

No cóż, to jest tak, mały Wartanie. Każdemu człowiekowi wyrasta kiedyś pierwszy ząb.



Dlaczego, Bülbül?

Przede wszystkim dlatego, że Allah chce nam pokazać, iż można nas przebić, zarówno od wewnątrz, jak i od zewnątrz.

Tego nie rozumiem, Bülbül.

Posłuchaj, mały Wartanie. Z tym to jest tak: człowiek składa się z ciała i krwi. A coś, co składa się z ciała i krwi, można przebić. Rosnący ząb przebija cię od wewnątrz. Czy tego chcesz, czy nie. Bez względu na to, czy cię boli. Ząb rośnie i rośnie, i przebija ciało.

A jeśli pomodłę się do Chrystusa?

Nic to nie da. Nawet Chrystus nie może powstrzymać rosnącego i przebijającego się zęba.

A więc zostanę przebity od wewnątrz?

Tak jest.

A jak jest się przebijanym od zewnątrz?

Są różne możliwości.

Jakie możliwości?

Na przykład przez nóż Kurda. Albo nóż Turka. Może to być także kula karabinowa.

Czy są jeszcze inne możliwości?

Jest ich wiele, mały Wartanie. Bardzo wiele, powiada Bülbül. Ja też już zostałam przebita. Ale to było dawno temu.

Jak to było, Bülbül?

No cóż, to było tak, mówi Bülbül.

I Bülbül mówi: To było tak, mały Wartanie. Miałam jedenaście lat i ciernie między nogami. A tam, gdzie cierniste zarośla stawały się rzadsze, znajdowała się brama oczekiwania.

Bülbül uśmiecha się i powiada: Brama oczekiwania stała między dwoma nasłuchującymi, badającymi i pytającymi płatkami, których zadaniem było podsłuchanie każdego potencjalnego intruza, sprawdzenie jego zamiarów i zapytanie go, czy wie, że za zamkniętą bramą oczekiwania ukryte są wszelkie marzenia i tęsknoty. Filigranowe były te nasłuchujące, badające i pytające płatki, jeszcze niedojrzałe, i doprawdy nie większe od płatka ucha nie narodzonej owcy. A między tymi płatkami siedział w ukryciu mój rzekomy stróż... cienka

błonka, która była delikatna jak płatek młodej róży, lecz zarazem zachowywała się krnąbrnie i udawała, że nie można jej przebić, niczym napięta koźła skóra na bębnie bekirskiego *münadiego*, potrafiącego głośno krzyczeć dobosza i publicznego herolda.

Dobosza i herolda?

Tak, mały Wartanie, dobosza i herolda.

I pewnego dnia, opowiada Bülbül, przyjechał książę na białym koniu, aby porwać biedną małą sierotę. A tą sierotą byłam ja. Później wzięliśmy ślub przed imamem. I pamiętam, jak imam powiedział: Pojmujcie za żony wasze dziewice. Pokój niech będzie nad naszym Prorokiem, który kocha biednych i sieroty.

I Bülbül mówi: Książę zaprowadził mnie do swego namiotu i tam pokazał mi, co ma między nogami, i to był straszny widok. Wydawało mi się, że widzę śmierć, która nagle ożywa.

Kiedy śmierć, która ożyła, została wbita między moje nogi, wzniosłam okrzyk do mego ojca w niebie, ale mój ojciec zaśmiał się tylko i powiedział: Widzisz, to nie śmierć, tylko ból, z którego powstaje wszelkie życie. Powinnaś była posmarować się woskiem pszczelim między nogami, moja gołąbko, albo smalcem baranim, żeby ciernie straciły kolce, a bojaźliwe, ciasno stulone płatki się otworzyły... i błonka, delikatna jak płatek młodej róży i podobno sprężysta jak skóra na bębnie bekirskiego *münadiego*... no cóż... żeby i ona stała się elastyczna i wpuściła ból.

Tak to, powiada Bülbül do małego Wartana, zostałam wtedy przebita i dowiedziałam się, że człowiek składa się tylko z ciała i krwi, a więc można go przebić.

A czego nie można przebić? pyta Wartan.

Duszy, stwierdza Bülbül. A także myśli.

Jak to jest? pyta Wartan.

To jest tak i tak, mówi Bülbül.

A jak będzie z moim zębem? pyta Wartan. Czy to śmierć, która ożyła, przebije od wewnątrz moje ciało?

Tak, moja owieczko, potwierdza Bülbül. Twoje ząbki będą potem miażdżyć wszystko, co się między nie dostanie. Będą ostatecznie zabijać, abys ty żył.

Boję się, Bülbül.

Nie bój się, uspokaja go Bülbül.

Głos bazarza przycichł. Obrazy rozplynęły się gdzieś w mgle przeszłości.

— Jesteśmy sami — rzekł bazarz. — Ty i ja: *meddach* i ostatnia myśl.

— Czy ta historia ma dalszy ciąg?

— Jaka historia? — spytał bazarz.

— Historia mojego ojca.

— Oczywiście, że ma dalszy ciąg. Wszak dopiero się zaczęła.

### 3

Kiedy pierwszy ząb przebił od wewnątrz twojego ojca i nagle pojawił się w ustach, i jego matka stwierdziła: On nie jest już bezzębną istotą, tylko człowiekiem, który potrafi gryźć i miażdżyć... a więc także zabijać... to powiedziała też do niego: Wkrótce nie będziesz już potrzebował mojego mleka. Będę posypywać sobie sutki pieprzem, żeby cię odzwyczaić, żeby obrzydzić ci na długo przyjemność ssania. I będę ci przeżuwać normalne jedzenie i wtykać do buzi, i będę do ciebie mówić: Nie jesteś już oseskiem, tylko gryzaczem. Po czym matka twojego ojca roześmiała się, wsadziła mu palec do ust, obmacała ząb i powiedziała: Tak, a teraz to uczcimy.

— Ormianie lubią obchodzić uroczystości — rzekł bazarz.  
— Kiedy świętują, bawią się weselej niż Turcy. W życiu twojego ojca święto pierwszego zęba było pierwszą uroczystością na jego cześć. Gdy się urodził, Hagop rozdzielał między ludzi rodzynki i orzechy i częstował wódką, natomiast Dzowi-

nar i stara Hamest dodatkowo serwowały każdemu, kto zajrzał przez otwarte drzwi do *ody*, słodki budyń ryżowy i świeżą wodę źródlaną z syropem morwowym. Teraz zaś przez cały dzień gotowano *hadig*, to cała ceremonia, w której pomagają też sąsiedzi. *Hadig* robi się z grochu i *bułguru*, naturalnie z dodatkiem cynamonu, cukru i orzechów oraz innych smakowitych przypraw, których Dzowinar i Hamest nie chciały zdradzić. Już Hajk, pierwszy Ormianin, cenił *hadig* i wiedział, że jest to potrawa podobna do budyniu, która — po ostygnięciu i stężeniu — staje się galaretowatym ciastem, chyba najlepszym na świecie. I dlatego wtedy pod górą Ararat Hajk rzekł do swojej niewiasty: Jeśli *harisa*, ta grudkowata, tłusta, rozgotowana papka z mięsa i kaszy, ma zostać pierwszą ormiańską potrawą narodową, to słodki *hadig* — moje ulubione danie — powinien bezwarunkowo być drugą. I Hajk rzekł: Gdy moim potomkom wyrastać będą pierwsze zęby, matki mają urządzać święto *hadigu*. I mają na nie zapraszać wszystkie kobiety, które mogą kiedyś zostać matkami albo już nimi były.

— I tak też było — powiedział bazarz. — Kiedy rozeszła się wieść, że pierwszy ząb twojego ojca stał się faktem, do Chadisjanów napłynęły tłumnie kobiety z całej wioski, z wszystkich chat i domów, aby obchodzić święto *hadigu*.

Wyobraź więc sobie: mały Wartan siedzi w kołysce i zaciska zęby, których jeszcze nie ma, to znaczy: ma przecież jeden! — zwierza jednak wargi, bo nie chce pokazać ząbka. Ma go jednak pokazać, bo kto zobaczy pierwszy ząb, będzie po wsze czasy zabezpieczony przed wypadaniem zębów.

Dlaczego nie otwiera ust? pyta babka. Ma przecież pokazać swój ząbek.

Nie wiem, odpowiada matka Wartana.

Trzeba by go rozśmieszyć!

Ale on jest poważnym dzieckiem i nie śmieje się.

Tego by brakowało... Gdyby się nie śmiał, trzeba by zrobić tak, jak moja matka zrobiła ze mną.

A jak zrobiła?

Podsuń mu kawałek *hadigu* pod nos i połóż drugi na główce.

I wtedy otworzy usta?

Oczywiście. Będzie się śmiał i pokaże ludziom pierwszy ząb.

— I tak się stało — powiedział bajarz. — Matka Wartana potrząsała okrągłym kawałkiem *hadigu* przed nosem dziecka, a drugi kawałek położyła mu na główce. I Wartan, który był poważnym dzieckiem, zaczął się nagle śmiać i pokazał wszystkim ludziom swój pierwszy ząb.

Oby miał zęby do sto dwudziestego roku życia, rzekła babka. A wszyscy goście zawtórowali: Do sto dwudziestego roku życia! Po czym podchodzili do kołyski i mówili do niego: *Aczkyt lujs*, co znaczy: „Światło w twoje oczy”. To samo mówili do rodziców Wartana. Niektórzy płakali, obejmując Dzowinar i wypowiadając do niej te same słowa: *Aczkyt lujs*.

— Co znaczy: „Światło w twoje oczy”? — spytała ostatnia myśl.

— Właściwie powinno się mówić: Oby twoje oczy błyszczały — wyjaśnił bajarz.

— Nie można człowiekowi życzyć nic lepszego?

— Nie — odparł bajarz. — Kiedy ktoś ma matowe oczy, to kiepsko z nim. Natomiast człowiek, którego oczy błyszczą, przewyciężył noc. Wygląda, jakby w jego sercu panował jasny dzień.

Gdy dziecko czyni pierwsze próby chodzenia, Ormianie urządzają święto *szekerli*, czyli dzień pierwszych kroków, twierdzi się bowiem, że kierunek pierwszych kroków wskazuje na jego przyszłą drogę życiową.

W dniu pierwszych kroków Wartana wydawało się, że cała wioska zebrała się w *odzie* Chadisjanów, mimo że nie dla wszystkich przecież starczyło miejsca. A dla kogo zabrakło, ten uczestniczył w uroczystości myślami albo prosił swych krewnych lub sąsiadów, którzy mogli w niej wziąć udział: Opowiedz mi, jak było, żebym potem mógł mówić, że też byłem przy tym.

— Tak to było — rzekł bajarz. — Matka Wartana upiekła w *tonirze* mnóstwo *bakławy* i położyła ją na miedzianych

*sofrach*, czyli poręcznych tacach, obnoszonych potem przez babkę i starsze rodzeństwo twojego ojca. Ostatni kawałeczek *bakławy* z patelni, taki mały, przywiązała do prawej nóżki Wartana, i to czerwoną nitką. Wartan siedział wrzeszcząc pośrodku izby i czepiał się rączkami nóg swojej matki, jakby chciał jej powiedzieć: Co to za dziwne święto? I czego wy wszyscy ode mnie chcecie?

Dzisiaj określisz, co później z ciebie wyrośnie, rzekła jego matka. To mówiąc podniosła go i postawiła na obydwie nóżki. No, ruszaj, mój mały, nieustraszony paszo, powiedziała. Mru-gnęła do niego, odwróciła głowę, mrugnęła również do gości i oświadczyła: Zobaczmy, co z niego będzie! Ale jeszcze go nie puszczała.

Czemu go nie puszczasz, Dzowinar? spytał któryś z gości.

Nie wiem, odparła Dzowinar.

Niedawno miałem sen, powiedział Hagop, który stał obok żony. Śniło mi się, że nasz Wartan zostanie rybakiem.

Bzdura, orzekła babka. Sny nie mogą decydować o tym, co z niego kiedyś wyrośnie.

A kto ma o tym zdecydować?

Jego nóżki zdecydują.

Dlaczego jego nóżki?

Dlatego, że jego główka zdecyduje, dokąd mają iść nogi.

No cóż, wkrótce się przekonamy, stwierdził Hagop. Po czym rzekł do żony: Puść małego paszę!

Ale Dzowinar nadal go nie puszczała.

Co się dzieje? spytała babka.

Nic się nie dzieje, odparła Dzowinar.

Hagop, ojciec, roześmiał się i zwrócił do gości. A teraz patrzcie, powiedział. Zaraz rozpocznie się *szekerli*.

Z podniecenia przełknął ślinę i przestał się śmiać. Wiadro z wodą postawiliśmy koło *toniru*, wyjaśnił cicho. Jeśli nasz Wartan podejdzie do wiadra i go dotknie, a tym bardziej jeśli wsadzi rączki do wody, to zostanie rybakiem.

A jeśli nie? spytał któryś z gości.

No cóż, to wtedy nie będzie rybakiem, odparł Hagop. I Hagop rzekł: Jeśli natomiast ominie wiadro i zboczy w stronę ognia — ognia w *tonirze*, w którym moja żona upiekła

*baktawę* — i jeśli się tam zatrzyma, no cóż... to wtedy zostanie rzemieślnikiem.

Tak, rzemieślnikiem, podchwyciła Dzowinar. To też nie-  
źle.

A jeśli dotknie Biblii, która leży obok kołyski, dodała babka, to zostanie pobożnym człowiekiem, a może nawet kapłanem.

Tak, kapłanem, potwierdził ojciec Wartana. Niektórzy z gości zaczęli klaskać w dłonie i wołać: Kapłan! Kapłan!

Wyglądało na to, że Hagopowi nic już nie przychodzi do głowy. Rozejrzał się niepewnie dokoła i podrapał po chłopskiej głowie.

A jeśli pójdzie do stajni, zostanie rolnikiem, rzekła Dzowinar.

Słusznie, potwierdził Hagop.

Będzie uprawiał pola i czekał na deszcz i słońce.

Tak jest, potwierdził znowu Hagop.

Jeśli zaś ruszy do drzwi i wyjdzie na dwór, to zostanie awanturnikiem.

Awanturnikiem?

Tak.

Kto to jest awanturnik?

Sama dokładnie nie wiem.

Awanturnik to taki ktoś, pośpieszył z wyjaśnieniem któryś z gości, kto w życiu coś ryzykuje, na przykład człowiek interesu.

A więc człowiek interesu?

Tak jest.

Prawdziwy człowiek interesu?

Naturalnie.

W tym momencie rozległ się śmiech prababki, która postradawszy rozum na starość, siedziała obok *toniru* i przyglądała się widowisku. Nagle zupełnie się rozbudziła. Człowiek interesu, zachichotała. Zostanie milionerem.

Hagop skinął głową bez przekonania.

A więc milionerem?

Czemu nie, powiedziała Dzowinar. Ma poniekąd rację. Może Wartan naprawdę zostanie człowiekiem interesu... i zrobi miliony... i uszczęśliwi nas wszystkich.

Dzowinar w dalszym ciągu trzymała syna, mimo że mały Wartan znów zaczął wrzeszczeć, wymachiwać rękami i przebierać nogami, gdyż bardzo chciał już biegać.

No, jak sądzicie? spytał Hagop. Po czym zwrócił się z pytaniem do wszystkich: Jakie jest wasze zdanie? Ma być rolnikiem czy rzemieślnikiem, rybakiem czy kapłanem, a może człowiekiem interesu?

Ludzie patrzyli z napięciem na małego Wartana, którego Dzowinar wreszcie puściła. Wartan przestał płakać. Nagle stanął samodzielnie na swych chwiejnych nóżkach, rozglądał się przez chwilę, po czym ruszył w kierunku wiadra z wodą, które stało obok *toniru*. Ktoś musiał wcześniej trącić wiadro, gdyż na wodzie powstawały dziwne kręgi, a ponieważ poranne słońce zaglądało życzliwie do izby i obdarzyło rozkołysaną wodę uśmiechem, Wartanowi wydawało się, że i ona się śmieje, nic więc dziwnego, że kolebiąc się podszedł do wiadra, by poddać bliższym oględzinom uśmiechającą się, jasno połyskującą wodę. Wiadro stało jednak w pobliżu *toniru*, a ponieważ babka wrzuciła do środka sporo *tezeku*, ogień płonął jasno, trzaskając. To odwróciło uwagę małego Wartana.

Będzie rybakiem! zawołała matka. Patrzcie, podchodzi do wiadra, i założę się z wami, że wsadzi rączki do wody.

Powinien zostać rybakiem, powiedział Hagop, ojciec.

Nie! zawołał nagle któryś z gości. Wcale nie zatrzymał się przed wiadrem. Podchodzi do *toniru*. Ogień go zaciekał.

A ktoś inny zawołał: Zostanie rzemieślnikiem! I wszyscy zawołali: Rzemieślnik! Rzemieślnik! Ludzie klaskali w dłonie, niektórzy gwizdali, inni śmiali się lub chichotali. Ktoś uznał głośno: To przynajmniej coś solidnego.

Ale Wartan nie zatrzymał się ani przed wiadrem z wodą, ani przed *tonirem*, ani przed Biblią leżącą obok kołyski. Ruszył w stronę stajni, bo usłyszał stamtąd głosy zwierząt.

Zostanie rolnikiem! zawołała babka. Właściwie wiedziałam, że tak będzie. Prawdziwy Chadisjan musi zostać rolnikiem.

Zgadza się, potwierdził Hagop. To moja krew.

I moja też, dodała Dzowinar.

Wartan jednak wcale nie pobiegł do stajni, choć wabiły go głosy zwierząt. Odwrócił się i pobiegł w kierunku wejścia,



gdyż z zewnątrz razem z porankiem wpadały przez próg promienie słońca. A poranek przynosił zapach łąk, kwiatów i drzew, jak również świergot ptaków, milszy i bardziej kuszący niż głucho głośnie zwierząt w stajni.

Zaraz upadnie! zawołał ktoś. A inny dodał: Nie, on nie jest kimś, kto upada na nos, zanim się dowie, czego chce.

Patrzcie, zbliża się do wejścia!

Będzie z niego awanturnik.

Człowiek interesu!

Człowiek interesu!

Również prababka zawołała znowu: Tak, człowiek interesu! Zarobi miliony. I wyciągnęła swe stare dłonie w kierunku małego Wartana wołając: *Aczknyt lujs!* Światło w twoje oczy, moja owieczko.

— I faktycznie — powiedział bazarz. — Twój ojciec kolebiąc się ruszył w stronę wyjścia i przez chwilę wyglądało na to, że istotnie zamierza wyjść na dwór. Tak jednak nie było.

— A jak było, *meddach?*

— Twój ojciec zatrzymał się na progu — odparł bazarz. — Zatrzymał się i patrzył na świat dużymi, zdumionymi oczyma, ale nie zrobił już ani kroku dalej. Ludzie byli zawiedzeni — ciągnął *meddach*. — Zachęcali twojego ojca, ale ten nie chciał iść dalej. Po prostu zatrzymał się na progu, jakby bał się tego wielkiego świata na zewnątrz. A ponieważ wśród gości był także kapłan, Hagop zapytał go, co to może znaczyć. Kapłan pomyślał chwilę, po czym rzekł: Człowiekiem interesu nie będzie, awanturnikiem właściwie też, gdyż boi się wyjść i wkroczyć w prawdziwe życie.

Ale wygląda na dwór, powiedział Hagop.

Owszem, przyznał kapłan. Jest kimś, kto patrzy, lecz nie podejmuje żadnych działań.

Nie wszedł też do stajni. I nie okazał zainteresowania ani *tonirem*, ani Biblią, ani wiadrem z wodą.

Mój Wartan się gapi! zawołała prababka, co na starość postradała rozum.

Na to ludzie zaczęli się śmiać i mówić: Stoi na progu i się gapi. Zakład, że nic nie robi?

Któryś z gości popluł w dłonie, pomazał sobie śliną oczy, roześmiał się i powiedział: Zostanie kiedyś gapiem.

A inny powiedział: Marzycielem.

Kapłan zaś rzekł: Może zostanie kiedyś poetą?

Kiedy kapłan wypowiedział te słowa, matka Wartana zaczęła rwać włosy z głowy i z błędnym wzrokiem zatoczyła się w stronę *toniru*, jakby zamierzała posypać sobie głowę gorącym popiołem. Hagop powstrzymał ją czym prędzej. Nie ulegało wątpliwości, że dobry nastrój przysł. Goście byli zmieszani. Hagop w ogóle nie słuchał, o czym szepczą między sobą, ani pocieszających słów, jakie niektórzy wołali do Dżowinar.

Nie jest tak źle, uspokajał Dżowinar. Lepszy poeta niż w ogóle nic.

Ale nie będzie w stanie wyżywić rodziny.

Więc my ją będziemy żywić, powiedział Hagop.

Jego potomkowie będą przymierać głodem.

Nie umrą z głodu, rzekł Hagop.

— Wśród gości był także naczelnik Jedi Su — ciągnął bazarz — *muchtar* Efrem Abowian, łatwy do rozpoznania po ogromnych wąsach, noszonych na kurdyjską modłę, i nieskazitelnym czerwonym fezie, pod którym kryła się łysina.

— Dlaczego ukrywał łysinę pod fezem?

— Bo szanujący się mężczyzna zawsze ma fez na głowie. Ale także z powodu mnogości much o łaskoczących łapkach. *Muchtar* Efrem Abowian jest bowiem bardzo wrażliwym człowiekiem.

— A co z tym nieskazitelnym fezem?

— To jedyny czysty fez w wiosce.

— A więc prawdziwy pedant z tego *muchtara*?

— Należałoby chyba tak powiedzieć.

— Czy jest jeszcze coś szczególnego w tym fezie?

— Owszem, moja owieczko. Ten fez jest bowiem słynny.

— Dlaczego jest słynny?

— No cóż, to jest tak — zaczął bazarz. — Kiedy wybiera się nowego naczelnika wioski, wszyscy kandydaci kładą swoje fezy odwrotnie na miedzianej *sofrze*. Najstarsi mężczyźni

w wiosce i wszyscy zwierzchnicy rodzin wrzucają do fezu swojego wybrańca po jednym orzechu. Kto zbierze najwięcej orzechów, zostaje naczelnikiem.

— Czy Efrem Abowian zebrał najwięcej orzechów podczas ostatnich wyborów?

— W rzeczy samej — potwierdził bazarz. — Efrem Abowian jest bowiem najbogatszym człowiekiem w wiosce i nikt nie chce mu się narażać.

— Czy zawsze wybiera się najbogatszego na *muchtara*?

— Owszem — odparł bazarz. — Jest nim zawsze najbogatszy, a zarazem najpotężniejszy.

— Jeśli będziesz patrzył na wszystko moimi oczyma — rzekł bazarz — i jeśli dopomożesz trochę swojej wyobraźni, to zobaczysz teraz, że matka Wartana wyciąga z *toniru* świeżą *baktawę*, napęlnia miedziane *sofry* i obnosi je między gośćmi. Jak widzisz, na samym początku częstuje *muchtara* i jego żonę, po czym chodzi od jednego gościa do drugiego. Ostatnią osobą, którą częstuje, jest nosiwoda Howannes. To najbiedniejszy mieszkaniec wioski, nie ma żony ani dzieci, odziany jest w łachmany, śmierdzi jak bździna osła w pozbawionej okien stajni, jąka się, trochę zezuje, ma tik twarzy i jest w sumie człowiekiem godnym pożałowania. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego dzieci w wiosce szydzą z niego i szczują go psami.

— Czy to on jest zarazem wiejskim błaznem?

— Owszem, jest zarazem wiejskim błaznem.

— Żona *muchtara* jest brzemienna i jak widzisz, trąca w tym momencie swego męża i szepcze mu coś na ucho, wskazując przy tym nosiwodę.

Ależ to niemożliwe, protestuje *muchtar*.

Możliwe, odpowiada żona. Nosiwoda ma złe spojrzenie.

A jeśli nawet? mówi *muchtar*.

Przez cały czas gapi się na mój brzuch, upiera się żona *muchtara*. Gotowa jestem się założyć, że wyniknie z tego jakieś nieszczęście.

Jakie nieszczęście?

Może się zdarzyć, że nasze dziecko nie będzie chłopcem, tylko dziewczynką.

I co z tego? powiada *muchtara*. Czyż nie mamy już siedmiu chłopców? Niech ósme dziecko będzie dziewczynką.

Ponownie zjawia się przy nich matka Wartana z *sofrą*. Jeszcze kawałek *bakławy*? pyta żonę *muchtara*.

Odszedł mnie nagle apetyt, odpowiada żona *muchtara*. Nie mogłabyś przepędzić z domu tego nosiwody?

Jest dzisiaj naszym gościem, mówi matka Wartana. To niemożliwe.

Nie sądzisz, Dżowinar, że ten diabeł ma złe spojrzenie?

Nie, odpowiada matka Wartana.

Ale wciąż gapi się na mój brzuch.

Kiedyś gapił się też na mój brzuch, mówi matka Wartana, a widzisz przecież: mój mały Wartan jest zupełnie normalnym dzieckiem. To śliczny chłopczyk i już w wieku półtora roku biega jak dwulatek.

Tak, to śliczne i silne dziecko. Ale czy twoim zdaniem to normalne, że chce zostać poetą?

To akurat nie, odpowiada matka Wartana.

Może wiąże się to jednak ze złym spojrzeniem?

Masz na myśli nosiwodę...

Wszystko jest możliwe.

Musiałabym najpierw zapytać męża.

I matka Wartana pyta Hagopa: Nie sądzisz, że nosiwoda ma złe spojrzenie?

Trzeba by zapytać kapłana, powiada Hagop.

I Hagop pyta kapłana. Kapłan zaś nie jest zupełnie pewny i mówi: Możliwe jest wszystko, Hagop efendi. Nosiwoda nie ma bowiem żony. I o ile mi wiadomo jako kapłanowi, nigdy dotąd nie miał kobiety. A niedawno go przyłapałem.

Gdzie go przyłapałeś?

W stajni za kościołem. Dosiadał tam mojego osła.

Jak dosiadał?

No, wiesz chyba, Hagop efendi, co mam na myśli. Uprawiał nierząd z osłem, który właściwie nie jest osłem, tylko oślicą.

Co też mówisz.

Możliwe więc, że ma także złe spojrzenie, człowiek nie powinien bowiem spółkować ze zwierzęciem.

## 4

Owej nocy po święcie pierwszych kroków Hagop i jego żona spali niespokojnie i mieli dziwaczne sny. Gdy obudzili się rano, Hagop powiedział do żony:

Śniło mi się, że złe spojrzenie nosiwody zamieniło małego chłopca w brzuchu żony *muchtara* w małą dziewczynkę.

Mnie śniło się to samo, mówi Dzowinar.

Istnieje taki zwyczaj, powiada Hagop, że małe dziewczynki zaręczane są już w kołysce, w każdym razie ciebie zaręczono ze mną, zanim poznałaś swoje imię.

W dzień po moich chrzcinach?

W dzień po twoich chrzcinach.

Byłeś ode mnie starszy, miałeś już trzy lata i potrafiłeś nawet liczyć.

Do trzech potrafiłem liczyć, potwierdza Hagop.

Owszem, przyznaje Dzowinar. I mówi: Twój ojciec przyszedł wtedy do mojego ojca i w twoim imieniu poprosił o moją rękę. Mężczyźni wymienili monety, które wrzucili do *toniru*, i dodatkowo przypieczętowali zaręczyny uściskiem dłoni.

Tak było, potwierdza Hagop. I Hagop mówi: Nie wiedziałem, że nosiwoda ma złe spojrzenie, ale musi chyba tak być, skoro nam się śniły takie rzeczy.

Owszem, przytakuje Dzowinar.

Tak to jest, mówi Hagop.

Gdyby złe spojrzenie nosiwody zamieniło małego chłopca w brzuchu żony *muchtara* w małą dziewczynkę, powiada Dzowinar, nie byłoby to może wcale takie złe, bo *muchtara*, bądź co bądź bogaty człowiek, mógłby przecież zaręczyć swoją małą dziewczynkę z naszym Wartanem, na którego też

rzucono czary, kiedy był w moim brzuchu, gdyż w przeciwnym razie nie postanowiłby zostać poetą.

Masz rację, mówi Hagop. I dodaje: Już jutro porozmawiam z *muchtarem*.

Zdarzyło się jednak, że brzemienna wydała na świat chłopca. Dopiero kiedy Wartan miał trzy lata, figowiec obdarzył *muchtara* i jego żonę małą dziewczynką.

Nazajutrz po chrzcie — który odbył się w dziewiątym dniu życia — Hagop udał się do domu *muchtara*, aby w imieniu Wartana prosić go o rękę jego córki. *Muchtar* oponował wprawdzie, że nie ma ochoty oddawać swojej córki nicponiowi, który ma zostać poetą, lecz Hagop uspokajał go mówiąc, że pola Chadisjanów graniczą przecież z polami naczelnika i *muchtara*, a skoro jest tak, a nie inaczej, w przyszłości nie będzie żadnych sporów o prawo wypasu i tak dalej. Poza tym on, Hagop, posiada koguta, który nazywa się Abdülhamid i jest bądź co bądź najlepszym kogutem w wiosce Jedi Su, i jeśli naczelnik i *muchtar* chce, to oczywiście on, Hagop, jako ojciec Wartana wypożyczy bez przeszkód wspomnianego koguta o imieniu Abdülhamid, o ile takie będzie życzenie *muchtara* oraz rzecz jasna jego małżonki.

— I tak było — rzekł bazarz. — Mężczyźni wymienili monety, które wrzucili potem do *toniru*, i uścisnęli sobie dłonie. Następnie napili się wódki, wznosząc toasty za zdrowie Wartana i za zdrowie jego narzeczonej, która w przeddzień otrzymała na chrzcie imię Arpine, co po ormiańsku znaczy wschodzące słońce.

Wszyscy w domu gratulowali twemu trzyletniemu ojcu z okazji zaręczyn. Także sąsiedzi przychodzili do *ody*, brali twojego ojca na ręce i mówili: *Aczkyt lujs*. Niektórzy z sąsiadów mówili też: Niech Jezus Chrystus chroni twoją narzeczoną przed Kurdami.

— Bali się, że Kurdowie ją rozdziewiczą, zanim połączy się z nią mój ojciec?

— Nie inaczej, moja owieczko — zgodził się bazarz. — Naturalnie twój trzyletni ojciec nie rozumiał jeszcze, co się

wokół niego dzieje, dlaczego ludzie mu gratulują i jak to jest z błoną dziewiczą, którą narzeczona miała zachować dla niego. Nie wiedział też, że jego ojciec przy wymianie monet powiedział do naczelnika: Pilnuj dobrze mojej synowej, *muchtar bej*, żeby jej nikt nie rozdziewiczył.

A *muchtar* odrzekł: Hagop efendi, twój syn poślubi dziewicę. Obiecuję ci to. Żaden Kurd jej nie porwie i nie będzie z nią obcował. Pozostaję w dobrych stosunkach z kurdyjskim szejkiem Sulejmanem, punktualnie płacę mu podatki, oddaję bydło i zboże, zapłacę mu też podatek ślubny, czyli połowę wiana, które dasz mi za moją córkę, kiedy nadejdzie pora.

— Jak to jest, *meddach*? Czy Kurdowie naprawdę pożądają małych dziewczynek, które leżą jeszcze w kołysce?

— Nie, moja owieczko. Dopiero wtedy, gdy dziewczynki osiągają dojrzałość płciową, w wieku dziesięciu lub jedenastu, a czasem dopiero dwunastu lat.

Już ci opowiadałem, moja owieczko, że Ormianie nie boją się Kurdów miejskich ani pólnomadów z brudnych kurdyjskich wiosek. Obawiają się dzikich, rozbójniczych górskich plemion. Ich szpiedzy są wszędzie. Dokładnie wiedzą, co się dzieje w ormiańskich wioskach, kto jest zamożny, a kto nie, kto ma syna, a kto córkę. Wiedzą, ile lat mają dziewczynki i kiedy osiągają dojrzałość płciową. A wtedy po prostu je zabierają. Wierz mi, tak to jest. Dlatego dziewczynki wydaje się za mąż możliwie jak najprędzej, bo mają wzięcie tylko jako dziewice.

Dla chrześcijańskich dziewic w położonych z dala od większych szlaków bezbronnych wioskach na wyżynie dziki Kurd jest od stóp do głów symbolem uderzającej, drgającej, burzącej bramy męskiej kości. Wszystko w nim jest kościste. Nawet ciemne, przeszywające spojrzenie. Kiedy Kurdowie galopują przez wieś po żniwach, by ściągać podatki dla swego szejka, dziewice sikają z trwogi i podniecenia w sznurowane w kostkach szarawary. U niektórych jednak mocz spływa tylko kropelkami po wewnętrznej stronie gołych ud, bo płatki między ich nogami zakleszczyły się ze strachu; nie nasłuchują

już, nie badają i nie pytają, zaciśnięte kurczowo, a czasem nie mogą się już w ogóle otworzyć, tak jakby święta Dziewica Maryja przezornie je zszyła.

— Widzę pytanie w twoich oczach, moja owieczko. I mówię ci: Tak właśnie jest. Ormianie nie mogą ochronić swoich kobiet, gdyż nie wolno im nosić broni.

— Dlatego, że są chrześcijanami?

— Dlatego.

— A Kurdowie?

— Kurdowie są muzułmanami. Każdy muzułmanin ma prawo posiadać broń.

— A co na to władze tureckie? Dlaczego nie bronią Ormian przed Kurdami?

— Bo nie mają w tym interesu, moja owieczko. Obawiają się niesubordynacji niewiernych i dlatego jest im na rękę, że Kurdowie zastraszają niewiernych, można by rzec: trzymają ich w szachu jako przedłużone ramię sułtana.

— A co z sądami?

— Jakimi sądami?

— No, gdyby podać takiego Kurda do sądu?

— To zdarza się czasami w miastach, ale nie w odległych wioskach. Przyjrzyj się bowiem, moja owieczko: nieliczni *zaptijeler* w wioskach sami boją się Kurdów. Kto więc miałby tych Kurdów chwycić i stawiać przed sądem? I nawet odważni *zaptijeler* — gdyby tacy byli — czy oni mogą podjąć walkę z całym plemieniem kurdyjskim? Albo ścigać Kurdów? W przesmykach i wąwozach górskich, gdzieś między jednym a drugim morzem?

— A więc to niemożliwe?

— To niemożliwe, moja owieczko. A nawet gdyby udało się postawić jakiegoś Kurda przed sądem, nic by to nie dało, gdyż przed kadim chrześcijanin jako niewierny nigdy nie ma racji, chyba że miałby za świadków dwóch muzułmanów.

— A on ich naturalnie nie ma?

— Przeważnie ich nie ma, chyba że kupi dwóch fałszywych.

— Można ich kupić?



— Pewnie, że można. Ale w wypadku porwanej i rozdzielonej dziewczyny przyniosłoby to skarżącemu nie wielką pociechę, zarówno dziewczynie, jak jej ojcu.

— Dlaczego, *meddach*?

— Jak to dlaczego, moja owieczko? Czy wygrany proces może przywrócić utraconą niewinność, a tym bardziej błonkę, która zniknęła bez śladu? Poza tym który szanujący się Ormianin ożeniłby się z taką dziewczyną? Aby później spełniać z nią święty akt małżeński i płodzić chrześcijańskie dzieci, które będą nosić jego imię? Sam widzisz. Wygrany proces też nie miałby raczej sensu.

*Muchtar* przyrzekł zatem, że da twemu ojcu dziewczę, będzie na nią uważał i chronił ją przed Kurdami. Podobnie jak jedyny w wiosce *zaptije*, dziobaty platfus Szekir efendi, który później, po zaręczynach, popijając z naczelnikiem *raki* w kawiarni, obiecał dokładać wszelkich starań, by zapewnić dziecku ochronę.

Nigdy nie wiadomo, *muchtar bej*, powiedział do naczelnika. Podobno ci Kurdowie nie tykają niemowląt, nie dziurawią ich palcami, a i poza tym niczego im nie wtykają, na przykład cienkich kości jagnięcych czy młodych witek dębowych, nawet łądzynek kwiatów ani niczego w tym rodzaju, ale słyszałem niedawno, że jednak porywają niemowlęta.

A to czemu? spytał *muchtar*.

Żeby je podtuczyć, póki nie będą duże i same z siebie nie zaczną krwawić.

Jak krwawić, *zaptije aga*?

Co miesiąc, jak to zwykle bywa.

A potem?

A potem zostaną rozdzielone bez witek dębowych i bez cienkich kości jagnięcych, a tym bardziej łądzynek kwiatów lub czegoś w tym rodzaju.

Czyli jak, *efendi*?

Wiadomo jak, *muchtar bej*. Tym, co Kurd ma między udami, a jest to przeważnie dosyć okazałe.

Popijali *raki*, a potem jeszcze słodką kawę w małych czarkach. Naczelnik wiedział: *zaptije* mówi tak tylko po to,

żeby cię postraszyć, chcąc zapewnić sobie regularne napiwki. A przecież tak czy owak dostaje od ciebie bakszysz, prócz tego mięso i mąkę pszenną, i owoce z twoich ogrodów.

Naprawdę będziesz na nią uważał, *Szekir efendi*?

Będę jej strzegł jak źrenicy oka, zapewnił *zaptije*. Allah mi świadkiem. A gdy niebawem zjawią się Kurdowie, by zabrać bydło, stanę przed twymi drzwiami i będę trzymał straż, żeby nie wzięli na dodatek twojego dziecka. *Zaptije* postukał palcem w swój stary karabin i dodał: Będę jej pilnował jak własnej córki.

Ale ty przecież nie masz dzieci, *Szekir efendi*. I córki też nie masz.

Niestety, nie mam, przyznał *zaptije*. Żona ode mnie uciekła i nikt nie wie, gdzie się podziewa.

Dlaczego uciekła, *zaptije aga*?

Bo nie mogła mieć dzieci, odparł *zaptije*, i dlatego, że groziłem jej śmiercią, jeśli mi ich nie urodzi.

*Muchtar* pokiwał głową i rzekł: Tak, *Szekir efendi*. W duchu zaś pomyślał: Mam nadzieję, że nie zgwałci dziecka, kiedy będzie go pilnował, gdyż nie ma kobiety i robi to z osłami, trykając je od tyłu, tak samo jak nosiwoda, który jest opętany przez diabła i ma złe spojrzenie.

Oprócz niego mieszkał we wsi jeszcze jeden człowiek, o którym mówiono, że ma złe spojrzenie. Był to rudy kowal *Kework Hagopian*. Co prawda wiele kobiet farbowało sobie włosy henną i nosiło potem pod zasłoną rude włosy, ale w wypadku kowala nie było mowy o hennie ani o jakimś sztucznym barwniku z Frankistanu. Takie włosy dostał od *Boga*. Ale akurat to było niezwykle i dlatego podejrzane. Bo który normalny człowiek ormiańskiego pochodzenia ma prawdziwe rude włosy? Czyżby Pan Bóg pokarał nie narodzone dziecko już w łonie matki, żeby przyszło na świat rude? A może diabeł maczał w tym palce? Może matka kowala zadawała się z czcicielami diabła albo z Cyganami? No bo wszyscy Cyganie, jak wiadomo, mają złe spojrzenie. Chyba że rację ma kapłan *Kapriel Hamadian*, który powiedział kiedyś na cmentarzu: Tak, to prawda. Wiem, skąd się wzięły te rude

włosy, bo matka rudego kowala wyznała mi wszystko na spowiedzi.

Ależ *wartabed*, przecież ona nigdy nie chodzi do spowiedzi.

To prawda. Ale mnie przyśniła się jej spowiedź.

I co takiego ci się przyśniło?

Przyśniło mi się, rzekł kapłan, że matka tego rudego diabła przyszła się wyspowiadać.

I co wyznała na spowiedzi?

Powiedziała do mnie: *Wartabed*, pamiętasz tego rudego irlandzkiego misjonarza, który był kiedyś w naszej wiosce, zanim mój syn, rudy kowal, przyszedł na świat?

Naturalnie, powiedziałem. Pamiętam go.

Ten fałszywy święty chciał wtedy nawrócić na katolicyzm wszystkie twoje owieczki, choć każdy dobrze wie, że nasz Zbawiciel Jezus Chrystus nie może mieć dwóch natur, jak wierzą katolicy, tylko logicznie rzecz biorąc jedną, boską, i że nasza wiara gregoriańska jest jedyną prawdziwą wiarą.

Słusznie, powiedziałem. A z czego chcesz się wyspowiadać, moja córko?

Śniło mi się, odparła matka rudego kowala, że ten rudy irlandzki misjonarz dosiadł mnie wtedy śpiącą, choć nie jestem całkiem pewna, bo byłam wówczas młoda i miałam mocny sen, tak mocny, że i tak niczego bym nie zauważyła.

W takim razie możliwe, że ten fałszywy święty dosiadł cię albo mógł dosiąść?

Tak, *wartabed*.

I to mogłoby tłumaczyć, dlaczego twój syn ma rude włosy?

Tak, *wartabed*.

— Tak czy owak — rzekł bajarz — ten rudy kowal był dla Wartana najważniejszą mężczyzną oprócz własnego ojca.

— Dlaczego?

— A dlatego, że był jego chrzestnym.

— Chrzestnym?

— Tak, moja owieczko. Rudy kowal był chrzestnym twego ojca, gdyż kiedy go chrzczono, Hagop nie mógł znaleźć innego chrzestnego.

— Czy Hagop nie bał się jego złego spojrzenia?

— Nie — odparł bajarz. — Babka małego Wartana, o której mówiono, że potrafi przejrzeć każdego, powiedziała bowiem: Hagopie, kowal nadaje się w sam raz na chrzestnego, bo dobrze mu z oczu patrzy. Nie ma w nich nic z diabła. A skoro tak powiedziała, to musiała to być chyba prawda.

— Każdy w wiosce wiedział, że ormiańscy kowale właściwie ratują świat, mimo że zawistnicy i wrogowie kowala nie chcieli tego przyznać.

— Dlaczego ormiańscy kowale ratują świat?

— Bo tak mówią ormiańskie baśnie, zwłaszcza te o górze Ararat.

— Jak to z tym jest, *meddach*?

— No cóż, moja owieczko, z tym to jest tak. W górze Ararat uwięziony jest olbrzym... perski olbrzym o imieniu Myher. Przykuto go wewnątrz góry łańcuchami do ściany. Na jego czole rosną rogi. Pilnują go dzikie psy, czarne kruki i jadowite węże. Podobno pewnego dnia, dokładnie w noc poprzedzającą Wniebowstąpienie, zerwie kajdany i wyjdzie z wnętrza góry, aby zniszczyć świat.

— Jak chce to zrobić, *meddach*?

— Widzisz, moja owieczko: Ziemia to *sofra* z gliny, półokrągła taca, na której Pan Bóg położył swe przysmaki, czyli wszystko, co lubi. *Sofrę* dźwigają aniołowie, którzy regularnie się zmieniają. Wszystkie gwiazdy obracają się wokół tej glinianej *sofry*, którą my, ludzie, nazywamy Ziemią. Gdy więc ten olbrzym zerwie kajdany i srożąc się i rycząc wyjdzie z wnętrza góry, to po prostu wywróci *sofrę* swymi wielkimi, straszliwymi łapskami i wszystko, co Bóg lubi, spadnie w otchłań i umrze.

— Kwiaty też?

— Kwiaty też.

— I drzewa?

— I drzewa.

— Ale one przecież wrosły w ziemię?

— To prawda, moja owieczko. Ale tak będzie.

— Myślałem, że spaść może tylko to, co nie wrosło w ziemię, mam na myśli wszystko, co trzepocze i się rusza.

— Nie, moja owieczko. Kiedy olbrzym wywróci *sofrę*, nic na niej nie zostanie.

— Nic z tego, co Bóg lubi?

— Nic, moja owieczko. Wszystko, co Bóg lubi, zginie. Także cały świat zginie, gdyż jaki sens miałby świat, gdyby nie było już tego wszystkiego, co Bóg lubi?

— Po prostu by nie było?

— Tak jest.

— A co to ma wspólnego z ormiańskimi kowalami?

— Bardzo wiele, moja owieczko. Kowale w tych stronach od poniedziałku wielkanocnego do Wniebowstąpienia uderzają raniutko trzy razy młotem w kowadło. Dzięki temu łańcuchy olbrzyma, zawsze po Wielkanocy dosyć cienkie, zostają przykute na nowo. Olbrzym nie może się oswobodzić, zatem nie nastąpi koniec świata.

— W takim razie ormiańscy kowale naprawdę ratują świat?

— Nie inaczej.

— Także rudy kowal Kework Hagopian, który jest chrzestnym mojego ojca?

— On w szczególności, gdyż stuka raniutko trzy razy w kowadło nie tylko między Wielkanocą a Wniebowstąpieniem, ale przez cały rok.

— Każdego ranka?

— Tak, moja owieczko. Na wszelki wypadek. Każdego ranka. A ponieważ mówimy akurat o okresie między Wielkanocą a Wniebowstąpieniem, muszę ci szybko opowiedzieć jeszcze jedną krótką historię. Otóż w dzień Wniebowstąpienia Ormianie z wioski Jedi Su obchodzą dziwne święto z pogańskich czasów, które niewiele ma wspólnego z wniebowstąpieniem naszego Zbawiciela. A mimo to ma jednak z nim coś wspólnego, gdyż jestem pewien, że Chrystus cieszyłby się wiedząc, że dzieci w Jedi Su akurat w dzień jego wniebowstąpienia każą liczyć gwiazdy na niebie.

— Jak to z tym jest, *meddach*?

— No cóż, z tym to jest tak — rzekł *meddach*. — W dzień Wniebowstąpienia wszystkie dzieci zbierają się wczesnym ran-

kiem na placu wioskowym, po czym wyruszają grupkami na łąki i pola, zrywają kwiaty i przystrajają się nimi. Święto to nazywają *widzag* i ma ono coś wspólnego z bogiem słońca Mihrem.

— Czy jest to święto kwiatów?

— Nie, moja owieczko. Właściwie nie. Jest to święto przypadków, losów i liczenia gwiazd.

— Jak to z tym jest, *meddach*?

— No cóż, z tym to jest tak — powiedział *meddach*. — Kiedy wszystkie dzieci przystroją się kwiatami, małe dziewczynki przynoszą gliniane dzbany i idą z nimi do siedmiu studni. Po drodze nie wolno im rozglądać się na boki ani patrzeć za siebie. W wiosce Jedi Su zabierają jednak ze sobą nosiwodę, gdyż małym dziewczynkom niełatwo jest zaczerpnąć wody z siedmiu studni.

— A co robi nosiwoda?

— Opuszcza ciężkie wiadra na wodę w głąb siedmiu studni, potem wyciąga napelnione, czasem nawet po brzegi, na światło dzienne i stawia je u stóp dziewczynek, którym nie wolno rozglądać się na boki ani patrzeć za siebie. Gdy tylko wiadra znajdą się przed nimi, małe dziewczynki, całe przystrojone kwiatami, pochylają się, zakładają ręce na plecach i one z kolei zaczynają czerpać wodę... naturalnie z wiadra... ale robią to ustami.

— Ustami?

— Tak, moja owieczko. Małe dziewczynki udają jedynie, że piją świeżą wodę. Nie piją jej jednak, tylko wypływają ją do dzbanów z brązowej gliny, które przyniosły do siedmiu studni. Napęniają więc gliniane dzbany, następnie wkładają do środka kamyk lub jakiś inny przedmiot i udają się do kościoła. Tam czeka już kapłan Kapriel Hamadian, którego zadaniem jest poświęcenie w dzień Wniebowstąpienia wody w dzbanach dziewczynek. Tak też robi. A następnie oprowadza dziewczynki z dzbanami siedem razy wokół kościoła.

— A potem, *meddach*?

— Potem każda dziewczynka wraca do domu i ukrywa dzban z wodą święconą. Kiedy zapada wieczór, wychodzi z dzbanem na dach, stawia naczynie obok dymnika i pozostawia

je tam, aby święta woda widżagowa w dzbanie policzyła gwiazdy.

— I święta woda rzeczywiście je liczy?

— Owszem, moja owieczko. Dokładnie tak jak bóg słońca Mihr, który co noc liczy gwiazdy na niebie, żeby sprawdzić, czy są na nim jeszcze wszystkie dzieci słońca.

## 5

Kiedy Wartan miał trzy lata, starsi chłopcy z wioski zabrali go ze sobą w dzień Wniebowstąpienia na łąki i pola. Przystroili go kwiatami i nosili na barkach. Potem ruszyli za dziewczynkami, szli za nimi do siedmiu studni, drażnili się z nimi i obrzucali je nazbieranymi wcześniej ptasimi jajami. Jeden z chłopców powiedział do Wartana: Uważaj, mały. Dziewczynki ukryją dzbany ze świętą wodą, a my spróbujemy odnaleźć kryjówkę, zanim wyniosą dzbany na dach, żeby liczyły gwiazdy. Uważaj więc, mały. Ukradniesz taki dzbanek, a potem każesz dziewczynie wykupić fant, bo w przeciwnym razie dzbanka nie oddasz.

Fant? zapytał twój trzyletni ojciec, który nie miał pojęcia, co to jest fant.

Wtedy starsi chłopcy zaczęli się śmiać i powiedzieli: Tak, fant. Dziewczyna musi dać ci całusa, w przeciwnym razie nie oddasz fantu, rozumiesz?

Na co twój ojciec też zaczął się śmiać, mimo że nic z tego nie rozumiał.

— W tamto święto *widżag*, kiedy chłopcy z wioski zachęcali twego trzyletniego ojca do zdobycia fantu, a tym samym całusa, zdarzyło się jeszcze coś, co twój ojciec na długo zapamiętał.

— Co to było, *meddach*?

— To była historia z głupim nosiwodą.

— A co było z nim, z tym nosiwodą?

— Przez cały dzień chłopcy szukali dzbanów, które ukryły dziewczynki. Szukając podpatrzyli nosiwodę, który dosiadał akurat oślicy Chadisjanów. Było to pod wieczór.

— Oślicy?

— Tak.

— Czy ta oślica też nie miała imienia jak osioł Bülbül?

— Miała imię. Nazywała się Zejda.

— Jak nosiwoda dostał się do stajni, żeby dosiadać Zejdy, skoro w drodze do stajni trzeba przechodzić przez izbę mieszkalną?

— Oślica Zejda nie stała w stajni, bo babka zostawiła ją na podwórzu, rzecz jasna uwiązana.

— A jak to było z tym nosiwodą?

— Chłopcy przyłapali go, ściągnęli z oślicy, związali i zawlekli na płaski dach domu Chadisjanów. Twój trzyletni ojciec wszystko widział.

— Widział też, jak nosiwoda spółkował z Zejdą?

— To także.

— I jak wiazali nosiwodę i zanieśli na dach?

— Tak, moja owieczko. Wszystko widział. Widział też ociekający członek drącego się wniebogłosy nosiwody, za który go chwytały i szarpali — chłopcy bywają sadystami — widział, jak schowali mu go z powrotem w brudne szarawary, i zawlekli go na dach, biednego gamoniowatego wiejskiego głupka. Jeden z chłopców powiedział do twojego ojca: Za karę zostawimy nosiwodę Howannesa do rana na dachu, żeby liczył gwiazdy.

— I nosiwoda rzeczywiście został do rana na dachu? I naprawdę liczył gwiazdy?

— Nie, moja owieczko — odparł *meddach*. — Nie jest dobrze, gdy człowiek o złym spojrzeniu liczy gwiazdy razem ze świętą wodą. Dlatego dziadek Wartana sprowadził biedaka z powrotem na dół.

— Dziadek twojego ojca. Nie opowiadałem ci jeszcze o nim, bo pozostawał całkowicie w cieniu babki. Był cichym człowiekiem, zupełnym przeciwieństwem swojej żony Hamest. Dawniej był podobno wesoły i miał pełno zabawnych pomysłów, ale to się zmieniło.



— Czy w życiu mojego pradziada, który był wszak dziadkiem mego ojca, zdarzyło się coś, co uczyniło z niego cichego człowieka?

— Tak, moja owieczko — odrzekł *meddach*.

I *meddach* rzekł:

— W zimie dzicy Kurdowie z wysokich gór wysyłają swoich starców i chorych na dół do ormiańskich wiosek, żeby tam zimowali. Starzy i chorzy Kurdowie są nieproszonymi gośćmi, ale nikt nie śmie ich odprawić. Mieszkają wtedy przeważnie w stajniach, biorą sobie do jedzenia, czego im trzeba, naturalnie ze spiżarni Ormian, a potem wycofują się do stajni. Z nadejściem wiosny wynoszą się z powrotem w góry.

— Dlaczego nikt nie śmie ich wypędzić?

— Bo wtedy zwałiby mu się na kark całe kurdyjskie plemię, ale nie po to, by przezimować w stajni, tylko żeby pomścić starych i chorych członków rodu. Kurdyjski szejk wysłałby do wiosek swoich jeźdźców, każąc im, by mężczyznom obcięli kutasy, kobiety zgwałcili i spalili domy — ciągnął *meddach*. — A właśnie dziadek twojego ojca w 1846 roku odmówił starym i chorym Kurdom gościny w swojej stajni. Źle jednak na tym wyszedł, bo już nazajutrz do wioski wpadła blisko setka uzbrojonych kurdyjskich jeźdźców. Zawlekli dziadka Wartana na plac wioskowy, rozebrali do naga i zamierzali właśnie obciąć mu kutasa, gdy nadbiegła drąc się wniebogłosey Hamest i zaczęła prosić Kurdów o łaskę. Kurdowie w końcu dali się ubłagać i nie obcięli dziadkowi kutasa, tylko płatki uszu, a potem go wychłostali. Tej lekcji dziadek nie zapomniał do końca życia.

— I mieszkańcy wioski się nie bronili?

— Nigdy się nie bronią, moja owieczko. Jedyne *zaptije* w wiosce dygotał ze strachu, obgryzał brudne paznokcie i uśmiechał się głupkowato, gdy któryś z Kurdów odebrał mu karabin. Kurd powiedział potem do niego: Nie przejmuj się, ten karabin jest starszy od ciebie. Rząd da ci nowy.

— A ormiańscy mężczyźni z wioski?

— Stali bez słowa na wioskowym placu.

\*

Nie ma się co dziwić, moja owieczko, że Turcy i Kurdowie uważają Ormian za najtchórzliwszy naród na świecie. Można odnieść wrażenie, że rodzą się tylko po to, by nadstawiać plecy pod bicz i kutasy pod zakrzywiony nóż, podobnie jak szpara ich kobiet wydaje się istnieć tylko po to, żeby obrzezane fujary prawowiernych muzułmanów mogły sobie w niej używać.

Dziadek po tym wypadku z Kurdami, publicznym upokorzeniu i przeżytych strachu zaczął mówić falsetem... i naprawdę można było pomyśleć, że Kurdowie nie tylko grozili mu kastracją, ale faktycznie obcięli zakrzywionym nożem męską chlubę młodego jeszcze wtedy dziadka. Tak to już jest, moja owieczko, że godność i duma mężczyzny dyndają między jego udami. Duma i godność mają jednak zarazem siedlisko w głowie, gdyż pomiędzy ludzką głową a dyndającą chlubą między udami istnieje tajemny związek, tak więc nic dziwnego, że niejeden mężczyzna, który bez oporu przyjmuje poniżenie swej godności męskiej, w pewnym momencie zaczyna wierzyć, że naprawdę stracił narzędzie do płodzenia.

Jak wspomniałem, dziadek stał się cichym człowiekiem, trzymał się na uboczu, utracił swój bas, mówił słabym, bezbarwnym głosem, popiskiwał jak chory ptaszek, gdy chciał czasem zaprotestować przeciwko władczej naturze i krewkiemu temperamentowi babki, zaczął pić i został w końcu pijakiem. Nie chcę cię jednak zaprzętać tymi sprawami, moja owieczko, mam na myśli uważane przez dziadka za stracone narzędzie do płodzenia lub jego falset. Opowiem ci raczej o dobroci jego serca... i osobliwej kołdrze, którą podarował pewnego dnia twemu ojcu.

Wartan był, jak wiadomo, najmłodszym wnukiem i może dlatego dziadek darzył go szczególną sympatią. Pewnego dnia podarował Wartanowi barwną, ręcznie tkaną kołdrę i rzekł do niego: Ten *jorgan* pochodzi jeszcze z czasów sułtana Ibrahima, z roku 1642. Będzie teraz należeć do ciebie, moja owieczko. A potem do twego pierworodnego syna.

A twój ojciec, który nie miał jeszcze czterech lat, zapytał: Do mojego pierworodnego syna?

Tak, potwierdził dziadek. Do twojego syna, moja owieczko. Którego nazwiesz Towma... czyli tak, jak ja mam na imię, po prostu Towma. I dziadek rzekł: Ten *jorgan* naprawdę pochodzi z czasów sułtana Ibrahima. Czy wiesz, moja owieczko, kto to był? A ponieważ twój ojciec nie wiedział, wyjaśnił: Sułtan Ibrahim był mężczyzną ze zmęczonym osiłkiem między nogami, gdyż miał za dużo kobiet w swoim haremie. Jak każdy mężczyzna, tak i sułtan nosił wszystko, co szturmuje i prze, w dwóch małych wiszących woreczkach pod odzieniem, właściwie były to zgrabne mieszki, kiedyś naprężone i jędrne, które jednak z czasem zwiotczały. Zwiotczała także jego rurka do płodzenia i wszystko kościste i chrząstkowate, co wyglądało dawniej pożądliwie spod woreczków. Kobiety zaczęły go nudzić, gdyż nie tylko było ich zbyt wiele, ale także wszystkie były chętne. Mimo to sułtana dręczyła zazdrość, uważał bowiem każdą ze swych kobiet za osobistą własność. Pewnego dnia do jego uszu dotarło, że jedna z jego kobiet zdradziła go z eunuchem, choć brzmi to nieprawdopodobnie, bo eunuchy, jak wiadomo, nie mają jaj. Wiesz, co to jaja, mój gołąbku?

A twój niespełna czteroletni ojciec odpowiedział: Tak, kogut Abdülhamid znosi codziennie jajo.

Na to jego dziadek, który rzadko się śmiał, roześmiał się niespodziewanie na głos i rzekł: To nie kogut Abdülhamid, mój gołąbku, tylko kury znoszą jaja.

A potem powiedział: No więc z kobietami sułtana Ibrahima było tak: jedna z nich robiła to z pozbawionym jaj eunuchem. Sułtan próbował dojść, która żona dopuściła się cudzołóstwa, ale po prostu nie mógł tego ustalić, bo kobiety w haremie trzymały ze sobą i jej nie wydały. I zgadnij, co wtedy zrobił sułtan! A ponieważ twój ojciec nie mógł tego zgadnąć, dziadek rzekł: No więc to było tak: pewnego dnia sułtan kazał zakuć w kajdany wszystkie kobiety z haremu, wszystkie dwieście osiemdziesiąt — tyle ich bowiem było — wsadzić do dużych worków, które obciążono kamieniami, a worki kazał zawieźć do portu w Konstantynopolu i wrzucić wszystkie do wody i zatopić. I tak też zrobiono.

Naprawdę tak było, dziadku?

Naprawdę, moja owieczko. Turecka historia pełna jest takich okrucieństw i dlatego nie ma się co dziwić, że Frankowie z Frankistanu, którzy na swój sposób są jeszcze okrutniejsi, uważają Turków za najokrutniejszy naród na świecie.

Ten *jorgan* mieści wiele pokoleń martwych pcheł, powiedział dziadek, ale martwe pchły nie gryzą, mój gołąbku.

— A jak jest z żywymi pchłami, *meddach*?

— Do nich człowiek się przyzwyczaja — odrzekł *meddach*. — W domu Chadisjanów roiło się od pcheł. Skakały po dywanach i chodnikach, po glinianych dzbanach, lampkach oliwnych i innych przedmiotach. I mieszkały także w nowym *jorganie* twego ojca, zresztą już bardzo starym. Twój ojciec jako dziecko próbował łapać pchły ustami i cieszył się, gdy udało mu się czasem którąś schwytać. W tym okresie twój ojciec nie spał już rzecz jasna w kołysce z gołębiem i gałązką oliwną, tylko miał własne poślanie ze skór jagnięcych. Darowując mu *jorgan*, dziadek powiedział: Kołyska z gołębiem i gałązką oliwną pozostanie na razie pusta. Ale pewnego dnia będzie w niej spał twój syn.

Mój syn? spytał twój ojciec.

Tak, twój syn Towma, potwierdził dziadek.

Twój ojciec bawił się niekiedy swym kutaskiem, jak robią to wszyscy mali chłopcy, nie domyślając się nawet, jakie to niebezpieczne. Gdy dziadek przyłapał go kiedyś na tej zabawie, powiedział do niego: Nie rób już tego więcej, bo w przeciwnym razie twój syn Towma nigdy nie przyjdzie na świat. I dodał: Wtedy byłbyś takim samym głupkiem jak nosiwoda Howannes, który jako mały chłopiec też bawił się swoim kutaskiem.

Ale ja nie jestem nosiwodą, powiedział twój ojciec.

Wcale tego nie twierdziłem, odparł dziadek. I rzekł: Kutasek to niebezpieczna zabawka. Od zabawy z nim można nie tylko zgłupieć, nawet najrozsądniejszego mężczyznę potrafi on zamienić w *parwanę*. A ponieważ twój niespełna czteroletni ojciec nie wiedział, co to jest *parwana*, dziadek wyjaśnił mu: No cóż, moja owieczko. *Parwana* to wschodni motyl nocny,

występujący zwłaszcza w tych stronach, bo jest to okolica słoneczna, obfitująca we wszelkie owady. Jeśli więc mężczyzna zbyt często bawi się paluszkami, który ma między nogami, to miłość może mu uderzyć do głowy. Wtedy uważa każdą dziewczynę za swoją kochankę. I często nie potrafi jej odróżnić od płomieni *toniru*.

I co się wtedy dzieje? spytał twój ojciec.

Wtedy taki kochanek myśli, że jest *parwaną*, i rzuca się na oślep w płomienie, uważając je za swoją kochankę.

I co wtedy? spytał twój ojciec.

Wtedy nic z niego nie zostaje, odparł dziadek. I dziadek roześmiał się, i rzekł: Ale nie bój się, moja owieczko, mój mały paszo, mój gołąbku, który nosisz w swym nasieniu mego prawnuka Towmę. Nie będziesz musiał bawić się kutaskiem, gdy kiedyś w przyszłości w twoich woreczkach pojawi się prawdziwa tęsknota do kobiety. Nie będziesz też musiał dosiadać osła jak nosiwoda Howannes. Ani stawać się *parwaną* i z miłosnej udręki rzucać się w płomienie *toniru*. Wybraliśmy ci już bowiem narzeczoną. Zdarza jej się jeszcze wprowadzić zsiakać, ale czeka na ciebie, moja owieczko. Jej ojciec, który jest naszym *muchtarem*, podkarmi ją i będzie miała tłuśny, ale rozsądny tyłek. I ty także będziesz rozsądny, i zawrzesz z nią święty związek małżeński. I spłodzisz z nią syna, któremu dasz na imię Towma.

— Ale nieprędko miało to nastąpić — powiedział bazarz. — Spłodzenie jego syna Towmy zapisane było dopiero w gwiazdach. Również obchodząc czwarte urodziny, twój ojciec nadal nie wiedział o trudach płodzenia dzieci, o obowiązkach ormiańskiego mężczyzny, o jego odpowiedzialności za rodzinę i jego lękach. Mając cztery lata twój ojciec nie wiedział też o Abdülhamidzie, który dwa lata przed jego narodzeniem, a więc w roku 1876, wstąpił na tron sułtański. Wiedział tylko, że kogut jego ojca ma na imię Abdülhamid i że od tej pory będą się tak nazywać wszystkie koguty. Los koguta polega bowiem na tym, że obcina mu się głowę. Wszyscy Ormianie życzyli Abdülhamidowi, żeby utracił głowę, gdyż przebakiwano to i owo. Mówiono, że Abdülhamid chce wytepić wszystkich Ormian.

— Twój ojciec żył jeszcze w baśniowym świecie. I naprawdę tak było, gdyż dziadek opowiadał mu dziwaczne historie. Na przykład o arce Noego, aniele i chuście, w którą wsiąkał pot Zbawiciela. Opowiedzieć ci, moja owieczko?

— Tak, *meddach*.

— No cóż, to było tak i tak — rzekł *meddach*. I zaczął: Pewnego dnia armeński król Abgar zachorował na leprę. I wtedy we śnie usłyszał głos, który mówił: Tylko bóg słońca Mihr, Abgarze, może cię wyleczyć. Wejdź na górę Ararat, i to na najwyższy jej szczyt. Tam będziesz blisko słońca, a tym samym boga Mihra.

— I tak się stało — ciągnął bajarz. — Król wspiał się na armeńską górę. Gdy jednak znalazł się na samym szczycie, niebo pociemniało i nigdzie nie było widać słońca. Błądząc po omacku król natknął się na wrak statku, który przypominał arkę. A ponieważ nigdy dotąd nie słyszał o arce Noego, gdyż nie znał Biblii, która już była, ani Koranu, którego jeszcze nie było... więc kiedy ujrzał wrak, bardzo się zdziwił i zadał sobie pytanie: Skąd wziął się statek na tej górze? I patrzcie, ledwo wypowiedział to pytanie, pojawił się anioł i rzekł: Kiedyś z tego miejsca wyfrunął gołąb i poleciał na dół do kraju, który miał się później nazywać Hajastan, i przyniósł stamtąd gałązkę oliwną.

Gałązkę oliwną? zdziwił się król.

Znak Pana, wyjaśnił anioł, który raz jeszcze uratował świat. I anioł rzekł: Nie ma boga słońca Mihra. I nic nie da, że stoisz na najwyższym szczycie armeńskiej góry, by być blisko słońca. Słońce nie może wyleczyć z trądu.

A kto może to zrobić? spytał król.

Jezus z Nazaretu, odparł anioł.

Jezus z Nazaretu?

Tak.

Gdzie mogę znaleźć tego człowieka?

W ziemi żydowskiej, rzekł anioł. Wędruje po kraju i łowi dusze.

A więc łowca dusz?

Tak.

I uzdrowiciel?

Uzdrowiciel też.

Czy uzdrowi i mnie, jeśli go odnajdę?

Tylko wtedy, jeśli go naprawdę odnajdziesz, rzekł anioł.

A w jaki sposób naprawdę go odnajdę?

Tylko wtedy, gdy uwierzysz w niego.

Czy wyzdrowieję, gdy uwierzę w niego?

Tak, odparł anioł.

Król był jednak nieufny i wysłał najpierw swoich szpiegów do ziemi żydowskiej, żeby zbadali, czy to prawda, a mianowicie, że ktoś, kto nazywa się Jezus z Nazaretu, rzeczywiście potrafi wyleczyć z trądu.

— Tak się złożyło — ciągnął bazarz — że szpiegdy armeńskiego króla przybyli do Ziemi Świętej akurat wtedy, gdy Jezus zamierzał wygłosić kazanie na Górze, podążyli więc za napływającym tłumnie ludem. I tym sposobem wysłuchali kazania na Górze.

Gdy Jezus skończył kazanie, jeden szpieg powiedział do drugiego: Dziwny ten święty, błogostawi cichych, ubogich i prostaczków i akurat im obiecuje królestwo niebieskie. Jak taki ktoś miałby wyleczyć z trądu naszego króla, skoro nasz król nie jest ani cichy, ani ubogi, a tym bardziej nie jest prostaczkiem, i skoro wiemy, że znajdzie się w niebie z bogami?

Chcieli już zawrócić i odejść, lecz jeden z nich przypomniał sobie: Ten fałszywy zbawiciel schodzi właśnie z góry. Mamy przecież list do niego od naszego króla Abgara. Musimy mu go oddać.

I oddali Jezusowi list armeńskiego króla. A Jezus przeczytał list i rzekł: Wasz król chce uwierzyć we mnie i prosi, bym przybył do Hajastanu i wyleczył go z trądu. Ale ja nie mam czasu na taką daleką podróż na ośle. Czeka mnie bowiem jeszcze dużo pracy w ziemi żydowskiej. Muszę się także udać do Miasta Dawidowego, które nazywa się teraz Jeruzalem, aby wypędzić ze świątyni handlarzy i lichwiarzy. I Jezus rzekł: Muszę też do krzyża, który wkrótce zostanie dla mnie zbity.

Była to osobliwa mowa i szpiegdy nie wiedzieli, co o niej sądzić. Ujrawszy zakłopotanie królewskich szpiegów, Jezus z Nazaretu zdjął z czoła zawiązaną przed kazaniem chustę,

w którą wsiąkał jego pot, i rzekł: Trochę się spocilem podczas kazania, gdyż niełatwo jest przekonać zatwardziałych, że cisi, ubodzy i prostaczkowie wejdą do królestwa niebieskiego. Weźcie tę przepoconą chustę i oddajcie ją swojemu królowi, a wasz król wyzdrowieje.

Szpiedzy wzięli chustę i odjechali. Gdy opuścili ziemię żydowską i w drodze do Hajastanu przejeżdżali przez lasy cedrowe i wąwozy Libanu, napadli ich zbójcy. Byli to przodkowie dzikich Kurdów górskich. Zabili szpiegów armeńskiego króla, wrzucili ich ciała do wąwozu i ukradli odzienie, buty oraz konie. Właściwie zabrali wszystko z wyjątkiem przepoconej, brudnej chusty Zbawiciela. Rzucili ją w głąb jednego z wąwozów Libanu, gdzie leży do dzisiaj.

Chusta Pana... pomyślała ostatnia myśl. A więc do dziś leży w jednym z wąwozów Libanu? Dlaczego Pan Bóg nie zapobiegł śmierci królewskich szpiegów? Dlaczego musieli umrzeć i utracić chustę?

— Powiedz, *meddach*: Co się stało z tym armeńskim królem?

— Umarł nędzną śmiercią, moja owieczko.

— A co by się z nim stało, gdyby chusta do niego dotarła?

— Byłby wyleczony z trądu, moja owieczko, przyjąłby chrześcijaństwo jeszcze za życia Zbawiciela, prawdopodobnie razem z całym swoim ludem. Ale stało się właśnie tak, jak ci opowiedziałem. Chusta nigdy nie dotarła do niego. I Armenia dalej była pogańska. Dopiero w roku 301 Armenia — lub Hajastan — stała się pierwszym państwem chrześcijańskim.

— A to było tak — rzekł bazarz. — W Armenii panował król Tiridates Trzeci, zwany Wielkim. I ten usłyszał pewnego dnia o apostołe Grzegorzu, którego lud nazywał „Grzegorzem Oświecicielem”. Grzegorz wędrował po Hajastanie i głosił naukę Chrystusa. Mówiono o nim, że jest synem zbiegłego królobójcy, który zgładził ojca obecnego króla, i pragnie odpokutować grzechy mordercy. Ponieważ jednak król Tiridates bał się, że syn mordercy może zabić także jego, kazał ująć Grzegorza, zakuć go w kajdany i wrzucić do jaskini lwów.



Właściwie powinien to być koniec świętego Grzegorza. Ale patrzcie... gdy żołnierze królewscy wrzucili go do jaskini, Pan Bóg zamienił serca lwów w serca jagnięce. Grzegorz żył w jaskini lwów przez wiele lat. Ukrywający się chrześcijanie przynosili mu jedzenie i picie. Król Tiridates zaś popadł w obłąd. Rychło zaczął pełzać na czworakach, jak dzikie zwierzęta o jagnięcych sercach w jaskini Grzegorza.

Pewnego dnia, gdy król Tiridates akurat był przy zdrowych zmysłach — co zdarzało się od czasu do czasu — jego siostra Chosrowiducht powiedziała do niego: Grzegorz wciąż jeszcze żyje. Przemienił serca dzikich zwierząt w serca jagnięce. Jest czarownikiem i z pewnością mógłby zdjąć z ciebie obłąd.

Tak więc żołnierze królewscy zabrali świętego Grzegorza z jaskini lwów i przyprowadzili go do króla i jego siostry. Ta rzekła do Grzegorza: Czy potrafisz wyleczyć z obłądu mego brata, króla Ormian?

Tak, odparł Grzegorz. Król bowiem jest tylko opętany przez diabła.

W jaki sposób możesz go wyleczyć, Grzegorzu?

Biblią, odrzekł Grzegorz.

I Grzegorz zatoczył po trzykroć koło Pismem Świętym nad głową szalonego króla, i wypowiedział podobne słowa jak Zbawiciel, gdy uzdrawiał chorych i ułomnych. Po czym zapytał chorego króla, nim umysł jego na powrót się zmaćił: Czy wierzysz w Syna Bożego, który uzdrawiał chorych i ułomnych?

A król odpowiedział: Tak, wierzę. I od tej chwili był uleczoney.

— Kiedy armeński król Tiridates przyjął chrześcijaństwo, nawróciła się również cała królewska rodzina, a potem cały naród. I tym sposobem w roku 301 naszej ery Ormianie jako pierwszy naród na świecie uznali chrześcijaństwo za religię państwową — mówił bajarz. — I to Ormianom jak żadnemu innemu ludowi na ziemi przeznaczone było cierpieć za Chrystusa. A wśród wielu historii o cierpieniach pierwszych ormiańskich chrześcijan, jakie dziadek opowiadał twemu niespełna czteroletniemu ojcu, były także historie o Jezdegerdzie i Szapurze.

— Kto to był Szapur?

— Perski król, moja owieczko. Czciiciel ognia, prawdziwy diabeł w ludzkiej postaci. Chrześcijańska niewolnica z Armenii próbowała go kiedyś w łóżku nawrócić na chrześcijaństwo, ale niewiele to dało, gdyż jej pogańska rywalka, która następnej nocy dzieliła łożę króla Szapura, szepnęła mu do ucha coś innego.

— A co takiego, *meddach*?

— Jeżeli przyjmiesz chrześcijaństwo, powiedziała do Szapura, z twoimi słoniami bojowymi stanie się to samo co z lwami w jaskini apostoła Grzegorza. Ten bowiem zamienił serca wszystkich lwów w serca jagnięce.

To niedobrze, rzekł Szapur, jak bowiem miałbym toczyć wojny ze swymi wrogami, jeśliby moje słonie miały serca jagniąt? A ponieważ król bał się, że chrześcijanie mogą go przekonać do swej wiary, postanowił ich wszystkich zabić.

Już tydzień po wysłuchaniu w łóżku najpierw próbującej go nawrócić chrześcijańskiej niewolnicy, a następnej nocy podburzającej go przeciw niej rywalki, jego wojska wkroczyły do sąsiedniej Armenii. Na zajętych terenach król zarządził rzeź. Rozkazał zabić tysiące mężczyzn, armeńskie miasta zostały zburzone, a ścięte głowy kapłanów i notabli zatknięte na murach. W armeńskiej stolicy kazał spędzać kobiety na place targowe, gwałcić je publicznie, a potem deptać słoniom bojowym.

— Straszliwa historia.

— Owszem, moja owieczko.

— Szapur?

— Tak. Król Szapur.

— A kto to był Jezdegerd?

— Inny perski król, również czciiciel ognia i wielki łotr.

— Ów Jezdegerd był równie okrutny jak Szapur — rzekł bajarz — ale mądrzejszy. Jezdegerd wiedział, że na dłuższą metę może zmusić do posłuszeństwa Ormian w zajętych przez Persję prowincjach tylko wtedy, gdy zniszczy ich religię. Dlatego oznajmił poganiaczom słoni: Religii tego narodu nie da się zniszczyć przy użyciu słoni bojowych.

Więc jak chcesz ją zniszczyć, wielki Jezdegerdzie? zapytali poganiacze słońi.

Nawracając jej kapłanów, odparł Jezdegerd, i robiąc z nich czcicieli ognia.

— W tym celu — ciągnął bajarz — Jezdegerd postanowił napisać do ormiańskiego duchowieństwa list następującej treści: Jeśli przyjmiecie moją religię, obdarujemy was hojnie i będziemy szanować, jeśli zaś nie, w całym kraju armeńskim wybudujemy ołtarze ku czci ognia, a nasi magowie i *mobedzi* będą rządzić krajem. A kto zbuntuje się przeciw nam, zostanie zabity wraz z rodziną. I wiesz, moja owieczko, co odpowiedzieli ormiańscy kapłani?

— Nie, *meddach*.

— Napisali do króla Jezdegerda: Nikt nie może nam odebrać naszej wiary. Zabierz nam wszystko, co chcesz, wielki Jezdegerdzie. Oddamy ci nasze ziemskie dobra i jesteśmy gotowi czcić cię jako jedyne go króla na ziemi. Ale Panem naszym w niebie jest Jezus Chrystus.

Starsze dzieci w wiosce bawiły się często w króla Jezdegerda i króla Szapura. I bawiły się też w armeńskich królów Tiridatesa i Abgara. Szczególnie pasjonująca była zabawa w króla Abgara i chustę Zbawiciela, której jeden ze szpiegów bronił przed zbójckimi przodkami Kurdów, dopóki nie padł martwy w jednym z wąwozów Libanu, obok chusty Pana.

W okresach suszy dzieci bawiły się w zaklinanie deszczu za pomocą kukły *nuri*, która w zasadzie była tylko przebraniem za kukłę krucyfiksem. Wędrowały z nią od domu do domu. Każdy musiał wtedy dzieciom coś dać, czasem jaja i olej, przeważnie *hadig*, ale także *pokint*, podobną do *hadigu* słodką potrawę z orzechów, miodu i mąki. Dzieci śpiewały przy tym starą ormiańską pieśń o deszczu, którą śpiewali już ich przodkowie: Dobry Boże... dobry Boże... ty dałeś nam wiarę, by ugasić pragnienie duszy, daj wody spragnionym kwiatom. Ześlij nam deszcz, dobry Boże... deszcz... deszcz. Dzieci błagały zrobioną z krzyża kukłę, zbierały miód i *pokint*, olej i jaja, szarpały i popychały kukłę, śpiewając: Dobry Boże... dobry Boże, ześlij nam deszcz.

Naturalnie łobuziaki bawiły się najchętniej w Turków, Kurdów i Ormian. Dzielni byli zawsze Ormianie, podstępni i tchórzliwi Turcy i Kurdowie. Kurdowie i Turcy byli jednak uzbrojeni, Ormianie natomiast używali do obrony jedynie gołych rąk i nóg i rzecz jasna głowy. W końcu jednak tchórzliwi pokonywali zawsze dzielnych, gdyż najsilniejsze nawet ramię i najmądrzejsza głowa nie mogły nic wskórać, jeśli przeciwnicy posiadali broń. Na końcu zabawy dzielni Ormianie leżeli martwi na ziemi, a Turcy i Kurdowie ostrzyli drewniane miecze i odprawiali taniec radości.

Twój ojciec miał dopiero cztery lata, ale brał już udział w tych zabawach. Pewnego razu chłopcy złapali najmłodszego rudego syna kowala, który był jeszcze mniejszy niż twój ojciec, i wystali go na pastwisko, żeby ukraść jagnię. Teraz jesteś Kurdem, powiedzieli do niego. Pójdiesz więc na pastwisko i ukradniesz jagnię, a potem nam je przyniesiesz.

Syn kowala, który miał na imię Awedik, zrobił, jak mu kazano. Ponieważ wszystkie psy pasterskie z sąsiednich pastwisk znały małego rudego Awedika, poszczeptały tylko trochę, gdy chłopiec zabierał jagniątko. Warczały, prychały, zaczęły nawet skomleć, ale nic mu nie zrobiły.

Awedik przyniósł chłopcom jagnię. Jeden z chłopców grał leciwego *zaptije* Szekira efendiego, drugi tureckiego kapitana, a trzeci kadiego. *Zaptije* aresztował kurdyjskiego złodzieja, choć każdy z chłopców wiedział, że Szekir efendi zbyt podszyty jest tchórzem, by odważyć się aresztować Kurda. Ale tak było. *Zaptije* złapał małego rudzielca za kołnierz, przydusił go trochę i zawłókł przed oblicze tureckiego kapitana.

Gdzie jest właściciel tego jagniątko? spytał kapitan. Wszyscy chłopcy wskazali twego czteroletniego ojca. Ów znał tę zabawę i roześmiał się, a ponieważ nauczył się swojej roli od starszych chłopców, wiedział, co ma robić i mówić. Twój ojciec dał najpierw *zaptije* mały podarunek, czyli bakszysz, drugi, większy, dał kapitanowi, a największy tylko chłopcom pokazał, ale go zatrzymał, gdyż przeznaczony był dla kadiego, który jest sędzią muzulmańskim.

Chłopcy zawlekli twego czteroletniego ojca przed oblicze kadiego. I twój ojciec musiał mówić, jak go nauczyli. Kadi,

powiedział wskazując małego rudego Awedika, ten muzulmański Kurd ukradł mi jagnię; wszyscy Ormianie w wiosce to widzieli i są świadkami.

Ormianie są chrześcijanami, rzekł kadi, a świadectwo chrześcijanina nie ma mocy prawnej. Musisz mi przyprowadzić dwóch muzulmańskich świadków.

Ale nie było żadnych muzulmańskich świadków.

W takim razie miałeś pecha, synu niewiernej ladacznicy, która spłodziła bękartą z niewiernym bluźniercą.

Wtedy twój ojciec wetknął kadiemu duży bakszysz, a przy tym szepnął mu coś na ucho. Kadi skinął głową i powiedział cicho, lecz dostatecznie głośno, żeby każdy mógł usłyszeć: Przed *hükümetem* stoją fałszywi muzulmańscy świadkowie. Kup sobie dwóch z nich. I jak Allah jest największy, niczego nie widziałem ani nie wiedziałem. To kosztuje dodatkowo dwa srebrne piastry.

Twój ojciec wetknął kadiemu dwa srebrne piastry. A potem udał się pod *hükümet*, zbudowany przez dzieci z dwóch skrzyń nasadzonych jedna na drugą.

Wystawali tam fałszywi świadkowie, nędzne postacie grane przez bosc dzieci. Twój ojciec zlustrował fałszywych świadków i wybrawszy jednego, powiedział: *Efendi*, czy pójdziesz ze mną do kadiego, żeby zeznać, co widziałeś?

A co takiego miałem widzieć, *czelebi*?

Jak to co? odrzekł twój ojciec, nie pokazując po sobie, że bardzo mu to pochlebia, gdyż tytuł *czelebi* oznacza wytwornego wykształconego pana. Jak to co, *efendi*? Po prostu widziałeś, jak brudny Kurd kradł moje jagnię. Na własne oczy to widziałeś.

Na własne oczy, *czelebi*?

Oczywiście, zakuta pało. Przecież nie na moje.

A jakie jagnię miałem widzieć, *czelebi*? Może takie z czarną plamką na szyi? Czy z kilkoma plamkami? I ile miesięcy miało to jagnię? Kiedy jego matka się ojagniła?

To muszę najpierw sprawdzić, *efendi*.

Ale jagnię jest na pewno w komendzie policji?

W takim razie pójde po prostu na komendę.

Po chwili twój ojciec wrócił i powiedział do fałszywego świadka: Jagnię faktycznie ma czarne plamki, jedną na szyi

i jedną na pysku. A jego matka ojagiła się dokładnie dwa tygodnie temu.

*Czelebi*, czy powinienem też widzieć, jak jego matka się jagiła?

Nie, zakuta pało.

Więc co powinienem widzieć, *czelebi*?

Jak to co, zakuta pało? Widziałeś, jak ten brudny Kurd kradł jagnię, to z dwiema czarnymi plamkami, którego matka ojagiła się dwa tygodnie temu.

A jak wyglądał ten brudny Kurd, *czelebi*?

Obojętne, jak wyglądał. Kadi ci go pokaże, a ty powiesz: To on!

W takim razie musiałem jednak widzieć jego twarz, gdy kradł jagnię, to z dwiema czarnymi plamkami, którego matka ojagiła się dwa tygodnie temu.

Oczywiście, że widziałeś twarz tego Kurda!

Wtedy, gdy kradł jagnię?

Oczywiście, zakuta pało.

A ile płacisz, *czelebi*?

Pół piastra.

Ależ *czelebi*, nie mogę przecież za pół piastra składać fałszywej przysięgi i sprzedawać swojej duszy!

Więc dodam ci kilka *para*.

Ależ *czelebi*, czy za pół piastra i kilka *para* mam sprzedać swoją duszę?

Więc dam ci srebrnego piastra. No i co ty na to?

To już inna rozmowa, *czelebi*. Za srebrnika zrobię w zasadzie wszystko. Zapominasz jednak, że Allah wymaga ode mnie jałmużny.

Jakiej jałmużny?

No cóż, *czelebi*, kiedy grzeszę i składam fałszywe świadectwo, to muszę potem albo siedem dni pościć, albo dać biednym jałmużnę. Tylko wtedy Allah odpuści mi grzechy.

W takim razie pość przez siedem dni.

Ależ *czelebi*, jak mogę pościć przez siedem dni? Czyżbyś nie widział, jaki jestem wymizerowany? Mam może schudnąć jeszcze bardziej, na pośmiewisko mojej żony i trzynaściorga dzieci?

W takim razie rzeczywiście musisz dać jałmużnę, żeby ci Allah przebaczył.

Ależ *czelebi*, jakże mam dać jałmużnę posiadając tylko jednego srebrnego piasra? Musisz dołożyć jeszcze jednego, jeden będzie dla mnie, a drugi dla Allaha.

A więc dobrze: dwa srebrne piastry.

Ależ *czelebi*, za dwa srebrne piastry widziałem tylko plecy tego Kurda, ale nie twarz. Jak miałbym za dwa piastry widzieć też jego twarz?

A ile chcesz, żebyś mógł powiedzieć kadiemu, że widziałeś też jego twarz?

Trzy srebrne piastry, *czelebi*. Dla takiego *czelebiego* jak ty, człowieka wykształconego i bogatego, nie odgrywa to przecież żadnej roli. Chcesz drwić z mojej nędzy? Czy nie dość wstydu, że ja, wierzący muzułmanin, muszę składać fałszywe świadectwo na rzecz takiego nieobrzeszanego giaura i *rai* jak ty? I to za trzy nędzne piastry?

Wtedy twój ojciec zaczął rwać włosy z głowy, zawodzić i złorzeczyć. Dzieci wybuchnęły śmiechem i szepnęły mu coś na ucho. *Efendi!* wrzasnął twój ojciec na fałszywego świadka. Ty mnie rujnujesz! Jestem zrujnowany. Tyle samo bowiem muszę dać drugiemu świadkowi. Poza tym przekupiłem też kadięgo. I kapitana, i *zaptije*. I wszystko to kosztuje mnie więcej, niż warte jest jagnię. Jestem zrujnowany. Czy nie ma już na tym świecie litości dla nieobrzeszanych?

Wśród bawiących się chłopców był też jeden starszy, który otrzymał na chrzcie imię Garabed, lecz później nazywano go Garo. Miał dziesięć lat i był najmłodszym synem siodlarza Kupeliana, człowieka, któremu Kurdowie wypędzili kiedyś ze stajni całe bydło.

No cóż, ten syn siodlarza Kupeliana, czyli ów Garo, był dziwakiem i złośnikiem, który lubił psuć innym zabawę. Podczas gier wojennych obejmował zawsze rolę dzielnego, lecz nie uzbrojonego Ormianina i wzbraniał się odgrywać dla odmiany tchórzliwego, ale uzbrojonego Kurda lub Turka. Nie chciał także dawać się zabić tchórzliwym Kurdom i Turkom — choć takie były reguły gry — lecz udawał tylko, że bierze udział w zabawie, czekał, aż Kurdowie i Turcy zaatakują go drew-

nianymi mieczami, a wtedy wściekle zaczynał się bronić — pięściami i kopniakami — odbierał wrogom drewniane miecze i tłukł ich tak długo, aż uciekali z płaczem. Mówiono, że Garo nie tylko lubi psuć zabawę, ale będzie w przyszłości bojownikiem o wolność Armenii, prawdopodobnie takim, który skończy kiedyś na tureckiej szubienicy, czyli nacjonalistą.

Nacjonaści!

W latach osiemdziesiątych wiele o nich mówiono. Jeden z nich przyjechał zresztą kiedyś do wioski, żeby rozmawiać z naczelnikiem, kowalem i innymi mężczyznami, a nawet z ojcem Wartana, Hagopem. Nie pozostał jednak długo i wnet odjechał na swym mule.

Wartan nie wiedział, kto to są nacjonaści i czego chciał człowiek na mule. Dziadek wyjaśnił mu to: Chciał, aby jego ludzie mogli przywieźć do wioski broń, którą naczelnik miał gdzieś ukryć, prawdopodobnie na cmentarzu.

Przecież tam pochowani są zmarli!

Tak, moja owieczko.

Czy broń ukrywa się na grobach?

Nie, moja owieczko. Wkłada się ją do grobów. Do zmarłych.

A zmarli mogą spoczywać w pokoju, gdy wkłada im się broń do grobu?

Oczywiście, moja owieczko. Tym lepiej im się śpi, bo wiedzą, że potrzebujemy broni, by stawiać opór Kurdom.

Czy zmarli nie boją się Kurdów?

Czasami się ich boją, moja owieczko. I cieszą się, gdy widzą, że my, żyjący, nie chcemy się ich bać.

Czy ten człowiek na mule przywiózł broń?

Nie, moja owieczko.

Dlaczego?

Jak to dlaczego? To przecież zabronione. Sądzisz, że wszyscy chcemy zawisnąć na szubienicy?

W wiosce przebąkiwano, że nacjonaści ukryli broń w wielu wioskach. Rudy kowal powiedział: Ormianie powinni się bronić.



A Garo dodał: Wkrótce przyjadą *zaptijeler* z poborcami podatków, a potem kurdyjscy jeźdźcy szejka Sulejmana, i wtedy powinniśmy odstrzelić im głowy.

Ale kapłan Kapriel Hamadian, który był obecny podczas tych rozmów, zaprotestował: Nie, nie, ściągnęłoby to tylko nieszczęście.

A *mughtar* rzekł: Turcy przysłaliby tutaj wojsko i mielibyśmy nowy *tebk*.

To prawda, przytaknęła żona *mughtara*. Nowy *tebk*, ucho-  
waj Boże.

Nacjoniści to nasze nieszczęście, powiedział *mughtar*. Turcy i Kurdowie tylko na to czekają, by znaleźć u nas broń. To będzie pretekst, żeby zabić nas wszystkich.

Wielki *tebk*! rzekł kapłan. Widzę wiele szubienic. Widzę ogień i dym.

Pewnego dnia przyjechało do wioski blisko stu żandarmów z *jüzbaszym* na czele, żeby szukać broni. Przetrzęsli domy Ormian, kopali na polach i w obejściach, poszli nawet na cmentarz i zdejmowali kamienne płyty z grobowców. Ale broni nie znaleźli.

## 6

— Im człowiek starszy — rzekł bazarz — tym szybciej mija czas. Prababka na przykład dawno przestała liczyć lata. Ostatnio powiedziała: Ach, nasz Wartan bryka już jak młode źrebie, skacze po podwórzu niczym pchła na kilimie i jeździ jak dorosły, znaczy się... na Zejdzie, tej bezwstydnej oślicy, która pozwala się dosiadać nosiwodzie. A przecież nie dalej jak rok temu sikał jeszcze w pieluchy. Pamiętasz, Dzowinar, moja wnusiu, jak moja córka Hamest niedawno kąpała go w soli?

Ależ babciu, odpowiedziała matka Wartana. To było już tyle lat temu.

Także dorastający Wartan zauważył, że czas nie stoi w miejscu i że trzecie szarawary, które ojciec podarował mu na siódme urodziny, stają się coraz krótsze.

To nie spodnie stają się krótsze, powiedział ojciec, tylko twoje nogi się wydłużają.

Z innymi dziećmi działo się tak samo, zwłaszcza z Awedikiem, rudym synem rudego kowala, który zdawał się rosnąć o wiele za szybko i przewyższał wszystkich rówieśników w wiosce. Awedik już w wieku dziewięciu lat nosił ubrania swego ojca, nie zwracając uwagi na poszeptywanie ludzi, którzy mówili, że pił kiedyś jako dziecko mleko Cyganki wykarmionej przez długonogą sukę. Jakkolwiek rzecz się miała, jedno nie ulega wątpliwości: Pan Bóg nie dzieli czasu równo, i co dla prababki umykało w podskokach, dla Wartana poruszało się wolniej, podobnie do ostrożnych kroków oślicy Zejdy, gdy prowadził ją przez pobliskie wąwozy górskie.

W wiosce niewiele się działo. Od czasu do czasu pojawiali się przybysze z sąsiednich wiosek, mniejszych miast, czasem również z większych, jak Musz, Erzurum, Dijarbekir, Wan lub Bekir. Raz zajechał nawet człowiek z Konstantynopola, ubrany według najnowszej mody w strój Franków. Dziadek Wartana powiedział: Kiedyś przyjedzie też twój stryj z Ameryki, a mianowicie mój syn Nahabed, który jest za oceanem szmaciarzem i bogatym człowiekiem.

Ilu stryjów mam w Ameryce?

Całe mnóstwo, moja owieczko. Ale pamiętam tylko dwóch.

A kto jest tym drugim?

Mój syn Krikor, *arbadży*.

Ale jeden z moich stryjów jest *arbadżym* w Bekirze.

To prawda, moja owieczko. Jeden jest *arbadżym* w Bekirze, a drugi w Nowym Jorku.

Czy mój stryjek, ten *arbadży* w Nowym Jorku, zaprzęga do swojej *arby* muła?

Nie, moja owieczko. On ma prawdziwego konia, czyli amerykańskiego mustanga.

Co to za koń?

To koń indiański, moja owieczko.

A jaką ma *arbę*?

Taką na kołach, które kręcą się wokół osi.

Ależ dziadku, u *arby* koła nie kręcą się przecież wokół osi. Sam przybijałem kiedyś koła u naszej *arby* i przybiłem je przy osi.

Tu jest Hajastan, moja owieczko. Nasze *arby* są po prostu takie same jak *arby* naszych przodków.

A w Ameryce?

Tam wszystko jest inaczej, moja owieczko. Wszystkie koła w Ameryce kręcą się wokół osi. I możesz mi wierzyć lub nie: *arbadzy* tam za oceanem nie posypują skrzypiących części *arby* suchą mąką, jak robimy to tutaj, tylko smarują je olejem, diabelskim olejem, który wydobywają z ziemi.

Czy stryjek Krikor robi tak samo?

Owszem. Tak samo.

A jak wygląda stryjek Krikor?

Już nie pamiętam, moja owieczko. Mam tylko zdjęcie twojego drugiego stryja, Nahabeda, szmaciarza.

A jak on wygląda?

Zdjęcie jest niewyraźne. Widać na nim tylko duży kapelusz... kapelusz z szerokim rondem.

Wartan roześmiał się. O tym dziwnym kapeluszu słyszałem już kiedyś, ale jeszcze takiego nie widziałem.

Nie ma pośpiechu, powiedział dziadek. Kiedy przyjedzie twój stryjek z Ameryki, zobaczysz taki kapelusz.

Naturalnie zdarzało się też, że ludzie z wioski czasem sami wyjeżdżali, przeważnie do sąsiednich wiosek, a niekiedy nawet do dużych miast. Potem opowiadali osobliwe historie o wielkich bazarach, żebrakach, burdelach, murach obronnych, dorożkach na resorach i pięknych kobietach, pachnących wodą różaną i liliową. Ludzie, którzy mieli odwagę podróżować, byli przez wszystkich podziwiani i wzbudzali zazdrość. Chociaż nie zawsze, gdyż tym, których Kurdowie obrabowali albo i zabili na ciasnych, odludnych przełęczach, nikt nie zazdrościł.

— Czy widzisz to białe nagie wapienne zbocze u wylotu wioski? — zwrócił się bazarz do ostatniej myśli. — Ludzie nazywają je Ak Bajyr, czyli białe zbocze. W odległości zaledwie trzech oślich pierdnięć od tego zbocza — a nie jest to nawet pół długości papierosa — a więc tak blisko, nie dalej, znajduje się Goǒbekli Tepe, brzuchaty pagórek, ten, na którym dzieci urządzają zabawy w wojnę... idealny teren. I tam pomiędzy Ak Bajyr a Goǒbekli Tepe stoi stara chata. Możesz ją zobaczyć.

— Mogę ją zobaczyć — powiedziała ostatnia myśl — bo widzę wszystko, co ty widzisz. I widzę także białe zbocze, które ludzie nazywają Ak Bajyr, jak również brzuchaty pagórek, zwany Gǒbekli Tepe. I słyszę zgiewk bawiących się w wojnę dzieci. Widzę także starą chatę i dym snujący się z *toniru* przez otwarte wejście.

— Tam nie ma *toniru* — sprostował bazarz — tylko turecki piec, który przypomina z wyglądu ormiański *tonir*, lecz Turcy nazywają go inaczej.

— Jak?

— Nazywają go *tandyr*.

— Kto mieszka w tej chacie?

— Jedyna turecka rodzina w wiosce.

— Nic mi jeszcze o niej nie opowiadałeś.

— Zapomniałem, moja owieczko. Po prostu zapomniałem.

— Dlaczego, *meddach*?

— Nie wiem, moja owieczko. Słowo „Turek” jest jak przykra choroba, a o przykrych chorobach mówi się tylko wtedy, gdy człowiekowi zagrażają. Ale ci Turcy z Jedi Su nie zagrażają nikomu, gdyż żyją od wielu lat w dobrosąsiedzkich stosunkach z Ormianami. W wiosce tak bardzo przyzwyczajono się do nich, że nikomu już nie rzucają się w oczy.

— Czy tureckie dzieci bawią się z ormiańskimi na wielkim placu zabaw, czyli brzuchatym pagórku zwanym Gǒbekli Tepe?

— Oczywiście, moja owieczko.

— I tańczą na ormiańskich weselach?

— Tak, moja owieczko.

- I nikt nie widzi w tym nic złego?
- Nikt nie widzi w tym nic złego.

— Jediną rzeczą, jaka przeszkadzała ludziom u tych pokojowo usposobionych Turków, były imiona mężczyzn i chłopców — rzekł bazarz — gdyż były to te same imiona co tureckich poborców podatkowych, żandarmów, urzędników i kurdyjskich zbójców, czyli wszystkich tych, którzy nachodzą wioskę i których nie chciałoby się wspominać. Dlatego mieszkańcy wioski nadali nosicielom tych nie lubianych imion przydomki, tureckie rzecz jasna, które były jednak trafniejsze od prawdziwych imion, wykluczały przykre pomyłki i miały podkreślać niepowtarzalność określanych nimi ludzi. I tak głowę tej tureckiej rodziny, a mianowicie Sulejmana, który miał wszak na imię tak samo jak siejący postrach przywódca Kurdów, nazywano odtąd wyłącznie Taszak.

- Taszak?
- Owszem.
- A co to znaczy?
- To określenie tego, co mężczyzna nosi w mosznie.
- A co Sulejman nosi w mosznie?

— To samo co każdy inny mężczyzna, moja owieczko. Tyle że u niego wszystko jest trochę okazalsze. Tenże Sulejman załadował bowiem sobie kiedyś ciężki worek z mąką na plecy i dostał od tego przepukliny. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ludzie twierdzą, że jego moszna zwisa do kolan, mimo że nikt dotąd tego nie widział, bo Sulejman nigdy nie ściąga szarawarów w obecności innych ludzi, nawet przy pracach polowych, gdy jak to bywa, musi się czasem szybko załatwić. A ponieważ w Jedi Su nie ma *hamamu*, czyli łaźni publicznej, gdzie w większym towarzystwie można wziąć kąpiel parową, więc nie ma też okazji naocznie się tym przekonać.

— A skąd ludzie wiedzą, że jądra Sulejmana zwisają do kolan?

— Widać to po jego chodzie. Sulejman chodzi bowiem tak, jakby ukrył w szarawarach jaja z całego podwórka.

- Co ty powiesz!
- Tak jest.

— Ale to chyba go krępuje.

— Naturalnie, moja owieczko. Zwłaszcza gdy do wioski przyjeżdżają poborcy podatków. Wtedy biedny Sulejman nie ma nawet odwagi pokazać się na drodze, ze strachu, że poborcy mogliby pomyśleć, iż ukrył coś w spodniach.

— Ukrył w spodniach?

— Tak.

— Dyndający tajemniczy worek z jajami?

— Nie inaczej.

— Taszak?

— Taszak.

— Najstarszy syn Taszaka nazywany był Bodur, czyli Krótkonogi. Także on chodził kołyszącym krokiem, lecz z innych powodów, i zresztą zupełnie inaczej. Miał po prostu trochę wykrzywione, pałakowate, za krótkie nogi. Bodur miał już piętnaście lat i chciał się wkrótce żenić. Ludzie żartowali sobie z niego mówiąc, że powinien uważać, żeby jego przyszła żona nie przeszła okrakiem nad jego przyszłym synem, a potem nie zapomniała o cofnięciu tego kroku, bo wtedy chłopiec będzie miał takie same krótkie nogi jak ojciec, którego tureckim nogom matka nie pozwoliła urosnąć, ponieważ przed czterdziestym dniem jego życia, gdy bawił się na dywaniku do modlitwy, przeszła nad nim, a potem nieopatrznie nie cofnęła tego kroku.

Młodszy brat Bodura nosił przezwisko Tirjaki, czyli Nałogowiec, jak nazywano zwykle namiętnych palaczy. Małe dzieci biegały za nim drogą i wołały: *Fosur-fosur!* — co znaczy tyle co „pyk, pyk”. Fosur-Fosur-Tirjaki nie mógł sobie pozwolić na prawdziwy tytoń, więc palił wszystko, co znalazł, przede wszystkim nitkowate, wysuszone w słońcu wąsy kukurydzy, lecz także siano, zwiędłą trawę, a czasem suche liście kapuściane, takie same, z jakich — naturalnie kiedy są świeże i nie wysuszone — kobiety w tej wiosce robią smaczne gołąbki, napełniane mięsem i ryżem i polewane tłustym sosem. Ormianie nazywają je *patat*, Turcy — *sarma*.

— Tak — rozmarzył się bajarz. — Ślinka człowiekowi cieknie. Opowiedzieć ci więcej o tych Turkach? No cóż: w tej

rodzinie tureckiej było jeszcze kilka dziewczynek, a wszystkie chodząc kołysały biodrami, co było niebezpieczne dla otoczenia, gdyż żaden z ormiańskich chłopców nie śmiał uszczypnąć ich w tyłek, dobrze wiedząc, że Turcy szybko sięgają po nóż, zwłaszcza bracia małych dziewczynek. Dziesięcioletnia nazywana była Hülja, Marząca, dziewięcioletnia Szirin, Milutka, a siedmioletnia Merał, czyli Sarna. Żona Taszaka miała przezwisko Nesze — Wesołość. Tak po prostu. Prawdopodobnie dlatego, że zawsze była w dobrym humorze i skłonna do śmiechu, lub dlatego, że podobno przyszła na świat z okrzykiem radości. Najmłodszy syn Taszaka, który zajmował się kurami, nosił przezwisko Gög-Gög i był trzy lata starszy od twojego ojca.

Gög-Gög to po prostu „tiu-tiu” — tak przywołuje się kury podczas karmienia. O wschodzie słońca Taszak klękał na dywaniku do modlitwy przed drzwiami domu z twarzą zwróconą w kierunku Mekki. Kiedy ojciec, jako pobożny muzułmanin bijąc zwyczajowe pokłony, odprawiał poranne modły, Gög-Gög biegał wokół domu i przywoływał kury: *Gög-gög-gög!* Ktoś, kto przechodził w pobliżu tureckiego domu, wiedział wtedy, że jest wcześnie rano, kogut właśnie zapiął, Taszak modli się do Allaha, a Gög-Gög zwołuje kury.

Wyobraź sobie: chłopcy stoją na Göbekli Tepe i sikają, kto dalej. Twój ojciec ma cztery lata i stoi obok Gög-Göga. Po raz pierwszy w swym krótkim życiu widzi obrzezanego kutasa. Ze strachu i przerażenia obsikuje sobie kolano, po czym z rykiem biegnie do domu.

Czemu on ryczy? pyta Hamest.

Zobaczył oberżnięty hak na mięso, odpowiada dziadek.

Jaki znowu hak na mięso?

No, po prostu hak na mięso. I dziadek mówi: Wiele lat temu widziałem obrzezanie w tureckim domu. To było jak wesele.

Jak wesele?

Jak wesele, powtarza dziadek. Tak dokładnie już sobie nie przypominam, ale pamiętam, że wszyscy mężczyźni z wioski i ten malec, któremu miano okroić kielbaskę, zgromadzili się

w domu *muchtara*. Wiele gadano i palono. Wtem zobaczyłem ojca tego smyka, jak wyjeżdża na białym koniu ze stajni *muchtara*. Wziął chłopczyka za rękę i posadził go na koniu. Malec jeździł od domu do domu i wszyscy mu gratulowali. Książątko na białym koniu, ubrane w białe szaty z czerwonymi paskami i obszywane złotem. W niebieskiej haftowanej mycce na głowie.

I co? pyta Hamest.

Ojciec chłopca prowadził konia za wodze. Doprowadził go tak do swojego domu. Tam czekał już *sünnetczi*.

Kto to jest *sünnetczi*?

To ten, który dokonuje obrzezania.

I co było potem?

Nic, odpowiada dziadek. Nagle ujrzałem jeszcze innych mężczyzn. Ci pochwycili książątko i ściągnęli mu szarawary. A ten *sünnetczi* złapał ptaszka między chudymi udami księcia, po prostu go złapał i wyciągnął z ukrycia. Nagle w jego ręku pojawił się ostry nóż.

A potem?

Potem obciął napletek.

I to wszystko?

To wszystko, potwierdza dziadek. I mówi: Naturalnie *sünnetczi* posypał ranę mąką. A ojciec wziął płaczącego chłopca na ręce i posadził go na dużej poduszce w drzwiach, żeby wszyscy we wsi mogli go oglądać. Przed domem muzykowali dobosze i fleciści. Niektórzy ludzie zaczęli tańczyć. A potem tańczyła już cała wioska.

Wygląda na to, że nasz Wartan się wystraszył na widok kikuta Gög-Göga.

Owszem, przytakuje dziadek.

Na pewno myślał, że to ptasi dziób obdarty ze skóry?

Ależ Hamest, przecież ptasi dziób nie jest obleczony skórą.

W takim razie myślał, że to głowa żaby.

Żabia głowa bez skóry? Na przykład oskalpowana?

No właśnie.



— Są rzeczy poniżej godności mężczyzny — rzekł *med-dach*. — Należy do nich także zbieranie krowiego łajna. Zajęcie to pozostawiano kobietom, a przede wszystkim małym dzieciom. Latem słońce suszyło *tezek* na płaskich dachach domów, zimą przylepiało się po prostu łajno do ściany izby mieszkalnej i czekało, aż wyschnie od żaru *toniru*. Gdy łajno było suche, samo spadało od ściany i wystarczyło je pozbierać z podłogi. Wartan już w wieku czterech lat biegał za innymi dziećmi zbierającymi *tezek*, naśladował je i uderzał w ryk, kiedy go odpychały. Później, gdy był większy, zaczął im oddawać, bijąc się z chłopcami i dziewczynkami, którzy chcieli go ubiec. Przeważnie pomagał mu w tym rudy Awedik. Zbierali razem i dzielili łup uczciwie. Awedik uważał, że niekoniecznie trzeba zawsze odstawiać *tezek* do domu, lecz właściwie można by go też sprzedawać, tyle że to już sprawa sprytnego handlarza, który zna się trochę na interesach. Pewnego razu powiedział do Wartana: No to jak? Podobno chcesz zostać poetą. Nic nie przychodzi ci do głowy? Gdzie mamy sprzedawać *tezek*?

W mieście, odparł Wartan. W wioskach ludzie sami sobie dosyć nazbierają.

A jak dostaniemy się do miasta?

Na ośle, rzekł Wartan.

W takim razie potrzebowalibyśmy jeszcze worka.

Worek ukradnę ojcu, powiedział Wartan. Nawet tego nie zauważy.

A jeśli Kurdowie ukradną nam worek?

Chodzi ci o to, że mogą to zrobić, kiedy będziemy jechać przez góry?

Dokładnie o to.

Kurdowie nie kradną *tezeku*.

Skąd wiesz?

Po prostu wiem.

Ale chłopcy nie mieli jeszcze odwagi opuszczać wioski na własną rękę.

Kiedy będziemy starsi, powiedział Awedik, to będziemy dość silni, żeby stanąć do walki z Kurdami, gdyby zachciało im się jednak ukraść nam *tezek*.

Wtedy moglibyśmy wziąć ze sobą Garona, rzekł Wartan, który za jakiś czas na pewno będzie miał takie muskuły jak kowal.

Masz na myśli takie jak u mojego ojca?

Owszem.

To niezły pomysł.

Albo zaczekamy do moich oficjalnych zaręczyn. Bo wtedy będę dorosły i będę mógł podróżować w sprawach handlowych, kiedy zechcę. Wcześniej ojciec na pewno nie puści mnie samego do miasta.

W tym sęk, przyznał Awedik. Mój też na pewno mnie nie puści.

Sam widzisz, powiedział Wartan.

A jak to jest z twoimi zaręczynami? Myślałem, że od dawna jesteś zaręczony.

Oczywiście, że od dawna jestem zaręczony, ale oficjalne zaręczyny odbędą się dopiero wtedy, gdy moja narzeczona zacznie sama z siebie krwawić między nogami.

Skąd wiesz?

Od ojca.

Ile lat ma twoja narzeczona?

Jest trzy lata młodsza ode mnie. Teraz ma pięć.

A kiedy sama z siebie zacznie krwawić między nogami?

Dopiero gdy będzie stara.

Jak stara?

No, pewnie gdy będzie miała dziesięć albo jedenaście lat. Tak długo nie możemy czekać z *tezekiem*.

W zasadzie masz rację.

Pewnego razu ojciec zabrał Wartana do młyna wózkem zaprzężonym w osła. Była to pierwsza podróż w życiu chłopca. Młyn znajdował się w sąsiedniej ormiańskiej wiosce o nazwie Piredzik, co po turecku znaczy ni mniej, ni więcej, tylko Pchle Gniazdo. A Piredzik leżał w Muszej Dolinie, czyli Sinek-Dere. Do Piredziku nie było daleko, może dwadzieścia długości

papierosa, gdyby istniała droga karawanowa, a tak to pokonanie przełęczy i stromych wąwozów zajmowało kilka godzin. Młyn Ormianina u wlotu Muszej Doliny czynny był tylko przy wysokich stanach wody, albo na wiosnę, gdy topniał śnieg w górach, albo w czasie ulewnych deszczy. A ponieważ owego dnia, kiedy Wartan pojechał z ojcem do młyna, nie było wysokiej wody ani nie padał deszcz, młynarz rzekł do Hagopa: Hagop efendi, jakże młyn ma chodzić, skoro w górach nie ma śniegu, a na niebie ani chmurki? Mam może nasikać do strumienia, żeby było w nim dość wody?

A gdzie właściwie jest ten strumień? spytał Hagop.

Ziemia go połknęła, odpowiedział młynarz.

A kiedy go z powrotem wypluje?

Gdy popada deszcz, rzekł młynarz. Albo następnej wiosny, kiedy śnieg stopnieje w górach.

A co by było, spytał Hagop, gdybyśmy wszyscy trzej nasikali do strumienia, mój syn Wartan, ja i ty? Może wtedy strumień by ożył, a ziemia wypluła, co tymczasem połknęła?

W drodze powrotnej spotkali Bülbül, która jechała na bezimiennym ośle do domu, czyli do swej chaty wysoko w górach. Siedziała mocno zgarbiona na grzbiecie zwierzęcia. Bülbül przywiązała do oślego ogona bezgłowego koguta; przy każdym kroku osła z miejsca, gdzie została odrąbana głowa, wciąż jeszcze kapła krew, plamiąc wąską ścieżkę.

Czemu przed czasem odrąbałaś kogutowi łeb? spytał Hagop.

Bo osioł bał się koguta, odrzekła Bülbül, zrobił się narowisty i chciał zrzucić mnie razem z nim. To był niespokojny kogut, nawet bez głowy wydzierał się i trzepotał przy oślim ogonie, gdzie go przywiązałam.

Kto ci dał tego koguta?

Twoja matka, stara Hamest.

Czy to nasz kogut Abdülhamid?

Nie. Przecież widzisz, to obcy kogut, który niedawno przefrunął na wasze podwórze i narobił mnóstwo zamieszania, bo Abdülhamid nie ścierpi w pobliżu drugiego koguta.

Ale może ten kogut był silniejszy od Abdülhamida i powinniśmy byli go zatrzymać?

Nie był silniejszy, powiedziała Bülbül. Abdülhamid za-  
dziobałby go na śmierć, gdyby stara Hamest pozwoliła mu na  
to. Wierz mi, Hagop efendi: dwa koguty na podwórku nie  
znoszą się jeszcze bardziej niż dwie niewiasty przy jednym  
*tonirze*.

Gdy Bülbül odjechała, Wartan spytał: Czy to prawda, że  
Bülbül jest akuszerką i pomogła wydać mnie na świat?

Tak, to prawda.

I karmiła mnie?

Nie. Bülbül nie jest mamką.

Jest Kurdyjką. A jak to właściwie jest? Czy Kurdyjki karmią  
swoje dzieci?

Oczywiście.

A jakie jest ich mleko?

Równie słodkie jak mleko każdej innej matki.

Tak samo słodkie jak mleko mojej matki?

Tak samo, potwierdził Hagop.

Długo jeszcze rozmawiali o Bülbül. Rozmawiali o samotnej  
chacie wysoko w górach, gdzie mieszkała sama ze swym osłem  
i kurami, i zastanawiali się, z kim też może gadać, kiedy się  
ściemnia i wieczory przy *tonirze* stają się bardzo długie.  
W końcu Hagop powiedział: Gada ze zwierzętami, i idę z tobą  
o zakład, mój synu, że to wcale nie jest nudne, bo zwierzęta  
potrafią słuchać lepiej niż ludzie.

A dlaczego Bülbül nie ma męża?

Podobno już miała, odparł Hagop... zanim przybyła w te  
strony... ale mąż wypędził ją z domu.

Po prostu wypędził z domu?

Owszem.

Czy tak robią tylko muzułmanie?

Nie, odrzekł Hagop. Zdarza się to czasem i wśród chrześ-  
cijan.

A wśród Ormian?

Dokładnie tego nie wiem, powiedział Hagop. Nie znam  
żadnego podobnego wypadku wśród przyjaciół ani w rodzinie,  
a już na pewno nie w Jedi Su. Bez względu na to, czy mąż  
i żona są poróżnieni — co Bóg złączył, tego niech człowiek nie  
rozłącza.

W wiosce Jedi Su zdarzyło się kiedyś coś, co Wartan zapamiętał do końca życia: w sąsiedztwie Chadisjanów mieszkał pewien ormiański handlarz. Miał on żonę o krzywym nosie, o której ludzie mówili, że potrzebuje tego każdej nocy. Handlarz i jego żona mieli już trzynaścioro dzieci, i pewnej nocy mąż oświadczył żonie, że wystarczy.

Handlarz rzadko bywał w domu, gdyż prowadził interesy w Bekirze na dużych bazarach. Wracał potem przeważnie wózkiem zaprzężonym w muła z bogatymi prezentami.

Nikt nie wiedział dokładnie, jakiego rodzaju interesy prowadzi handlarz. Mówiono, że wystaje z pewnym Grekiem i Żydem na bekirskich bazarach. Żyd miał przy sobie szarego konia, a Grek szarego osła. Kiedy zapadał zmierzch i ludzie nie potrafili już odróżnić jednego zwierzęcia od drugiego, Ormianin jako pośrednik sprzedawał w pośpiechu jakiemuś łatwowiernemu Turkowi szarego wierzchowca Żyda, ale w półmroku i mętnym świetle zamieniał go z ręcznie na osła Greka, odwracając uwagę Turka lub robiąc coś innego, żeby go oszachrować. Żyd i Grek pomagali mu w tych manewrach. Po zawarciu transakcji i wsadzeniu Turka na osła wszyscy trzej natychmiast się ulatniali, nocowali w domu Greka, nazajutrz kupowali podobnego osła, który kosztował mniej, niż Turek zapłacił za konia, a potem dzielili zysk — w rzeczy samej wartość dodaną — uczciwie między siebie. Ale tak to już bywa, że póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Pewnego dnia wszystkich trzech przyłapano na gorącym uczynku i aresztowano.

Naturalnie odbył się proces. Jedyny nauczyciel wiejskiej szkoły w Jedi Su, suchotnik, ale wykształcony człowiek, załatwił nawet adwokata z Wanu, który był jego krewnym. Ten adwokat, tak w każdym razie nauczyciel opowiadał chłopom z Jedi Su — ten adwokat więc starał się przed sądem dowieść, że wartość dodana osiągnana przez trzech szalbierzy nie ma nic wspólnego z teorią wartości dodanej niejakiego Karola Marksa, a oni sami to lojalni obywatele osmańscy, nie mający nic wspólnego z nowymi ideami tego niewiernego Franka pochodzenia niemiecko-żydowskiego, które włościły, spiskowcy, nieudacznicy, fantaści i lewicowi studenci

przemycali z nieszczęsnego Frankistanu przez turecką granicę. Mowa obrończa ormiańskiego adwokata niewiele jednak dała, ponieważ oszuści nie potrafili zdobyć pieniędzy na łapówki dla Wysokiego Sądu. Cała trójka powędrowała do więzienia, tyle że jedynie na rok i dodatkowo od ramadanu do święta *bajram*.

— No cóż — westchnął *meddach* — krzywonosą żona ormiańskiego handlarza, która w zasadzie potrzebowała tego każdej nocy, czekała cierpliwie na męża. Ale pewnego dnia jej cierpliwość się wyczerpała, a miało to coś wspólnego z jej krzywym nosem, gdyż mówiono, że kobiety o krzywym nosie nie potrafią czekać, zwłaszcza gdy za bardzo swędzi je między nogami.

W roku 1889 kobieta nagle zaszła w ciążę, chociaż mąż od miesięcy siedział w więzieniu. Kapłan Kapriel Hamadian mówił, że wśród Ormian cudzołóstwo się nie zdarza, więc możliwe, że na krzywonosą kobietę — po prostu dlatego, że nie mogła czekać — zstąpił z litości Duch Święty, gdyż tylko Bóg Żydów jest Bogiem karzącym, Bóg chrześcijan natomiast to Bóg miłosierny, nie inaczej niż Allah, Bóg mahometan, o którego miłosierdziu często opowiadał Turek Taszak.

Gdy potem przyszło na świat dziecko i okazało się, że to ruda dziewczynka, kapłan oświadczył, iż nie mogło jednak zostać spłodzone przez Ducha Świętego, gdyż Duch Święty nigdy nie płodzi rudych dzieci, bo takie bywają opętane przez diabła. Niektórzy mieszkańcy wioski podejrzewali, że to rudy kowal urzekł kobietę, inni dopuszczali też możliwość, iż rudowłosą dziewczynkę spłodził z żoną handlarza najstarszy syn kowala, który ma wprawdzie czarne włosy, lecz w jego żyłach płynie krew ojca, a to dlatego, że najstarszy syn kowala uganiał się za wszystkimi dziewczynami, ale też gapił się na tyłek krzywonosej żony handlarza, ilekroć ta szła do studni i czerpała wodę, mimo że miała przecież trzynaścioro dzieci i nie była już dziewczyną. Krótko mówiąc: najstarszego syna kowala obwiniano o to, że spłodził z żoną handlarza rudego bękarta.

Jakkolwiek było: *muchtar* Efrem Abowian osądził kobietę, kazał jej ostrzyc głowę i posadzić tyłem na ośle razem z bękartem. Osioł prowadzony był przez wieś, bardzo powoli, od domu do domu. Kobieta siedziała płacząc na ośle, z małym bękartem na ręku. Ludzie pluli na nią i mazali jej błotem twarz, nie oszczędzali nawet małej rudej dziewczynki, która również była opluwana i mazana błotem. Wartan pamiętał potem, że najbardziej agresywnie zachowywały się stare kłótniwe baby. Ich jadowita ślina pochodziła z przypuszczalnie obfitych źródeł duszy. Na końcu widowiska ojciec Wartana powiedział: Stare baby są najgorsze. Zazdroszczą, bo same chętnie zakosztowałyby fujary kowalskiego syna.

To prawda: nie mężczyźni oburzali się najbardziej, tylko stare baby. Były prawdziwymi strażniczkami moralności. Prawdą jest również, że handlarz po powrocie do domu nie wypędził żony. Mówiono, że sypia teraz sam w kącie *ody*, a kobieta krzyczy po nocach i przeklina głośno przez sen. I mówiono też, że mała ruda dziewczynka, ten bękart, nie sypia w kołysce, tylko z matką, i że w nocy wierci się pod *jorganem*, a jej rączki bawią się kolbą kukurydzy między udami krzyczącej i przeklinającej matki.

— Dzieciństwo twego ojca... wioska Jedi Su... czatujące spojrzenia Kurdów, wysoko w górach... śmierć w aktach tureckich urzędników, która kiedyś wyjdzie z akt, by oczyścić zapomniane prowincje... sułtan w Konstantynopolu, który nie lubi chrześcijan, zwłaszcza Ormian... historia... gdzieś na peryferiach świata. Nie zauważa się jeszcze pierwszych oznak wielkiej burzy, która nadejdzie jak potop.

— No więc — rzekł bazarz — przypominam sobie najróżniejsze rzeczy i opowiadam, co przychodzi mi akurat do głowy. Nie wiem też, dlaczego nie wspomniałem nic o braciach i siostrach twego ojca. To wszystko przez pośpiech.

— Bracia i siostry mego ojca?

— Wszyscy starsi od niego, gdyż był najmłodszy, ale wiesz już o tym.

— Wiem już o tym, *meddach*.

— Jeden był trzy lata starszy od twego ojca. Miał na imię Dikran, tak samo jak ten, którego Turcy kazali później powiesić pod Bramą Szczęśliwości.

— Dikran, szewc? Ten z żółtymi butami, najpiękniejszymi w całym Bekirze?

— Tak, ten.

— Czy to ten sam Dikran?

— Ten sam. Już w wieku siedmiu lat powiedział do twojego czteroletniego ojca: Kiedy będę duży, zostanę szewcem. I dodał: Przeniosę się do Bekiru, do dużego miasta, i zrobię parę żółtych butów, najpiękniejszych w całym Bekirze.

W Bekirze? upewnił się twój ojciec.

W Bekirze, potwierdził Dikran. Mieszka tam wielu naszych stryjków, a jeden z nich jest szewcem. I ten szewc nauczy mnie rzemiosła.

Czy to stryj Lewon?

Nie, on jest *arbadżym*. Szewcem jest stryj Tro.

— I tak było? — spytała ostatnia myśl.

— Tak było, moja owieczko. Stryj Tro był szewcem w Bekirze. I Dikran poszedł później do niego do terminu. Został dobrym szewcem, ożenił się, usamodzielniał, miał wiele dzieci, a pewnego dnia uszył parę żółtych butów z kozłej skóry, z cudownego prawdziwego safianu, które wyglądały tak zgrabnie, że ludzie mówili, iż są najpiękniejsze w całym Bekirze... Zwłaszcza Cyganie podziwiali te żółte buty. Jeden z nich chciał kiedyś oddać za nie młode źrebię, ale Dikran nie poszedł na tę zamianę. Pamiętam, jak to było — rzekł bajarz. — Cyganie wracając z końskiego targu włóczyli się po dzielnicy ormiańskich rzemieślników. Przed domem Dikrana przystanęli. Dikran siedział przy swoim warsztacie i czyścił akurat żółte buty.

Dam ci źrebię za te buty, zaproponował jeden z Cyganów.

Te buty nie są na sprzedaż, odparł Dikran.

Wszystko, co człowiek posiada, można kupić, rzekł Cygan. W gruncie rzeczy chodzi tylko o właściwą cenę. Dodam ci jeszcze kozę.

Ale ja ich nie sprzedam, powiedział Dikran.

Na czym polega tajemnica tych butów? spytał Cygan. Czyżbyś potrafił nimi czarować jak Aladyn cudowną lampą?



Coś w tym rodzaju, odparł Dikran. Widok tych żółtych butów umacnia moją wiarę. A gdy moja wiara jest mocna, praca sprawia mi przyjemność i lepiej idzie.

O jakiej wierze mówisz, *efendi*?

O wierze w moją sztukę i w samego siebie, rzekł Dikran. Widzisz, te buty przyniosły mi szczęście, gdyż myśl, że pewnego dnia uda mi się zrobić parę takich dobrych butów, była dla mnie bodźcem i tym sposobem dzięki nim zostałem dobrym szewcem.

Powiadasz, że przyniosły ci szczęście?

Owszem.

Więc pozwól sobie wyczytać przyszłość z ręki, żebyśmy zobaczyli, czy to naprawdę szczęśliwe buty.

Chcesz mi czytać z ręki?

Tak, potwierdził Cygan.

Ale Cygan wcale nie potrafił czytać z dłoni. Przywołał więc swoją starą matkę. Ta przyszła i wyczytała Dikranowi przyszłość z dłoni.

Widzę wisielca, powiedziała stara Cyganka. Który ma na nogach takie same buty jak te.

Co jeszcze widzisz? spytał Dikran.

Widzę ślepego żebraka, rzekła Cyganka, który chowa twoje buty do starego worka.

Ale Dikran roześmiał się głośno i szybko cofnął rękę. Chcesz mnie tylko postraszyć, powiedział do Cyganki, bo nie zgodziłem się oddać butów za źrebię i kozę.

— Historia o wisielcu — ciągnął bazarz — który miał na nogach żółte buty Dikrana, jak również historia o ślepym żebraku i jego starym worku — cała ta historia rozeszła się prędko po okolicy. Dotarła nawet do uszu kapłana Kapriela Hamadiana, który powiedział jednak: Cygańska gadanina. Dobry chrześcijanin winien przeżegnać się trzy razy, zanim pozwoli Cygance, żeby mu powróżyła.

A co ma zrobić mój syn Dikran? spytał kapłana Hagop.

Powinien się przeżegnać, jeśli Cyganie znów zjawią się przed jego drzwiami.

A jeśli się nie zjawią?

To powinien natrzeć buty czosnkiem, odparł kapłan. Potem nie wolno mu ich nosić przez tydzień, dokładnie przez siedem dni, a następnie ma wziąć do ręki Biblię, i to do prawej ręki, a lewą ponownie włożyć buty.

— Wiele lat później — mówił bajarz — twój ojciec wracał kiedyś z odwiedzin u krewnych w Bekirze. Przejeżdżając wózkiem zaprzężonym w osła przez Bramę Szczęśliwości, ujrzał chorego, ślepego żebraka leżącego na skraju drogi. Ruch uliczny zdawał się przetaczać beztrąsko nad jego głową, zwierzęta i wozy byłyby go pewnie zgmiotły i zdeptały na śmierć, gdyby nie zlitował się nad nim twój ojciec. Załadował go po prostu na swój wózek i zabrał do Jedi Su. Tam rodzina Chadisjanów zaopiekowała się chorym i postawiła go z powrotem na nogi. Parę tygodni później twój ojciec odwiózł ślepego żebraka pod Bramę Szczęśliwości. Ów ślepy żebrak nazywał się Mehmed efendi.

Wówczas Mehmed efendi powiedział do twojego ojca: Uratowałeś mi życie. Pewnego dnia ja uratuję życie tobie. I dodał: Znam twojego brata Dikrana, który często zagląda pod Bramę Szczęśliwości, żeby dać mi pół piastra i pogawędzić ze mną. Twój brat Dikran jest dobrym człowiekiem i dlatego za każdym razem daję mu dobre rady.

W takim razie znasz też na pewno przepowiednię starej Cyganki?

Masz na myśli tę sprawę z wisielcem... kiedyś w odległej przyszłości... wisielcem, który nosi żółte buty Dikrana?

Tak, Mehmed efendi.

I ze ślepyim żebrakiem i jego starym workiem, w którym mają zniknąć buty wisielca?

Tak, Mehmed efendi.

A co z tym starym workiem?

Mógłby to być twój worek, Mehmed efendi, rzekł twój ojciec, kładąc przy tym rękę ślepeca na starym worku, który ten taszczył zawsze ze sobą.

Ale Mehmed efendi pokręcił tylko ze zdziwieniem głową i powiedział: Ależ Wartan efendi, jest przecież wielu ślepych żebraków i wiele starych worków. Poza tym słyszałem, że twój

brat Dikran już dawno odczarował buty za pomocą czosnku i Biblii.

Wierzysz w naszą Biblię, Mehmed efendi?

Wierzę w słowo Proroka, odparł Mehmed efendi, o którym mówią, że wierzy w Biblię, tylko objaśnia ją inaczej.

— Nie oczekuj — rzekł bazarz — że opowiem ci dzieje wszystkich braci i sióstr twego ojca czy zgoła dzieje jego ciotek, stryjów i innych krewnych, z których część mieszka w *kertastanie* w Jedi Su, większość jednak w Bekirze i innych miastach Turcji oraz jej byłych prowincji, na przykład w Grecji i Bułgarii, Rumunii i na Węgrzech lub nawet w Serbii i Bośni, i w takich miastach jak Sarajewo, które było kiedyś tureckim miastem. Tym bardziej nie opowiem ci o tych, co popłynęli za oceany, jak wielu Ormian, o których Turcy mówią, że przenikają do innych narodów jak Żydzi i pojawiają się wszędzie w czapkach niewidkach i maskach, żeby siać zamęt. Do czego byśmy doszli, gdybym opisywał losy ich wszystkich, i jak miałbym doprowadzić swoją opowieść do końca, dopóki jest jeszcze czas? Towma Chadisjan dogorywa bowiem i czasu mu zostało niewiele. A chciałby się jeszcze dowiedzieć, co takiego opowiem lub mógłbym opowiedzieć jego ostatniej myśli. I dlatego ja, bazarz, mówię teraz do ciebie: czasu zostało niewiele. Ale jeśli chcesz, opowiem ci jeszcze pokrótce o dwóch siostrach i trzech braciach, których muszę ci przedstawić, bo ich szczególnie kochał twój ojciec.

I bazarz rzekł:

— Jedna siostra była o czternaście lat starsza od twojego ojca i kiedy się urodził, była już mężatką. Miała na imię Makruhi, czyli Schludna, mimo że była wszystkim, tylko nie czyścioszką. Ludzie mówili, że myje się tylko latem jak Kurdyjki, ale ma złote serce. Makruhi przychodziła codziennie w odwiedziny, gdyż mieszkała po tej, to znaczy Chadisjanowej, stronie wioskowego placu, w odległości niespełna pół długości papierosa, pomagała matce oraz babce w gospodarstwie i bawiła się z twoim ojcem. Zaprawdę: serce miała ze złota, gdyż wtykała twemu ojcu smakołyki, gdy leżał jeszcze

w kołysce, kąpała go w soli, kiedy nie było akurat babki, a później obmywała jego rany, gdy jako chłopiec czasem upadł lub skaleczył się podczas zabawy w Kurdów, Turków i Ormian. Makruhi była żoną siodlarza Armenaga. Tak jest: Armenaga, mimo że nazywano go Armen, po prostu: Armen. A ów Armen miał duże, spracowane, silne dłonie... i uczciwe dłonie, gdyż te dłonie biły Makruhi dzień w dzień, i to tak długo, aż zaczęła myć się regularnie i znów zasługiwała na swoje imię.

Druga siostra miała na imię Aghawni, co znaczy gołąb. Przynosiła zaszczyt swemu imieniu, gdyż rzeczywiście była łagodna jak gołąbek. Zresztą pewnego dnia odfrunęła, by poślubić Psaka, syna bogatego handlarza dywanów z Bekiru. Ów Psak był niepozornym człowiekiem, mimo że nosił okulary i przez jakiś czas studiował w Stambule. Kto by pomyślał, że ten Psak na przełomie wieku zostanie *dasznakiem*, a pewnego dnia nawet jednym z najbardziej poszukiwanych przywódców?

Jak doszło do skutku to małżeństwo z Psakiem? Chciałbyś pewnie wiedzieć. No cóż, moja owieczko, doszło do skutku przy pomocy swatki Manuszag, którą nazywano w wiosce *micznort* Manuszag, co znaczy tyle co swatka Fiołek.

Nie, moja owieczko. Manuszag, Fiołek, nie była młoda ani ładna. Była tym, co Ormianie nazywają *duny mnacadz*, i to dosłownie: tą, która została w domu, czyli starą panną.

Wiem, o co chcesz zapytać, moja owieczko. Chciałbyś wiedzieć, czy narzeczona twojego ojca, córka *muchtara*, została wyswatana przez Manuszag. No cóż, moja owieczko, wiesz dobrze, że tak nie było, gdyż Hagop sam doprowadził do zaplanowania tego związku, odstępując wprawdzie od zwyczaju, ale tak było. I z tego zresztą powodu swatka Manuszag była bardzo zła na Hagopa, gdy dowiedziała się, że bez jej wiedzy wymienił z *muchtarem* monety zaręczynowe przed świętym *tonirem*.

Jeden z braci twojego ojca miał na imię Sarkis i został złotnikiem w Bekirze. Ów Sarkis ożenił się z kobietą o krzywym nosie, która była tak samo chutliwa jak krzywonosą żona

ormiańskiego handlarza z Jedi Su. Z tego zresztą powodu Sarkis był blady i miał zapadłe policzki, gdyż jego żona po prostu nie mogła nasycić się kością między udami Sarkisa, którą Pan Bóg, jak mówiono, podarował mu raczej do sikania niż do płodzenia potomstwa. Złotnik musiał jednak robić to z nią co nocy, aby mieć ciszę i spokój przy domowym *tonirze*. Ostatecznie nie chciał też, żeby żona zaczęła to w końcu robić z innymi, bo nieuchronnie skończyłoby się na tym, że jak mawiał Hagop, ogolono by babę do skóry i wsadzono tyłem na osła, niczym krzywonosą niewiastę ormiańskiego handlarza z Jedi Su, mimo że żona złotnika nie miała rudego bękarta jak żona handlarza, bękarta, który lubi się bawić kolbą kukurydzy, zwłaszcza między matczynymi udami, choć bynajmniej nie tam jest jej miejsce, nie urosła wszak jako kość, tylko jako owoc Boży na polu.

Żona złotnika była jednak nie tylko chutliwa, ale i chciwa na pieniądze. I dlatego często mówiła do Sarkisa: Dlaczego męczysz się od świtu do nocy w swoim warsztacie? Dlaczego nie bierzesz przykładu z handlarzy walutą w uliczkach między bazarami? Oni tylko liczą pieniądze. Nie sieją, nie zbierają, a Ojciec Niebieski jednak ich żywi.

Drugi brat twojego ojca miał na imię Boghos. Ten Boghos to był kawał nicponia. Twierdził, że pracuje w sklepie z dywanami u swojej siostry Aghawni i szwagra Psaka, w rzeczywistości zaś włóczył się po Bekirze, i to w najgorszym towarzystwie. Jego kompani byli wykolejonymi studentami z Konstantynopola, Erzurum i Wanu, którzy wrócili po jakimś czasie do swych rodzin w Bekirze, żeby miał ich kto utrzymywać. Ludzie ci szerzyli lewicowe idee równości i braterstwa, które uderzyły do głowy również Boghosowi. Pewnego razu, gdy przyjechał do Jedi Su, zapytał swego ojca Hagopa: Czy wiesz, kto to są *hynczagiści*?

Owszem, odparł Hagop. To szaleńcy.

To wyszkoleni w marksizmie ormiańscy nacjonaści, odpowiedział Boghos. Po czym zapytał ojca znowu: A wiesz, kto to są *tasznakcagan*?

To również szaleńcy, odrzekł Hagop. Tyle że są szaleni w inny sposób.

To skrajnie prawicowi ormiańscy nacjonaści, oświadczył Boghos.

Hagop jednak pokręcił tylko głową i powiedział: Nic z tego nie rozumiem.

A wiesz, kto to są marksści?

Nie, odrzekł Hagop.

To tacy, co chcą wprowadzić równość, wyjaśnił Boghos. Wyobraź sobie: wszyscy ludzie są równi!

Ale ludzie nie są równi, powiedział Hagop.

Naprawdę dziwak był z tego Boghosa. Gdy tylko zateśnił za dobrą kuchnią matki i babki, przyjeżdżał do Jedi Su z dłuższą wizytą. Często siadywał wieczorami z Hagopem przy *tonirze* i palili wspólnie *czubuk*. I kiedyś powiedział do ojca:

Wy wszyscy jesteście jednak reakcjonistami.

A co to znaczy? spytał Hagop.

Chcecie tylko, żeby wszystko zostało po starym.

Nie liczy się to, czego my chcemy, odparł Hagop. Liczy się tylko to, czego chce Pan Bóg.

A czego chce Pan Bóg?

Żeby wszystko zostało po starym. I Hagop rzekł: Czy kogut ma może pisać o północy zamiast wcześniej rano? I czy biedni mają jeść obficie, a bogaci głodować? I czy może Ormianie mają bić Turków i Kurdów zamiast odwrotnie? Wszystko ma przecież swoje miejsce i człowiek musi się do tego przystosować.

Był jeszcze jeden brat, którego twój ojciec kochał niemal jak Dikrana, szewca. Ów brat był dwadzieścia lat starszy od twojego ojca, miał na imię Hajgaz i był najstarszym z dzieci Hagopa. Mały i łysy był ten Hajgaz, czerwonolicy i otyły, nawet trochę astmatyczny, krótkonogi i nieforemny. Palce miał grube, z tłustymi poduszczkami, zdobne w złote pierścienie ze szmaragdami i diamentami. Już w roku 1858, gdy Hajgaz wypadł z matczynego łona na *jorgan-jorgan* dziadka, który miał później odziedziczyć Wartan i nad którym pochylała się Dżowinar, ten sam *jorgan*, wypchany słomą i owczą wełną, ożywiony ruchliwymi pchłami, ale również pełen

truchełek wielu pchlich pokoleń, otoczony rojem much i komarów — chcę powiedzieć, że gdy Hajgaz wypadł na ten *jorgan*, to już wtedy był jedynym astmatycznym potomkiem Chadisjanów. Jego pierwszy w życiu krzyk wydobył się z małych bezzębnych ust w postaci charczącego kaszlu. Mimo to nie był chory, gdyż kilka minut później, kiedy babka wykąpała go w roztworze soli i porządnie umyła, Hajgaz zaś kaszlał i wrzeszczał, powiedziała do Dzowinar: Twój pierworođny nie jest chory. Kaszle tylko z niecierpliwości.

Jak to rozumiesz? spytała Dzowinar.

No cóż, odrzekła babka, rozumiem to tak: ten mały szkrab, co będzie miał na imię Hajgaz po moim żyjącym jeszcze ojcu, którego dni zostaną doliczone do wieku twojego Hajgaza, no więc, moja gołąbko, ten mały szkrab kaszle po prostu z niecierpliwości.

Skąd ta niecierpliwość? spytała Dzowinar.

No cóż, to jest tak, powiedziała babka. Twój Hajgaz nie może się doczekać, kiedy zacznie robić wielkie interesy.

Jakie znowu wielkie interesy?

Po prostu wielkie interesy. Na czole ma wypisane, że zostanie kiedyś bogatym człowiekiem.

A po czym to poznajesz?

Po sposobie, w jaki się nadyma, marszcząc przy tym czoło.

Chce więc zostać bogatym człowiekiem?

To pewne.

Naturalnie babka miała rację, gdyż już podczas święta *szekerli*, czyli święta pierwszych kroków, okazało się, że Hajgaz jest niecierpliwym i żywym dzieckiem, bo stawiając pierwsze kroki, nie skierował się najpierw w stronę *toniru* ani wiadra z wodą, ani stajni, a tym bardziej do kołyski z Biblią, którą włożyła mu do niej matka... nie: ruszył od razu obiema nóżkami na dwór, przez otwarte drzwi *ody*, na zalany słońcem wiejski gościniec.

Również Hajgaz jako mały chłopiec handlował najpierw *tezkiem*, czyli najzwyczajniejszym krowim łajnem, tak samo jak robił to później Wartan i wiele innych małych dzieci. Ale już w wieku siedmiu lat to się zmieniło: Hajgaz zaczął jeździć

do sąsiednich wiosek i kupować rzeczy, których tu nie było, aby potem sprzedawać je z zyskiem. Kiedy miał dziesięć lat, uciekł z domu i zamieszkał u swego stryja, *arbadżego* w Bekirze. Włączył się po bazarach dużego miasta, pośredniczył w transakcjach, handlował z tym i owym, a w końcu wszedł w poważny interes, czyli sprowadzanie arbułów z Dijarbekiru.

W wieku trzynastu lat posiadał jeden z największych straganów z arbuzami na bekirskim bazarze arbuzowym. Podróżni wracający z Bekiru opowiadali w wiosce, że Hajgaz wprawdzie nadal pokasłuje i charczy niczym spragniony wielbłąd, lecz z drugiej strony ma czerwone policzki jak dawniej, przypominające utuczoną dziecięcą pupę, którą zła matka wystawiła na słońce. Mówili, że Hajgaz ma także brzuch i pulchne palce, tyle że bez klejnotów, ponieważ te zamierza dopiero kupić, gdy jego brat Sarkis załatwi mu je tanio — ów jednak, jak mówili ludzie, nie jest jeszcze skończonym złotnikiem, tylko dopiero terminuje. Krótko mówiąc, Hajgaz był na najlepszej drodze do sukcesu, a jego arbuzy, jak twierdzili ludzie, faktycznie pochodziły z okolic Dijarbekiru i były tak duże i ciężkie, że można by było sobie tylko życzyć, aby spadały na głowy wrogów Ormian.

Wiele mówiono o Hajgazie, a jego stragan z arbuzami dostarczał tematów do plotek. W wiejskiej kawiarni obok trafiki mężczyźni opowiadali dowcipy o małym, grubym, astmatycznym synu Hagopa, który chciał się dorobić majątku w Bekirze. Przebąkiwano, że Hajgaz, choć ma dopiero trzynaście lat, zamierza ożenić się z pewną leciwą niewiastą, staruchą ukrywającą swój prawdziwy wiek: trzydzieści pięć lat, która depcze mu co wieczór po piętach, gdy Hajgaz zwija stragan i z osłem i wózkiem wyrusza w drogę do domu.

I tak też się stało: pewnego dnia Hajgaz ogłosił swoje zaręczyny, a rok później ożenił się z wdową Wartuhi, której imię obiecywało, że powinna być słodka niczym róża.

Jak kobieta przeszło trzydziestopięcioletnia może być słodka jak róża, mówił Hagop do żony. I czego taka starsza od niejednej babki w Jedi Su chce od mojego syna, który jest wprawdzie mały i ma obwisły brzuch, a poza tym kaszle i charczy, gdy mówi... a czasem też, kiedy nie mówi... bo tak



już jest... mimo że wykąpano go w soli... i wyszorowano... słoną wodą, ma się rozumieć... czego więc taka kobieta chce od mojego Hajgaza, którego nasienie jest jeszcze młode i prawie nie uszczknięte?

Czego ona może chcieć? spytała Dzowinar. Też bym chciała to wiedzieć!

Kapłan Kapriel Hamadian, który siedział obok, zauważył jednak: Pytanie, Hagop efendi, nie powinno brzmieć: czego ona chce od niego, tylko: czego on chce od niej.

Tak, to jest pytanie, zgodził się Hagop.

To jest pytanie, powtórzyła Dzowinar.

Słyszałem, że jest podobno bardzo bogata, rzekł kapłan.

Ja też tak słyszałem, przytaknął Hagop.

Jej nieboszczyk mąż był najbogatszym handlarzem walutą w Bekirze.

To też słyszałem,

A astmatyczny Hajgaz jest człowiekiem interesu?

W każdym razie jest kimś, kto nie upadł na głowę, wtrąciła Dzowinar.

Jest w końcu też moim synem, dodał Hagop.

No właśnie, powiedział kapłan.

To było do przewidzenia: po ślubie z wdową Wartuhi Hajgaz wszedł w świat wielkich interesów. Nie został jednak handlarzem walutą jak pierwszy mąż Wartuhi, lecz ponieważ był otyły, czerwonolicy i oddany wszelkim uciechom stołu, a zatem z usposobienia sybarytą i smakoszem, no więc dlatego albo prawdopodobnie z tego i owego powodu przerzucił się do branży rozlicznych uciech podniebienia. Został restauratorem. A ponieważ zdarzyło się tak, a nie inaczej, lub jak mówią muzułmanie: ponieważ było mu to przeznaczone w *kismecie*, gdzie zapisane jest wszystko, co nastąpi, więc nic dziwnego, że jego nowy lokal dla smakoszy, o nazwie „Hajastan”, stał się w niedługim czasie najbardziej znaną restauracją w całym Bekirze. Powiadano, że w „Hajastanie” nawet tureccy klienci stają się na chwilę przyjaciółmi Ormian, gdyż Wartuhi oczarowywała każdego gościa ormiańskimi przysmakami — dowód na to, że najmądrzejsze przysłowia, na przykład: Przez żołądek do serca, obowiązują również w zajętych przez Turków Hajastanie.

— Ale wracajmy do twojego ojca — rzekł bazarz. — Już jako chłopiec handlował *tezekiem*. A gdy on i Awedik trochę podrośli i stali się dojrzałsi, jeździli często do Bekiru sprzedawać zebrane i wysuszone krowie łajno. Czasem brali ze sobą Garona, lecz przeważnie tylko Turka Gög-Göga, bo dobrze poganiał osła. Gög-Gög potrafił zmusić do pośpiechu najbardziej uparte zwierzę. Ponieważ jednak Zejda, oślica, była istotą rodzaju żeńskiego, Gög-Gög nie tylko wabił ją wonnym sianem, wymachując nim przed pyskiem zwierzęcia, ale także rozmawiał z nią, szeptał na ucho czułe słowa i głaskał ją po genitaliach. Czasami Gög-Gög szczypał też Zejdę w określone miejsce na zadzie, tam gdzie była szczególnie wrażliwa na ból, i wybuchał głośnym śmiechem, gdy nagle zrywała się do biegu.

Znacie przynajmniej właściwych ludzi w Bekirze, którzy kupią od was *tezek*? spytał pewnego razu Gög-Gög, gdy Zejda znów się znarowiła.

Naturalnie, rzekł Wartan.

On zna nawet kogoś, kto daje przyzwoitą cenę, dodał Awedik.

Ormianina?

Ormianina.

Który nie będzie wam opowiadał żadnych bajek, na przykład że *tezek* jest z kozich bobków?

Nie, on nie.

Kto jest tym Ormianinem z Bekiru, który bierze od was *tezek*?

To mój najstarszy brat Hajgaz.

Ten... który jest ponoć taki bogaty?

Owszem.

I on nie ma drewna na opał?

Ma. Ale wysuszone krowie łajno jest tańsze.

— Pod koniec lat osiemdziesiątych — powiedział bazarz — Frankowie zaczęli zakładać w całym Hajastanie dziwne szkoły, prowadzone przez zakonnice i kapłanów. Nosiły one nazwę szkół misyjnych, a ich celem było przybliżenie gregoriańskim Ormianom prawdziwego chrześcijaństwa. Później przyjechali Amerykanie, którzy w zasadzie również byli Frankami, lecz mieszkali za wielką wodą. Można się było od nich dużo nauczyć, a potem nawet studiować na wielkich uniwersytetach w Stambule lub we Frankistanie. Wielu Ormian posyłało do tych szkół swoich synów i córki. Ale nie Ormianie z Jedi Su.

W Jedi Su wszystko zostało po staremu. Chłopcy chodzili do wiejskiej szkoły, dziewczynki zostawały w domu. Poprzedni naczelnik Jedi Su, jeszcze bardziej poważany niż obecny, czyli Efrem Abowian, a więc ten poprzedni *muchtar*, o którym mówiono, że osobiście rozdziewiczył wszystkie służące, człowiek bardzo bogaty i otoczony respektem, ów *muchtar* więc powiedział: Kobieta wykształcona to ruina rodziny. Tak powiedział. I oczywiście miał rację. Przykładów i ostrzeżeń nie brakowało. Nawet kapłan powiedział niedawno do miejscowych dziewcz: Przyjrzyjcie się wykształconym niewiastom z Bekiru. Wykształcenie uderza im do głowy, a zarozumiałość między nogi. W *tonirach* gaśnie ogień, a spokój domowy opuszcza ich *ody*. Mężowie są zniechęceni, potulni i boją się, gdyż zaprawdę: wobec niewieściej pychy kurczy się najlepsza kość mężczyzny. A potem kapłan dodał: Poznałem kiedyś w Bekirze pewnego człowieka, który miał wykształconą żonę. I zgadnijcie, co mi powiedział w zaufaniu?

Co takiego, *wartabed*?

*Wartabed*, powiedział do mnie, moja kobieta nie jest kobietą. Jej studnia wyschła. W gęstwinie między udami mieszkają *dżinny*. Jej zwiędły kielich przypomina stracha na wróble, a ciepły i śliski krater rozkoszy — kłapiące bezgłośnie binokle.

— Twój ojciec chodził do wiejskiej szkoły — ciągnął bajarz. — Potrafił czytać i pisać, ale nic więcej. Umiał jednak grać na drewnianym flecie, który wystrugał dla niego Turek Gög-Gög. Kiedy twój ojciec pasł owce, a one odeszły zbyt daleko w góry, wystarczyło, że zagrał na flecie, a owce wracały.

— W wiosce Jedi Su niewiele się działo — mówił bajarz. — Jedynym ważniejszym wydarzeniem była historia ze skrzynią z książkami.

— Jaką skrzynią z książkami?

— Po prostu, historia ze skrzynią z książkami — powtórzył bajarz. — A było tak — zaczął. — Wiejski nauczyciel umarł na suchoty, kiedy twój ojciec miał dziewięć lat. Wkrótce potem przyjechał do Jedi Su inny nauczyciel, który też był suchotnikiem i też nosił okulary bez oprawek, tak samo jak ten, co umarł. Ludzie mówili nauczycielowi: *Hodża efendi*, kiedy jedziesz na ośle w góry, to zostawiaj lepiej okulary w domu, bo Kurdowie uważają każdego człowieka w okularach za szpiega. Zabili już wielu takich.

Ale nauczyciel nie słuchał ludzi. Często jeździł w góry i pewnego dnia nie wrócił. Ludzie mówili: Chorował na suchoty i taki był słaby, że pewnie zsunął się z osła i leży gdzieś przy drodze. Inni zaś mówili: Nie, nosił okulary. Czyż Kurdowie w sześćdziesiątym czwartym nie zabili człowieka w okularach, bo myśleli, że sułtan go wysłał, żeby wyszpiegował dla żandarmów i poborców podatkowych, gdzie mieszkają Kurdowie? Na pewno go zabili, jego ciało spoczywa w jakimś wąwozie, a nauczycielska dusza gdzieś u Chrystusa.

A gdzie byłby jego osioł? pytali ludzie.

Ośla zabrali Kurdowie.

Ale dumni Kurdowie z gór nie jeżdżą na osłach.

W zasadzie tak.

Może więc osła zarżnęli i dawno już zjedli?

Albo go tylko zabili i teraz leży razem z nauczycielem w jakimś wąwozie.

Wtedy dusza osła też byłaby u Chrystusa.

Możliwe.

Tak, zniknięcie nauczyciela rzeczywiście było zagadkowe. Przepadł jak kamień w wodę. Nie pozostawił po sobie nic, a przynajmniej nic wartościowego. Tylko skrzynię z książkami.

Naprawdę tak było. Wprowadzając się do wioski nauczyciel przywiózł skrzynię z książkami, tak ciężką, że mogli ją udźwignąć tylko rudy kowal i Garo, syn siodlarza, i to czterema rękami. Ponieważ nauczyciel mieszkał u kowala jako sublokator i w izbie miał mało miejsca, więc skrzynię, z tego tylko jednego powodu, postawiono w przestronnej kuźni, a dokładnie za miechem o napędzie nożnym. I tam została. Teraz... po śmierci nauczyciela kowal chciał książki spalić, gdyż dzięki temu mógł bądź co bądź zaoszczędzić sporo dobrego, starannie wysuszonego krowiego łajna używanego na opał. Innymi słowy: mógł zaoszczędzić kapitał. Zdarzyło się jednak inaczej.

— A było to tak — rzekł bazarz. — Kiedy kowal zabierał się do spalenia książek... akurat w tym momencie... w drzwiach kuźni pojawił się jego chrześniak Wartan.

Daję ci trzy worki *tezeku* za te książki, powiedział.

Co chcesz z nimi zrobić?

Chcę je przeczytać.

Ludzie mówią, że chcesz zostać poetą.

Owszem, potwierdził Wartan.

I dlatego musisz przeczytać wszystkie te książki?

Właściwie nie.

Więc dlaczego chcesz je przeczytać?

Tak tylko, powiedział Wartan.

Sprowadzili Garona, syna siodlarza, i przenieśli skrzynię — tym razem we trzech — do *ody* Chadisjanów. Hagop nie miał nic przeciwko temu, i Dżowinar też, gdyż *oda* była przestronna, odkąd małe dzieci wyrosły i większość z nich wyprowadziła się z domu. Tym więc sposobem Wartan, który umiał grać na flecie i miał posłuch u swoich owiec wypasanych na górskich pastwiskach, zaczął także czytać książki. W skrzyni było sporo dobrych książek, takich, o których

nauczyciel mawiał: Wiele zostało napisanych po ormiańsku, wiele jest przetłumaczonych. A wszystkie próbują wyjaśnić świat.

Od tyłu książek przewróci się chłopakowi w głowie, rzekł Hagop do Dzowinar. Pomyśl tylko: nosiwoda też ma przewrócone w głowie!

Ale przecież nie od czytania książek, zauważyła Dzowinar.

Nauczyciel suchotnik powiedział kiedyś do Wartana: Gdy umrę, możesz sobie wziąć wszystkie książki z mojej skrzyni.

Czy muszę je wszystkie przeczytać, żeby zostać poetą?

Nie, odparł nauczyciel. I rzekł: Widziałem, jak dźwiękiem swego fletu przywołujesz owce do opamiętania. Ilekroć zagrasz na nim, zatrzymują się przed wąwozami i wracają do bezpiecznej doliny.

Czy to dowód na to, że kiedyś zostanę poetą? spytał Wartan.

Nie, odparł suchotnik. I rzekł: Jeśli chcesz zostać poetą, musisz grać na innym flecie.

Ależ *hodża efendi*... na jakim innym flecie?

Na niewidzialnym flecie, mój mały Wartanie, takim, który nie jest z tego świata.

A jak mam trzymać go w rękach, *hodża efendi*, lub dmuchać w niego ustami, jeśli go w ogóle nie ma?

A kto powiedział, że go nie ma? Widzisz, moja owieczko: nawet rzeczy nie z tego świata istnieją.

Jak je rozpoznać, *hodża efendi*?

Rozpoznasz je nie otwierając oczu.

Ale jak?

Wiadomo jak, moja owieczko, naturalnie ludzkimi zmysłami. Pewnego dnia, nie otwierając oczu, zobaczysz ten flet, który jest nieuchwytny, i weźmiesz go w dłoń, i nigdy już nie wypuścisz.

Stary pasterz powiedział mu, że znał kiedyś kalekę, który nie mógł znaleźć żony. A ponieważ był samotny i opuszczony przez wszystkich, zaczął śpiewać o miłości i został poetą.

Czy poetą można zostać tylko wtedy, gdy jest się kaleką?  
Tylko wtedy, potwierdził stary pasterz.

Ale nauczyciel suchotnik powiedział, że to nieprawda. Poeci nie są kalekami. Poeci, tak powiedział suchotnik, to w rzeczywistości Cyganie, nie czytają jednak tajemnych znaków na czole i dłoni, tylko pismo duszy, które przetwarzają potem w melodie słowne.

Kiedy będę czytał pismo duszy?

Kiedy nadejdzie czas niewidzialnego fletu, odrzekł suchotnik.

A kiedy to nastąpi?

Kiedyś, odparł suchotnik. I pogłaskał Wartana po gęstych kręconych włosach, uśmiechnął się i dodał: Kiedyś nadejdzie czas, gdy niewidzialny flet wyśle swoich zwiastunów.

Kiedy Wartan osiągnął dojrzałość płciową, wydawało mu się, że słyszy przez sen zwiastunów niewidzialnego fletu. W jego sercu rósł jakiś wielki smutek i jakiś wielki strach, lecz zarazem podniecająca radość i gorączkowe oczekiwanie. Przyszywali mu zwiastuni niewidzialnego fletu, słyszał we śnie tysiąc i jedną melodię. To, co przeczuwał, zmieniało się w pewność. Wydawało się, że z ukrytych źródeł tryskają potoki i wzbierają tworząc rzeki, jeziora i morza. Aniołowie czerwonymi ustami dęli w trąby. We śnie Wartan widywał pomarszczone piersi Kurdyjki Bülbül. Zwisły niczym worki na grzbiecie bezimiennego osła. W trakcie jazdy piersi Bülbül zmieniały się coraz bardziej, a gdy osioł dotarł na skraj wioski, przypominały ciepłe, miękkie i okrągłe piersi karmiącej go matki, aż w końcu zmieniały się i one. I wtedy Wartan widział piersi swej narzeczonej, których nigdy dotąd nie oglądał. Były drobne, lecz jędrne jak owoc granatu, z mięsistymi, kuszącymi brodawkami. Chodź, dotknij mnie, mój oblubieńcu, rzekły piersi. I roześmiały się, bo jego dłonie nie mogły się zdecydować. Możesz, powiedziały.

I Wartan ich dotknął.

Nie ściskaj, powiedziały piersi. Musisz to robić delikatnie. I łagodnie, bardzo łagodnie.

Mam to robić tylko dłońmi?  
 Nie tylko dłońmi, mój oblubieńcu.  
 Więc czym jeszcze, *gelin*, moja mała oblubienico?  
 Ustami, mój oblubieńcu. Rób to ustami.  
 I Wartan zaczął ssać, tak jak ssał, gdy był niemowlęciem.  
 Szlochając wisiał chciwie u piersi swej narzeczonej. Im dłużej  
 ssał, tym piersi stawały się mniejsze, a w końcu zniknęły.  
 Nie ma ich, powiedział do narzeczonej.  
 Bo je wchłonałeś, odrzekła.  
 Co mam teraz robić?  
 Mosisz ssać dalej, mój mały oblubieńcu.  
 Ale co mam ssać?  
 Wszystko, co smakuje twoim ustom, mój mały oblubieńcu.  
 Także twoje ręce?  
 Także moje ręce.  
 I twoje stopy?  
 I moje stopy.  
 I co jeszcze?  
 Wszystko, mój mały oblubieńcu. Wszystko.  
 Czy masz też wargi między udami?  
 Tak, mój mały oblubieńcu.  
 Czy naprawdę są takie wąskie jak płatki uszu nie narodzo-  
 nej owcy?  
 Tak, mój mały oblubieńcu.  
 A może są duże i kłapciate jak uszy osła?  
 Możesz przecież sprawdzić.  
 Naprawdę mam to zrobić?  
 Tak.  
 Czy jesteśmy już małżeństwem?  
 Nie wiem.  
 Mogłaby to być nasza noc poślubna?  
 Tak, mogłaby to być noc poślubna.  
 Kiedy łaskocząca radość wyparła strach i smutek, i wstyd,  
 i poczuł, jak go unosi fala nowej wolności, obudził się z krzykiem.

To nic, powiedział Hagop, gdy Dżowinar pokazała mu mokry *döszek* syna, ów materac wypchany słomą i owczą wełną, ale nie tak stary jak *jorgan* jego dziadka.



Co to znaczy: nic? zapytała Dzowinar.

Stał się mężczyzną, rzekł Hagop.

A co z *döszkiem*?

Jest mokry, powiedział Hagop.

Twój syn przelewa cenne nasienie, stwierdziła Dzowinar.  
Przelewa je bez sensu, zamiast ofiarować swojej żonie.

Ale on nie ma żony.

Można to zmienić.

Musielibyśmy go ożenić.

Owszem. Kiedy porozmawiasz z *muchtarem*?

Wkrótce.

— Ale czas jeszcze nie nadszedł — mówił bazarz. — Dopiero w następnym roku córka *muchtara* poplamiała *döszek* ze słomy i owczej wełny. Poplamiała go krwią, która nie pochodziła z rany.

Stało się, powiedziała żona *muchtara* ujrzawszy wczesnym rankiem krew na *döszku*. Teraz powinniśmy ogłosić oficjalnie zaręczyny z najmłodszym synem Chadisjanów.

Ale ona ma dopiero jedenaście lat, zaproponował *muchtar*.

Co jedenaście, to nie dziesięć, odparła jego żona. Na co chcesz czekać? Ma zostać starą panną?

Według zwyczaju, rzekł *muchtar*, wesele odbywa się rok po pierwszym krwawieniu. Ale to niemożliwe.

A niby dlaczego niemożliwe?

Dlatego, że jeszcześmy jej nie utuczyli. Sądzisz, że najmłodszy syn Chadisjanów ożeni się ze szkieletem tylko dlatego, że jego ojciec i ja wymieniliśmy wtedy dwie monety?

Jak długo trwa tuczenie?

Zwykle dwa lata.

Powinniśmy byli wcześniej je zacząć.

Owszem.

Dwa lata, powiedziałaś?

Tak powiedziałem.

No cóż, w takim razie po prostu musimy zrobić to w rok.

— I tak było — ciągnął bazarz. — Pierwsze zaręczyny przed wielu laty, w dniu wymiany monet, kiedy narzeczona

owinięta była jeszcze w pieluchy i nie miała pojęcia, co się z nią dzieje, owe pierwsze zaręczyny, które były raczej dyskretne, jedynie obietnica i sprawa honorowa między mężczyznami, a mianowicie Hagopem i *muchtarem*, te zaręczyny więc obaj teraz na oczach wszystkich potwierdzili w dzień po osiągnięciu przez narzeczoną dojrzałości płciowej. I odtąd faktem było, że syn Hagopa i córka *muchtara* stanowiąc będą parę. Zmienić się już tego nie dało. *Muchtar* opowiadał każdemu, że jego córka krwawi bez ran i jest kobietą. Także tuczenie narzeczonej nie było tajemnicą. Mówiono, że ta chuda, drobna dziewczyna, która już krwawi bez ran, ten szkielet zbudowany z kruchych kości, ma być w ciągu roku podkarmiony i stać się postawną kobietą. Podobno żona *muchtara* przysięgła to na wszystkie świętości. Mówiono też, że matka Wartana powiedziała do żony *muchtara*:

Poślę twojej córce czterdzieści *sofr* z *baktawą*, a zrobię to w dniu pierścienia zaręczynowego, który wykonał już mój syn, złotnik Sarkis, i który jest już w drodze. I dodała: Ma być czterdzieści *sofr*, żeby ludzie mówili: Narzeczonej dostała czterdzieści, jak to jest w zwyczaju, gdy zaręczają się dzieci poważanych ludzi.

A żona *muchtara* podobno odpowiedziała: Czterdzieści ma ich być. Tak jak należy. Czterdzieści *sofr baktawy*. A za każdym razem gdy córka je opróżni, napełnię *sofry* na nowo.

W imię Boże, rzekła Dżowinar. Ma być tłusta i postawna. Tucz moją synową, żeby mój syn nie stał się pośmiewiskiem.

Wartan rzadko widywał swoją narzeczoną. Wprawdzie jako dzieci często bawili się razem, ale nie wypadało pokazywać się sam na sam z przyszłą żoną, patrzeć na nią zbyt śmiało, a tym bardziej dotykać jej podczas zabawy. Uważaj, żebyś nie znalazł się czasem blisko niej, ostrzegła go matka. Bo dostaniesz się na ludzkie języki.

I co wtedy będzie?

Wtedy ludzie będą mówić: Jego narzeczonej to taka, co nie respektuje welonu.

Ale ona nie nosi przecież jeszcze welonu!

Ale będzie nosić, głuptasie. I matka powtórzyła: Uważaj! Nie zbliżaj się do niej zbyt blisko, póki nie ma pierścienia na

palcu. Jej dobra reputacja jest zarazem twoją dobrą reputacją i dobrą reputacją twoich dzieci i wnuków.

Okres tuczenia narzeczonej dostarczał mieszkańcom wioski tematu do złośliwych plotek i babskiego gadania. Niektórzy mówili, że córka *muchtara* nigdy nie nabierze ciała, „bo jako dziecko nie widziała soli”. Ponieważ w wiosce nie używano do mycia mydła, tylko soli z jeziora Wan, którą wędrowni handlarze ormiańscy sprzedawali od czasu do czasu chłopom, i ponieważ *muchtar* posiadał dużą ilość owej soli, ludzie mówili, że jego córka nie została wykąpana jak się należy w soli kuchennej, tylko w wodzie z namiastką mydła, a mianowicie w roztworze soli z jeziora Wan, ta zaś osłabia ciało w ciągu pierwszych czterdziestu dni życia, co w wypadku soli kuchennej, jak wiadomo, nie ma miejsca. *Muchtar* wyśmiał ich jednak. Zrozumcie, powiedział. Czy sól z jeziora Wan, czy sól kuchenna, to absolutnie obojętne. Założę się z każdym, kto odważy się pójść o zakład, i to o trzydzieści owiec, że moja córka Arpine w dniu ślubu kościelnego z najmłodszym synem Chadisjanów będzie taka gruba, że nie będzie mogła wpaść do mlecznej studni Gatnachpur, nawet gdyby chciała.

Jak to rozumiesz, *muchtar bej*? Kto chce wpaść do studni Gatnachpur, ten w nią wpada. Czyżby miał upaść obok studni, kiedy do niej wskoczy?

Skąd wam to przyszło do głowy, nicponie? Dlaczego moja córka miałaby upaść obok studni, kiedy do niej wskoczy? Czemu nie chcecie tego pojąć? To przecież proste: jej tyłek będzie taki gruby, że cembrowina mlecznej studni okaże się za wąska, aby przepuścić go w głąb. To właśnie mam na myśli.

Ale takiego grubego tyłka nie ma, *muchtar bej*. Uważamy, że takiego tłustego tyłka w ogóle nie ma.

A ja wam dowiodę, że jest, oświadczył *muchtar*.

Jak chcesz to zrobić, skoro twoja córka kąpana była tylko w tej dziwnej soli z jeziora Wan?

Mimo to dowiodę wam tego.

A ile *baktawy* będzie musiała zjeść, żeby jej tyłek, który nie może obrosnąć w tłuszcz, bo przecież nie widziała soli, stał się tak gruby, jak twierdzisz?

No cóż, jeśli chcecie wiedzieć, *efendiler*, będzie jadła dzień w dzień czterdzieści *sofr bakławy*, „bo czterdzieści ma ich być”. A wiecie, ile sztuk *bakławy* będzie musiała w sumie upiec moja biedna żona, oby Bóg zachował mi ją długo, żeby uczynić z mojej córki poważną kobietę?

Nie, *muchtar bej*. Coś takiego mógłby wyliczyć tylko jakiś suchotnik, ktoś w rodzaju naszego byłego nauczyciela. Ale on nie żyje i przepadł razem z osłem w górach. Niech Bóg się zmiłuje nad jego duszą.

— Tak było — powiedział bajarz. — Wszyscy śledzili w napięciu tuczenie narzeczonej, przede wszystkim obie rodziny, gdyż dla *muchtara* i dla Hagopa była to sprawa honoru. W domu *muchtara* napieczono przez rok tyle *bakławy*, że zapach małych słodkich ciasteczek unosił się nad całą wioską. Nawet Kurdowie wysoko w górach zauważyli to w końcu. I wówczas kurdyjski szejk Sulejman rzekł do swoich synów: Odbędzie się tam wkrótce wesele. Jeśli moi szpiedzy mnie nie okłamali, chodzi o córkę łysego *muchtara* Efrema Abowiana i najmłodszego syna rolnika Hagopa. Bieda im obu, jeśli nie zapłacą mnie i mojemu plemieniu podatku ślubnego.

## 9

Wartan nie mógł się doczekać dnia ślubu. Im tłustsza była jego narzeczona, tym bardziej pożądał tyłka, który utknął w cembrowinie mlecznej studni Gatnachpjur i był większy i okazalszy od arbusów z Dijarbekiru. We śnie słyszał głosy kramarzy na bazarze arbusowym odległego, dużego miasta. Arbus z ciała i krwi. Większy, tłustszy i soczystszy niż największy, najtłustszy i najbardziej soczysty arbus z Dijarbekiru. Nie może wpaść do studni Gatnachpjur. O Allahu, który stworzyłeś wodę studni i miąższ arbusów, dlaczego arbus nie może wpaść do studni?

We śnie Wartan widział ludzi przed straganem z arbuzami. Jednym z ciekawskich był bogaty Turek ze złotym zegarkiem kieszonkowym, wyglądającym spod rozpiętej kamizelki.

Hej, ty... sprzedawco arbuzów! Dlaczego arbuza nie może wpaść do studni?

Nie wiem, *efendi*. Ale przypuszczam, że dlatego, iż Allah zbudował za wąską studnię dla takiego tłustego arbuza.

Allah nie buduje przecież studni, ty durniu. On zsyła nam tylko wodę. To człowiek buduje studnię.

Tak, *efendi*. Allah mi świadkiem, że tak jest. Rzekłeś prawdę.

A kto zbudował studnię za wąską dla najtłustszego arbuza?

Ormianie, *efendi*.

Te niewierne psy?

Tak jest, *efendi*. Celowo zbudowali taką wąską studnię, żeby utknął w niej najtłustszy arbuza.

A dlaczego tak zrobili?

Nie wiem, *efendi*. Przypuszczam jednak, że po to, aby ludzie widzieli, jaki wielki jest ten arbuza i jaki soczysty, i jaki tłusty, gdyż nie może wpaść do studni, tej przeklętej studni, którą Ormianie nazywają Gatnachpjur i której cembrowina jest za wąska dla tego ormiańskiego arbuza.

A więc to ormiański arbuza?

Tak.

A dlaczego taki arbuza rośnie w Turcji?

Ponieważ Ormianie twierdzą, że nie ma żadnej Turcji, a przynajmniej tu, w tych stronach. Ten kraj nazywa się bowiem Hajastan. Wszystko to Hajastan. I wszystko, co tutaj rośnie, należy do Ormian. Także arbuzy.

A może byś mi sprzedał tego jednego arbuza za mój złoty zegarek?

Niestety, *efendi*, to niemożliwe.

Chciałbym go bowiem naciąć. A potem chciałbym wsadzić do środka język. I idę z tobą o zakład, głupi psie, że wylizę ze środka miód.

Ależ *efendi*, w arbuzie nie ma przecież miodu.

Jest, bęcwale. W środku jest miód. Założę się nawet z tobą, że jest.

Mimo to, *efendi*, nie mogę sprzedać tego arbuza.

Czemu nie możesz, czarci synu? Daję ci przecież złoty zegarek.

Bo arbuż jest już sprzedany.

Pewnie sprzedałeś go jakiemuś Ormianinowi?

Tak, *efendi*.

Te psy sprzątają nam wszystko sprzed nosa.

Tak, *efendi*.

Wiesz może, jak nazywa się ten ormiański pies?

Nazywa się Wartan Chadisjan, *efendi*, to czternastoletni syn Hagopa Chadisjana.

Niech szlag trafi tego Hagopa i jego syna. Oby Allah ogniem i mieczem przywołał tych niewiernych do opamiętania. Czyż nie widzisz? Wszystko nam zabierają, nawet najlepsze arbuzy.

Wartan słyszał we śnie głosy kramarza i bogatego Turka ze złotym zegarkiem, słyszał szmer wielkiego bazaru i wdychał zapachy tysiąca i jednego specjału. Wtem ujrzał, jak wielki arbuż, który był niczym innym, jak tyłkiem jego narzeczonej, wzbija się w górę i na latającym dywanie zmierza do Jedi Su, prosto pod jego *jorgan*. I tłusty arbuż rzekł do niego: Należę do ciebie. Wkrótce weźmiemy ślub. Ale nie zapomnij zapłacić podatku ślubnego, dokładnie połowy wiana.

A jeśli zapomnę?

To Kurdowie mnie rozdziewiczą.

To niemożliwe.

Przeciwnie, to możliwe.

Wartan chwycił we śnie arbuż i choć wcale jeszcze nie był po ślubie i w zasadzie nie miał do tego prawa, pogłaskał krągławy owoc i poczuł, że pod spodem znajduje się cierniowy gąszcz, który otwiera się i rozstępuje jak Morze Czerwone przed laską patriarchy.

Za tym gąszczem czuję usta z otwierającymi się wargami.

Te wargi to tylko morze, mój oblubieńcu. Czy masz swoją laskę?

Tak, *gelin*, moja oblubienico.

Morze zniknęło, mój oblubieńcu. Czujesz to?

Tak, *gelin*, moja oblubienico.

Zostały tylko wargi, które otwierają się przed tobą.  
 Tak, *gelin*, moja oblubienico.  
 Są maleńkie jak płatki uszu nie narodzonej owcy.  
 Nie, *gelin*, kłamiesz, są duże jak uszy dorosłego osła.  
 To przecież obojętne, mój oblubieńcu. Czy to moja wina,  
 że stały się tak duże i tłuste od wielkiej ilości *baktawy*?  
 Nie wiem, *gelin*, moja oblubienico.  
 Chyba że wolałbyś chudą laleczkę?  
 Nie, mała *gelin*.

— Żaden mężczyzna nigdy nie zdradzi, jak często we śnie wylewał nasienie na *jorgan* — rzekł bazarz. — Ale oceniam, że nasienie, które twój ojciec zmarnował w okresie tuczenia narzeczonej, wypełniłoby wszystkie gliniane dzbany stojące pod ścianami *ody*, zakładając, że dzbany te byłyby puste, a nie wypełnione serwatką, serem, zakonserwowanymi zielonymi pomidorami, papryką i innymi produktami. Babka to naturalnie widziała, i matka zresztą też.

Czy nie mówiłam ci, żebyś nie dotykał swojego interesu? Chcesz być taki jak nosiwoda?

Nie dotykam go, mamó. Wszystko dzieje się we śnie. Czy to moja wina, że wciąż mi się śni po nocach wielki arbuż z mięszu, krwi i miodu?

Pojawia się w twoich snach?

Tak, mamó.

A kto we śnie pociera twoją męską kość, która w zasadzie jest jeszcze kością dziecięcą?

Nikt, mamó.

Może Pan Bóg?

Nie wiem, mamó.

W wiosce Jedi Su wesela odbywały się zawsze po żniwach. Tak było od wieków. Kiedy wiatr z gór Hajastanu niósł plewy podczas młocki daleko na armeńską ziemię, stare baby zwykły mawiać: Wkrótce będzie znowu *harsanik-pilaw*, mając przy tym na myśli ormiańską potrawę weselną z ryżu, którą znali również Turcy, tyle że nazywali ją *zerde-pilaw*. Jasne, że stare baby były dobrze poinformowane. Tak to już jest:

z nastaniem jesieni bogini Anahita przychodzi niepostrzeżenie do wszystkich wiosek i miast Hajastanu, żeby wyciągnąć oblubienicę z domu rodziców i zwabić do domu oblubieńca.

I tak też było w roku 1893, gdy Anahita pokazała się Hagopowi we śnie i powiedziała do niego: Pora, Hagopie, zaprowadzić do ołtarza twego najmłodszego syna, bo spójrz, Hagopie, oblubienica jest już utuczona i stanie się dla twego najmłodszego żyzną podściółką, na której będzie mógł siać i zbierać żniwo.

Zbliżające się wesele było we wsi najważniejszym tematem rozmów. Starzy mężczyźni opowiadali dowcipy pod siedmioma studniami, a stare kobiety chichotały zawstydzone.

Hagop chciał, żeby został rybakiem, mówiły stare kobiety. Ale chłopak został tylko rolnikiem i pasterzem, który udaje, że jest też poetą.

Jest rybakiem, odpowiadali starzy mężczyźni, bo złowił tłustą narzeczoną. I wybuchali śmiechem mówiąc: Na taką tłustą rybę rybak potrzebuje mocnej wędki. Jak sądzicie: czy najmłodszy syn Chadisjanów ma dobrą, tęgą wędkę, żeby utrzymać na haczyku taką tłustą rybę?

Na co stare kobiety rumieniły się pod chustkami i mówiły: Tego nie wiemy. Ale jego wędka jest młoda. Oby Bóg podarował mu dużo dzieci.

Na siedem dni przed weselem Bülbül pojechała na swym bezimiennym ośle do sąsiedniego miasta obwodowego Gökli, by przekazać publicznemu heroldowi Nazymowi efendiemu pewną wiadomość. Herold Nazym efendi, Turek chromy na jedną nogę i głuchy na jedno ucho, obsługiwał siedem ormiańskich i dwie tureckie wioski w okolicy.

Przychodzę z polecenia Hagopa Chadisjana, oświadczyła Bülbül. Jego syn Wartan żeni się w przyszłym tygodniu w Jedi Su z córką *muchtara* Efrema Abowiana. Możesz przekazać tę wiadomość w siedmiu ormiańskich wioskach i zapowiedzieć wszędzie, że zaproszony jest każdy, kto nie złapał akurat cholery albo choroby francuskiej?

Czemu Hagop Chadisjan sam nie przyjechał? spytał herold.



Bo przysłał mnie, odpowiedziała Bülbül.  
 A ile ten Ormianin gotów jest dać za tę przysługę?  
 Parę nowych butów, które wykona dla ciebie jego syn  
 Dikran.

Skąd mam wiedzieć, że to prawda?  
 A jak długo mnie już znasz? spytała Bülbül.  
 Przeszło dwadzieścia lat, odparł herold.  
 I jak często przekazywałam ci wiadomości?  
 Bardzo często.  
 Czy kiedykolwiek cię okłamałam?  
 Nie, odpowiedział.

— Herold znał wszystkich ludzi w siedmiu wioskach — ciągnął bazarz. — I oczywiście każdy znał herolda. Za każdym razem gdy kuśtykał przez ulice w przekrzywionej futrzanej czapce, znoszonym ubraniu i butach, z dyndającym na brzuchu na wysokości szerokiego wełnianego pasa bębniem z koziej skóry oraz dwiema pałeczkami, by obwieścić ludziom najnowsze zarządzenia sułtana, dzieci wrzeszczały: *Münadi* idzie! *Münadi* idzie! Niektóre wykrzykiwały w jego głuche ucho szydercze wyrazy i sprośne przekleństwa. Ponieważ herold nie umiał czytać ani pisać, brał zawsze ze sobą biegłego w piśmie Ormianina, który potrafił przeczytać turecki tekst pisany arabskimi literami. Biegły w piśmie Ormianin szeptał potem to, co czytał, kulawemu i głuchemu na jedno ucho heroldowi do zdrowego ucha, a ten, trzymając dokument przed nosem, udawał, że sam potrafi wszystko bez trudu przeczytać, i skandował głośno przed tłumem tekst sułtana. Głos *münadiego* był tak potężny, że ludzie bali się, nawet gdy wiadomości były dobre. Mówiono, że *münadi* ryczy tak głośno, aby echo jego słów docierało do Kurdów w górach, choć wiedział, że Kurdowie tak czy owak nie przejmują się zarządzeniami sułtana.

Kiedy żona Hagopa po raz ostatni była brzemienna i *münadi* zjawił się akurat w wiosce ze swoim Ormianinem, Hagop odciągnął go na bok i zapytał: Co nowego, Nazym efendi?

Wkrótce usłyszysz, odpowiedział *münadi*.  
 Nie mógłbyś mi zdradzić tego już teraz?

Nie, Hagop efendi.

A za drobny napiwek... taki mały bakszysz... też nie?

Musiałbym się zastanowić, Hagop efendi. I ostrożnie dodał: Hagop aga.

A jeśli dam ci duży bakszysz?

Duży bakszysz, powiadasz, Hagop aga? Dobrze słyszałem, Hagop bej?

Dobrze słyszałeś.

No cóż, Hagop pasza. Za duży bakszysz można ze mną pogadać i zdradzę ci nawet więcej, niż wiem.

Hagop pasza, powiedział *münadi*: Wojna rosyjsko-turecka się skończyła. Rosjanie się wycofują. No i co ty na to?

Jaka znowu wojna, Nazym efendi?

Po prostu wojna, Hagop pasza, ta z siedemdziesiątego siódmego roku, i ta z siedemdziesiątego ósmego... którą, jak mi się zdaje, chybaśmy przegrali, mimo że Rosjanie nagle się wycofują.

Naprawdę była taka wojna?

Oczywiście, że była.

Nie widzieliśmy tutaj żadnych żołnierzy.

Rosjan też?

Rosjan też, potwierdził Hagop. I zapytał: Masz jeszcze inne wieści, Nazym efendi?

Tak, Hagop pasza. Niestety złe.

Nie możesz tych złych zachować dla siebie?

Nie, Hagop pasza, to niestety niemożliwe: wy, Ormianie, musicie teraz znowu płacić podatek wojskowy, mam na myśli *bedel*, bo wy, tchórzliwe psy, jesteście zbyt leniwi, żeby nosić broń za sułtana.

Ale my wcale nie jesteśmy tacy leniwi, Nazym efendi.

Czyżbyście ukrywali broń?

Niech Bóg broni, Nazym efendi.

Powiedz, Nazym efendi, czy nie mógłbyś przeczytać ze swojego pisma czegoś, czego w ogóle w nim nie ma? Chodzi mi o to, żebyś przeczytał ludziom, że sułtan powiedział, iż gratuluje mi syna Wartana.

A gdzie jest twój syn Wartan, Hagop pasza?

Jeszcze go nie ma na świecie, ale wkrótce przyjdzie. Moja żona jest bowiem brzemienna.

I kiedy twój syn przyjdzie na świat?

Kiedy pierwsze liście spadną z drzew, Nazym efendi.

No dobrze, Hagop pasza. Dałoby się coś zrobić. Sułtan mógł przecież powiedzieć coś, czego wcale nie powiedział. U Allaha wszystko jest możliwe. Może sułtan rzeczywiście ci pogratulował i nawet o tym nie wie.

No właśnie, Nazym efendi.

Ostatecznie, Hagop pasza, jeśli się zastanowić, to dlaczego wiadomość o wycofaniu się Rosjan miałaby być ważniejsza niż zbliżające się przyjście na świat twojego syna Wartana?

No właśnie, Nazym efendi.

Jak wysoki jest bakszysz?

No cóż, Nazym efendi. Zależy od tego, jak to powiesz.

Co masz na myśli, Hagop pasza? Chodzi ci o odwrót Rosjan i wojnę, i nowy *bedel*?

Nie, Nazym efendi. Mam na myśli to z moim synem.

A więc to?

Tak, dokładnie to.

— Było to dawno temu — rzekł bazarz. — A teraz ten sam herold obchodził siedem wiosek, aby powiedzieć ludziom, że Wartan, syn Hagopa, którego przyjście zapowiedział przed laty w imieniu sułtana, nie tylko jest już od dawna na tym świecie, lecz także zamierza się żenić, i to z córką *muchtara* Efrema Abowiana z Jedi Su.

## 10

Dokładnie dwa dni przed weselem przyjechał stryj Naha-bed z Ameryki. Przyjechał ze swym najstarszym synem Howardem, który miał właściwie na imię Howannes, tak samo jak głupi nosiwoda, i który — można wierzyć lub nie — był

jeszcze kawalerem, mimo że o pięć lat starszy od Wartana. Przybycie Amerykanów do Jedi Su było tak niezwykłym wydarzeniem, że nawet wróble na dachach straciły ze zdziwienia mowę, choć tylko przejściowo, gdyż kiedy tylko obaj wysiedli ze swych *arb* przed domem Chadisjanów, zaczęły ćwierkać znowu, z większym niż dotychczas podnieceniem i jeden przez drugiego.

To brat Hagopa, mówili ludzie. Jest szmaciarzem w Ameryce i milionerem.

A syn?

Jego następcą.

Dlaczego szmaciarz nosi kapelusz z rondem?

Nie wiadomo.

Jego syn też nosi podobny kapelusz.

Tak, widziałyśmy.

Turcy ich zabijają, jeśli będą chodzić po ulicy w takich dużych kapeluszach z rondem.

Ale nie w naszej wiosce.

Czy tak samo chodzili po Bekirze?

Trzeba by ich zapytać.

Przecież byli w Bekirze, prawda?

Owszem. Mieszkali parę dni u najstarszego syna Hagopa, Hajgaza.

Właściciela „Hajastanu”?

Tak.

Słyszałam, że najstarszy syn Hagopa wysłał szmaciarzowi telegram. W sprawie ślubu.

Tak, też o tym słyszałam.

Szmaciarz na pewno dał doręczycielowi depesz w Ameryce hojny bakszysz. W przeciwnym razie w ogóle by telegramu nie dostał.

Tak, to prawda.

Ci doręczyciele depesz w Ameryce biorą chyba niemałe napiwki. Wyliczcie sobie, jak się taki obłowi, jeśli dzień w dzień przynosi telegramy tylu milionerom!

Warto być doręczycielem depesz w Ameryce.

Idę z wami o zakład, że tam nawet doręczyciele depesz są milionerami.

Kiedy kobiety zbierały się przy siedmiu studniach, żeby wymienić ostatnie nowiny, a przede wszystkim rozmawiały o dwóch Amerykanach w marynarkach w kratę i wyprasowanych spodniach oraz dużych kapeluszach z rondem, ale także o narzeczonej, którą nazajutrz miano zawieźć do *hamamu* w Gökli, by tam w przeddzień ślubu została wykąpana i oczyszczona w słynnej łaźni parowej najbliższego miasta obwodowego, obaj Amerykanie siedzieli w męskim gronie w wiejskiej kawiarni i pozwalali się podziwiać.

Czy naprawdę wszyscy mężczyźni w Ameryce chodzą po ulicy w takich wielkich kapeluszach? spytał *muchtar*.

Owszem, potwierdził szmaciarz.

I nikt ich z tego powodu nie zabija?

Nikt.

Opowiedz nam jeszcze raz o waszych kapeluszach, poprosił Hagop, jak to było w Bekirze, gdyście wyprowadzili na spacer swoje wielkie amerykańskie kapelusze.

Przecież już opowiadałem.

Ale nie wszyscy słyszeli.

No dobrze, opowiem jeszcze raz.

Ale stryjowi Nahabedowi, jak się zdaje, nieśpieszno było do historii o kapeluszach, gdyż zaczął opowiadać o Ameryce, kraju wielkich swobód, gdzie Kurdowie, Turcy i Ormianie żyją ze sobą w zgodzie, gdzie nie ma podatku wojskowego ani paszportów wewnętrznych, ani podatku ślubnego, gdzie nawet tak często używane słowa, jak *bedel* i *teskere*, są nieznane, gdzie muzułmanie nie mają chrześcijanom za złe, gdy ci wzbraniają się przed obrzezaniem swoich kutasów. Wszyscy ludzie są tam ponoć równi i mają takie same prawa. Jedynie z Murzynami jest inaczej, gdyż nie są to prawdziwi ludzie, tylko oswojone małpy, powiedział mu to kiedyś taki jeden z Południa. To nie do pojęcia! Wyobraźcie sobie: ten południowiec opowiadał mi, że w jego mieście taka oswojona czarna małpa wyszczerzyła kiedyś zęby do białej kobiety. I wtedy, ma się rozumieć, przyszli biali mężczyźni w białych kapturach, wyciągnęli w nocy z łóżka tę małpę i z miejsca ją powiesili. Tak było. Ale poza tym za oceanem wszystko jest

w porządku. Pieniądze leżą na ulicy, ale zobaczyć je i podnieść potrafią tylko ludzie zaradni. I naturalnie tacy, co mają trochę oleju w głowie. Inni pozostają biedni, ale z własnej winy. Każdy może się szybko wzbogacić, jeśli ma żyłkę do interesów i Pana Boga po swojej stronie.

A jak to jest z wielkimi amerykańskimi kapeluszami? spytał Hagop.

Z jakimi amerykańskimi kapeluszami?

Z tymi, które ty i twój syn wyprowadziliście w Bekirze na spacer.

Ach tak, ta historia z kapeluszami?

Tak, ta.

No cóż, to było tak, rzekł stryj. Niech się zastanowię.

Pucułowaty stryj z Ameryki siedział wśród mężczyzn. Jego czerwony pijacki nos zdawał się śmiać, podobnie jak czarne chytre oczka. Urodziłem się w Hajastanie, powiedział stryj, ale ten tutaj, mój syn Howannes, którego nazywamy Howard, on urodził się w Ameryce. To mówiąc stryj wskazał szyderczo na swego syna, który chudy i blady, i trochę onieśmielony siedział między Hagopem a Wartanem, od czasu do czasu pykając z fajki wodnej postawionej obok jego poduszki przez Hagopa. Ten amerykański dureń, rzekł stryj — ciągle wskazując jakby oskarżycielskim gestem swego syna — nie rozumie ani po kurdyjsku, ani po turecku, a po ormiańsku potrafi powiedzieć zaledwie parę słów, które brzmią tak żałośnie, że można się tylko śmiać, żeby się nie rozplakać.

A w jakim języku potrafi mówić?

Tylko w *ingilizdże*.

A dlaczego nie zna tureckiego ani kurdyjskiego, ani nawet porządnie ormiańskiego?

Bo jest prawdziwym Amerykaninem, odparł stryj, i dlatego, że wydaje mu się, iż ludzie na całym świecie mówią tylko w *ingilizdże*, języku, który brzmi tak, jakby ludzie mieli w ustach gówno i żwir.

No więc w Bekirze nosiliśmy te duże kapelusze podczas spaceru, rzekł stryj. Naprawdę bałem się, że Turcy nas zabiją, ale jak widzicie: jeszcze żyjemy.

To prawda, przyznał Hagop.

Wyszliśmy więc z kapeluszeniami na spacer, ciągnął stryj, i bałem się, że nas zabiją, ale jeszcze żyjemy.

To już mówiłeś, powiedział Hagop.

Zgadza się, potwierdził stryj. I rzekł: Wyprowadziliśmy więc kapelusze na spacer po Bekirze i ludzie gapili się głupio, zwłaszcza Turcy, ale także inni muzułmanie.

Wyobrażam sobie, zauważył Hagop.

*Sinek kiahdy*, mówili niektórzy, a mówili to tak głośno, żebyśmy musieli słyszeć.

Co to znaczy? spytał mój syn, ten amerykański dureń.

To znaczy muchołap, odpowiedziałem. Cóż innego miało-  
by znaczyć!

A dlaczego ludzie mówią na nas muchołapy?

Zaraz ci pokażę.

Szliśmy uliczką między kramami, mówił stryj. Wśród ormiańskich handlarzy był też jeden Turek. Siedział śpiąc przed swoim kramem i łapał muchy.

Jak człowiek może łapać muchy, jeśli śpi? wtrącił Hagop.

Staliśmy więc przed kramem i śpiącym Turkiem, ciągnął stryj. Widzisz te gromady much? spytałem swego syna w *ingilizdże*. Wiesz, skąd się wszystkie biorą?

Nie, ojczu, odparł.

Ja też nie wiem, powiedziałem. I rzekłem: No cóż, to jest tak. Jest tutaj miasto, które nazywa się Turhał. To najbrudniejsze miasto w Turcji. Latem jest tam tyle much, że Turcy wylawiają je nawet z zupy weselnej.

Z zupy weselnej? spytał ten amerykański dureń.

Pewnie, że z zupy weselnej, odpowiedziałem. Turcy nazywają ją *düjün czorbasy*.

A dlaczego jest tam tyle much? zapytał.

Bo dawne ulice znajdują się trzy metry pod obecnymi.

A co leży na dawnej ulicy?

Wyłącznie brudy, mój chłopcze, powiedziałem. Bo ludzie od wieków wyrzucają śmieci na ulicę, nawet odchody i wiele innych rzeczy. Leżą tam także martwe koty i psy, na ulicy zgnił już też niejedyn żebak. A wszystko to wgniatają od wieków w ziemię brudne stopy ludzi i koła pojazdów.

A jak jest tu, w Bekirze?

Jeszcze gorzej.

W takim razie to Bekir jest najbrudniejszym miastem w Turcji?

Najbrudniejszym i najpiękniejszym, odpowiedziałem.

A potem wskazałem śpiącego Turka. Widzisz, mój synu, rzekłem, za każdym razem gdy łaskocze go mucha, budzi się.

Tak, ojciec, powiedział. Widzę.

I obserwuje ją spod wpróprzymkniętych powiek.

Tak, ojciec.

I czeka, aż mucha wlezie trochę wyżej, po nosie, po czole, a w końcu na fez.

Tak, ojciec.

Dopiero wtedy ją zabija. Widziałeś?

Tak, ojciec.

Żeby nie mieć na skórze krwi ani muszych odchodów. Rozgniata ją powoli z rozkoszą na czerwonym fezie, po czym martwą strąca palcem na ulicę.

Tak, ojciec. Widziałem.

Dlatego Turcy nie noszą kapeluszy z rondem, powiedziałem do swego syna. Jak bowiem Turek miałby stracić jednym palcem martwą muchę z fezu na ulicę, gdyby ten fez był kapeluszem z rondem? Byłoby to niemożliwe. Bo mucha zatrzymałaby się wewnątrz ronda.

Więc dlatego kapelusze z rondem to muchołapy?

Dlatego, mój chłopcze.

Ale tak naprawdę muzułmanie zezłościłi się na nas dopiero wtedy, gdy przechodziliśmy w kapeluszach obok jednego z ich meczetów, rzekł stryj. Wierni nie mówili już *sinek kiahidy*, tylko *szapkały*. Co to znaczy? zapytał mój syn. A ja mu wyjaśniłem: To tureckie słowo oznaczające człowieka w kapeluszu. Niebezpieczne słowo, mój synu.

Dlaczego niebezpieczne, ojciec?

Tak, właściwie dlaczego? Nie wiem, mój synu. Po prostu jest niebezpieczne. I powiedziałem do niego: Jako chłopiec często spacerowałem po Bekirze, włóczyłem się po bazarach i oglądałem za kobietami, za kobietami w czarnych czarczafach i podwójnych zasłonach. Raz widziałem Anglika,



który nosił kapelusz podobny do naszych. I ludzie lżyli go mówiąc *szapkały*. Nazajutrz znaleziono Anglika poza miastem. Miał uciętą głowę. A obok głowy leżał ten duży kapelusz. Ale bez ronda. Przypuszczam, że ten, kto mu uciął głowę, obciął też rondo, bo szczególnie ono go irytowało.

Dlaczego? spytał mój syn.

To przecież obojętne, durniu, odpowiedziałem. Czy nie wystarczy, że go irytowało?

W tym miejscu wtrącił się kapłan, który przez cały czas siedział milcząco obok szmaciarza i tylko się przysłuchiwał. Jest powód, powiedział.

I kapłan rzekł: Kiedy ludzie mówią „muchołapy” na duże kapelusze z rondem, nie ma w tym nic groźnego, gdyż kapelusz służy im jedynie za pretekst do ostrzenia sobie języka i dowcipu. Nie zabijają człowieka w kapeluszu ani nie obetną mu głowy, a tym bardziej ronda kapelusza. Co innego jednak, gdy mówią *szapkały*! Nie jest to słowo prześmiewcze. Używający go chcą bowiem w ten sposób powiedzieć, że ktoś w kapeluszu z rondem przyjechał po to, by rzucić wiernym wyzwanie, a przede wszystkim by szydzić z *mahdiego*.

I kapłan rzekł: *Mahdi* mieszka w muzułmańskim raju i już za życia był świętym. Niekiedy, jak wierzą muzułmanie, Allah pozwala *mahdiemu* na kilka sekund zejść na ziemię i zdradzić prawdziwym wiernym już teraz jedną z wielu tajemnic raju. *Mahdi* ukazuje się takiemu wybrańcowi zawsze po okresie postu i rytualnym oczyszczeniu, ale i wtedy tylko podczas modlitwy, kiedy ten dotyka czołem prochu ziemi i wymawia przy tym imię Allaha. Kiedy pojawia się *mahdi*, wierny, który klęczy wszak przed Allahem, nie musi wstawać, wystarczy, że skieruje w górę oczy. Wtedy zobaczy *mahdiego*.

A co to ma wspólnego z rondem kapelusza? spytał Hagop.

Bardzo wiele, odparł kapłan. Jak bowiem wierny podczas modlitwy, klęcząc na dywaniku, z czołem w prochu, z oczyma zwróconymi w górę... miałby zobaczyć *mahdiego*, gdyby rondo kapelusza zasłaniało mu widok? Rondo nie jest przecież ze szkła.

Nie jest ze szkła, powtórzył Hagop.

No właśnie, powiedział kapłan.

Czy dlatego muzułmanie nie noszą kapeluszy z rondem?

Wyłącznie dlatego, oświadczył kapłan.

Te wielkie kapelusze rzeczywiście są niebezpieczne, rzekł Hagop. Jutro przyjedzie mój najstarszy syn Hajgaz. Poproszę go, żeby postarał się o przyzwoite nakrycia głowy dla mojego brata i jego syna.

To dobry pomysł, przyznał kapłan. W Bekirze jest duży wybór przyzwoitych kapeluszy bez ronda. Twój najstarszy syn powinien załatwić je zaraz po weselu, mam na myśli: gdy wróci do Bekiru, a potem jak najprędzej przesłać je tutaj przez jakiegoś *arbadzgo*. Turban też wprowadzie nie byłby zły i najmniej rzuca się w oczy, ale moim zdaniem tacy wytworni panowie jak twój brat z Ameryki i jego syn powinni nosić czerwone fezy. Nie sądzisz, Hagop efendi, że powinieneś powiedzieć swemu najstarszemu synowi, iż czerwony fez najlepiej by się nadawał dla nich obu?

Też tak sędzę, zgodził się Hagop.

Mężczyźni pili w dużych ilościach *raki*, a także ormiańską wódkę *oghi*, pogryzali słodkości, popijali aromatyzowaną herbatę i słodką kawę. Stryj otoczył ramieniem Wartana i szepnął mu coś na ucho. Wartan zaczerwienił się, więc stryj powtórzył, bardzo cicho, żeby nie mógł usłyszeć nikt poza chłopcem:

Powiedz mi, bratanku, czy miałeś już kiedyś kobietę?

Nie, stryju Nahabedzie.

A wiesz, jak musisz to zrobić w dzień ślubu?

Nie, stryju Nahabedzie.

A twoja narzeczona? Czy ona wie?

Nie sędzę.

W takim razie muszę z tobą później pogadać.

Nikt nigdy nie widział nagiego tyłka narzeczonej, nawet nosiwoda, który czasem podglądał kobiety, gdy załatwiały w stajni potrzebę naturalną. Również Wartan nie potrafił wyobrazić sobie nic konkretnego, co odpowiadałoby z grubsza rzeczywistości. Jedyłą możliwością dowiedzenia się czegoś

więcej o tyłku i o innych sprawach były relacje kobiet, które w przeddzień uroczystości odprowadziły narzeczoną do łaźni parowej. Tym można tłumaczyć wielkie napięcie, jakie wizyta w *hamamie* wywołała nie tylko u Wartana, ale i u wszystkich innych, których obecność podczas kąpieli była niedozwolona. Mężczyźni rozpuszczali po wsi dzikie pogłoski, także parę kobiet, które nie poszły z narzeczoną do łaźni, trajkotały podniecone jedna przez drugą. Kiedy wieczorem kobiety towarzyszące narzeczonej wróciły wreszcie razem z nią z *hamamu*, zasypano je pytaniami.

Widziałyście tyłek?

Nie. Owinęła go w prześcieradła.

Ale łaźiebna, *hamamdzy*, ona na pewno widziała tyłek narzeczonej, gdy pomagała jej się owijać w prześcieradła.

Tak, ona widziała.

I co powiedziała?

Że to dobry tyłek i że biodra też są silne i tłuste. *Hamamdzy* powiedziała: Ta dziewczyna będzie miała dużo dzieci.

A jak wygląda tyłek?

*Hamamdzy* powiedziała: Dokładnie tak jak jej twarz. Tłusta bryła mięsa.

Ależ to niemożliwe. Tyłek nie ma przecież oczu ani uszu, ani nosa.

To prawda. Ale wygląda jak twarz, jeśli wyobrazić ją sobie bez uszu, oczu i nosa.

A co z ustami?

Tyłek ma usta, tyle że mają one kształt długiej szczeliny i biegną z góry na dół, a więc odwrotnie.

Odwrotnie?

Tak, po prostu odwrotnie.

A co z piersiami? Naprawdę przypominają owoce granatu? Może podobne są do dużych worków na ser, z których wyciska się serwatkę?

Piersi nie przypominają ani owoców granatu, ani worków na ser, mówiły kobiety, które widziały w *hamamie* nagie piersi narzeczonej. Jej piersi są jak nie opierzone gołąbki, ale z czerwonym dziobkiem, i możecie wierzyć lub nie: mimo że te gołąbki są nie opierzone, wyglądają tak, jakby miały lada chwila odfrunąć.

W takim razie najwyższy czas, żeby wyprawić wesele, mówili mężczyźni, i żeby najmłodszy syn Hagopa schwycił te piersi i nie pozwolił im odfrunąć.

Tak jest, potwierdziły kobiety.

Ale najmłodszy syn Hagopa chce zostać poetą, mówili mężczyźni. Jego dłonie są delikatne i nie potrafią chwycić jak należy.

Więc trzeba go nauczyć, stwierdziły kobiety.

To prawda, zgodzili się mężczyźni.

— W sześć dni Bóg stworzył świat — rzekł bazarz — a dnia siódmego ukoronował swe dzieło szabatem. Nic więc dziwnego, że wesele Wartana trwało całych siedem dni i że ślub kościelny odbył się w siódmym dniu, czyli dniu ukoronowania dzieła stworzenia, i to w niedzielę, ponieważ chrześcijanie przenieśli święty szabat na niedzielę.

Już w przeddzień wesela, gdy zaprowadzono narzeczoną do *hamamu*, zaczęli się zjeżdżać *arbami* krewni Chadisjanów. Niektórzy przybyli z daleka, również z takich miast jak Belgrad i Sarajewo, a więc miast, które należały niegdyś do państwa osmańskiego. Wśród nich był także Ghazar Chadisjan, właściciel kawiarni z Sarajewa, z żoną i sześciorgiem dzieci, i jego szwagier Chaczadur Babajan, który miał w Belgradzie fabrykę włókienniczą. Nie będę ci wyliczał wszystkich krewnych Chadisjanów, którzy przybyli z sąsiednich wiosek oraz mniejszych i większych miast, jedni wózkami zaprzęzonymi w osła, inni *arbami* ciągniętymi przez woły, muły lub konie, bo czasu, jak obaj wiemy, zostało niewiele. Musi ci zatem wystarczyć moje zapewnienie, że ci, których twój ojciec kochał najbardziej, stawili się w komplecie.

— Niektórzy goście — mówił bazarz — zostali po drodze obrabowani przez Kurdów, i ci zjawili się bez prezentów, niektórzy nawet nago i boso. Krewni z Bekiru przyjechali wszakże pod eskortą, gdyż Hajgaz miał dobre stosunki z władzami, które za wysoki bakszysz oddały do dyspozycji właściciela „Hajastanu” i jego krewnych wraz z *arbami* dwudziestu uzbrojonych żandarmów, a ci przeprowadzili karawanę przez tereny zamieszkane przez Kurdów do samego Jedi Su.

— Tak to było — rzekł bazarz. — W dniu rozpoczęcia uroczystości w wiosce było tak tłoczno, że kapłanowi Kapielowi Hamadianowi nie pozostało nic innego, jak ulokować w swoim kościele gości, których nie udało się już umieścić w *odach*, stajniach i stodołach. Wszak przyjechali też Ormianie z siedmiu wiosek, i nawet kilku Turków z sąsiedniej tureckiej wioski Keferi-Köj, krewnych zaprzyjaźnionej rodziny tureckiej z Jedi Su. W wiosce pojawili się nagle kupcy perscy, rosyjscy i arabscy, a także półkoczowniczy Kurdowie i paru chaldejskich nestorianów, resztki sekty powstałej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, a mieszkającej obecnie w jaskiniach skalnych w pobliżu siedmiu ormiańskich wiosek. Nagle zaroilo się od nieproszonych gości, przede wszystkim czcicieli diabła, Cyganów, żebraków i golców, których nigdy nie brakowało, kiedy nie skąpiono jadła i napitku. Podobno wieść o weselu Wartana usłyszano za sprawą dźwięków bębna *münadięgo*, niesionych przez echo i wiatr, daleko poza granicami siedmiu wiosek. Wraz z żebrakami przybył także ślepiec spod Bramy Szczęśliwości: Mehmed efendi. Jego wszakże zabrał po prostu szewc Dikran.

W Jedi Su z dawien dawna ludzie zwykli mawiać: Kto ma córkę, ten traci ją w dzień jej wesela, co innego jednak, kiedy ma się syna. Panna młoda opuszcza bowiem dom rodziców, żeby zamieszkać pod dachem oblubieńca. Tylko rodzice pana młodego nikogo nie tracą. Zyskują natomiast córkę.

Nic więc dziwnego, że u Chadisjanów panowała radość, z domu *muchtara* zaś dobiegały głośnie zawodzenia i płacz.

Panna młoda pakuje już swoje rzeczy, mówili ludzie. Łamie serce swojej matce.

— No cóż, nie wiem — powiedział bazarz — czy panna młoda rzeczywiście złamała serce swojej matce, gdyż dla czego Abowianom tak śpieszno było wydać czym prędzej za mąż swoją utuczoną córkę? Faktem zaś jest, że głośnie zawodzenia i płacz podczas pakowania wyprawy i przygotowań do pożegnania należą do dobrych obyczajów, rodzice panny młodej winni bowiem pokazać całą wiosce, jak boleją nad

tym, że tracą ukochaną córkę. Dlatego dwaj balladziści z Bekiru, których Hajgaz przywiózł na życzenie *muchtara*, stali przed domem naczelnika, czasem przed otworami okiennymi, czasem przed otwartymi drzwiami, i śpiewali szydercze przyśpiewki: „Idź z Bogiem, córko moja — zawodził jeden, naśladując głos matki panny młodej — idź z Bogiem, córko moja, i nie zapomnij o nas”.

„Jakże miałabym zapomnieć, matko moja — odśpiewywał drugi wysokim piskliwym głosem utuczonej oblubienicy — jakże mogłabym zapomnieć, matko ma, gdy piłam słodkie mleko twe”.

„Idź z Bogiem, córko moja — ciągnął nutę pierwszy — idź z Bogiem, córko moja, którą wykarmiłam mlekiem swym”.

— Tak to było — westchnął bajarz. — Hagop zapłacił za prawo do mleka tysiąc piastrów, sumę przyjętą zwyczajowo wśród szanowanych rodzin, a poza tym dał pieniądze za wyprawę, nazywaną *ozid*. W przeddzień uroczystości Dzowinar przyniosła przyszłej synowej miskę z henną, a dokładnie miskę glinianą, która spoczywała na drewnianym talerzu obficie garniowanym owocami. Henna i owoce były symbolami bogini Anahity, a panna młoda, która w przeddzień wesela zjadła owoce od teściowej, a następnie polakierowała sobie henną paznokcie u rąk i nóg, miała być płodna i podarować teściowej wiele wnuków. Wręczając miskę przyszłej synowej Dzowinar powiedziała: Tłusty tyłek nie jest gwarancją. Musisz zjeść moich owoców, *gelin*, synowo moja... i posmarować tą czerwoną diabelską farbą wszystkie paznokcie, którym Pan Bóg pozwala rosnąć na twoich palcach u rąk i nóg. I pamiętaj: kiedy mój syn, który jest zdrowy i ma w żyłach dobrą krew... kiedy cię zapłodni... z pomocą Boga i Zbawiciela... nie zapomnij położyć Biblii obok postania i zawiesić czosnku nad drzwiami.

Hagop zabił więcej owiec i jagniąt, niż stado mogło znieść bez uszczerbku, i również *muchtar* dołożył hojną ręką sporo sztuk z własnego stada.

Nie zostanie zwierząt na podatek ślubny dla szejka kurdyjskiego, rzekł Hagop do *mughtara*.

A *mughtar* odpowiedział: Do diabła z kurdyjskim szejkiem i podatkiem ślubnym.

Miejmy nadzieję, że szejk zapomniał o podatku.

Można mieć tylko nadzieję, przyznał *mughtar*.

Wioskę wypełniały słodkie aromatyczne zapachy. Dym znad różnów snuł się czasem, niesiony wiatrem, nad płaskimi dachami wioski i unosił w pobliskie góry.

Te zapachy mogą dotrzeć do nosa szejka, powiedział Hagop.

Cała nadzieja w tym, że wiatr wcześniej zmieni kierunek, odrzekł *mughtar*.

Zwyczaj nakazywał, żeby w przeddzień ślubu kościelnego golił i strzygł pana młodego jakiś renomowany fryzjer. Uchodziło to za znak poważnego podejścia pana młodego do małżeństwa i gotowości do obyczajnego domowego życia. Im bardziej ceniony fryzjer, tym poważniejszy zamiar pana młodego. Załatwienie renomowanego fryzjera, w miarę możliwości takiego, który potrafi również śpiewać ballady w trakcie strzyżenia i golenia, stare ormiańskie pieśni o weselach, licznym potomstwie, obyczajności, wielkim szczęściu, pieniądzach i radości, było na ogół zadaniem chrzestnego. Ponieważ rudy kowal, który był, jak wiadomo, chrzestnym Wartana, nie znał fryzjera mogącego spełnić oczekiwania rodziny Chadisjanów, Hagopowi nie pozostało nic innego, jak zlecić najstarszemu synowi Hajgazowi, aby przywiózł z Bekiru stosownego mistrza fryzjerskiego, gdyż o tym, że w tak dużym mieście jak Bekir są też renomowani i śpiewający fryzjerzy, wiedzieli wszyscy. I właściciel „Hajastanu” faktycznie przywiózł *arba* fryzjera, ale nie jakiegoś tam, tylko słynnego ormiańskiego fryzjera Wagharszaga Bahaduriana, prawdziwego fryzjera weselnego, który bywał u bogaczy i znał włosy i brody ich synów lepiej niż matki i żony. Ów słynny fryzjer obsługiwał już Hajgaza, kiedy ten brał ślub z leciwą Wartuhi, a przed kilkoma laty — co było prawdziwą sensacją — włas-

noręcznie za pomocą brzytwy i nożyczek przygotował do ślubnego łoża poprzedniego ormiańskiego burmistrza Bekiru (wdowca, który żenił się po raz drugi): niełatwe zadanie, jeśli zważyć, że poprzedni *mughtar* Bekiru był łysy jak Efrem Abowian, *mughtar* Jedi Su, miał niesforny szczeciniasty zarost, cierpiał na wzdęcia i czkawkę, zwłaszcza w trakcie przystrzygania i golenia, i puszczał ze strachu wiatry, gdy ktoś zbliżał ostre narzędzia do jego skóry i włosów. Ale słynny mistrz fryzjerski Wagharszag Bahadurian nie tylko przystrzygł fachowo posiwiatłe loczki nad uszami i na skroniach, lecz nasmarował i przygładził je także olejkiem różanym. A więc majstersztyk, prawdziwe dzieło sztuki. Również golenie, jak mówiono, wypadło wtedy jak należy, bez kępek nie usuniętego zarostu. Fryzjer ten, powiadali ludzie, potrafi śpiewać jak pierwsze ptaki wczesnym rankiem, a jego głos przynosi każdemu szczęście oraz zdrowie i zwiększa potencję, co jest faktem dowiedzionym, gdyż wszyscy jego weselni klienci są jeszcze całkiem żwawi i wydali na świat wiele dzieci, nawet były *mughtar* Bekiru, mimo że ów — jak wiadomo — już wtedy, żeniąc się po raz drugi, nie należał wszak do najmłodszych, miewał podejrzone wzdęcia, pierdział ze strachu i cierpiał na czkawkę.

— Siedem dni i siedem nocy krążyłem niewidzialny po wiejskich ulicach Jedi Su — rzekł bazarz. — Nikt mnie nie widział, a mimo to zdawało mi się, że jadłem i piłem wraz z gośćmi weselnymi i śpiewałem z nimi i tańczyłem w ciasnych uliczkach i na placu wioskowym. Mieliśmy szczęście z pogodą, gdyż Pan Bóg przegnał nadciągające chmury z powrotem na drugą stronę gór. Nic więc dziwnego, że żółte słońce, chowane však co wieczór przez dzikich Kurdów wysoko w górach w czarnym namiocie z koziej skóry, w ciągu dnia śmiało się bez przeszkód nad Hajastanem, a najzwyklej, jak mi się wydawało, tu w tej okolicy, gdzie znajdowała się wioska Jedi Su z małym kościołem gregoriańsko-apostolskim, z placem pośrodku i kawiarnią, kuźnią, kilkoma wąskimi zakurzonymi uliczkami, z lepiankami o ścianach pokrytych białymi kaflami oraz pojedynczymi domami z kamie-



nia łamanego i skały — wioska Jedi Su o płaskich dachach, dachach, gdzie w gorące letnie dni spano pod gołym niebem, gdzie wisiało pranie i suszyło się krowie łajno, *tezek*, i gdzie kobiety wystawiały na słońce w cienkich blaszkach przeznaczonych na syrop sok z morwy i winorośli, który przyciągał roje much i komarów. Kolorowe były stroje kobiet, zgrabne pantofelki z safianu, błyszczące ozdoby na rękach, w uszach i na szyi oraz na podwójnych zasłonach. Tym cięższe wydawały się masywne buty mężczyzn i siermiężne kubraki bez rękawów, białe, szare i brązowe szarawary oraz czarne futrzane czapki. Co by to było, mówiłem sobie, gdyby podczas uroczystości faktycznie spadł deszcz? Co by się wtedy stało z wesołością pod gołym niebem? Jak tańczący zmieściliby się pod dachami domów chroniącymi przed ulewą, skoro było tam tak mało miejsca? Jak tańczyliby w dusznych izbach? A może zostaliby na ulicy, żeby przemoknąć do suchej nitki i utonąć w błocie? I gdzie graliby muzykanci? Może na deszczu?

W szóstym dniu uroczystości odpoczywałem wyczerpany na wschodnim ostrołuku wiejskiego kościoła. Obok mnie siedział mój pozorny cień lub ten, który mógłby nim być.

— Jak ci się podoba pogoda? — zapytałem.

— Podoba mi się — odparł mój cień.

— Kurdowie mogli wszak zatrzymać słońce, na złość Ormianom.

— Ale nie zrobili tego.

— To prawda.

— To prawda — powtórzył mój cień.

— Albo Panu Bogu mogło zabraknąć pary w płucach i w takim smutnym wypadku nie przegnałby chmur. Wtedy chmury zakryłyby słońce, a jego promienie w deszczową pogodę na wiele by się nie zdały.

— Mogłoby się tak zdarzyć.

— Ale na ormiańskich weselach nie może padać deszcz!

— A czemu to?

— Bo Chrystus jest wśród gości weselnych.

— Skąd o tym wiesz?

— Każdy wie — odparłem. — Chrystus jest na każdym ormiańskim chrzcie i na każdym ormiańskim weselu.

— Czy Ormianie są jego najukochańszymi chrześcijanami?

— Owszem, moja owieczko — powiedziałem ja, bazarz.

— Ormianie są jego najukochańszymi chrześcijanami, gdyż tu, w kraju muzułmanów, grozi im wielkie niebezpieczeństwo.

— Wielkie niebezpieczeństwo?

— Wielkie niebezpieczeństwo.

— Z jego powodu?

— Z jego powodu.

— Twarz Hagopa jaśnieje zadowoleniem — powiedziałem do własnego cienia — bo podczas wesela jego najmłodszego syna wszystko wydaje się układać pomyślnie. Nie tylko pogoda, mam na myśli także muzykę.

— Nigdy dotąd nie widziałem tylu muzykantów na chłopskim weselu.

— Sazy i bębny pochodzą z Jedi Su — wyjaśniłem — podobnie młodzieńcy, którzy potrafią na nich grać... inni, grający na anatolijskich instrumentach dętych i smyczkowych, przybyli z sąsiednich wiosek, ale także z Gökli, miasta *münadięgo*, a kilku nawet z Bekiru. Hajgaz załadował ich razem z fryzjerem weselnym na swoją *arbę*.

— Widziałem także Cyganów w łachmanach.

— Widziałeś też ich skrzypce?

— Tak.

— Przyjechali z Rosji — powiedziałem. — To przemysłowicy, którzy przewożą przez granicę do Wanu ormiańską wódkę z Erewanu. Czasem zapuszczają się w te strony. Nigdy nie jeżdżą bez skrzypiec i choć nie umieją czytać nut, potrafią bez nich przekształcić w melodie sny i marzenia. Skrzypce mają własny swoisty język, a gdy opowiadają historie ze snów i marzeń, kobietom wilgotnieją oczy, natomiast wzrok mężczyzn staje się dzikszymi. Zgiełk czyniony przez muzykantów — ciągnąłem — niesiony wiatrem, dociera do uszu Kurdów w górskich obozach. A ponieważ moje uszy słyszą również to, co słyszą Kurdowie, mówię teraz do ciebie: Kurdowie czają się. Ich szpiedzy od dawna są w drodze.

- Czy Kurdowie napadną na wioskę?  
 — Nie wiem.

I usłyszałem, jak matka szejka kurdyjskiego przekonuje swego syna: Ci Ormianie, mój synu, robią taki hałas, że twój ojciec nieboszczyk przewraca się w grobie.

Mój ojciec powinien spoczywać w pokoju, powiedział szejk. Ale ci niewierni nie pozwalają mu spoczywać w pokoju. Masz rację.

Znów odprawiają wesele. To najmłodszy syn Hagopa i córka łysego *muchtara* Efrema Abowiana.

Wiem o tym.

Czy Hagop i *muchtar* zapłacili już podatek ślubny?

Nie, jeszcze nie.

Więc powinienes go ściągnąć.

I tak zrobię.

Kiedy?

W siódmy dzień uroczystości.

Uprowadzisz pannę młodą?

Oczywiście.

A kto ją rozdziewiczy?

Jeden z moich synów ją rozdziewiczy.

Który z nich?

Jeszcze nie wiem.

Stara pokiwała głową, po czym roześmiała się i rzekła: Damy tym niewiernym nauczkę, żeby we wszystkich siedmiu wioskach wiedziano: biada Ormianinowi, który nie zapłaci podatku ślubnego.

— Hagop nie skapi wódki ani wina — powiedziałem do swojego cienia. — Widziałeś? Nawet tureccy goście leją w siebie jak w beczkę.

— Czemu nie — odparł mój cień. — W Koranie nie ma żadnej wzmianki o ormiańskich wódkach i ormiańskich winach. Czemu więc muzułmanie mieliby sobie nie popić?

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę, ja i mój cień, po czym mój baśniowy głos uciał sobie drzemkę, zaraz się jednak

obudził i przetań nie istniejące, pozorne oczy. Około południa szóstego dnia uroczystości ja, bajarz, opuściłem kościelny ostrołuk i w towarzystwie tego, który jak sobie wyobrażam, mógłby być moim cieniem, poszybowałem nad wioską i wylądowałem w końcu na placu przed kawiarnią, gdzie kowal wznosił akurat toast za swego chrześniaka.

Musimy ruszać, powiedział kowal, bo Wartan będzie wkrótce publicznie golony i strzyżony.

Może będzie golony i strzyżony tu, na placu?

Nie. Przed *odą* Chadisjanów, na dworze.

W takim razie musimy się pośpieszyć, żeby zdobyć chociaż miejsce stojące.

Tak więc podążyłem za orszakiem mężczyzn. A za nami szły kobiety. Każdy chciał być przy tym, żeby śledzić obrządek i naturalnie podziwiać słynnego fryzjera... Wagharszaga Bahaduriana... o którym wiele już słyszano.

Przed otwartymi drzwiami domu Hagop położył dwa worki ze zbożem, a na nich gruby dywan. Tam właśnie siedział Wartan niczym młody król na tronie. Otaczał go zwarty tłum. Wszyscy gadali jeden przez drugiego. Co rusz słyhać było: Gdzież się podziewa fryzjer? Gdzie jest Wagharszag Bahadurian... Wagharszag efendi?

Mój cień i ja precyzyjnie się przez tłum i usiedliśmy obok Wartana. Zauważyliśmy, że jest niespokojny, trochę skrępowany i zmieszany, nie był wszak przyzwyczajony do takich zaszczytów i względów. Możliwe, że w swej skromności w ogóle nie pomyślał o tym, że może się kiedyś znaleźć w centrum uwagi, stać się kimś, wokół kogo wszystko się kręci. Wartan szukał wzrokiem panny młodej, nie mógł jej jednak dostrzec, widział tylko, oślepiiony jasnym południowym słońcem, barwne stroje otaczających go tłumnie gości weselnych, czuł zapach ich potu i bijące z ust alkoholowe wyziewy. Prawdopodobnie myślał sobie: Wkrótce przyjdzie fryzjer, żeby cię przystrzyć do łoża weselnego, jutro weźmiesz ślub w kościele, a później... tak, później będziesz musiał rozdziewiczyć pannę młodą i wywiesić przed drzwiami poplamione krwią prześcieradło, aby wszyscy widzieli, że była

jeszcze dziewicą. A ona musi być dziewicą, bo tego wymaga honor.

My, Ormianie, nazywamy honor *badiw*, powiedział kiedyś do Turka Gög-Göga. Honor jest ponad wszystko. A honor panny młodej jest także honorem oblubieńca.

U nas, Turków, jest podobnie, odparł wtedy Gög-Gög.

Mój cień i ja siedzieliśmy zatem obok Wartana nie widziani przez nikogo. Gdy przyszedł w końcu fryzjer i zabrał się do strzyżenia, ulotniliśmy się niepostrzeżenie i stanęliśmy obok krewnych Wartana.

— Gdzie panna młoda? — spytał mój cień.

— Panna młoda jest ukrywana przez swoich krewnych. Ale na pewno przyjdzie, gdy kapłan będzie święcił stroje państwa młodych. Ślub kościelny jest wprawdzie dopiero jutro, w siódmy dzień uroczystości, ale dziś, szóstego dnia, odbywa się poświęcenie strojów.

— Więc kapłan dziś poświęci stroje?

— Oczywiście, że dziś... obok świętego *toniru*.

— Po strzyżeniu i goleniu?

— Zaraz potem.

— Widziałeś kobiety Cyganów? — spytał mój cień. — Jedna z nich zauroczyła przedtem nożyczki fryzjera. I brzytwę.

— Splunęła na brzytwę i nożyczki — potwierdziłem.

— Ale to oznacza tylko szczęście.

— Szczęście?

— Owszem, i dobre, życzliwe myśli.

— Cyganie wszystko wiedzą — powiedziałem. — Trzeba by ich zapytać, kiedy nastąpi wielki *tebk*.

— Wielka masakra?

— Tak. Lub przynajmniej o to, czy Kurdowie uprowadzą pannę młodą. Kurdowie robią to przeważnie siódmego dnia uroczystości, tuż po ślubie kościelnym... ale tylko wtedy, gdy nie zapłacono podatku ślubnego.

— Dlaczego nie porywają panny młodej przed ślubem?

— Dlatego że rozdiewiczenie jest skuteczniejsze i wstrząs dla pana młodego większy, kiedy oblubienica nosi już obrączkę, a wraz z obrączką jego nazwisko.

— A więc Kurdowie porwą pannę młodą?

— Właściwie powinni to uczynić — potwierdziłem. — To sprawa honoru. Ale może szejka kurdyjski ma inne kłopoty i zdążył tymczasem zapomnieć o weselu. Wszystko jest możliwe.

— Można mieć tylko nadzieję — rzekł mój cień.

— No właśnie — przytaknałem. Po czym dodałem w związku z Cyganami: — Przez pięć nocy spali na dworze pod świętym drzewem, bo wierzą, że posiada ono magiczne siły.

— Przez pięć nocy?

— Owszem. A dzisiaj jest dzień szósty.

Na razie przyglądaliśmy się fryzjerowi, który zręcznie obrabiał głowę oblubieńca. Wkrótce przystąpi do golenia. Fryzjer celowo pracował powoli. Od czasu do czasu opuszczał nożyczki, aby zebrać napiwki, które jak zwyczaj każe, rzucali mu goście weselni. Sypały się monety miedziane, srebrne i złote. Fryzjer zbierał je z nieruchomą twarzą. Nie dziękował.

Dopiero gdy przystąpił do golenia Wartana i namydlił mu brodę — prawdziwym, perfumowanym, pieniącym się frankońskim mydłem — zaczął śpiewać, i zaprawdę: jego głos przypominał głosy pierwszych ptaków wczesnym rankiem. Także muzykanci chwycili znów za instrumenty, żeby mu akompaniować.

— Gdzie są właściwie Cyganie?

— Są tutaj, moja owieczko — odrzekłem.

— Dlaczego nie grają na skrzypcach?

— Jeszcze czekają, moja owieczko — powiedziałem.

Kiedy zaczęli grać rosyjscy Cyganie, umilkły wszystkie inne instrumenty, a głos fryzjera przycichł. Łkanie skrzypiec uniosło nas obu, mnie i mój cień, a wraz z nami i czarodziejską muzyką wydobywaną z dusz skrzypiec oraz dusz Cyganów zdawała się wzbijać w górę cała wioska, plac pośrodku i zakurzone uliczki, krzywe domy i *tezek* na dachach. Wśród nas przebywał zaś Chrystus, gdyż przez cały czas brał udział w uroczystości. Wzlecieliśmy do nieba, po czym wróciliśmy,

a gdy skrzypce nagle umilkły, wszyscy znaleźliśmy się znowu na ziemi.

— Wśród gapiów — odezwał się mój cień — widzę też sporo ludzi, o których kapłan Kapriel Hamadian powiedział przedtem, że są z sekty czcicieli diabła. Mężczyźni wyglądają dziko i noszą turbany, kobiety zaś kolorowe stroje kurdyjskie.

— Też ich widzę.

— W nocy sypiają na dachu kuźni.

— A gdzie mieliby spać — powiedziałem — skoro wszystkie pomieszczenia są przepelnione?

— Kapłan nie wpuściłby ich do kościoła?

— Nie wiem.

— Ciarki mnie przechodzą na ich widok — rzekł mój cień.

— To nieszkodliwi ludzie — powiedziałem.

— Naprawdę wierzą w diabła?

— Wierzą w Boga — wyjaśniłem — ale wierzą też, że walka między dobrem i złem nie jest jeszcze rozstrzygnięta.

— Modlą się do Boga?

— Nie — odparłem — nie modlą się do Boga, bo wierzą, że Bóg jest tak dobry, iż nie potrafi karać. A ponieważ tak czy owak nie karze nikogo, nie ma potrzeby go ułagadzać.

— A kogo starają się ułagodzić?

— Diabła. Diabeł jest bowiem zły. I bardzo się go boją — odpowiedziałem. — Czczą jednak Meleka Tausa. To ptak z brązu, jakich jest w tym kraju tylko siedem sztuk. Tego ptaka *kawwałowie* obnoszą od wioski do wioski, gdyż ucieleśnia on ducha Bożego na ziemi.

— Kto to są *kawwałowie*?

— To kapłani czcicieli diabła — wyjaśniłem. — Ci *kawwałowie* nie mają lekkiego życia i są naprawdę mocno udręczeni, gdyż nie tylko dźwigają ciężkiego brązowego ptaka od wioski do wioski, ale muszą też dosiadać kobiet swych zwolenników, każdy czciciel diabła czuje się bowiem szczególnie zaszczycony, gdy jego kobieta przez spółkowanie z *kawwałem* przyjmuje ducha Bożego. A przy tym — ciągnąłem — czciciele diabła chrzczą swoje dzieci jak chrześcijanie, ale

także poddają chłopców obrzezaniu jak Żydzi i muzułmanie. Dziwny to lud.

— A mnie się zdaje, że raczej bojaźliwy.

— Jak to rozumiesz?

— No cóż — powiedział mój cień. — Wygląda na to, że czciciele diabła nie chcą się narazić żadnej z trzech religii i nie szukają zwady ani z Bogiem chrześcijan, ani z Bogiem Żydów, ani z Allahem muzułmanów.

— Możliwe, że tak jest, moja owieczko.

— Jak sułtan traktuje tych swoich tureckich poddanych?

— Dobrze — odparłem. — Jakiś czas temu jeszcze na nich polował, a mężczyzn kazał publicznie wbijać na pal. Ale teraz zostawia ich w spokoju.

Długo jeszcze rozmawialiśmy o tym i owym, mój cień i ja... i w ogóle nie zauważyliśmy, że słynny fryzjer skończył pracę i że siedzimy sami obok przykrytych dywanem worków ze zbożem.

— Gdzie podziali się ludzie? — spytał mój cień. — I gdzie jest słynny fryzjer? A przede wszystkim: gdzie jest Wartan? Jeszcze przed chwilą siedział jak król na workach ze zbożem.

— Rodzina zaprowadziła Wartana do *ody* — wyjaśniłem.

— Tymczasem przyszła bowiem panna młoda z całym orszakiem swoich krewnych i naturalnie ze swą chrzestną, *gynkamajr*. Przybył też kapłan.

— Czy kapłan poświęci teraz stroje?

— Owszem.

— Rzuciło mi się w oczy — rzekł mój cień — że przedtem, kiedy Wartan był strzyżony, fryzowany, obśpiewywany, namydłany, golony i perfumowany — chodzi mi o to, że gdy tak siedział na workach pełnych zboża z dywanem pod tyłkiem — to rzuciło mi się w oczy, że ma na sobie najstarsze ubranie.

— Nie włożył go bez powodu — odparłem. — Również panna młoda, którą jej orszak wprowadził właśnie do *ody* oblubieńca, ma na sobie swój najstarszy strój.

— A dlaczego?



— Tak to już jest — powiedziałem. — Wartan siedzi teraz obok *toniru*, a za nim stoi panna młoda. Nie odzywa się, bo nie wolno jej powiedzieć słowa. Wkrótce bowiem przyjdzie Boghos i przyniesie dwa pakunki. Te pakunki owinięte są w płótno workowe i zawierają tajemnicę.

— Jaką tajemnicę?

— Otóż pod płótnem leżą nowe stroje... W jednym pakunku ubranie pana młodego, w drugim strój panny młodej i nowy welon. Kapłan wszystko poświęci, pomodli się trochę, a potem włoży jedną w drugą prawe dłonie oblubieńców. Następnie oboje się oddalą i wezmą kąpiel w stajni — ale nie w tej samej: Wartan w stajni Chadisjanów, panna młoda w stajni *muchtara*. Potem włożą nowe stroje i tak, a nie inaczej zaprezentują się oczom gości. Mogę ci już teraz zdradzić — rzekłem do swego cienia — że panna młoda będzie w czerwieni. Jej suknia ślubna jest czerwona. Także zewnętrzny welon jest czerwony, i będzie zakrywał spodni welon, który jest tylko po to, żeby zasłaniać usta i podbródek. Czerwone są również buty, mam na myśli cieniutkie pantofelki z safianu, tak delikatne, że trudno wprost uwierzyć.

— W co trudno wprost uwierzyć?

— Że mogą unieść cały ten tłuszcz, którym panna młoda obrosła w okresie tuczenia.

— A Wartan?

— Wartan nie będzie nosił szarawarów — powiedziałem — ani butów z cholewami, ani kamizelki bez rękawów. Nie będzie miał na sobie nawet zwyczajowej futrzanej czapki.

— Więc co będzie nosił?

— Nowomodny strój, który kupił mu w Bekirze najstarszy brat Hajgaz: stambulski garnitur, czerwony krawat z Wanu, ormiańskiego miasta ogrodów i cytadeli, półbuty z Erzurum i prawdziwy bekirski fez ze sztywnego, mocnego czerwonego materiału.

— Będzie wyglądał jak goguś!

— Wartan to nie goguś.

Gdy Dżowinar i Hamest, a także córki Dżowinar krążyły wśród gości z *sofram* pełnymi słodyczy i udawały obrażone,

kiedy ktoś powiedział: Nie, mam już pełny brzuch... gdy więc kobiety krążyły tak, a nie inaczej, z *sofram*... obu nam, to znaczy: mnie i mojemu cieniowi, wydawało się, że też kosztujemy słodczy, przede wszystkim napieczonej przez Dżowinar *bakławy*, i wydawało się nam, że Hagop i dziadek Wartana nalewają nam wódki i wina, a później naprawdę mieliśmy wrażenie, że jesteśmy pijani jak bela. Pozornie pijani zapadliśmy natychmiast w głęboki sen. A kiedyśmy się obudzili, szósty dzień już minął.

I nastał dzień siódmy, dzień ślubu kościelnego. Podczas ceremonii ja, bajarz, i mój cień staliśmy na straży przed gregoriańskim wiejskim kościołkiem.

— Kiedy przyjdą Kurdowie porwać pannę młodą, powinniśmy coś zrobić — powiedział mój cień.

— Owszem — przytaknałem.

— Ale co? — spytał cień. — Przecież wcale nie istniejemy: nie ma ani ciebie, bajarza, ani mnie, twojego cienia!

— Właściwie masz rację — przyznałem. — Albo i nie masz racji. Może jednak istniejemy. Tyle że inaczej.

— Co więc moglibyśmy zrobić?

— Nadal stać na straży. I rejestrować wszystko dla świata wyobraźni.

— Dla Towmy Chadisjana?

— No właśnie.

— Niech będzie — zgodził się mój cień. A kiedy to mówił, wyteżyliśmy obaj wzrok wpatrując się w krętą dróżkę, która wiodła ponad dachem domu Chadisjanów w góry... aż do czarnych namiotów kurdyjskiego szejka Sulejmana.

— Pewnego razu koń kurdyjskiego jeźdźca potknął się na tej drodze nad dachem Hagopa. I jeździec razem z koniem wpadli przez dach i wylądowali obok *toniru*.

— Znam tę historię — powiedział mój cień.

— Kiedy przyjadą porwać pannę młodą — rzekłem — powinniśmy prosić Pana Boga, żeby wpadli wszyscy przez dach. Może skręca kark.

— Albo wpadną prosto do *toniru* — uzupełnił cień.

Rozglądając się bacznie i rozmawiając, słuchaliśmy przez przymknięte drzwi kościoła liturgicznych śpiewów kapłana

i wiernych. Wśród wielu głosów rozpoznaliśmy radosne łkanie Dżowinar i smutny szloch żony *muchtara*, która traciła córkę.

— Oblubieńcy stoją teraz naprzeciw siebie — powiedziałem do swojego cienia. — Wkrótce kapłan pochyli ich głowy ku sobie, żeby zetknęły się czołami, i zgodnie ze zwyczajem owinie każdemu wokół głowy amulet z pereł, aby młodzi nosili go przez tydzień. To z powodu złych duchów, a taki amulet jest skuteczniejszy od czosnku i zawieszanej odwrotnie podkowy.

— A co z krzyżami? — spytał mój cień.

— Wszyscy obecni noszą małe drewniane krzyże. Tylko kował, chrzestny Wartana, nosi duży. I trzyma ten duży krzyż osłaniającym gestem nad głowami młodej pary.

— A co z obrączkami?

— A co ma być? — odparłem. — Kiedy kapłan poda im na talerzyku obrączki, Dżowinar zacznie głośniejsze szlochać, podobnie jak żona *muchtara*. Oblubieńcom drzeć będą ręce, gdyż włożenie obrączek jest aktem ostatecznym. Tylko śmierć może ich potem rozdzielić.

— Palec serdeczny też będzie drżał?

— On w szczególności, moja owieczko.

Kiedy więc my, mój cień i ja, wypatrywaliśmy Kurdów, w kościółku dobiegała końca ceremonia zaślubin. Wkrótce potem otwały się raptownie drzwi kościoła i roześmiani nowożeńcy wyszli na ulicę. Zobaczyliśmy jeszcze, jak najstarszy brat Wartana, Hajgaz, kładzie przed nogami młodej pary, która zatrzymała się przed wejściem, kruchy talerz i jak Wartan go depta. I usłyszeliśmy, jak jedni wybuchają płaczem, a drudzy śmiechem. Roześmiał się także dziadek i wypowiedział piskliwym głosem stare ormiańskie powinszowanie: Niech się rozprysną skorupy... niech żyją państwo młodzi!

Po czym obaj, mój cień i ja, po prostu odlecieliśmy.

Zaraz jednak wróciliśmy, żeby towarzyszyć radosnemu orszakowi weselnemu w drodze przez wioskę.

Niewiele brakowało, żebym ja, bajarz, złapał pannę młodą za tyłek, gdyż takiego jędrnego i świeżego tyłka nie widuje się co dzień. Utuczona panna młoda kołysała się na krótkich nogach

niczym bukłak napełniony winem, paradować między swymi krewnymi i chrzestnymi przez uliczki wioski. Każdy podziwiał kosztowną czerwoną suknię ślubną haftowaną złotymi nićmi i mały czerwony kobiecy fez z biało-czerwonym welonem, złotymi ozdobami oraz sznurkami srebrnych monet. Również tutaj kobiety szły w orszaku za mężczyznami. Kiedy nowożeńcy wyszli z kościoła, muzykanci zaczęli znowu grać. Kobiety czcicieli diabła, muzułmanów i Cyganów wzniosły głośny *talil*, który polega na szybkim uderzaniu językiem w wargi i przejmuje dreszczem każdego wierzącego chrześcijanina. Zwłaszcza kobiety czcicieli diabła na dachu kuźni, które wołały z wysoka podążać za orszakiem mężczyzn i niewiast jedynie oczami, wydawały dźwięki przeraźliwsze i głośniejsze niż Cyganki i kobiety muzułmanów, tak jakby chciały zarazem ułagodzić diabła. Orszak weselny zatrzymywał się często przed domami, aby żartować z wystającymi przed wejściem starymi babami lub przyjmować prezenty. Niektóre stare kobiety posmarowały złote, srebrne i miedziane monety klejem z mąki, żeby przyklepać je pannie młodej na czole. Ta pozwalała na to, dziękowała, a następnie odrywała klejące się monety, ale tylko po to, żeby rzucić je chrzestnej, która chowała je pod fartuchem. Tak, to była naprawdę czysta radość. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy orszak weselny dotarł wreszcie pod dom Hagopa.

W poprzednim roku Hagop dobudował za stajnią jeszcze jedną izbę. Tam mieli mieszkać Wartan i jego młoda żona. W izbie był nawet osobny *tonir* i okno, co uchodziło za rzecz niezwykłą, lecz Hagop powiedział: Niech będzie okno, jakie bogacze w miastach mają w *odach* i innych pomieszczeniach. We Frankistanie, tak mówił Hagop, podobno nawet biedacy mają okna w *odach*. Kiedy więc mój syn obudzi się wczesnym rankiem... z woli Boga... to podejdzie do okna, żeby wciągnąć w nozdrza świeże powietrze i wyjrzeć, jaka pogoda.

Gdy orszak weselny dotarł wreszcie pod dom Hagopa, przed drzwiami leżało spętane jagnię. Najstarszy brat Wartana stał obok jagnięcia i trzymał w ręku nóż.

Wszystko odbyło się podobnie jak na weselu Hagopa. Wtedy też ojciec rzekł do niego: Tak było już ze mną i twoją matką. I tak było z ich rodzicami, i z rodzicami rodziców. Właściwie zawsze tak było. Jak zresztą mogło być inaczej?

Goście weselni rzucali ziarna pszenicy na głowy nowożeńców, a niektórzy zaczęli klaskać, gdy Wartan wziął nóż od Hajgaza i lewą ręką pogłaskał jagnię po szyi, dokładnie tam, gdzie miał wykonać szybkie cięcie. Następnie splunął na nóż i poderzwał gardło zwierzęciu, odskoczył w bok, kiedy strumień krwi wystrzelił w stronę wejścia, odciągnął od drzwi drgające jagnię, wsadził palec wskazujący w otwartą ranę, odcisnął kilka plamek krwi na czole żony, kilka na swoim, wyciągnął stary miecz, ukryty pod marynarką, uniósł go — symbol opieki — i zatrzymał nad głową swej młodej żony, która pod opieką miecza wśliznęła się następnie do nowego mieszkania.

Muzykanci przestali na chwilę grać, lecz teraz zaczęli na nowo, głośniejsze i weselej. Goście weselni mówili jeden przez drugiego, niektórzy klaskali rytmicznie do taktu. Przybrał na sile również *talil*, gdyż parę kobiet czcicieli diabła zląło z dachu kuźni i wprawiawszy w drganie języki, ruszyło biegiem w stronę domu Hagopa, za nimi zaś dwie Cyganki, które robiły to samo. Nadbiegł także *muchtar*. Przyniósł święty ogień z własnego *toniru* i przekazał go córce, która wyszła jeszcze raz przed drzwi domu. I tym sposobem nastąpiło przyjęcie przez pannę młodą kociołka ze świętym ogniem z *toniru* jej rodziców. Rozplakała się, gdy ojciec przekazywał jej kociołek z ogniem, pocałowała go w rękę i szlochając udała się do izby małżeńskiej. Tam, w nowym *tonirze*, rozpałała własny ogień.

Wartan i jego oblubienica okrążyli właśnie po trzykroć *tonir*, gdy do izby weszli Hagop i Dzowinar. Dzowinar miała przewieszane przez rękę białe prześcieradło.

Matka przyniosła ci białe prześcieradło, rzekł do Wartana Hagop. Zostawimy was teraz samych, żebyś spełnił swój męski obowiązek. Nie zastanawiaj się długo i zrób to szybko, gdyż ludzie czekają niecierpliwie przed domem.

Na co ludzie czekają?

Na zaplamione krwią prześcieradło, odparł Hagop, które wywieszysz potem przed drzwiami, żeby każdy widział, iż twoja żona była jeszcze dziewicą.

Czy musi się to stać teraz?

Musi się stać teraz, potwierdził Hagop. Kiedy się bowiem ściemni, ludzie nie będą mogli widzieć krwi.

Czy nie można by z tym poczekać do jutra rana?

Nie.

Na miłość boską, powiedziała Dzowinar. Nie zwlekaj, mój synu, i nie przynieś wstydu rodzinie.

Matka ma rację, rzekł Hagop. Zrób to teraz, gdyż jutro rano, gdy zapieje kogut, może już być za późno.

Ale Wartan był zbyt oszołomiony, by rozdziewiczyć od razu swoją żonę. Dlatego wziął ją za rękę i wyprowadził ponownie przed dom Chadisjanów. I wyprowadził ją jeszcze dalej, na plac pośrodku wioski, aby zyskać na czasie.

Później, pomyślał, zrobisz to później.

Hagop i Dzowinar mieli rację, gdyż są rzeczy, których nie wolno odkładać do następnego dnia, gdy znów zapieje kogut. Kiedy Wartan i jego żona wracali z placu, do wioski wpadła blisko setka uzbrojonych kurdyjskich jeźdźców. Ich wrzaski były głośniejsze i przeraźliwsze nawet od *talilu* kobiet. Kurdowie strzelali dziko w powietrze, rozpędzili ludzi, podjechali pod dom Hagopa, potem na plac i z powrotem, nagle zobaczyli nowożeńców, otoczyli ich, powalili Wartana ciosem w głowę, pochwycili krzyczącą pannę młodą, wciągnęli ją na jednego z koni i odjechali.

## 11

W domu *muchtara* zebrała się wioskowa starszyzna, a także kilku mężczyzn należących do rodzin pana młodego i panny młodej oraz chrzestni. Obecny był również kapłan. Mężczyźni siedzieli pałac w *selamtyku* wokół *toniru*.

Dlaczego nie zapłaciliście podatku ślubnego? spytał rudy kowal.

Nie wiem, odrzekł Hagop.

Ja też nie wiem, odparł *muchtar*.

Pewnie sądziliście, że kurdyjski szejk zapomni o weselu, podsunął kapłan.

Tak sądziliśmy, przyznał *muchtar*.

Kurdowie nie rozdiewiczą panny młodej, jeśli zapłacimy w porę okup, powiedział Hagop. Problem tylko w tym, że okup będzie o wiele większy niż połowa wiana.

Podatek ślubny, przypomniał kowal.

Podatek ślubny wypadłby taniej, rzekł kapłan.

Powinniśmy osiodłać trzy najlepsze konie, oświadczył *muchtar*, i ruszyć za Kurdami. Gdybyśmy ich dogonili i zaproponowali im rozsądny okup, moglibyśmy wykupić moją córkę.

Nim dogonimy Kurdów, będzie już rozdiewiczona, zauważył Hagop.

Bardzo możliwe, przyznał *muchtar*.

I co wtedy będzie z honorem mego syna?

Nie wiem, odparł *muchtar*.

— Było kiedyś trzech jeźdźców — mówił bazarz — którzy osiodłali trzy najlepsze konie we wsi i ruszyli za Kurdami. Jednym z jeźdźców był szwagier Wartana Psak, drugim jego brat Dikran, trzecim Awedik, syn kowala.

Kiedy trzej jeźdźcy wrócili do wioski, zapadł już prawie zmierzch.

Dogoniliście Kurdów? spytał *muchtar*.

Owszem, rzekł Psak. Czekali na nas w jednym z górskich wąwozów, bo wiedzieli, że zaproponujemy okup.

Czy moja córka jest jeszcze dziewicą?

Jest jeszcze dziewicą.

Skąd wiecie?

Kurdowie nas zapewnili.

Czy Kurdowie chcą podatku ślubnego?

Nie. Chcą tylko okupu.

A ile chcą?

Dwadzieścia owiec za rozzdziewiczoną, lecz żywą pannę młodą.

Ale my chcemy pannę młodą jako dziewczę.

W takim razie będzie to kosztować sto owiec.

Sto owiec to za dużo. Skąd mamy wziąć sto owiec?

Więc daj im tylko dwadzieścia, *muchtar bej*. Dwadzieścia owiec za życie twojej córki.

Na dwadzieścia mogę sobie pozwolić. A ponieważ Hagop na pewno dorzuci dziesięć sztuk, stracę tylko dziesięć.

No właśnie, stwierdził kapłan. Dwadzieścia owiec od dwóch rodzin was nie zrukuje.

Bardzo słusznie, powiedział *muchtar*. Ale ile będzie warte życie mojej córki, jeśli nie będzie dziewczicą? Jej dzieci będą potępione, i jej wnuki. A jak ma żyć dalej mój zięć? Czy ma stać się pośmiewiskiem całej wioski? I kto jeszcze będzie chciał rozmawiać z moją córką? Stare baby będą jej pluć w twarz, a młode odwracać głowę. I jak ja mam być dalej *muchtarem*? Ta niesława ciążyć będzie na obu rodzinach.

Masz rację, *muchtar bej*, orzekł kapłan. Daj im pięćdziesiąt owiec, a drugie pięćdziesiąt da Hagop.

Co w takim razie zostanie z naszych stad? spytał *muchtar*.

Tak. Co zostanie z naszych stad? powtórzył Hagop.

Jeszcze tego samego wieczora mężczyźni z obu rodzin popędzili sto owiec w kurdyjskie góry. Jediną kobietą, jaka im towarzyszyła, była Bülbül, Kurdyjka. Siedziała na swoim bezimiennym ośle i przynaglała mężczyzn do pośpiechu.

Hej, Bülbül, powiedział Hagop. Dlaczego chcesz być wszędzie obecna?

A dlaczego miałabym nie być? odparła Bülbül.

Tak, właściwie dlaczego nie, przyznał Hagop.

A dlaczego miałoby mnie przy tym zabraknąć? spytała Bülbül. Czyżbyś zamierzał sam zbadać swoją synową, czy jest jeszcze dziewczicą?

Ty ją zbadasz?

A któż by inny? Chyba że zamierzasz dać Kurdom sto owiec, zanim stwierdzisz, czy jest jeszcze dziewczicą?

Właściwie nie, przyznał Hagop.



Bo jeśli nie jest już dziewicą, to sto będzie za dużo.  
 Wtedy sto owiec będzie za dużo, powtórzył Hagop.  
 Wtedy zapłacisz po prostu tylko dwadzieścia, rzekła Bülbül.

Późną nocą Bülbül i mężczyźni wrócili z panną młodą. Wartan i reszta rodziny Chadisjanów stali w drzwiach, gdy dziwny, upiorny orszak zatrzymał się przed domem. W wiosce paliły się jeszcze oliwne lampki.

Hej, Bülbül, powiedział Wartan.

No, mój mały oblubieńcu, powitała go Bülbül.

Co jest, Bülbül?

Nic nie jest, odparła Bülbül.

Było już wprawdzie późno, ale mieszkańcy wioski nie poszli spać, nawet goście na dachach domów jeszcze nie spali. Na szczęście wśród weselników był turecki herold i dobosz, czyli kulawy i głuchy na jedno ucho *münadi*.

Przynieś swój bęben, rzekł do niego Hagop, i ogłoś wszem wobec, że panna młoda jest jeszcze dziewicą i honor obu rodzin został uratowany.

*Badiw?* spytał Turek.

*Badiw*, potwierdził Hagop.

Czy mam powiedzieć ludziom coś jeszcze?

Owszem, rzekł Hagop. Powiedz im, że jutro z samego rana, tuż po pierwszym pianiu koguta, zobaczą zaplamione krwią prześcieradło przed drzwiami mojego domu.

Sądysz, że kogut jutro będzie piał?

Kogut zawsze pieje, kiedy dzień świta. Piał już, gdy Bóg tworzył pierwszy dzień.

W takim razie kogut był wcześniej niż dzień?

Właśnie tak, powiedział Hagop.

Panna młoda była tak wyczerpana i zastraszona, że od razu zasnęła na ślubnym poślaniu, zanim jej mąż zdołał zrobić to, co było jego najświętszym obowiązkiem. Wartan nie zrobiłby tego tak czy owak, gdyż i on był speszony i pod wpływem szoku, a od ciosu kolbą bardzo bolała go głowa. Położył się więc obok panny młodej i natychmiast zasnął.

Tylko raz się obudził. Było to w środku nocy. Co jutro ludzie powiedzą, jeśli prześcieradło nie będzie zaplamione krwią? pomyślał. Obmacał tłusty tyłek żony. Powinieneś ją obudzić, pomyślał, ale się nie odważył.

Próbował sobie wyobrazić, ile kawałków *baktawy* musiała zjeść, żeby tak obrosnąć tłuszczem. Czterdzieści *sofr* dzień w dzień, pomyślał. I tak przez cały rok. Próbował obliczyć. Ile kawałków *baktawy* dało to w ciągu roku? Ale ponieważ był poetą, a nie rachmistrzem, nie doszedł do żadnego wyniku. Próbował policzyć kawałki *baktawy*, jak liczy się owce, lecz podziałało to na niego tak usypiająco, że nie doszedł zbyt daleko. Później, gdy zasnął od tego liczenia, śniła mu się cała góra ciasta.

Straszny był wrzask i lament, gdy Dzowinar wczesnym rankiem odkryła, że prześcieradło nie jest zaplamione krwią. Zaraz zjawił się również Hagop.

Ludzie pomyślą, że zamiast mojego syna zrobili to Kurdowie, powiedział.

Jesteśmy zhańbieni! krzyczała Dzowinar.

Zhańbieni, powtórzył Hagop. Co się stało? zwrócił się do syna. Jest więc dziewicą czy nie jest?

Jest, odparł Wartan.

Możesz to udowodnić? spytał Hagop.

Nie, odrzekł Wartan.

Wyposażyłem cię w zdrową męską kość, tak czy nie? spytał Hagop.

Wyposażyłeś, ojcze, odrzekł Wartan.

Więc dlaczego prześcieradło nie jest zaplamione krwią?

Bo spała.

Co z ciebie za mężczyzna, jeśli nie masz nawet odwagi obudzić własnej żony?

Nie wiem, odparł Wartan.

Wkrótce po siódmym pianiu koguta przyszła Bülbül i zapukała do drzwi, jakby wiedziała, gdzie najpilniej potrzebowano dobrej rady... o której mówi się, że jest taka cenna...

Prześcieradło jest białe jak śnieg, powiedział Hagop. Co ludzie o nas pomyślą?

Czy twój syn nie ma męskiej kości?

Ależ ma, zapewnił Hagop. I rzekł: Pomagałaś wydać mojego Wartana na świat. Wtedy w stajni. Pamiętasz?

Pamiętam, Hagopie.

I dlatego, Bülbül, mówię sobie, że wymyślisz także coś, aby przywrócić mu dobre imię.

Możliwe, że coś wymyślę. W zasadzie zawsze przychodzi mi coś do głowy.

I teraz też przyjdzie ci coś do głowy?

Niech się zastanowię.

I Bülbül zastanowiła się, i powiedziała do Hagopa: Teraz zabijesz koguta Abdülhamida. I kogucią krwią zabarwisz na czerwono prześcieradło. A potem to prześcieradło, które będzie białe i czerwone, wywieszisz przed drzwiami.

Mam tak zrobić?

Tak, Hagopie.

A co powiedzą ludzie?

Ucieszą się, odrzekła Bülbül. I będą mówić: Kurdowie faktycznie jej nie rozdziwicyli. Wartan to zrobił. A oto dowód. Na prześcieradle są czerwone plamy. Ten Wartan to prawdziwy mężczyzna. Ma dobrą, silną kość. Niech Bóg go błogosławi. I jego rodziców, którzy przekazali mu ją w dziedzictwie. A także teściów, którzy zadbali o to, aby błonka pozostała nienaruszona.

Słusznie, Bülbül, zgodził się Hagop.

Dawaj koguta Abdülhamida, rozkazała Bülbül.

Będiesz mieć koguta, Bülbül, zapewnił Hagop.

Bülbül poderżnęła kogutowi gardło, ale dopiero wtedy, gdy zapał jeszcze raz. Później spryskała i pokropiła świeżą czerwoną krwią białe prześcieradło, następnie zaś potrzywała je nad ogniem *toniru*, by krew wyschła. A potem powiedziała: No, Hagop efendi. Teraz wywiesimy prześcieradło przed drzwiami.

Po południu ósmego dnia Wartan udał się z zaplamionym krwią prześcieradłem do teściowej. Dziadek opowiadał mu, że kiedy ożenił się z babką, jechał przez dwa dni wózkiem

zaprężonym w osła, żeby zawieźć pokrwawione prześcieradło swojej teściowej, która mieszkała daleko. Tak wypadło, było to bowiem oznaką szacunku i wdzięczności. Oto prześcieradło, powiedział wtedy do niej, dowód, że dobrze wychowałeś córkę. Przed ślubem była czysta i niewinna.

A jego teściowa odrzekła: Jak mogło być inaczej, mój zięciu? Ostatecznie pochodzi z porządnej rodziny, nieprawda?

Nie ma dziewczyny z lepszej i porządniejszej rodziny, powiedział wtedy dziadek, która zasługiwałaby na poślubienie Chadisjana.

A teściowa popłakała trochę, obwąchała prześcieradło i rzekła do niego: *Aczkyl lujs*. Oby twe oczy błyszczały, mój zięciu, i niech cię Bóg błogosławi.

Powiesz żonie *muchtara* to samo, co dziadek powiedział wtedy swej teściowej, myślał Wartan. A jeśli obwącha prześcieradło i powie, że czuć je raczej kogutem, po prostu zaprzeczysz.

W drodze do teściowej spotkał stryja z Ameryki i jego syna, który nie znał tureckiego ani kurdyjskiego i mówił tylko parę słów po ormiańsku.

Ten dureń, powiedział stryj wskazując swego syna, ten dureń nie chce wziąć sobie za żonę dziewczyny z wioski, chociaż mówiłem mu, że tu są najlepsze i najbardziej niezawodne.

Dopiero po siedmiu dniach i siedmiu nocach Wartanowi udało się połączyć z młodą żoną.

Ona ma między udami wyschniętą studnię, oświadczył ojcu.

Jej studnia nie jest wyschnięta, odrzekł ojciec. To ty, mój synu, powinienesz umiejętnie i cierpliwie, i z wielką delikatnością dowiercać się do wód gruntowych, a przekonasz się, jak prędko wytryśnie źródło.

Próbowałem, ale nic z tego, powiedział Wartan.

W takim razie musisz wziąć łożu baraniego, mój synu. Gdzie bowiem ziemia jest krucha, a kościste wiertło zbyt twarde, tam tłuszcz musi ułatwić mu drogę.

Wartan posłuchał ojca. I połączył się ze swą niewiastą, która zaszła w ciążę.

Jeśli powije syna, rzekł dziadek, dasz mu na imię Towma.

Zdarzyło się jednak, że Towmę miała urodzić inna kobieta, a nie pierwsza żona Wartana. Jej linia życia była bowiem krótka, tak krótka, że Cyganki były wystraszone, kiedy czytały jej z dłoni.

Babka ostrzegała żonę Wartana: Nie patrz nigdy w lustro podczas ciąży! Ale Arpine tylko wyśmiała staruszkę, gdyż nie lubiła babki i była zazdrosna o jej uprzywilejowaną pozycję w *kertastanie*. A ponieważ z natury była próżna, przekorna i leniwa i z każdym dniem zaniedbywała coraz bardziej prace domowe i codzienne obowiązki, miała dość czasu, by patrzeć w lustro częściej i dłużej, niż wypada. Przez to jednak nie narodzone dziecko w jej łonie uważało lustrzane odbicie brzemiennej za swą prawdziwą matkę i ułożyło się odwrotnie.

Uważaj, ostrzegała babka. Nie wiesz, co czynisz.

Ale mnie nie może się nic zdarzyć, odparła Arpine, gdyż nie tylko powiesiłam nad drzwiami naszej sypialni podwójne podkowy... i mam Biblię obok postania... powiesiłam też czosnek we wszystkich kątach i nad wejściem, a nawet na szyi, tak samo jak ty, babko. Co więcej, posmarowałam masłem cembrowinę studni przed domem. Jakim sposobem *dżinny* mogłyby więc zauroczyć moje nie narodzone dziecko?

Powieś przynajmniej przed lustrem swój złoty krzyżyk.

Wolę go nosić między piersiami.

Tymi tłustymi worami na mleko, które nie są jeszcze pełne?

Owszem, potwierdziła Arpine.

I tak stało się, co się stać musiało. Po dziewięciu miesiącach ciąży Arpine umarła w połogu.

Umarła w porze, gdy drzewa w Hajastanie dawno wypuściły pąki i Pan Bóg na cześć wniebowstąpienia Chrystusa ozdobił cały *wilajet* barwnym dywanem kwiatów, ku radości wszystkich, także muzułmanów i Żydów, Cyganów i czcicieli diabła. Wróble na płaskich dachach Jedi Su zapowiadały już lato.

Można by pomyśleć, że jezydzi mają rację, powiedział Wartan do kapłana Kapriela Hamadiana, ci głupi czciciele

diabła, którzy wierzą, że walka między dobrem i złem nie została jeszcze rozstrzygnięta. Bo jak mam rozumieć to, że wola *dżinnów* w zauroczonym lustrze mojej żony nieboszczki była silniejsza od woli Boga?

Bluźnisz, odparł kapłan. Na pewno wolą Boga było, żeby umarła. W przeciwnym razie przeżyłaby poród.

A dlaczego mój Towma musiał umrzeć razem z nią?

To nie był twój syn Towma, rzekł kapłan. To było jakieś bezimienne dziecko, które urodziło się martwe. I z pewnością było wolą Boga, żebyś wziął sobie inną żonę i spłodził z nią innego syna, któremu dasz na imię Towma.

Towma?

Owszem, potwierdził kapłan. Towma.

Tydzień po pogrzebie umarła również prababka, co postradała rozum. Ponieważ staruszka zwykła godzinami siedzieć nieruchomo przy *tonirze*, nikt tego nie zauważył. Po prostu się zdrzemnęła. Hagop zauważył to dopiero pod wieczór, gdy zwierzęta po powrocie z pastwiska przechodziły do stajni obok *toniru* i jedno z nich chlasnęło prababkę dyn-dającym ogonem, przewracając zmarłą.

Śmierć była jej pisana już dawno, powiedzieli ludzie. W końcu miała przeszło setkę.

Na pewno zamartwiła się na śmierć, bo mój wnuk Towma urodził się martwy, rzekł Hagop. Ktoś musiał jej powiedzieć.

Ale kapłan twierdzi... że to nie był Towma, wtrąciła Dżowinar. To było jakieś bezimienne dziecko. Nasz Towma musi dopiero zostać spłodzony.

## 12

I znów rozległ się głos bazarza, który mówił:

— Był rok 1894, rok, w którym dobosze i heroldowie w Hajastanie ogłaszali reformy w imieniu sułtana, zmniejszenie podatków i innych opłat dla *rajów* i *giaurów*, krótko

mówiąc: dla wszystkich niewiernych, wyklętych przez Allaha — uwielbione niech będzie imię jego — po wsze czasy. Sułtan obiecywał rozszerzenie autonomii w *milletach*, czyli wiejskich gminach chrześcijańskich. *Münadiowie* bębnili ochoczo obietnice ponad głowami tłumów. Ormianie mieli dalej płacić *bedel*, podatek wojskowy dla sułtana, tak było zresztą od wieków. I w dalszym ciągu nie wolno im było nosić broni, z wyjątkiem garstki ormiańskich żandarmów, którzy od tej pory razem z muzułmanami mieli dbać w *milletach* o spokój i porządek. Sułtan obiecywał Ormianom przedstawicielstwo w rządzie i wzywał wszystkich ormiańskich zdrajców z wojny siedemdziesiątego siódmego i ósmego roku, aby wymienili schowane paszporty rosyjskie na osmańskie. *Münadiowie* byli wprawnymi heroldami, a ich obietnice brzmiały niekiedy tak słodko, jakby mieli usta pełne miodu.

W wiosce Jedi Su tylko nieliczni rozumieli, o co chodzi sułtanowi, stąd też zdarzyło się, że Hagop po odczytaniu edyktu zapytał *münadięgo*: O co właściwie chodzi sułtanowi?

Ja też tego nie wiem, odparł *münadi*.

Hagop zapytał więc biegłego w piśmie Ormianina, który w dalszym ciągu towarzyszył *münadiemu*.

To bez znaczenia, Hagop efendi, rzekł ormiański pomocnik *münadięgo*. Absolutnie bez znaczenia.

Ale coś musi przecież znaczyć!

No cóż, przyznał Ormianin, coś oczywiście znaczy. Słyszałeś kiedyś o kongresie berlińskim, Hagop efendi, mam na myśli ten z 1878 roku?

Nie, *czelebi*, odparł Hagop.

Sułtan poczynił wtedy pewne ustępstwa na rzecz mocarstw chrześcijańskich, przede wszystkim w kwestii reform, i obiecał chrześcijanom w państwie osmańskim więcej swobód, obronę przed Kurdami i samowolą tureckich urzędników.

Jak dotąd niewieleśmy z tego widzieli, zauważył Hagop.

To prawda, zgodził się wykształcony Ormianin *münadięgo*.

A co chrześcijańskie mocarstwa miałyby z tego, gdyby nam tutaj było lepiej? spytał Hagop.

Absolutnie nic, odparł wykształcony Ormianin.

Więc dlaczego wstawiają się za nami?

To tylko pretekst, powiedział wykształcony Ormianin, pretekst, żeby się wtrącać. Służy to ich politycznym interesom. Rozumiesz to?

Nie, *czelebi*, odrzekł Hagop. Tego nie rozumiem.

Później, w kawiarni, wykształcony Ormianin klarował Hagopowi: Mocarstwa wykorzystują chrześcijan jako pretekst, żeby zaopatrzyć „chorego człowieka nad Bosforem” w swoje własne kule. Bo bardzo chciałyby kuśtykać razem z nim, jeśli to możliwe, we własnej reżyserii, rozumiesz to?

Nie, *czelebi*, odparł Hagop, tego nie rozumiem. A kto jest tym chorym człowiekiem nad Bosforem?

Spytaj *münadięgo*, poradził wykształcony Ormianin. On wie.

Ale *münadi* też nie wiedział.

Podczas jednego z kazań kapłan powiedział: Za każdym razem gdy sułtan zapowiada reformy, planuje małą masakrę.

Dlaczego? spytał ktoś z wiernych.

Dlatego, że irytuje go własna wspaniałomyślność, wyjaśnił kapłan. Albo dlatego, że chce zdenerwować chrześcijańskie mocarstwa, które niedawno temu uspokajał planami reform.

A kogo chce zmasakrować?

No jak to kogo? odparł kapłan.

Pod koniec 1894 roku w odległych anatolijskich wioskach nastąpiły masakry, ale nie w siedmiu wioskach i bliższej okolicy Jedi Su. Opowiadali o tym wędrowni ormiańscy kupcy. Jeden z nich powiedział: Kurdowie podrzynają gardła ormiańskim chłopom, a niektórych spalili żywcem.

Jacy Kurdowie? spytał kapłan.

Sto pięćdziesiąt tysięcy Kurdów zwербowanych przez sułtana. Nazywają ich *hamidiler*. Nic o tym nie słyszeliście?

Nie, przyznał kapłan.

Sułtan płaci kurdyjskim bejom mnóstwo pieniędzy za ich wojowników.

Bejowie potrzebują pieniędzy, co?



Nie inaczej, *wartabed*.

A do czego sułtanowi potrzebni kurdyjscy *hamidiler*?

Dokładnie nie wiem, odparł ormiański handlarz. Przypuszczam, że chce trzymać w szachu mniejszości i może też napędzić strachu mocarstwom.

— W Jedi Su i sąsiednich ormiańskich wioskach naprawdę niewiele się działo — mówił bazarz. — Także w 1895 roku, kiedy prześladowania się nasiliły, nie odnotowano jeszcze żadnych oznak rzezi. Stary gadatliwy turecki *zaptije* przesiadywał nadal w kawiarni albo ucinął sobie w słońcu drzemkę, a tymczasem dzieci pilnowały jego karabinu, który był jeszcze starszy niż on. Uzbrojeni jeźdźcy Sulejmana pojawiali się tylko wtedy, gdy należało płacić podatki, zachowywali się jednak spokojnie, jeśli dawano im, czego żądali. Także tureccy urzędnicy pokazywali się jedynie wtedy, gdy potrzebowali pieniędzy. Jeden z kupców przywiózł kiedyś angielską gazetę, której nikt nie umiał przeczytać.

A co piszą w tej gazecie? spytał kapłan.

Że *hamidiler* zabili trzysta tysięcy Ormian, rzekł kupiec. W Konstantynopolu trupy Ormian leżą na środku ulicy. A w Urfie spalili w katedrze tysiąc ormiańskich kobiet i dzieci.

Ależ to niemożliwe, powiedział kapłan. Wierzysz w to, co piszą gazety?

Tak, potwierdził kupiec.

A sam widziałeś coś z tego na własne oczy?

Tak, potwierdził znowu kupiec. W pewnym miasteczku widziałem rzeź. Uczestniczyli w niej kurdyjscy *hamidiler*, ale też tureccy cywile.

Zarzynali owce?

Nie. Zarzynali Ormian.

W wiosce nikt jednak nie wierzył tak naprawdę w straszne wieści przynoszone przez ormiańskich handlarzy. Nieliczni miejscowi Turcy byli przyjaciółmi, a ich krewnych, którzy przyjeżdżali w odwiedziny, znało się od dawna. Nie byli ani lepsi, ani gorsi od Ormian, choć nie wierzyli w Chrystusa, żaden z nich nie był jednak mordercą i nie tolerowałby

masakry ani nie przyglądał się spokojnie, gdyby chrześcijanom podrzynano gardła, a tym bardziej palono w kościele kobiety i dzieci. Także jedyny turecki *zaptije* w wiosce nie był wyjątkiem. Grał w karty w kawiarni jak inni mężczyźni, czasem też w *tawłę*, tradycyjną grę planszową z kostkami, pił nie więcej i nie mniej, palił taki sam tytoń, a niekiedy pierdział, gdy zjadł za dużo lub za prędko. Życie w wiosce — mimo złych wieści — toczyło się zwykłym, codziennym trybem.

Zaraz po Bożym Narodzeniu, świętowanym przez Ormian na początku stycznia, Hagop rzekł do najmłodszego syna: Właściwie powinienes pomyśleć o ponownym ożenku. Więc jak, mój synu? Mam porozmawiać z Manuszag? To dobra swatka, znalazła twojej siostrze na męża syna bogatego handlarza dywanów z Bekiru.

Ale Wartan nie myślał o zasięgnięciu rady swatki.

21 stycznia przypada dzień świętego Sarkisa, który jest również patronem kochanków. W dzień świętego Sarkisa do studni Gatnachpjur chadzali kawalerowie, aby sypać pokarm dla ptaków. Wystarczyło rzucić przed studnią parę okruchów chleba, poczekać, aż zjawi się jakiś głodny ptak, chwyci je w dziób... a następnie popatrzeć za nim. Kierunek, w jakim odleciał ptak, wskazywał drogę do przyszłej żony. Wystarczyło ruszyć za odlatującym ptakiem, a było rzeczą pewną, że spotka się właściwą dziewczynę, mianowicie tę, na którą czekało się przez całe dotychczasowe życie.

W dzień świętego Sarkisa również Wartan udał się do studni Gatnachpjur, żeby sypać pokarm dla ptaków. Zabrał się do tego jednak mądrzej niż inni, zbudował bowiem przed studnią sprytną pułapkę, złapał małego wróbla, który miał już w dziobie wysypane przez niego okruszki, zarzucił mu worek na łebek, przytrzymał go ostrożnie, przywiązał mu do łapki małą obrączkę, a następnie go wypuścił. Teraz było już absolutnie pewne. Podąży w kierunku, w którym odleciał ptak z obrączką, i odnajdzie go gdzieś w pobliżu swej przyszłej wybranki.

Owego dnia Wartan wędrował przez kilka godzin po zaśnieżonych górach, wciąż podążając w kierunku wyznaczonym przez odlatującego ptaka. Po południu dotarł do krańców wioski jezudów i jej pokrytych śniegiem pól. Była to najmniejsza z siedmiu wiosek, właściwie tylko przysiółek składający się z paru domów.

Wioska była spalona. Dwie kurdyjskie kobiety w kolorowych chustach na głowie grzebały w zgliszczech. Ich konie zaczęły rzeć, gdy Wartan podszedł bliżej.

*Hamidiler* byli tutaj, powiedziała jedna z kobiet. Widziałyśmy z góry dym.

Czy ktoś ocalał? spytał Wartan.

Nikt nie ocalał. W każdym razie wyglądało na to, że Kurdowie sułtana wykonali do końca swoje zadanie. Trudno było stwierdzić, czy Kurdowie mieszkańców zastrzelili, zatłukli czy zamordowali w inny bestialski sposób, gdyż zrzucili ciała martwych kobiet, mężczyzn i dzieci na stos i spalili. Nie wszystkie zwłoki były zwęglone. U niektórych mężczyzn Wartan stwierdził brak głowy, u innych genitaliów.

Widziałyście, jak to robili? spytał.

Nie, odpowiedziała jedna z kobiet. Widziałyśmy tylko dym.

Wartan przeszukał szczątki spalonych budynków, lecz nigdzie nie zauważył oznak życia. Obie Kurdyjki postępowały za nim. Ich twarze były czerwone od lodowatego chłodu i ostrego wiatru. Idąc przytrzymywały rękami kolorowe chustki na głowach. Widocznie pochodziły z jednej z półkoczowniczych wiosek na płaskowyżu i ani one, ani ich mężczyźni nie mieli nic wspólnego z *hamidimi*. Wartan często oglądał się za nimi, lecz wydawało mu się, że nie mają złych zamiarów. Gdy dotarł do ostatniego z siedmiu domów, zobaczył w śniegu ciemnego martwego ptaka. Był to ptak świętego Sarkisa. Zamarzył na śmierć. Na łapce miał jeszcze obrączkę, którą Wartan zawiązał mu jako znak rozpoznawczy.

I nagle Wartan coś usłyszał. Usłyszały to także Kurdyjki. Ciche kwilenie. Dobiegało ze spalonego domu, przed którym leżał ciemny martwy ptak.

Wczoraj tutejsza kobieta urodziła dziecko, rzekła jedna z Kurdyjek. Byłam tu, żeby sprzedać jej mężowi koguta.

Życie to prawdziwy cud, pomyślał Wartan.

Kurdyjki natarły dziecko śniegiem, po czym je osuszyły. Następnie zaczęły je masować. Jedna dała dziecku piersi, druga przyniosła końską derkę i zawinęła w nią niemowlę.

To dziewczynka, powiedziała ta, która dawała dziecku pierś. Weźmiemy ją ze sobą.

Nie, zaoponował Wartan. Ja ją wezmę.

— I tym sposobem — rzekł bazarz — czarnoszary ptak świętego Sarkisa sprowadził w porę Wartana, by ocalił od śmierci Anahitę. Gdyż Anahita miała mieć na imię ta, która pewnego dnia nosić będzie w swoim łonie jego syna Towmę.

Opowieść Wartana i widok poparzonego dziecka, u którego żyć zdawały się jedynie oczy, szerzyły strach i przerażenie w całej wiosce. Ludzie zamykali się w domach.

Wartan zaniósł dziewczynkę do kapłana Kapriela Hamadiana, a ten — choć było to bardzo dziwne — kazał wezwać Kurdyjkę Bülbül, gdyż posiada ona, jak mówił kapłan, rośliny lecznicze w swojej chacie, potrafi czarować i ma — choć jest Kurdyjką — dobre ręce, którym spokojnie można powierzyć tę małą ormiańską dziewczynkę.

Mieszkańcy wioski zaryglowali drzwi domów, a ponieważ w razie masakry nie mieli dokąd uciec, chyba że w wysokie góry nie do przebycia, gdzie wszyscy marnie by zginęli w śniegu i lodzie z zimna albo głodu, nie pozostało im nic innego, jak czekać. Ale że każdy wiedział, iż zaryglowane drzwi nie są twierdzami, które mogłyby stawić opór *hamidim* lub *dżinnom*, ludzie prędko otwierali je znowu, wystawiali nosy i wychodzili na dwór, i niebawem podążali jak dawniej swoimi ścieżkami. Niech będzie, co ma być. Nikt nie mógł tego zmienić.

Miejcie ufność w Bogu i Jezusie Chrystusie, mówił kapłan.

Ja będę bronił siebie i swoich bliskich drewnianą motyką, zapewniał Garo, syn siodlarza, który chciał zostać *dasznakiem* jak Psak, szwagier Wartana.

Ja przepędzę tych diabłów młotem kowalskim, odgrażał się Awedik, syn kowala.

A Wartan mówił: Ja wezmę swój miecz weselny.

Także miejscowi Turcy obiecywali pomoc. Jesteśmy mużłmanami, rzekł Taszak, i wolno nam nosić broń. Mam jeszcze w stajni stary karabin. I wystrzelam *hamidich* jak psy, a gdy będą martwi, osobiście zmiążdżę im jaja.

W kawiarni wiele mówiono o *hamidich*. Stary senny *zaptije*, który przechadzał się dumnie między stolikami, palił, a od czasu do czasu czekał i puszczał wiatry, zapewniał: Przepędzę wszystkich do kupy, jeśli przyjdą. Ostatecznie jestem przedstawicielem prawa. A ci *hamidiler* to nic innego, jak dzikie watahy, nie lepsi niż *baszy-bozukowie*. Nie wiem, dlaczego sułtan Abdülhamid nadał tym tchórzliwym psom swoje imię.

I *hamidiler* nie przyszli. Jedynym zagrożeniem był górski wicher, który omal nie zmiotł topolowych dachów, potem zaś, z nastaniem wiosny, gdy stopniały śniegi, z gór zeszyły rwące potoki i niewiele brakowało, a porwałyby krzywe domki. Panował spokój. Wędrowni handlarze, którzy wraz z poprawą pogody zaczęli znowu pojawiać się w wiosce z pięknymi jedwabiami, rzadkimi ozdobami i owocami z dalekich krajów, mówili, że prasa światowa podniosła wielki krzyk. Z powodu Ormian, ma się rozumieć.

Hagop spytał jednego z nich, dlaczego prasa światowa nie pomaga Ormianom, ale handlarz odrzekł, że gazety składają się z papieru i farby drukarskiej, występujące w nich litery to marni żołnierze, co nie pomagają nikomu prócz wielkich i potężnych, w których imieniu wszystko drukowano, a to, co gazety trąbią na cały świat, nie jest wcale lepsze od chełpliwych, obłudnych nawoływań bekirskich kramarzy.

Do Jedi Su zajeżdżało jeszcze wielu wędrownych handlarzy, a każdy opowiadał co innego. W okresie dojrzewania morw handlarze donieśli, że nie słyhać już nic o *hamidich*, bo sułtan wysłał ich do Arabii. Rosjanie, jak mówili handlarze, uważają *hamidich* za kurdyjskich Kozaków i tylko czekają na to, że w przyszłej wojnie przejdą na ich stronę. Podobno car obiecywał złote góry agom oraz bejom po swojej stronie

granicy, między innymi także lepszą broń dla ich jeźdźców, lepsze konie, większe czapki futrzane, złote ruble, kobiety oraz inne łupy. Handlarze śmiali się, uspokajali mieszkańców wioski i radzili im, żeby się nie przejmowali i raczej kupowali na zapas, bo czasy rzezi definitywnie się skończyły. Zapewniali chłopów, że mądrzej jest wyciągać złote monety z butów, watowanych kubraków i glinianych dzbanów, a nawet wygrzebywać ze skrytek w stajni i na polach, aby ulokować je w jedwabiach, pięknych klejnotach i przeznaczonych do zakonserwowania rzadkich owocach. Jeden z kupców zapytał Hagopa: Czy to prawda, że twój najmłodszy syn jedzie do Ameryki?

Kto ci to powiedział? spytał Hagop.

Powiedział mi listonosz, którego podwiozłem kawałek *arba*.

A skąd on o tym wie?

No cóż, przypuszczam, że przeczytał list, który miał w swoim worku pocztowym.

Masz na myśli list z Ameryki, od mojego brata Nahabeda?

Dokładnie ten.

Mój brat był tu niedawno, rzekł Hagop, na weselu. Przyjechał z najstarszym synem, durniem, który nie zna nawet porządnie języka ormiańskiego.

I ten twój brat chce ściągnąć do Ameryki twojego syna Wartana? Tak chyba było w liście?

Tak było w liście, potwierdził Hagop. I dodał: A całkiem niedawno dałem listonoszowi duży bakszysz, żeby nie otwierał listów.

A mnie listonosz powiedział, że dałeś mu bakszysz tylko za punktualne doręczanie poczty. O otwieraniu listów w ogóle nie było mowy.

Możliwe, przyznał Hagop. I rzekł: Do diabła z tym listonoszem. W zasadzie jest mi obojętne, czy wie, o czym pisze mój brat. To żadna tajemnica. I sułtanowi też jest obojętne, czy mój brat zawrócił w głowie mojemu najmłodszemu synowi czy nie, mam na myśli ten wyjazd do Ameryki.

— I tak było — ciągnął bazarz. — Stryj z Ameryki proponował najzupełniej serio ściągnięcie Wartana do Ameryki, a sam Wartan nie miał nic przeciwko temu, gdyż po masakrze w wiosce jezydów nie chciał już zostać w Hajastanie.

Jesienią 1897 roku w wiosce pojawił się znowu mężczyzna w dużym śmiesznym kapeluszu z rondem. Powiedział, że jest z Ameryki i przywozi pieniądze od brata Hagopa, Nahabeda, a pieniądze te przeznaczone są dla najmłodszego syna Hagopa, Wartana. Faktycznie przyniósł pieniądze, które ukrył pod rondem wielkiego kapelusza.

— Pamiętam — mówił bazarz — że Hagop policzył pieniądze i rzekł: Ale to za mało na taką drogą podróż.

Jest dokładnie połowa, powiedział Amerykanin.

Jak to rozumiesz? spytał Hagop.

A jak mam rozumieć? odparł Amerykanin, który nosił wprawdzie kapelusz z rondem, ale pochodził z Hajastanu i nadal mówił tak jak miejscowi ludzie, także jego ruchy i gesty wydawały się swojskie. A jak mam rozumieć, Hagop efendi? Wystarczy na pół biletu okrętowego.

A można popłynąć do Ameryki na pół biletu okrętowego? spytał Hagop.

Nie można, odrzekł Amerykanin.

Czy mój syn ma może odbyć połowę podróży, a potem wysiąść, skoro wiem, że pośrodku tego wielkiego morza nie można wysiąść?

Nie, odparł Amerykanin. Wartan ma wziąć te pieniądze, a ty dołożysz resztę. Twój brat powiedział, żebyś wykopał złote monety z *pagu*. I Amerykanin, który wcale nie był prawdziwym Amerykaninem, wskazał podwórze, gdzie biegały kury, kaczki i gęsi.

A więc tu mam je wykopać z ziemi?

Owszem, potwierdził Amerykanin.

Hagop wykopał więc parę złotych monet i dał je synowi, a ten pojechał wiosną 1898 roku do Ameryki. Hagop odwiózł go do Bekiru wózkiem zaprzężonym w osła. Stamtąd po-

dróżowało się dalej z karawanami kupców greckich, żydowskich i ormiańskich, których *arby* konwojowane były przez żandarmów. Gdy Wartan dotarł do Konstantynopola, oczekiwało go kilku stryjów i ciotek, których w ogóle nie znał. Wielkie miasto przerażało Wartana, i całe szczęście, że każdy Ormianin miał wszędzie ciotki i stryjów, którzy troszczyli się o niego. Mieszkał u krewnych, a ci w dniu wyjazdu odprowadzili go do portu, który przerażał go jeszcze bardziej niż miasto.

Wartan nie wiedział, że bazarz stoi obok niego przy relingu. Nie zauważył też, że bazarz zeskoczył, gdy wielkie kominy statku buchnęły parą, a syrena okrętowa dała sygnał do odjazdu. Kiedy bazarz zeskoczył, statek zaczynał właśnie dygotać we wszystkich spojeniach, niecierpliwie, popędzany przez rozżarzone piece i spoconych, sypiących węgiel palaczy w kotłowni. Gdy w końcu wyszedł z portu, bazarz po prostu został i zniknął w czasie. Później jednak pojawił się znowu, mniej więcej pod koniec roku 1899, by wkrótce potem wskoczyć w nowe stulecie.



## 1

Nikt nie wie, dlaczego bazarzom czasem się śpieszy, zdmuchują lata kalendarzowe i zatrzymują tylko to, co wydaje im się istotne. Nie jestem wyjątkiem. Nie muszę więc wyjaśniać, dlaczego przeleciałem obojętnie nad pierwszymi latami nowego stulecia. A w 1908 roku nastąpił upadek Abdülhamida, rozwiązanie oddziałów *hamidich* i przejęcie władzy przez młodoturków. Rosjanie zerkali w stronę Bosforu, Anglicy marzyli o najkrótszej drodze do Indii, drodze, która miała prowadzić przez środek Turcji. Także inne państwa, mniejsze i większe, spoglądały łakomie na śmierzący placek pozostawiony przez Abdülhamida. Każdy chętnie odkroiłby sobie kawałek, również Niemcy. Ci byli jednak najmądrzejsi, gdyż potrafili ukrywać wiecznie głodny wzrok za zimnymi monoklami, monoklami z szarego grubego szkła, przez które nie było widać oczu. Niemcy dostarczali uzbrojenie i przysyłali swych wojskowych, żeby szkolili Turków, a ich wysłannicy mieszkali w Pera, eleganckiej dzielnicy Konstantynopola z modnymi sklepami i solidnymi hotelami. Budowali też Turkom bajeczną kolej, którą nazywali Koleją Bagdadzką, uśmiechając się budowali tę kolej z żelaza, stali i ognia, na znak swojej sprawności, ale także postępu i dobrej woli. Tym sposobem wśród wielu kul, jakie większe i mniejsze państwa przysyłały skwapliwie choremu człowiekowi nad Bosforem, najbardziej pożyteczne były kule od Niemców.

Podczas wojen bałkańskich poleciałem na krótko do Bułgarii, lecz zaraz wróciłem, aby po strzałach w Sarajewie

towarzyszyć niemieckim oficerom udającym się do Bekiru. Tam krążyłem przez jakiś czas ponad miastem, a w końcu usiadłem razem z moim cieniem na Bramie Szczęśliwości.

— Parę dni temu słyszałem strzały — odezwał się mój cień.

— To były strzały w Sarajewie — wyjaśniłem.

— Ach, te — powiedział mój cień.

— Owszem — potwierdziłem.

— Dlaczego nas tam nie było?

— Bo nie chciałem patrzeć, jak austriacki następca tronu i jego małżonka wykrwawiają się na oczach tłumu.

— A co by to zmieniło?

— Nic by to nie zmieniło.

Czas wisielców jeszcze nie nadszedł. Czarne haki pod Bramą Szczęśliwości były jeszcze puste i pozornie bezużyteczne. Podobnie było także w następnych tygodniach.

— Czas wisielców jeszcze nie nadszedł — powiedziałem późnym latem do swojego cienia.

— A kogo będą wieszać?

— Ormian.

— Kiedy?

— Kiedyś. Dokładnie tego jeszcze nie wiem. Dziś Turcy przeprowadzili mobilizację. Jest trzeci sierpnia 1914 roku.

— Jak to było z wyjazdem Wartana do Ameryki, wtedy w 1898 roku? — spytał mój cień.

— Było tak i tak — odpowiedziałem.

— A co się działo z Anahitą?

— O poparzoną dziewczynkę troszczyli się kapłan i Bülbül. To prawda: nie miała twarzy. Miała tylko oczy. Ale te oczy błyszczały, jakby widziały Chrystusa. A ponieważ oczy tak błyszczały, kapłan znalazł bez trudu rodzinę zastępczą, która miała wychować dziecko w wierze chrześcijańskiej. Wcale nie dlatego, żeby nie ufał Bülbül, ale Bülbül nie była chrześcijanką.

Znaleziono więc dziewczynce nowych rodziców, bezdzietne małżeństwo mieszkające na skraju wioski.

Przysposobić dziewczynkę zdecydowali się hodowca jedwabników Jeremian i jego żona, która była bezpłodna i do końca życia miała mieć wyschnięte piersi. Zamierzano znaleźć dziewczynce także mamkę i rodziców chrzestnych, którzy trzymaliby dziecko do chrztu.

Kapłan Kapriel Hamadian rzekł wtedy do Hagopa: Chrystus ocalił tę małą dziewczynkę. Jego wolą było, aby ktoś o czystym sercu znalazł Anahitę.

Masz na myśli mojego syna Wartana?

Twojego syna Wartana.

Mój syn zamierza się z nią ożenić, kiedy przyjdzie czas, powiedział Hagop, gdyż wygląda na to, że wolą Zbawiciela jest, aby ci dwoje się połączyli.

W takim razie niech się z nią ożeni, kiedy przyjdzie czas, rzekł kapłan.

Dziecka nie może jednak karmić ta sama mamka, która karmiła mojego syna, gdyż jest to zabronione, jeśli pewnego dnia zamierzają się pobrać.

Więc znajdź inną mamkę.

Rudy kowal też nie może być jej chrzestnym ani jego żona chrzestną, gdyż oboje są rodzicami chrzestnymi mojego syna.

Nie mogą mieć tych samych rodziców chrzestnych, jeśli mają być kiedyś mężem i żoną, potwierdził kapłan.

Postaram się więc o innych rodziców chrzestnych dla Anahity, oświadczył Hagop. I porozmawiam z rudym kowalem, który powiedział już ludziom, że chciałby być chrzestnym.

Zrób to, rzekł kapłan. I wyjaśnij kowalowi, dlaczego nie może być chrzestnym.

I znaleziono obcą mamkę i innych rodziców chrzestnych. Na chrzcie dano dziecku imię Anahita, Anahita była bowiem boginią płodności. To co przeżyło, powinno być płodne, aby diabeł widział, że Bóg nie sieje na próżno.

Hagop wymienił symboliczne monety z hodowcą jedwabników. I wrzucili monety do świętego ognia *toniru*, wyłowili je, podmuchali w dłonie, popluli na dłonie i monety i schowali monety z powrotem.

Kiedy Wartan miał jechać do Ameryki, przybrany ojciec Anahity rzekł do Hagopa: Twój syn jest zaręczony z moją córką. Czego chce szukać w Ameryce?

Nie wiem, odparł Hagop. Mówi, że chce zostać poetą.

I dlatego musi jechać do Ameryki?

Właściwie nie, przyznał Hagop. I Hagop rzekł: Może tylko boi się wielkiego *tebku*, który kiedyś nadejdzie, wielkiej masakry, której nie przeżyje żaden z nas. Albo ciągnie go w daleki świat, bo jest młody i jeszcze nie wie, że korzenie ważniejsze są od złotych owoców, które za oceanem wiszą na drzewach.

Może chce zostać milionerem? spytał hodowca jedwabników.

Na pewno zostanie milionerem, przytaknął Hagop, bo każdy, kto jedzie do Ameryki, zostaje milionerem. A potem wróci po Anahitę.

Musi jednak poczekać parę lat, dopóki pierwsza krew, ale nie z rany, tylko spomiędzy ud mojej córki, nie zasygnalizuje nam wszystkim, że stała się kobietą.

Poczeka, zapewnił Hagop.

Ale za oceanem jest wiele kobiet, rzekł hodowca jedwabników, które pokazują nie tylko nogi.

To prawda, zgodził się Hagop. Ale znam swojego syna. On wróci.

I nie będzie mu przeszkadzać, że jego narzeczona nie ma twarzy, lecz tylko oczy?

Wie o tym, powiedział Hagop. I nie przeszkadza mu to.

Zabierze Anahitę do Ameryki? spytał hodowca jedwabników. Czy wróci z zarobionymi milionami do Hajastanu, żeby się tu z nią osiedlić?

Jeśli nie nadejdzie wielki *tebk*, rzekł Hagop, to możliwe, że mój najmłodszy syn wcale nie wróci do Ameryki ze swoimi milionami. Ożeni się z Anahitą i kupi sobie tutaj willę.

Ale tu w okolicy nie ma żadnej willi, zaproponował hodowca jedwabników.

Więc każe sobie zbudować, odparł Hagop. Albo kupi sobie willę w Wanie, może w ormiańskiej dzielnicy ogrodowej lub

nad samym jeziorem Wan, gdzie mieszka jeden mój bogaty krewny.

To piękne jezioro, przytaknął hodowca jedwabników. To z niego chyba pochodzi mydło?

Owszem, z niego, potwierdził Hagop. Jeśli ktoś mieszka nad jeziorem, wystarczy naczepać wody i odparować ją, a to, co pozostanie w postaci soli, to najczystsze mydło.

A więc nie będzie musiał w ogóle kupować mydła, tylko wyłowi je sobie za darmo z jeziora?

Owszem, przyznał Hagop.

W noc przed wyjazdem Wartan zobaczył we śnie kapłana Kapriela Hamadiana. Który powiedział do niego: Jeśli to prawda, mój synu, że pszenica w Ameryce jest z czystego złota, to weź sierp, wyjdź na pola tego wielkiego kraju i zbierz te grube złote kłosa, zanim szarańcza pożre ziarno. A jeśli to prawda, mój synu, że w wielkich amerykańskich miastach na ulicach leży mnóstwo pieniędzy, to weź miotłę i pozmiataj je, zanim pojawią się szczury. Jeśli natomiast zauważysz, mój synu, że w złotych ziarnach pszenicy i w stosach pieniędzy na ulicach siedzą tylko pijawki, które wyssą ci ciepło z serca i skarby z duszy, to wyrwij uchwyt z sierpa oraz kij z miotły i odrzuć zbędne narzędzia. I wejdź do swojej izdebki, tam gdzie nikt cię nie widzi. I weź gęsie pióro poety, i zamień je w wędkę.

Co mam nią łowić, *wartabed*?

Pieśni płynące z twego serca, mój synu, oraz skarby duszy, których nie mogą pożreć ani szarańcza, ani szczury, ani pijawki.

Głupkowaty nosiwoda słyszał od mieszkańców wioski, że Wartan ocalił od śmierci dziewczynkę Anahitę. Słyszał jednak także słowa kapłana, który powiedział: Zbawiciel nasz Jezus Chrystus ocalił od śmierci dziewczynkę. A ponieważ nosiwoda należał do „ubogich w duchu”, a i poza tym miał trochę pomieszane w głowie, wierzył, że Wartan i Jezus Chrystus to jedna i ta sama osoba. I stąd ilekroć pojawiał się Wartan, zaczynał głośno się jąkać i gestykulując skradał się za nim. Pewnego razu poszedł za Wartanem do studni Gatnachpur,

a ponieważ słyszał, że ptak świętego Sarkisa poderwał się do lotu przy tej właśnie studni, by zaprowadzić Chrystusa do Anahity, padł przed Wartanem na kolana i jękając się ucałował jego stopy. Przypadkiem pojawił się kapłan. Potem nadeszło także paru innych ludzi. Zaczęli szydzić z nosiwody, złapali go i udawali, że chcą go wrzucić do studni. Przybiegł również Hagop, zobaczył jednak tylko, jak kapłan przepędza ludzi i uspokaja płaczącego nosiwodę.

Później Hagop zapytał kapłana: *Wartabed*, czy rozumiałeś, co jąkał nosiwoda, kiedy go uspokajałeś?

Owszem, potwierdził kapłan.

I co wyjąkał?

Bełkotał coś o Chrystusie. A potem wskazał twego najmłodszego syna i zapytał mnie, czy wkrótce znów będzie chodził po jeziorze Genezaret.

I co mu odpowiedziałeś?

Powiedziałem do niego: Ten tu wybiera się wkrótce za wielką wodę. Do Ameryki.

Hagop nie płakał jak inni, gdy żegnał się z synem. Rzekł do niego: Nigdy nie zapomnij, że pochodzisz z Hajastanu.

Nie zapomnę, obiecał Wartan.

I że dobrego drzewa nie należy przesadzać.

Zapamiętam to, ojczu.

Prawdziwego drzewa nie da się zresztą przesadzić, dodał Hagop, i nie może tego zmienić nawet najżyźniejsza ziemia na obczyźnie.

Zrazu ludzie we wsi często rozmawiali o Wartanie, z czasem coraz rzadziej, a później mówili o nim tylko wtedy, gdy przyszedł akurat list od niego. Na początku Wartan pisał często. Długie, obszerne listy. Ale w miarę upływu czasu jego listy stawały się coraz krótsze, a w końcu w ogóle przestały przychodzić. Ilekroć Hagop skarżył się na syna, ludzie mawiali: Gdy ktoś staje się bogaty, zapomina o swoich bliskich. A im więcej ma milionów, tym łatwiej zapomina.

Kiedy więc Hagop i jego żona czekali na pocztę i w swych rozmowach próbowali dociec przyczyn milczenia syna, kiedy

tak mijał jeden rok po drugim i starzejąc się zaczęli odczuwać zmęczenie... ledwo zauważyli, że Anahita, dziewczynka bez twarzy, rozkwitła i przedzierzgnęła się w młodą kobietę. Hodowca jedwabników wysłał na jakiś czas przybraną córkę do Bekiru, żeby chodziła w Bekirze do szkoły, gdyż były tam amerykańskie i frankońskie szkoły misyjne, które przyjmowały dziewczęta, także wyznania gregoriańskiego. Kiedy wróciła, władzę przejęli właśnie młodoturcy. Był rok 1908 i Anahita już od pewnego czasu krwawiła bez ran między udami.

Wartan powinien teraz wrócić, mówił hodowca jedwabników, bo Anahita ma prawie trzynaście lat i krwawi już od tak dawna, że obawiam się, iż niedługo będzie za stara, aby znaleźć porządnego męża.

Nie ma nawet jeszcze pierścionka zaręczynowego, dodała jego żona.

Wcześniej nikt nie bał się patrzeć Anahicie w poparzoną twarz, teraz jednak ludzie odwracali wzrok i poszeptywali szyderczo za jej plecami.

Nie było więc właściwie zaskoczeniem, że swatka Manuszag zwróciła się do hodowcy jedwabników i jego żony: Mam się rozejrzeć za narzeczonym dla niej?

Nie, odparł hodowca jedwabników. Obiecałem ją synowi Hagopa.

Ale on się nie zgłasza.

Na pewno się zgłosi.

Im dłużej będzie czekać, tym gorsze jej widoki na przyszłość, rzekła swatka. Kto się będzie chciał żenić ze starą panną, w dodatku bez twarzy?

W roku 1909 znów pojawił się Amerykanin w wielkim kapeluszu. Przywiózł złoty pierścionek dla Anahity i kilka słów skreślonych ręką Wartana.

Nie chciał posyłać pierścionka pocztą, rzekł Amerykanin.

Jak się wiedzie mojemu synowi? spytał Hagop.

Wiedzie mu się nieźle, odparł Amerykanin.

Mam listy od mojego brata Nahabeda, powiedział Hagop, a także od mojego drugiego brata i od innych krewnych z Ameryki, ale nikt nie wspomina o moim najmłodszym synu.

Bo nie zrobił milionów, wyjaśnił Amerykanin.  
 Czy mój syn wróci?  
 Tak. Powiedział mi, że wróci.

— Nie wiem — rzekł bazarz do swego cienia — to znaczy: nie wiem, dlaczego Wartan wciąż zwlekał z powrotem, lecz przypuszczam, że nie miał pieniędzy na podróż i chciał jeszcze trochę zaoszczędzić, by nie przyjeżdżać do rodzinnej wioski jak żebrak. W każdym razie wszystko przeciągnęło się do 1914 roku, kiedy to pewnego dnia wczesnym latem Wartan postanowił zaokrętować się na niemiecki statek „Graf Schwerin”, który miał go bezpiecznie zawieźć do Europy.

— I tak było — powiedziałem ja, bazarz, do swojego cienia, który siedział niespokojnie tuż obok mnie na Bramie Szczęśliwości. — Wczesnym latem 1914 roku Wartan stał przy relingu na tym niemieckim statku i spoglądał do tyłu na port nowojorski. Statek przepływał obok Statuy Wolności, która ani się nie uśmiechała, ani nie machała. Pochodnia w ręku statuy wyglądała niczym obnażony miecz, na którym widniały jeszcze ostatnie życzenia sylwestrowe: *Happy New Year 1914!*

— *Happy New Year 1914?* — Mój cień zaczął chichotać, ale nie brzmiało to złośliwie. — Czy to ma być kiepski żart, *meddach?*

— Nie — odparłem. — To tylko życzenia sylwestrowe.

— Czy Wartan mógł coś przeczuwać?

— Co przeczuwać?

— Pożogę, która parę tygodni później miała zmienić świat.

— Jak mógłby ją przeczuć? Myślał o Anahicie i zbliżającym się weselu. Może myślał też o swoim synu Towmie, którego z nią spłodzi. I na pewno — dodałem — przepływając obok Statuy Wolności myślał o pozbawionych oblicza, numerowanych ulicach wielkiego miasta, ulicach, które po pewnym czasie, jak mu się wydawało, odzyskały swoje oblicze i stały się dla niego rozpoznawalne. Jego serce tęskniło jednak do Hajastanu.



— Szesnaście lat Wartan był w Ameryce — powiedział mój cień. — To cholernie długi czas.

— Owszem — przyznałem.

— A jednak... dlaczego musiał wracać akurat tuż przed wybuchem wielkiej wojny? Gorszego terminu nie mógł wybrać.

— To prawda — zgodziłem się. — Mimo to miał szczęście, że nie czekał dłużej. Gdyby bowiem nadal odwlekał swój powrót, nigdy by pewnie nie wrócił. Kilka tygodni później była już wojna, a wkrótce potem zaczęła się także wielka masakra.

— O jakiej masakrze mówisz?

— O tej zbliżającej się... którą nazywam holocaust.

— Holocaust?

— Holocaust.

— Zdarza się szczęście w nieszczęściu — rzekłem do swego cienia. — Załóżmy, że byłoby niemądre ze strony Wartana... lub tylko lekkomyślne... powiedzmy, że po prostu lekkomyślne opuszczać tak bezpieczny port jak Ameryka i wracać do Turcji tylko po to, żeby wpaść jak śliwka w kompot w wojnę, a wraz z tą wojną w holocaust, który mógł go przecież ominąć. Nazwijmy to zatem nieszczęściem. Ale czy nieszczęście nie jest zarazem szczęściem? Gdyby bowiem Wartan odwlokł powrót o kilka miesięcy... nigdy już nie ujrzałby swojej rodziny, ani ojca, ani matki, ani braci i sióstr, ani wszystkich innych krewnych i przyjaciół. Nie ujrzałby już także Anahity i nie byłoby wesela. Albowiem wszyscy, przy których był sercem i którzy coś dla niego znaczyli, mieli zniknąć w odmętach holocaustu. A poza tym: nie spłodziłby także Towmy, któremu opowiadam tę historię.

— Towmy?

— Towmy.

— Szczęście w nieszczęściu?

— Tak jest.

— A więc było mu przeznaczone być świadkiem?

— Było mu to przeznaczone.

— I ty to nazywasz szczęściem?

— Ja to nazywam szczęściem.

Wartan był zaskoczony, jak bardzo czasy się zmieniły, odkąd wyjechał. Wszędzie w Hajastanie zapewniano go, że Ormianom wiedzie się teraz lepiej niż kiedykolwiek. Nawet ormiański kupiec, który podwiózł go swoją *arba* ze stacji końcowej Kolei Bagdadzkiej do Bekiru, zapewniał, że tak jest. Po upadku Abdülhamida, tak opowiadał kupiec, nowy rząd utworzony przez młodoturków uroczyście obiecał w imieniu Enwera Paszy, Talaata Beja i Dżemala Paszy, że od tej pory wszyscy obywatele osmańscy, bez względu na wyznanie, będą mieli takie same prawa. Prawa te, jak mówił kupiec, są wprawdzie tymczasem po większej części tylko na papierze... zwłaszcza w odległych prowincjach trudno je egzekwować... ale bądź co bądź Ormianom wolno teraz nosić broń i służyć w armii tureckiej jako żołnierze i oficerowie. To byłoby wcześniej nie do pomyślenia. Władze, relacjonował kupiec, rozdzieliły nawet broń w odległych ormiańskich wioskach, by ich mieszkańcy mogli bronić się przed Kurdami. Słyszałem też na własne uszy, mówił kupiec, jak pewien turecki poborca podatkowy powiedział do ormiańskiego handlarza końmi: Tak jest w porządku, *efendi*. Wy, ormiańscy oszuści, zawsze płaciliście najwyższe podatki. Trzeba to przyznać, *efendi*. A skoro już napełniacie państwową kasę pieniędzmi wyłudzonymi od innych, to powinno się wam także przyznać prawa.

Powinno się nam przyznać prawa, powtórzył handlarz.

Taka jest prawda, rzekł urzędnik. Allah mi świadkiem, że tak jest.

I coś jeszcze powiedział? spytał Wartan.

Owszem. Powiedział: Słyszałem, *efendi*, że Rosjanie po tamtej stronie granicy źle traktują waszych ludzi. Prześladowają waszych kapłanów i zamykają wasze kościoły. I zabronili nawet nauczać w szkołach waszego języka.

Tak było przez jakiś czas, przyznał handlarz końmi. Rzeczywiście tak było. Niech mnie Bóg pokarze, jeśli tak nie było. Ale ostatnimi czasy Rosjanie obiecali swoim Ormianom mnóstwo udogodnień.

Dobrze wiesz, *efendi*, rzekł urzędnik, że wszyscy Rosjanie to kłamcy. Czy są może więksi kłamcy od Rosjan?

Nie ma, odpowiedział handlarz.

Przez chwilę rozmawiali szeptem, opowiadał dalej kupiec, więc nie mogłem nic słyszeć. Ale potem znów zaczęli mówić głośno i usłyszałem, jak urzędnik powiedział do handlarza: No cóż, *efendi*. Nowy rząd traktuje was dobrze. Musisz to chyba przyznać. A gdy Rosjanie zobaczą, że my traktujemy Ormian lepiej niż oni, to się wystraszą, bo będą się obawiać, że ich Ormianie podczas przyszłej wojny przejdą na naszą stronę.

Tak, to prawda, potwierdził handlarz.

Triumwirat bowiem nie jest głupi. Zwłaszcza Talaat Bej, ten ma głowę nie od parady, i pod pewnym względem także Enwer Pasza i Dżemal Pasza. Dobrze wiedzą, dlaczego warto dobrze traktować Ormian, a nawet dać wam broń.

Owszem, przyznał handlarz.

A więc Ormianom wiedzie się teraz dobrze? spytał Warrantan. Lepiej nawet niż Ormianom po rosyjskiej stronie?

Tak właśnie jest, rzekł kupiec. Złe czasy pod panowaniem Abdülhamida minęły. Nowy rząd jest przychylnie nastawiony do Ormian, a jego polityka przechodzi wszelkie nasze oczekiwania. Wszędzie jest nadzieja. I wszędzie są zmiany. Nic dziwnego, że nawet *dasznacy* trzymają z młodoturkami i wzywają swoich ludzi, by popierali nowy rząd.

A co z marzeniami *dasznaków* o odbudowie państwa armeńskiego?

Wygląda na to, że *dasznacy* gotowi są zamienić swoje marzenia na prawa obywatelskie.

Jesteś pewien, *efendi*, że tak jest?

Każdy tak mówi.

A jeśli dojdzie do wojny z Rosją? Czy Turcy będą nam ufać? Czy nie pomyślą raczej, że *dasznakom* wcale nie chodzi o równe prawa obywatelskie w wielkim państwie osmańskim? Czy nie uznają, że dalej roją po kryjomu swój sen, sen o niepodległości... i że Rosjanie mogą im w tym pomóc?

Bzdura! Turcy bardzo dobrze wiedzą, że car nie podaruje Ormianom zdobytych terenów, bo chciałby je zachować dla siebie. Car nigdy więc nie dopuści do tego, aby Ormianie utworzyli na wyzwolonych terenach niepodległe państwo. A to co Turcy, wiedzą też *dasznacy*. Wszyscy to wiedzą. I każdy

Ormianin, nawet najgłupszy. Ormianie nigdy nie ufali Rosjanom. Kupiec zaśmiał się. Wiesz, *efendi*, powiedział, znałem kiedyś ormiańskiego handlarza rybami, który wybierał się do Rosji, by kupić solone ryby w pobliżu wielkich zimnych mórz. I wiesz, co mu powiedziałem?

Nie, odparł Wartan.

Powiedziałem mu: Nie ufaj Rosjanom, *efendi*! Czegóż to nie naobiecował nam już ich car! Chcesz od nich kupować ryby? Nie wiesz, jak to jest z rybami, które obiecują Ormianom?

Nie wiem, odrzekł handlarz rybami.

No cóż, z ich rybami jest tak i tak, powiedziałem.

Jak to rozumiesz, *efendi*? spytał handlarz.

Wiesz, *efendi*, wyjaśniłem, to jest tak: kiedy Rosjanin obiecuje ci rybę, daje ci tylko ości i ma nadzieję, że się nimi udławisz.

I tak jest? spytał handlarz.

Owszem, potwierdziłem, tak właśnie jest.

— I rzeczywiście tak było — rzekł bazarz. — W owym czasie, gdy Wartan wrócił do Turcji, powiadano o Ormianach po rosyjskiej stronie, że popatrują zazdrośnie ku swym krewnym po stronie tureckiej. Wyglądało bowiem na to, że ich krewnym w Turcji chwilowo powodzi się lepiej.

## 2

Drugie wesele Wartana odbyło się po żniwach, dokładnie tak jak pierwsze, i zresztą niewiele różniło się od niego. Przez siedem dni i siedem nocy świętowano w uliczkach Jedi Su. Muzyka nie była inna niż dawniej i zawsze, a dźwięki instrumentów dętych i smyczkowych oraz bębenków wybijających takt i trył, lecz przede wszystkim czarodziejskie głosy cygańskich skrzypiec wzbijały się do chmur, które nie były chmurami deszczowymi... gdyż na ormiańskich weselach

deszcz nie miał wszak prawa padać. Zgodnie ze zwyczajem nabito jagniąt i owiec, które Hagop i jego pomocnicy powiesili nad dymiącymi rożnami. Pieczono i gotowano, nad małym kościołem i płaskimi dachami domów unosiły się zapachy tysiąca i jednego specjału. A jednak to drugie wesele różniło się od pierwszego, ponieważ w wiosce mniej bano się Kurdów. Mężczyźni byli teraz uzbrojeni. I Kurdowie w górach wiedzieli o tym. Dlatego napady zdarzały się bardzo rzadko. Mimo to Wartan uparł się, żeby tym razem zapłacić sędziwemu szejkowi Sulejmanowi podatek ślubny, byłoby bowiem niemądre rzucać wyzwanie szejkowi wraz z synami i wnukami, których jeźdźcy mieli wszak liczebną przewagę nad chłopami z Jedi Su.

— Zapłacono więc podatek ślubny?

— Tak. Zapłacono.

— I panna młoda nie została porwana?

— Nie została porwana. Nie została też rozzewiczona przez Kurdów bez kościelnego błogosławieństwa. Wesele obyło się bez incydentów. Świątowano przez siedem dni i siedem nocy, jak powiedziałem. A siódmy dzień był dniem ślubu oraz dniem pokrwawionego prześcieradła, które i tym razem, jak od wieków, miało być wywieszane przed drzwiami.

— Czy Wartan miał takie same trudności jak za pierwszym razem w połączeniu się ze świeżo poślubioną żoną? I czy Hagop przy pomocy starej Bülbül musiał zabić koguta, aby zmylić ludzi?

— Nie — odpowiedziałem.

I ja, bajarz, rzekłem:

— Wtedy, w wypadku jego pierwszej żony, utuczonej córki *muchtara*, studnia, którą miał otworzyć, była sucha, a nawet powiedziałbym: wyschnięta, i ani chuć mężczyzny, ani jego starania w pierwszych dniach małżeństwa nie zdołały doprowadzić męskiej kości do owego ukrytego źródła, które należało odnaleźć. A cierniste zarośla przed wyschniętą studnią były tak nastroszone, że opowiadam o tym bardzo niechętnie. Tym razem jednak było zupełnie inaczej.

Nie, Anahita nie była tłusta, choć próbowano ją utuczyć. Wielkie ilości *baktawy* podsuwane przez przybranych rodziców i przekonywania hodowcy jedwabników oraz jego żony nie przynosiły jakoś godnych wzmianki i widocznych rezultatów. Anahita nie była wprawdzie chuda, lecz ponieważ odznaczała się wysokim wzrostem, wałeczki tłuszczu występujące tu i ówdzie w pewnych miejscach i krągłości jej ciała niezbyt rzucały się w oczy. Była wyższa od wszystkich pozostałych kobiet w wiosce, a nawet przewyższała o głowę większość mężczyzn. Nie była piękną kobietą, gdyż jak wiadomo nie miała twarzy, a jej ciało znaczyły liczne ślady oparzeń i blizny. Ale Anahita poruszała się z wdziękiem i dumą, a jej oczy w poparzonej twarzy błyszczały niezmiennie, gdyż widziała przecież Chrystusa.

Wartan połączył się z nią od razu pierwszej nocy. Nie napotkał wyschniętej studni ani niesfornych cierni. Znalazł natomiast wdzięczne, rozkoszne źródło, które pragnęło być nagradzane i przy tym samo obdarowywało. I wszystko, co u mężczyzny było kościste i twarde, i podobno bezlitosne, stawało się łagodne, i nawet чуć, która szukała samej siebie, zaczynała szukać drugiego i przechodziła w czułość. Tak jakby Chrystus złączył na zawsze mężczyznę i kobietę, do ostatniego ich oddechu.

Kiedy wojna nawiedziła kraj, wszyscy mężczyźni w wiosce zdolni do noszenia broni zgłosili się na ochotnika, zanim zjawili się dobosze i heroldowie i zaczęły przychodzić pojedyncze karty powołania roznoszone przez doręczycieli powolnej tureckiej poczty. Bogaci mogli w dalszym ciągu wykupywać się od służby wojskowej płacąc *bedel* i dotyczyło to zarówno muzułmanów, jak i niewiernych, ale w wiosce nawet synowie bogaczy zrezygnowali z płacenia *bedelu* i przenieśli się do koszar w Bekirze. Ja, bajarz, mogę się tylko dziwić, relacjonując ci, że nie inaczej było w innych wioskach i miastach... lub powiedzmy, że było podobnie. Tu i ówdzie trafiali się dezertery i dekownicy, zarówno wśród muzułmanów, jak i wśród chrześcijan. Przeważająca większość młodych Ormian pośpieszyła jednak pod sztandary i do broni.

— Jak zachowywali się *dasznacy*? — spytał mój cień.  
 — Wzywali swoich ludzi, aby walczyli za młodoturków.  
 — A Psak, szwagier Wartana?  
 — Włożył turecki mundur i stał się żołnierzem.  
 — Czy nie został tymczasem jednym z przywódców *dasznaków*?

— Był nim.

— Czy i on chciał wymienić marzenia na prawa?

— Owszem — potwierdziłem ja, bazarz. — Nastroje w kraju nagle się zmieniły, przede wszystkim wśród Ormian. Perspektywa zostania równoprawnym obywatelem osmańskim była bardziej kusząca niż niepewna odbudowa państwa armeńskiego, które i tak byłoby zbyt małe i słabe, aby przetrwać dłużej między dwoma olbrzymami: Rosją i Turcją. Prości ludzie wśród Ormian chcieli bezpieczeństwa, niczego więcej. Chcieli pilnować swych interesów i dbać o rodziny. Pragnęli czegoś trwałego i *dasznacy* też o tym wiedzieli.

— A ten sen o solidności i bezpieczeństwie mieli zrealizować młodoturcy?

— Nowy rząd to obiecał — powiedziałem.

— A jak zachowywali się ormiańscy kapłani, kiedy wybuchła wojna?

— Wzywali wiernych, aby walczyli za Turków. I modlili się za padyszacha.

— Którego padyszacha?

— Dokładnie nie wiem, ale sądzę, że tureckiego.

— A kapłan Kapriel Hamadian?

— Kapłan mówił: Tak jest dobrze. Nowy rząd przyznał nam prawa i te prawa powinniśmy wywalczyć, gdyż wiele z nich pozostaje tylko na papierze. Mamy teraz okazję pokazać Turkom, że jesteśmy lojalnymi obywatelami. Nigdy dotąd nie było lepszej okazji. Młodoturcy dali nam bowiem broń i nasi mężczyźni są teraz tureckimi żołnierzami jak wszyscy inni.

Do wioski przybywali obcy *münadiowie*, by gromadzić ludzi wokół swoich bębnów. W kilka tygodni po wybuchu wojny z Rosją zjawił się także sędziwy, głuchy na jedno ucho i chromy na jedną nogę *münadi* Nazym efendi, aby w imieniu

Enwera Paszy, Talaata Beja i Dżemala Paszy, czyli rządzącego triumwiratu oraz Komitetu Jedności i Postępu, ale również w imieniu sułtana poinformować o wielkich zwycięstwach oraz nowinach z frontu. Zanim herold udał się z bębniem na plac pośrodku wioski, Hagop zaprosił go na kieliszek *oghi*, wręczył mu znaczny bakszysz i zdradził szeptem na zdrowe ucho pewną tajemnicę. Później, na placu, *münadi* obwieścił, iż żona Wartana jest brzemienna i że Komitet Jedności i Postępu, triumwirat Enwer Pasza, Talaat Bej i Dżemal Pasza, a poza tym sułtan Mehmed Piąty życzą Wartanowi i jego żonie, ale także ich przyszłemu synowi, który dostanie na imię Towma, wszystkiego najlepszego. Oprócz tego *münadi* wspomniał, że armia turecka zajęła Tebriz i Rosjanie zostali pobici, że Enwer Pasza, który sam był na froncie, i to na czele swoich wojsk, wkrótce wyzwoli Kaukaz i wszystkie ludy tureckie, że niemieccy sojusznicy stoją już od jakiegoś czasu pod Paryżem, grzesznym miastem we Frankistanie, i że Allah jest po stronie sprawiedliwych.

Zimą niewiele było do roboty. Chłopi grali w karty albo w *tawłę*, a wieczorami drzemali pod *tonirem*. Naturalnie musieli doglądać gospodarstwa i zwierząt, ale na polach nie było żadnych prac. Tak więc przez całą zimę marzyli o wiosnie i świeżo zoranej ziemi. Zastanawiali się, czy i najbliższej wiosny wrócą bociany i czy po wojnie, która przecież na pewno skończy się wiosną, będzie tak, jak zawsze było w Hajastanie w okresie siewów i wiosennych wiatrów.

Pewnego dnia, gdy zimowy sen susłów stał się lżejszy, a kraj znalazł się na progu odwilży, zjawił się oddział żandarmów i zatrzymał przed domem Hagopa. *Zaptijeler* mieli mundury pochłapane śniegiem zmieszany z błotem, a ich buty wyglądały nie lepiej. Przeszukali dom Hagopa i wszystkie przyległe budynki rodu Chadisjanów. Niewiele znaleźli, tylko parę niewinnych zdjęć należących do Wartana, a poza tym jego dokumenty, których w wiosce nie nosił przy sobie, papiery z obcymi pieczętkami i wizami, spoczywające w szkatułce razem ze zdjęciami.



Później, odjeżdżając, zabrali ze sobą Wartana. Podoficer, grubawy i dobroduszny z wyglądu *czausz*, powiedział do Hagopa: To tylko formalność. Twój syn jest Amerykaninem. *Müdüür* Bekiru chce jedynie, żeby coś podpisał.

Kiedy mój syn wróci? spytał Hagop. A ponieważ coś przeczuwał, dodał: Powiedz mi, *czausz aga*, czy zobaczę jeszcze mojego syna?

— *Czausz* nie odpowiedział na ostatnie pytanie Hagopa — rzekłem do swojego cienia. — Jak bowiem zwykły *czausz* miałby uczciwie odpowiedzieć na takie pytanie? *Czausz* zabrał jednak pytanie Hagopa ze sobą w drogę przez góry Taurus. A później, gdy odstawił najmłodszego syna Hagopa do *müdüra* Bekiru i zadał *müdürowi* to samo pytanie, ów odrzekł: Ten Ormianin nigdy nie wróci do swoich.

Jego żona jest brzemienna, wtrącił *czausz*. Powiedziała mi, że spodziewa się syna.

Tego syna on też nigdy nie zobaczy, oświadczył *müdüür*.

Ale ojciec powinien przynajmniej raz posłuchać, gdy jego syn przychodzi na świat, rzekł *czausz*, tylko jeden raz, mam na myśli ten jeden raz, gdy syn wrzeszczy po raz pierwszy... absolutnie pierwszy, mimo że nie zna jeszcze wcale świata, który Allah dla nas stworzył.

Ten Ormianin z amerykańskim paszportem, powiedział *müdüür*, ten tam... będzie słyszał tylko własne krzyki, a będą one tak głośne, że jego syn usłyszy je w łonie swojej matki.

Niech Allah ulituje się nad jego duszą, rzekł *czausz*.

Wielu z tego narodu zdrajców będzie wrzeszczeć, ciągnął *müdüür*. Jedni będą krzyczeć głośniejsze, a drudzy ciszej. Ale za każdym razem gdy będą krzyczeć, sprawiedliwi w raju zatkają uszy. A kości wiernych, pachnące piżmem i lawendą, będą spoczywać w pokoju. Prorok przeklął tych niewiernych. Niechaj ich matki drżą przy każdym krzyku swoich synów.

Tak, powiedział *czausz*. A gdy opuścił biuro *müdüra*, szepnął do siebie: Niech Allah ulituje się nad ich duszami.

## 3

Dwa tygodnie przed aresztowaniem Wartana powieszono pierwszych Ormian pod Bramą Szczęśliwości, a my, mój cień i ja, byliśmy świadkami tej egzekucji. Potem było ich coraz więcej. Dzień w dzień władze tureckie wieszały jakiegoś Ormianina, a często i kilku. Nie chodziło zresztą o liczby.

— Odkąd aresztowano Wartana — zauważył mój cień — jest ich coraz więcej. Czy może to mieć jakiś związek z jego aresztowaniem?

— Raczej odwrotnie — powiedziałem. — To jego aresztowanie ma jakiś związek z nową polityką, której elementem jest wieszanie jako środek odstraszący.

— Ci wisielcy mają szyderczy wyraz twarzy.

— To potwierdza tylko lęki rządu.

— A co z obietnicami Komitetu Jedności i Postępu?

— Jest wojna — rzekłem.

— Mam na myśli kwestię równouprawnienia.

— To było przed wojną — odparłem.

— Franciszek Józef z Austrii — powiedziałem — chciał się spotkać z niemieckim cesarzem w Paryżu, ale przypuszczalnie nic z tego nie wyszło.

— Może austriacki cesarz jest za stary, żeby wybierać się w taką daleką podróż — podsunął mój cień — zwłaszcza że od pewnego czasu ma kłopoty z sikaniem. A w podróży tak czy owak nie zawsze jest to łatwe.

— Możliwe — przyznałem.

— A co z Enwerem Paszą? Czy i on nie chciał się spotkać z niemieckim cesarzem?

— W rzeczy samej.

— A gdzie?

— W Sankt Petersburgu.

— I co wyszło z tego spotkania?

— Nic — odpowiedziałem. — Enwer chciał najpierw zdobyć Kaukaz i wyzwolić wszystkie ludy tureckie spod carskiego jarzma, a dopiero potem pojechać do Petersburga. Ale nic z tego nie wyszło.

— A cesarz niemiecki?

— Także on przesunął swoją podróż do Petersburga. Podobno z powodów taktycznych.

— A jak wygląda sytuacja na froncie turecko-rosyjskim?

— Niewesoło dla Turków — wyjaśniłem. — Armia Enwera Paszy jest praktycznie pobita. I ktoś musi być temu winien.

— Kto?

— Ormianie.

— Ale oni byli przecież dzielnymi żołnierzami. I byli lojalni. Tak pisały tureckie gazety. Sam Enwer to przyznał.

— Już dawno to odwołano.

— Były po temu powody?

— Powody są zawsze.

— A gdzie się je znajduje?

— We własnych lękach.

— Okaże się jednak, że są niewinni!

— Wtedy tym bardziej będą winni. Zakwestionowaliby bowiem własny wizerunek historyczny, jaki stworzyli dla nich inni. A to jest grzech. To jest wina. Tak, wszystko podaliby w wątpliwość... wszystkie uzasadnienia tureckiej historii i tych, którzy ją spisują.

— A więc muszą być winni?

— Nie inaczej.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, mój cień i ja. Wtem usłyszeliśmy, że coś trzepocze między nami. Usłyszeliśmy to obaj, mój cień i ja, bazarz.

— Coś trzepocze między nami — zauważył mój cień.

— To tylko ostatnia myśl Towmy Chadisjana — powiedziałem.

— Naprawdę jego ostatnia myśl?

— Nie. Ta naprawdę ostatnia siedzi jeszcze w jego głowie i czeka na sygnał do odlotu.

— Więc która to z ostatnich myśli?

— To tylko ostatnia myśl z baśni o myśli ostatniej... baśni, którą opowiadam umierającemu, żeby wiedział, co będzie

z jego ostatnią myślą albo co mogłoby być... kiedy w końcu odleci... gdzieś w czas.

I ja, bajarz, słyszę, jak ostatnia myśl wzdycha, słyszę też jej pytanie:

— Czy mój ojciec wyjdzie dzisiaj z więzienia?

— Słusznie, moja owieczko — mówię. — Dziś wyjdzie.

A na podwórzu więziennym czeka już dwudziestu pięciu żandarmów.

— Żeby go zawieźć do Konstantynopola?

— Tak jest.

— Na proces?

— Na proces.

I pokazuję ostatniej myśli worek ślepego żebraka, który siedzi na skraju drogi pod Bramą Szczęśliwości.

— W tym worku — mówię — ślepiec trzyma buty twojego stryja Dikrana, który był szewcem, najlepszym w Bekirze.

— Wiem — odpowiada ostatnia myśl.

— Pewnie chciałbyś wiedzieć, dlaczego ich nie sprzedaje?

— Owszem.

— Ja też tego nie wiem — przyznaję. — Ale posłuchajmy, co ślepiec ma do powiedzenia na ten temat.

Właściwie zamierzałem te buty sprzedać, powiada ślepy żebrak Mehmed efendi do swego wnuka Alego. Ale przeżyłem sprawę. Nie są to bowiem wcale najlepsze w mieście buty z żółtego safianu, mimo że zawsze w to wierzyłem. Wierzyłem w bajkę.

Dlaczego, *dede*? Dlaczego nie są to najlepsze buty, skoro zawsze byłeś przekonany, że są najlepsze?

Co było kiedyś, dawno minęło, mówi ślepy żebrak. A co miało kiedyś wartość, dziś jest bezwartościowe. I tak jest z najlepszymi w Bekirze butami z dobrej koziej skóry. Kiedyś były nowe. A dziś są podarte. Przyjrzyj im się: skóra jest starta i pełna zadrapań, podeszwy są dziurawe, a obcasy krzywe,

wszystko, co miało stały kształt i trzymało stopę jak należy, jest okropnie rozdeptane.

A co ze złotymi monetami, które każdy Ormianin ukrywa w obcasach?

W obcasach nie było złota, moja owieczko. Ten Dikran albo był zbyt biedny, aby odłożyć trochę złota, albo nie był dość przewidujący.

Co zrobisz z tymi butami, *dede*?

Nie mogę ich zwrócić zmarłemu, moja owieczko. Ale mógłbym je dać jego żonie. Albo bratu! Tak... dlaczego nie jego bratu? To byłoby najrozsądniejsze, bo sam mógłby je nosić.

Któremu bratu?

Wartanowi Chadisjanowi.

Który dziś właśnie wychodzi z więzienia, moja owieczko. Dowiedziałem się o tym od żandarmów. Mają go zawieźć do Konstantynopola. Na proces.

Na proces?

Na proces.

Dasz mu dzisiaj te buty?

Nie, dzisiaj nie.

A kiedy mu je dasz?

Kiedy będzie ich potrzebował.

Dzisiaj nie będzie ich potrzebował?

Nie, dzisiaj jeszcze nie.

I ja, bajarz, mówię:

— Czy widzisz kurdyjskich jeźdźców? Nadjeżdżają od strony dużych bazarów i zbliżają się teraz do Bramy Szczęśliwości.

— Kim oni są? — pyta ostatnia myśl.

— To rabusie i rozbójnicy. Czasem przyjeżdżają do miasta, żeby plądrować bazy, ale dziś nie opłacało im się tego robić z powodu wielu żandarmów i wojskowych, którzy kręcą się tam teraz.

— Naprawdę żyją z rabunku?

— Plemię posiada także owce, ale z samej hodowli owiec nie mogą żyć. Ich starcy, kobiety i dzieci pasą owce, a młodszy mężczyźni włóczą się po drogach. To tylko małe plemię żyjące wysoko w górach. Są spokrewnieni z Kurdami Hertoszi i pozostają pod rozkazami szejka Chalila, czyli Przyjaciela. Jak wspominałem: małe plemię, niemal wytępione.

— Dlaczego niemal wytępione?

— No cóż. Tak to bywa — powiadam. — Przed trzystu laty syn ówczesnego szejka zadźgał syna innego szejka. Brat zabitego musiał go pomścić, bo tak nakazuje prawo wendety, które jest święte. Od tego czasu oba plemiona żyją w ciągłej wojnie i zabijają się nawzajem. Z ludzi szejka nazywanego Chalil, czyli Przyjaciel, zostało już niewiele.

— Ilu?

— Dokładnie nie wiem. Ale wiem, że mają tylko około pięćdziesięciu wojowników i niewiele koni.

— Po co mi to opowiadasz?

— Wkrótce zobaczysz.

— Widzisz... — mówię — Kurdowie zatrzymali się przed ślepym żebrakiem. I jeden z nich — to syn szejka — właśnie zsiada, podchodzi do żebraka i rzuca mu do chusty żebraczej srebrną *medzidije*.

— Widzę.

— Od lat są zaprzyjaźnieni.

— Jak to możliwe?

— Ci dzicy Kurdowie nie potrafią czytać ani pisać. Poza tym nie wierzą w to, co piszą gazety. Ślepy żebrak jest dla nich najbardziej wiarygodnym źródłem informacji. Ilekroć Kurdowie przyjeżdżają do miasta, dowiadują się od żebraka najświeższych nowin.

— Czy ślepiec potrafi czytać gazety?

— Nie. Ale ma dobre uszy. I zawsze otwarte.

Jak tam wojna, Mehmed efendi? pyta syn szejka.

Dobrze, odpowiada żebrak. Pytanie tylko, dla kogo!

Dla armii Enwera Paszy?

Nie powiedziałbym.

A dla armii cara?

To co innego.

Kiedy jeźdźcy cara będą w Bekirze?

Jeszcze nie tego lata, mówi żebrak. Ale będą tutaj.

A co z tymi cholernymi Ormianami? Powieszają wszystkich?

Nie wszystkich, synu Sprawiedliwego.

Dlaczego nie wszystkich?

Bo zamierzają wszystkich wypędzić. Wypędzą na pustynię kobiety, starców i dzieci. A wszystkich mężczyzn, którzy mają jeszcze sok w jądrach, rozstrzelają.

Skąd o tym wiesz?

Słyszałem.

A co się stanie z domami Ormian, ich ziemią i bydłem, i sklepami?

Znajdą się spadkobiercy, synu Sprawiedliwego. I ci spadkobiercy będą się śpieszyć, bo spadkobiercy zawsze się śpieszą. Wierz mi: spadkobiercy już czekają. I się niecierpliwią. I zapomnieli o słowach Proroka, który powiedział: Wszelki pośpiech pochodzi od diabła.

Czy nadszedł już czas?

Jeszcze nie.

Na co czekają władze?

Potrzebują dowodów i wiarygodnego oskarżenia.

Kto ci tak powiedział?

Pewien *jüzbazy*.

A do czego im to potrzebne?

Dla prasy. Muszą przecież jakoś wytłumaczyć, dlaczego nie ma już Ormian.

Ale oni jeszcze są?

Na razie tak.

Jeden z tych Ormian jest oskarżony o szpiegostwo, mówi żebrak. I siedzi od dłuższego czasu w więzieniu. Dzisiaj go jednak wypuszczają.

Będzie wolny?

Nie. Jeszcze dziś wyjedzie przez Bramę Armatnią, a będzie mu towarzyszyć dwudziestu pięciu żandarmów.

Skąd wiesz?

Znam tego Ormianina i od tygodni chodzę dzień w dzień do więzienia, i rozmawiam z żandarmami, którzy mnie znają.

Wiesz, dokąd go zawiozą?

Do Kolei Bagdadzkiej. A potem do Konstantynopola.

A więc tam?

Tam, powiada ślepiec. Będą jechać tylko kawałek szlakiem karawanowym w kierunku Erzurum, mówi, ale potem skrócą sobie drogę i pojedą przez góry.

Wiesz którądy?

Jest tylko jeden skrót. Dobrze o tym wiesz, synu wielkiego beja. Wy, Kurdowie, nazywacie ten skrót drogą Al Borak, tak jak konia Proroka, który wzniósł się razem z nim do nieba.

To bardzo wąska i niebezpieczna przełęcz.

Tak, potwierdza ślepiec, to prawda.

A więc dwudziestu pięciu żandarmów i jeden więzień?

Owszem, mówi ślepiec.

A ile to będzie koni?

Gdybyś miał dość palców i potrafił liczyć, wyszłoby ci dwadzieścia sześć koni.

Powiedziałeś: dwadzieścia sześć koni?

Tak powiedziałem.

Przydałoby się nam dwadzieścia sześć dobrych koni, mówi syn szejka. Wiesz, co to za konie?

To całkiem niezłe konie, powiada ślepiec.

A co z futrzanymi czapkami tych żandarmów i ich butami?

To całkiem niezłe czapki i całkiem niezłe buty. Broń też jest bez zarzutu, ale przede wszystkim nowe mundury, bo kiedy wybuchła wielka wojna, wyposażono wszystkich w nowy ekwipunek.

Mundurów nie potrzebujemy.

A co z końmi?

Potrzebujemy koni.

A nowoczesnych karabinów?

Też.

A futrzanych czapek i butów?

Także futrzanych czapek i butów.



Wystrzelanie tych tchórzy to będzie dla was dziecinna igraszka, dodaje ślepiec, zwłaszcza na drodze nad wąwozami, gdy będą jechać gęsiego przez przełęcz.

To nic wielkiego.

Musicie tylko oszczędzić więźnia. To przyjaciel.

Przyjaciel?

Tak.

Później, kiedy Kurdowie odjechali i minawszy dołem wisielców, dawno zniknęli za Bramą Szczęśliwości, Ali zapytał dziadka: Czy Kurdowie zabiorą konie, *külachy* i buty?

Tak, moja owieczko.

A co zrobią z mundurami?

Wrzucą je razem z ciałami do wąwozów.

A więzień? Co z nim będzie?

Tego jeszcze nie wiem.

Czy kiedykolwiek dotrze do Konstantynopola?

Nie, moja owieczko.

*Müdiür* zasnął i kiedy wreszcie późnym rankiem dotarł do *hükümetu*, starszy pisarz stwierdził, że akta, które miała zabrać eskorta, są niekompletne. Zanim wszystko przygotowano do drogi i sprawę Chadisjana, czyli człowieka i dokumenty — które jak wiadomo, stanowią całość — można było wysłać do Kolei Bagdadzkiej, upłynęło jeszcze kilka cennych godzin. Dopiero koło południa, gdy wszystkie papiery były już w komplecie i *müdiür*, który osobiście biegał tam i z powrotem między *hükümetem* a podwórzem więziennym, stwierdził po raz ostatni, że wszystko jest w porządku, kolumna wyruszyła w drogę. *Zaptijeler* zawieźli jednak więźnia najpierw do koszar, aby tam napoić konie, pobrać amunicję i prowiant oraz napełnić wodą bukłaki. Potem zatrzymali się jeszcze przy głównej poczcie, zabrali kilka ważnych worków pocztowych, po czym ruszyli stępą, na oczach ciekawskiego tłumu, wzdłuż wewnętrznych murów obronnych w kierunku Bramy Armatniej. Gdy w końcu wyjechali z miasta i zniknęli na zakurzonej drodze po drugiej stronie murów, pora południowej modlitwy dawno już minęła. Nie jechali szybko ani wolno. Jechali jak

zawsze, kiedy podróż jest długa i niewygodna. Ale znali drogę. I jechali bardzo pewnie. Zgodnie z planem i dokładnie według instrukcji *müdüra* mieli wjechać na szlak karawanowy do Erzurum, potem zaś zjechać z niego i wybrać najkrótszą drogę przez przełęcz Taurusu.

## 4

Na początku maja *wali* Bekiru kazał wezwać do swojego biura kilka ważnych osób.

*Efendiler*, ile czasu potrzebuje oddział doświadczonych żandarmów, by dotrzeć do Kolei Bagdadzkiej?

Najwyżej trzy dni, *wali bej*.

A jeśli jadą na skrót?

Najwyżej dwa.

Ale oni są już w drodze od przeszło dwóch tygodni i wciąż jeszcze nie mamy żadnych wiadomości. Wiemy tylko, że oddział z więźniem — tym Wartanem Chadi-sjanem — nigdy nie dotarł do końcowej stacji Kolei Bagdadzkiej.

I do Konstantynopola też? spytał *kajmakam*.

Oczywiście, że nie, odrzekł *wali*. Jak bowiem więzień miałby dotrzeć do Konstantynopola, jeśli nie przejechał nawet przez Taurus... do końcowej stacji Kolei Bagdadzkiej?

Jest kilka stacji końcowych tej kolei, wtrącił *müdüir*. A pomiędzy nimi leży Taurus.

Ale tylko jedna, z której można dojechać bez przesiadki do Konstantynopola.

Tak, to prawda, przyznał *müdüir*.

Rzeczywiście, zgodził się również *kajmakam*. Nie rozumiem tylko, dlaczego ci Niemcy wciąż jeszcze nie mogą nam zbudować tunelu przez Taurus.

Na pewno już mogą, powiedział *wali*, ale celowo pracują powoli, żeby jeszcze latami zatrudniać tu swoich techników.

Wydaje się, rzekł *müdüür*, że niemiecki cesarz może spać spokojniej, dopóki wie, że jego technicy zaprzatają naszą uwagę na dłuższą metę.

Do diabła z tymi technikami, zaklął *wali*. Wysłałem wiele telegramów do naczelnika stacji Kolei Bagdadzkiej. A także do wszystkich komend policji wzdłuż szlaku karawanowego do Erzurum i do posterunków odpowiedzialnych za teren wzdłuż przełęczy, przez które musiał przejeżdżać oddział. Ale odpowiedź jest zawsze taka sama.

Jaka to odpowiedź?

Kolumnę z więźniem widziano po raz ostatni, gdy opuszczała szlak karawanowy, aby przejechać na skróty przez góry. Potem przepadła bez śladu.

W wąwozach Taurusu?

Tak jest.

Czy wysłano oddziały poszukiwawcze?

Wysłano.

Z jakim rezultatem?

Żadnym.

Może brak rezultatu też jednak jest jakimś rezultatem?

Nie wiem, *efendiler*.

A kto mógłby to wiedzieć?

Allah mógłby to wiedzieć.

Czyżby Allah miał ich odnaleźć?

No cóż, czemu nie?

Kolumna mogła spaść w przepaść i teraz wszyscy leżą martwi w jednym z licznych wąwozów.

Możliwe.

Albo złapali ich Rosjanie.

To też możliwe.

Nie, zaoponował *müdüür*. To z Rosjanami nie jest możliwe. Rosjanie są jeszcze o wiele za daleko. Niemożliwe, żeby oddział wpadł w ręce wojsk rosyjskich.

Może były to rosyjskie patrole?

Nawet patrole nie zapuszczają się tak daleko.

Więc kto miałby to być?

Allah zapewne to wie, rzekł *müdüür*. I powiedział: Mogli-  
by to być również Kurdowie. Kiedy potrzebują koni i uzbroje-

nia, nie cofają się przed niczym. Nieraz napadali na żandarmów.

Tak, to prawda.

I nie pozostawiają przy życiu świadków.

To także prawda.

Gdyby którykolwiek ocalał, pojawiłby się już dawno. Ale nigdy nie natrafiono na żadne ślady.

Jakże to, *wali bej*? Nawet na ślady koni?

Nawet na ślady koni, *müdüür bej*.

A na ślady więźnia?

Ani więźnia.

I co będzie z procesem?

Jakim procesem?

No, mam na myśli sprawę Chadisjana... to z zamordowaniem austriackiej pary książęcej i ze światowym spisem ormiańskim?

Ach, to. Żeby być całkiem szczerym, *müdüür bej*, nigdy tak naprawdę w to nie wierzyłem. Po dojrzałym namyśle doszedłem do przekonania, że tylko byśmy się ośmieszyli przed światową opinią publiczną.

Więc może i lepiej, że sprawa przestała istnieć dzięki śmierci więźnia?

Też tak sędzę.

A co do tego, że więzień nie żyje, nie ma chyba żadnych wątpliwości?

Żadnych, potwierdził *wali*. Skoro po prawie dwóch tygodniach nie pojawił się nikt z oddziału, to wszyscy nie żyją.

Kurdowie, jeśli coś robią, robią to gruntownie.

O tak, przyznał *wali*.

Zapomnijmy o sprawie Chadisjana, powiedział *wali*. Są ważniejsze.

Na przykład? spytał *kajmakam*.

Na przykład sprawa powstania w Wanie.

Wie pan już coś bliższego?

Owszem, potwierdził *wali*. I *wali* rzekł: Mamy wreszcie wiarygodne oskarżenie przeciw tej ormiańskiej hołocie.

A mianowicie?

Od kilku dni ormiańscy bandyci strzelają do tureckich żołnierzy. Dotychczas nie mieliśmy bliższych informacji, ale od wczoraj dysponujemy szczegółowymi raportami *walego* Wanu. To prawda. W ormiańskiej dzielnicy Wanu wybuchło powstanie! I to na tyłach frontu!

Niewiarygodne.

To rzecz dowiedziona, *efendiler*. Cały świat będzie o tym wiedział. I proszę zważyć: po stronie rosyjskiej walczą bataliony ormiańskich ochotników, a bynajmniej nie wszyscy są obywatelami rosyjskimi. Przybywają z różnych krajów i wstępują w rosyjskie szeregi.

Tylko po to, żeby walczyć z nami?

Tak jest.

Czy są wśród nich także obywatele tureccy?

Jest paru ormiańskich zbiegów.

To niestetychane.

A do tego ten bunt w Wanie, rzekł *wali*. Za tym stoją *dasznacy*. Ich ludzie są wszędzie, w każdym mieście, w każdej wiosce. Wszędzie przygotowuje się powstanie.

Czy to rzecz dowiedziona, że powstanie w ormiańskiej dzielnicy Wanu nie jest wypadkiem odosobnionym... i że się rozszerza? Czy kryje się za tym jakiś plan?

*Efendiler*, powiedział *wali*. Nic nie jest dowiedzione. Ale będzie dowiedzione.

— Panował mróz i cholera — mówił bazarz. — A wraz z odwilżą i wiosną przyszedł tyfus i dyzenteria. Z Kaukazu napływały z powrotem do Anatolii pobite wojska tureckie, a razem z nimi włączone do tureckiej armii pułki kurdyjskie. Podczas odwrotu żołnierze kurdyjscy i tureccy plądrowali ormiańskie wioski i wycinali w pień ich mieszkańców. Dzewdet Bej, szwagier Enwera Paszy, który po przyśpieszonym powrocie Enwera Paszy do Konstantynopola dowodził trzecią armią na Kaukazie, nie ukrywał wtedy, że wytracił wszystkich Ormian w *wilajecie* Wan, gdyż Dzewdet Bej był nie tylko dowódcą wojsk, lecz jednocześnie *walim* i gubernatorem całej prowincji. Mieszkańcy Wanu, podobno naj-

większego i najpiękniejszego ormiańskiego miasta, wiedzieli, co ich czeka. I kiedy wojska Dzewdeta stanęły pod miastem i miejscowa żandarmeria zaczęła już aresztować ormiańskich notabli, a kilku rozstrzelała, kiedy rozeszły się pogłoski, że kobiety są gwałcone, a mężczyźni publicznie bici, Ormianie wycofali się do centrum miasta, zabarykadowali się tam i chwycili za broń.

— Broni mieli niewiele — ciągnął bazarz. — Większość pochodziła ze zbrojowni młodoturków, a trochę przemycili z Persji *dasznacy* w okresie prześladowań za Abdülhamida. Ormianie w mieście Wan ani nie planowali powstania, ani nie mieli żadnych kontaktów ze zbliżającymi się wojskami rosyjskimi i formacjami ormiańskich ochotników po stronie rosyjskiej. Zamknęli wyłącznie dostęp do swych dzielnic mieszkalnych miejscowym żandarmom i wojskom Dzewdeta Beja, tak na wszelki wypadek, nic poza tym... jedyny krok mający zapobiec masakrze lub deportacji ludności.

Nic jednak nie pasowało lepiej do ludobójczych planów Komitetu Jedności i Postępu niż wiadomość, że Ormianie strzelają do żołnierzy tureckich. Wreszcie miano w ręku dowód zdrady stanu, który powinien usprawiedliwić w oczach prasy światowej przyszłe ostateczne środki użyte przeciw Ormianom. Odruch samoobrony można było teraz ogłosić we własnej prasie oraz przez doboszy i heroldów w wioskach i miastach jako zdradę stanu — jako ormiańskie powstanie na tyłach tureckiej armii. Obecnie wystarczyło dowieść, że powstanie ma zasięg ponadregionalny.

— Tak więc wyobrażam sobie — mówił bazarz — że wszystkie kierownicze głowy Komitetu Jedności i Postępu zrosły się w jedną ogromną głowę, a ta ogromna głowa spoczywa na ramionach człowieka w mundurze, siedzącego w jednym z biur w dzielnicy budynków rządowych w Konstantynopolu. Człowiek w mundurze nie jest sam, gdyż jestem tam także ja, bazarz. Ale nie widzi mnie, bo siedzę w jego uchu. A ponieważ nie ma wyobraźni, nie czuje się obserwowany i nie wierzy w głosy naszych myśli.

Ormianie nadal nie wiedzą, co zamierzamy z nimi zrobić, mówi człowiek w mundurze... a konkretnie: nie wiedzą jeszcze nic o ostatecznych środkach i ostatecznym rozwiązaniu problemu ormiańskiego.

W zasadzie powinni to już wiedzieć, powiadam.

Już zimą usunęliśmy ich z armii, używając potem jako siły roboczej na tyłach frontu.

*Inszaat taburu?*

Owszem. *Inszaat taburu*. Później kazaliśmy ich wszystkich rozstrzelać.

Wiem.

Naturalnie nie mogliśmy wszystkich rozstrzelać, gdyż wielu z tych tchórzliwych psów zdezerterowało i ukrywa się w górach, ale także w wioskach i miastach, u przyjaciół i krewnych.

Owszem, mówię.

Z miasteczka Zejtun i okolicznych wiosek wywieźliśmy całą ludność, wszyscy widzieli kolumny śmierci. A mimo to nie chcą nic pojąć.

Owszem, powtarzam.

Ta deportacja w Zejtunie miała być tylko ostrzeżeniem, niczym więcej.

Rozumiem, mówię.

Wielu powiesiliśmy i kazaliśmy aresztować tysiące notabli. Ale oni niczego nie pojmują.

Nie wierzą, że jesteście w stanie wytępić cały naród?

Rzeczywiście, przyznaje człowiek w mundurze. Te twarde łby są przekonane, że na tym się skończy, mam na myśli takie nieistotne i niewinne incydenty. I nie wiedzą, że to tylko przedsmak tego, co ich naprawdę czeka.

Mówisz o ostatecznym rozwiązaniu?

O nim mówię.

Czego oczekujesz po powstaniu w Wanie?

Niewiele, odpowiada człowiek w mundurze. Prasa światowa je zbagatelizuje. Te pismaki będą twierdzić, że to była obrona konieczna.

A bataliony ormiańskich ochotników po stronie rosyjskiej?

To też zbagatelizują. Pismaki będą chciały wmówić światu, że to wewnętrzna sprawa Rosjan, która nie ma nic wspólnego z Ormianami tureckimi.

Ale to wszystko jest wam przecież bardzo na rękę?

Naturalnie. Zresztą wykorzystujemy już te wypadki propagandowo, rozumiesz? Ale to jeszcze nie dosyć.

Co masz na myśli?

Potrzebujemy jeszcze zupełnie innych dowodów... do ostatecznego oskarżenia, które pozwoli wprowadzić ostateczne środki.

A jakie to dowody?

Mamy pewien plan.

Jak będzie wyglądać ostateczne rozwiązanie?

Bardzo prosto, mówi człowiek w mundurze. Kiedy powstanie w mieście Wan się rozszerzy i zbuntują się przeciw nam wszyscy Ormianie w Turcji, wtedy uderzymy.

Ale tego powszechnego powstania przecież wcale nie ma. Sprovokujemy je.

Jak chcecie to zrobić?

No cóż, mamy pewien plan.

Jak będzie wyglądać to ostateczne rozwiązanie?

Sami jeszcze dokładnie nie wiemy. Ale są propozycje. Jak mówiłem: nie wiemy jeszcze nic bliższego.

No cóż, powiada człowiek w mundurze, to bardzo proste. Stłumimy rozszerzające się powstanie, którego nie ma i być nie może, bo Ormianie nie posiadają dość broni ani mężczyzn i nie są zorganizowani ani zjednoczeni — a więc stłumimy to powstanie, zanim wybuchnie. Potem każemy rozstrzelać wszystkich podejrzanych mężczyzn. A ponieważ każdy, kto mógłby nosić broń, jest podejrzany, każemy na wszelki wypadek rozstrzelać wszystkich.

A co zrobicie z kobietami, starcami i dziećmi?

Wywieziemy ich.

Dokąd?

Donikąd.



I człowiek w mundurze, któremu jednak niezbyt podobało się słowo „donikąd”, mówi do mnie: Musimy liczyć się z sojusznikami, a także z prasą światową. Dlatego podamy im cel deportacji. Ogłosimy, że ze względów bezpieczeństwa przesiedlamy tę hołotę do Mezopotamii lub po prostu na Pustynię Syryjską.

Przesiedlenie?

Owszem, potwierdza człowiek w mundurze. I dodaje: Nie wierzę, że człowiek jest z natury istotą osiadłą. W zasadzie może żyć wszędzie, pod warunkiem że klimat mu służy i ma pod dostatkiem wody i pożywienia.

Owszem, mówię.

Także rośliny mogą rosnąć wszędzie, pod warunkiem że mają słońce, ziemię i wodę.

Musi być właściwa ziemia, uzupełniam, i właściwe słońce, i właściwa woda.

Bardzo słusznie, potwierdza człowiek w mundurze.

A jeśli te warunki nie są spełnione?

To wtedy... powiada człowiek w mundurze... wtedy umierają przed czasem straszliwą śmiercią.

Deportowanych będzie się pędzić przez nieprzebyte przełęczce Taurusu, mówi człowiek w mundurze, przez Góry Pontyjskie i inne łańcuchy górskie, których nie brakuje w tym kraju... innych będzie się gnać w koło albo przewiezie kawałek Koleją Bagdadzką, a potem gdzieś wysadzi i popędzi dalej. Każe się im tak długo chodzić pieszo, aż nie będą mieli stóp lub jedynie to, co z nich zostanie, a konni *zaptijeler* będą ich poganiać biczami, dopóki nie padną martwi. Resztę... albo tych, co nie zrezygnują z życia, lecz będą się go uporczywie trzymać, mimo że nie będzie miało żadnej wartości... przetransportujemy na pustynię, pieszo, bez wody i jedzenia. Niektórzy, najtwardsi, jak sądzę, nawet tam dotrą. I zbudujemy tam wspaniałe obozy zbiorcze, żeby prasa światowa nie sądziła, że nie pomyśleliśmy o tym w porę albo że to, co robimy, nie jest może wcale prawdziwym przesiedleniem. Ponieważ porządne przesiedlenie powinno mieć wszak na celu ponowne osadnictwo, nieprawdaż? Tak to chyba jest? Ponow-

ne osiedlenie tej hołoty powinno jednak nastąpić, z powodów strategicznych, daleko od frontu. Ale tam, w tych obozach zbiorczych, nie będzie dla nich nic do jedzenia, bo prowadzimy wojnę i sami mamy bardzo mało. Prasa to zrozumie... i konsulaty krajów sojusznicznych i neutralnych też zrozumieją. A gdy wojna się skończy, nie pozostanie nikt z tej hołoty.

Nie będzie więc już ormiańskiej kwestii w Anatolii?

Tak jest.

Bo nie będzie już Ormian?

Słusznie.

Kiedy kwestia ormiańska zostanie rozwiązana?

Najpóźniej do końca września.

Do końca września?

Tak.

A jak zamierzasz wytłumaczyć się przed prasą światową?

Bardzo łatwo. Widzisz: poprosimy naszego ministra spraw wewnętrznych Talaata Beja, by złożył oficjalne oświadczenie przed prasą światową. A on uczyni to z czystym sumieniem. Już teraz bowiem może im powiedzieć: Panowie, nie mam pojęcia, czego od nas chcecie. W spornych prowincjach tureckiej Anatolii nie istnieje bowiem ormiański problem narodowościowy ani kwestia ormiańska, a tym bardziej jakaś większość ormiańska. Gdyż widzicie, panowie... o ile mi wiadomo, tam już nie ma żadnych Ormian.

Wyskoczyłem potężnym susem z ucha człowieka w mundurze i poleciałem do ostatniej myśli, która wyczekiwała na mnie nad Bramą Szczęśliwości. Zrelacjonowałem jej swoją rozmowę, po czym rzekłem:

— Moja owieczko, jak widzisz, to nie jest wcale takie skomplikowane. W zasadzie wszystko to tylko kwestia gotowości, do dobra, jak i do zła, a ponieważ w niektórych kręgach widzi się dobro w tym co złe, wszystko staje się jeszcze prostsze. Winę za wielkie, spowodowane przez ludzi katastrofy kapłani i dewotki zwalają na Pana Boga. Mówią wtedy: Taka była wola Boga. Planiści nowych zmian na mapach i w państwie biją się natomiast w piersi i mówią o narodowej konieczności, o stawianych przez sumienie przeszkodach,

które należy przewyciężyć, mówią dumnie o triumfie woli, o złych, bo spóźnionych i nieważnych rozwiązaniach, i o dobrych, przeprowadzonych zdecydowanie i ostatecznych.

W krótkim czasie poruszono więc wszelkie sprężyny, jakimi dysponowała turecka biurokracja, aby zrealizować plany zrodzone w głowach przywódców. Narodu tureckiego nie pytano o zdanie. Wszystko przychodziło z góry i przekazywane było w dół. Ja, bajarz, byłem zdziwiony widząc, jak skorumpowana, nie naoliwiona turecka machina biurokratyczna z niemal pruską dokładnością i precyzją wykonuje wszelkie zarządzenia Komitetu Jedności i Postępu. Tego rodzaju plan, mający ostateczne cele, przypomina dzieło sztuki. Chyba że bym się mylił? Może tylko życie jest dziełem sztuki, a nie to, co prowadzi do jego unicestwienia... ponieważ życie jest wszak bardziej skomplikowane niż śmierć i ponieważ o wiele trudniej, bo to potrafi tylko geniusz, jest budzić życie, niż je po prostu gasić? Czyż tego nie potrafi byle partacz? Na myśl o tym swędzi mnie jednak skóra. Ale dlaczego ja, bajarz, mam łamać sobie nad tym głowę?

Faktem było, że planiści potraktowali sprawę serio. Organizacja Specjalna, zwana Teszkilat-i Machsuse, założona pierwotnie do prowadzenia wojny politycznej po drugiej stronie frontu, jako organ antypropagandy i agitacji mający na celu podżeganie do buntu żyjących na wrogim terytorium ludów tureckich oraz pozostałych muzułmanów i mniejszości, owa Organizacja Specjalna została teraz nasłana na Ormian. Już z pierwszą falą upałów i pierwszymi letnimi burzami roku 1915 przedstawiciele Organizacji Specjalnej, szare eminencje w stambulskich garniturach i czerwonych fezach, rozjechali się po prowincjach. Ich misja była jednoznaczna, a rozkazy, przekazywane w imieniu Komitetu — nieodwołalne. Wszystko było jasne. *Walowie* odpowiadali za realizację zarządzeń w swoich *wilajetach*. I musieli przekazywać rozkazy dalej, komendantom poszczególnych *sandżaków*, *kaz* i miejscowej żandarmerii... *mutasarryfom*, *kajmakamom*, *müdürom* i wszystkim innym niższym szarżom, których zadaniem było ich

przyjmowanie i wykonywanie. Istotne, że miano znaleźć u Ormian broń, a musiała to być broń ukryta, tajemnicze zbrojownie w wielkiej liczbie, o których rząd nic wcześniej nie wiedział, a które mogły posłużyć za dowód planowanego powstania. Tak czy owak: rozstrzelanie wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni należało przeprowadzić prędko. Im większe zaskoczenie, tym rządowi łatwiej będzie pozostać panem sytuacji. W harmonogramie przewidziano też deportację kobiet, starców i dzieci. Do jesieni miało być po wszystkim, w *wilajetach* blisko frontu nawet wcześniej, już w ciągu najbliższych tygodni. Emisariusze Organizacji Specjalnej wyjaśnili *walim*, że wcale nie wszyscy deportowani powinni dotrzeć do celu. Oświadczyli im, że należy zaalarmować kurdyjskie plemiona w górach, aby wyróżnili kobiety, starców i dzieci podczas wędrówki przez tereny Kurdów, bezkarnie, ma się rozumieć. Kurdów trzeba zachęcić, przyrzekając im wartościowe przedmioty, ubrania, buty i inne łupy. Emisariusze obiecywali również pomoc. Lokalni *zaptijeler* mieli otrzymać posiłki do wypełnienia tej trudnej i poważnej misji. W drodze są już ponoć całe pułki żandarmerii, mające z jednej strony uczestniczyć w egzekucjach, z drugiej zaś konwojować deportowanych. Także *czetowie* byli w drodze, czyli wszyscy przestępcy, których Enwer osobiście wyciągnął z więzień, aby pomagali w uwolnieniu narodu tureckiego od ormiańskiej zarazy. *Czetowie* mieli być rozmieszczeni jako oddziały bojowe wszędzie tam, gdzie uważano to za konieczne: na wszystkich skrzyżowaniach dróg wzdłuż szlaków karawanowych, na przełęczach górskich i nad brzegami rzek. Ich zadanie polegałoby, tak mówili panowie podróżujący w imieniu Organizacji Specjalnej, na wymordowaniu kobiet, starców i dzieci motykami i łopatami, bagnietami, nożami lub innymi narzędziami do zabijania, ale również kulami z karabinów, jeśli będą mieli dość amunicji. Rząd da im bowiem mało amunicji, ponieważ w tych ciężkich czasach należy ją oszczędzać. *Czetowie* to wprawdzie złodzieje i mordercy, tak mówili emisariusze Organizacji Specjalnej, lecz mają okazję odpokutować swoje zbrodnie służąc ojczyźnie. Rząd, mówili emisariusze, nie płaci *czetom* żołdu, tylko

zachęcił ich, by sami ściągali sobie żołąd z ofiar, ot, swego rodzaju aprowizacja we własnym zakresie, usprawiedliwiona w obecnej sytuacji. Dlatego należy przymykać oko na grabieże z ich strony. Poza tym rząd oczekuje, że *czetowie* będą traktowani z szacunkiem przez przedstawicieli oficjalnej żandarmerii oraz armii. Noszą bowiem mundury ministra wojny Enwera Paszy i są żołnierzami jak wszyscy inni, choć w gruncie rzeczy to dzikie watahy, jak kiedyś *hamidiler* i *baszy-bozukowie*.

## 5

Wczesnym latem w biurze *walego* Bekiru lądowało mnóstwo zaszyfrowanych depech, które mozolnie i ze zdumieniem odcyfrowywano, a następnie palono, gdyż — zgodnie z rozkazem z Konstantynopola — nie mogło zostać nic na piśmie. A gdy potem przybyli do Bekiru emisariusze Organizacji Specjalnej, aby przekazać osobiście rozkazy Komitetu, przekonano i przygotowano na to, co miało nastąpić, także tych, którzy wcześniej twierdzili, że nie zrozumieli właściwie treści telegramów.

To naprawdę słuszna sprawa, powiedział *müdüür* do jednego z emisariuszy, mam na myśli to, że robi się wreszcie koniec z tymi szcurami.

Tak, to szcury, podchwycił *wali*.

No cóż, zgodził się jeden z emisariuszy, tak to jest.

Nie rozumiem tylko, rzekł *müdüür*, dlaczego mamy deportować też stare kobiety. Stare baby nie robią przecież powstania.

Kiedy się tępi szcury, trzeba wytępić wszystkie, zauważył *wali*. Stare kobiety wymrą na trasie deportacji. I dobrze.

Bądźmy realistami, rzekł emisariusz. Szcury czy nie szcury... stare baby są niebezpieczne, bo za dużo gadają. Gdyby przeżyły, mogłyby o nas gadać, rozsiewać kłamliwe plotki i psuć nam reputację.

A martwi nie mówią?

No właśnie, *müdiir bej*. Martwe usta nie mogą tryskać jadem.

A co z małymi dziećmi?

One są najgroźniejsze, odparł emisariusz. Kiedyś bowiem dorosną i pomszczą swoich ojców.

A ich matki? spytał *müdiir*.

A siostry i bracia? dorzucił *wali*.

Z ich strony niebezpieczeństwo jest największe, odrzekł wysłannik Organizacji Specjalnej.

Co na to powiedzą konsulaty? spytał *müdiir*. Przede wszystkim konsulaty sojuszników?

Proszę się o to nie martwić, odpowiedział emisariusz. Jeśli pojawią się kłopotliwe pytania, mamy dobrą wymówkę, gdyż wszystko, co rząd postanowił, jest legalne.

A rozstrzeliwanie mężczyzn?

Istnieje zwyczaj rozstrzeliwania buntowników. Ostatecznie jest wojna. Inne narody mające podobne problemy wewnętrzne też nie zrobiłyby tego inaczej.

A deportacje?

Jakie deportacje?

No, po prostu: deportacje.

Ach, te?

No właśnie.

No cóż, *müdiir bej*. Chodzi tu o swego rodzaju ewakuację wrogiej ludności z terenu działań wojennych.

Nie wszystkie prowincje są terenem działań wojennych.

Wszystko jest terenem działań wojennych, *müdiir bej*. Proszę nie zapominać: wewnętrzny wróg czyha wszędzie.

A jak mamy wyjaśniać konsulatom, że większość deportowanych w ogóle nie dociera do miejsca przeznaczenia?

Proszę im mówić prawdę, *müdiir bej*. Proszę im powiedzieć, że za masakry odpowiedzialni są *czetowie* i Kurdowie. To, że nie można ich upilnować, wiedzą także konsulaty. Proszę im powiedzieć, że użyliśmy *czetów* w charakterze oddziałów pomocniczych, bo nasi żołnierze są na froncie. I proszę im powiedzieć — tylko po to, żeby ich uspokoić,

rozumie pan — że nie wiedzieliśmy, iż *czetowie* przekroczą swe uprawnienia. A co się tyczy Kurdów: no cóż, już mówiłem. Nie można ich utrzymać w ryzach. A teraz, kiedy trwa wojna, nie możemy się z nimi rozprawić. Jeśli zejną z gór i wymordują kobiety i dzieci — to co mamy zrobić? Czy *zaptijeler* — przeważnie tylko mała eskorta — mają może strzelać do Kurdów, posiadających wszak setki jeźdźców i karabinów? Byłoby to czyste samobójstwo. Sam pan widzi. Nie my za to odpowiadamy.

Ale także *zaptijeler* będą zabijać deportowanych.

*Zaptijeler* będą wypełniać swój obowiązek i zabijać jedynie wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia.

Panowie rozmawiali jeszcze o tym i owym. Dużo palili i pili mnóstwo mocnej słodkiej kawy podawanej w maleńkich czarkach.

Wiecie, *efendiler*, rzekł emisariusz, ten Abdülhamid to był żałosny partacz. Kazał ukatrupić paru Ormian, wtedy w latach 1894, 95 i 96, ale ci, którzy przeżyli, rozmnożyli się potem tak bardzo, że wielokrotnie wyrównali tę stratę. Proszę się tylko rozejrzeć. Ormianie plenią się jak chwasty na polach uprawnych.

Niedawno doszedłem do podobnych wniosków, wtrącił *wali*. Faktycznie jest ich coraz więcej.

Przejdźmy do rzeczy, panowie.

Tak, przejdźmy do rzeczy, powtórzył *wali*.

Jak wygląda sprawa broni?

Ormianie ją oddali.

Kiedy to było?

Jeszcze zimą.

Kiedy tylko poczyniliśmy pierwsze kroki przeciw Ormianom, wyjaśnił *müdiir*, gdy z armii usunięto ormiańskich żołnierzy i ponownie wszedł w życie zakaz noszenia przez Ormian broni, wysłaliśmy *münadich* do dzielnic ormiańskich. W każdej *mahalle* kazaliśmy heroldom ogłosić wszystkie nowe zarządzenia, a oprócz tego rozlepiliśmy plakaty na budynkach.

O co w nich chodziło?

O oddawanie broni.

Jakiej broni?

To była legalna broń, odpart *müdüür*, broń, którą Komitet rozdzielił wśród ludności w roku przejęcia władzy. Rozdał ją też Ormianom.

Tak, wiem, powiedział emisariusz Organizacji Specjalnej.

Wezwaliśmy Ormian do ponownego oddania tej broni.

I zastosowali się do tego wezwania?

Oczywiście, rzekł *müdüür*.

Gdyby nie oddali, groziłaby im kara śmierci, dodał *wali*.

Tak jest, potwierdził *müdüür*.

Tak było, potwierdził również *wali*. Allah mi świadkiem.

Możliwe, że niektórzy z Ormian zatrzymali broń, ciągnął *müdüür*, ale nie powinno nas to niepokoić, bo nie może jej być wiele. Policzyliśmy oddane karabiny i ich liczba zgadza się mniej więcej z liczbą karabinów, które rozdzieliliśmy wtedy.

A co z bronią *dasznaków*?

Trudno ją znaleźć, *efendiler*.

To prawda, potwierdził *wali*. Trudno ją znaleźć.

Przeszukaliśmy już wszystkie ormiańskie domy, oświadczył *müdüür*.

Zagrody, stodoły i cmentarze też?

Też.

Przed wszystkim cmentarze, ciągnął *müdüür*. Zdejmowaliśmy nagrobki, ale schowków na broń nie znaleźliśmy.

Ukryli broń przy pomocy diabła, stwierdził emisariusz.

To prawda, *efendi*, rzekł *wali*. Ma pan w zupełności rację.

No cóż, powiedział emisariusz, wszystko to wiemy. I nie sądzicie czasem, że Komitet jest głupi. Nie jesteśmy głupi.

Allah mi świadkiem, zapewnił *wali*, że nigdy nie uważałem Komitetu za głupi.

No, widzi pan, podchwycił emisariusz. Komitet postanowił, mówił dalej, że broń jako dowód planowanego, popieranego przez *dasznaków* i Rosjan powstania ma być znaleziona w ciągu najbliższych trzech tygodni. I Komitet, w swojej mądrości i przezorności, postanowił pomóc wam w odnajdywaniu broni.



W jaki sposób?

No cóż, powiedział emisariusz, wszystko to jest bardzo proste, *efendiler*. W najbliższych dniach znów wyślecie na drogi swoich *münadich*. I wszędzie gdzie mieszkają Ormianie, rozlepicie plakaty wzywające do oddawania broni.

Ale możliwe, że tych tajnych skrytek w ogóle nie ma?

Muszą być, *efendiler*.

Tak, rzeczywiście muszą być, zgodził się *wali*. Allah mi świadkiem, że będą.

*Wali bej*, rzekł emisariusz, ta broń jest. I niech Allah się nad panem zlituje, jeśli jej nie będzie.

I emisariusz powiedział: Ormianie naturalnie nie oddadzą broni, której być może w ogóle nie ma. Ale Komitet w swej przezorności, mądrości oraz poczuciu sprawiedliwości znalazł rozwiązanie.

Rozwiązanie?

Tak jest. Rozwiązanie.

Rozwiązanie tak trudnego problemu?

Dla Komitetu nie ma problemów nie do rozwiązania, *efendiler*. Zaprawdę, Allah wie, że czegoś takiego nie ma.

I emisariusz powiedział: Każcie aresztować ormiańskich notabli i zatrzymajcie ich jako zakładników. Gminie zaś zagroźcie, że ich rozstrzelacie, jeśli broń nie zostanie oddana.

A jeśli tej broni nie ma?

Parę karabinów zawsze się znajdzie.

Czy to wszystko?

Nie, to nie wszystko, odrzekł emisariusz. Potem aresztujcie jeszcze kilkuset mężczyzn i każcie ich torturować, naturalnie razem z notablami. Róbcie to, co uważacie za słuszne.

Zwyczajową bastonadę?

Może być bastonada.

Można by też łaskotać po jajach. Może trochę ponacinać?

Proszę coś wymyślić.

Raz próbowaliśmy wrywać brody. Ale ta metoda jest nieskuteczna.

To prawda, niezbyt skuteczna.

Niektórym obcinaliśmy już dłonie i stopy. Kazaliśmy im pić własne szczyny i wylupywaliśmy oczy, ale i to niewiele dało. Ormianin nie mówi, kiedy nie chce mówić.

Wyrywaliśmy już także języki, powiedział *müdüür*, ale wtedy mówią jeszcze mniej.

Proszę coś wymyślić, powtórzył emisariusz. Każcie torturować więźniów tak długo, aż zdradzą wam schowki na broń.

Schowki na broń, których być może w ogóle nie ma?

No właśnie.

A co potem?

Potem znajdziecie te schowki i stwierdzicie, że naprawdę nie ma w nich broni.

A później?

Potem zrobicie więźniom pewną propozycję.

I emisariusz powiedział: Komitet w swojej mądrości, sprawiedliwości i przezorności postanowił sprzedać tym upartym Ormianom z Bekiru cztery tysiące karabinów, żeby napelnili nimi z powrotem puste schowki na broń.

Ależ *efendi*, na taki podejrzany handel Ormianie na pewno nie pójda.

Myli się pan, *wali bej*. Na pewno pójda, odparł emisariusz. Widzi pan, *wali bej*, torturowani zmiękną. I pan, *wali bej*, powie im tak: *Efendiler*, Komitet Jedności i Postępu postanowił wybawić was od tych katuszy, gdyż partii nic nie jest tak obce jak te brzydkie i przestarzałe metody. Dlatego Komitet w swojej mądrości, sprawiedliwości i przezorności postanowił po prostu sprzedać wam broń, którą w myśl postanowień Komitetu musicie oddać. Sprzedamy wam więc po niskiej cenie cztery tysiące karabinów. Włóżycie je do swoich schowków, do tych, które wam wskażemy, żebyśmy mogli je tam znaleźć. Potem zdradzicie nam nazwiska swoich przywódców. A wtedy my, władze Bekiru, powiadomimy Komitet w Konstantynopolu, że powstanie zostało wykryte w porę, broń znaleziona, a przywódcy aresztowani. Wy zaś, *efendiler*, spokojnie wróćcie do domu.

Ale na taki handel Ormianie na pewno nie pójda.

Oczywiście, że nie, *efendiler*, przyznał emisariusz. I powiedział: Ormianie to naród handlarzy i spekulantów. Zrobią wam kontrpropozycję. A wy ją rozważycie, aby wystąpić potem z własną kontrpropozycją.

Logiczne, stwierdził *müdiür*.

Szczerą prawdą, zgodził się *wali*. A co mamy zaproponować Ormianom... w odpowiedzi na ich kontrpropozycję?

No cóż, to jest tak, zaczął emisariusz. Powiecie Ormianom: *Efendiler*, wcale nie znajdziemy ukrytej broni, tylko wy oddacie ją sami. Widzicie, *efendiler*, to jest tak: sprzedamy wam cztery tysiące dobrych karabinów produkcji rosyjskiej, broń zdobyczną, ma się rozumieć. Naturalnie do tego ostrą amunicję. Odbierzecie ją pod osłoną ciemności, żeby nie widział nikt niepowołany. Zaniesiecie ją do swoich schowków, a potem damy wam trzy dni. W ciągu tych trzech dni nasi *münadiowie* będą was wzywać do oddania broni, którą otrzymaliście od Rosjan. Przez trzy dni *münadiowie* będą zdzierać gardła. Będą także obiecywać powszechną amnestię, jeśli oddacie broń dobrowolnie. Rozkleimy też plakaty z tym samym wezwaniem i tą samą obietnicą. Po upływie trzech dni wyciągniecie broń ze schowków i przyniesiecie do koszar. Tam już będziemy na was czekać. Policzymy i zarejestrujemy broń, i powiadomimy Komitet o tym, co mamy do zakomunikowania, a mianowicie: że powstanie zostało wykryte, Ormianie dobrowolnie oddali broń i dlatego objęto ich amnestią. Jedynie przywódców trzeba będzie jeszcze potem aresztować. Ale nie martwcie się. Podamy wam do wiadomości nazwiska przywódców i będą mieli czas, żeby się ulotnić. No i co wy na to, *efendiler*?

To wspaniała propozycja, rzekł *wali*.

Niepowtarzalna, dodał *müdiür*.

Powstała w głowach Komitetu, wyjaśnił emisariusz.

Ale w takim wypadku musielibyśmy wypuścić wszystkich uwięzionych?

Naturalnie, ale tylko po to, by aresztować ich z powrotem kilka dni później.

A co z obietnicą amnestii?

Nie będzie żadnej amnestii, oświadczył emisariusz. Ormianie nie będą bowiem mieli czasu na oddanie broni, którą

im sprzedacie. Ponieważ wszyscy żandarmi *wilajetu* już następnego dnia po sprzedaniu Ormianom broni wylegną na miasto i przeszukają wszystkie ormiańskie domy, a także znane nam schowki na broń. Znajdziecie broń, skonfiskujecie ją, a potem aresztujecie wszystkich Ormian zdolnych do noszenia broni. Nazajutrz podacie wiadomość o znalezieniu broni, dużej ilości broni, jak również o jej pochodzeniu... i jednocześnie przystąpicie do masowych egzekucji.

Wysłannik Organizacji Specjalnej uśmiechnął się, a ja, bazarz, widziałem jego uśmiech i mogłem odczytać jego myśli: Cztery tysiące karabinów i amunicja do nich po niskiej cenie, która zostanie jeszcze ustalona. *Wali* będzie musiał oddać państwu pieniądze, ale ten *wali* jest bardziej szczywany, niż na to wygląda. Na pewno sprzeda Ormianom sześć tysięcy karabinów, lecz dostarczy tylko cztery tysiące... a różnicę zainkasuje do własnej kieszeni. Ale cóż robić? Tak czy owak nie miało sensu zaznajamianie tych nieokrzeszańców z epoki Abdülhamida i jego przekupnej administracji z etyką Komitetu. Cóż oni rozumieli z ideałów nowego kierownictwa, jego walki z korupcją, jego poczucia czystości i porządku, z jego otwarcia na świat i orientacji prozachodniej, z wytkniętego celu, jakim było zbudowanie nowego porządku i narodowej zwartości! Nie, to nie miało sensu. Ci niepoprawni nadal będą oszukiwać państwo i w dalszym ciągu napełniać sobie kieszenie jego kosztem. Ponieważ jednak potrzebowano ich, lepiej było nie zadawać pytań.

Jeśli wszystko się powiedzie, rzekł *wali*, to Komitet może liczyć na to, że zaczniemy rozstrzeliwać jeszcze przed świętami. Za kilka tygodni ramadan. Kiedy wierni rozpoczną post, powinno być po wszystkim.

W rzeczy samej, powiedział emisariusz. Do tej pory powinno być dawno po wszystkim.

A kiedy mamy zacząć deportacje kobiet, starców i dzieci?  
Po egzekucjach, ale jeszcze przed świętami. Gdy zacznie się ramadan, dzielnice ormiańskie muszą być opróżnione.

A jak mamy ich deportować? Pieszoz?  
 Częściowo pieszo, częściowo wozami zaprzężonymi  
 w woły.

Ale tylu wozów nie sposób zdobyć!

Proszę coś wymyślić.

Dlaczego nie można całej tej hołoty wypędzić z miasta  
 pieszo?

Z powodu prasy i konsulatów. Proszę nie zapominać, że  
 chodzi tylko o ewakuację lub raczej przesiedlenie. Które  
 powinno być przeprowadzone porządnie, po ludzku.

A co z aprowizacją?

Póki nie upewnimy się, że prasa i konsulaty nie obserwują  
 przebiegu całej akcji, będziemy rozdzielać chleb i wodę.

A później, kiedy transporty znikną w wąwozach Taurusu?

Wtedy już nie.

A co z domami Ormian? Meblami i sprzętami domowymi?  
 Odzieżą i inną własnością? A co z pieniędzmi, złotem i biżuterią?

Przedmioty wartościowe należy oddać, powiedział emisa-  
 riusz, i to pod groźbą kary śmierci. Bagażu Ormianom wolno  
 wziąć tylko tyle, ile mogą unieść lub załadować na wóz  
 zaprzężony w woły. Ogłosimy, że po wojnie i powrocie  
 deportowanych nieruchomości zostaną im zwrócone.

A czy ktokolwiek z tych ludzi powróci?

Zadbamy o to, żeby nikt nie wrócił.

W takim razie nie będzie też żadnych zwrotów? Mam na  
 myśli zwrot nieruchomości.

No właśnie.

I ja, bazarz, mówię:

— Czy wrócą, czy nie, ich domy będą jeszcze stać. Ale  
 będą w nich mieszkać inni. Turcy lub Kurdowie, przede  
 wszystkim Turkmeni i *muhadžirler*, tak, przede wszystkim  
*muhadžirler*, czyli muzułmanie zbiegli z Kaukazu i utraconych  
 podczas wojny bałkańskiej europejskich prowincji.

Kiedyś, gdy będzie czas po temu, powiedział później do  
*walego* przy kieliszku *raki* wysłannik Organizacji Specjalnej,

kiedyś zrobimy z Kurdów prawdziwych Turków. W wypadku Ormian to jednak niemożliwe. Ormianin to obce ciało w naszym organizmie, cyniczny kolec, którego nie da się przekonać, wessać czy przekształcić, który zawsze będzie obcy naturze tureckiej. Stoi naprzeciw niej z braku zrozumienia lub powiedzmy raczej: on nie stoi naprzeciw, tylko tkwi uparcie w nas, a jego jedynym zamiarem jest zatruwanie organizmu, który go żywi.

*Müdiir* mówił niedawno coś podobnego, rzekł *wali*, a i ja myślałem podobnie.

Emisariusz pokiwał głową, uśmiechając się przy tym życzliwie. Abdülhamid wierzył jeszcze, że aby rozwiązać problem, wystarczy zrobić z Ormian muzułmanów. Ale my, młodoturcy, nauczyliśmy się od Europejczyków, że musimy zwracać uwagę nie tylko na religię naszych obywateli, ale także na charakter narodowy, rasę i krew. Enwer Pasza obiecał, że zjednoczy wszystkie ludy tureckie na świecie, i przyrzekł, że wszyscy, z których można jeszcze zrobić Turków, zostaną nimi.

Tak, powiedział *wali*.

Abdülhamid nie wiedział nic o tych nowych ideach, nie mógł więc także wiedzieć, że nawracanie Ormian nic nie da.

Rzeczywiście nic nie da, potwierdził *wali*.

Ormianie za granicą nastawili już do nas wrogo neutralną prasę, rzekł emisariusz, przede wszystkim amerykańską, a gdy tylko zastosujemy ostateczne środki, wściekną się jeszcze bardziej. Spodziewaliśmy się tego. Ale ostrzegliśmy ich. I powiedzieliśmy im już kilka miesięcy temu: Gdyby międzynarodowemu ormiaństwu udało się podburzyć pewnego dnia przeciwko nam cały świat, będzie to oznaczać zagładę tej rasy.

W sferze naszych wpływów, *efendi*?

Bardzo słusznie, *wali bej*.

## 6

Parę tygodni przed świętami przechodnie, którzy lubili spacerować wzdłuż muru więziennego w najbliższym sąsiedztwie *hükümetu*, mogli wyraźnie słyszeć krzyki torturowanych. Nie działało się to po raz pierwszy, gdyż odkąd sięgano pamięcią, w tureckich więzieniach zawsze stosowano tortury. Ale tym razem krzyki katowanych brzmiały inaczej niż kiedykolwiek. Możliwe jednak, że tak się ludziom tylko wydawało. Krzyki przejmowały do szpiku kości. Czasami brzmiały tak, jakby ktoś rozciągnięty na ławie katowskiej próbował śpiewać, nieudolnie, bez znajomości gamy, w takt wybijany przez niemuzykalnego dozorcę. Krzyki były różne: gardłowe, przeciągłe mogły pochodzić tylko od więźniów, którym coś wsadzono do ust, ale krzyku całkowicie nie zduszono; może *zaptije* trzymał jedynie w palcach koniec języka więźnia i szarpał nim trochę, lecz nie za mocno, więzień wszak potrzebował jeszcze języka, dopóki nie złożył zeznań, jakich oczekiwano od niego. Inne krzyki rozlegały się w równych odstępach, jak uderzenia biczem, i wtedy wiedziano: tutaj bito w gołą skórę, prawdopodobnie w podeszwy stóp. Stopy Ormian uważane były bowiem za szczególnie wrażliwe na ból, gdyż naród ten, mieniący się narodem panów i chcący panować nad narodem, który udzielał mu gościny, nie chodził pieszo, przynajmniej w mieście. Przechodnie wiedzieli: właściciele tych stóp mają delikatną skórę. Nie były to stwardniałe, zgrubiałe, uodpornione dzięki zrogowaceniom stopy niższych bekirskich stanów, Turków i Kurdów. Te stopy przywykły nosić dobre obuwie, nawet jedwabne skarpety, które w dodatku, jakby tego było mało, prano także i zmieniano. Wydelikaczone były te stopy i wydelikaceni byli krzyczący. Naturalnie zdarzały się też inne krzyki, i nie trzeba było skończyć uniwersytetu w Konstantynopolu, by wiedzieć, o co chodzi. Łatwo rozpoznawalne były zwłaszcza krzyki powodowane przez spiczaste przedmioty. Słyszano wszelkie tony, najwyższe i najniższe, perwersyjnej gamy, która zdawała się pochodzić z zaświatów, może z ognia piekielnego... stłumione

i piskliwe, przeraźliwe i inne, wydobywające się z głębi dręczonego ciała lub tylko z bezcielesnej potępionej duszy. Niektórzy przechodnie czynili zakłady twierdząc, że dokładnie wiedzą, co te krzyki wywołuje lub co akurat robi lub co zamierza torturujący *zaptije*.

Potem nagle zrobiło się cicho. I nic już nie słyszano.

Wysłannik Organizacji Specjalnej miał rację. Po kilku dniach tortur ormiańscy notable i przedstawiciele gminy byli gotowi zrobić wszystko, nawet zgodzić się na niepewny interes z kupnem broni. Pojęli, że *wali* Bekiru, aby zadowolić Komitet w Konstantynopolu, musi mieć dowód planowanego powstania. *Wali* obiecał przerwanie tortur i powszechną amnestię, jeśli dobrowolnie oddadzą broń, której nie posiadali, ale mogliby posiadać.

Jak więc przedstawiciele gminy mieli odrzucić tak wspaniałomyślną propozycję, zwłaszcza że broń można było kupić tanio?

Wielki interes załatwiono nocą. Dopiero gdy większość mieszkańców miasta, o którym mówiono, że posiada tysiąc jeden meczetów, zdmuchnęła lampki oliwne, w bekirskich zbrojowniach zaczął się gorączkowy ruch. W koszarach stały gotowe do drogi długie rzędy wozów zaprzężonych w woły. Po załadowaniu broni i skrzyń z amunicją wyruszyły w kierunku ormiańskiej *mahalle*. Transport konwojowali przemęczeni *zaptijeler*, także walczący z sennością gruby *wali* szedł kawałek obok wozów, nawet *müdiür* i *mutasarryf*, i *kajmakam*, i naturalnie emisariusze Organizacji Specjalnej. W dzielnicy ormiańskiej tylko wtajemniczeni wiedzieli o wielkiej komedii, która miała zakończyć jeden rozdział ormiańskiej historii, aby zacząć następny. Wtajemniczeni zdmuchnęli wprawdzie lampki oliwne, ale nie położyli się spać. Mimo zakazu opuszczania domów wyszli późną nocą na ulice, co najwidoczniej nie przeszkadzało *walemu* ani innym panom... Odebrali broń, pod nadzorem żandarmów zanieśli ją do schowków, następnie spotkali się w domu dawnego ormiańskiego *muchtara*, a potem poszli jeszcze do restauracji „Hajastan”, która była wpra-



wdzie od tygodni zamknięta, ale na rozkaz *walego* została otwarta o tej niezwykłej porze; ci notable, którzy mieli jeszcze ręce i nogi, którym niczego nie obcięto i których nie zbito, a tym bardziej nie zraniono poważnie, którzy więc mogli jeszcze chodzić lub kuśtykać — ci zatem, po umieszczeniu broni w bezpiecznym miejscu, spotkali się w „Hajastanie” z przedstawicielami rządu, pili z nimi *raki*, zapewniali rząd w Konstantynopolu o swej lojalności, raz jeszcze pozwolili sobie wyjaśnić zawile powody podejrzanego handlu bronią i ogólnej amnestii, odnieśli się do nich ze zrozumieniem, pozwalali *walemu* powtarzać zapewnienia i zaglądali przy tym badawczo w twarze innych panów, dali się uspokoić, przestali mówić o zawartym właśnie układzie, a później wspomnieli tylko mimochodem, że ze swej strony trzymać będą gębę na kłódkę i za trzy dni w wyznaczonym terminie oddadzą broń.

Ale już nazajutrz komedia się skończyła. Lub raczej: zaczęła się dopiero na dobre. Albowiem następnego ranka, gdy notable po raz pierwszy od dłuższego czasu obudzili się bez strachu i głaskali żony mówiąc, że teraz wszystko będzie dobrze, w mieście się uspokoiło, zawarto układ z władzami, przed drzwiami domów stali już *zaptijeler*. Niedługo jednak przed nimi stali, gdyż kiedy ogłoszono, że znaleziono broń w niespodziewanie odkrytych schowkach Ormian, kiedy mówiono: właśnie ładuje się broń, broń, której ci zdrajcy nie oddali, którą otrzymali od Rosjan i ich popleczników na planowane od dawna powstanie, mające wybuchnąć, gdy Rosjanie staną pod miastem... kiedy to ogłoszono, *zaptijeler* wdarli się do mieszkań.

Tak. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jeszcze tego samego dnia, gdy znaleziono broń, ruszyła fala aresztowań, jakiej miasto dotąd nie widziało. Był 20 czerwca 1915 roku, niespełna dwa tygodnie przed ramadanem, świętem wielkiego postu i wewnętrznego oczyszczenia, które miało się zacząć 2 lipca. Właściwie można było nie śpieszyć się z egzekucjami, które nie powinny niepokoić wiernych w trakcie postnego miesiąca, gdyż pierwszy strzał armatni z cytadeli, wzywający

jak zawsze do postu, był jeszcze odległy. Mimo to *wali* wydał rozkaz, by zacząć rozstrzeliwania już nazajutrz o świcie. Nie żeby *walemu* się śpieszyło, to nie to. Postanowił tak tylko dlatego, że emisariusze Organizacji Specjalnej nie chcieli wyjechać, a twierdzili, że nie mogą wyjechać, dopóki nie będzie po wszystkim. *Wali* przekazał komendę *müdürowi*. I przemówił mu do sumienia, wyjaśniając, że trzeba rozstrzelać wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni. A zdolni do noszenia broni byli wszyscy, którzy potrafili utrzymać w ręku długi kij bez pomocy matki, jak również każdy, kto miał zęby, lecz nie te pierwsze, i siusiaka używanego nie tylko do siusiania. Niebezpieczny był każdy, kto wyglądał niebezpiecznie lub mógł się stać niebezpieczny w niedalekiej przyszłości.

Przez trzy dni we wczesnych godzinach rannych wyprowadzano z miasta czwórkami zdolnych do noszenia broni mężczyzn, powiązanych ze sobą sznurami. W tym samym czasie publiczni heroldowie zrywali sobie płuca, wykrzykując obwieszczenia o powstaniu w Wanie, o batalionach ormiańskich ochotników po stronie Rosjan i współpracy Ormian w Bekirze z tymi łotrami. Wszystko zostało jednak wyciągnięte na światło dzienne, a Allah uratował turecką ojczyznę w godzinie opresji. Także imamowie w meczetach ogłaszali podobne nowiny, a hodźowie mówili o nich dzieciom w szkołach Koranu i ostrzegali je przed diabłem, *dżinnami* i Ormianami. Krzyżące plakaty na murach obronnych, bramach miejskich oraz ścianach domów piętnowały Ormian, gazety zaś prześcigały się w relacjach o ormiańskiej zdradzie. Na ulicach Bekiru stali obok siebie zakłopotani oficerowie tureccy i niemieccy, a konsulaty państw, niemile dotknięte, zamykały okna.

W większości miast Anatolii Ormian rozstrzeliwano przed bramami miejskimi, lecz w Bekirze zachowano większą ostrożność. Ponieważ w niewielkiej odległości znajdowały się wysokie góry, wyprowadzano mężczyzn na mały spacer, nie więcej niż czterdzieści długości papierosa, ale też nie mniej.

Tam gdzie wąwozy górskie były tak głębokie, że nawet *zaptijeler* bali się spojrzeć w dół, tam gdzie *dżinny* wyły razem z wiatrem i silny mężczyzna nie bez bicia serca potrafił nasikać z góry, tam gdzie stąpało się ostrożnie i trzymało konia na wodzy, tam rozstrzeliwano mężczyzn. Rzecz jasna nie wszystkich rozstrzeliwano, gdyż pułki żandarmerii z innych regionów, przydzielone bekirskim żandarmom jako wsparcie, mówiły, iż trzeba oszczędzać amunicję, przydziały bowiem są szczupłe, a poza tym — co mówili przed nimi już inni — czasy w ogóle są ciężkie, tak więc ci obcy *zaptijeler* ścinali po prostu skazańców szablami. Prócz tego były także oddziały bojowe *czetów*, którzy zjawili się w samą porę. I wielu z nich miało w torbach u siodła siekiery.

Głupi i leniwi *zaptijeler* z Bekiru dziwili się widząc, z jaką wprawą *czetowie* rozbijają siekierami głowy Ormian, tak jakby przez całe życie nie robili nic innego. Korzystne było również, że nie musiano grzebać zmarłych, gdyż wąwozy okazały się najlepszym grobem. A ponieważ w głąb wąwozów trzeba było zrzucić tyle trupów — nie wszyscy zaś koziółkowali przepisowo w dół, tylko wbrew rozkazowi zatrzymywali się na górskich ścieżkach — postanowiono te martwe psy pozostawić żywym. Żywych psów, jakkolwiek czworonożnych, było bowiem w tym kraju aż nadto. Wszak wielu Franków nazywało Turcję krajem bezpieczeństwa psów. Nigdzie na świecie, mówili Frankowie, nie ma tylu bezpieczeństwa psów co tutaj. Było ich więcej niż sępów i pożerały wszystko co martwe na ulicach wsi i miast, na gościńcach i przełęczach górskich. Cały kraj stanowił ich teren łowiecki, a choć nie były szybsze od powietrznych zwiastunów śmierci, to jednak wykonywały lepszą robotę, ponieważ mogły zjeść większe ilości i rzadko coś pozostawiały.

Emisariusze Organizacji Specjalnej dziwili się, że plemiona górskich Kurdów nie wzięły udziału w masakrze. W podobnych wypadkach, gdy można było zabrać łupy w postaci ubrań i butów, Kurdowie zjawiali się przeważnie bardzo szybko.

Kurdowie czekają, oświadczył *wali*. Może chcą uniknąć starć z *czetami* i wieloma obcymi żandarmami z *wilajetu* Erzurum.

Zaalarmowaliśmy już plemiona górskie, oznajmił emisariusz, powiadamiając je, że wkrótce przez ich tereny przeciągać będą transporty kobiet, starców i dzieci.

To pewnie dlatego, stwierdził *wali*. Kurdowie czekają, aż przez ich tereny ciągnąć będą rodziny rozstrzelanych mężczyzn, bo przypuszczają, że będzie ich konwojować niewielu żandarmów.

Tak, pewnie dlatego, zgodził się emisariusz.

I także dlatego, że Kurdowie obiecują sobie po kobietach, starcach i dzieciach większych łupów niż po mężczyznach zdolnych do noszenia broni, którzy nie mogli przecież mieć przy sobie żadnego bagażu.

Tak właśnie jest, *wali bej*.

Mimo to należy trzymać Kurdów w szachu.

Przeciwnie, zaproponował emisariusz. Kiedy będziemy pędzić przez góry kobiety, starców i dzieci, niech Kurdowie spokojnie ich przetrzebią, a to z powodu zagranicznej prasy i raportów wysyłanych przez konsulaty.

A co jedno ma z drugim wspólnego?

Tłumaczyłem to już panu. Pozostali panowie też słyszeli: rozstrzelanie buntowników było podyktowane koniecznością wojenną. To możemy wziąć na siebie. Natomiast rzeź wśród kobiet, starców i dzieci pozostawimy Kurdom. Rząd będzie mógł wtedy powiedzieć, że nie ma z tym nic wspólnego.

Tak. Wyjaśniał nam pan to.

No widzi pan.

A nadużycia żandarmów... lecz przede wszystkim *czetów*?

Także to wyjaśniłem niedawno panu i pańskim ludziom. Komitet wie, co robi, i zna ogrom odpowiedzialności, jaka na nim ciąży. *Zaptijeler* spełniają tylko swój obowiązek, a jeśli od czasu do czasu będą musieli użyć broni dla utrzymania porządku, zagranica to zrozumie. A *czetowie*? No cóż, również to panu wyjaśniłem: to opryszki i mordercy. Musieliśmy ich użyć, bo mamy za mało ludzi. Co mieliśmy zrobić? A czy to nasza wina, że *czetom* zdarzają się wykroczenia przeciw prawu? Przecież wyszli z więzień. Mamy może przydzielić każdemu z nich prawnika? Oko sprawiedliwości nie może być wszędzie. Czasy są ciężkie, *wali bej*. Musieliśmy użyć *czetów*.

A deportacje?

Nie ma żadnych deportacji. Czyż i to trzeba jeszcze raz wyjaśniać? No widzi pan. Chodzi o podyktowane sytuacją wojenną przesiedlenie z przyczyn strategicznych. Te Ormianki z dziećmi i niedołączonymi starcami zostaną tylko wysłane w podróż. Po cóż bowiem oddajemy im do dyspozycji porządne wozy zaprzężone w woły i pozwalamy zabrać bagaże? No więc to tylko mała podróż, nic ponadto.

## 7

Dni poprzedzające postny miesiąc ramadan nazwano tu, w Bekirze, dniami *münadich*, gdyż nigdy dotąd dobosze i heroldowie nie musieli się tyle napracować wykrzykując zarządzenia władz w zamknięte okna i drzwi Ormian. Większość heroldów znała posiadaczy uszu, dla których przeznaczone były ich wieści, i wiedziała, że Ormianin zawsze czuwa, od swych narodzin do śmierci, ba, że nawet przez sen słyszy złowróżbne wieści, wymyślane dlań w imieniu Allaha. Ale Ormianin był z natury zatwardziały i udawał, że wcale nie przyjmuje do wiadomości swego losu ani tego wszystkiego, co było przeznaczone z góry i zapisane w księdze losu, przed którym nikt na ziemi nie może uciec. Ci Ormianie zachowywali się w pierwszej chwili tak, jakby się przesłyszeli, jakby dzień deportacji w ogóle nie był zapisany w kalendarzu Allaha. *Münadiowie* słyszeli, jak krewni straconych mężczyzn płaczą i lamentują za zamkniętymi drzwiami i oknami, więc ryczeli głośno jak nigdy dotąd, żeby rozpaczającym nie umknęło żadne słowo. Niektórzy heroldowie byli dobroduszni i chętnie pomogliby Ormianom, gdyż przez wszystkie lata, podarowane im dotychczas przez Allaha, robili interesy z Ormianami, handlowali z nimi, kupowali u nich, szyli u nich ubrania i buty, zamawiali skórzane sakiewki, *külachy* i kilimy, naczynia miedziane, klucze do drzwi, ba, nawet wielkie bębny i pałeczki zawdzięczali zręczności ormiańskich rąk — tak

więc zdarzało się, że niejednen *münadi* po obwieszczeniu ważnych nowin w imieniu Enwera Paszy, Dżemala Paszy i Talaata Beja, a więc w imieniu całego Komitetu Jedności i Postępu... że taki *münadi* rozmawiał czysto prywatnie z posiadaczem owych uszu, czasem z małymi dziećmi, czasem ze starcami, najczęściej jednak z kobietami. I taki *münadi* mówił im: Nie ma sensu rozpaczać po mężczyznach i udawać, że nie słyszałyście obwieszczeń. Musicie oddać państwu wszelkie przedmioty wartościowe i pieniądze. Ale państwo jest wspaniałomyślne i pozwala wam wziąć ze sobą na drogę po trzysta piastków. Spakujcie więc swoje rzeczy i weźcie trzysta piastków na drogę. A jeśli macie jeszcze złoto lub klejnoty, których nie oddałyście dotąd i nie chcecie oddać, ukryjcie je, ale nie w ubraniach ani we włosach, ani nie w cipkach czy wręcz w tyłkach, bo wszystko znajdą i wam odbiorą. Zakopcie je gdzieś, żebyście potem odnalazły. I wiele Ormianek posłuchało *münadich*, i zakopało, czego nie chciało oddać państwu, wiele jednak nie uczyniło tego, gdyż uważało, że bez złotych monet nie powinno się wybierać w podróż.

W ostatnich dniach przed ramadanem na oczach urzędników konsulatów rozgrywało się dziwne widowisko. Zaczynało się już o świcie i trwało do zapadnięcia ciemności. Tysiące kobiet, starców i dzieci ciągnęły długimi kolumnami, pod eskortą konnej soldateski, przez bramy miasta. Dla kogo zabrakło miejsca na jednym z wozów zaprzężonych w woły, szedł pieszo. Podobne transporty z okolicznych wiosek i mniejszych miast również przechodziły przez Bekir. Wędrują setki tysięcy osób, pisali panowie z konsulatów do swych rządów. Wszyscy zostaną przesiedleni. Rząd twierdzi, że udają się do Syrii. Dane nie są ścisłe. Nikt nie zna prawdziwego miejsca przeznaczenia.

Było rzeczą oczywistą, że paru rzemieślników i ludzi świadczących niezastąpione usługi zostało wyłączonych z egzekucji i deportacji. Także ich rodziny, gdyż owi ludzie, zobowiązani przez władze do działalności usługowej, nie wykonywaliby porządnie swojej pracy, gdyby wywieziono ich rodziny i pozwolono zostać tylko im. A ponieważ rzemiosło

w tej części ziemi znajdowało się prawie wyłącznie w rękach ormiańskich, więc ostatecznie wyszło na to, że mogli zostać ci najważniejsi bądź dla państwa niezastąpieni. Pozwolono także zostać paru bogaczom, gdyż *wali* miał względem nich pewne plany, o czym emisariusze Organizacji Specjalnej nie musieli wiedzieć.

Z końcem czerwca 1915 roku, dokładnie dwa dni przed ramadanem, *wali* kazał wezwać do swojego biura właściciela restauracji „Hajastan”.

Hajgaz efendi, zaczął *wali*. Często u pana jadałem, także *müdüür* często u pana jadał, i kajmakam, i mutasarryf. Jak również niższe szarże, tak... nawet *zaptijeler* i *münadiowie* jadali w „Hajastanie”. Kuchnia jest wyśmienita. Nie ma lepszej kuchni.

Owszem, przyznał Hajgaz. Moja żona dobrze gotuje, a ja ze swej strony zawsze robiłem wszystko, aby zadowolić gości.

Tak właśnie jest, rzekł *wali*. Naprawdę tak jest. I nigdy nie wziął pan nawet piasra od nikogo w mundurze rządowym.

Dlaczego miałbym brać? odparł Hajgaz.

A my zawsze ochranialiśmy pana.

Tak, powiedział Hajgaz.

Chyba pan to przyzna?

Owszem, potwierdził Hajgaz.

Oszczędziłem pański dom, Hajgaz efendi, rzekł *wali*. Ale nie myśli pan chyba, że zrobiłem to tylko dlatego, że dobrze jadałem w pańskiej restauracji?

Nie, przyznał Hajgaz.

Miałem swoje powody.

Tak, powiedział Hajgaz.

Rząd, podjął *wali*, pozwolił mi oszczędzić pięćdziesięciu rzemieślników i ich rodziny.

Tak, potwierdził Hajgaz.

Napisałem jednak do Komitetu, że potrzebuję stu rzemieślników, żeby nie sparaliżować miasta całkowicie. Rozumie pan?

Tak, powtórzył Hajgaz.

Ale tylu rzecz jasna nie potrzebuję, rzekł *wali*. Rozumie pan?

Nie, odparł Hajgaz.

No cóż, powiedział *wali*. Jest tak. Pięćdziesięciu najbogatszych Ormian wciągnę dodatkowo do swoich ksiąg. A wie pan, co to znaczy?

Nie, zaprzeczył Hajgaz.

To znaczy, że ci ludzie mogą przeżyć, chociaż nie są rzemieślnikami. Rozumie pan?

Tak, potwierdził Hajgaz.

Kazałem ich wpisać, Hajgaz efendi, jako stolarzy. Odtąd jest pan więc stolarzem.

Tak, powiedział Hajgaz.

Zna się pan choć trochę na stolarce?

Nie, odparł Hajgaz.

Nie szkodzi, skwitował *wali*. Grunt, że się rozumiemy.

Dlaczego pan to robi? spytał Hajgaz.

No cóż, a dlaczego miałbym tego nie robić?

I *wali* rzekł: Zakopał pan sporo złota i klejnotów, *efendi*, że tak powiem: ukrył je pan, żeby państwo nie położyło na nich łapy. Ale nie wiemy gdzie.

Niczego nie ukryłem, *wali bej*.

O tak, powiedział *wali*. Ukrył pan tego mnóstwo.

I *wali* rzekł: Każdy Ormianin ma cztery schowki. Jeśli każę go torturować, zdradzi mi pierwszy schowek, aby uniknąć dalszych tortur. Ale w pierwszym schowku nie ma prawdziwych skarbów. Rozumie pan?

Tak, powiedział Hajgaz.

A jeśli potem każę go torturować dalej, zdradzi mi może drugi schowek. Ale i tam nie ma prawdziwych skarbów.

Tak, powtórzył Hajgaz.

Może potem zdradzi mi jeszcze trzeci, ciągnął *wali*. Ale i tam leży tylko znikoma część jego własności.

Możliwe, przyznał Hajgaz.

Prawdziwy skarb leży w czwartym schowku, oznajmił *wali*. Ale tego schowka nigdy mi nie zdradzi.

Owszem, potwierdził Hajgaz.

Bez względu na to, co zrobię, nigdy mi go nie zdradzi.



I *wali* rzekł: Dlatego, *efendi*, wydanie pana na tortury niewielki ma sens. Naprawdę, niewielki by to miało sens.

Owszem, przytaknął Hajgaz.

I dlatego wymyśliłem coś innego, coś skuteczniejszego, coś, co będzie także lepiej odpowiadać nam obu.

Co takiego, *wali bej*?

Przyniesie mi pan skarb dobrowolnie, *efendi*, oznajmił *wali*. A nawet będzie mnie pan prosił, żebym go przyjął. Będzie pan przychodził na klęczkach dzień w dzień tu, do *hükümetu*, i prosił mnie, żebym przyjął skarb.

Jak pan to sobie wyobraża, *wali bej*? spytał Hajgaz.

No cóż, to będzie tak i tak, odparł *wali*.

I *wali* rzekł: Niemieccy sojusznicy śmieją się z nas z powodu zwyczajowego podatku pozwalającego wykupić się od służby wojskowej, który wynosi obecnie czterdzieści cztery tureckie lira. Nazywamy go *bedel* i kiedyś płacił ten *bedel* każdy ormiański wypierdek, którego matka wydała na świat. Dlaczego więc Ormianin jak pan, *efendi*, nie miałby zapłacić *bedelu* za zwolnienie od deportacji? Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ten *bedel* nie jest oficjalny, do czego bowiem byśmy doszli, gdyby każdy Ormianin, którego zamierzamy rozstrzelać lub wysłać na pustynię, mógł się wykupić za jakiś nędzny *bedel*? Nie, to oczywiście niemożliwe.

A więc to niemożliwe?

Jeśli rzecz zostanie między nami — a to panu radzę — dałoby się coś zrobić.

A więc da się coś zrobić?

Tak, *efendi*. Allah mi świadkiem, że naprawdę da się coś zrobić.

I *wali* rzekł: Będzie mi pan płacił dziennie czterdzieści cztery lira — czyli *bedel* — w złotych lub srebrnych monetach. W wypadku biżuterii należałoby ustalić faktyczną wartość i przeliczyć na czterdzieści cztery lira dziennie.

Co z pieniędzmi papierowymi?

Żadnych banknotów, odparł *wali*. Z powodu spadku wartości pieniądza.

Rozumiem, powiedział Hajgaz.

Dopóki nikt o tym nie wie — tylko my dwaj, rozumie pan — dopóty pana i oczywiście najbliższą pańską rodzinę ominie deportacja.

Rozumiem, *wali bej*.

Jest pan teraz rzemieślnikiem, *efendi*, stolarzem, którego państwo potrzebuje. Wszak jest pan stolarzem?

Tak, *wali bej*.

To godne ubolewania, że musimy skonfiskować wszystkie ormiańskie domy, ale pan, jako rzemieślnik, może mieszkać w swoim tak długo, jak długo państwo będzie pana potrzebować.

Tak, *wali bej*.

Każdego dnia, *efendi*, będzie pan otwierał swoje skarbcę, żeby wydobyć złoto i srebro lub w razie potrzeby biżuterię. Z biegiem czasu odszuka pan wszystkie schowki, jakie pan wykopał, aby oszukać państwo. Stopniowo wydobędzie pan wszystko, a ja nie będę musiał pana torturować ani traktować nieludzko w jakikolwiek inny sposób. Nie każę pana wychłostać ani nic podobnego. Nie wyrwiemy panu zębów, nie obetniemy chciwych palców czy wręcz kutasa, służącego do płodzenia potomstwa nazywanego powszechnie Ormianami. Nie będziemy nawet łaskotać pana po jajach. Nie ma takiej potrzeby. Każdego dnia będzie pan wyciągał swoje pieniądze albo biżuterię, rozumie pan, bo te przedmioty wartościowe oznaczają dzień odroczenia i dzień zwolnienia od deportacji. I wszystko to będzie mi pan oddawał dobrowolnie.

Tak, *wali bej*.

Jeśli wojna potrwa jeszcze długo, wcześniej czy później odkopie pan też czwarty schowek, w którym leży wielki skarb, i przyniesie mi go tutaj.

Tak, *wali bej*.

I tak to będzie, powiedział *wali*.

Dziękuję panu, *wali bej*, rzekł Hajgaz.

Szkoda tylko, dodał *wali*, że jakiś czas temu musieliśmy powiesić pańskiego brata Dikrana.

Tak, *wali bej*.

Był dobrym szewcem. A dobrzy szewcy są dzisiaj potrzebni. Trzeba pilnie połatać buty wszystkich martwych żołnierzy tureckich, aby mogli je nosić żywi. Także buty żywych — zwłaszcza po długich marszach — są przeważnie w opłakanym stanie. Rozumie pan, *efendi*. Braki w zaopatrzeniu materiałowym. A dobry szewc potrafi zdziałać cuda. Ale skąd mamy wziąć tych wszystkich szewców, których naprawdę pilnie potrzebujemy, skoro rzemiosło znajdowało się przeważnie w rękach ormiańskich?

Prawie wszyscy szewcy byli Ormianami.

Pan to mówi, *efendi*.

Owszem, potwierdził Hajgaz.

To wielka szkoda, rzekł *wali*. I powiedział: Ta ormiańska hołota miała złote ręce. Wszystko, czego te ręce dotknęły, uwieńczone było sukcesem. Szatan musiał im pomagać, bo jak pan to wyjaśni, że wszystko robili tak perfekcyjnie? No, jak? Widzi pan, *efendi*. Nawet ja, *wali* Bekiru, szyłem buty u Ormianina. Także ubrania cywilne, a nawet mundur. To co szył ten Ormianin, miało styl. Powiedziałbym: zadziwiająca, wręcz podejrzaną jakość. Ale co to ma za znaczenie? Lubiłem nosić ormiańskie buty, także ubrania i mundur. Człowiek, który uszył mi mundur, był artystą w swoim fachu. Ten mundur, który wciąż jeszcze noszę, czyni mnie o dziesięć lat młodszym i o dziesięć *okka* szczuplejszym.

Tak, *wali bej*.

Mimo to kazałem go rozstrzelać, bo okazało się, że na liście rzemieślników do uratowania jest już zbyt wielu krawców.

Rozumiem, *wali bej*.

Wielka szkoda, powiedział *wali*.

A co z pańskim bratem Sarkisem? spytał *wali*. Czy nie był złotnikiem?

Złotnikiem, potwierdził Hajgaz.

Sprawdzę, czy jest na liście rzemieślników, rzekł *wali*.

Nie ma go na niej.

Skąd pan wie?

Został rozstrzelany razem z innymi, odparł Hajgaz.

Wielka szkoda, powiedział *wali*. To był dobry złotnik. Owszem, przyznał Hajgaz.

Na pewno wyszłoby inaczej, gdyby był kowalem, rzekł *wali*. Podczas wojny nie potrzeba złotników, a przynajmniej nie w kawalerii. Tam potrzeba kowali.

Tak, *wali bej*.

Najlepszymi kowalami byli Ormianie, dodał *wali*. A zostało ich tak niewiele. Wielka szkoda.

*Wali* poczęstował Hajgaza papierosem, papierosem marki Amrojan. To ostatnie amrojany, powiedział, tani, ale znakomity papieros, prawdziwa ormiańska jakość. Wie pan, *efendi*, zostawiłem ich sobie trochę na zapas, bo nie ma już fabryki papierosów Ormianina Amrojana.

To dobry papieros, potwierdził Hajgaz.

Czy ma pan jakieś wiadomości o moim bracie Wartanie? spytał Hajgaz. Wartan Chadisjan?

Nie, odparł *wali*. Przypuszczamy, że nie żyje, i już skreśliśmy go z rejestru.

A więc nie będzie procesu?

Nie, nie będzie procesu. I *wali* rzekł: Sprawa Wartana Chadisjana to był pomysł *müdüra*. Jakby go coś opętało, żył tylko nią. Cieszę się, że tej sprawy już nie ma. I wie pan, *efendi*: jeśli te gaduły z prasy będą mi zadawać jakieś pytania, chcąc odkryć co to za sprawa, to im powiem: *Efendiler*, jaką to sprawę macie na myśli? Może sprawę Chadisjana? I roześmieję im się w nos, i powiem: *Efendiler*, ta sprawa była jak turecka baśń, gdzie mówi się: Był sobie kiedyś, albo i nie był. Tej sprawy, *efendiler*, w ogóle nie ma. I nie było jej teraz ani nigdy.

— Sprawy Wartana Chadisjana, w skrócie „sprawy Chadisjana”, już nie ma, moja owieczko. — Mówię to również ja, bazarz, do swojego cienia. — A jeśli później, po wojnie, w lepszych czasach, które może wcale nie będą lepsze, ktoś zechce poszperać w podręcznikach historii, to nic w nich nie znajdzie ani o sprawie Chadisjana, ani o niejakim Wartanie

Chadisjanie, o którym fałszerz dziejów światowych, właśnie ów opętany *müdüür* z Bekiru, twierdził, iż zastrzelił austriackiego następcę tronu wraz z małżonką, wtedy w Sarajewie. I idę z tobą o zakład, moja owieczko, że zawodowi szperacze grzebiący się w historii będą potrząsać od czasu do czasu swymi poważnymi głowami, zwłaszcza gdy ja, bajarz, będę przypadkiem siedział im w uchu. I powiedzą do mnie: Nie, nigdy dotąd nie słyszeliśmy o sprawie Wartana Chadisjana. Turcy zwalili na Ormian tyle win, że nie ma już co zwałać. Że Ormianin zastrzelił też arcyksięcia? I tym śmiertelnym strzałem wywołał wielką wojnę? Nie wierzymy w to. To przecież kompletna bzdura!

A ja odpowiem: Oczywiście, że to bzdura. Ale widzicie, panie i panowie: czy naprawdę będzie to miało jakieś znaczenie, jeśli do tysiąca fałszywych oskarżeń przeciw Ormianom dodamy jeszcze jedno... żebyśmy mogli powiedzieć: było kiedyś tysiąc oskarżeń i jedno...

Kłopotliwe milczenie dźwięczy w uszach. Podniecone głosy myśli przyszłych historyków przekrzykują się nawzajem. Jedna z myśli mówi do mnie: Widzi pan, *meddach*. Wszystko, co jest w moich książkach, książkach historycznych, to w zasadzie tylko wyliczenie.

Jakie wyliczenie?

No cóż, *meddach*: wyliczenie mniejszych i większych rzezi od zarania dziejów. A wszystkie są uzasadnione. Do każdej znalazł się jakiś pretekst. A do każdego pretekstu oskarżenie. Teraz rozumiem, *meddach*, dlaczego oskarżenie jest mniej lub bardziej nieistotne.

Słusznie, powiadam.

Była więc sprawa Chadisjana czy nie?

To nieważne, mówię.

A co ze spiskiem światowym i szatanem, który jest wszystkim winien?

Nie wiem.

Nic o tym nie ma w moich podręcznikach.

Trudno, powiadam. Nie szkodzi. I zwracam się do wszystkich obecnych pań i panów: Panie i panowie, mówię. W swo-

ich podręcznikach nie znajdziecie niczego o szatanie i spisku światowym, ale poszukajcie w swoich głowach. I zastanówcie się! Albo lepiej: w ogóle się nie zastanawiajcie.

## 8

— Widzisz tego Niemca-pedała, który w dalszym ciągu kręci się po męskiej toalecie w budynku *hükümetu* i pokazuje żandarmom swój tyłek, widzisz go, moja owieczko? Widzisz też drugiego Niemca, tego w okularach? I widzisz ich szare mundury polowe?

— Widzę obu — odpowiada mój cień.

— Ten w okularach właśnie coś zapisał — mówię. — Widzisz, jak się uśmiecha? A teraz odzywa się do pedała: Według naszego kalendarza ramadan naszych sojuszników w roku 1915 wypada 2 lipca. A 1 sierpnia powinien się skończyć.

Długi post, stwierdza pedał.

Nie jest tak źle, mówi ten w okularach. Post zaczyna się od strzału armatniego i strzałem armatnim kończy. Codziennie będzie się powtarzać to samo. Za dnia muzułmanie zaciskają pasa, a po zachodzie słońca zdejmują go całkiem. I wtedy napychają sobie kałdun i żłopiają jak ich własne konie.

A co z miłością?

W Koranie napisano: Wasze kobiety są dla was polem uprawnym. Przychodźcie więc na wasze pole, jak i kiedy chcecie.

Także podczas postu?

Nie, właściwie nie.

W takim razie miłość w okresie ramadanu jest zabroniona?

Zabroniona jest tylko w dzień, w nocy zaś jest dozwolona.

Między zachodem a wschodem słońca?

Tak.

Czy tak napisano w Koranie?

W Koranie napisano: Dozwolone wam jest nocą w czasie postu zbliżać się do waszych żon.

Czy to wszystko?

Nie. Prorok powiedział także: Przeto teraz obcujcie z nimi i poszukujcie tego, na co zezwala Allah.

A jak to jest w okresie ramadanu z inną miłością?

Jaką inną miłością?

Chodzi mi tylko... jak to jest z miłością, z której kobiety są wykluczone? Czy wierny muzułmanin, który ma przypadkiem odmienne upodobania, może podczas ramadanu dosiadać mężczyzny?

O to należałoby zapytać imama, odpowiada ten w okularach. Albo któregoś z hodźów.

Tak, albo któregoś z nich. Oni też to wiedzą.

Nigdy dotąd władze nie pracowały tak szybko i sumiennie jak w ostatnich dniach przed ramadanem. Wydawało się, że wszechobecność żołnierzy niemieckiego cesarza wdmuchnęła trochę pruskiego wiatru do chaotycznie prowadzonych biur sprzymierzonych Turków. Dzięki temu już w tygodniu poprzedzającym święta miasto Bekir było wolne od Ormian. Pozostało tylko paru rzemieślników i nieliczni bogacze, których *walemu* udało się wyłączyć z egzekucji i deportacji. Niemieccy oficerowie pewnie psioczyli, bo nie mieli co kupić swoim żonom, gdyż sklepy ormiańskich jubilerów były zamknięte. Zamknięte były warsztaty szewskie, kramy handlarzy tkaninami i jedwabiami, sklepy korzenne, jak również wszystkie pozostałe sklepy ormiańskie, które oferowały bajeczne towary dla oczu ludzi z Zachodu. Odkąd zniknęli Ormianie, odnosiło się wrażenie, że wszystko w mieście się zmieniło. Bazary były niemal puste, uciszyły się ulice i zaułki. Pachniały także inaczej, gdyż zabrakło nagle owej baśniowej woni, którą tak delectowali się Niemcy w przyływach romantycznego uniesienia, mimo że była nie tylko słodka, nieznana i apetyczna, lecz przywodziła również na myśl odpadki i gnicie. Miasto posmutniało i smutne było także żółte słońce, które świeciło z góry na obcych żołnierzy.

Dziwne tylko, mówi Niemiec-pedał do swego towarzysza, że od kiedy zniknęli Ormianie, nikt już nie wisi pod Bramą Szczęśliwości.

Tak, to dziwne, potwierdza tamten.

— A ponieważ nie ma w tej chwili nikogo, kogo można by powiesić — mówię ja, bazarz, do swego cienia — więc proponuję, żebyś teraz sam się powiesił pod łukiem bramy.

— Ale ja nie mam szyi — odpowiada mój cień.

— Wiem o tym. Nie jest zresztą moim zamiarem naprawdę cię powiesić tylko dlatego, że czarne haki pod Bramą Szczęśliwości przypadkiem są puste. Chciałbym tylko, żebyś tu czekał na mnie, bym mógł cię potem odnaleźć.

— Chcesz odlecieć beze mnie?

— Tak. Odleczę na jakiś czas.

Poleciałem więc za transportami kobiet, starców i dzieci, żeby zobaczyć, dlaczego wszystkie wozy zaprzężone w woły, na których deportowani przepisowo opuścili miasto wraz z bagażami, wróciły puste.

Prędko odkryłem, że kobiet z potomstwem nie rozstrzelano od razu. Nie rozstrzelano nawet starców. Po prostu woźnice, odpowiedzialni za wozy, zawieźli wszystkich tylko do skrzyżowania szlaków karawanowych, z których jeden prowadzi w głąb mokradł otaczających Konię. Usłyszałem jeszcze, jak jeden z *arbadźych*, stary Kurd miejski, oświadczył któremuś z żandarmów: Dalej nie jedziemy. *Müdü*r nam powiedział: Tylko do skrzyżowania z drogą w kierunku Konii.

Do skrzyżowania z gównem, burknął *zaptije*.

Ale do Konii nie jedziemy, dodał stary kurdyjski *arbadży*. Bo musimy odprowadzić do Bekiru puste wozy, żeby załadować je na nowo.

Po chwili zjawił się dowódca żandarmów i powiedział: Tak, to prawda. Wyrzucicie tę hołotę po prostu na drogę. Ta ormiańska zgraja może równie dobrze iść dalej pieszo.

Naprawdę mają dotrzeć do Konii? spytał *arbadży*.

Tego nie wiem, odparł dowódca. Gdzieś tam mają dotrzeć. Chyba do Mezopotamii.

W takim razie musicie wybrać inną drogę.

Ale ja mam najpierw przyprowadzić tych ludzi do Konii, rzekł dowódca. Tam mam ich odstawić. A potem prawdopodobnie ruszą dalej.

Do Mezopotamii?



Może tam, powiedział dowódca. A może i nie tam. Niech diabli porwą tę zgraję, którą gdzieś trzeba prowadzić, chociaż dokładnie nie wiemy, gdzie to „gdzieś” leży. I dowódca żandarmów wypluł imponującym łukiem grudkę tytoniu do zucia, dając zarazem szpicrutą znak swoim podwładnym.

Wszystko odbywało się po ludzku. Nawet *zaptijeler* obecni przed kilkoma dniami przy rozstrzeliwaniu i zabijaniu mężów tych kobiet byli zdziwieni, że dowodzący oddziałem *czausz* nie rozkazał po prostu ukatrupić kobiet razem z ich potomstwem, ani nawet starych mężczyzn, o których mówiono, że w gruncie rzeczy są babami, bo prawdziwymi mężczyznami z pobudliwym kutasem przestali już być. Tak. Praktyczniej byłoby rozprawić się krótko z tymi niewiernymi, gdyż jaki sens miało pędzenie owej zgrai dalej pieszo, z całym bagażem i ukrytymi przedmiotami wartościowymi, które te pijawki wyciągnęły i zachomikowały, a które należały do narodu tureckiego i żadnego innego? Do Konii? Po co do Konii, skoro krótsza droga do Mezopotamii wiedzie przez Malatię, a potem przez Eufrat?

Gdy *zaptijeler* zaczęli spędzać ludzi z wozów rzemiennymi biczami i wyrzucać bagaże na drogę, tureccy i kurdyjscy *arbadżytar* wybuchnęli śmiechem. Ale po chwili odechciało im się śmiać.

Wszystko odbywało się po ludzku. I Allah świadkiem, że nie *zaptijeler* byli winni temu, że Ormianie posiadali tyle bagażu, więcej, niż mogli udźwignąć. Większość rzeczy pozostała na drodze, kiedy *zaptijeler* wśród przekleństw i wyzwisk zaczęli pędzić ludzi dalej, a niektórych nawet połaskotali trochę szpicrutami. Ponieważ wielu z tych Ormian, zwłaszcza bardzo starych, nie było w stanie iść dostatecznie szybko, zdarzało się również, że bicze nie tylko łaskotały, ale i uderzały trochę mocniej. Tak jednak musiało być, bo jak inaczej miano dobitnie przekazać rozkaz dalszego marszu? Także potem, gdy najstarsi i najślabi upadli i musiano ich zastrzelić, jako że nikt przecież nie mógł zostać w tyle, w każdym razie żywy, dla żandarmów stało się jasne, że w gruncie rzeczy obchodzą się z nimi po ludzku.

Był gorący czerwcowy dzień, gdy ja, bazarz, leciałem za pierwszym transportem pięciu tysięcy Ormian. Nie odczuwałem pragnienia, gdyż nie mam ciała, ale słyszałem ryki ofiar, które już wczesnym popołudniem, po kilku godzinach marszu, zaczęły domagać się wody. Im dłużej leciałem za transportem, tym bardziej rzucało mi się w oczy, jak przeredzają się szeregi ofiar. Coraz więcej ludzi starych i słabych, chorych i kalek, wyczerpanych i zrezygnowanych pozostawało w tyle i było rozstrzeliwanych przez żandarmów. Co powiedziałem: że był gorący czerwcowy dzień? Z pewnością było gorąco. Więc zmarli nie powinni zbyt długo leżeć na drodze. Ale Allah w swej mądrości i przezorności pomyślał o tym w porę. Nasłał bowiem z powietrza sępy i bezpańskie psy, które deptały transportowi po piętach. I zaraz się zjawiały, aby rozdzierać ubrania zmarłych i obgryzać mięso z kości, zanim rozpocznie się rozkład. Był bowiem wielki upał. W tym kraju to normalne. W zimie panują straszliwe chłody, lato natomiast jest gorące. A za warczącymi, prychającymi, żarłocznymi psami i skrzeczącymi, połykającymi całe kawały mięsa sępami skradał się motłoch miejski z Bekiru oraz ludzie z okolicznych wiosek. Zachowywali odstęp, gdyż nie chcieli zadzierać z żandarmami. Ale znajdowali na drodze bagaże i resztki odzieży zmarłych, przede wszystkim chusty na głowę i inne nie nadgryzione rzeczy, również buty. Także motłoch nie miał lekko, gdyż prawie wszyscy szli pieszo, a i wśród nich byli tacy, którzy poruszali się z trudem i musieli bronić się przed takimi samymi jak oni, kiedy ważyło się, komu przypadnie najlepszy łup. Musieli toczyć boje między sobą i także wśród nich byli zabici i ranni. O tak, naprawdę tak było: najubożsi z muzułmanów wyruszyli w drogę, aby odziedziczyć po Ormianach to, czego odmawiał im Allah w państwie sułtanów i skorumpowanych urzędników... przez wieki... ale spóźnili się, gdyż *zaptijeler* przetrząsnęli już bagaże i zabrali ukryte wartościowe przedmioty. Motłoch był wściekły, rozpruwał więc dalej nadgryzione i podziurawione zębami ubrania zmarłych, chcąc znaleźć złote monety, o których mówiono, że Ormianie je zaszyli. Rozrywali także buty i czasem coś znajdowali, a czasem nie.

Domy Ormian były obstawione, dopóki transporty nie opuściły miasta. Wtedy zaczęło się plądrowanie. Władze ogłosiły, że domy oraz meble i sprzęty domowe niewiernych zostaną im zwrócone po wojnie, zresztą przez jakiś czas udawały, że zamierzają wiele z tego zabezpieczyć. W rzeczywistości nie prowadzono żadnego rejestru i to, czego nie wywlóknął motłoch, zatrzymali dla siebie urzędnicy. Wszystko, co zdawało się mieć jakąkolwiek wartość, zniknęło gdzieś poza zasięgiem wzroku Komitetu.

Plądrujący byli zdezorientowani. Niektórzy twierdzili: Ormianie zakopali złoto.

Nie, protestowali inni. Zabrali je ze sobą. Musimy ruszać za nimi na gościniec. Zaszyli złoto w ubraniach i ukryli w butach.

Ale jeszcze inni mówili: Nie, Ormianie są przebiegli. Na pewno połknęli złoto. Trzeba by im rozpruć brzuchy.

Nie, nie wszyscy muzułmanie plądrowali domy. Wytworniejsi z nich byli tam już wcześniej, kiedy dobosze ciągnęli przez miasto, i każdy wiedział, czyja godzina wybiła. Wykupowali jeszcze, co się dało, za psie pieniądze. Wielu Ormian oddawało wytwornym muzułmanom niektóre rzeczy za darmo, prosząc o ich przechowanie, dopóki nie wrócą. Wśród wytwornych muzułmanów było też kilku niewiernych, których przez pomyłkę zaliczyłem do muzułmanów, gdyż ich oczy pod maską współczucia były równie zachłanne. Było wśród nich paru Greków i paru Żydów. Pewien Grek kupił pianino za śmieszoną cenę siedmiu piastrów. Żyd, który stał obok Greka i z zazdrością obserwował transakcję, spytał poprzedniego właściciela pianina, czy nie ma jeszcze jednego, bo on zapłaciłby nawet osiem piastrów, ale tamten nie miał drugiego. Grek brzdąkał na pianinie, co denerwowało Żyda, gdyż potrafił brzdąkać lepiej od Greka, bo był bardziej muzykalny. Był kiedyś czas, powiedział Żyd do Ormianina, gdy dopadło to nas, Żydów, ale ten czas dzięki Bogu już minął. I opowiedział Ormianinowi o pogromach pod panowaniem rosyjskiego cara, a także o rzeziach urządzanych przez krzyżowców i płomieniach hiszpańskiej inkwizycji.

\*

Przez kilka tygodni ja, bazarz, latałem po Anatolii, po czym wróciłem do Bekiru. Odwiązałem swój cień z katowskiego haka, tego pod Bramą Szczęśliwości, i pogłaskałem go, i wziąłem na kolana.

— Jestem bazarzem — powiedziałem. — Nazywaj mnie *meddach*. — I dodałem: — Baśnie, które opowiadam, nie są baśniami. To prawdziwe historie. — Po czym opowiedziałem swemu cieniowi, co widziałem.

— Na gościńcu było więc mnóstwo trupów? — spytał mój cień. — A ci, którzy mogli jeszcze chodzić, żyli nadal?

— Przez dwa dni — mówiłem — szli szlakiem karawanowym wiodącym do Konii. Było ich coraz mniej. Albo, formułując to inaczej: gościniec stawał się coraz bardziej kolorowy, usiany na poboczach trupami... w wielobarwnych ubraniach oraz żółtych, brązowych, czerwonych, czarnych i niebieskich butach. Nie należy także zapominać o chustkach na głowę i zasłonach martwych kobiet, często w najlepszym gatunku, i naturalnie o kapeluszach bez ronda u martwych starców oraz chroniących czaszkę nakryciach głowy małych dzieci. Zmarli sprawiali wrażenie kamieni milowych i drogowskazów, i tak też było: oddziały żandarmów i *czetów*, podążające konno za kolumną, musiały bowiem wiedzieć, którądy transport się posuwa, którądy wiedzie trasa deportacji i co to za szczególna droga.

Wiele pułków odwodowych podążało na swych anatolijskich koniach za pochodem trupów. Większość jednak czekała już w wąwozach Taurusu. Po dwóch dniach marszu, posuwając się wciąż szlakiem karawanowym, konwojujący transport *zaptijeler* wybrali krótszą drogę przez góry. A na przełęczach górskich, ale i w dolinach, czekały już oddziały *czetów*.

Tak, to prawda. *Czetowie* znani są z tego, że długo się nie namyślają i nie bawią w ceregiele. Najpierw jednak chcieli dosiąść młodych kobiet... bo jaki sens miałoby zabijanie kobiet, by potem pokrywać i przesywać coś, co nie może się

już miotać ani krzyżeć? Dlatego zabijali tylko stare kobiety. I zabijali także małe dzieci oraz starców. Z młodych kobiet natomiast zrywali odzież i rzucali je na pobrużdżoną letnią ziemię, która nie była sucha, mimo słońca i wiatru, i braku deszczu, tylko wilgotna i lepka od strachu kobiet powalanych własnymi odchodami. *Czetowie* nie przejmowali się szczykami ani kałem. Wsuwali łapy między uda kobiet i znajdowali w tym przyjemność. I pokazywali im swoje męskie chrząstki, zwieńczone czerwonymi nabrzmiętymi bulwami z odwiniętą skórą i obrzezane, z wyglądu groźne i potężne. Czasem *czetowie* pomagali sobie bagnetem, kiedy męska narośl między udami nie znajdowała lub nie mogła znaleźć otworu między drugimi udami, bo strach ofiary go zamykał. Również *zaptijeler* nabrali ochoty i ściągali spodnie mundurowe, a ponieważ nie chcieli zadzierać z *czetami*, dzielili się po bratersku między sobą tym, co tamci pozostawili.

Trudno ci będzie uwierzyć, kiedy opowiem ci o sokach żandarmów i *czetów*. Nawet starsi spośród nich stawali się na powrót młodzi. Wydawało się, że tak naprawdę dopiero krzyki i strach kobiet burzyły krew sprawców. Tak. Gorąco i wilgotno było w wąwozach Taurusu, choć żółte słońce nie zawsze się pokazywało.

Gdzie były plemiona górskich Kurdów? No cóż, nie wiem. Władze zaalarmowały je już dawno, gdyż im właśnie chciano przypisać winę za masakrę. Pojawiły się dopiero później, gdy reszta pięciotysięcznej kolumny zapuściła się głębiej na tereny kurdyjskie. Kurdowie zjawili się nagle. Mieli wolną rękę, gdyż władze obiecały im bogate łupy, o czym wiedziała także eskorta. Setkami wysypali się z górskich gniazd, na koniach i pieszo, pohukując i krzycząc. Strzelali ze swych starych karabinów w powietrze, jakby chcieli przestraszyć nie tylko ofiary, lecz także konwojentów. I ci rzeczywiście się bali. Żaden nie miał ochoty bić się z Kurdami. Kurdowie pojawiali się zawsze za dnia, przed zabraniem słońca do dużego czarnego namiotu. Dosiadali wszystkich kobiet, jakie ocalały. I jeździli na nich jak fale morza po ławicach piaskowych. Niektórzy

odciągali kobiety na bok, inni zostawiali je na ziemi i podrzynali im gardła, bo albo już nie żyły, albo wyglądały tak staro, że wstydzili się, iż spółkowali z nimi.

Kurdowie zabrali wszystkie ubrania i buty ofiar, co nie przeszkadzało eskorcie, która uznała, że ostatecznie jest lato i ofiary się nie przeziębą, gdy będą pędzone dalej nago i boso. A należało je pędzić dalej, gdyż miały być odstawione do Konii, żeby również *zaptijeler* z Konii mogli je pędzić dalej, aż do Mezopotamii. I niektórzy deportowani, jak mówiono, mieli tam nawet dotrzeć, wszak chodziło tylko o przesiedlenie. A co by to było za przesiedlenie, gdyby nikt z przesiedleńców nie dotarł do miejsca przeznaczenia?

— Po jakimś czasie — tak mówiłem ja, bajarz, nazywający siebie także *meddachem*, do cienia na mych kolanach — po jakimś czasie, moja owieczko, dowódcy żandarmów przyszło do głowy, że nadzy mogą ukrywać cenne przedmioty i złoto. Ale gdzie ofiary miałyby coś ukrywać, skoro były nagie?

— Tak więc — mówiłem dalej — *zaptijeler* przeszukali najpierw włosy ofiar, przede wszystkim grube koki kobiet. A ponieważ znaleźli bardzo mało złota, rozrywali ofiarom usta i próbowali wsadzać palce aż do żołądka, bo sądzili, że Ormianie mają żołądki po to, by ukrywać w nich złoto przed państwem. Rozpruwali też ofiarom brzuchy i grzebali w jeli-tach. Sprawdzano nawet ujścia dla ekskrementów i otwory maciczne. *Zaptijeler* i *czetowie* wsadzali do środka ręce i czasem faktycznie znajdowali złoto.

Dowódca żandarmów, w randze *czausza*, powiedział do jednego z *czetów*: Zwłaszcza ormiańskie matki mają brzydki zwyczaj ukrywania dobrego tureckiego złota, żeby kupować za nie chleb dla swoich bękartów, kiedyś, gdzieś, gdy uda im się niepostrzeżenie wysrać złoto.

Ale gdzie tu można kupić chleb, *czausz aga*? spytał *czet*. I gdzie miałyby wysrać niepostrzeżenie swoje złoto, skoro zawsze badamy każde gównno? I jaki sens ma kupowanie chleba bękartom, skoro wszystkie bękarty nie żyją?

Nie wszystkie, odparł *czausz*. Zostało jeszcze parę. *Czausz* nadal był podejrzliwy. Nie znasz Ormian, rzekł do *czeta*. Są przebiegli. Nawet ich gównu nie udzieli nam informacji o prawdziwych kryjówkach.

To prawda, przyznał *czet*. Nawet gdy są martwi, mają tajemnice.

To prawda, powtórzył *czausz*. Prawdą jest również to, że sępy i psy wiedzą więcej od nas.

Jak to rozumiesz, *czausz aga?* spytał *czet*.

Założę się z tobą, powiedział *czausz*, że sępy i psy zeżarły nie tylko brzuchy trupów, ale i wszystko, co w tych brzuchach było... także złote monety.

Naprawdę tak sądzisz, *czausz aga?*

Tak, potwierdził *czausz*.

W takim razie należałoby wystrzelać i zbadać wszystkie sępy i psy, zauważył *czet*.

Należałoby to zrobić, przytaknął *czausz*.

Długo jeszcze rozmawiałem ze swym cieniem, opowiadałem mu o setkach tysięcy, które są w drodze, o transportach z Kajseri i Muszu, Trapezuntu i Erzindżanu, i z innych miast.

— Cały naród jest w drodze — mówiłem. — Ludzie są po prostu wyprowadzani przez żandarmów. Niektórzy nie muszą wędrować daleko, gdyż rozstrzeliwuje się ich zaraz na skraju miasta albo masakruje motykami i bagnietami, inni muszą iść dalej.

— Przychodzą więc ze wszystkich kierunków?

— Ze wszystkich kierunków — potwierdziłem — choć dokładnie nie wiem, ile kierunków jest na świecie.

— A w jakim kierunku ich pędzą?

— W żadnym — odpowiedziałem. — Na tym to właśnie polega. Gdzieś drogi się urywają, cel rozplywa i jest się nigdzie.

A jednak musi być jakiś cel, gdyż przebywałem długo w przestworzach i moje oczy widzą dalej niż oczy orła. I dzięki temu widziałem, że ci, którzy przeżyli, przekroczyli Eufrat. I zataczając się pod ciosami biczów żandarmów szli

przez płaską pustynię, tak łysą jak czaszka *muchtara* Jedi Su. Wydawało się, że ta ziemia połknęła wszystko, czemu Pan Bóg pozwala rosnać, połknęła nawet góry i ukryła je pod płachtami piasku. To tam znajdowały się obozy namiotów i baraków. Nielicznych, którzy tam dotarli, stłoczono w nich i pozostawiono bez jedzenia i wody.

— Słyszałem krzyki spragnionych i głodnych — mówiłem. — I słyszałem, jak śmieje się żółte słońce, które stało ponad tą ziemią pośrodku bezchmurnego błękitnego nieba. I słyszałem, jak krzyczą. I widziałem martwe niemowlęta ssące wyschnięte piersi swoich matek.

— Martwe dzieci nie mogą przecież ssać!

— To tak tylko wyglądało — odparłem. I dodałem: — Widziałem matki, które miały obłęd w oczach. I widziałem, jak niektóre z nich pożerały własne martwe dzieci, aby zaspokoić głód, i jak piły krew, aby ugasić pragnienie.

A kiedy to wszystko opowiadałem, coś zadygotało między mną a moim cieniem, i pomyślałem: To tylko ostatnia myśl Towmy Chadisjana. Coś ją zaniepokoiło.

## 9

— Widzę *zaptije* w Bekirze... — powiedziała ostatnia myśl — *zaptije*, który wygląda inaczej niż pozostali. Jego oczy są inne.

— Ja też go widzę — potwierdziłem. — Ma oczy Ormianina i każdy Turek, który popatrzyłby mu w oczy, mógłby go rozpoznać.

— Idzie przez dzielnicę ormiańską — rzekła ostatnia myśl — obok opuszczonych domów i zamkniętych sklepów. Oczy ma w półprzymknięte, ale czasem otwiera je szeroko. Stara się iść tak, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi, powoli, jakby szedł na spacer.



— Kto nie chce zwracać uwagi swoim wyglądem, przeważnie rzuca się ludziom w oczy — stwierdziłem. — W ruchach tego dziwnego *zaptije* jest coś nienaturalnego. Nie powinien podkreślać tej niepozorności. To naprawdę rzuca się w oczy.

— Kim jest ów człowiek?

— Wkrótce zobaczymy, gdyż zbliża się właśnie do Bramy Szczęśliwości. Zaraz tu będzie.

*Zaptije* o ormiańskich oczach idzie coraz wolniej. Wygląda na zmęczonego i wydaje się, że ma ochotę gdzieś usiąść, aby odpocząć. Nigdzie jednak nie wstępuje, gdyż jest ramadan i kawiarnie zostaną otwarte dopiero wtedy, gdy strzał armatni z cytadeli przerwie post. Jeden z *kahwedżych* siedzi na poduszce przed drzwiami swego lokalu. I woła do *zaptije*: Hej, *zaptije aga!* Allah podarował mi świeże zielone ziarnka kawy, które już wypaliłem. Teraz są brązowe i pachnące i uśmiechają się w moim worku jak oczy panny młodej pod welonem. Ale jest ramadan, *zaptije aga*. Wróć, kiedy zniknie słońce, a zrobię ci kawy, która ożywia nawet zmęczonych. Ale *zaptije* uśmiecha się tylko bez słowa.

Tymczasem muezini zaczęli zwoływać wiernych do meczetów. Jest 27 lipca według kalendarza Franków. To ostatnie dni postu i jak to bywa: w ostatnich dniach ramadanu większe niż dotąd tłumy wiernych gromadzą się na wspólnej modlitwie. Okrzyki muezinów są bardziej natarczywe, mimo że powtarzają, co każdy wie: *Allahu akbar*. Bóg jest największy. Zaprawdę, nie ma Boga oprócz Allaha. Zaprawdę, Mahomet jest posłańcem Boga. Nuże, do modlitwy! Nuże, do zbawienia! *Allahu akbar. La ilaha illa'llah*. Bóg jest największy. Nie ma Boga oprócz Allaha. A ponieważ są święta, w dodatku ramadan, ja, bajarz, słyszę, że muezin kontynuuje swe monotonne zawołanie. Słyszę, jak woła: Nakarmcie, o wierni, sieroty, ubogich, wędrowców i ludzi od was zależnych przez wzgląd na Niego i mówcie: Karmimy cię przez wzgląd na Allaha i nie żądamy od ciebie podziękowań ani nic w zamian.

*Zaptije* o ormiańskich oczach dotarł do Bramy Szczęśliwości. Również pod łukami bramy panuje ścisk, lecz nie dlatego,

że władze — jak czynią to od dłuższego czasu — znów powiesiły trzech mężczyzn, a ludzie pragną napaść oczy widowiskiem, tylko dlatego, że biedacy z chat i jaskiń poza murami obronnymi zdążają do miasta na wieczorną modlitwę. *Zaptije* zatrzymuje się przed ślepym żebrakiem, który siedzi na ziemi jak posąg, z jedną ręką na kolanie i otwartą dłonią drugiej wyciągniętą nad chustą żebraczą. Długo stoi bez słowa przed ślepcem, aż ten w końcu to zauważa i obmacuje lekko jego buty, po czym również spodnie munduru, jakby chciał się upewnić, kto zacz.

To ja, odzywa się *zaptije*. Wartan Chadisjan.

Wartan Chadisjan?

Tak, potwierdza *zaptije*.

Wartan efendi, mówi ślepiec. Allahowi niech będą dzięki. Ty żyjesz.

Jest już prawie ciemno. Ja, bazarz, widzę, jak żebrak daje *zaptije* znak, i słyszę ich poszeptywanie, więc i ja szepczę coś na ucho ostatniej myśli.

— Uwważaj — mówię cicho. — Twój ojciec musi mieć się na baczności, gdyż pod Bramą Szczęśliwości są szpicle i oszuści, i ludzie, którzy denuncjują innych, i w ogóle nie jest wskazane stać tam długo, zwłaszcza kiedy ma się oczy Ormianina.

I wszyscy trzej, mój cień, ja i ostatnia myśl Towmy Chadisjana, widzimy, jak dziwny *zaptije* odwraca się plecami do żebraka i pozwala się unieść strumieniowi wiernych.

— Idzie z nimi do jednego z meczetów — wyjaśniam — bo tam o tej porze będzie się najmniej rzucał w oczy. Widzisz bowiem, moja owieczko, że twój ojciec nie jest jedynym człowiekiem w mundurze.

— To widzę — odpowiada ostatnia myśl. — Mój ojciec nie jest jedyny. Wśród wiernych jest wielu żandarmów i ludzi w mundurach.

— Przypuszczam — dodaję — że twój ojciec umówił się z żebrakiem. Na pewno spotkają się wkrótce w domu modlitwy lub na dziedzińcu, gdzie obmywają się wierni.

\*

Potem obserwujemy twojego ojca, fałszywego *zaptije*, na dziedzińcu meczetu Świętego Płaszca i widząc, jak dokonuje przepisowych ablucji, jakby przez całe życie nie robił nic innego, dochodzimy do przekonania, że nauczył się tego od Gög-Göga i Turków w Jedi Su. Wcale nie rzuca się w oczy. Także później w meczecie podczas modlitwy. Twój ojciec odklepuje z pamięci, jak inni, cowieczorną modlitwę i klęka jak inni, i krzyczy do Allaha, choć jestem pewien, że myśli przy tym o Chrystusie. I jak inni wpatruje się od czasu do czasu jak urzeczony w plecy imama, który stoi przed mihrabem i krótkimi wysokimi okrzykami wywołuje imię Allaha. Imam przyciska kciuki za płatkami uszu, rozczapierzając pozostałe cztery palce, szlocha i wzywa swego Boga, pada na kolana i składa ręce na brzuchu, później zaś na kolanach, i wygina całe ciało, a w tym czasie ogląda się często na boki, jakby w każdej chwili mógł ujrzeć świętego Chydyra lub *mahdiego*, który zdradziłby mu coś z tajemnic raju.

Po modłach twój ojciec stoi zagubiony na dziedzińcu meczetu. Paru pobożnych Turków zagaduje go, gdyż sądzą, że jest jednym z tych, co nie mają rodziny, a tego dnia nie chcą spać w koszarach, może jednym z obcych żandarmów, których tylu w mieście. Jeden z owych Turków, bardzo stary, mówi: Mój synu, w ramadan nie powinno się zostawać samemu. Mój dom jest otwarty dla każdego wiernego.

Ale twój ojciec kręci głową. Wiem, że cię obrazę, odpowiada, jeśli odrzucę twoje zaproszenie. Jestem już jednak zaproszony. I również tamtego nie mogę obrazić.

A potem... twój ojciec dostrzega nagle żebraka.

Nasze spojrzenia śledzą twojego ojca, który wkracza obok ślepeca w bekirski wieczór. Ślepiec prowadzi go za pomocą swojej laski do Bramy Szczęśliwości, a potem dalej, poza miasto, do chat i jaskiń biedoty.

Lepianka żebraka składała się z jednej tylko dużej izby bez okna. W *tonirze*, który Turcy nazywają *tandyr*, płonął wesóły ogień. W izbie znajdowało się kilka kobiet i dzieci, które

należały do rodziny żebraka i wszystkie były na jego utrzymaniu. Był także jego wnuk Ali.

Ten człowiek wrócił z królestwa zmarłych, powiedział żebrak. Jest moim gościem.

Przy każdym kęsie, jaki Turcy biorą do ust po długim dniu postu, mówią: *Bismillah*. Nie inaczej było u żebraka i jego rodziny. Także twój ojciec mówił: *Bismillah*, choć myślał przy tym o Chrystusie. Twój ojciec zajadał z apetytem, pochłaniał strawę trochę za szybko, gdyż od dawna nie miał nic w ustach. Śmakowały mu zwłaszcza mocno przyprawione przekąski. Zebrak raz po raz napełniał jego drewniany talerz. Jedną z kobiet podawała w krąg *sofry*, a twój ojciec sięgał często, biorąc bez skrępowania. Później siedzieli obok *tandyru* na ziemi, żebrak zgasił lampki oliwne i widzieli swoje twarze jedynie w blasku płomieni *tandyru*. Również ślepiec potrafił widzieć twarze, mimo że nic nie widział, lecz twemu ojcu wydawało się, że oślepte oczy widzą więcej niż wszystkie inne.

To stało się niespodziewanie, powiedział twój ojciec. Jechaliśmy pojedynczo jeden za drugim górską przełęczą. Nagle Kurdowie otworzyli ogień.

Wiedziałeś, że to byli Kurdowie?

Nie, nie wiedziałem tego.

To ja posłałem tych Kurdów, oznajmił ślepiec.

Wiem, odparł twój ojciec. Później się dowiedziałem.

Od syna szejka?

Tak, potwierdził twój ojciec. I rzekł: Wszystko odbyło się bardzo szybko. Zanim *zaptijeler* zdążyli chwycić za broń, byli już martwi. Tak, wszystko odbyło się naprawdę bardzo szybko. Potem Kurdowie zawieźli mnie do najbliższej wioski, ciągnął twój ojciec, wioski, gdzie był jeszcze jeden Ormianin, kowal, którego *zaptijeler* pozostawili przy życiu, ponieważ go potrzebowali. Kurdowie zabili także miejscowych żandarmów — było ich zaledwie kilku — a potem sprowadzili ormiańskiego kowala i kazali mu rozkuć moje kajdany.

Kajdany?

Tak.

Czy chłopci cię widzieli?

Nie, odparł twój ojciec. Był środek nocy.

A ten Ormianin? On cię przecież widział.

Ormianin mnie nie zdradzi, oświadczył twój ojciec. I powiedział: Później wędrowałem po tamtejszej okolicy. Kurdowie dali mi mundur zabitego *zaptije*. A także parę butów i czapkę. Nie dali mi tylko papierów zabitego.

To był błąd.

Owszem, przyznał twój ojciec. Ale związane to było z tym, że syn szejka nienawidzi wszystkiego, co przypomina z wyglądu papier i pieczęć. Syn szejka kazał spalić wszystkie dokumenty.

Dokumenty tych żandarmów z wioski też?

Też.

Szkoda, powiedział ślepiec.

Owszem, potwierdził twój ojciec.

Co Kurdowie zrobili z trupami?

Rozebrali je i zrzucili nagie ciała do wąwozu.

Czy to był głęboki wąwóz?

Bardzo głęboki.

A zwłoki żandarmów z wioski?

Ich zwłoki musiał zakopać Ormianin.

Ten kowal?

Tak, on.

Jak zamierzasz radzić sobie dalej bez papierów?

Jeszcze nie wiem.

Powinieneś załatwić sobie nowe papiery.

Wiem, że powinienem.

W Bekirze jest jeden Ormianin, który potrafi fałszować dokumenty, oświadczył żebrak. Nazywa się Kework Hagopian i jest artystą w swoim fachu. Wiem też, gdzie mieszka: przy ulicy Pilśniarzy, tuż za *hamamem*. Ale nie sądzę, żebyś go znalazł, bo rozstrzelano wszystkich mężczyzn, pozostawiając tylko paru rzemieślników i paru wybrańców *walego*. Kilku się także ukryło.

Może jeszcze jest, rzekł twój ojciec. Może i on znalazł się na liście rzemieślników i wybrańców?

Był drukarzem, powiedział ślepiec. A drukarze są czasem potrzebni. Może rzeczywiście jeszcze jest. I ślepiec zapytał: Byłeś w Jedi Su?

Nie, odparł twój ojciec. Jeżeli władze gdzieś mnie szukają, to pewnie tam. Podejrzewam, że czekają tam na mnie.

Nikt cię nie szuka, rzekł ślepiec.

Skąd wiesz?

Po prostu wiem, oświadczył ślepiec. I powiedział: Jesteś u nich na liście zmarłych. Już cię nie szukają.

Ogłoszono to w gazetach?

Gazety przemilczają to, co chcą przemilczeć. Za to *zaptijeler* w *hükümette* i w więzieniu lubią gadać.

Rozmawiałeś z nimi?

Tak, Wartan efendi.

I oni ci to powiedzieli?

Powiedzieli mi wiele rzeczy.

Właściwie przyszedłem do Bekiru, by wydostać z więzienia dla kobiet moją żonę, rzekł twój ojciec. Nie wiem wprawdzie, jak mam to zrobić, ale pomyślałem sobie, że może Mehmedowi efendiemu przyjdzie coś do głowy.

I przyszło mi coś do głowy, powiedział ślepiec. A mówiąc to spojrzał twojemu ojcu prosto w twarz, jakby jego zgasłe oczy naprawdę mogły widzieć napięcie w rysach tamtego i migotliwy płomień w ormiańskich oczach fałszywego *zaptije*. Wiedziałem, że twoja żona jest w więzieniu dla kobiet, rzekł Mehmed efendi. *Zaptijeler* mi powiedzieli. Zatrzymano jego żonę w charakterze zakładnika, powiedzieli.

Tak, podchwycił twój ojciec. Moją żonę i nie narodzone dziecko w jej łonie.

Nie inaczej, rzekł ślepiec.

Tak, powtórzył twój ojciec.

Ale przyszedłeś do Bekiru na próżno, rzekł ślepiec, bo dla nich wszystkich nie żyjesz. Także *müdü*r w to wierzy. A *müdü*r nie może szantażować zmarłego za pomocą zakładnika, nawet jeśli jest nim żona nieboszczyka, która nosi jego dziecko w swoim łonie.

Co masz na myśli?

Więzienia są przepelnione, mówił ślepiec, więc większość więźniów wysłano z powrotem do domów, także twoją żonę, która nie jest już potrzebna jako zakładniczka. To wygodniej-

sze dla władz, rozumiesz, bo Ormianie tak czy owak zostaną deportowani. Dlaczego więc nie miano by ich odesłać z powrotem do wiosek i miast, skąd można zabrać wszystkich, zamiast żywić ich w więzieniu na koszt państwa?

A więc mojej żony już tam nie ma?

Zwolnili ją, rzekł ślepiec. Byłem u żandarmów przed bramą więzienia dla kobiet. A ponieważ jestem tylko starym, ślepym człowiekiem, więc rozmawiali ze mną. Zwłaszcza gdy zaczął się ramadan i w żandarmach odezwało się sumienie, i nagle rozdawali jałmużnę żebrakom, przez wzgląd na miłosierdzie Allaha, wtedy rozwiązały im się też języki. I kiedy zapytałem ich o twoją żonę, powiedzieli mi.

W takim razie jest znowu w Jedi Su, rzekł twój ojciec.

A żebrak potwierdził: Tak, wróciła do Jedi Su. I jeśli dotąd nie opróżniono wioski, to i ona tam jeszcze jest.

Znasz wioskę, powiedział twój ojciec. Jest daleko stąd i leży na uboczu, i raz już ją przeoczono, gdy *hamidiler* Abdülhamida rozpoczęli wielką masakrę.

Wiem o tym, rzekł ślepiec. I jeśli taka jest wola Allaha, to znowu zostanie przeoczona. Kiedyś wrócisz do Jedi Su jako wolny człowiek i odnajdziesz żonę i syna, który wtedy będzie już może na świecie.

To piękne życzenie, odparł twój ojciec i westchnął zamykając oczy. Przez chwilę jego twarz sprawiała wrażenie szczęśliwej i tylko ja, bajarz, wiedziałem, że sam w to nie wierzy.

Tego wieczoru rozmawiali jeszcze o tym i owym, także o restauracji „Hajastan”, zamkniętej od miesiący. Twój ojciec próbował ostrożnie wybadać starca, chcąc dowiedzieć się, kto z rodziny bekirskiej jest jeszcze w mieście, lecz ślepiec, który poza tym zdawał się wiedzieć wszystko, nie mógł mu w tym względzie służyć informacją. Powiedział tylko: Jeśli niektórzy z nich są jeszcze w mieście, to się nie pokazują. Kiedyś na pewno znowu się pojawią.

Wszyscy spali na klepisku, ciasno jeden przy drugim. Twój ojciec miał koszmary senne i często się budził. W pewnej chwili zauważył, że klęczy obok niego ślepiec.

Masz złe sny, powiedział ślepiec.

Śnili mi się wisielcy pod Bramą Szczęśliwości.

Jest ich trzech.

Czy to Ormianie?

Nie. Dwaj z nich to Turcy, a jeden to kurdyjski *hamat*.

Jakie przestępstwo popełnili?

Ukrywali Ormian.

Czy to zabronione?

Oczywiście, że zabronione. Nie wiesz, że *münadiowie* w imieniu rządu ogłosili, że każdy muzułmanin ukrywający Ormianina będzie traktowany jak Ormianin?

Nie, nie wiedziałem o tym, wyznał twój ojciec. I powiedział: Śnił mi się także mój brat. Dopiero ostatniego ranka w więzieniu, na krótko przed tym, jak *zaptijeler* mnie zabrali, dowiedziałem się, że go powieszono.

Dikran, szewc?

Tak, on.

Wtedy ślepiec opowiedział mu historię o butach.

Nie wiedziałem, że to buty twojego brata, mówił. Dopiero gdy je obmacałem, wywnioskowałem, że należały do niego.

Sprzedajesz je?

Nie, odparł ślepiec. Odjąłem obcasy, ale w środku nie było złota. Także koźła skóra, z której je uszyto, była już wytarta i w ogóle w nie najlepszym stanie. A kiedyś były to podobno najpiękniejsze buty w Bekirze.

Owszem, potwierdził twój ojciec.

Przechowałem je dla ciebie, rzekł ślepiec. Rano możesz je włożyć.

Zatrzymaj je, powiedział twój ojciec.

Twój ojciec nie mógł ponownie zasnąć. Wciąż widział w ciemności twarze trzech ostatnich wisielców, którzy nie byli Ormianami, tylko dwoma Turkami i Kurdem. I późno, pośród ciszy postnej nocy, zadał sobie pytanie, czy byli to jedyni pomocnicy i czy nie ma innych Turków i Kurdów, którzy pomagają Ormianom. Z tym pytaniem zasnął.

Wczesnym rankiem — jeszcze się nie rozwidniło — obudziły go bębny *hodżów*, którzy przypominali wiernym, że pora



jeść śniadanie. Któryś z *hodżów* zastukał cztery razy laską w drzwi chaty. I twój ojciec, jeszcze zaspany i trochę oszołomiony, usłyszał błogosławieństwo *hodży* odpowiedzialnego za swoje owieczki w tej dzielnicy biedoty. *Hodża* za drzwiami wydawał się znać żebraka. Zawołał bowiem kilkakrotnie: O Mehmedzie, o Mehmedzie! To była szczęśliwa noc. Wstawaj, Mehmedzie! Czas postu jest bliski. Allah jest największy, a Mahomet jego prorokiem. Niech będzie pochwalony Ten, który stworzył świat.

10

Twój ojciec nigdy dotąd nie jadł przed świtem tak obfitego śniadania, gdyż muzułmanie jadali podczas ramadanu sute śniadanie, żeby żołądek pozostawał pełny w ciągu dnia, kiedy pościli. Tak więc jedli dużo i szybko. Albowiem gdy tylko wzeszło słońce i armata z cytadeli znów dała sygnał do postu, należało przerwać ucztę i wolno było jedynie przepłukać usta.

Zanim twój ojciec wyruszył w drogę, opowiedział ślepcowi o pytaniu, jakie sobie zadawał w środku nocy, gdy widział przed sobą w ciemności twarze trzech wisielców, trzy martwe twarze, które nigdy nie miały ormiańskich oczu.

Wielu muzułmanów pomaga teraz Ormianom, rzekł ślepiec. Tylko ich nie widać.

Widać ich na szubienicy.

Tak, tam ich widać, przyznał ślepiec.

Będzie ich więcej?

Wielu aresztowano. I wielu powieszają.

Czy są wśród nich także znani muzułmanie?

Kilku. Wyobraź sobie, że nawet pisarz *müdiira* Bekiru.

Pisarz?

Tak.

Ukrywał u siebie Ormian?

Nie. Ale niektórym załatwił fałszywe papiery.

Coś takiego jest niebezpieczne.

Ty tak mówisz, Wartan efendi.

Szkoda, że go aresztowano, powiedział twój ojciec. Papiery by mi się teraz przydały.

Po drodze twój ojciec rozmyślał o pisarzu i przypomniał sobie, że tamten wtedy, w biurze *müdüra*, czasem dziwnie patrzył na niego. Kiedy go powieszają, pomyślał, nie będzie cię już w mieście.

Twój ojciec wypytywał ostrożnie o Ormianina, który mógł mu załatwić fałszywe dokumenty. Ale zabrano go już dawno. Na bazarach dostał inne adresy, adresy fałszerzy i pośredników, którzy znali takich i podobnych ludzi, ale gdy pukał do ich drzwi, stwierdzał, że żadnego z nich już nie ma. W końcu postanowił pójść jedyną drogą, jaka mu pozostała. Udał się do konsulatu amerykańskiego.

Amerykański konsul! Drobny, niepozorny starszy człowiek. Po jego gestach i przede wszystkim sposobie, w jaki mówił, nawet mój cień poznał, że nie jest Amerykaninem z tureckiej książki z obrazkami. Także ostatnia myśl, która płasząc za swym ojcem między nami dwoma minęła przedpokój i sekretarkę i wsunęła się do biura konsula, zauważyła, że dziwny zeń Amerykanin. Ale czyż i Wartan Chadisjan nie był dziwnym Amerykaninem?

— Ten amerykański konsul jest Grekiem — powiedziałem cicho do ostatniej myśli i powiedziałem to także do swojego cienia. — Jest Grekiem, i to Grekiem ze Smyrny, który kiedyś wyemigrował do Ameryki. Mówi wieloma językami, również po turecku. A przede wszystkim wie, jak obchodzić się z władzami tureckimi.

— A co ze sprawą Chadisjana?

— Nie leży w szafie z aktami, tylko w zasięgu ręki na biurku.

— A więc konsul orientuje się?

— Oczywiście, że się orientuje. Od miesięcy próbował bezskutecznie zrobić coś w tej sprawie. Ale jak wiadomo: bezskutecznie.

— A prasa amerykańska?

— Wywąchała tę dziwną sprawę. Zresztą tygodniami pisała o sprawie Chadisjana, dopóki wydarzenia wojenne nie zepchnęły wszystkiego na dalszy plan.

— Także pamięci o sprawie Chadisjana?

— Także pamięci. Wiadomości dnia nie mają pamięci.

— A konsul? — spytała ostatnia myśl. — Znał mojego ojca?

— Spotkał go dwa razy w „Hajastanie”, gdzie był stałym gościem i miał zawsze zarezerwowany stolik. Poza tym był zaprzyjaźniony z właścicielem restauracji.

— Bratem mojego ojca?

— Tak, z Hajgazem.

Tak więc konsul wcale nie był zdziwiony, gdy ujrzał przed swoim biurkiem człowieka uznanego za zmarłego, na dodatek w mundurze tureckiego *zaptije*.

Czy ktoś pana rozpoznał, kiedy pan wchodził? spytał.

Nie, odparł twój ojciec.

Zapomniano o panu, rzekł konsul. Przestał pan istnieć.

Owszem, przyznał twój ojciec.

Także prasa światowa zapomniała o panu. Stał się pan równie nieważny jak wszyscy, którzy nie są już potrzebni.

To dobrze, powiedział twój ojciec. Nie szukają mnie już.

Możemy przetrzucić pana za granicę, rzekł konsul. Ale to nie będzie łatwe.

A moja rodzina... przede wszystkim moja żona i dziecko?

Ich nie, odparł konsul.

Mój syn jeszcze się nie urodził, powiedział twój ojciec.

Rozumiem.

Nie mogę zostawić żony i syna, oświadczył twój ojciec. Coś dla nich zrobię, choć nie wiem jeszcze co.

Tak, powiedział konsul. Mógłbym załatwić panu nowy paszport, ale potrwa to parę tygodni, bo w tej chwili nie mam paszportów. Muszę je najpierw zamówić. Wszystko wymaga czasu. Może pan tak długo czekać?

Nie, odparł twój ojciec.

Potrzebuje pan także zdjęcia.

Prawdziwego zdjęcia?

Oczywiście, że prawdziwego.

To niemożliwe, oświadczył twój ojciec. A poza tym nie mogę czekać. Muszę do mojej żony. I do syna. Zamierzamy dać mu na imię Towma.

Towma?

Towma.

Gdzie oni są?

Byli w więzieniu.

Wiem, powiedział konsul.

Teraz są znowu w domu.

A więc w wiosce... jakże ona się nazywa?

Jedi Su.

Jedi Su... Wioska Siedmiu Wód?

Albo Siedmiu Studni, uzupełnił twój ojciec.

Konsul spróbował się uśmiechnąć. Jeśli wioska nie została dotąd wysiedlona, rzekł, to może ma pan szansę zobaczyć oboje jeszcze żywych... swoją żonę i syna.

Zamierzamy dać mu na imię Towma, powtórzył twój ojciec.

Tak, wiem, powiedział konsul.

Wioska nie leży bezpośrednio przy szlaku karawanowym, wyjaśnił twój ojciec. Raz już ją przeoczono, wtedy, podczas wielkiej masakry za Abdülhamida.

I sądzi pan, że może przeoczą ją znowu?

Nie wiem, co mam sądzić, rzekł twój ojciec.

A więc dobrze, powiedział konsul. Chce pan wrócić do wioski. Niech pan mnie jednak posłucha. Wie pan chyba, co się stało w mieście Wan?

Powstanie?

To nie było powstanie, oznajmił konsul. Ormianie nie chcieli po prostu pozwolić na rozstrzeliwanie mężczyzn i deportację swoich rodzin. Bronili się i przez jakiś czas udało im się nawet utrzymać swoją dzielnicę. Byli naturalnie otoczeni ze wszystkich stron. Potem jednak, w maju tego roku, przyszli Rosjanie. A z Rosjanami bataliony ormiańskich ochotników. One nawet były pierwsze.

Miasto zostało więc wyzwolone?

Owszem, potwierdził konsul, w połowie maja. Potem jednak Turcy przeprowadzili kontruderzenie i odbili Wan.

Większość Ormian uciekła z Rosjanami, a tych nielicznych, którzy zostali, wyrznięto.

Wan, powiedział twój ojciec.

Wan, powtórzył konsul.

A co z Wanem?

Właśnie Rosjanie ponownie zajęli miasto. Ale nie tylko to chciałem panu powiedzieć. Rosjanie są teraz w natarciu. Ma to być wielka ofensywa. Jeśli moje obliczenia się sprawdzą, wczesną jesienią ich armie przetoczą się przez całą tutejszą okolicę.

Czy znaczy to, że Rosjanie mogą zająć Bekir?

Owszem, potwierdził konsul. I konsul rzekł: Coś panu zaproponuję. Niech pan zabierze żonę i syna, zanim *zaptijeler* zabiją wszystkich mężczyzn w wiosce i zanim wywiozą kobiety, starców i dzieci. Musi się pan jednak pośpieszyć. Niech pan sprowadzi swoją żonę i nie narodzonego syna do naszego konsulatu. Pan sam też może tutaj zostać. Nikt nie może pana tutaj aresztować ani stąd wywieźć. Nikt nie ośmieli się pana ruszyć. Ten konsulat jest bowiem pod ochroną dyplomatyczną, to terytorium Stanów Zjednoczonych.

A co mielibyśmy tutaj robić?

Czekać, aż przyjdą Rosjanie.

Aż przyjdą Rosjanie?

Tak.

A potem?

Potem przewieziemy pana, pańską żonę i syna do jednego z wyzwolonych portów czarnomorskich, może do Trapezuntu, skąd do tego czasu Turcy zostaną wyparci, albo zawieziemy was dalej, do starych portów rosyjskich. A stamtąd na amerykański statek.

Dobrze, zgodził się twój ojciec.

A konsul pokiwał głową i rzekł: Tak. Ale musi się pan pośpieszyć. Załatwię panu szybkiego konia, parę koców i prowiant. Pośpiesz się pan?

Tak, zapewnił twój ojciec.

Mimo to posiedzieli jeszcze chwilę razem, gdyż konsul chciał wyjść dopiero wtedy, gdy się ściemni, aby przyprowa-

dzić konia i przynieść koce oraz prowiant. Nie chciał także, żeby twój ojciec wychodził na ulicę przed zapadnięciem ciemności.

Morgenthau robił wszystko, co w jego mocy, żeby przemówić do sumienia Enwera Paszy, rzekł konsul. A Morgenthau jest tutaj głosem Ameryki.

Słyszałem o nim, przyznał twój ojciec.

Także pewien niemiecki proboszcz o nazwisku Lepsius rozmawiał z Enwerem i wstawiał się za Ormianami.

Lepsius?

Owszem, potwierdził konsul. Ten Lepsius to teutoński święty. Niemiecki konsul w Bekirze powiedział mi, że to prawdziwy głos Niemców.

A co z głosem cesarza?

To inny głos Niemców, wyjaśnił konsul. I rzekł: Tylko Niemcy mogą jeszcze pomóc wam, Ormianom. Są najważniejszymi sojusznikami Turków. Jedna poważna groźba ze strony cesarza pod adresem Komitetu wystarczyłaby, żeby powstrzymać rzezie. Ale cesarz milczy. I niemiecka prasa też milczy.

A więc strona niemiecka nie podejmuje żadnych starań?

To niezupełnie tak, odparł konsul. Są ludzie tacy jak Lepsius. Również konsulaty niemieckie i cesarskie ambasady bombardują raportami ministerstwo w Berlinie... raportami o rzeziach. Są petycje do Komitetu Jedności i Postępu oraz ciche upomnienia w imieniu cesarza i wysokich rangą wojskowych. W Komitecie śmieją się z tego. Władze w Konstantynopolu orientują się bowiem, że Niemcy nie zaryzykują żadnych drastycznych kroków i postanowili nie wtrącać się bezpośrednio w wewnętrzne sprawy Turcji.

A więc żadnej konkretnej pomocy od niemieckiego cesarza?

Żadnej, potwierdził konsul. I powiedział: Ci Niemcy to dziwny naród. Choć cywilizowani, czasem wydaje się, że sumienie ich poetów i myślicieli schowało się za monoklami generałów, aby zniknąć kiedyś w cholewkach żołnierskich butów. I tam jest potem beztrosko rozdeptywane.

Żadnej pomocy z ich strony? spytał twój ojciec.

Żadnej, powtórzył konsul. I mówił dalej: Rząd amerykański dał Turkom do zrozumienia, że kontynuowanie rzezi nie pozostanie bez konsekwencji, mam na myśli kwestię neutralności naszego kraju. Turcy wiedzą, że wieści o masakrze trafiły już na pierwsze strony amerykańskich gazet i usunęły w cień nawet relacje z wojny. Wiedzą też, że prezydent Wilson jest oburzony i że nasi wojskowi naciskają na niego, żeby wszczął konkretne kroki w celu pohamowania Turków. Ale proszę mi wierzyć: wszystko to niewiele dało. Dla Komitetu eksterminacja Ormian zdaje się mieć absolutne pierwszeństwo. Czasem odnosi się wrażenie, że jest ona tam ważniejsza niż wydarzenia na frontach, neutralność Ameryki i przebieg wojny.

Nie można tego pojąć, powiedział twój ojciec.

Nikt nie może tego pojąć, rzekł konsul.

Konsul dodał jeszcze: Raporty o masakrach leżą na moim biurku.

W ostatnim raporcie, mówił konsul, wspomina się o dwudziestu pięciu tysiącach Ormian zabitych w wąwozie Kemach. To nad Eufratem. Dwadzieścia pięć tysięcy! To liczby i nie wiemy, czy się zgadzają. Masakry dopuścili się ponoć głównie Kurdowie. Ale przyłożyli do tego rękę także *zaptijeler* i *czetowie*. Oraz jak piszą: jednostki kawalerii regularnej armii tureckiej. W moim raporcie napisane jest, że małe dzieci wrzucano po prostu do Eufratu. A kobiety skakały za nimi. Wiele kobiet wrzucało też dzieci do wody własnoręcznie, bo bały się, że Kurdowie najpierw rozprują im brzuchy. Podobno w Eufracie pływa tyle trupów, że pułki tureckiej kawalerii w drodze na front południowy nie są w stanie przejechać przez rzekę, ponieważ konie się płoszą, a żołnierze rzygają. W moim raporcie stoi, że Eufrat i jego dopływy są czerwone jak potoki krwi w rzeźniach większych miast. Widział pan kiedyś taką rzeźnię?

Takiej dużej nie widziałem, odparł twój ojciec. U nas we wsi zabijano zwierzęta pojedynczo. I przeważnie za domem.

— Tak było — powiedziałem ja, bazarz. — Konsul postarał się o szybkiego wierzchowca, a także o koce, pro-

wiant i bukłaki napełnione winem i wodą, tabletki chininy oraz inne rzeczy potrzebne zwykle w podróży. Tym sposobem twój ojciec opuścił miasto po zapadnięciu ciemności dobrze zaopatrzonego na drogę. Właściwie miał wszystko, czego potrzebuje *zaptije*. Brakowało mu tylko karabinu i ważnych dokumentów.

Twój ojciec wiedział, że ktoś, kto wybiera się w góry bez karabinu, zwraca na siebie uwagę. Także to, że jedzie w pojedynkę, musiało się rzucać w oczy, bo *zaptijeler* rzadko wypuszczali się sami i nawet *zaptije* z Jedi Su nie wytykał nosa ze wsi, jeśli nie towarzyszyli mu *zaptijeler* z sąsiednich wiosek. Twój ojciec był jednak ostrożny. Konsul zaopatrzył go w parę szmat i stary worek po mące, a także w duży nóż, aby miał czym pociąć worek. Tak więc twój ojciec pociął stary worek i owinał kopyta konia. Jechał przez całą noc. W ciągu dnia spał w niedostępnych wąwozach. Twój ojciec robił tak samo jak niegdyś ormiańscy fedaini, legendarni bojownicy o wolność, których Kurdowie bali się bardziej niż *dasznaków*. Na przełomie wieków wiele o nich mówiono, o owych fedainach, którzy własnymi ścieżkami przekraczali perską granicę, by zemścić się na kurdyjskich rozbójnikach, a pojawiali się zawsze wtedy, gdy Kurdowie znów napadli na jakąś wioskę, rozstrzelali mężczyzn, a kobiety uprowadzili. Także fedaini jeździli tylko nocą, a w dzień spali w sobie tylko wiadomych kryjówkach. I tak samo znikali zawsze niepostrzeżenie w górach.

Twój ojciec nie posuwał się do przodu tak szybko, jak zamierzał. Na zawrotnych wysokościach górskie ścieżki między łysymi skałami wiły się przez kurdyjskie terytorium. Koń potykał się często i parskał ze strachu na skraju czarnych jak noc przepaści. Twój ojciec trzymał mocno cugle i przemawiał do zwierzęcia: cicho, uspokajająco i łagodnie. Podróż trwała dwa dni i dwie noce. Konsul dał twemu ojcu papierosy, ale twój ojciec nie odważył się zapalić z obawy, że Kurdowie mogliby to zauważyć. W ciągu dnia spał niespokojnie, przeważnie tylko drzemał. A potem jechał przez całą długą noc.

Pod koniec drugiej nocy znalazł się już w niewielkiej odległości od wioski. Ponieważ był niecierpliwy, a poza tym obawiał się, że rodzinie mogło się coś przytrafić, przynaglał



konia do pośpiechu w nadziei, że dotrze do wioski przed świtem. Dzień był jednak szybszy od konia potykającego się na kamienistej krętej ścieżce. Po drugiej stronie wioski już świtało, dokoła wraz z całą przyrodą budziły się ptaki wydając pierwsze wabiące okrzyki, a uwolnione z więzów, zaspane słońce wystawiało czerwoną jak ogień głowę ponad horyzont. Twój ojciec nie zwracał jednak na to uwagi. A gdy kuliste, promienne słońce weszło wreszcie za Wioską Siedmiu Studni, zaczął ścigać się z nowym dniem. Całkiem zapomniał o ostrożności, gdyż miał wrażenie, że przyzywa go brzemien-na żona. Także nie narodzony syn zdawał się go wzywać. Jechał pełen strachu i niepokoju, a ponieważ oślepiało go jaskrawe słońce, nie widział chmur dymu snujących się za ostatnimi wzgórzami przed Jedi Su ani licznych żandarmów i *czetów*, którzy czekali na niego przy wjeździe do wioski.

*Czetowie* wiedzieli, że żaden *zaptije* nie wybrałby się nigdy przez góry bez karabinu. Ten zaś, który nadjeżdżał na zmęczonym, spoconym koniu, strzelby nie miał. Zauważyli to również *zaptijeler* stojący wraz z *czetami* przy wjeździe do wioski, mimo że nie zwykli się nad czymkolwiek zastanawiać. *Czetowie* natomiast rozpoznali twego ojca przede wszystkim po oczach, gdyż ormiańskie oczy opowiadają zupełnie inne historie niż oczy Turków. *Czetowie* byli specjalistami w rozpoznawaniu ofiar, na które ich nasłano.

Wszystko, co nastąpiło potem, rozegrało się w ciągu paru minut pod milczącym niebem, które tego ranka było bezchmurne. *Czetowie* schwytali twój ojca i ściągnęli mu spodnie. I wybuchnęli śmiechem, gdy zobaczyli, że jest nieobrzezany. Złapali go za członek, a jeden z nich wyciągnął nóż, żeby go obciąć. Nie zdążył jednak, gdyż któryś ze stojących obok żandarmów już dawno złożył się do strzału. I jego kula przeszła twemu ojcu głowę. Inni też wystrzelili, po czym *czetowie* rzucili się na niego z nożami.

Kiedy Kurdyjka Bülbül, która była już bardzo stara, ale jeszcze całkiem żwawa, wjechała późnym popołudniem do wioski na swym bezimiennym ośle, to, co ujrzała, było tak straszne, że zwymiotowała ormiańską herbatę, aromatyczną i pachnącą, jak również *lawasz*, ormiański chleb, który poląła syropem morwowym, czyli wszystko to, co nazywa się w tym kraju dobrym śniadaniem. Zawartość starego żołądka trysnęła po prostu na kark bezimiennego osła. Ze strachu i przerażenia Bülbül zeszczalała się także na oślą derkę, na której siedziała. Przez jakiś czas wśród porąbanych zwłok, z których wiele było bez głów, szukała przyjaciół i znajomych, lecz w końcu zrezygnowała i podjechała do chaty na skraju wsi, gdzie mieszkała jedyna rodzina turecka, której na pewno — jak sądziła — nie zabito. Tak też było, ale Turcy siedzieli za zamkniętymi drzwiami i oknami, a choć stukąła uparcie, nikt nie otworzył. Potem odkryła wiejskiego policjanta Jüksela efendiego, który pełnił służbę w Jedi Su od 1902 roku, a więc od czasu, kiedy dziobaty *zaptije* Szekir efendi przeszedł w stan spoczynku. *Zaptije* Jüksel efendi pewnie się gdzieś ukrywał, a teraz, gdy zagrożenie minęło, pojawił się znowu i nagle stanął obok niej.

Hej, Jüksel efendi, powiedziała Bülbül. Kiedy to wszystko się stało?

Wczoraj po południu, odrzekł *zaptije*.

A dlaczego spalili też ormiański kościół?

Bo zamknęli tam kobiety i dzieci.

Byłeś przy tym?

Byłem przy tym, Bülbül. Ale nie brałem w tym udziału. Co miałem zrobić? Oni by mnie zabili, gdybym coś powiedział. Potem się ukryłem.

A kto to wszystko zrobił?

Obcy *zaptijeler*. I *czetowie*. *Zaptije* Jüksel efendi wskazał spalony kościół, a następnie górską ścieżkę przy wjeździe do wioski. Tam leży jeszcze jeden. To Wartan Chadisjan. Wrócił dziś z samego rana. Jego też zabili.

Wartana Chadisjana?

Tak.

I on tam leży?

Tak. Tam wyżej.

Wartan Chadisjan był nagi. I krwawił z wielu ran. Ale nie był martwy. Gdy Bülbül zobaczyła, że nie jest martwy, nagle zaczęło jej się śpieszyć.

— Wiesz, moja owieczko — mówię ja, bazarz, do ostatniej myśli. — Nikt nie wie, dlaczego Pan Bóg odwleka czasem śmierć jakiegoś człowieka, odsuwa ją, że tak powiem, na późniejszy moment.

— Nie wiesz tego, *meddach*?

— Nie.

— Czy Bóg nie mógłby przepędzić śmierci raz na zawsze?

— Nie może tego zrobić. Śmierć jest sprytniejsza od Boga i zawsze wraca okrężnymi drogami.

— A więc tylko opóźnienie?

— Tak.

— A dlaczego Pan Bóg nie chciał, żeby mój ojciec umarł tam, na górskiej ścieżce?

— Tego nie wiem, moja owieczko. Może ma jeszcze względem niego jakieś plany. Mogłoby tak być.

— Tak. Masz rację. Faktycznie mogłoby tak być.

— Tak — mówię ja, bazarz. — A nawet musi tak być. Jak bowiem miałoby być inaczej? Z pewnością Pan Bóg ma jeszcze względem niego jakieś plany. Ale nie powinniśmy łamać sobie nad tym głowy. Nie powinniśmy też pytać, czy to był cud czy tylko przypadek. Faktem było, że twój ojciec żył... mimo wszystko. I faktem było również, że Bülbül nagle zaczęło się śpieszyć, i także *zaptije* zaczęło się śpieszyć, gdyż pomoc musiała być udzielona jak najprędzej.

Obcy *zaptijeler* i *czetowie* odeszli. Gdy Bülbül z *zaptije* Jükselem efendim oraz ciężko rannym dotarła do wioski w dole, wystraszeni Turcy otworzyli akurat drzwi domu,

wyciągnęli łopaty i zabierali się do grzebania zmarłych. Patriarcha Sulejman, którego Ormianie nazywali dawniej Taszak — z powodu jego przepukliny lub dużego dyndającego worka między udami — stał przed drzwiami i wydawał polecenia. Kiedy starzec ujrzał bezimiennego osła z ciężko rannym oraz pomarszczoną Bülbül, która prowadziła osła za sznurek, a także *zaptije* Jüksela efendiego, przytrzymującego nieruchome ciało na oślim grzbiecie — jakby zapomniał o zwłokach na ulicach wioski, chwycił laskę i pokuśtykał im naprzeciw.

To Wartan Chadisjan, powiedziała do niego Bülbül.

I także *zaptije* Jüksel efendi rzekł: To naprawdę on. Wartan Chadisjan!

Wnieśli twojego ojca do domu tureckiej rodziny.

On umrze, stwierdziła żona patriarchy.

On nie umrze, powiedziała Bülbül.

Ale pilnie potrzebuje lekarza.

Przede wszystkim potrzebuje siły, oświadczyła Bülbül. I potrzebuje też pomocy tego dziwnego świętego, w którego wierzy... tego, który umarł na krzyżu, bo za dużo wiedział i nie chciał milczeć... tego, o którym kapłan Kapriel Hamadian powiedział kiedyś, że jest wcielonym synem Allaha.

I czego jeszcze potrzebuje? spytała żona patriarchy.

Dobrego trawienia, odparła Bülbül, paru tęgich beknięć i głośnego pierdnięcia, żebym wiedziała, że siły żywotne jeszcze go nie odstępowały. O wszystko inne, czego będzie potrzebował, zadbam już sama.

Co zamierzasz zrobić, Bülbül?

Wszystko co trzeba, rzekła Bülbül. On nie jest pierwszy, niejednemu już wyciągałam kule z kości. A rany klute też umiem opatrywać. Muszę tylko pojechać po zioła. Mam je na górze w chacie.

— Widzisz, jak ciemno jest w chacie starego Taszaka — mówię ja, bajarz, do ostatniej myśli — bo wciąż jeszcze nie wybito otworów okiennych. Panuje także duży hałas i ścisk. Mimo to w domu mieszkają teraz tylko żony i dzieci najmłod-

szych synów. Wszyscy pozostali dawno się wyprowadzili, kilku mężczyzn jest na wojnie, również Gög-Gög, przyjaciel twego ojca z dzieciństwa, Gög-Gög, który nazywał się tak, jak zwykł zwoływać karmione przez siebie kury.

Jak to się mówi: odkarmili twój ojca. Kiedy ten po raz pierwszy otworzył znowu oczy, zmarli na ulicach wioski byli już dawno pochowani, chmury dymu rozproszyły się, a żarzące się popioły zgasły.

Otworzył oczy, zauważył *zaptije* Jüksel efendi, który zaglądał do twego ojca po kilka razy na dzień. Hej, Bülbül, naprawdę je otworzył. Allah mi świadkiem. Bülbül jednak nie odpowiedziała, bo zdrzemnęła się obok posłania twego ojca.

Powietrze jest czyste, *efendi*, zagadnął z kolei twego ojca. Jest naprawdę czyste, bo ci obcy *zaptijeler* i *czetowie* byli bardziej nieczyszcami niż najgorsi świniożercy. Po czym *zaptije* przełknął ślinę, beknął i pierdnął, jakby sam zjadł coś nieczystego.

Spalili kościół tylko dlatego, powiedział potem do twego ojca, że myśleli, iż kobiety i dzieci będą się w kościele palić lepiej niż na stosie w otwartym polu. Na polu mógłby padać deszcz, a wtedy nie paliłyby się tak dobrze.

Jakie kobiety i dzieci? spytał twój ojciec.

No, po prostu kobiety i dzieci, odparł *zaptije* Jüksel efendi. Zamknęli je w kościele.

W jakim kościele? spytał twój ojciec.

W waszym kościele, odpowiedział *zaptije*. Nie pamiętasz już kościoła? *Zaptije* ze zdziwieniem pokręcił głową.

Nie wszystkie kobiety i dzieci spłonęły, dodał po chwili. Bo podłożyli ogień w nocy. I wtedy kilku kobietom i dzieciom udało się niepostrzeżenie wyskoczyć przez okno, mimo że w tym kościele nie ma przecież okien.

Jak to możliwe, *efendi*?

No cóż, kościół miał swego rodzaju szyb wentylacyjny. Przypuszczam, że mniejsze dzieci i szczupłe kobiety mogły się tamtędy przecisnąć.

I uciekły?

Tak. Noce są ciemne, góry też są w nocy ciemne, mimo że ogień płonął jasno. Po prostu uciekły w góry.

Twój ojciec nie pytał o swoją rodzinę, nie pytał także o żonę ani o nie narodzonego syna, gdyż nie mógł sobie niczego przypomnieć. *Zaptije* gadał jeszcze do niego przez chwilę. Mówił o cudach Allaha, które mogą sprawić, że czasem nawet brzemiennie kobiety potrafią się przecisnąć przez wąski szyb wentylacyjny, a duży, nabrzmiały brzuch wcale im nie przeszkadza, jeśli taka jest wola Allaha. Również Bülbül mówiła podobne rzeczy. Potem twój ojciec zasnął i niczego już nie słyszał ani nie widział.

Stracił pamięć, oświadczyła Bülbül. Wszystko zapomniał. Nic już nie wie.

Ale on jest przecież poetą, odparł *zaptije* Jüksel efendi. Czy jego kapłan, Kapriel Hamadian, nie powiedział kiedyś do nas: Poeci są naszą pamięcią?

Owszem, kapłan tak powiedział.

A więc on nie mógł utracić swojej pamięci.

Nie wiem, wyznała Bülbül.

No cóż... nieźle mu dali po głowie, rzekł *zaptije*. A kule, które wyciągnęłaś, też nie były z krowiego łajna.

Nie były z krowiego łajna, potwierdziła Bülbül.

Od czasu do czasu zaglądał do chaty któryś z żandarmów z siedmiu wiosek. Nie brali oni udziału w masakrach, gdyż od lat pełnili służbę w wioskach ormiańskiego *milletu* i byli do Ormian przyjaźnie usposobieni. A ponieważ w siedmiu wioskach nie było już Ormian, więc się nudzili. Jeden z nich powiedział do Bülbül: Wkrótce przyjadą *muhadzirler* i będą przejmować domy Ormian. Tym razem są to prawdopodobnie emigranci ze wschodnich terenów przygranicznych, którzy uciekli z naszymi wojskami. Dawniej *muhadzirler* pochodzili z Macedonii i innych krajów, których nie znam. Rząd ich popiera, bo to muzułmanie jak my. A potem *zaptije* dodał jeszcze: Moja wioska jest martwa jak Ormianie, którzy w niej kiedyś mieszkali. *Dżinny* mówią do mnie nawet w dzień. Ale *dżinnów* nie widać. Jestem jedynym człowiekiem w mojej wsi i nudzę się.

Tak, powiedziała Bülbül. Mogę to zrozumieć.

Kiedy przyjadą *muhadzirler*, nie będzie tak nudno.

Owszem, przyznała Bülbül.

Niedobrze być jedynym człowiekiem we wsi, rzekł *zaptije*.

Niedobrze, powtórzyła Bülbül. I spytała: A co robisz przez cały dzień jako jedyny człowiek w martwej wiosce?

Czekam na koniec nudy, odparł *zaptije*.

Sądysz, że *muhadzirler* umieją grać w karty i w *tawłę* jak Ormianie w kawiarni, z którymi często grywałeś?

Nie wiem, odrzekł *zaptije*. Nie wiem też, czy będą mi dawać zwyczajowy bakszysz, który Ormianie zawsze mi dawali.

Ja tego także nie wiem, powiedziała Bülbül.

Dobrze się żyło z Ormianami, stwierdził *zaptije*. Ci ludzie wiedzieli, co to bakszysz, wiedzieli też, co wypada.

A gdy po jakimś czasie któryś z żandarmów, tych, co byli przyjaźnie usposobieni do Ormian, zajrzał znowu do wioski, powiedział do Bülbül: Podobno *muhadzirler* przyjadą w tym tygodniu. Przyjadą z wszystkimi manatkami. I ze swoimi kobietami i dziećmi, i z rodzicami, dziadkami i rodzicami dziadków, i lichy wie z kim jeszcze. A razem z nimi zjawi się ninóstwo obcych żandarmów, którzy będą ich konwojować, a potem przydzielą im domy Ormian. Jeśli obcy *zaptijeler* zobaczą rannego i odkryją, że jest Ormianinem, to go zabijają. I zabijają także ciebie i Turków, którzy go pielęgnują i ukrywają. Bo jest to zabronione.

Co mamy zrobić? spytała Bülbül.

Powinnaś go stąd zabrać, odparł *zaptije*.

Najlepiej do mojej chaty, powiedziała Bülbül, która знаła *zaptije* z dawnych czasów. Co o tym sądzisz? Te leniwe psy nie zapuszczają się chyba tak daleko w góry?

Tak daleko na pewno się nie zapuszczają, przyznał *zaptije*.

Tak więc Bülbül przy pomocy Taszaka przywiązała twego ojca do grzbietu bezimiennego osła. Żona Taszaka dała jej jeszcze worek prowiantu i parę koców dla twojego ojca. Do chaty Bülbül prowadziła kamienista droga, niebezpieczna i wąska, ponieważ wiodła ponad Diabelskim Wąwozem, z którego nie było powrotu, gdyby ktoś spadł. Bülbül jednak

nie przejmowała się tym, podobnie jak bezimienny osioł, który znał drogę. Osioł ten wyglądał dokładnie tak samo jak jego poprzednik, który należał do niej, kiedy na świat przyszedł twój ojciec. A że był też równie mądry jak tamten, stanowił żywy dowód na to, iż mądrość osła nie jest wyjątkiem.

Gdy wyruszyli w drogę, rozproszone światło słoneczne skakało ponad wąwozami, tańczyło przed wędrowcami, kusząc bogactwem barw niczym błędne ogniki. Na skałach Diabelskiego Wąwozu rozbijały się chmury i *dzinny* gwizdały z wiatrem na wyścigi. Osioł stąpał powoli. A Bülbül za nim. Szła kołyszącym się krokiem, jak zawsze, na krzywych nogach, ze zgarbionym grzbietem, ściskając długi kij w starej dłoni. Czasem, kiedy się potknęła, przytrzymywała się drugą ręką oślego ogona. Bülbül klęła cicho do siebie przez całą drogę, a ponieważ nie mógł tego słyszeć Komitet w Konstantynopolu, posyłała do piekła wszystkich, Enwera, Talaata i Dzemala, cały triumwirat. Jak również nowego sułtana, który był tylko marionetką w rękach Komitetu. Przeklinała obcych żandarmów i oddziały bojowe *czetów*, a także zbójceckich Kurdów, którzy wprowadzili nie w Jedi Su, ale za to w sąsiednich wioskach uczestniczyli w rzezi. Przeklinała niemieckiego cesarza i jego pomocników. I przeklinała dobo-szy i wszelkich heroldów, którzy obwieszczali coś, co nie mogło być głoszone w imieniu Allaha. Przy grocie, znajdującej się już niedaleko chaty i nazywanej z dawien dawna Kurdyjską Grotą, osioł z przyzwyczajenia się zatrzymał. Od-tąd ścieżka wiała się pod górę, ku chmurom i niebu, jeszcze bardziej stromo.

Gdzieś tutaj jest góra Ararat, powiedziała Bülbül do twego ojca, wskazując przy tym pomarszczonymi dłońmi w nie-określonym kierunku. Gdzieś tutaj, mój synu, jest wasza święta góra. Powiadają, że oczy orła mogłyby ją dostrzec z tego miejsca. Uśmiechała się przez chwilę do siebie, po czym dała osłu mocnego kopniaka i uszczypnęła go w podogonie. A gdy osioł sapiąc zaczął się znowu wspinać, dorzuciła: Naprawdę już niedaleko do chaty, mój synu. Bywałeś tutaj



często już wtedy, gdy byłeś mały. Pamiętasz: huśtałam cię na kolanach i bawiłeś się moimi cyckami.

Ale twój ojciec nie potrafił sobie niczego przypomnieć.

Kiedy bezimienny osioł sapiąc zatrzymał się w końcu przed wejściem do chaty, Bülbül zauważyła, że twój ojciec stracił przytomność. Jego głowa dyndała jak nieżywa przy spoconym boku zwierzęcia, oczy były zamknięte, usta szeroko otwarte. Należało się tego spodziewać, rzekła Bülbül do osła. To nic. Później go ocucę. Splunęła i otarła usta, po czym pogłaskała osła, którego przedtem szczypała i kopała. Szkoda tylko, powiedziała do osła, że nie widzi chaty, bo może to ożywiłoby jego pamięć.

Ściągnęła nieprzytomnego z osła i zakłęta, bo ciało uderzyło twardo o ziemię, po czym, dalej przeklinając, przeciągnęła je przez próg. Następnie przygotowała choremu miękkie posłanie i mimo letniego upału przykryła go grubymi skórami owczymi i kocami, które dał jej Taszak, ponieważ wierzyła, że gorączka ani straszące w gorączce *dżinny* nie mogą mu zaszkodzić, jeśli będzie porządnie przykryty.

Kiedy twój ojciec obudził się wczesnym popołudniem, usłyszał gwar głosów, a gdy otworzył oczy i rozejrzał się, wpadł w popłoch. Dookoła *toniru* siedzieli trzej tureccy żołnierze i gadali z Bülbül. Ich mundury były tak powalane błotem, jakby wyleźli właśnie z rowu. Ale Bülbül podeszła do jego posłania i zaczęła go uspokajać.

Ich nie musisz się bać, powiedziała. To Ormianie. Byli żołnierzami w armii tureckiej. Na wiosnę zostali straceni.

Dlaczego więc żyją? wyszeptał twój przerażony ojciec.

Dlatego, że Turcy są kiepskimi strzelcami, wyjaśniła Bülbül. Zwłaszcza gdy chcą wystrzelać zbyt wielu naraz. Ci trzej wygrzebali się z masowej mogiły i dowlekli aż tutaj, żebym ich połatała.

Bülbül roześmiała się i zapaliła *czubuk*. Mieszkają w górach, dodała, ale czasem tu jeszcze zaglądają.

\*

Mężczyźni nie przejmowali się chorem. Pili wódkę z bukłaków, pochrząkiwali przy każdym łyku, ściszyli głosy, jakby mieli do omówienia coś ważnego, puścili w krąg fajkę wodną, w końcu wstali i wyszli z chaty, nie pozostawiając w izbie nic oprócz własnego odoru i dymu tytoniowego.

Po ich odejściu Bülbül podrzuciła do ognia świeżego *tezeku*. Stała przed otwartym paleniskiem, zajęta prażeniem pestek dyni w usmolonej, powyginanej patelni. W szerokich szarawarach, szarej narzutce z płótna workowego oraz barwnym przekrzywionym pasie na brzuchu przypominała strachy na wróble z Jedi Su, o których zabobonni chłopi mawiali, że w złych czasach budzą się do życia. Stała nieco zgarbiona, pochylona nad patelnią, wciągając zapach w nozdrza. Twarz miała lekko zaróżowioną od odblasku płomieni; pod czarną chustką na głowie wydawała się zapadła i tak pomarszczona jak ormiańska ziemia latem w porze bezdeszczowej.

Twój ojciec leżał cicho na podłodze, w odległości kilku kroków od starej. Jego oczy dawno przywykły do półmroku i dymu tytoniowego, a w krótkim czasie nauczyły się rozróżniać poszczególne przedmioty wewnątrz chaty: brudne słomiane maty na klepisku, zamiast kanapy jedynie parę dużych okrągłych poduszek, z których wyglądały kurze pióra, kredens zbity z surowych desek, dwie poduszki do siedzenia przykryte kozimi skórą, spiżarnia bez drzwi, z półkami z gałęzi topoli, na których leżały rozmaite szmaty, jak również liście tytoniu i żywność; na ścianach wisiały mosiężne garnki i gliniane dzbany, kosze wiklinowe, kilimy oraz uprząż osła. Zauważył także małą lampkę oliwną na klepisku przy *tonirze*, a obok żarzącą się jeszcze fajkę wodną, której długi szlauch wyciągał się jak wąż w stronę ognia *toniru*.

Od czasu do czasu jego spojrzenie wędrowało ku otwartemu wejściu, za którym majaczyły zarysy gór... czarnoszare kreski we mgle obłoków. Na zewnątrz, przed chatą, biegały kury, uwijając się w skąpej trawie. Duży nakrapiany kogut siedział niemo na kole przewróconego wozu drabiniastego. Leżący zauważył również dwie czarne kozy pasące się spokojnie przy wejściu do chaty, podobnie jak bezimienny osioł, którego Bülbül nie uwiązała.

Zanim mężczyźni wyszli, Bülbül powiedziała: Znałam kiedyś koguta, który nazywał się Abdülhamid. Należał do rodziny Chadisjanów z wioski w dole. Tak jest, Abdülhamid. Ale mój nazywa się inaczej. Nazywa się Enwer Pasza.

Mężczyźni roześmiali się. Jeden z nich zapytał: Nie zamierzasz mu chyba odrąbać głowy?

Przeciwnie, odparła Bülbül. To właśnie zamierzam. I to jeszcze dzisiaj.

Ale dlaczego?

Dlatego, że jest stary i do niczego się już nie nadaje.

Co z tym kogutem?

Nie potrafi już pisać jak należy i kurczęta zdychają przed czasem.

Przed czasem?

Tak. Przed czasem.

Mężczyźni roześmiali się znowu, ale nic już nie powiedzieli.

Na rożnie ponad otwartym paleniskiem wisiała obgryziona kość, której pochodzenie trudno było ustalić. Bülbül zdjęła ją z rożna i wyrzuciła na podwórze. Potem przyniosła ze spiżarni dwa płaskie okrągłe placki, umoczyła je w oleju sezamowym, posypała solą oraz jakąś zieloną przyprawą i podała twojemu ojcu.

Enwera Paszę zabiję później, powiedziała. Gdy mężczyźni wrócą, będą głodni. Przyniosła patelnię z prażonymi pestkami dyni i postawiła ją na podłodze przy pościeli twojego ojca. Sama przykucnęła obok patelni i uśmiechnęła się do niego.

Dlaczego właściwie wróciłeś z Ameryki? spytała. Jak można być tak głupim! Tam byłbyś bezpieczny. I ten proces! zachichotała. I te miesiące w bekirskim więzieniu! Wszystko byłoby ci oszczędzone! Zaraz jednak stwierdziła, że twój ojciec niczego nie pamięta i nie wie nawet, że był w Ameryce. Nie wiedział także nic o procesie i przesłuchaniu, i o więzieniu w Bekirze.

Pod wieczór zaczęło padać. Zwierzęta szukały schronienia w chacie, gdyż na dworze nie miały się gdzie ukryć. Pierwszy

przyczłapał i stanął w otwartym wejściu bezimienny osioł, wężąc jak wielka mysz. Za nim przysły dwie czarne kozy. Z czasem przydreptały też, przefruwając nad progiem, wszystkie kury, a na samym końcu duży nakrapiany kogut.

Bülbül pogrzebała w *tonirze* i roznieciła z powrotem ogień, zerkając przy tym ukradkiem na koguta Enwera Paszę, którego zamierzała zabić, bo był stary. Kogut podfrunął na dach spiżarni i obserwował Bülbül wstrząsając głową, jakby znał jej zamiary.

Twój ojciec wziął sobie kilka pestek dyni z patelni, zaczął je rozgryzać i wypluwać łupinki szerokim łukiem, jak zawsze robili ludzie w tych stronach. Zauważył, że Bülbül odłożyła pogrzebacz i stoi przed otwartym *tonirem* ze skrzyżowanymi rękami. Ponieważ nie ruszała się, kogut jakby się uspokoił. Jego uwaga skupiła się teraz na pewnej kurze, bielszej i większej od pozostałych. Kura krążyła wokół kredensu szukając ziaren. Kogut uniósł głowę, po czym przyczajony wyciągnął szyję i nagle... jednym furknięciem... skoczył na kurę.

Twój ojciec uśmiechnął się, myśląc przy tym: To dobry kogut. Dlaczego ona chce go zabić? Widział, że duża biała kura ochoczo rozkłada skrzydła, przypadając do ziemi i gładząc, a tymczasem kogut wykonuje drapiące ruchy, jakby ją chciał rozszarpać. W tym momencie wkroczyła do akcji Bülbül. Złapała koguta za skrzydła i uniosła go w górę. Kogut wydał ostry okrzyk. Bülbül chwyciła leżącą na podłodze siekiere, rzuciła koguta na kredens, ale tak, żeby jego szyja znalazła się nad twardą drewnianą krawędzią, po czym podniosła siekiere i jednym mocnym uderzeniem odrąbała mu głowę.

Twój ojciec przestał żuć. Łeb koguta spadł na ziemię i potoczył się w pobliże jego posłania. Dziób był szeroko otwarty, jakby chciał jeszcze raz zapaść. Twój ojciec odepchnął łeb z obrzydzeniem i spojrzał ponownie na Bülbül. Zobaczył, że kogut, choć bez głowy, podskakuje na kredensie trzepocząc dziko skrzydłami. Rozpryskiwał dużo krwi, poplamiał również Bülbül. Zsunął się po ostrej krawędzi kredensu i spadł prosto na dużą białą kurę, która siedziała na ziemi obok kredensu skulona i sparaliżowana strachem, z dziobem za-

grzebanym w kurzu. Jej białe skrzydła zabarwiły się na czerwono. Kogut i kura podrygiwały konwulsyjnie. Wyglądało to jak ostatnia gra miłosna.

Bülbül powiesiła koguta Enwera Paszę na długim sznurze do bielizny, żeby ściekła z niego krew. Pod spodem podstawiła okrągłą nieckę do prania i odgłos kapiącej krwi przypominał bębnienie deszczu o dach chaty.

Tak odrąbывali głowy Ormianom z Jedi Su, powiedziała Bülbül do twego ojca. Mniej więcej tak.

Myślałem, że byli rozstrzeliwani.

Nie wszyscy, odpowiedziała Bülbül. Kilku zatłuczono, a większości ścięto głowę.

Byłaś przy tym?

Sama nie byłam przy tym. Wszystko opowiedział mi *zaptije* z wioski, który nie brał w tym udziału, ale był świadkiem.

A co ty widziałaś?

Niewiele, odrzekła Bülbül. Kiedy następnego ranka przyjechałam do wioski, zobaczyłam na ulicy ciała bez głów. Widziałam też kilka głów, które potoczyły się dalej, ale większości nie dało się już rozpoznać.

Wszystkich pochowano?

Wszystkich.

Głowy też?

Głowy też.

A to o kobietach i dzieciach to też prawda?

Tak, to prawda. Spaliły się w kościele. Ale nie wszystkie, dodała. Parę zdołało się uratować.

Kiedy deszcz przestał padać, Bülbül przekleństwami i kopniakami wypędziła z chaty zwierzęta. Trzej ormiańscy żołnierze wrócili późno, Bülbül już dawno oskubała koguta, wypatroszyła go i powiesiła nad ogniem. Mężczyźni byli głodni i spoglądali łakomie na piekącego się ptaka.

Twój ojciec wracał do sił. Mijał tydzień za tygodniem. Bülbül pielęgnowała go i karmiła. Dopóki trwało lato, prawie nie czuło się górskiego wiatru, który był ciepły, wachlował dach chaty, czasem potrząsał bezsilnie zmurszałymi ze starości, skrzypiącymi ściankami z desek i ledwo potrafił wdrzeć się przez próg do dużej okopconej izby. Ale wczesną jesienią wiatr przybrał na sile. Pucułowate *dzinny* dmuchały zimne powietrze przez wąwozy. Wiatr nie szeptał już, tylko gwizdał wokół chaty, a pędzące z wiatrem *dzinny* opowiadały historie o zwiędłych i zmieniających barwy liściach. Gdy zima stanęła za drzwiami, twój ojciec potrafił już chodzić bez laski. Rany zagoiły się i przestały boleć. Tylko z jego głową coś było nie w porządku.

Ponieważ twój ojciec zapomniał wszystko, co było przedtem... przed strzałem w głowę i ciosami, ba, nie znał nawet własnego nazwiska — ponieważ był jak dziecko, które zadaje pytania i któremu się odpowiada albo i nie, więc stara Bülbül mówiła o przeszłości więcej, niż miała w zwyczaju. Opowiadała mu wszystko: o Chadisjanach, o rodzinie, o mieszkańcach wioski, opisywała każdego z osobna, podawała imiona jego rodziców i dziadków, i wszystkich pozostałych członków rodziny. Ba, nawet imiona zwierząt, z którymi bawił się jako dziecko. A przede wszystkim dzień w dzień wbijała mu do głowy jego własne, dopóki nie upewniła się, że pojął, jak się nazywa, no i że zapamięta swoje nazwisko. Bülbül wyraźnie się starała, choć często była zła na wielkie braki w rozumowaniu i aż taką utratę pamięci. W tygodniach jesiennych częściej zaglądali goście, Ormianie, którzy się uratowali, żołnierze i inni, także kobiety i dzieci. Zdawać by się mogło, że wszyscy wypętlili z wąwozów śmierci. Mieszkali w górach, przychodzili po kryjomu do chaty, gdy byli chorzy lub czegoś potrzebowali. Lub przychodzili tylko po to, aby dowieść Bülbül, że jeszcze żyją. I odchodzili również po kryjomu, tak samo jak przyszli.

Wszyscy czekają na Rosjan, powiedziała Bülbül do twego ojca, którzy się zbliżają i kiedyś tu będą.

Pewnego razu przyszedł z wizytą ormiański kapłan. Był jedynym z mieszkańców siedmiu wiosek, który przeżył. Gdy zobaczył twego ojca i stwierdził, że ten wszystko zapomniał, opowiedział starej Bülbül historię o Sodomie i Gomorze i o żonie Lota, która zamieniła się w słup soli.

Dlaczego Pan Bóg zamienił ją akurat w słup soli? chciała wiedzieć stara Bülbül.

Dlatego, że ulitował się nad nią, wyjaśnił kapłan. Widziała bowiem straszne rzeczy, a Pan Bóg wiedział, że człowiek, który widział coś takiego, nie może żyć dalej z tym wspomnieniem.

Bülbül nie ufała jednak słowom kapłana. Ci chrześcijanie dużo gadają, pomyślała. Przesadzają i kłamią, tak samo jak ze Świętą Dziewicą, której szpara nie była otwarta ani przedziurawiona, a która mimo to urodziła dziecko. Chrześcijanie opowiadają bajki. A Wartan jest wprawdzie chrześcijaninem, ale na pewno nie słupem soli. To przez ten postrzał w głowę. Nic poza tym.

Jak to jest? spytała kapłana. Czy to możliwe, że Wartan Chadisjan trzyma wspomnienia gdzieś w zamknięciu, może pod dziurami, które ci cholerni *zaptijeler* i *czetowie* wywiercili w jego czaszce? Czy to możliwe, że celowo ich nie wydobywa, żeby mnie złościć?

Jeśli ktoś ukrył wspomnienia pod dziurami, rzekł kapłan, to taka jest wola Boga.

No cóż, powiedziała Bülbül. Niech i tak będzie. Przez chwilę uśmiechała się w zamyśleniu, nim dodała zwracając się do kapłana: Mamy tego samego Boga. Może więc powinniśmy się wspólnie pomodlić za tego zapominalskiego?

Aż w końcu nadszedł czas. Zimą Rosjanie ruszyli wreszcie do przodu. Wielka ofensywa zaczęła się już dawno, opóźniały ją tylko opady deszczu i błotniste drogi. W 1916 roku wojska cara zajęły dużą część Anatolii. Padły Trapezunt, Erzurum i Bekir. Pewnego ranka Bülbül zjechała na swoim ośle do wioski. A gdy wróciła, oświadczyła twemu ojcu: Są Rosjanie.

W wiosce Jedi Su mieszkali teraz inni ludzie. Wielu było faktycznie *muhadzirler*, muzułmańskimi emigrantami, którym

rząd Enwera Paszy obiecał ormiańskie domy, ale przyjechali także Kurdowie i Turcy, chłopci bez ziemi, a do tego motłoch z większych miast. Rosjanie nie mogli się z ludźmi dogadać, ale pili z nimi wódkę i śpiewali po pijanemu dziwne smutne pieśni, które mówiły więcej niż zrozumiałe słowa. Obcy żołnierze zaraz po wkroczeniu do wioski zgwałcili kobiety nowych osiedleńców, mówiono, że nie różnią się od *czetów*, żandarmów i kurdyjskich rozbójników, którzy robili to z Ormiankami nie pytając o pozwolenie. Nie do końca jednak było tak samo, gdyż obcy żołnierze nie uprowadzali kobiet, żadnej też nie zabili. Poza tym byli dobrzy dla dzieci i nie dotykali ich. Kobiety nowych osiedleńców opowiadały, że żołnierze cara mają między udami duże blade borowiki, które przebijają każdy mech, bez względu na to, czy usta krzyczą do Allaha, czy nie. Niektóre opowiadały, że to wcale nie były borowiki, tylko sztywne klucze z kości i skóry, otwierające wszelkie ukryte zamki, inne zaś, że to szkaradne robaki, które znalazły drogę do kobiecych stajni. Mężowie kobiet byli wściekli i przysięgali zemstę.

Wraz z Rosjanami wkroczyły do kraju bataliony ormiańskich ochotników. Nosili oni rosyjskie mundury. Wielu spośród ormiańskich ochotników straciło podczas rzezi całe rodziny. Niektórzy z nich mścili się więc i teraz oni zabijali Turków, gdziekolwiek ich znaleźli. W większości jednak nie robili tego, mówiąc do swoich ludzi, że nie należy odpłacać pięknym za nadobne.

## 13

Wiosną Turek Taszak zaprzągnął swego muła Osmana do starej *arby*, która stała w jego szopie już od lat. I powiedział do Bülbül i Wartana: Muł jest silny, a oś *arby* posypałem miazgą mąką. Teraz możecie wyruszyć na poszukiwanie żony Wartana.



I jego syna, dodała Bülbül, który na pewno przyszedł tymczasem na świat.

Czy nie miał się nazywać Towma?

Tak, Towma, potwierdziła Bülbül.

Moja żona na pewno nie spłonęła w kościele, rzekł Wartan. Podobno kilka kobiet wyskoczyło z płomieni. I uciekło w góry. Bülbül mi opowiadała.

Owszem, przyznał Taszak. Tak opowiadają.

Jeśli nie spłonęła z innymi w kościele, powiedziała Bülbül, to możliwe, że jeszcze żyje.

Jego syn też może żyć, dodał Taszak.

Ale Anahita była brzemienna, rzekła Bülbül. To był ósmy albo nawet dziewiąty miesiąc. Widziałam ją na krótko przedtem. Miała gruby, nabrzmiąły brzuch, za gruby, żeby przecisnąć się z nim przez wąski szyb wentylacyjny.

Jeśli taka jest wola Allaha, powiedział Taszak, to nawet wielbłąd przejdzie przez ucho igielne.

To prawda, potwierdziła Bülbül.

Była duża i silna, dodał Wartan. Bülbül mi ją opisała, bo wszystko zapomniałem. A skoro była duża i silna, to na pewno przedarła się przez ogień. I idę z wami o zakład, że była wśród pierwszych, które przeczołgały się w porę przez szyb wentylacyjny.

Możliwe, przyznała Bülbül.

Znajdziemy ją, oświadczył Wartan. I znajdziemy także mojego syna. I poznam obydwójce.

Owszem, przytaknęła Bülbül.

Tak więc wyruszyli: stara kobieta i młodszy mężczyzna bez pamięci, który utracił wszystkie ważne obrazy i wspomnienia.

Znajdziemy ją, powiedziała Bülbül. Teraz i ja w to wierzę. Będziemy objeżdżać wszystkie miasta i wioski. I jeździć wzdłuż tras deportacyjnych. I wypytywać chłopów.

Tak, potwierdził Wartan.

Kto choć raz widział twoją żonę, na pewno jej nie zapomni, oświadczyła Bülbül. Była bowiem bardzo wysoka. I nie miała twarzy, tylko oczy.

Tak, powtórzył Wartan. Tak mi ją zawsze opisywałaś.

Chłopi ją sobie przypomną. Będę im mówić tak: Musielicie ją widzieć. Bardzo wysoka kobieta. Jej twarz była spalona. Właściwie jej nie miała. Ale miała duże ormiańskie oczy, największe i najpiękniejsze, jakie zdarzyło się wam widzieć.

Najpierw jednak pojechali do Bekiru, żeby odszukać krewnych, gdyż jeśli Anahita przeżyła, mogła wszak uciec do Bekiru i ukrywać się u nich. A gdyby nie mogła tego zrobić od razu, na pewno zgłosiłaby się u nich po wyzwoleniu. Musieli to wiedzieć. Bülbül znała „Hajastan”, znała też najstarszego brata Wartana, Hajgaza.

W Bekirze dowiedzieli się, że *czetowie* i *zaptijeler* tuż przed wkroczeniem Rosjan zlikwidowali wszystkich Ormian, jacy byli jeszcze w mieście, także rzemieślników potrzebnych do samego końca oraz wybrańców *walego*. Było to ostatniego dnia przed poddaniem miasta. Rosjanie stali już przed bramami miejskimi — słychać było nie tylko ich armaty i karabiny maszynowe, te słyszano już od wielu dni, ale gdy powiał wiatr z tamtej strony, także pierdnięcia i głośnie śpiewy Rosjan. Właściwie prawie już byli, kiedy rozstrzeliwano ostatnich Ormian. Ale w rzeczywistości jeszcze ich nie było. W dodatku regularne wojska tureckie już się wycofały i w mieście pozostała tylko straż tylna, *czetowie* i *zaptijeler* podlegający *müdürowi*, który z kolei był podwładnym *walego*, *mutasarryfa* i *kajmakama*. Kiedy zabijano ostatnich Ormian pod murami obronnymi, władze miały już spakowane walizki, a *jajty* na resorach i *arby* z wypełnionymi piaskiem workami kuloodpornymi czekały przed *hükümetem*.

Podczas egzekucji przed wschodnią bramą miejską, tak opowiadali ludzie na bekirskich ulicach, pojawili się nagle uzbrojeni Ormianie. Nadjechali od strony gór i nosili tureckie mundury. Nikt nie wiedział, kim byli i skąd mieli broń. Wielu ich nie było, może siedmiu lub ośmiu. Próbowali przeszkodzić egzekucji. Zastrzelili zresztą paru *czetów* i *zandarmów*. Ale jak mówiono: było ich niewielu i *czetowie* oraz *zaptijeler*, których było znacznie więcej, w końcu ich załatwili.

Tak. To prawda. Ci uzbrojeni Ormianie nie zginęli na próżno, gdyż podczas małej strzelaniny przed wschodnią bramą kilku niedoszłym ofiarom udało się uciec. Uciekli z powrotem do miasta i ukryli się u tureckich i kurdyjskich przyjaciół. Wielu ich nie było. Ale bądź co bądź kilku, i będą mogli później opowiedzieć swoją historię.

Z bekirskich krewnych Wartana nikt nie został przy życiu. Ocaleli Ormianie, którzy stopniowo wychodzili z kryjówek, nie należeli do rodu Chadisjanów. Jeden z nich znał wszakże Hajgaza z „Hajastanu”, znał też Wartana, którego widział tam kiedyś.

Od razu pana poznałem, powiedział Ormianin do Wartana. Pamięta mnie pan? Kiedyś siedzieliśmy w „Hajastanie” przy jednym stoliku. Latem 1914 roku. Był pan świeżo po ślubie, tak przynajmniej pan mówił. Był pan w towarzystwie żony.

Mojej żony? spytał Wartan, który niczego nie pamiętał.

Pańskiej żony, potwierdził Ormianin.

Widział ją pan jeszcze potem? spytała Bülbül. Nazywała się Anahita, miała spaloną twarz i duże oczy.

Wiem, jak się nazywała, rzekł Ormianin, i wiem, jak wyglądała.

Widział pan jego żonę... kiedyś znowu?

Nie, odparł Ormianin. Nigdy już jej potem nie widziałem.

Później *arba* ciągnięta przez muła Bülbül i Wartan objeżdżali wioski i miasta wyzwolonego kraju. Pomimo miłkiej mąki koła skrzypiały jak zwykle powodując hałas, jaki musi po prostu robić wózek na dwóch kołach, które nie obracają się wokół osi. Ani jakoś szczególnie nie rzucali się w oczy, ani też nie pozostawali zupełnie nie zauważeni. Wielu ludzi podróżowało w podobnych *arbach*, niektórzy także pieszo albo w siodle jakiegoś wierzchowca. Większość kogoś szukała. Chłopi w miarę możliwości udzielali informacji. Również w mniejszych i większych miastach ludzie starali się odpowiadać na pytania. Był to bowiem czas pytań i poszukiwań. Nikt jednak nie przypominał sobie Anahity. Nikt jej nie widział.

Pewnego dnia, w małej wiosce nad brzegiem Tygrysu, jakaś chłopka przyznała, że owszem, widziała kobietę, która odpowiadała opisowi Anahity podanemu przez Bülbül. Tak. Widziała, jak pędzono przez wieś konwój kobiet, starców i dzieci. Pewien *zaptije* powiedział jej, że wśród kobiet jest parę takich, które ukrywały się w górach, ale je wyłapano. Rzuciła jej się w oczy jedna z kobiet w kolumnie. Wyższa od innych i brzemienna, przypuszczalnie w dziewiątym miesiącu. Ta kobieta miała też spaloną twarz, podobną do opisanej przez Bülbül... i duże czarne oczy. Nie nosiła zasłony. Widać ją zgubiła.

Chłopka pokazała w kierunku Tygrysu. Tam je wpędzono.

Także nad brzegami Eufratu dostawali podobne informacje. Tam gdzie wcześniej kręcono tylko głową, nagle zaczęto potakiwać. Zawsze znalazł się ktoś, kto twierdził, że coś wie. Wielu widziało podczas marszów śmierci brzemiennie kobiety, również kobiety wyższe od innych i mające spalone, pokryte bliznami twarze, które często nie były już twarzami, tylko składającą się z mięsa i kości masą o dużych oczach.

W tym miejscu Eufrat był czerwony, powiedziała jedna z chłopek, prawdopodobnie od krwi małych dzieci, które matki przerzucały przez skały... żeby nie dostali ich *czetowie*, *zaptijeler* i Kurdowie, dodała. Bo oni zabijali dzieci na oczach matek. Inna chłopka zaśmiała się i rzekła: Bzdura. Eufrat wcale nie był czerwony od krwi wielu małych dzieci, tylko od brzuchów matek, które rozpruwano przed zrzuconiem kobiet z przybrzeżnych skał. Dzieci, mówiła chłopka, były przecież wrzucane przez matki do wody jeszcze żywe, a więc tonęły bez krwawiących ran. Inne twierdziły, że nie do końca tak było, bo także strażnicy wrzucali dzieci do wody, gdy matki nie zdążyły ich uprzedzić, ale przedtem podrzynali im gardła.

A ta kobieta o spalonej twarzy? Czy ktoś widział, że utonęła w Eufracie? Ale nikt tego nie widział. Pewien turecki chłop powiedział: Myśmy w ogóle nic nie widzieli. My to po prostu wiemy.

\*

Raz spotkali turkmeńskiego chłopca, który powiedział, że jakaś Ormianka ukrywała się w jego domu podczas rzezi. Była brzemienna i wkrótce po masakrze urodziła. W dalszym ciągu mieszka w jego domu, śpi w jego łóżku i ma spaloną twarz. Właściwie to nie ma twarzy, ale jemu to nie przeszkadza, bo jest dobra w łóżku i zawsze posłuszna. Odwiedzili kobietę w domu Turkmena. Wartanowi serce waliło jak młotem. Nawet stara twarz Bülbül płonęła z podniecenia.

Ale to nie była ona. Nie, orzekła Bülbül. To nie Anahita. To jakaś inna kobieta.

W półkoczowniczych wioskach kurdyjskich, a nawet w czarnych namiotach dzikich plemion górskich spotykali Ormian ocalałych z masakry i byli zdziwieni, że są plemiona kurdyjskie, które ukrywały Ormian. Jeden z kurdyjskich bejów powiedział do nich: Moje plemię to plemię pokojowe i nie brało udziału w masakrach, bo oświadczyłem swoim ludziom, że trzymamy się od tego z daleka.

Wiele kurdyjskich plemion brało w nich jednak udział, zauważyła Bülbül. Czasem były nawet okrutniejsze od *czetów*.

Możliwe, odparł bej. Ale to tureccy urzędnicy wysłali swoich kurierów w góry, aby powiedzieli Kurdom, że będą bogate łupy. Kary natomiast nie będzie, mówili kurierzy. Rząd ręczy za to. I kurierzy urzędników opowiadali bejom i ich ludziom, a także pasterzom na pastwiskach górskich o dobrej odzieży Ormian i biżuterii ich żon i mówili, że kobiety mają dziurki napełnione miodem.

W drodze powrotnej do Bekiru napotkali Turka bez nóg. Był nie ogolony i miał na sobie podarty mundur.

O niczym nie wiedziałem, rzekł kaleka, wtedy też, gdy przekraczałem konno Eufrat z kawalerią czwartej armii. Powiedziano nam, że jedziemy do Syrii. Gdzieś mieli stać Anglicy i Francuzi, ale oni byli jeszcze daleko. A gdy wpędzaliśmy konie do wody, by przepłynęły rzekę, nie chciały wejść i nie słuchały nas. Bo Eufrat był pełen trupów. Przeważnie kobiet i dzieci. A woda była czerwona jak ogień w *tandyrze*. Wtedy miałem jeszcze obie nogi, bo straciłem je

dopiero później, na froncie. A ponieważ miałem jeszcze obie nogi, przepłynąłem rzekę bez konia. Inni popędzili za mną mojego konia, który opierał się i rżał jak stare szkapy w rzeźni. I wierzcie mi, przyjaciele, widziałem wszystko, a mimo to nic nie wiem. Żaden z nas nie może powiedzieć, że coś wie.

Pewnej nocy, w drodze powrotnej do Bekiru, Wartan zsiadł z wozu i powiedział do Bülbül: Idę się tylko wysikać. Zaraz wracam. Ale już nie wrócił.

## 14

Ludzie w wiosce byli zdziwieni, gdy Bülbül wróciła sama. Kiedy stary Taszak wyprzęgał osła, Bülbül powiedziała: Wartan po prostu wysiadł i już nie wrócił.

To dziwne, rzekł Taszak.

A powiedział, że idzie się tylko wysikać.

Nie rozumiem, stwierdził Taszak, jak ktoś może tak długo sikać.

Nowi mieszkańcy wioski prawie nie znali Wartana, więc wkrótce znów o nim zapomniano. Tylko rodzina Taszaka mówiła jeszcze o nim od czasu do czasu, a także Bülbül. Znów nastąpiło gorące lato, w wiosce zaczęło brakować żywności, a susza i plaga szarańczy w całym kraju napawały chłopów strachem. Powracający żołnierze przywlekli cholere i dur brzuszny. Mimo to z miasta przyjeżdżali handlarze, żeby coś sprzedać. Dawniej handlarze mówili po ormiańsku, lecz nowi byli Turkami i Kurdami, trafiło się także paru Żydów i Greków. Tylko raz zjawił się ormiański handlarz. Wtedy *muhadzirler* wybuchnęli śmiechem mówiąc: Ci ormiańscy handlarze są nie do zdarcia. Patrzcie: znowu są.

Także letnia susza kiedyś minęła, a wraz z nią plaga szarańczy. Paru chłopów umarło na cholere i tyfus. Chłopi

powiesili odzież zmarłych na wioskowym świętym drzewie przekonani, że złe duchy w ubraniach nieboszczyków nie będą już nawiedzać domów żyjących krewnych. I że w przyszłości omijać będą również palenisko ormiańskiego *toniru*, który muzułmanie nazywali teraz *tandyr*, oraz to co będzie gotowane i pieczone nad płomieniem i jedzone przez rodzinę zmarłego. Wkrótce potem nadeszła zima, mroźna jak zawsze, a wiosna była jak co roku, taka, do jakiej wszyscy przywykli. Świeża trawa i młode kwiaty oraz pąki drzew zdawały się nie zwracać uwagi na wojnę. Pod koniec 1917 roku handlarze opowiadali o rosyjskiej rewolucji po drugiej stronie Kaukazu, opowiadali o zbuntowanych żołnierzach w wielkiej armii rosyjskiego cara oraz o innych rzeczach.

Nie może jednak być tak, mawiali chłopci, żeby zwykli żołnierze zabijali własnych oficerów! Jak to możliwe? Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby sługa zabijał pana?

Wkrótce w ogóle nie będzie armii rosyjskiej, mówili handlarze, a jeśli tak się stanie, to wrócą Turcy.

W pewnym sensie handlarze mieli rację. A mimo to wyszło inaczej. Turcy na razie nie wracali. Armia cara była wprawdzie osłabiona, ale w tej części świata jeszcze dość sprawna, aby utrzymać przez jakiś czas ustalone fronty. A gdy potem minęła jeszcze zima i znowu nastąpiło lato, z Syrii przyszli Anglicy i Francuzi.

Kiedy w roku 1918 dotarła do wioski wiadomość o tureckiej kapitulacji, napędziła chłopom jeszcze większego strachu niż cholera i dur brzuszny, susza i plaga szarańczy. Słyszeli bowiem, że Rosjanie się wycofali i że wycofają się także Francuzi i Anglicy. Kraj, twierdzili handlarze, jest teraz zajęty przez Ormian.

Ależ Ormianie nie żyją, mówili chłopci.

Nie wszyscy zginęli, odpowiadali handlarze. Żyją jeszcze rosyjscy Ormianie. A także Ormianie tureccy, którzy w porę uciekli za granicę. Również tu w okolicy nagle pojawiają się znowu Ormianie. Wychodzą jak *dżinny* z jaskiń i wąwozów, i innych kryjówek. To przede wszystkim ochotnicy z or-

miańskich batalionów, którzy przyłączyli się do armii cara. Rosjanie odebrali im później broń, bo zaczęli się ich bać, ale oni ponownie się uzbroili. Teraz są wszędzie. Chcą zbudować tutaj nowe państwo, które nazywają Hajastan.

Hajastan? pytali chłopci. Nigdy dotąd nie słyszeliśmy takiej nazwy.

Wielu Ormian, którzy uciekli na Kaukaz albo ukrywali się u Turków i innych, powracało w rodzinne strony, aby żądać zwrotu swej własności. W Jedi Su takie wypadki nie miały miejsca. Nie było już nikogo, kto mógł twierdzić, że dawniej tutaj mieszkał — oprócz Wartana Chadisjana, ale on nie żądał zwrotu niczego i pozostawał zaginiony.

Jeśli Ormianie przejmą tutaj władzę, mówili muzułmańscy chłopci, to ich urzędnicy przyjadą też do Jedi Su i zażądają, żebyśmy zwrócili zmarłym domy.

Będziecie musieli zwrócić zmarłym także bydło, dodawali handlarze, i w ogóle wszystko, co do nich należało.

I znów wyszło inaczej. Kiedy imperium carskie przestało istnieć, muzułmanie z Azerbejdżanu zjednoczyli się z Gruzini. Do zawartego przymierza przyjęli również Ormian z części rosyjskiej i w próżni powstałej na nowej mapie założyli tymczasowe państwo, które nazwali Federacją Zakaukaską. Ponieważ jednak muzułmanie nie zgadzali się z chrześcijańskimi Ormianami i Gruzini i ponieważ również ci byli ze sobą skłóceni i odrzucali inność drugiego narodu, więc dlatego albo i z innych powodów przymierze w krótkim czasie się rozpadło. Gruzini usamodzielnili się i założyli własne państwo, a muzułmanie i Ormianie poszli za ich za przykładem.

Kiedy Ormianie pierwszy raz od wielu wieków 28 maja 1918 roku proklamowali własne państwo, wolną i niepodległą Armenię, które właściwie powinno się nazywać Hajastan, lecz jeszcze się tak nie nazywało, w wiosce Jedi Su radowali się tylko nieboszczycy, którzy zmarli przed wielką masakrą w naturalny sposób. Wiadomość o założeniu państwa armeńskiego po drugiej stronie dawnej rosyjskiej granicy dotarła do wioski



dopiero w następnym roku, a dopiero w roku 1920 chłopci dowiedzieli się czegoś bliższego od wędrownych greckich handlarzy, którzy przyjechali z Kaukazu. Handlarze opowiadali, że amerykański prezydent Wilson, o którym mówiono, iż jest najpotężniejszym padyszachem na tym świecie, potężniejszym nawet, niż kiedykolwiek byli cesarz, car, Abdülhamid i Enwer Pasza... więc że ten wielki padyszach z Ameryki obiecał Ormianom, iż będzie pamiętał o nich podczas rokowań pokojowych między narodami, ponieważ żaden naród na ziemi nie wycierpiał w tej wojnie tyle co oni. Handlarze mówili, że padyszach Wilson obiecał Ormianom w ich małym, ale wolnym państwie po niewłaściwej stronie granicy całą ziemię armeńską, wszystko, co należało kiedyś do Hajastanu, przede wszystkim ziemię po właściwej stronie, a mianowicie tureckiej. Również górę Ararat Wilson obiecał Ormianom, mówili handlarze, nawet miasta Erzurum i Trapezunt nad Morzem Czarnym, i Bekir, i większość wszystkich gór aż po Morze Śródziemne, także część kraju, w której mieszkali jeszcze Turcy i Kurdowie, jak również Cyganie, czciciele diabła i inne ludy. Ale obietnica ta, mówili handlarze, jest tylko na papierze, gdyż zbliżają się już podobno dwie duże armie, aby rozbić chwilowo małe państwo armeńskie, zanim kartografowie zdążą skrupulatnie ustalić jego rzeczywiste granice.

I tak też się stało. Z biegiem czasu pobita armia turecka stanęła znowu na nogi i przepędziła obce wojska z Anatolii. Miała teraz nowego wodza, który nazywał się Mustafa Kemal Pasza. Handlarze mówili, że ten Kemal jest nie tylko ojcem i wyzwolicielem wszystkich Turków, ale także zdobywcą, którego oddziały przekroczyły już dawną granicę rosyjską z zamiarem wyzwolenia ludów kaukaskich, wszystkich tych małych nowych państw w regionie, w tym także państwa armeńskiego. A z drugiej strony Kaukazu, mówili handlarze, z przeciwnego kierunku, maszerują inne wojska, które też chcą tylko wyzwalać. Ta druga armia, jak twierdzili handlarze, również zbliża się do granicy armeńskiej, tyle że z innego kierunku, to nowa armia robotników i chłopów z czerwonymi

sztandarami oraz młotem i sierpem na dawnej czapce rosyjskiej. Te dwie duże armie — Turcy z jednej strony, a czerwoni z drugiej — po prostu zgniotą słabe państwo armeńskie. A ponieważ chłopci nie chcieli wierzyć, gdyż mieli mało fantazji i nie potrafili sobie wyobrazić, jak można zgnieść twór państwowy, więc jeden z handlarzy wziął w swoje duże, chciwe ręce surowe jajko młodej kokoszki i rozgniół je powoli i z lubością. Tak, powiedział handlarz. Po prostu tak.

Szkoda jajka, skwitowali chłopci. Teraz wiedzieli, co miał na myśli, lecz zirytował ich jego postępek, gdyż było to dobre jajko młodej jeszcze kokoszki, a czyn handlarza był zuchwałym marnotrawstwem w oczach Allaha.

A kilka miesięcy później, kiedy niepodległość krótkowiecznego państwa armeńskiego była już historią, epilogiem wielkiej wojny, epizodem w partii szachów, jaką okazywały się rokowania pokojowe i ustalanie nowych granic — coś takiego wymaga czasu, trwa, tak to już jest — przybyli znowu handlarze z Kaukazu i opowiedzieli chłopom historię o zmęczonych nogach.

To żołnierze mieli zmęczone nogi, opowiadali handlarze, żołnierze Kemala Paszy, ale także żołnierze armii robotników i chłopów, gdyż wielka wojna trwała długo, a oni prawie przez cały czas maszerowali. Zmęczone nogi armii robotników i chłopów były jednak szybsze od zmęczonych nóg Turków. I tym sposobem małe samoistne państwo armeńskie zostało połknięte przez czerwonych, zanim wkroczył doń Kemal Pasza.

W takim razie Ormianie mieli pecha, orzekli chłopci.

Przeciwnie, mieli szczęście, oświadczył jeden z handlarzy. Bo Kemal Pasza urządziłby im wielką rzeź. Zniszczyłby wszystko, co przeżyło, resztki narodu ormiańskiego.

A skąd wiesz wszystko tak dokładnie?

Powiedziała mi to pewna ormiańska matka.

Co powiedziała?

No a co miała powiedzieć? Powiedziała: Lepiej kołysać żywe dziecko u czerwonych niż martwe u Turków.

Tak powiedziała?

Tak powiedziała.

Bülbül usłyszała znowu o Wartanie w roku 1921, kiedy pojedynczy krewni nieżyjących Ormian z Jedi Su zaczęli pielgrzymować do wioski, aby modlić się za dusze zmarłych przy masowych mogiłach na ormiańskim cmentarzu. Jeden z nich był już bardzo stary. Znał Bülbül z dawnych czasów. I znał także Chadisjanów, gdyż był stryjem rudego kowala, który był chrzestnym Wartana. Starzec przyjeżdżał dawniej często w odwiedziny i był zarówno na pierwszym, jak i na drugim jego weselu. Dzięki temu nie tylko znał Anahitę, ale wiedział też, że jej syn, o którym często opowiadał Wartan, miał się nazywać Towma.

Doszło do tego, że i Bülbül w ostatnich latach bardzo się postarzała i zniedołężniała i więcej żyła przeszłością niż terażniejszością, nie zawsze dając sobie radę ze światem realnym. Powędrowała za starcem na cmentarz i kiedy odmówił modlitwę za zmarłych, usiadła obok niego na cmentarnej ziemi, która była niema, bez zwykłego szeptu *dzinnów*. Oboje gadali dużo, bo było tak cicho, gadali jak to starzy ludzie, żadne z nich nie wiedziało, czy to, co opowiada, jest rzeczywistością czy to tylko sny, wspomnienia i fantazje utkane ze snów i wspomnień.

Bardzo bym chciała wiedzieć, czy Anahita karmiła piersią małego Towmę, powiedziała Bülbül, bo kto miał go wtedy karmić, kiedy go urodziła... gdzieś tam!

A ja słyszałem, że spłonęła wtedy w kościele razem z innymi, rzekł starzec, który próbował sobie wyobrazić, jak palił się kościół z uwięzionymi w nim ludźmi. Gdzie zatem miałyby urodzić to dziecko? Czyżby urodziły je płomień?

Wartan jednak wierzy, że nie spłonęła, oznajmiła Bülbül. Uciekła w góry, powiedziała. Tyle że nikt tego nie widział. Przeskoczyła przez płomień i mimo swego wielkiego brzucha precisnęła się przez ciasne okienko na zewnątrz, razem z nie narodzonym. Płonące ubranie ugasiła piaskiem. A później, po kilku dniach błakania się po górach, została

złapana. I deportowana w kierunku Syrii i Mezopotamii. Szła w marszu śmierci. I na jakimś gościńcu urodziła. Małego Towmę. I idę z tobą o zakład, że mały Towma żyje, mimo że jego matka później zmarła. Ten mały Towma to musi być twardy szkrab, twardy jak jego przodkowie, którzy dożyli sędziwego wieku.

A Wartan?

Nie wiem.

Słyszałem to i owo od ludzi, którzy go znali.

A co słyszałeś? spytała Bülbül.

Podobno zgłosił się do oddziału ormiańskich ochotników, rzekł starzec. Ale później, kiedy Rosjanie zaczęli ich traktować nieufnie, bo Ormianie chcieli mieć przecież własne państwo, i to na terenach, które Rosjanie kontrolowali i chcieli zatrzymać, bataliony ochotnicze rozwiązano. Kilku ormiańskich oficerów, którzy rozkazali swoim żołnierzom nie oddawać broni, aresztowano. Również Wartan był oficerem, bo był poetą i potrafił czytać i pisać, umiał też rysować plany i czytać mapy. Aresztowali więc i zakuli w kajdany także jego. Razem z innymi oficerami został wywieziony na Syberię.

I tam na Syberii, mówił starzec, był przez jakiś czas, aż w końcu wybuchła rewolucja i przyszli czerwoni, i uwolnili wszystkich jeńców. Potem walczył u czerwonych. A później pojawił się nagle w Erewanie, nowej stolicy armeńskiej, gdzie Rosjanie wywiesili teraz czerwoną flagę, i kręcił się tam przez jakiś czas. Podobno był też w Syrii, żeby odszukać obozy dla deportowanych, bo chciał się przecież dowiedzieć czegoś o swojej żonie i o swoim synu Towmie, który od dawna powinien już być na świecie.

A potem wrócił do Erewanu, powiedział starzec. Wiosną tego roku Ormianie zorganizowali pucz przeciwko czerwonym, kiedy ci wycofali swoje wojska do Gruzji, żeby nauczyć Gruzinów rozumu. Wartan był ponoć jednym z przywódców puczu. Ale sukcesy puczu okazały się chwilowe, bo czerwoni wrócili. I podobno zostaną tam już ostatecznie.

Co to znaczy: ostatecznie? spytała Bülbül. Czy widziałeś kiedykolwiek w tym życiu coś, co było ostateczne?

Właściwie nie, przyznał starzec.

Nie wiemy nawet, czy śmierć jest ostateczna, rzekła Bülbül, bo wierni twierdzą wszak, że istnieje zmartwychwstanie. I Bülbül spytała: A kto ci to wszystko opowiedział?

Ludzie, którzy znali Wartana.

A czy on ich znał?

Nie, odparł starzec. Mówiono, że nie rozpoznawał nikogo.

Gdzie może być teraz Wartan? spytała Bülbül.

Gdzieś w świecie, odrzekł starzec.

## 16

— Gdzieś w świecie także ja, który nazywam siebie *meddach*, zgubiłem ślad Wartana Chadisjana — mówię ja, bajarz, do swego cienia. — Nie pozostało mi więc nic innego, jak odnaleźć ślad tego drugiego, który pewnego dnia oświadczy, że jest jego synem.

I oto ja, który nazywam siebie *meddach*, tak mówię do swojego cienia:

— Wkrótce po zakończeniu wojny światowej, a więc zaraz potem, zaczęto już przygotowywać nową wojnę. Historycy pragnęli bowiem przydzielić wielkiej wojnie, którą nazywali tylko wojną światową, jakiś numer, żeby nie zapodziała się w szufladzie wszystkich wojen. By jednak móc nazywać wielką wojnę, która była wojną światową bez numeru, mianem pierwszej, musiała być i druga. Nie było to wcale trudne. Nie potrzebowano jej nawet wynajdywać. Podobnie jak większość wynalazków została już bowiem dawno wynaleziona i wystarczył pretekst oraz bodziec sprawczy, by uświadomić historykom, że ta druga wojna światowa stała się faktem i że teraz ze spokojnym sumieniem mogą już dodawać słowo „pierwsza” przed jedną i „druga” przed drugą. Możliwe byłyby również numery 1 i 2, oczywiście z kropką. Wszystko bowiem musi być jak należy, także ortografia musi się zgadzać.

— Nie chcę jednak zbaczać z tematu — mówię ja, bajarz. — W zasadzie pragnę ci tylko opowiedzieć o śladzie Wartana

Chadisjana, który zagubił się w czasie i przestrzeni i który nagle pojawił się znowu w postaci jego syna Towmy. Ów Towma bowiem istniał. Istniał naprawdę. Nikt nie wie, czy był tylko opowiadaczem historii czy obłąkańcem, który wmówił sobie coś, w co rzekomo wierzy. Ale zapytaj kiedyś kapłanów i klechów, rabinów i mułłów, i wszelkich innych duchownych, zapytaj świętych i kaznodziejów na szczytach gór i w dolinach. Wszyscy oni twierdzą, że wiara jest wiedzą. A ów Towma wierzył w to naprawdę. Wierzył, że jest synem tego Wartana Chadisjana z wioski Jedi Su, której mieszkańcy zniknęli, a ich nazwiska zostały wymazane. Ten człowiek więc, nazywający siebie Towma, Towma Chadisjan, siedział po drugiej wielkiej wojnie w kawiarniach Zurychu i opowiadał sytym i zamożnym obywatelom tego miasta swą dziwną historię. Naturalnie nie wszyscy obywatele tego miasta byli syci i zamożni. Wielu nie było. I byli przecież także Ormianie ocalali z masakry, ludzie, którzy mieli wspomnienia lub twierdzili, że ich nie mają — i oni chętnie słuchali tego Towmy. Prawie sześćdziesiąt lat, jak opowiadał ów Towma Chadisjan, zajęło mu szukanie śladów. I będzie szukał dalej, dopóki nie odzyska swojej historii, gdyż jak mówił, jest sierotą, dzieckiem urodzonym podczas masakry 1915 roku na wiejskim gościńcu. I nigdy nie ustanie w poszukiwaniach.

— I tak też było — powiedział bazarz. — Człowiek ten niestrudzenie szukał dalej. Nawet gdy sam się postarzał i miał już prawie siedemdziesiąt trzy lata, szukał nadal.

Lada chwila groził mu zawał serca. Czuł go już, gdyż we śnie śmierć coraz częściej pukala do drzwi. Siedział w kawiarni. I jak zawsze opowiadał siedzącemu naprzeciw niego człowiekowi swoją historię, historię, która z każdym dniem rosła, często się zmieniała, ale wciąż zachowywała ten sam kierunek. Naprzeciw niego siedział zaś Ormianin.

Znałem kiedyś człowieka, który nazywał się Wartan Chadisjan, rzekł Ormianin. Było to dawno temu. Ten człowiek nie mógł nigdzie zaznać spokoju. Po pierwszej wojnie światowej mieszkał w wielu krajach i często też zmieniał obywatelstwo. Ostatnio miał szwajcarski paszport.

Szwajcarski paszport?

Owszem. Tyle że na inne nazwisko, gdyż Turcy podejrzewali go kiedyś o szpiegostwo i bał się, że Szwajcarzy mogą mu z tego powodu nie ufać.

Dlaczego mieliby mu nie ufać?

No cóż, nie lubią tutaj szpiegów.

Nosił więc inne nazwisko?

Tak. Nazwisko Wartan Chadisjan nie było nigdzie wpisane. Ale tak się nazywał. I pochodził z Jedi Su. I opowiadał mi o swojej żonie, która miała spaloną twarz — a właściwie jej nie miała, tylko oczy, bardzo duże ciemne oczy. Ten Wartan Chadisjan mówił, że jej oczy wydawały dziwny blask... tak jakby widziała Chrystusa.

To mój ojciec, powiedział człowiek, który nazywał siebie Towmą. A ta kobieta o spalonej twarzy i ze świętym blaskiem w oczach to moja matka.

Otrzymał adres. I poszedł tam tego samego dnia. Nie było tam jednak nikogo, kto by nazywał się Wartan Chadisjan. Drzwi otworzyła starsza kobieta. Kiedy wymienił nazwisko swego ojca i wyjaśnił jej, kim jest, powiedziała tylko: Mieszkał tu kiedyś Ormianin. To prawda. Bardzo dawno temu. Na pewno więcej niż czterdzieści lat. Wprowadził się tu taki jeden. To było w 1942.

A więc podczas wojny?

Tak. Podczas wojny... która nam, dzięki Bogu, jak pan wie, została oszczędzona... wtedy mieszkał u moich rodziców taki jeden jako sublokator... w tym mieszkaniu. Byłam jeszcze młoda, bardzo młoda. Tak, przypominam sobie: jego ormiańscy przyjaciele nazywali go Wartan Chadisjan, ale wtedy nosił inne nazwisko.

I kobieta rzekła: Ten sublokator, ten Wartan Chadisjan, który zresztą nazywał się też inaczej, kilka miesięcy później zniknął bez śladu. Wiosną to było... wiosną 1943 roku.

I kobieta rzekła: Przyszedł wtedy do niego taki brodaty Żyd i zapukał do drzwi. To był jeden z tych nieprzyjemnych, no, wie pan, ortodoksyjnych, z pejsami i brodą, w futrzanej czapce i zalatujący czosnkiem... którego co prawda nie czu-

łam... ale wiem, że ci ludzie jedzą czosnek. No więc taki jeden przyszedł. I zapukał do jego drzwi. A potem obaj wyszli.

Wartan Chadisjan, rzekła kobieta. Potem jeszcze wrócił. I powiedział mi, że jedzie do Polski. Nie wiem po co.

I pojechał do Polski?

Nie wiem. Wiem tylko, że spakował walizkę i powiedział, że przyjedzie po niego samochód.

— Tak więc można sobie tylko wyobrazić, co się zdarzyło — mówię ja, bajarz, do swego cienia. — Bo czasem nie pozostaje nic innego, jak szukać ostatniej prawdy w wyobraźni.

— Więc jak to było? — pyta mój cień.

A ja odpowiadam:

— No cóż, było tak i tak.

## 17

I tak oto opowiadam swemu cieniowi baśń, ponieważ nie znam ostatniej prawdy, której szukam.

Nie. To nie jest turecka baśń. Poza tym nie zaczyna się tak jak wszystkie baśnie tureckie... *bir warmysz, bir jokmusz, bir warmysz*. Był sobie kiedyś, albo i nie był, a może jednak był sobie kiedyś... Ta baśń zaczyna się zupełnie inaczej, zaczyna się jak baśń żydowska albo inne podobne baśnie. Dlatego mówię teraz:

— Był sobie kiedyś stary polski Żyd. I zapukał do drzwi Wartana Chadisjana, którego znał, gdyż często gawędził z nim w kawiarni.

Chciałbym zaproponować panu interes, powiedział Żyd.

Jestem poetą, odparł Wartan Chadisjan. Nie zajmuję się interesami.

Także poeci robią czasem interesy, rzekł Żyd. A interes, który panu proponuję, to uczciwy interes.



Nie ma uczciwych interesów, oświadczył Wartan Chadisjan.

A jednak są, zaproponował Żyd. Zdarzają się.

Proszę posłuchać, powiedział Żyd. Cała moja rodzina jest w Polsce. Polscy Żydzi są przeważnie biedni. Ale moja rodzina jest wyjątkiem. Jest bardzo bogata.

Bogata? zdziwił się Wartan Chadisjan.

Owszem, potwierdził Żyd. Posiada złoto i biżuterię, i duże walizki pełne pieniędzy. Kiedyś moją rodzinę zabiorą. A tam, dokąd ją zawiozą, nie będzie mogła wziąć ze sobą ani złota, ani biżuterii, ani walizek z pieniędzmi.

Tak, rzekł Wartan Chadisjan. Rozumiem.

Pan ma szwajcarski paszport, ciągnął Żyd. Ja nie mam. Dlatego nie mogę tam jechać, by uratować wartościowe rzeczy.

Mam uratować te wartościowe rzeczy?

Tak, potwierdził Żyd. O to właśnie chodzi.

I Żyd powiedział: Znam szwajcarskiego konsula w Warszawie. Zostanie pan przewieziony przez granicę wozem dyplomatycznym. Dzięki szwajcarskiemu paszportowi nie będzie pan miał żadnych trudności ani z wizą, ani z czymkolwiek. Zabierze pan biżuterię, złoto i walizki z pieniędzmi, a potem zostanie pan przewieziony wozem dyplomatycznym z powrotem przez granicę. Nie ma obawy. Nie będzie żadnej kontroli. Nic się panu nie stanie.

I Żyd powiedział: Zrobi pan to wszystko za darmo. Z czystej dobroci serca. Nie dostaje pan od nas nic. Ani procentów, ani prowizji, ani nawet zaliczki. Absolutnie nic.

Tak, rzekł Wartan Chadisjan. Rozumiem.

Nic pan nie rozumie, odparł Żyd. Nic a nic.

I Żyd powiedział: Zatrzyma pan te walizki z pieniędzmi, złoto i biżuterię. Jeśli moi krewni przeżyją, odda im pan to po wojnie. I to wszystko, bo w tym absolutnie uczciwym interesie nie ma żadnej prowizji.

A jeśli nie przeżyją?

Wtedy wszystko będzie należeć do pana. Wszystko.

Jak wyglądają szanse?

Trudno powiedzieć, odparł Żyd. Nikt dokładnie nie wie, dokąd wysyła się w Polsce Żydów i czy stamtąd wracają czy nie.

W tym interesie moi krewni nie mają nic do stracenia, rzekł Żyd, bo jak inaczej mieliby przemycić za granicę swoje rzeczy wartościowe?

Oddam im wszystko, oświadczył Wartan Chadisjan. Choćby przeżył tylko jeden z nich, oddam temu jednemu wszystko, co należało do całej rodziny.

Zrozumiał pan, powiedział Żyd.

Ale jeśli wszyscy zginą, jeśli nie przeżyje żaden z nich, to zatrzymam rzeczy wartościowe i pieniądze. Wszystko.

Dokładnie tak, przyznał Żyd. Jest pan poetą. Dobrze pan rozumiał.

W tym interesie nikt nie ma nic do stracenia, oświadczył Żyd. Pan także.

Nie mam w tym nic do stracenia, przyznał Wartan Chadisjan.

Sam pan widzi...

A co pan ma z tego?

Proszę się o mnie nie martwić, powiedział Żyd. Jeśli choć jeden z mojej rodziny przeżyje, nie pozwoli mi, który pomyślałem o wszystkim, umrzeć z głodu.

A jeśli nikt nie przeżyje?

Wtedy pan o mnie zadba, panie Chadisjan.

Żyd uśmiechnął się po raz pierwszy. Znam Ormian, dodał. I znam Żydów. Oba te narody nigdy nie zapominają, kto je skrzywdził. Ale nie zapominają także, kto wyświadczył im dobro.

Taka jest prawda, zgodził się Wartan Chadisjan.

Taka jest prawda, powtórzył Żyd.

Tak więc Wartan Chadisjan pojechał w roku 1943 do Polski. Wozem dyplomatycznym. Ze szwajcarskim paszpor-

tem. Przybył do małego miasta, skąd nie zabrano jeszcze Żydów. Mieszkali wprawdzie w wydzielonej części miasta, ale byli jeszcze wszyscy razem. Szybko rozniosło się wśród Żydów, po co przyjechał. A ponieważ miał list polecający i dobrze patrzyło mu z oczu, Żydzi zaufali mu. I nie tylko krewni mieszkającego w Zurychu polskiego Żyda dali mu pieniądze i rzeczy wartościowe, ale także inni dawali mu, co mieli. Wieść o misji Wartana Chadisjana rozeszła się po kraju i zewsząd, gdzie żyli jeszcze Żydzi, przybywali posłańcy z pieniędzmi i rzeczami wartościowymi. Żydzi obejmowali go i całowali, gdyż był to interes w ich guście. Wiedzieli, że ten Ormianin jest uczciwym człowiekiem. Skoro przysłał go Żyd z Zurychu, który miał wśród pobożnych opinię świętego, to nie było miejsca na wątpliwości.

Jeśli przeżyjemy, mówili, dostaniemy wszystko z powrotem. A jeśli nie, to po prostu nie. Wtedy zresztą nie będziemy już nic potrzebować. Częstowali Wartana wódką i przepijali do niego. I płakali z radości, że nadarzył im się taki dobry człowiek i uczciwy interes.

Dyplomatyczny wóz przyjechał po niego punktualnie. Wartan Chadisjan zapakował walizki i węzełki zaopatrzone w tabliczki z nazwiskami właścicieli — wszystko pieniądze i rzeczy wartościowe — do samochodu i powiedział kierowcy, że musi jechać do Warszawy i zostawić bagaże w konsulacie.

Pojutrze konsul jedzie do Szwajcarii, powiedział do kierowcy. Wtedy wszystko zapakujemy z powrotem do wozu.

I pan wtedy też jedzie do Szwajcarii? spytał kierowca.

Na co Wartan roześmiał się i rzekł: Oczywiście.

Wyładowali bagaże w konsulacie. Wartan upewnił się, że wszystko jest dobrze schowane, w zamkniętych szafach i za zaryglowanymi drzwiami, i dopiero wtedy udał się do hotelu.

Od dawna już tak dobrze nie spał. Kiedy obudził się rano, stwierdził, że jego dokumenty zniknęły. Przetrzęsął wszystko, płaszcz, garnitur, swoją małą walizkę. Na próżno. Zadzwoił do portiera, złożył zażalenie w dyrekcji hotelu, lecz nikt nic nie wiedział.

Zadzwoił do konsulatu.

Śpi pan przy otwartym oknie? spytał konsul.

Tak, przyznał Wartan Chadisjan.

I był pan przez cały czas w pokoju?

Tylko raz w nocy wyszedłem do toalety. Jest w korytarzu.

Ktoś musiał być, rzekł konsul. Ktoś był w pańskim pokoju. Może sprzątaczką lub ktoś inny. Wiadomo to? Wielu Polaków żyje obecnie w podziemiu. Zamelinowali się, rozumie pan, i pilnie potrzebują nowych papierów.

Co mam teraz zrobić?

Absolutnie nic, odparł konsul. Proszę się nie martwić. Załatwimy panu tymczasowy paszport. Najlepiej niech pan od razu przyjedzie do mojego biura.

Tak więc Wartan Chadisjan opuścił hotel, żeby się udać do konsulatu. Przypadkiem w tym właśnie czasie w dzielnicy, w której znajdował się jego hotel, odbywała się łapanka. Nic szczególnego, ponieważ przedstawiciele nowego porządku i ich pomocnicy chcieli tylko wytropić paru Żydów, motłoch bez ojczyzny, jak twierdzili, często z fałszywymi papierami lub w ogóle bez dokumentów, który czasem przebywał też poza przydzieloną mu dzielnicą. Także Wartan został aresztowany, ponieważ był typem ciemnowłosym i nie miał przy sobie dokumentów. Pomocnicy przedstawicieli nowego porządku zaprowadzili go i kilku innych na dworzec, który był zwykłym dworcem i znajdował się bardzo blisko hotelu. Wszystko odbyło się na pozór dyskretnie na oczach przechodniów, lecz ci nie zaprzęтали sobie głowy łapanką, gdyż mieli porządne papiery. Większość z nich w ogóle nie patrzyła w stronę schwytanych, inni uśmiechali się, wielu nawet ze złośliwą satysfakcją. Także na dworcu, gdzie większa grupa ludzi czekała pod eskortą na transport, wszystko przebiegało sprawnie, bez zbytnej sensacji, a tym bardziej lamentów czy krzyków, gdyż podróżni wiedzieli, że zakłócanie nowego porządku i irytowanie jego przedstawicieli mija się z celem.

Przepełnione, zakratowane pociągi towarowe opuszczały dworzec bez zakłóceń. W wagonie Wartana panowała ducho-

ta, mimo że nie było jeszcze lata, lecz brało się to stąd, że ciasno stłoczeni ludzie ogrzewali wagon ciepłem swoich ciał. Ludzie zachowywali się spokojnie, nawet dzieci. Nawet niemowlęta nie odważyły się płakać, tylko ssały w milczeniu piersi matek. Im bardziej pociąg oddalał się od miasta, tym spokojniejsi byli ludzie, gdyż stało się dla nich jasne, że nie unikną swego losu. To nie był czas na skargi. Wiedział o tym również Wartan. I powiedział sobie: Mógłbyś się poskarżyć szwajcarskiemu konsulowi, lecz konsula tutaj nie ma. Nigdzie też nie ma telefonu ani poczty. A eskorta tego pociągu jest nieosiągalna.

Wartan patrzył przez zakratowane okno na polski krajobraz i poznawał, że to ten sam krajobraz, który widział niedawno z samochodu. Również zapach młodego roku i jasne niebo były takie same. Pod nielicznymi chmurami ciągnęły w silnym wietrze stada ptaków. Przybywały z daleka, wiedział, że to pierwsze ptaki powracające wraz z wiosną do Polski, ale będą ostatnimi, jakie widzieli w tym życiu.

Pociąg jechał całymi dniami prosto przed siebie. Tak przynajmniej Wartanowi się zdawało. Paru starych ludzi umarło z głodu i pragnienia oraz z wyczerpania. Leżeli dalej tam, gdzie skonali. Ponieważ nie było toalety, a drzwi nie otwierano, ludzie załatwiali potrzeby fizjologiczne w wagonie. Nie było miejsc siedzących ani leżących, więc podróżni robili pod siebie na stojąco. Wyglądało na to, że nikomu to nie przeszkadza.

Wreszcie pociąg gdzieś się zatrzymał. Tutaj krajobraz był inny.. Tutaj był drut kolczasty. A za drutem kolczastym stały wielkie piece, które dymiły bez przerwy. Ponieważ ludzie w wagonie byli głodni i spragnieni i mieli halucynacje, myśleli, że owe piece to piekarnia. A tam, gdzie jest chleb, na pewno będzie też woda.

Któryś z Żydów powiedział: Zaprowadzą nas do piekarni. Obiecali nam pracę, rzekł inny. Prawdopodobnie mamy piec chleb.

Czy wszyscy jesteście piekarzami? spytał Wartan.

Nie, odpart jeden z Żydów. Ale wszystkiego można się nauczyć. Także pieczenia chleba. Przekwalifikują nas.

Pociąg stał długo na ślepych torze. Nie nastąpiło już żadne szarpnięcie. Umilkł również syk lokomotywy. Ponieważ drzwi nie otwierano, kilku Żydów zaczęło węszyć przy małym zakratowanym oknie. Jeden z nich miał dobry węch. Dziwny zapach, powiedział do pozostałych. To nie jest zapach chleba.

Także inni zdawali się teraz to wyczuwać. Nagle któryś z Żydów krzyknął: To zapach ludzkiego mięsa!

Jedni Żydzi zaczęli płakać, inni ryczeć. Wartan ich uciszał. Uspokójcie się, powiedział. Nie ma powodu do zdenerwowania. Posłuchajcie mnie. Opowiem wam bajkę.

I Wartan opowiedział im bajkę o Maksie i Morycu. Kiedy skończył, Żydzi byli spokojni. Niektórzy nawet się śmiali. Jeden z nich powiedział: To naprawdę tylko bajka. Bo czegoś takiego przecież nie ma.

Z Maksa i Moryca zrobiono chleb, rzekł Wartan. Piekarz po prostu przerobił obu na ciasto, a potem wsadził do pieca.

Bajka, oświadczyli Żydzi. To tylko bajka.

Oczywiście, że to tylko bajka, potwierdził Wartan.

A kto ją napisał?

Niemiec nazwiskiem Wilhelm Busch.

A więc niemiecka bajka, powiedzieli Żydzi.

Temu Wilhelmowi Buschowi powinniśmy pewnego dnia postawić pomnik, rzekł któryś z Żydów, gdyż przekonał nas, że coś takiego zdarza się u Niemców tylko w bajkach.

Zaprawdę, dodał inny, który wyglądał jak rabin. Ten Wilhelm Busch powinien być dla Żydów ulubionym niemieckim poetą, bo uwolnił nas od strachu przed Niemcami.

Wartan musiał im opowiedzieć jeszcze raz historię o Maksie i Morycu, i jak to było z pieczeniem chleba. A Żydzi słuchali go i kiedy skończył, zaczęli się serdecznie śmiać. Nie bali się już. Byli spokojni.

A potem otwarto drzwi.

Wśród dusz zagazowanych i spalonych Żydów, które jeszcze tego samego dnia siedziały na kominie krematorium, była także dusza pewnego Turka oraz dusza Ormianina o nazwisku Wartan Chadisjan.

Skąd się tutaj wzięłeś? zapytał Turka Wartan.

A skąd ty się tutaj wzięłeś? odpowiedział pytaniem Turek.

Byłem w interesach w Warszawie, odrzekł Wartan.

Jesteś człowiekiem interesu?

Nie, odparł Wartan. Jestem poetą.

Ja też byłem w interesach w Warszawie, wyjaśnił Turek. I też jestem poetą.

Zgubiłeś dokumenty?

Owszem, potwierdził Turek. Zgubiłem je i zwinięto mnie po prostu podczas łapanki. I Turek zapytał: Na co właściwie czekamy?

Na sygnał do odlotu, odrzekł Wartan.

A dokąd lecimy?

Nie wiem, powiedział Wartan.

Turek właściwie nie powinien lecieć do nieba razem z Ormianinem, stwierdził Turek.

Dlaczego?

Z powodu baśni, którą *meddach* opowiedział mi na jednym z wielkich bazarów.

Co to za baśń? spytał Wartan.

Po prostu baśń, odparł Turek.

I Turek rzekł: Był sobie kiedyś, albo i nie był, a może jednak był sobie kiedyś...

Był sobie kiedyś martwy Turek, którego dusza leciała w kierunku nieba z duszą martwego Ormianina.

Dlaczego jesteś taki wesoły? spytał Ormianin.

Bo idę do nieba, odpowiedział Turek. Wszyscy wierzący muzułmanie idą bowiem do nieba, a dokładnie do raju.

A niewierni?

Oni idą do piekła.

Ale ty nie będziesz umiał wcale docenić raj, rzekł Ormianin, gdyż to, co dobre, można cenić tylko wtedy, gdy zna się zło.

Jak to rozumiesz?

No cóż, powiedział Ormianin, rozumiem to tak. Kto choćby raz rzuci okiem na piekło, ten potrafi później w dwójnasób i w trójnasób doznawać radości w raj, gdyż wie, jak wygląda po drugiej stronie.

Masz rację, przyznał Turek. To trafia mi do przekonania.

Żal mi cię, ciągnął Ormianin, gdyż nie będziesz umiał w pełni docenić rozkoszy raj, bo nigdy dotąd nie przeżyłeś przecież piekła.

A co mam zrobić? spytał Turek.

Nie wiem, odparł Ormianin. Ale zastanów się. Może przyjdzie ci coś do głowy.

A wtedy Turek zastanowił się i rzekł: A może byśmy tak zamienili się szatami. Ja włożę twój czarny płaszcz i przez ułamek sekundy popatrzę na piekło, tylko po to, żebym później wiedział, jak tam jest. A ty, Ormianin... ty włożysz mój biały płaszcz i przez ułamek sekundy popatrzysz na raj.

Niezły pomysł, uznał Ormianin.

I tak zrobili. Kiedy obaj przybyli przed bramę Allaha, archanioła Gabriela akurat nie było. Zastępujący go młody, niedoświadczony anioł nie bardzo się orientował.

Zamieniliśmy się płaszczami, tłumaczył Turek aniołowi. Bo ja chciałbym przez ułamek sekundy popatrzeć na piekło, a Ormianin na raj. Dobrze mi to robi. Tym szczęśliwszy będę bowiem potem w raj. Także temu niewiernemu dobrze to robi, gdyż powinien wiedzieć, co go ominie.

Aniołowi było wszystko jedno. Tak więc zaprowadził Turka do piekła, a Ormianina do raj. A ponieważ z obu tych miejsc nie ma powrotu, Turek będzie smażył się po wszystkie wieki w piekle, a Ormianin wygrzewał się w raj.

Piękna historia, stwierdził Wartan. Ale dlaczego mi to opowiadasz?

Bo Turek nie może wierzyć Ormianinowi, rzekł Turek. Nawet po śmierci.



Naprawdę boisz się lecieć ze mną w kierunku nieba?  
Owszem, przyznał Turek. Boję się.

Żydzi wysłuchali tej historii i nie wiedzieli, co o niej sądzić.

Oto widzicie, powiedział jeden z nich, nawet dusze zmarłych mają jeszcze uprzedzenia. Jeśli nawet dusze sobie nie ufają, to czego możemy się spodziewać?

Żydzi popsioczyli chwilę. Potem jednak uspokoili się, gdyż Pan Bóg dał wszystkim znak do odlotu.

A wówczas wszystkie dusze poderwały się i poleciały wspólnie do nieba. Pozostały tylko ostatnie myśli ich śmiertelnych ciał, są one bowiem nieśmiertelne i błakają się wiecznie po ziemi z wszelkimi życzeniami i nadziejami, które poruszały człowieka w ciągu jego życia.

Również ostatnia myśl Wartana siedziała na kominie krematorium. Po wyczyszczeniu skrzydeł także wszystkie myśli wyruszyły w drogę. Wielu Żydów poleciało do kraju tych, co wynaleźli ostateczne rozwiązanie, bo była to ich ojczyzna, inni poleciali do innych krajów. Większość jednak poleciała do Jerozolimy.

Wartan stracił Turka z oczu. Wzbił się wysoko w powietrze i leciał za Żydami, którzy wybierali się do Jerozolimy. Leciał bardzo szybko, coraz szybciej i szybciej i w końcu ich dogonił.

Dokąd lecicie?

Do Jerozolimy.

Do Jerozolimy?

Tak.

Będziecie lecieć nad Turcją?

Naturalnie. To po drodze do Jerozolimy. Nie znasz mapy?

Dużo zapomniałem.

Czego szukasz w Turcji?

Kraju o nazwie Hajastan.

Hajastan?

Tak.

\*

Kiedy lecieli nad górą Ararat, Wartan usłyszał głos. Głos dobiegał z kosmosu. Przyśle ci orła, mówił. I na skrzydłach orła zstąpisz na dół.

A jeśli to nie będzie orzeł? odezwał się Wartan. Jeśli to będzie tylko komar, na którym mam zstąpić na dół, co wtedy zrobię? Ptaki pożrą komara i nigdy nie dotrę do Hajastanu.

Wy, Ormianie, jesteście nieufnym narodem, powiedział głos. Jesteście jak Żydzi. Żadnej ufności do świata!

Jak mielibyśmy żywić jeszcze ufność? spytał Wartan.

Właściwie muszę ci przyznać rację.

Naprawdę przyślesz mi orła?

Tak. Orła.

I Wartan poleciał na skrzydłach orła na górę Ararat. A potem dalej w dół do rozległego kraju armeńskiego, który tam nazywa się Hajastan. Wartan widział, że nie jest jedyną myślą, która będzie mieszkać tam w dole. Wszędzie były myśli Ormian. Siedziały w każdym kwiecie, na każdym źdźble trawy, na pąkach drzew.

I dzień dobiegł końca. I nastąpiła noc. A wtedy z kielichów kwiatów i z pąków drzew podniósł się szept. Szept dobiegał także z trawy i w ogóle z całego krajobrazu.

Kiedy Ormianie szepczą nocą, Turcy mają koszmary senne, powiedział głos, a właściwie wszyscy w tych stronach.

Gdzie są moi rodzice? spytał Wartan. Gdzie moi bracia i siostry? Gdzie są wszyscy, których kochałem? I gdzie jest moja żona?

Są tutaj, rzekł głos.

I nagle Wartan zobaczył swoją rodzinę. I zobaczył także swoją żonę, która siedziała na jednym z kwiatów.

Wróciłeś do mnie? spytała Anahita.

Wróciłem, odparł Wartan.

I przywitał się z wszystkimi, którzy byli kiedyś bliscy jego sercu, po czym wrócił do Anahity.

Szkoda, że nie ma tu naszego syna Towmy, rzekł do niej. Szkoda, powtórzyła Anahita. Tak bardzo tęsknię do niego. Chętnie bym go zobaczył, powiedział Wartan.

Całe lata śniłam o nim, wyznała Anahita, i próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda.

Ze mną było tak samo.

Właściwie nasz syn wcale nie nazywa się Towma, rzekła Anahita, bo wtedy, gdy mnie spalono w kościele, miałam sen.

Jaki sen?

Śniło mi się, że przeszłam przez płomień, aby uratować Towmę, małego Towmę w moim brzuchu. Płomień nie dotykał mnie, bo to, co nosiłam w łonie, było święte. Przed jedynym szybem wentylacyjnym panował wielki ścisk — każdy bowiem chciał wydostać się pierwszy — ale ludzie odsunęli się na boki, kiedy zobaczyli, że jestem brzemienna. A gdy przeszłam cało przez płomień i mimo wielkiego brzucha przeczołgałam się bez trudu przez wąski szyb wentylacyjny, uciekłam pod osłonę nocy. Przez jakiś czas błąkałam się po górach, aż pewnego dnia złapali mnie siepacze. I słońce codziennie wschodziło i zachodziło. I śniła mi się kolumna śmierci na gościńcu nad brzegiem Eufratu. Widziałam tam siebie samą, pośród żandarmów i wielu nieszczęśliwych ludzi. Śniło mi się, że bóle porodowe już się zaczęły, bo to był przecież dziewiąty miesiąc, i musiałam gdzieś urodzić. Gdy nadszedł czas, położyłam się po prostu na gościńcu. I jeden z żandarmów rozpruł mi bagnetem brzuch. I patrzcie oto: ze środka wysliznął się mały Towma. Wyglądał naprawdę ślicznie: taki mały, pomazany i niewinny. I wtedy usłyszałam głos, który powiedział: Ten tutaj nie powinien nazywać się Towma, tylko Hajk.

Hajk? spytał Wartan. Tak jak pierwszy Ormianin?

Hajk, potwierdziła Anahita.

To nie był sen, powiedział Wartan. To była rzeczywistość.

Jaka rzeczywistość? spytała Anahita.

Tamta druga rzeczywistość, której nie mogły zniszczyć płomienie.

W takim razie rzeczywiście byłam na tamtym gościńcu?

Oczywiście, że tam byłaś.

I tam urodziłam?

Tak, Anahito.

I urodziłam ci syna?

Urodziłaś mojego syna.

Zanim Towma, który nazywał się teraz Hajk, odnalazł swych rodziców, miało upłynąć jeszcze wiele lat. Ponieważ jednak myśli nie mają poczucia czasu, więc Wartan i Anahita nie zdawali sobie sprawy, ile lat jeszcze minie. Wiele mówili o swoim synu. A pewnego dnia oboje podnieśli równocześnie oczy ku niebu. I patrzcie: właśnie nadlatywała ostatnia myśl Towmy. Który nazywał się teraz Hajk. Naprawdę tak się nazywał. Oboje pomachali do niego, a Towma, który nazywał się teraz Hajk, jak pierwszy Ormianin, rozpoznał ich od razu.

Hajk ucałował i przytulił do serca swego ojca. Następnie podfrunął do matki i usiadł na jej dużych mlecznych piersiach.

Nigdy cię nie karmiłam, rzekła matka. Powinieneś teraz stać się całkiem mały, żebym mogła ci wreszcie dać pierś.

Jestem znów całkiem mały, powiedział Hajk. Nie widzisz tego? I piję twoje słodkie mleko.

Na sąsiednim kwiecie siedział były ormiański kapłan. Który widział, jak Anahita, matka Armenii, odnalazła swego utraconego syna. Hajk będzie płodny i będzie miał liczne potomstwo, pomyślał. A dzieci Hajka i ich wnuki zaludnią kraj, który był im zawsze przeznaczony.

I myślał tę myśl bardzo długo. A wszystkie pozostałe myśli słyszały głos jego myśli i myślały to samo.

## EPILOG

— Raz jeszcze otworzyłeś oczy — rzekł głos bazarza w głowie Towmy Chadisjana.

— Czy to ostatni raz?

— Tak, to ostatni raz.

— Gdzie jest moja ostatnia myśl?

— Siedzi jeszcze w twojej głowie.

— A baśń?

— Może to nie była baśń.

— Jak to rozumiesz?

— Opowiedziałem ci tylko, co mogłoby być i możliwe, że będzie z twoją ostatnią myślą, kiedy cię ostatecznie opuści.

— A kiedy mnie opuści?

— Wkrótce.

Głos bazarza w mojej czaszce cichnie. Wkrótce całkiem zgaśnie i nie będę już nic słyszał. Zrobi się bardzo cicho.

Wiem, że moja ostatnia myśl powróci w luki tureckich podręczników historii. A ponieważ to wiem, umrę spokojniej niż inni przede mną, którzy tego nie wiedzieli.

Panie ministrze, lecę z powrotem!

Dokąd, panie Chadisjan?

Do luk w pańskich podręcznikach historii.

Ależ panie Chadisjan, czegoś takiego nie wolno panu robić!

Dlaczego?

Bo mogłoby to mnie zaniepokoić.

Niejednego zaniepokoi, mówię, gdy ostatnie myśli martwych Ormian zaczną szeptać w Hajastanie.

Wierzy pan w to, panie Chadisjan?

Tak, panie ministrze.

Szeptanie jest zaraźliwe, stwierdza minister. Szept martwych Ormian mógłby wydostać się poza granice kraju i być wszędzie słyszany.

Możliwe.

Mogłyby zacząć szeptać inne szepczące głosy, także te, które nigdy nie miały odwagi szeptać głośno. Powstałby wielki szept, gdyby wszyscy, którzy byli ofiarami na tym świecie, zgłosili się nagle ze swymi szeptanymi skargami. Cały świat udusiłby się w ich szepcie. Do czego byśmy wtedy doszli? Tak nie może być, panie Chadisjan. Niejednego z nas rozbolełby brzuch, bo szepczące głosy ofiar zakłócają trawienie. Moglibyśmy zacząć się zastanawiać i od tego ciągłego zastanawiania rozbolełaby nas głowa. I proszę pomyśleć o koszmarach, które pozbawiłyby nas snu. Kto by tego chciał? I jaki by to miało sens?

Nie wszystko przecież, panie ministrze, musi mieć sens, powiedział Towma Chadisjan. Po czym wyzionął ducha.

## GLOSARIUSZ

Występujące w przekładzie wyrazy ormiańskie i tureckie, a także arabskie i perskie zostały podane w polskiej transkrypcji popularnej, tj. bazującej na polskiej wartości fonetycznej liter alfabetu łacińskiego. Więc np. zbitki liter typu „sz” lub „ch” należy w tych słowach wymawiać jak w polskich wyrazach „szopa” czy „chata”.

Język turecki od 1928 r. posługuje się wprawdzie alfabetem łacińskim, ale mimo to w niniejszej książce zastosowano transkrypcję polską, ponieważ zasady wymowy tureckiej są u nas mało znane (np. łacińska litera „c” ma w tureckim alfabecie łacińskim wartość polskiego „dź”).

Ormianie posługują się dwoma językami, zapisywanymi tym samym oryginalnym pismem ormiańskim wynalezionym na początku V w. przez ormiańskiego (armeńskiego) mnicha Mesropa Masztoca. Język zachodnioormiański (używany w Turcji i tam, gdzie mieszkają Ormianie wywodzący się z ziem należących do Turcji, tj. w krajach arabskiego Bliskiego Wschodu, w zachodniej Europie i w Ameryce) znacznie się różni, zwłaszcza w zakresie fonetyki, od języka wschodnioormiańskiego używanego obecnie w niepodległej Republice Armenii, w Rosji, a także w Iranie. W niniejszej książce mowa jest o Ormianach zachodnich, toteż transkrypcja wyrazów ormiańskich jest tu podana głównie w wersji zachodnioormiańskiej. Niekiedy zachowana jest, za pisownią Hilsenratha, wymowa wschodnioormiańska. Dotyczy to wyrazów, których wymowa rozpowszechniła się w Europie w wersji wschodniej (np. *dasznacy*).

Zarówno w języku ormiańskim (wschodnim i zachodnim), jak i w tureckim akcent pada na ostatnią sylabę wyrazu. W ormiańskim nie dotyczy to samogłoski „y”, która nigdy nie może być akcentowana.

Słowa zadomowione od dawna w polszczyźnie pozostawiono w formie spolszczonej.

Skróty języków: orm. — ormiański (jeśli nie zaznaczono: wsch. — wschodni, to znaczy, że chodzi o formę zachodnioormiańską), tur. — turecki, ar. — arabski, pers. — perski.

<i>aga</i> (pers. z mongolskiego)	pan, naczelnik
<i>ajran</i> (tur.)	maślanka
<i>alk</i> (orm.)	zły duch
<i>arba</i> (z tur.)	wóz
<i>arbadży, -tar</i> (z tur.)	woźnica
<i>badiw</i> (orm.)	honor
<i>baktawa</i> (tur.)	słodkie ciasto
<i>basz-kiatib</i> (tur.)	starszy pisarz
<i>baszy-bozuk</i> (tur.)	cywilny
<i>bedel</i> (tur.)	opłata pozwalająca wykupić się od służby wojskowej
<i>bej</i> (tur.)	bogacz; pan (tytuł, zwrot grzecznościowy), szanowny pan
<i>binbaszy</i> (tur.)	major (dosłownie: tysięcznik, dowódca tysiąca żołnierzy)
<i>bułgur</i> (tur.)	kasza pszeniczna
<i>czausz</i> (z tur.)	podoficer w armii osmańskiej
<i>czelebi</i> (tur.)	dostojny (i wykształcony) pan
<i>czubuk</i> (tur.)	turecka fajka
<i>dasznak</i> (wsch. orm.)	członek ormiańskiej partii narodowowyzwoleńczej Dasznakcutjun (Sojusz)
<i>dede</i> (tur.)	dziadek
<i>dew</i> (wsch. orm.)	zły duch
<i>döszek</i> (tur.)	materac
<i>dzinn</i> (tur. z ar.)	zły duch
<i>efendi, -ler</i> (tur.)	pan, mój panie/panowie, moi panowie
Frank (tur.)	potoczne określenie Europejczyka
Frankistan (tur.)	potoczne określenie Europy
<i>gelin</i> (tur.)	narzeczona, panna młoda
<i>hadig</i> (orm.)	słodka papka, budyń
Hajastan (orm.)	Armenia
<i>hamat</i> (tur. z ar.)	tragarz
<i>hamam</i> (tur. z ar.)	łaźnia (parowa)



<i>hamidi, -ler</i> (tur. z ar.)	nieregularna kawaleria kurdyjska, pułki utworzone przez sułtana Abdülhamida II
<i>harisa</i> (orm.)	potrawa z mięsa i kaszy, ormiańska potrawa narodowa
<i>hükümet</i> (tur. z ar.)	rząd, budynek rządowy
<i>hynczagista</i>	członek ormiańskiej partii narodowyzwoleńczej Hynczak (wsch. orm.), której nazwa (po zach. orm. Hynczag) znaczy „dzwon”
<i>inszaat taburu</i> (ar.-tur.)	batalion „budowlany”, składający się z żołnierzy pracujących przy budowach
<i>jorgan</i> (tur.)	kołdra
<i>jüzbaszy</i> (tur.)	kapitan (dosłownie: setnik, dowódca setki żołnierzy)
<i>kahwedži</i> (ar.-tur.)	właściciel kawiarni
<i>kajmakam</i> (tur. z ar.)	naczelnik okręgu
<i>karagöz</i> (tur.)	turecki teatr cieni
<i>kaza</i> (tur. z ar.)	okręg administracyjny
<i>kertastan</i> (orm.)	wielopokoleniowa rodzina
<i>külach</i> (tur. z pers.)	spiczasta czapka ze skór jagnięcych
<i>lawasz</i> (orm.)	chleb
<i>madzun</i> (orm.)	jogurt
<i>mahalle</i> (tur. z ar.)	dzielnica (etniczna)
<i>meddach</i> (tur. z ar.)	bajarz
<i>millet</i> (tur. z ar.)	naród, nacja, narodowość; w dawnej Turcji: mniejszość religijna
<i>mobed</i> (z pers.)	kapłan
<i>muchtar</i> (tur. z ar.)	burmistrz, wójt
<i>müdür</i> (tur. z ar.)	namiestnik, szef policji i żandarmerii
<i>muhadzirler</i> (tur. z ar.)	emigranci
<i>münadi</i> (tur. z ar.)	publiczny herold
<i>mutasarryf</i> (tur. z ar.)	zarządca okręgu
<i>oda</i> (tur.)	izba, pomieszczenie mieszkalne
<i>oghi</i> (orm.)	wódka
<i>okka</i>	turecka jednostka wagi (1283 g)
<i>para</i> (tur.)	najmniejsza jednostka monetarna
<i>patat</i> (orm.)	liście kapusty wypełnione ryżem i mięsem (gołąbki)

<i>sandzak</i> (tur.)	większy okręg, część wilajetu
<i>sarma</i> (tur.)	zob. <i>patat</i>
<i>selamtyk</i> (ar.-tur.)	duże pomieszczenie mieszkalne, salon, pokój dla mężczyzn
<i>sinek kiahady</i> (tur.)	lep na muchy
<i>sofra</i> (tur. z ar.)	taca, nakryty stół
<i>sokak, sokahy</i> (tur.)	ulica
<i>szekerli</i> (tur.)	słodki jak cukier, poślodzony (w powieści: święto pierwszych kroków)
<i>tan</i> (orm.)	zob. <i>ajran</i>
<i>tandyr</i> (tur.)	piec, palenisko
<i>tasznakcagan</i> (orm.)	zob. <i>dasznak</i>
<i>tawła</i> (tur.)	tryktrak
<i>tebk</i> (orm.)	szczególne wydarzenie, też: masakra
<i>teskere</i> (tur. z ar.)	dokument osobisty pozwalający poruszać się w obrębie kraju
<i>Teszkiat-i Machsuse</i> (ar.-pers.-tur.)	Organizacja Specjalna utworzona z uwolnionych z więzień kryminalistów; główna siła represyjna w ramach ludobójstwa popełnionego na narodzie ormiańskim w Turcji w latach 1915 i 1916
<i>tezek</i> (tur.)	wysuszone łąjno krowie jako opał
<i>tonir</i> (orm.)	palenisko, piec
<i>wali</i> (tur. z ar.)	gubernator prowincji
<i>wartabed</i> (orm.)	kapłan
<i>widżag</i> (orm.)	łos, tu w znaczeniu przedmiotu używanego w trakcie ludowego zwyczaju wróżenia w dniu święta Wniebowstąpienia (Hamparcum)
<i>wiszap</i>	(wsch. orm.) smok
<i>wilajet</i> (tur. z ar.)	prowincja, jednostka administracyjno-terytorialna
<i>zaptije, -ler</i> (tur. z ar.)	żandarm, policjant